

Kapuściński

Sosnowski

Lem

Tokarczuk

Bauman

Dukaj

PL **+50** 

Historie przyszłości

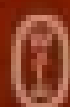
Oramus

Wnuk-Lipiński

Staniszkis

Kossakowska

Piątek



Ziemiański

Antologia opowiadań S-F

PL+50

**Historie przyszłości
Wybór i wstęp Jacek Dukaj**

Wstęp

Począwszy od roku 1829, przez kilkanaście lat, w Petersburgu, Dreźnie i Paryżu — Adam Mickiewicz opisywał dzieje przyszłej Polski, Polski odległej o pięćdziesiąt lat i więcej.

Dzieło nosiło tytuł *Historia przyszłości, L'histoire d'avenir*. Pisał po francusku.

Powstały co najmniej cztery wersje *Historii*; przetrwały strzępy i relacje z drugiej ręki. Mickiewicz sukcesywnie darł, palił, wyrzucał rękopisy.

Co o Mickiewiczowej Polsce 1830 Plus wiadomo:

Cała Europa padła w tej przyszłości pod najazdem Chińczyków. Lecz Zachód uratowały kobiety — to one są Wojownikami jutra. W dwuizbowym polskim Sejmie zasiadają w izbie niższej; mężczyźni — w izbie wyższej.

Świat uległ „rozszerzeniu” dzięki „wejściu Ziemi w stosunki z planetami”. (Nie zachowały się opisy Mickiewiczowskich Obcych). Na niebie wiszą olbrzymie teleskopy, „przez które z balonów można całą Ziemię obejrzyć, a z Ziemi widzieć, co się dzieje na jej satelitach”. Mickiewiczowska telewizja to „akustyczne przyrządy”, za których „pomocą siedząc spokojnie przy kominku w hotelach, można słuchać dawanych w mieście koncertów lub wykładów lekcji publicznych”. Mickiewicz wierzył w aeronautykę. „Kiedyś może się ta sztuką tyle wydoskonalić, że parowa maszyna będzie latać na własnych skrzydłach, bez balonu”. Miasta są przykryte dachami jak domy, wyparkietowane jak mieszkania, ogrzane, oświetlone i klimatyzowane.

W wersji, w której powstanie listopadowe poniosło klęskę, Polska została wchłonięta przez Rosję; Europa jęczała pod batem cara Iwana. Wszystko zmierzało ku gorszemu. We Francji „instytucje społeczne istniały tylko na pokaz i od zewnątrz”.

Przeważał bowiem ton pesymistyczny. Dystopii Mickiewicza nie powstydziliby się Orwell i Zamiatin. „Przedkładano zatem, aby nazwiska zastąpić znakami liczb, gdyż te nie wyrażają niejako takie i łatwo można je zmieniać. W ten sposób Francja, podzielona na dziesięć serii, obejmowałyby w każdej serii pewną liczbę obywateli. Pierwszy urzędnik pierwszej serii miałby numer 1, jego podwładni numery 2, 3 itd. Prości obywatele nie mieliby żadnego współczynnika. (...) Systemat tego rodzaju zadałby ostatni cios osobistej miłości własnej tudzież indywidualizmowi”.

W innej wersji Mickiewicz rozwijał historię alternatywną: powstanie listopadowe zakończyło się zwycięstwem Polaków. Wojsko polskie, armia powszechnej rewolucji europejskiej, maszeruje z zachodu na wschód, od Francji przez Niemcy, Dyneburg, Nowogród Wielki, by z końcem XIX wieku zniszczyć carską Rosję i, po zwycięstwie nad Oką, stworzyć Rzeczpospolitą Syberyjską. „W roku 1899 pokój powszechny w Europie”. Polską walutą są kościuszki. Kraj budzi podziw olbrzymimi gmachami w rodzaju „wodnic”.

Czy Mickiewicz naprawdę wierzył w swoje projekcje? Jaki był cel tej literatury? Jeśli w ogóle można mówić o „celu literatury”. Pisał o Polsce prawdziwej — bo akurat nie istniejącej — czy też ucieczką w przyszłość od prawdy o Polsce się bronił? Co z tych fikcji możemy odczytać dzisiaj i co odczytaliby jemu współcześni? Co takiego mógł przekazać, pisząc o Polsce jutra, czego nie przekazałby w żaden inny sposób? Nie był przecież w owej metodzie pośród polskich pisarzy ani pierwszy, ani ostatni.

Sądząc po naszej literaturze, Polska zawsze istniała bardziej w przeszłości i w przyszłości aniżeli w teraźniejszości.

* * *

Literatura do futurologii ma się mniej więcej tak, jak psychoanaliza do tomografii

komputerowej mózgu. Nie należy ich ze sobą mylić, nawet gdy obie usiłują opisać ten sam przedmiot.

Prognozuje się zasadniczo na dwa sposoby. Futurolog albo przedłuża w przyszłość obserwowane właśnie trendy, albo wykrywa w historii jakąś ogólną, porządkującą ją regułę i dopisuje do niej następny logiczny krok. W pierwszy sposób rodzą się prognozy demograficzne, ekonomiczne, technologiczne; metoda dobrze radzi sobie z liczbami. W drugi sposób tworzy się wielkie systemy filozoficzne i polityczne — Hegla, Marksa; monumentalne diagnozy rozwoju ludzkości — Tofflera, Fukuyamy, Bierdiajewa.

Pierwsza metoda sprawdza się w szczegółach, zawodzi w zetknięciu ze światem: można obliczyć trajektorię jednego trendu, ale — nie miliona różnych trendów, nie ich wzajemny wpływ na siebie; świat jest bardziej chaotyczny. O drugiej metodzie nawet trudno powiedzieć, czy się sprawdza, czy nie, bo na takim poziomie ogólności da się obronić każdą tezę — do dzisiaj przecież wielu twierdzi, że Marks „w zasadzie” miał rację. Historia jest na tyle bogata, że można w niej znaleźć setki wzorów i regularności, każdy równie prawdziwy. Bardzo to przypomina rozwiązywanie testu Rorschacha: wszystko zależy od tego, kto patrzy. Przyszłość jest w oku obserwatora.

W opowiadaniach *PL+50* odnajdziemy echa obu tych systemów. Ponieważ jednak jest to literatura, nie nauka, operacja może dać tu dobry wynik, nawet gdy wszystkie użyte narzędzia są felerne.

Czyżby więc naprawdę potrafiła przewidzieć przyszłość? Sądzę, że sukces literatury polega na czym innym — żaden malarz nie osiągnie precyzji odwzorowania oryginału właściwej dla aparatu fotograficznego, a jednak cenimy malarstwo właśnie za tę nieprecyzyjność, deformację, zafalszowanie rzeczywistości; tu mieszka Sztuka. Fikcja i sen mówią czasem więcej prawdy niż najwierniejszy opis.

Opowiadania następują po sobie w porządku właśnie od ukazujących rzeczywistość najmocniej zdeformowaną, w karykaturze konwencji i mitów, do tekstów SF, stosujących kreskę bardziej realistyczną, i wreszcie — prawie fotografii, czyli prób opisu Polski +50 niebeletrystycznych, jak najbardziej serio.

* * *

Jak wygląda ta „Polska plus 50”? Da się odnaleźć w zgromadzonych tu tekstach pewne regularności, motywy powracające.

Niewiele optymizmu budzi wizja wejścia Polski do UE; jedynie Edmund Wnuk-Lipiński używa nieco jaśniejszych barw. Jadwiga Staniszkis i Stanisław Lem widzą korzyść w narzuceniu Polsce przez UE procedur, których nawet nasi politycy nie będą w stanie zepsuć. Unia bardzo dobrze nadaje się natomiast jako materiał dla groteski, gorzkiej karykatury — u Macieja Dajnowskiego, Andrzeja Zimniaka, Bartka Świderskiego, Macieja Żerdzińskiego. Istotnie, dla większości Polaków ironia zdaje się tu najzdrowszą reakcją.

Spodziewałem się ponurych wizji wynarodowienia Polski i zaborów kulturowych. W mniej lub bardziej ostrej formie widać te lęki w opowiadaniach Jarosława Grzędowicza, Macieja Żerdzińskiego i Barnima Regalicy; jednak przeważa ton niechętniej akceptacji oczywistości: globalizacja w każdym tego słowa znaczeniu jest nieunikniona, najdobitniej wyrażają to Zygmunt Bauman, Ryszard Kapuściński i Jadwiga Staniszkis. Czas alarmistycznych antyutopii już minął — jedynie właśnie opowiadanie Regalicy odwołuje się tak wyraźnie do owych nastrojów.

Kilkakrotnie pojawia się obraz odwróconych ról płci: w tekstach Mai Lidii Kossakowskiej, Bartka Świderskiego, Jarosława Grzędowicza. Jak u Mickiewicza, kobiety przyszłości rosną w siłę.

I jak u Mickiewicza, przebija strach przed inwazją ze Wschodu: w opowiadaniach

Cezarego Domarusa i Marka Oramusa, jak najbardziej dosłowną. Taki obrót fortuny przewidują historiozofie przypisujące kolejnym epokom dominację poszczególnych kontynentów i kultur: teraz bowiem ma nadejść czas Azji.

Nie znajdują natomiast obrazów dominacji Polski, żadnych „snów o potędze”, o przyszłości mocarstwowej. Najbliższy ich jest Andrzej Ziemiański ze swoim darwinowskim patriotyzmem — charakterystyczne, że tylko taka odrealniona konwencja filmu akcji mieści tę wizję. Autorzy chyba czują, że zdrowa, silna, bogata Polska XXI wieku jest zbyt nieprawdopodobna, czytelnicy w nią nie uwierzą; prędzej wyśmieją. Charakterystyczny „pesymistyczny optymizm” Stanisława Lema („nie ma alternatywy dla nadziei”) zabrzmiał tu w kontraście niczym heroiczne wyznanie wiary w naród polski — to daje pojęcie o przesunięciu skali.

Zaskoczony zostałem motywem powrotu do kultury przedchrześcijańskiej — u Łukasza Orbitowskiego, Mai Lidii Kossakowskiej; także Olga Tokarczuk pokazuje cywilizację cofającą się powoli do łona prehistorii. Prawda, ongiś była to kraina dzikich puszczy, bogów ognia i krwi... Jerzy Sosnowski ratuje się przed totalną zagładą, dosłownie uciekając w głąb historii, pod prąd czasu.

Można dostrzec pewne prawidłowości formalne. Autorzy z fantastyką słabiej kojarzeni wypowiadają się w formach krótszych, luźniej wiązanych fabułą; fantasci natomiast naprawdę lubią snuć opowieści. „Prognozy humanistyczne” Daniela Odii i Tomasza Piątka są niemal identyczne w wymowie: jedyna futurologia naprawdę interesująca, zdają się twierdzić, to Futurologia Człowieka; reszta to widmowa scenografia i przemijające bzdury. A natura ludzka jest niezmienna. Jeśli już się skupić na szczegółach, to zupełnie innych; na rzeczywistości słowa i ducha, znacznie silniejszej od rzeczywistości liczb, polityki i pieniądza — taką próbę „fantazji humanistycznej”, obcej tradycji SF, pokazuje Karol Maliszewski.

W sumie reprezentowane są chyba wszystkie konwencje, od impresyjnych nowel Odii, Maliszewskiego, przez teksty mniej lub bardziej humorystyczne i SF niemal klasyczną, aż po testosteronową prozę Ziemiańskiego i otwarcie polityczne opowiadania Grzędowicza czy Regalicy. Starłem się dać możliwie szeroki przegląd wizji przyszłej Polski, a jeśli pewne fragmenty spektrum pozostały niewypełnione, to również stanowi informację o ukierunkowaniu naszych lęków i nadziei.

* * *

Paląc w czerwcu 1849 roku w paryskim mieszkaniu Antoine’a Dessus gruby rękopis *Historii przyszłości*, Mickiewicz wyznaje gospodarzowi: „Wierz mi, kochany przyjacielu, przeminął czas ksiązek”.

Cała nadzieja w tym, że nie wszystkie przepowiednie nawet geniuszy literatury się sprawdzają.

Jacek Dukaj

Listy z Tytana

Maciej Dajnowski

urodził się w 1972 roku w Gdańsku. Tam też mieszka i, z rzadka, pisze opowiadania. Publikował pojedyncze utwory, m.in.: w „Studium”, „FA-” i „Ha!-”artach”. Jeden jego tekst zawierał się także w antologii „Tekstyli”. W 1999 roku wydał zbiorek opowiadań *Opowieści garmazeryjne*.

Synek!

Jakiś zbłąkany meteoryt zerwał mi pół hektara. Trzydzieści kwintali ziemniaków diabli wzięli, a już były zakontraktowane i zaliczkę od Spółdzielni zgarnąłem, a z PHARE 10 tysięcy euro miałem dostać na inwestycje. Cały biznesplan w cholerę, dobrze chociaż, że pokrzywa się pleni, to jakoś z Matką nie pomrzemy.

To w przeszły wtorek było. Siedzieliśmy właśnie z Chyrą nad półlitrem w kuchni, kiedy za bulajem zrobił się jakby dzień — całe niebo od strony Saturna rozpalilo się niemożliwie złotą luną i taki wizg przeciągły dał się słyszeć, że aż te potrójne szyby zaczęły dygotać. Wszystko to może piętnaście sekund trwało, a potem jak nie błysnie, jak nie gruchnie! Tylko metan trysnął na trzydzieści metrów w górę i od razu zastygł w takiego grzyba z naciekami i w gruzły. No i cień mi teraz rzuca na buraka cukrowego. Jak go nie wysadzimy zaraz w powietrze, to burak nie wzejdzie, cukru nie wyrafinujemy i wódki na przyszły rok może od przednówka nie być.

Podmuchał od tego meteora to był taki, że zerwał mi strzechę z chlewika, rozhermetyzował go na amen, a ja tylko patrzeć mogłem, jak mi podciśnienie prosiaka na mielone przerabia. Co prawda, młody jeszcze był, krótko tuczony, to przynajmniej z tego straty nie za duże.

Całe podwórce zaprało sieczką i resztkami z koryt, a my z Chyrą (bo od razu, jak upadło, wyskoczyliśmy przed służbę) to przestaliśmy widzieć cokolwiek — fotochromy nam w hełmach oblepiło pomyje. Przy okazji zerwało trakcję, faza siadła w przetwornicach tlenowych i światło pogasło w całym obejściu i w domu. Na szczęście mam zapasowy agregat, a Chyra pomógł przewody połatać na szybkiego, bo oleju tylko tyle było, co w kanistrze. O Matkę się przestraszyłem nie na żarty, z tego wszystkiego trochę zaniemogła i jakieś miała duszności. Niedobrze, żeby teraz co było, bo Wojtek jeszcze pół roku wojska ma, a ja do pola muszę chodzić, i kto z Matką zostawać będzie?

A te 10 tysięcy to miało być na inspekty i nowy ciągnik, bo w starym padła poduszka powietrzna. A tak — przyjdzie znowu w woły orać. Poradzić sobie, poradzę, bo pewnie coś się z ubezpieczenia weźmie, ale za uprzęż tlenową dla ciołka i reduktory, i jarzmo drogo tu chcą i aż do miasta trzeba by jechać.

Ciężko się w ogóle gospodaruje na tym Tytanie. Niechby ci z Brukseli spróbowali pociągnąć skibę w tutejszej zmarzlinie. Gąsienice się ślizgają, silniki wyją na takich obrotach, że czuć przez nogi, a spod pługa ciągle ci w nos jakimś amoniakiem strzyka. A to jeszcze wszystko bierze i zamarza od razu w jakieś takie pajęczyny i bąble. Jak dobrze siurnie, to i kombinezon potrafi przymarznąć do takiej ścierwy, a wtedy bier się — saperką, siekierką, palnikiem... A ciągnik chodzi na jałowym, paliwo się zużywa.

No, ściskam Cię, Synek. Trzymaj za ojca kciuki — na przyszły tydzień agent z ubezpieczenia ma być. Postawię siwuchę, posiedzimy, pogadamy, może coś więcej przyzna odszkodowania. Matka mówi, żebyś skarpety ciepłe kładł na noc.

Synek!

Wiarę w ludzi stracę. Był tu wczoraj Hawryluk z ubezpieczeń. Wódki się napił, jajecznice ze skwarką zjadł, w łapę jemu dałem tak po cichu, ale chyba za mało, bo odepchnął mi rękę i tak mówi: „No, szwagier, pecha masz, bo tu w polisie stoi, że od powodzi, pożaru, myszy, rozumiesz, kradzieży, ale od asteroidów — nie ma takiej, rozumiesz, pozycji. — Jakiej pozycji? — ja mu na to mówię. — Przecież jeszcześmy na Starej Ziemi, w Ulkowach podpisywali tę umowę, to co tam o meteorach miało być?!” To on mi na to: „Szwagier, to trzeba było poprawić polisę, jakeście się tutaj sprowadzili. Czytać umiesz, to czytaj. Gdzie tu masz coś o meteorach?” Ja: „A tu, o, «Tytułem nieprzewidzianych wypadków losowych». To chyba podciągnąć da się, nie?” On: „To sobie, szwagier, przeczytaj w regulaminie ubezpieczeń własności rolnej. Na Tytanie meteoryt nie jest żaden nieprzewidziany wypadek. Od tego nawet osobna polisa jest”. Ja: „A ty tego — tum go trochę zelżył, aż mi teraz głupio — nie mogłeś powiedzieć mnie wcześniej, co?! Od myszy mnie ubezpieczyłeś?! A gdzie tu myszy widziałeś?!” A on: „No, tak szwagier, to ja rozmawiać nie będę! Nie dbasz o swoje, twój problem. A ja ci grosza nie zapłacę, bo kłopotów za ciebie mieć nie myślę!” Włożył skafander i wyszedł. Z żalu to się upiłem samogonem, na Matkę nacharczałem. Tyle się cieszę, że tę skwarkę to z chlewa zeszkrobaną jadł. Gadzina. Żeby udławił się.

Dobrze chociaż, że sąsiadów człowiek ma ludzkich. W przeszłym tygodniu pomogli mnie Mucha i Kowalski wysadzać ten grzyb, co to się z metanu zrobił nad burakiem. Nawet i sołtys przyszedł, dynamitu przyniósł z państwowych zapasów, mówi, że się z funduszu górniczego na jaki inny przepisze, i w ogóle, żebym się tym nie martwił. Brat Twój z wojska przepustki nie miał akurat, a Chyra czegoś w szpitalu musiał być na jakichś badaniach. No, trzy dni żeśmy z cholerą walczyli, ale poszło. Czy Ty, Synek, pamiętasz jeszcze taką skałę pod Krakowem, co Wuj Broniek na pocztówce nam kiedyś wysłał? Maczuga Herkulesa, zdaje się, to się nazywało. No, to coś takiego jakby było. Cienkie u spodu, a grube u góry. Tylko kolory ładniejsze, bo to wszystko lód z zamrożonego gazu i ślicznie światło rozszcepiał. Akurat na niebie weszły Rhea i Japet, jak się do roboty braliśmy, no i Saturn sam też pięknie świecił. Wspięliśmy się z Muchą na szczyt, a sołtys z Kowalskim asekurowali. My co jakie pięć metrów dookoła szpyły nawiercaliśmy otwory i dynamit kładli, no i na niedzielę, jak Matka do kościoła udała się, cupnęliśmy w kopcu na ziemniaki, sołtys kable do akumulatora przytknął i bum! Sam taki odziomek na jakieś półtora metra został, to już łomem poradzę. Teraz tylko zwieźć to będzie trzeba gdzieś, te kryształki, ale dookoła taka pustynia, że problemu nie ma. Sołtys tylko mówi, żeby nocą, bo on z tymi z Urzędu Ekologii ma złe układy czemuś. Co by ludzka złość nie mówiła o nim, to porządny człowiek, swoich w biedzie nie opuszcza i ja już na pewno na niego głosować będę za następny raz.

Ściskam Cię, Synek. Zostań zdrow i za nas pomódl się czasem.

* * *

Synek!

Co się tu porobiło, nie uwierzysz! Czasem sobie myślę, że Pan Bóg nas opuścił, kiedyśmy ojczyznę obcym zostawili. U Chyry chorobę popromienną orzekli. „Musi, wyłączył pan do pola bez skafandra”. — Tak lekarz do niego mówi. „Co pan! — Chyra na to jemu. — Przecież tu atmosfera mordercza, sam azot i ziąb straszliwy. I dwóch minut bym nie pociągnął!” A to tylko tak powiedział, bo każde dziecko wie, że warunki u nas takie, że to by i kilku sekund nie potrwało. A lekarz swoje: „Co mnie obchodzi, czy pan wyłączył raz na dwie minuty, czy dziesięć razy na dwanaście sekund. Fundusz Zdrowia na leczenie popromiennej choroby pieniędzy nie dał. Nie zakontraktowane. Amen. Idź pan się lepiej prywatnie leczyć, dobrze panu radzę”. Taki wściekły Chyra wyszedł, że ja jego pół nocy prywatnie leczyłem samogonem. Nic nie mówi, ale bardzo przybity. I zresztą widać, jak marnieje w oczach. A my

tu przecież wiemy, jak jest. Jak wiatr słoneczny czasem dmuchnie, to, bywa, mało głowy nie urwie, gałęzie w sadzie obłamuje, jabłonki, wiśnie, bywa, wywraca. A na takie coś to i amerykańskie kombinezony nie pomogą, co dopiero te nasze samodziały z GS-u, łąta na łącie, tu krajką obszyte, tam podklejone dętką.

Matka trochę pieniędzy wygrzebała, co je chowała na Twój powrót. Daliśmy Chyrze na prywatną wizytę, żal chłopca. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz o to.

Ściskam Cię. Modlimy się z Matką za Ciebie zawsze.

* * *

Krzysiu mój!

Straszną tu mieliśmy katastrofę. Pisałem Ci już kiedyś, że rząd miał ten pomysł, żeby metan na Starą Ziemię eksportować. Tam kryzys paliwowy, a u nas tego aż za dużo, dobrze by można z tego żyć. Sam minister infrastruktury odpowiedni gazociąg zaprojektował i będzie trzy tygodnie, jak uroczycie go otwierali. Rurociąg Partnerstwa to się nazywa. Trochę było afer przy budowie, bo ktoś odkrył, że Ruskie tam jakiś położyli przy okazji światłowód, z czego ja nic nie rozumiem, o co chodzi, bo przecież u nas tego światła niewiele, pisałem Ci, jakie nędzne tutaj plony. U nich już chyba słońca więcej. Może oni nam chcieli to światło przesyłać i jakieś pieniądze brać? W każdym razie tego w porę nie dogadali i w końcu ten kabel usunięto. A na rurociąg to ciągle jakieś podatki brali, a to w akcyzie były wliczone, a to w podymnem. No, ale w końcu zbudowali go. Z Brukseli była delegacja i nawet ktoś z tych Niemców, co teraz w Poznańskim siedzą i na Pomorzu. Była pompa, orkiestry strażackie w błyszczących kombinezonach, kompania honorowa pod tlenem, przemówienia... Poświęcili uroczycie, sam ksiądz Prymas przyjechał, no i wreszcie przecięli wstęgę. U nas ten gazociąg koło równika się zaczyna w takiej dużej rafinerii, a na Ziemi wetknęli jego w piaski na Pustyni Arabskiej i już stamtąd ciągną sobie gaz szybami. Wszystko pięknie, tylko pozawczoraj w gazecie napisali, że minister zapomniał o tym, że się Tytan obraca, Ziemia się obraca i w ogóle cały Układ ciągle kręci się i wiruje. No i ledwo napisali, zaraz cała planeta zatrzęsa się, bo ten rurociąg — a to jest taka czarna harmonijkowa rura, jak nie przymierzając do wysysania szamba, tylko ma dwanaście kilometrów średnicy — ten rurociąg zapętlił się wokół najpierw Tetydy, potem gdzieś w Saturna pierścieniach uwiązł, naprężył się i pękł. Saturn teraz jakby szczybaty (jak Kiciak, pamiętasz, po weselu Henryka miał ten ząb wybity), a naszego Tytana o mały włos z orbity nie wystrzeliło. Ziemia się trzęsa jeszcze dzisiaj w nocy, tak że spać nie mogliśmy. Matka zapaliła nawet gromnicę przed Matką Boską i odmawiała różaniec.

Ja za dużo nie miałem czasu się przestraszyć, bo zaraz po północy na stodole zerwało dachówki, znów dehermetyzacja i przez różnicę ciśnienia ziarno mi ze strychu wyszło. Tylko patrzeć mogłem, kiedy sypnęło z dziury jak z wiejalni. Strasznie mnie coś w mostku kłuło, jakżem spoglądał na to. Chwała Bogu, trochę tego zboża z ziemi da się zebrać, żeby choć z pół hektara na wiosnę obsiać.

Dziś rano mi proboszcz mówił, że ten nasz koniec rury to tak o planetę palnął i wokół niej jak ogon się owinął, że bodaj dziesięć tysięcy gospodarstw zniszczył, a z nimi ludzi mrowie i bydelka Pan Bóg do siebie powołał. Dziś wieczorem będzie w parafii msza w ich intencji, Matka mi właśnie odprasowuje kombinezon. Wiele też podobno magazynów i silosów nie istnieje, i też linii kolejowych. Znów będą kolejki na skupie, monopole się porobią. Co to będzie z nami?

Całuję Cię, Synek, i Matka też się dołącza.

PS Po mszy pogrzebałem trochę przy satelicie i udało mi się „Wiadomości” złapać na jedynce. Premier mówi, że ma do ministra infrastruktury pełne zaufanie i zmian w rządzie nie

będzie. To dobrze, myślę sobie, bo kryzys w rządzie, to zaraz ceny idą w górę wszędzie. Ściskam Cię.

* * *

Krzysiek!

Brak mi Chyry bardzo. Sam piję, jakoś do nikogo serca nie mam od czasu, jak Mucha wziął niemieckie obywatelstwo i na Śląsk wrócił. Wychodzę czasem nocą na dwór, na eternicie sobie siadę i dużo patrzę na niebo. Brak mi Księżycy. My z Twoją Matką kiedyś, jeszcze w Ulkowach, często po robocie wymykaliśmy się na pole w sierpniu, żeby na spadające gwiazdy się pogapić i właśnie na Księżyc też. Tak żeśmy w stogu kładli się i patrzyli. I nawet Matka to trochę marzyła. Że jak będziemy już razem, dorobimy się, to dzieci do miasta może pošlemy, na studia. Takie tam. I teraz, jak patrzę na te gwiazdy, niby te same, ale jakieś inne, na tę Tethys, na Saturna, co pół nieba swoimi aureolami zajmuje, to myślę, że nas chyba ktoś wykiwał. Proboszcz mówił mi, że to się zaczęło od takiej ustawy o wykupie ziemi. I że jakiś polityk nasz, jak podpisywał w Brukseli, to nie zobaczył, że ta „Ziemia” z dużej litery jest napisana, albo i nie widział różnicy. No a potem to już przez te pół wieku wykupywali. Niemcy wykupywali, Ruscy wykupili Królestwo Kongresowe, Węgrzy — góry. No i ksiądz mówi, że jak się w Sztrasburgu rzecz oparła, to taki w końcu werdykt zapadł, że myśmy się na wykup Ziemi zgodzili, to mamy cicho być, ale że wszechświat się rozszerza, a z nim Unia, to możemy sobie Tytana wziąć na kredyt. Że planetka dobra, bogata w minerały. Ja ci mówię, Krzysiek, dobrze, że w Instytucie Rolnym w Puławach odkryli te transgeniczne ziemniaki, bo inaczej z czego my byśmy tutaj żyli. Tylko gaz pozamierzany wszędzie, a spodem — metan, amoniak, cyjanowodory. I nawet do Księżycy psy nie wyją, bo tu ani Księżycy, ani psów, a jak kogo nawet stać na kombinezon dla jakiego jamnika choćby, to i tak szczekania nie usłyszysz, bo hełm tłumi. Jak bardziej się upiję, to sobie śpiewam stare piosenki, „Złoty krążek” czy „Białego misia”, na tym eternicie. Ale co to za śpiewanie, Krzysiek, mówię Ci, kiedy głos się po hełmie tłucze jak w starym wiadrze, a poza tym reduktor mi się psuje, oddech tracę i zaraz też zaczyna harą śmierdzieć w tym kasku.

Kończę już, bo spać pora. Pozostawaj w zdrowiu.

* * *

Krzychu!

Sam wiesz, ja tam Żydów nie kocham, bo nam najpierw Polskę do Brukseli sprzedali, a teraz jeszcze dopłaty do produkcji rolnej zmniejszają. Ale człowiek to człowiek i strasznie się rozzłościłem jak się o takiej jednej rzeczy dowiedziałem. Było tak. Przelatywała tu jedna kometa, co wraca do Układu raz na parędziesiąt tam, nie pamiętam dokładnie, lat. I ja się dowiedziałem, że na tę kometę, jak tu była poprzednio, to całe państwo Izrael wysłali. Żeby niby spokój tam był na tym ich Bliskim Wschodzie. Trochę było targów najpierw, ale ci Żydzi to już też chyba mieli dosyć i wszechświat się rozszerzać ma, no i przede wszystkim pewnie grubszy grosz szarpnęli za to, bo oni to, nie jak my, nie tracą na niczym. I tak jakoś, rach–ciach, przenieśli im Amerykanie Jerozolimę i Tel Awiw na tę kometę. I może by nawet dobrze było, ale najpierw stanęło jakieś weto (chyba Francji) w ONZ–ecie, a potem, dla świętego spokoju, dokwaterowali Żydom całą Autonomię Palestyńską. A żeby tylko to. Ani jednym, ani drugim nikt jakoś nie powiedział, że jak ta kometa wylatuje poza orbitę Plutona, to już zamarza na amen. Trochę było potem szumu, ale przyschło, pewnie za koncesje na ropę. A teraz ci nadlecieli znowu, odmrozili się na parę miesięcy i ślą wściekle noty do ONZ —etu, jedni i drudzy. No i ja ich rozumiem. Powiedz mi, Synek, jak tak można z ludźmi postępować?

Swoją drogą, nie zdziwię się, jak ich wszystkich zwałą nam na głowę, że niby akurat miejsca dosyć, a i klimat, do jakiego już przywyknąć zdążyli. Inna rzecz, Żydów u nas pełno nie od dziś. Sklepowa Matce mówiła w zaufaniu, że premier też jest przechrzta, że same Żydy w rządzie albo szabesgoje. No, ale może kto najpierw tamtych uprzedzi, że tu tylko metan i lód. Niech już lepiej osiadą sobie w Kraju Przywiślańskim, Ruskim na złość.

Kończę, bo jakiś nieswój dziś jestem, w mostku ciągle kłuje mnie. Ściskam.

* * *

Synek!

Coś chyba zmienić się ma. Nie wiem co, ale śniłem Ojca mojego, a Twojego Dziadka. Całkiem młody przyszedł do mnie tu, w tych Nowych Ulkowach, taki młody, jak był wtedy, kiedy pszenicę na tory wysypywali, jeszcze w Polsce. Ty to tego nie pamiętasz, ja sam dzieckiem byłem. No to przyszedł, służę przekroczył, zdjął kaszkiet. Ja dopiero wtedy jego rozpoznałem. Tak płakać chciałem, łzy, mówię Ci, Krzysiek, w oczach mnie aż szczypały. A on usiadł, taki nic nie zmieniony, wąsy czarne, policzki rumiane, wyciągnął połówkę i na ceracie postawił. Jeszcze po ścianach rozejrzał się: „Aha! — mówi — Najświętsze Serce jest, Matka Przenajświętsza jest i nawet makatka z zubrami. Wszystko tu u was po staremu”. — „Po staremu, tak, tato” — odpowiadam, a ledwo głos wydobyłem z siebie. To wtedy on głębiej się rozsiadł i zaczął opowiadać o Referendum Akcesyjnym. Jak to minister, pełnomocnik do spraw referendum, po wsiach jeździł, do wstąpienia namawiał, a w klatce rolnika z Unii Europejskiej woził i wszystkim pokazywał, jaki zdrowy i zadowolony. I jak stał ten chłop, na pazia obcięty, gęba jak księżyc, ogolony, w lakierach, z aktówką i złotym sygnetem. I jak on ulotki kolorowe rozdawał i nic tylko „ą, ę”, taki kulturalny. A wtedy zajechał na rowerze jakiś miastowy w marynarce, cały spocony, rozczochrany, zahamował, jedną nogą o bruk się zaparł, i tak krzyczy: „Ludzie, nie dajcie się oszwabić! To nie żaden Francuz jest ani Hiszpan, tylko kierownik departamentu z ministerstwa! To wszystko oszustwo!” I tu jego dwóch goryli złapało za chabety i gdzieś do samochodu zaciągnęli. A minister z Francuzem zaraz odjechali. Tylko te barwne ulotki w obcym języku jeszcze tydzień się w kałużach walały, aż kolor straciły dokumentnie.

Ja tę historię dobrze znam, bo Dziadek wiele razy mi ją opowiadał i nawet Tobie też, jak byłeś mały, może pamiętasz. Z czego widać zaraz, że to rzeczywiście Dziadek do mnie przyszedł, a nie kto inny, jakiś oszust, dajmy. Znać, coś powiedzieć chciał. I jak on skończył, to ja mówię tak: „Tata, ty tak na nogi chorowałeś, bolały cię zawsze. Czemu ty się taki kawał fatygowaleś do nas, na tego Tytana?” A on mi na to: „Franek, ja tu tylko na kwadransik do ciebie, żeby nogom dać wytchnąć i że stęskniłem się. Ale już teraz iść muszę, bo jeszcze daleko. No — mówi — zdrowi bądźcie, a Hanię ściskaj ode mnie”. Wstał i wyszedł za służę, bez kombinezonu, bez hełmu. A ja chciałem za nim biec, zatrzymać, ale jakbym wrósł w tę naszą kanapkę ze skaju brązowego, wiesz. Zbudziłem się i, stary koń, płakałem, długo nie mogłem uspokoić się, aż mi wstyd trochę. Wąsy całe wilgotne miałem. Nawet na grób pójść nie mogę pomodlić się za Ojca, Matkę, świece zapalić. Pewnie już tam zresztą Niemcy wszystko zaorali.

A teraz to nie wiem, co On powiedzieć mi chciał? Może z Wojtkiem w wojsku, co, nie daj Bóg, stało się? A może Ty wrócisz do nas niespodzianie? A może znów nam ktoś ziemię wyprzedał i przyjdzie wynosić się na jakiś inny księżyc? Matce nic o śnie nie powiedziałem, chociaż Ojciec pozdrowić kazał, i trochę mam wyrzuty sumienia. Ale ona zamartwiać się zaraz zacznie, to i nie potrzeba. Starczy, że ja się niepokoję.

Bywaj, Synek, zdrów. Niech Ci Pan Bóg sprzyja.

* * *

Krzysiu!

Dziś jest siódma rocznica Twojej katastrofy. Nawet Matka trochę wódki wypła ze mną. Długo się razem modliliśmy za Ciebie, ale ja tak myślę, że Matka to już straciła nadzieję. Częściej teraz w kościele przesiaduje niż dawniej, w nocy czasem cicho popłacze, jak myśli, że śpię, a też jak wypiję za dużo. Ale ja ciągle myślę, że jak ten Twój prom repatriacyjny uderzył w Ceres, to Ciebie, choćby i jedynego z całej rakiety, Pan Jezus dla nas zachował i że tam sobie gdzieś śpisz zahibernowany. A któregoś dnia — daj Boże, dożyjemy z Matką — to Cię ktoś odnajdzie, może Amerykanie? I wtedy całe to moje pisanie przeczytasz sobie. I wódki razem napijemy się. A Wojtka to chyba nie poznasz, bo już chłop pełną gębą, z wojska wyszedł i żenić się zaraz będzie z Chyry córką, Anitką. Bo Ci nie napisałem jeszcze, że wujkiem zostaniesz, a my z Matką — dziadkami. Najpierw bardzo się wściekłem i nawet w pysk chciałem Wojtkowi wyciąć, ale potem myślę sobie, że ta Anitka to dobra dziewczucha, a i Chyra się pewnie w Niebie uraduje. No i Matka też bardzo się cieszy. Nic nie mówi, ale i tak widzę. Trochę nam tylko smutno, że z wnuczką (dziewczynka ma być, Wioletka) nie za długo zabawimy. Bo widzisz, Synek, my chyba przeniesiemy się z Matką na Neptuna. W Gminie mówią, że tam dużo wody i hydroponiczne pomidory dobrze się udają. To w razie co, szukaj nas tam. W Jeszcze Nowszych Ulkowach. Wystarczy w sołectwie zapytać się. Bo tu to już tylko Wojtek z Anitką na gospodarce ostaną. Zostań z Panem Jezusem.

Twój ojciec

Łabędzi śpiew ministra dźwięku

Bartek Świdorski

urodził się w 1973 roku w Warszawie. Z wykształcenia socjolog, z zawodu dziennikarz i scenarzysta telewizyjny, współpracuje z firmą Fremantle Polska. Pierwsze opowiadanie SF opublikował w „Szpilkach” w 1995 roku, kolejne drukowały m.in.: „Fenix”, „Machina” i — regularnie do dziś — „Fakt” i „Nowa Fantastyka”. Za opowiadanie *Garść szwedzkich malin nominowany* do Srebrnego Globu. Wybór dziesięciu innych opowiadań wydał w roku 2002 w zbiorze pod tytułem *Mocny program*. Sztuką *Zakład* wygrał konkurs na telewizyjną nowelę kryminalną Studia Filmowego „Gudejko”.

— Kim jest ta Maryla Rodowicz? — zastanawiał się nagłos, wrzucając chleb do kanapkownicy.

— To wielka artystka — odparła poważnie Romy.

— To dlaczego na pomniku ma papugę na ramieniu i bęben przy nodze? — rzucił przez ramię. Wsunął szufladkę na dodatki, wrzucił ser, pomidor i sałatę. Zatrzasnął kanapkownicę i włączył opcję „cienko”. Romy nie lubiła grubych pajd.

— Może symbolizują ekologię i motywy afrykańskie? — głos żony dobiegał z salonu wraz z popłakiwaniem małego Kriosa. Zbliżała się pora karmienia. — Może to właśnie lansowała? Ale jeśli słuchasz wiadomości, to włącz z łaski swojej odbiornik stacjonarny. Przez te twoje kolczyki i nagłośnienie szkieletowe nigdy nie wiem, kiedy słuchasz mnie, a kiedy radia.

— Jasne, przepraszam — powiedział i cicho gwizdnął. Ustały impulsy, wprawiające w rezonans jego czaszkę, co odebrał jako głucho tąpnięcie, po którym zapadła dzwoniąca w uszach cisza.

Z otworu w kanapkownicy wysunęła się szuflada z czterema kromkami pokrytymi serem i finezyjnie pociętymi warzywami. Na wyświetlaczu pojawiły się czwórka i pulsująca ikonka pomidora, oznaczające możliwość dokładki, ale już tylko z sałatą. Wyłączył maszynę i wziął tackę.

Romy siedziała w fotelu z kwilącym Kriosem na kolanach. Odchyliła poję szlafroka, odsłaniając nabrzmiałą pierś, do której chłopiec natychmiast się przyssał. Poglaskała go po głowie i pomogła się ułożyć.

— Powoli, bo się zakrztusisz — powiedziała z uśmiechem. Spojrzała na Piotra swoimi wielkimi, zielonymi oczami, a on z trudem opanował chęć oderwania od niej Kriosa i zajęcia jego miejsca. Położył szybko tackę z kanapkami na stole i odwrócił się do okna.

Niebo nad Berlinem było bezchmurne. Pod nim jeżyły się szklane wieże, rozszczepiające słoneczne promienie w tęczowe wstęgi. Na peryferiach majaczyły człekokształtne sylwetki Tańczących Kolosów — nowe, elitarne osiedle mieszkaniowe. Piotr uwielbiał ten widok, ale spuścił ekran i w karniszu odnalazł przycisk „Wybrzeże Kości Słoniowej — Live”. W oknie pojawiła się piaszczysta plaża, palmy i topazowe morze, nad którym właśnie wschodziło słońce. Ulubiona panorama Romy. Dzięki nowemu, droższemu, abonamentowi, nie zakłócana przez reklamy.

Podszedł do regału. W jego centrum stało szare, kwadratowe pudło radia Major. Zapisane żółtymi literkami, poprzecinane złowieszczymi suwakami, z metalową antenką. Stanął przed nim i gwizdnął. Nic. Gwizdnął głośniejsze i dostał klapsa w pośladek.

— Uspokój się! — Romy pochyliła się w fotelu, odsuwając dziecko od piersi. Krios nabrał powietrza, by wybuchnąć płaczem, ale mama wprawdzie zatkała mu usta. — To nie cyfrowe badziewie, tylko odbiornik tranzystorowy. Dobrze wiesz, jak się go włącza.

Piotr niechętnie podszedł do radia i przesunął w górę jeden z suwaków, potem drugi. Z

głośnika dobiegł szum. Na chybił trafił pokręcił umieszczoną z boku gałką, wprawiając w ruch obrotową tarczę. Wreszcie złapał stację podającą serwis sportowy.

— Już po wiadomościach, możesz wyłączyć — westchnęła Romy.

— Ale...

— Ja wiem, że jeden głupek skacze dalej od drugiego, ale nie jestem ciekawa, który to — odparła sentencjonalnie. Jedną ręką przytrzymując głowę chłopca, drugą sięgnęła po kanapkę.

— Poza tym chyba musisz już iść do pracy.

— Jasne — ociągając się, zaczął manipulować suwakami Majora. Wywołał kanonadę trzasków i pisków, zanim wreszcie znalazł wyłącznik.

— Jak na faceta, kiepsko sobie radzisz — zauważyła uszczypliwie.

— Ten szajs nadaje się na złom — Piotr usiadł naprzeciw żony i wziął kanapkę. — Nie wiem, dlaczego wyjęłaś sobie kolczyki akustyczne i wydałaś na niego fortunę. Nawet nie ma pilota ani interfejsu głosowego.

Korzystając z okazji, porządkował myśli przed czekającą go audiencją. Oczywiście tam musi być bardziej powściągliwy.

— To odbiornik nowej generacji, „Piękno kształtu, prostota brzmienia” — Romy zacytowała hasło reklamowe. — Poza tym to kwestia prestiżu. Jak mogłabym zaprosić koleżankę z pracy, gdybyśmy ciągle mieli zwykłą oktafonię. Spaliłabym się ze wstydu.

Milcząc, wzruszył ramionami — odruch bezwarunkowy na słowo „prestiz”. Skończywszy kanapkę, wyjął z szafy najlepszą marynarkę i umknął do łazienki. Wolałby nie tłumaczyć Romy, dlaczego się dziś tak stroi.

— A propos, chciałam z tobą porozmawiać — rzuciła przez uchylone drzwi.

— O czym? — spytał, wkładając koszulę.

— Nasz śmigacz już się rozsypuje.

— Nie przesadzaj, ma dwa lata. Ale kupimy nowy, kochanie, jeśli chcesz — starał się, by jego głos brzmiał obojętnie. Znieruchomiał, nasłuchując, co odpowie.

— Kupimy, ale coś innego. Nie możemy się tłuc byle czym.

Powiedziała „możemy”! Mimo że Krios kończył rok, Romy dalej chce inwestować w ich związek. Może podpiszą nową dwuletnią „rozplódówkę” albo... Bezterminowy Kontrakt Małżeński? Byłby jej pierwszym długoterminowym partnerem. Ojców swych starszych dzieci pożegnała, jak tylko wygasły „rozplódówki”. Oczyma wyobraźni zobaczył świetlaną przyszłość, w którą wejdzie z tą wspaniałą kobietą. On ją kochał i ona chyba też go kochała. Poczul podniecenie, które jednak zaraz wyparły wątpliwości, dręczące go od roku. Pragnie jego czy kolejnego dziecka? Dziecka czy awansu?

Nagle zdał sobie sprawę, że zawiązał krawat na supeł. Próbował go rozplatać, ale pętla tylko zacisnęła się na jego szyi. Uduszony własnym krawatem — piękna śmierć dla urzędnika państwowego. Parsknął śmiechem i trochę się rozluźnił. Rozplątując węzeł, przeszedł do salonu.

— Na moim stanowisku nie wypada śmigać sobie w powietrzu jak jakiś wróbelek — ciągnęła pieszczotliwie Romy, nachylając się nad Kriosem. Ale chłopiec już spał, cicho pochrapując. Ostrożnie odstawiła go od piersi i położyła na sofie. Owinęła się szlafrokiem i z apetytem zabrała do kanapek. — Potrzebujemy solidnego pojazdu. Dużego, nowoczesnego, reprezentacyjnego — wyliczała z pełnymi ustami.

— Czuję, że masz coś na oku — rzucił Piotr, wciągając spodnie.

Uśmiechnęła się i sięgnęła do kieszeni szlafroka. Podała mu kolorową broszurkę.

— Ten wydaje się w sam raz. Przejrzyj to.

— Jasne — nachylił się, by pocałować żonę w czoło. Ale cofnęła głowę i zetknęli się ustami. Miała słony język, pokryty okruszkami chleba.

— Wróc dziś wcześniej, ułożymy dzieci do snu — uśmiechnęła się, szczypiąc go w pośladek.

— Oczywiście — zapewnił. Hormonalny koktajl Mołotowa, buzujący w ciele żony, wybuchał w najmniej oczekiwanych momentach. Pośladki miał obolałe od podszczypywania. Uwypuklające je stringi, które mu kupiła na urodziny, piły go w biodro. W łazience przyglądał krawat i przesunął ręką po policzku. Postanowił zostawić jednodniowy zarost — krzepiący, męski akcent. Założył elegancką marynarkę i szybko przeciął się.

— Pa — rzucił i wyszedł. Na korytarzu wyjął z kieszeni prospekt.

Przedstawiał niebieską, nieforemną bryłę. Toporny sześcian na czterech kółkach, o kantach i zaokrągleniach polepionych na chybił trafił.

Metaliczny lakier błyszczał różowo na tle zachodzącego słońca. Podpis głosił: „Polonez. Duży może więcej”.

* * *

Śmigacz miękko osiadł na dachu Ministerstwa Dźwięku. Piotr wyłączył radio, piłujące psychodeliczny utwór o wariatce, która ciągle tańczy. Zazdrościł słuchaczom nie znającym polskiego. Dziwaczny tekst spotęgował treść, wywołaną perspektywą audyencji. Zrezygnował z autopilota i sam wprowadził pojazd do wolnej zatoczki. Na ścianie parkingu wciąż widniało graffiti: „Keiser Lescheck — € — entusiast”. Piotr zastanowił się, co jest dziwniejsze: obecność opozycji w gmachu rządowym czy niechlujstwo porządkowych, którzy od poprzedniego dnia nie zamalowali wywrotowego napisu. Będzie musiał zawiadomić ochronę.

Zjechał windą na piętro -2 i ruszył pustym korytarzem do swojego gabinetu. To znaczy gabinetu szefowej, ale po pół roku zastępowania jej czuł się tu jak u siebie. Zamknął drzwi, a ekran w oknie automatycznie wyświetlił jego ulubioną, trójwymiarową panoramę Berlina, transmitowaną ze szczytu wieżowca. Podszedł do niej i spojrzał „w dół”, na od dawna nie używane ulice, ponownie upstrzone przez kolorowe, powolne pojazdy kołowe. Podobnie place zabaw, na których w dzieciństwie zwykle bawił się sam, teraz pękały w szwach. Wzruszył ramionami i usiadł przy biurku.

Audyencję wyznaczono na 9.30, nie miało więc sensu uruchamianie terminalu. Odblokował koleczyk w lewym uchu i dwoma gwizdnieniami włączył cichą muzykę. Jeszcze raz zrobił w pamięci przegląd swoich ostatnich raportów i zastanowił się, który z nich mógł zwrócić uwagę prezydenta. Odkąd zaczął pracę w Ministerstwie Oddźwięku Społecznego — w skrócie: Ministerstwie Dźwięku — napisał ich setki, z ankiet, focusów, symulacji i uśrednionych próbkowań, które przeprowadzał jego dział. Ostatnie dotyczyły recepcji nowych, wprowadzanych na rynek technologii, i coś mu mówiło, że uwagę prezydenta zwróciły obszernie komentarze, jakie zaczął do nich dołączać.

Fakt, że mógł napisać coś, o czym prezydent sam nie pomyślał, napawał go zarazem dumą i lękiem. Był geniuszem, czy system przeżywa jakiś kryzys? Wiele wskazywało na to drugie, ale wciąż nie mieściło się w głowie, że cyberprezydentura ma słabe punkty. A przecież w najlepszym razie ta seria ewidentnie błędnych projektów i decyzji skończy się kompromitacją na arenie międzynarodowej. W najgorszym — zapóźnieniem i osłabieniem, które wyda nas na łaskę sąsiadów. W myślach powtórzył jeszcze raz słupki, wskaźniki i indukcję, które doprowadziły go do powyższych tez.

Tylko czy przejdą mu przez gardło przed obliczem prezydenta? Przełożonego przełożonego jego przełożonej. A przecież człowiek, który go dziś wezwał, górował nad nim nie tylko stanowiskiem. Czy wyjawi swoje refleksje ekonomiczne ekspertowi w tej dziedzinie, który podźwignął z zapaści cały kontynent? Czy ośmieli się dzielić politycznymi uwagami z politykiem, który paroma posunięciami zdyskredytował parlament i zastąpił go jako pierwszy prezydent Europy, centralizując władzę niczym Cezar? Czy rzuci w twarz krytykę społeczną największemu socjologowi, który dokonał przewrotu demograficznego,

sprawiając, że z najszybciej starzejącego się społeczeństwa świata staliśmy się najbardziej rozwojowym? To dzięki niemu jesteśmy światowym liderem w wyścigu kosmicznym, sztuce, budownictwie, elektronice, produkcji śmigaczy i wszystkiego, co istotne. No i radia Major. A także samochodu Polonez. Oraz ciągnika Ursus. A nie było wątpliwości: wszystkie te urządzenia wyprodukował sektor państwowy, pozostający pod jego absolutną kontrolą. „Panie prezydencie, wypuszcza pan bubel na rynek. I te kretyńskie pomniki. Dylan, Lenon — zgoda. Ale kim, do cholery, jest Maryla Rodowicz?” Z pewnością będzie musiał ująć to inaczej.

Jednym uchem wyłowił kobiecy głos za ścianą. To pewnie Susan, personalna, która właśnie wróciła z urlopu macierzyńskiego i chyba szykowała się na kolejny (albo zaczęła tyć). Piotr gwizdnięciem wyłączył muzykę i odruchowo nacisnął guzik pod blatem, uchylający dźwiękoszczelny ekran. Ściany w gabinecie jego szefowej kryły parę usprawnień, którymi — nie bez lekkiego zażenowania — bawił się w wolnych chwilach.

— Tak, to już pewne, mam wynik testu — mówiła Susan. A jednak! — No widzisz... Dawniej czepiali się, że robimy kariery przez łóżko... Masz rację, teraz też, tyle że małżeńskie. Ale ja sto razy wolę to. Wiesz, co mówili o mnie w pierwszej pracy? Że zrobiłam więcej lodów niż Algida.

Ha, ha, ha. Wtedy mnie to tak nie bawiło. Oczywiście, to bzdura. Gruba przesada. A nawet gdyby — nic by z tego nie wynikło. Teraz przynajmniej masz to zagwarantowane ustawowo.

Rozległo się pukanie.

— Proszę — rzucił Piotr. W drzwiach stanęła asystentka jego szefowej, Abril. Przyciskiem wygłuszył ścianę, ale chyba i tak wiedziała o jej szpiegowskich właściwościach. Trzydziestoletnia Hiszpanka знаła wszystkie sekrety firmy. Chyba po raz pierwszy widział ją zdziwioną. Ale poufność dzisiejszej audiencji dotyczyła także jej.

— Przyszły do pana dwie... — zacięła się.

— Kobiety w czerni? — dokończył. Szybko kiwnęła głową. — Wszystko w porządku, Abril.

Wstał i wyminął ją, odruchowo zachowując przepisowy, półmetrowy dystans. Nigdy nie wiadomo, co strzeli do głowy Abril, której mógł się znudzić status sekretarki. Zwłaszcza że miałyby świadków. Kogoś więcej niż biernych świadków „molestowania seksualnego”, jak się domyślał.

Stały w jej gabinecie ramię w ramię — wysokie, barczyste, blade. Drobną Hiszpanką sięgała im do pasa, Piotr — do umięśnionych ramion, pokrytych służbowymi tatuażami. Sukienki typu „mała czarna” odsłaniały długie nogi w pończochach, zakończone czarnymi szpilkami. Jedna stała nieruchoma jak manekin, druga, żując gumę, z góry spojrzała na Piotra, opuszczając okulary przeciwsłoneczne. „I ty, takie zero, ujrzysz prezydenta?” — pytało jej ironiczne spojrzenie.

— Piotr Capinski? — upewniła się zachrypniętym głosem.

— Zapendowski — poprawił ją machinalnie.

Manekin drgnął, spojrzał w notes i kiwnął głową. Ta w okularach otworzyła drzwi na korytarz i skinęła na Piotra. Pomachał ręką przejętej Abril. Kompetentnej, ale bezdziejnej — może bezpłodnej? — biedaczce, wraz z mężczyznami dyskryminowanej przez obowiązujący system awansu. Zrobiła znak krzyża, co rozładowało sytuację i wreszcie starło z jej twarzy idiotyczne przerażenie.

Pustym korytarzem ruszyli do windy. Miarowy stukot obcasów i czujne spojrzenia, od których mrowił go kark, peszyły Piotra. Ale widok znajomych wzorów i plam na dywanie powoli odprężył go i stres przeszedł w podniecenie. Czuł przedsmak majestatu władzy, przed którą za chwilę stanie. Czuł się jak prawdziwy VIP. Czar prysł w windzie, gdzie „Manekin” bezceremonialnie odwrócił Piotra do drzwi. Usłyszał stukanie konsoli i winda ruszyła w dół. Zdziwiło go to z dwóch powodów: zakładał, że polecą śmigaczem, ale przede wszystkim —

był pewien, że pracuje na najniższym poziomie wieżowca. A tu winda zjechała ze trzy piętra, aż na wyświetlaczu ukazał się zagadkowy „X”. Rozsunęły się drzwi i wyszli na korytarz, wyłożony czerwonym dywanem. Nagle podłoga uciekła mu spod nóg i stracił równowagę. Jego posiniaczone, seksualnie molestowane pośladki dzielnie przyjęły kolejny cios. Bardziej zabolął go śmiech, który usłyszał za plecami. Pod jego pachy wsunęły się ręce i uniosły go w górę. Dywan był ruchomy. Metrowej szerokości pasy posuwały się szybko w jedną i drugą stronę wąskiego, mrocznego korytarza, niknąc gdzieś w dali.

— Możesz iść? — spytała kobieta w okularach, gdy stanął. — Tak byłoby szybciej.

Zrobił parę chwiejnych kroków, wreszcie złapał rytm i przyspieszył.

— Idziecie? — rzucił przez ramię. — Bo nie znam drogi.

Obejrzał się. Pochylone do przodu walkirie, jeszcze potężniejsze i szybsze w niskim tunelu, wyglądały jak wielkie, czarne ptaki. Gdy jedna wyprzedziła go, szelest materiału zabrzmiał jak łopot skrzydeł. „Odwrót odcięty” — pomyślał, spoglądając na drugą, która została z tyłu.

Parę skrzyżowań dalej znowu wsiedli do windy, gdzie kobieta ponownie wystukała tajemniczy kod, podczas gdy Piotr badał fakturę aluminiowych drzwi. Podjechali z pięć pięter w górę i wyszli na obszerny hol. Ciężkie kotary, marmurowa posadzka i kryształowy żyrandol kojarzyły się z barokowym pałacem. Ściany zdobiły seledynowe tapety w drobne lilie. Między kolumnami pysznił się złoty posąg Ludwika XIV — Króla Słońce. Dopiero on uświadomił Piotrowi, gdzie się znajduje.

Kobiety wzięły go pod ręce — trudno orzec, czy był to element ceremonii czy dowcip — i ruszyły w stronę okna. Za nim roztaczał się ogród z fontannami i labiryntem alejek. „Ekran” — domyślił się. Już miał uderzyć go nosem i próbował się zatrzymać, ale na jego łokciach zacisnęły się umięśnione ramiona. Zamiast ciosu oszołomił go błysk, szum i... nagle znalazł się po drugiej stronie. Skołowany spojrzął za siebie. Kobiety skłoniły się głęboko i zrobiły krok w tył. Kremowa ściana, nakrapiana błyszczącymi lampkami, wchłonęła je z cichym szelestem. Gdy znikły czubki czarnych pantofli, Piotr przetarł oczy. Wyciągnął rękę, by dotknąć magicznego ekranu i jego palce zanurzyły się w nim jak w gęstej pianie.

— Pole fotonowe — odezwał się czyjś głos. — Jeszcze się pan nacieszy, wkrótce wejdzie na rynek.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z prezydentem.

— Dzień... dobry — wyjąkał.

Głowa państwa spoczywała na pulpicie, okolona suwakami, gałkami i wskaźnikami. Była odcięta u nasady szyi. Piotr spojrzął na złączenie ciała i maszyny i przyjrzał mu się dokładnie, by już więcej nie patrzeć. Tam, gdzie zwykle zaczynają się barki, skóra szyi wpuszczona była w blaszaną obręcz. Rury, kable i cały system podtrzymujący życie pozostawał niewidoczny, ale wrażenie i tak było piorunujące. Podkreślał je przyjazny uśmiech, malujący się na pobrużdżonej twarzy cyborga.

Gęste, siwe włosy zaczesano do tyłu i zebrano na czubku głowy. Spojrzenie jasnoniebieskich oczu i uniesione kąciki wąskich ust wyrażały życzliwe zainteresowanie, wydające się nie na miejscu w tej tragikomicznej scenarii.

„Mój Boże — pomyślał Piotr — gdyby Balcerowicz był bardziej medialny, zawojowalibyśmy świat”.

Ale taka była wola cyberprezydenta. Przed nim wielu polityków wspomagało się poprzez złącze, integrujące z komputerową siecią administracyjną. Leszek Balcerowicz, dziewięćdziesięciolatek w momencie objęcia prezydentury, podczas jednej z takich sesji dostał wylewu krwi do mózgu. Technicy błyskawicznie przełączyli komputer na funkcję podtrzymywania życia, by stymulował połączenia nerwowe i krążenie. Odłączenie było chwilowo niemożliwe. Gdy prezydent ocknął się i dowiedział o swoim położeniu, dostał zawału. Potrzebna była szybka decyzja — ryzykowna reanimacja całego ciała albo odłączenie

ułomnego, starego korpusu, by uratować mózg. Balcerowicz podjął ją z właściwą sobie stanowczością i trzeźwością umysłu: „Jestem głową państwa. Po co mi ciało?”

„Państwo to ja” — mógł powiedzieć dziś. Metafora Ludwika XIV w ustach cyberprezydenta brzmiała niepokojąco dosłownie. Sprzężony z terminalami administracyjnymi w całym kraju, sprawował nad nim niemal absolutną kontrolę. Przeniósł stolicę Unii do Berlina, pozostawiając w Brukseli marionetkowy parlament, zablokowany nie kończącymi się obradami, posiadający śladowe poparcie społeczne. Lud zaś go wielbił i popierał całym sercem. To jemu zawdzięczał swój obecny dobrobyt, wszystkie zmiany na lepsze były efektem jego wcześniejszych reform jako ministra gospodarki lub już niczym nie skrępowanych decyzji jako prezydenta. Łączył intuicję, wybitny umysł i zasoby komputerowej sieci w polityczną biomaszynę, zarządzającą sprawnie i skutecznie. Pozostał przy tym politykiem o czystych rękach — wszak nie miał dłoni, którymi mógłby brać łapówki, ani ciała, spragnionego fruktów władzy. Był przywódcą prawie idealnym. Europejczycy nigdy nie pożałowali swojego „tak”, które powiedzieli mu w referendum.

Tylko w jednej kwestii intuicja od początku zawodziła Balcerowicza — w kontaktach z mediami. Mógł zafundować sobie normalne ciało młodego mężczyzny — ofiary wypadku, ewentualnie człekokształtny korpus robota. Ale wolał pozostawać „głową na komputerze”. „Tylko tak mogę służyć obywatelom 24 godziny na dobę” — mawiał. Upiornej scenerii swojego gabinetu o ścianach wyłożonych migoczącymi lampkami, które teraz dekoncentrowały Piotra, przypominając scenierię statku kosmicznego ze starych filmów SF, nie ukrywał nawet podczas wystąpień telewizyjnych. Gdy osadzona na pulpicie głowa zaczynała mówić, matki wypraszały z pokojów dzieci. „Na żywo wygląda to jeszcze gorzej” — pomyślał Piotr.

— Czy wiesz, że pracujesz w kluczowym resorcie? — z rozmyślań wyrwał go głos prezydenta. Brzmiał normalnie, chirurdzy pozostawili mu „oryginalne” struny głosowe. I mówił po polsku, w ojczystym języku obydwu.

— Słucham? — spytał Piotr, bo umknął mu sens pytania.

— Wsłuchiwanie się w oddźwięk społeczny to kluczowa sprawa przy wprowadzaniu reform — ciągnął prezydent. — Nauczyłem się tego dawno temu. Na błędach, niestety — westchnął.

Tak to przynajmniej brzmiało — jak westchnienie. Piotr zastanowił się, skąd się bierze powietrze, umożliwiające głowie mówienie i wdychanie. Przypatrzył się ustom, ale nie miał pewności, czy biorą także wdechy.

— Czy mógłbyś mnie podrapać w ucho? — zapytał nagle prezydent. — Chyba komar mnie ugryzł.

Piotr osłupiał z przerażenia.

— Żartuję, mój chłopcze — powiedział zimno, z twarzą pozbawioną wyrazu. Trudno było oprzeć się wrażeniu, że oto doszedł do głosu mechaniczny pierwiastek jego osobowości. Ale już po chwili ciepły uśmiech przywrócił kwadratowej twarzy człowieczeństwo. — Doprawdy nie wiem, który z nas jest cyborgiem, skoro to ty się zawieszasz.

— Przepraszam — bąknął Piotr.

— Nie szkodzi. A na marginesie: nie mam nerwów podskórnych, więc nic mnie nigdy nie swędzi i nikt nie musi mnie drapać. Nie ma tu też insektów, z tego co wiem. Jeśli masz inne pytania, to wal śmiało, słyszałem niejedno.

— Jeszcze raz przepraszam, panie prezydencie — Piotr odkasznął w zwiniętą rękę. — Ta wizyta to dla mnie zaszczyt równie wielki, co nieoczekiwany.

— Ale chyba domyślasz się, dlaczego cię zaprosiłem?

Piotr uśmiechnął się, słysząc taktowny eufemizm zamiast „wezwałem”.

— Zapewne chodzi o moje raporty z badań nad recepcją nowych technologii — odrzekł, odgadując, że pora przejść do rzeczy. I zamarł. Bo głowa poruszyła się do przodu, jakby

miała za chwilę spaść i potoczyć się po podłodze. Na szczęście wróciła na miejsce, by zaraz poruszyć się raz jeszcze. Odetchnął z ulgą — cyborg po prostu twierdząco kiwnął.

Czym jeszcze go zaskoczy?

— Wykazuję w nich niewspółmierność między pozytywną recepcją pewnych towarów a ich rzeczywistą wartością — mówił dalej, patrząc w bok.

— „Rzeczywista wartość” — prychnął prezydent. — A co to takiego?

— Dla urządzeń może to być poziom zaawansowania użytej technologii — odparł Piotr, wieszając sobie refleksu. Nabrał powietrza i poszedł za ciosem. — Panie prezydencie, tak zwane urządzenia nowej generacji, produkowane w powołanej przez pana firmie Unitra, to w epoce nagłośnień szkieletowych technologiczny skok o jakieś sto lat. Skok w tył.

— No, teraz trochę przesadziłeś. Raczej osiemdziesiąt — sprostowaniu towarzyszył uśmiech.

Piotra zatkało. Może powinien coś powiedzieć, ale postanowił poczekać na odpowiedź.

— Darujmy sobie powtarzanie tez z raportu, który znamy obaj — cyborg pogardliwie wysunął kanciastą szczękę. — Nie ma sensu zastanawiać się nad prawdziwością czy wagą twoich odkryć. Założmy roboczo, że są bezsporne. Chciałem cię spytać wobec tego, jak to możliwe, że tylko ty na to wpadłeś.

— To nie do końca prawda — zaprzeczył szybko Piotr. — Z tego co wiem, Ministerstwo Rolnictwa oprotestowało wprowadzenie na rynek traktorów Ursus i kombajnów Bizon. Specjaliści wykazali, że zastąpienie nimi obecnych maszyn trzykrotnie obniżyłoby wydajność z hektara. A te urządzenia zaliczyłbym do tej samej rodziny, co produkty Unistry.

Głowa przytaknęła. Za drugim razem wyglądało to prawie naturalnie.

— To naprowadziło mnie na pewną teorię, której nie ośmieliłem się umieszczać w raporcie — ciągnął Piotr.

— Tu możesz mówić śmiało — twarz rozjaśnił zachęcający uśmiech.

Piotr czuł się jak pokerzysta, który stawia wszystko na jedną kartę.

Stanowisko, perspektywy, ba — może nawet wolność.

— Rolnictwo to ostatni resort, w którym dominują mężczyźni — zaczął. — A oni nie pozwalają sobie wciskać sprzętu wątpliwej jakości.

Natomiast w większości domów rządzą dziś kobiety. Zarabiają więcej, cieszą się wyższym statusem społecznym. A one bezkrytycznie przyjmują tak zwane nowinki techniczne i lansującą je propagandę. Stąd sukces produktów RTV Unistry, które są de facto archaicznym buble, jak sam pan zresztą przyznał.

No i już, stało się. O jedno mógł być spokojny — o rodzinę, której głową i tak była Romy. Poradzą sobie bez kontraktowego tatusia, zdegradowanego za brawurę i lekkomyślność.

— Nie powiedziałem „buble” — zauważył chłodno prezydent. — I z tą dominacją kobiet też chyba przesadziłeś.

— Przy zachowaniu obecnego systemu awansu — jedno dziecko, jeden szczebel w hierarchii służbowej — oraz przeciętnego wskaźnika narodzin, za sześć lat wszystkie stanowiska kierownicze w sektorze państwowym będą sfeminizowane — wyrecytował Piotr, chowając się za zasłoną liczb.

— Jak to liczyłeś?

— Na standardowym Corelu i rzeczywistych danych z mojego biura, które potem rzutowałem na sąsiednie, przykrawając do ich specyfiki. Później dane z całego Berlina odniosłem do innych miast, potem regionów, wciąż nakładając lokalne uwarunkowania. Po zsumowaniu dostałem symulację z marginesem błędu równym 0,2%.

— Pomysłowe.

— Nie wiem, czy się gdzieś nie pomyliłem — zastrzegł Piotr.

— Nie, sprawdziłem to przed chwilą — odparł cyborg. — Ale powiedz: czy to takie straszne?

Teraz już naprawdę musiał ważyć słowa.

— Oczywiście, nie.

— Bo wszystkie kobiety są na macierzyńskim, a decydują i tak faceci?

Piotr uciekł wzrokiem na migoczącą ścianę. Boże, gdyby któraś z tych lampek sygnalizowała, kiedy prezydent go podpuszcza...

— To pan powiedział — odparł ostrożnie. — Ale nawet jeśli tak, to sama dysproporcja w rozkładzie dochodów ze względu na płęć może być niebezpieczna. I jest — właśnie dostaliśmy pierwszy sygnał.

Prezydent zmarszczył czoło i utkwił w rozmówcy badawcze spojrzenie. W niebieskich oczach kryła się inteligencja wybitnego ekonomisty i coś jeszcze — terabajty komputerowej pamięci, wiedza i moce obliczeniowe, które rozsadziłyby czaszkę normalnego człowieka. Piotr poczuł się bardzo mały. Jak mógł kwestionować decyzje kogoś takiego?

— Domyślam się, co widzisz, patrząc na mnie — powiedział wreszcie prezydent. — Maszynę z nietypowym interfejsem komunikacyjnym.

W najlepszym razie: gadającą głowę.

Piotr zaprzeczyłby, ale nie śmiał przerywać. Siwa głowa pochylila się. Z kucyka wysunął się kosmyk i opadł na twarz. Czy powinien go podpiąć? A może wezwać kogoś?

— Ale byłem kiedyś młody — prezydent powiedział prawie szeptem. — Kochałem, uprawiałem sporty, cieszyłem się życiem. Raz nawet wagarowałem. „Był czas, gdy łąki, rzeki, gaje, ziemia i wszystko, co mi w oczach stało, w boskiej poświacie się topiło. Świeżego, wspaniałego snu”. To Wordsworth, *Wspomnienia z wczesnego dzieciństwa*. Mam tu pod ręką dowolny cytat — to jedna z paru zalet mojego obecnego stanu — uniósł głowę i uśmiechnął się gorzko. — Ale tamten świat powraca w marzeniach, snach. W warszawskich estakadach widzę elementy Trasy Łazienkowskiej, której powstawanie śledziłem. Powraca duma i napięcie, z jakim wsiadałem do swego pierwszego poloneza, czego nie dała mi już żadna lancia. Teraz to... marzenia ściętej głowy.

Które chyba wymykają się spod kontroli.

Głowa przekręciła się i prezydent dmuchnął z wprawą. Kosmyk wpadł za ucho.

— W systemie nie ma żadnych zabezpieczeń? — bąknął Piotr, by przerwać niezręczną ciszę. Ale zaraz pożałował, bo pytanie zabrzmiało grubiańsko.

— Polikwidowałem wszystkie. Przeszkadzały mi myśleć. Były jak cenzor, który ciągle zagląda przez ramię. Całą dekadę radziłem sobie bez nich, ale chyba zacząłem się starzeć. Ludzka rzecz. Co zrobić?

Piotr czuł doniosłość chwili, tym razem pozwolił więc wybrzmieć ciszy. W końcu zebrał się w sobie.

— Może należałoby wycofać z rynku Unitrę? — rzucił niepewnie.

— Kampanię reklamową tak, firmę nie — odparł prezydent. — Niech wypuszcza ten „archaiczny bubel”, jak powiedziałaś, dla koneserów. Pomoże nam odnaleźć się w tak szaleńczo zmiennym świecie.

Skoro powiedział A, wolno mu dodać B.

— A co z awansami macierzyńskimi?

Mięśnie na prezydenckiej szczęce napięły się, oczy zwężyły pod zmarszczonymi brwiami.

— Jeśli kwestionujesz i to, to bardzo się na tobie zawiodłem. Skoro lubisz symulacje, to weź dane demograficzne sprzed mojej kadencji i sprawdź, co by z nas zostało bez tej reformy. Następne pokolenie po prostu by się nie urodziło. Zmieniliśmy śmiertelne hasło „Dziecko albo kariera” na życiodajne „Dziecko równa się kariera” i mechanizm zaskoczył. Odrodził się wymierający gatunek ludzi wykształconych i pracujących. Nic nie jest ważniejsze od tego. Wydawało mi się, że poprzedziliśmy to akcją afirmacyjną, która uświadomiła wszystkich. Najtwardsi macho i szowiniści zrozumieli, że chodzi o biologiczne przetrwanie. Jeśli nie Europy, to naszej rasy.

— Ależ oczywiście — odparł szybko Piotr. — Ale z doświadczenia wiem, że istnieje optymalna liczba potomstwa i po dziesięciu latach trwania obecnego systemu wiele kobiet ją przekroczyło.

— Wybacz osobiste pytanie: masz na myśli swoją żonę? — albo Piotr majaczył, albo prezydent mrugnął okiem. — Krios to imię czwartego tytana z greckiego mitu, prawda? A Gaja wydała ich sześciu, jeden silniejszy od drugiego. Może nie powinienem się wtrącać, ale nie mam wpływu na fakt, że przewalają się przeze mnie wszystkie dane. Wiem, że z żoną wiąże cię tylko Dwuletni Kontrakt Małżeński. „Rozplodówka”, jak ją nazywacie.

Piotr poczuł wstyd i złość. Nagle uświadomił sobie, że nie poproszono go, by usiadł, mimo że pod pulpitem leżały złożone krzesła. Rozstawił nogi, bezwiednie przyjmując pozycję obronną.

— Dla Romy dzieci nigdy nie były produktem ubocznym kariery — odparł, z trudem opanowując głos. — Jest świetną matką.

— Aha, to trochę komplikuje sprawę — zagadkowo powiedział prezydent. — A jednak masz jakieś obawy.

Piotr żałował, że w ogóle poruszył temat macierzyństwa.

— Być może piątemu dziecku nie da tego samego, co pierwszemu — zmusił się, by ciągnąć obojętnie, ale zabrzmiało to jak skarga. — Nie mówiąc o zamieszczeniu w firmie, które wywoła kolejnym awansem, szkoleniem, urlopem. Ona i rzesze jej koleżanek.

— Co więc doradzisz, Wujku Dobra Rada?

Piotr wołał nie wnikać w dziwny drugi człon pytania, skupił się na pierwszym.

— Powiedzmy, że co drugie dziecko awansuje jego ojciec. Kto powiedział, że tylko kobiety umieją opiekować się dziećmi?

— Sprytnie.

— Ciągłe mielibyśmy przyrost, ale system stanąłby na nogi — kontynuował, nie zrażony sarkazmem cyborga. — Uniknęlibyśmy w przyszłości kazusu Unity. Na pewno dotarły do pana informacje, że Unia Arabska opanowuje nanotechnologię, a Stany Zjednoczone kriotechnologię, Chiny opracowują system sprzęgania ludzi z komputerem w celu tworzenia kolektywnej świadomości. W tej sytuacji nie możemy pozwalać sobie na chybione inwestycje.

— Obawiam się, że poruszyłeś dwie osobne sprawy — podsumował prezydent. — Pierwsza to struktura zatrudnienia i koncepcja drugiego etapu reformy demograficznej. Nawiasem mówiąc, brzmi to sensownie. Zwłaszcza z punktu widzenia niektórych ojców. Ale kwestia pomyłek technologicznych to inna rzecz. Obawiam się, że zwiększenie liczby facetów, szefów, nie rozwiąże problemu. Fakt, że nie ja, a ty dostrzegłeś zagrożenie, jest dla mnie symboliczny. Nie zaprzeczaj. Widzę tu dwa rozwiązania. Pierwsze: ograniczenie mojej suwerenności przez przywrócenie „bezpieczników” w oprogramowaniu nie wchodzi w grę. Nie chcę tego. Drugie: wprowadzenie do systemu nowej osoby. Widzisz, nie tylko Chińczycy z tym eksperymentują. Wiadomo, co dwie głowy to nie jedna. Potrzebuję prawej ręki czy raczej — prawej głowy.

Piotr otworzył usta.

— A myślałeś, że po co ci to wszystko mówię — ciągnął prezydent z lekkim uśmiechem. — Obserwuję cię od dawna. Spozrzegawczy, szybki i przede wszystkim: nie boi się myśleć. Wali prosto z mostu, po polsku.

Piotr odruchowo dotknął szyi i zrobił krok w tył.

— Oczywiście, jesteś przywiązany do swego ciała — prezydent ironicznie przechylił głowę. — Ale to minie po czterdziestce.

Piotr dotknął ściany. Twardo. Gdzie się podziała wnęka, którą wszedł? Przesunął się w bok i natrafił ręką na krawędź ściany. Odwrócił się i...

...stanął twarzą w twarz z kobietą, tym razem w białym kitlu. Przejście było otwarte, ale

blokowała je swym zwalistym ciałem. Nastroszone włosy przetykały pasma siwizny, w uniesionej dłoni błyszczał skalpel.

— Chodzi ci o seks? — za plecami słyszał głos prezydenta. — Będiesz go miał pod dostatkiem. Jedzenie, picie, masaże, nawet latanie — to tylko kwestia software.

Piotr chciał się odwrócić, ale nie mógł się ruszyć, jak w koszmarnym śnie.

— Jest takie opowiadanie, *Odpowiedź* Fredericka Browna — ciągnął prezydent. — Ludzie budują w nim superkomputer, by zadać mu jedno pytanie: „Czy istnieje Bóg?” Odpowiedź brzmi: „Teraz już tak”. Coś w tym jest. Uczucia, kiedy cię podłączają i stopniowo rośnie twój umysł, nie da się z niczym porównać.

— Teraz tego nie rozumiesz, ale to dla twojego dobra — nagle odezwała się kobieta. Miała niski, miękki głos i też mówiła po polsku. Wyciągnęła rękę w gumowej rękawiczce. — Nie poznasz mnie?

Wyglądała dziwnie znajomo. Ale błysk skalpela odwrócił uwagę Piotra od jej pomarszczonej twarzy. Ostrze powoli zbliżało się do jego szyi, a on nie mógł uciec. Gdy zatopiło się w niej, nie poczuł bólu. „Szok” — pomyślał. Serce zamarło mu w piersi, a kolana ugięły się. Czuł, że odpływa, gdy nagle usłyszał śmiech. Otworzył oczy. Twarz kobiety falowała, a na krawędziach rozpadała się na mikroskopijne piksele.

— Ha, ha, znowu cię nabrałem!

Powoli odzyskiwał władzę w nogach. Obrócił się i tępo spojrzął na prezydenta. Ten odrzucił głowę do tyłu, wydatna grdyka skakała w górę i w dół.

— Przepraszam, ale miałeś taką minę... — powiedział wreszcie.

— Co... co to było? — wyjąkał Piotr.

— Scena z mojej ulubionej komedii, z *Seksmisji*. Odtworzyłem ją w polu fotonowym. Nabrałem cię, co?

— Życie stanęło mi przed oczami — stwierdził Piotr. — I... nie było takie złe.

— Wiem — stwierdził prezydent, poważniejąc. — Nikt ci go nie odbiera. Jak mogłeś mnie o to posądzić? Na razie wystarczy wszczęcie przystawki i złącza. Będę cię potrzebował dwa, trzy razy w tygodniu, jeśli oczywiście się zgodzisz.

— Będę wracał do domu, do żony? — Piotr spytał machinalnie, obracając się. Pole znów wyświetlało nie istniejącą konsolę, ale na wszelki wypadek zapamiętał położenie wnęki.

— Powinieneś spytać: ile za to dostanę? Ale oczywiście, poza tym miejscem będziesz funkcjonował normalnie. I wracał do żony, skoro nie wyobrażasz sobie życia bez niej.

— A ile za to dostanę?

Prezydent uśmiechnął się i zamyślił.

— O, widzę, że twoja obecna pensja wymaga pewnej korekty. Nisko cenimy zdolnych socjologów. Właśnie dodałem jedno zero.

— Dziękuję — Piotr skłonił się, zaskoczony.

— Będziemy musieli to uzasadnić jakimś awansem — ciągnął prezydent. — Stanowiskiem eksponowanym w mediach, żebyś się trochę opatrzył społeczeństwu. Trzeba myśleć perspektywicznie.

Piotr wytrzymał spojrzenie cyborga, powtarzając sobie w duchu: „Spokojnie, do niczego cię nie zmusi”. Ale nagle zastanowił się, jak to jest awansować i degradować ludzi — ba, całe segmenty gospodarki — jednym aktem woli. Rozciągać się od morza do morza, obejmując cały kontynent i urabiając go wedle uznania. Ku chwale Europy, rzecz jasna. Nie był euroentuzjastą — nie zależało mu na euro. Na sławie czy statusie też nie. Choć dzisiejsza podwyżka na pewno nieco zmieni układ w jego domu. Przywróci symetrię. I nagle uświadomił sobie, jak bardzo to go cieszy.

Prezydent tymczasem mówił powoli, mrużąc oczy. Piotrowi wydało się, że lampki na jednej z tablic lekko przygasły.

— Właściwie to dziwne, że twoich raportów nie skomentował twój przełożony, minister

dźwięku. Z domowego terminala śle za to po nocach jakieś bzdury o mięsie kobiet, o haremie z ośmioma i pół kobietami...

— Zdaje się, że rzuciła go żona — powiedział ostrożnie Piotr.

— I chyba ostro pije — dodał prezydent, marszcząc nos. — Dość tego. Wysyłam go na odwyk.

Piotr doszedł już do siebie. Ośmielony prezydencką hojnością, pozwolił sobie na żart.

— To Włoch. Bez kobiety i wina pozostanie mu tylko śpiew.

— Oczywiście: łabędzi — prezydent zaśmiał się. — Od jutra go zastępujesz. Co prawda w kolejce czekają jego dwie zastępczynie... mój Boże, jedna ma ósemkę dzieci! Na szczęście na tym szczeblu funkcje są mianowane, więc nie podlegają mechanizmom awansu. Jak będą ci bruździć, zdejmujemy je.

— Dziękuję — Piotr ponownie skłonił się.

— Nie ma za co. Pokażę ci, jak to się robi. Łatwizna.

Prezydent utkwiał w nim niemal łapczywe spojrzenie. Musiał dostrzec coś, czego nawet Piotr sobie nie uświadamiał.

— Z tym Bogiem z opowiadania to był oczywiście żart — powiedział bez uśmiechu. — Ale władza ma swoje plusy. Posmakujesz jej i będziesz chciał więcej. A w tym państwie wszystkie ścieżki prowadzą tu.

Opuścił wzrok na pulpit, w miejscu, gdzie aparatura łączyła się z jego szyją.

„To jak z nagim biustem — pomyślał Piotr — szokuje tylko pierwsze wrażenie. Potem przychodzi pożądanie”.

* * *

Myślał o tym kwadrans później, jadąc windą. Tym razem sam wystukał kod, który potem musiał zapamiętać. Obrócił się i jego nos niemal wpadł między piersi opięte czarnym materiałem. Kobieta opuściła okulary i uśmiechnęła się, ale inaczej niż godzinę temu. Mógł sobie pogratulować — prawie natychmiast pomyślał o Romy i o tym, co sobie obiecali na wieczór. Tylko czy minister będzie ją kręcił tak jak kochanek na zawołanie? Jeśli nie — co będzie z Kriosem? Czy teraz zyskał na to nowy wpływ? Czy wypada go użyć?

Skoczył na czerwony chodnik i po chwili odzyskał równowagę. Jedno było pewne — dom może być jej, ale od dziś koniec z zagracaniem go snobistycznymi rupieciami. Teraz on rządzi, czy to się komuś podoba, czy nie. I już na pewno nie kupi poloneza.

Piotr wsiadł do swojego poloneza i odpalił silnik. Przez chwilę rozkoszował się chrapliwym, basowym pomrukiem. Podniósł go o ton, naciskając gaz. Takiej namacalnej siły i mocy nie czuło się w wygłuszonym śmigaczu.

Wrzucił wsteczny bieg i zaczął manewrować pośród innych samochodów, tłoczących się tu, jak na każdym parkingu prestiżowego Tańczącego Kolosa. Gwizdem włączył płytę Krawczyka, ale po chwili muzykę zagłuszył dzwonek.

— Halo — powiedział i koleczek przeszedł na funkcję telefonu.

— Piotruś, zapomniałam o czymś — jego czaszkę wypełnił głos Romy. Niemał czuł, jak rezonuje platynowe złącze w potylicy. — Wracając, kup, proszę, syfon. Ten srebrny, z reklamy, na naboje. Wczorzem napilibyśmy się pysznej oranżadki z bąbelkami. Możesz dokupić sorbovit w proszku.

— Dobrze, ale będę późno. Mam dziś zebranie — westchnął, wrzucając jedynekę.

— Proszę — zmysłowy głos żony przeszedł mu dreszczem po krzyżu. — Już zaprosiłam Susan z mężem. Nie spóźnij się.

— Spróbuję — obiecał ostrożnie.

— Pa, najdroższy — przez kable, czaszkę i kręgosłup Piotra przeszły ciarki. — I pamiętaj o syfonie.

— Jasne, pa — powiedział i automatycznie się rozłączył. Wrzucił jedynekę i głaszcząc gałkę lewarka ze sztucznego bursztynu z wtopioną karetą, dodał gazu. Osiemdziesiąt koni mechanicznych wyrwało z kopyta. Piotr zdjął rękę z lewarka, wyłączył muzykę i wysunął przegrodę, wygłuszającą silnik. Te duperele wkrótce stracą znaczenie. Rozkoszne małżeństwo, ostry polonez, ambitny Krawczyk. Naiwne marzenia ściętej głowy.

Kochać w Europie

Andrzej Zimniak urodził się w 1946 roku w Warszawie. Pisarz, publicysta i naukowiec (chemik). Literacki debiut przypada na rok 1980, do dziś opublikował w czasopiśmie i książkach około siedemdziesięciu utworów. Wydał dziewięć książek (osiem zbiorów opowiadań i jedną powieść), m.in.: *Szlaki istnienia* (1984, debiut), powieść *Marcjanna i aniołowie* (1989), *Śmierć ma zapach szkarlatu* (2003). Opowiadania Zimniaka znalazły się także w jedenastu antologiach. Jego utwory były tłumaczone na języki czeski i białoruski, a obecnie są przekładane na angielski i francuski. Laureat nagród m.in. miesięcznika „Fantastyka”, Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki oraz klubu SFAN, nominowany do Nagrody im. Janusza A. Zajdla. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

W sercu Republiki Federacyjnej Europy, w Dystrykcie Masowien, obywatel Paweł Molicki ukończył osiemnaście lat i musiał uciekać, albowiem w tym wieku potrafił już zrozumieć swoje czyny, a więc mógł za nie odpowiadać. O jego odpowiedzialności stanowił Kodeks Strasburski, opracowywany i ulepszany przez dwa pokolenia prawników do chwili, aż stał się najlepszym i najbardziej wyważonym kodeksem na świecie. Ogólnie uważano, że w optymalny sposób godzi lokalne aspiracje narodowe z dobrem całej Republiki, tradycje religijne z nowoczesnością, a także prawa jednostki, z zasadami współżycia społecznego.

Paweł od kilku tygodni czynił intensywne przygotowania do ucieczki, lecz już od lat oswajał się z nieuchronnością zdarzeń, które musiały nastąpić, podobnie jak po dniu nastaje noc. Jako podejrzanemu nie wolno mu było przekraczać granic Europy, ale w młodym wieku miał jeszcze tyle czasu do procesu, że nie zastanawiał się nad nim, podobnie jak nastolatek nigdy poważnie nie myśli o własnej śmierci. Lecz od jakichś trzech lat rodzice i nauczyciele coraz częściej robili aluzje, więc nie mógł zapomnieć, nawet gdyby chciał. Ucieczki były modne w jego pokoleniu, bo nie tylko odwlekały termin rozprawy, ale także wyrabiały samodzielność i hart ducha, a nadto stwarzały możliwości kontaktów z młodymi ludźmi w podobnej sytuacji. Takie spotkania, podobne do burz mózgow lub sejmików grodzkich, nieraz owocowały nowatorskimi koncepcjami, wzbogacającymi zasób wiedzy euroantropologii kulturowej. Mając to wszystko na względzie, europejskie władze oraz FedPol nie realizowały jakiejś specjalnej polityki prewencyjnej, która zresztą musiałaby wiązać się z zatrzymaniami czy śledzeniem przed upływem ustawowego terminu, a tego jednak nie dopuszczało prawo strasburskie.

Miesiąc przed osiągnięciem pełnoletniości Paweł nabył długi płaszcz, czarną dżokejkę i nóż sprężynowy. Na targu afgańskim długo przebierał w giwerach, ale w końcu zrezygnował, pomny wyczytanych mądrości w rodzaju „broń łącno uczyni cię uczciwym bandytą”. Na kilka dni przed paskudną datą odwiedził Chińczyka, który na tyłach gabinetu akupunktury zaaplikował mu somatyczną kurację transgeniczną. W przeddzień spakował chlebak, wziął klatkę z Mary Lou i wyszedł. Rodzice taktownie udali się na brydża, więc nie musiał robić krzywych min.

Skóra mu pociemniała, pod nosem wysypały się włosy podobne do łonowych, tęczęwki zmieniły barwę na węglistą. Poza tym czuł się dobrze, był wolny, a Stary Świat stał przed nim otworem. Spacerował po mieście, zjadł lody pistacjowe, poczytał Feniksa w EUPiK-u, aż trafił na Dworzec Centralny, gdzie spędził następne dwie doby. Nigdzie się nie spieszył, więc ruchy miał charakterystycznie zwolnione, lecz jego ubranie nie nosiło śladów typowej dworcowej patyny, a wzrok wciąż wyrażał żwawość myśli, nie bierność trwania. Czuł przelotne spojrzenia przechodniów, zatrzymujące się na nim o ułamek sekundy za długo, jakby nie mogli zdecydować, do jakiej grupy go zaliczyć.

— Koleś, rozglądasz się za używanym autem? — zagadnął go rezydent, szturchając kulą pod zebro. Miał rudą druciastą brodę z przedziałkiem i sztywno stojące włosy, a marynarka dawno straciła kolor i przykleiła się do ciała.

— Ja... czekam na kogoś — wybąkał Paweł.

— Ach tak... — Tamten lustrował go zaskakująco bystrym spojrzeniem. — Masz baksa?

Paweł sięgnął do kieszeni i wcisnął monetę w szarą od brudu dłoń.

— Ópasz? — badał dalej rezydent. Pociągnął nosem i splunął. — Ej, widzi mi się, że stary cię skopał, he, zdarza się nawet u jajogłowych.

Wracaj odrabiać lekcje, mały, a po drodze kup tatce fajki i będzie zgoda. Chwytasz?

Paweł pokręcił głową.

— To nie tak, proszę pana. Nie mogę. Już mnie szukają.

We wzroku rezydenta na chwilę krótką jak błysk pojawiło się współczucie.

— Aaaa, prenatalny — raczej oświadczył, niż zapytał. — Mieszka ich tu trochę, nieciekawi. Nie zagrzejiesz miejsca. A to bierz z powrotem, przyda się. Wiesz o komunie w Pyrach? Jest super. Bliżej masz Diamentowych, przy Dworcu Centralnym.

Nie czekając na odpowiedź, mężczyzna odwrócił się i niespiesznie pokuśtykał ruchliwym przejściem, grzebiąc kulą w kolejnych napotykanym koszach na śmieci. Paweł obrócił w dłoni monetę, po czym schował ją i wyszedł na powietrze.

Powoli przemierzał rejon Żelaznej, starając się nie patrzeć w oczy Azjatom. Takie przyglądanie się mogło być poczytane za dowód nieżyczliwości etnicznej lub dyskryminacji imigrantów, a za to groziła kara odosobnienia do lat trzech. Dotarł już do połowy drogi, gdy siedzący w kucki obywatel Bangladeszu splunął, inny rzucił pustą butelką. Tak jak go uczono w liceum, Paweł mową ciała nieustannie wyrażał przyjazne nastawienie, ale postanowił, że nie będzie próbował tu zostać. Kolorowi czasem przyjmowali białych, traktując ich jako łączników, ale taka robota wymagała zdecydowanej i trwałej reorientacji kulturowej.

Szczęśliwie bez uszczerbku przebrnął Asiatown, potem przekroczył marmurowo—szklany rejon biurowców Plaża Ochota, pilnowany przez ochroniarzy w czarnych mundurach ze złotymi epoletami, i zapuścił się w porośle zielskiem, zapomniane bocznice dawnego Dworca Głównego. Przy pierwszym krzaku napadło go dwóch niezrzeszonych oprychów, ale gdy powołał się na Diamentowych, odstąpili, a nawet oddali mu kartę płatniczą i pięć baksów gotówki. Przedarł się przez zdziczałe maliny i dotarł do zardzewiałych, pograffitowanych i częściowo zapadłych wagonów, stojących na pojedynczych szynach, bo resztę torów dawno rozszabrowano na złom. W cieniu zderzaka siedział zapyziały, kudłaty młodzieniec, błyszczący od potu, i celował w przybysza czymś, co kiedyś mogło być sportowym oszczepem.

— Dzidzia, spierdu. Tu prajwet skansen — zagaił uprzejmie.

— Ja właśnie... do was. Diamentowe Bractwo? — upewnił się Paweł. Był o nich spory artykuł w „Koszernej”.

Strażnik skrzywił się.

— Obrodziło w maminsyneków. Nie ma wolnego!

— Ale... ja nie mam dokąd iść.

— A co, tu przytułek dla popapranych?! Zresztą, zastopuj.

Stuknął drzewcem w blachę jakimś kodem, kilka razy.

— Dupnij se, myślisz, że Bielas przyleci jak na gwizdek?

Paweł przysiadł na kępie trawy. Czuć było zielskiem i odchodami, brzęczały muchy. W pobliżu ktoś przeszedł, trzasnęły drzwi, aż zadrzały blachy. Zakwiliło dziecko.

Po pół godzinie strażnik powtórzył sekwencję uderzeń i dopiero wtedy z sąsiedniego wagonu zeskoczył na ziemię wielki jasnowłosy chłopak.

— Chcesz się bić!? — warknął i przyskoczył do Pawła, chwytając go za kłapy.

— Nieee...!

Ale już dostał po twarzy, raz i drugi. Głowa odskakiwała jak piłka, w oczach pociemniało. Poczuł gorącą strużkę pod nosem i słony smak. Zasłonił się rękami.

— No — napastnik spuścił powietrze. — Umiesz ciągnąć druta? Nie!? To jazda, naucz się! Chwycił go za włosy i wstał, ale tylko zaśmiał się ochryple, patrząc z góry.

— Imię? — warknął.

— Pa... Paweł.

— Paw, he, możesz być Pawiem, póki co. Zostajesz przyjęty na próbny tydzień. Jak się nie przydasz, won. Jak sprawisz kłopot, to won od razu, i jeszcze takiego kopa w dupę, że ci gruczoł krokowy w gardle stanie. Rozumiesz, chłoptysiu?

— Tak. Postaram się, szefie.

— Hi, hi. Jestem Bielas, tylko pamiętaj: zawsze przez duże „B”. No dobra. — Wstał i rozejrzał się.

Dopiero teraz Paweł zauważył krąg gapiów. Przed szereg wysunęła się przysadzista dziewczyna o włosach tak tłustych i zlepionych, jakby wylała na nie pół litra oleju. Na rękę trzymała kwilące niemowlę. Podniosła rękę.

— Czy mogę?

— W porządku, Zuza — zdecydował Bielas. — Pomatkujesz Pawiowi, a on bardzo się postara, żeby uśmiech nie schodził z twej pyzatej facyjaty. Prawda, ptaśku? — zaczął odwracać się w stronę Pawła, ale nawet nie zaczekał na odpowiedź. Wspiął się do swojego przedziału, a reszta oberwańców powoli rozeszła się po krzakach i wagonach.

— Chodź, Paw — powiedziała Zuza, ciągnąc go za rękaw.

— Mam na imię Paweł — odparł, nie ruszając się.

Wyciągnęła rękę. Drgnął i cofnął głowę, ale dziewczyna tylko pogłaskała go po policzku. Jej dłoń pachniała starym potem i skisłym mlekiem.

— Nie bój się, głupi. Nic nie rozumiesz. Chodź już... Paweł.

* * *

Klawo było u tych Diamentowych, nie ma co. Paweł spędził z nimi całe dziesięć dni, mając za wyrko kawałek wyszmelcowanego na glans fotela drugiej klasy, gdzie sypiał w dzień. W nocy chodził po śmietnikach, zbierając prowiant dla siebie, Zuzy, jej dzieciaka i Mary Lou, a pety dla reszty mieszkańców wagonu. Zuza była mu przychylna, gadała bez końca albo brała się do obłapianek. Już pierwszego wieczoru dała mu wszystko, co miała, a więc wrzód miękki i trypra, które to przypadłości tliły się w niej endemicznie i dożywotnio. Na szczęście na rewersie bankomatu, stojącego w Muzeum Kolejnictwa, zainstalowany był męski medomat, bezpłatnie leczący podstawowe dolegliwości. Należało wsunąć w osobne otwory palec wskazujący, język i członka i poczekać minutę, nie zważając na klucia i mrowienia. Brawa dla społecznej medycyny w Zjednoczonej Europie! Na wyświetlające się pytania o dalsze, już płatne analizy Paweł odpowiedział przecząco, bo jego bezdebetowa karta bankowa była od dawna goła jak Święta Aspezjanka Bosa w pierwszą rytualną noc lata.

— Bielas to życzliwy gość, tylko na początku trochę nerwowy — tłumaczyła Zuza. — Rozumiesz, nowy, znaczy nieznany, różni przychodzą. Z tym drutem żartował, on nieraz lubi postraszyć. A wiesz, Paweł, że kopulacja robi w Afryce za podanie ręki? Słowo daję, ludzie gadają, że nie tylko u małp.

— No właśnie, w Afryce. Aha, one, te małpy, podają sobie ręce?

— Nie udziwniaj, młody. Małpa też ma prawo, no nie?

— No tak, Zuźka.

— Nie mów tak na mnie. Za co wpadłeś, młody?

Paweł wzruszył ramionami. Może ci ludzie coś mu poradzą? W niszy swoich potrzeb byli cholernie bystrzy.

- Za zabójstwo.
- O, psiajucha — mruknęła z uznaniem. — Ze strachu?
- Coś w tym rodzaju. Przecież nie pamiętam. Prenatalne.
- Ach, to tak! — Zuza aż uniosła się na łokciu. — Toś ty taki!
- Jaki?

— No, niewinny. Dzieciuch. Szkoda mi was — stwierdziła, znów głaszcząc go po policzku. Polubił tę pieściotę, nikt go tak nie głaskał, nawet matka, która przecież zawsze porządnie wywiązywała się z obowiązków. — Nie pasujecie do nas. Jesteście jak... Kiedyś widziałam w kinie, jak kanarek poleciał do wron. Nie zgadniesz, że w końcu zadziobały go wróble.

— No tak, do wróbli był podobny, ale trochę inny. Wrony pewnie w ogóle go nie spostrzegły.

— Ty mądralo — powiedziała Zuza — zgłoś się sam. Dostaniesz mniej.

— Słyszałem o takim, co ukrywał się dziesięć lat.

— Twarda sztuka, nie jak ty. Tyś maślak, zginiesz. Wiesz co? — Uniosła się ze swojej części fotela. Dziecko odpadło jej od cycka i zaczęło wrzeszczeć, więc dziewczyna przyrzuciła je spódnicą. — Mam! Musisz się ożenić!

Paweł wytrzeszczył oczy, ale się nie zdziwił. Już na drugi dzień po ucieczce ten rodzaj doznań stał się mu z gruntu obcy.

— Właściwie... mógłbym — przytaknął ostrożnie. Wyobraził sobie Zuzę, która już teraz miała skłonności do tycia, za kilka lat. W jej nalanej twarzy małe usta poruszały się jak rybi pyszczek. — Wiek już mam, gorzej, hmm, z powołaniem.

— Pieprzyć to — oświadczyła w uniesieniu. — Jak masz odpowiedzialność, dają niższy wyrok. Zawsze się opłaca!

To mówiąc, sięgnęła do kąta i zdjęła z klatki jedwabną chustę, która kiedyś przypuszczalnie była żółta. Mary Lou uśmiechała się do nich i do świata, przyciskając głowę do prętów więzienia. Zawsze była zadowolona, jak miała co zryć, a małe porcje tutejszego silnie urozmaiconego pokarmu najwyraźniej jej służyły.

Paweł Molicki, lat osiemnaście, prenatalista i uciekinier, dobry uczeń przedostatniej klasy liceum, potrzebował długiej chwili, aby skojarzyć — na pozór, a może naprawdę — odległe pojęcia. Gdy to się stało, zdziwił się. Naprawdę się zdziwił!

— Zwariowałaś? — krzyknął, a potem roześmiał się na całe gardło.

Hifek Modzio, śpiący w kącie, obudził się i splunął, bo zakląć nie miał siły — Nu, miarkuj się — mruknęła urażona Zuza. — Jeszcze przyjdiesz dziękować.

* * *

Przy placu Zawiszy dumnie piętrzył się kościół wschodnio-neoanglikański, który prowadziła czwórka pastorów, związana małżeństwem grupowym — prawdziwym urszulańskim sedoretu. Mogli uprawiać seks wertykalnie, horyzontalnie i po przekątnej, według chęci, uznania i porywów serca.

— Proszę przyjść jutro rano — odezwał się kobiecy głos z głośnika pod judaszem.

— Ale... ja mam sprawę nietypową — wyjąkał Paweł. — Wskazany jest pośpiech — dodał konfidencyjnym szeptem. Taką taktykę doradziła mu Zuza.

Podziałało. Szczęknięta zasława i drzwi uchyliły się, a w ciemnej szczelinie pokazała się trójkątna twarz. Pastor zlustrowała go podejrzliwym spojrzeniem i pociągnęła nosem.

— Zupę wydają na Centralnym — stwierdziła i zaczęła zamykać, ale chłopak z desperacją wsunął stopę w szparę.

— Chwileczkę, psze pani! Chcę ekspresem brać ślub!

Drzwi przestały się zamykać, a potem otworzyły się na oścież. Pani pastor była drobna,

miała dużą czaszkę i wąską twarz, zakończoną szpiczastą, wysuniętą brodą. Nosiła granatową garsonkę z przykrótką spódnicą i czarne lakierki na płaskim obcasie.

— Za ekspres bierzemy sto euro.

Gdy Paweł skinął głową, odsunęła się i przepuściła go. Zaryglowała drzwi i zaprowadziła petenta do biura. Czuć było stęchlizną, a od czarno-białej szachownicy posadzki ciągnęło chłodem.

— Proszę wypełnić formularze. — Podsunęła mu samokopiujące arkusze. Widząc, że rozgląda się po biurku, westchnęła z rezygnacją i popchnęła w jego stronę długopis.

— Kto zapłaci? — spytała praktycznie, zanim pióro dotknęło papieru.

— Ojciec.

— Znasz numer konta?

— Nieee... To znaczy, wpiszę adres.

Czekając, niecierpliwie stuknęła obcasem. Wstała i spojrzała mu przez ramię, demonstracyjnie zatykając nos.

— Porządna dzielnica, hmm — mruknęła. — Ćpać się zachciało, synku? Zresztą, nie moja sprawa. Muszę zobaczyć dowody osobiste, wymagana jest pełnoletniość. No i przyprowadź tę dziewczynę, eksternistycznie ślubów nie udzielamy.

— My... to znaczy, przyszedliśmy razem, pani pastor.

— Gdzie?! — spytała kobieta, spoglądając w kierunku otwartych drzwi biura.

— Nieee, ona jest, trzymam ją... tutaj.

To mówiąc, odsłonił chustę, okrywającą klatkę. Mary Lou ożywiła się i zaczęła drapać w pręty.

Pastor przestała oddychać, chwyciła się za piersi, oczy wyszły jej z orbit. Potem roześmiała się histerycznie, płytko chwytając powietrze, co przywodziło na myśl szczekanie. Wreszcie odetchnęła głęboko i zacisnęła usta, a na koniec ordynarnie zakląła.

— Wynos się — zażądała. — Wynos się natychmiast! Kretyńskie dowcipy zachowaj dla swoich kumpli. Tutaj załatwia się poważne sprawy! A może — wzięła się pod boki — jesteś zwykłym świrem? To by nawet pasowało. Uciekł z zakładu i błąka się po dworcach. Ewidentnie sprawa dla policji.

— Nie — jęknął Paweł. — Proszę...

— Chwileczkę, wielebna Wiktorio — odezwał się basem wysoki mężczyzna, ubrany w czarny garnitur. Stał w drzwiach z dłońmi splecionymi na podołku.

— Przecież to wariat, Edwardzie — tłumaczyła pastor, rozkładając ręce w geście bezradności.

— Możliwe, możliwe — zgodził się nowo przybyły, wchodząc do biura.

Po jego dużej, pomarszczonej twarzy, podobnej do mapy kontynentu, błąkał się uśmiech. Usiadł na fotelu na wprost krzesła, zajmowanego przez Pawła. — Masz coś do powiedzenia, chłopcze?

— Tak... oczywiście. Nie jestem wariatem! Kocham Mary Lou, ona jest... taka miła. Poza tym — wyprostował się i popatrzył hardo — przecież wszystkie zwierzęta zasługują na względy! Dlaczego tolerujemy dyskryminację, czemu to psy, koty czy konie mają mieć więcej praw?

Kto miał czelność przeprowadzić granicę animalistycznego apartheidu i czym uzasadnił właśnie takie jej wytyczenie? — recytował to, co wcześniej przygotował i wkuł na pamięć.

Pastor Edward pochylał głowę, pocierając kciukiem policzek. Mogłoby się wydawać, że powstrzymuje uśmiech. Po chwili przytaknął.

— Tak, ta sprawa była już kiedyś podnoszona na forum publicznym. Pamiętam prasowe dysputy, gdzieś sprzed roku, dotyczące podmiotów małżeńskich. Najważniejszym kryterium jest miłość, oczywiście obopólna, albo przynajmniej głębokie przywiązanie. Jeśli istnieje uczucie, reszta schodzi na dalszy plan. No, pozostaje jeszcze kwestia, hmm, konsumpcji

małżeńskiej.

— Nie ma problemu — zapewnił Paweł. — Stosujemy petting, głaskanie, używam dostępnych w handlu utensyliów i syntetycznych feromonów.

— Acha. Jednak w przypadku dysproporcji gabarytowych i nierównego potencjału intelektualnego zawsze istnieje możliwość seksualnego wykorzystywania. Oczywiście, kolego — pastor obronnym gestem podniósł dłonie — o nic nie oskarżam, moim jedynym obowiązkiem jest wskazać ewentualne problemy!

— Kilka razy podczas seansów zapisywałem rytm theta jej mózgu, wielebny — wyjaśnił Paweł. — Pomiary wykazały wzmożoną aktywność ośrodków przyjemności, natomiast nigdy nie wykryłem agresji.

— Zostawisz nam to na piśmie, kawalerze?

— Chwileczkę!... — wtrąciła Wiktoria piskliwym głosem. — O co tu chodzi, pastorze?

Edward wstał i zaczął spacerować, założywszy ręce do tyłu. Uśmiechnął się jowialnie.

— Droga Wiktorio — zagaił. — Ten młody człowiek przyszedł do nas z precedensową prośbą i mamy obowiązek go wysłuchać, a także udzielić, w miarę możliwości, pomocy. Powiem więcej: to nasz duszpasterski obowiązek!

Zapadła cisza, którą zakłócało tylko miarowe stukanie obcasów przechadzającego się pastora. Ów kontynuował:

— Przed rokiem miałem zamiar wziąć udział we wspomnianej dyspucie na temat małżeństw transgatunkowych, ale zanim się zdecydowałem, problemu poniechano. Teraz — zatrzymał się i przemówił takim tonem, jakby wygłaszał kazanie — pragnę upublicznić swoje poglądy. Zrobię to, udzielając ślubu tej miłej parze!

— Zwariował — jęknęła Wiktoria. — Będą kłopoty, jak amen w pacierzu.

— Będzie zainteresowanie mediów — poprawił Edward. — Zyskamy popularność, która naszemu kościołowi nie zaszkodzi. Wprost przeciwnie, wierni zaczną wreszcie napływać. Wierni, goście, zwiedzający. Nie rozumiesz, wielebna?

— Może — westchnęła. — Może masz rację. Ale ty bierzesz odpowiedzialność!

Pastor puścił jej słowa mimo uszu. Uniósł dłoń, jakby sobie o czymś przypomniał, i znów zwrócił się do chłopca.

— Kawalerze, pozostaje sprawa potomstwa. Wiadomo z biologii, że niezadługo zostaniesz wdowcem, więc jeśli pragniesz później zachować prawa i obowiązki opiekuńcze...

— Wiem — Paweł rozpromienił się. Wygrywał! — Wiem, co mam zrobić. W razie niemożności zapłodnienia międzygatunkowego, mam prawo usynowić potomstwo z innego ojca i nadal wykonywać obowiązki opiekuńcze, to znaczy rodzicielskie.

— Doskonale — pochwalił pastor. — Sprawy precedensowe zwolnione są z opłat, możemy więc niezwłocznie przystąpić do przygotowań. Jeśli masz życzenie, poproszę moich pozostałych małżonków, aby pełnili rolę świadków. Czy młoda para ich akceptuje, czy zechce sprowadzić własnych?

Paweł natychmiast zaakceptował propozycję, a Mary Lou zajęła się metodycznym czyszczeniem futerka, było więc oczywiste, że również nie protestuje.

* * *

Ślub, zapowiedziany przez środki masowego przekazu, odbył się z wielką pompą. Zjechały setki małżeństw alternatywnych, aby okazać solidarność z nowożeńcami. Tak więc pośród gości widać było kilkunastoosobowe stadła grupowe, płci jednej lub mieszanej, kobiety ubrane w napierśne peruki wiodące naburmuszone goryle lub gorylice, mężczyźni w szortach i korkowych hełmach z uwieszonymi u ramion modnie ufryzowanymi szympansicami, chłopców przebranych za stajennych z kobyłami, ogierami, oślicami lub osłami, a także starsze wyondulowane panie trzymające za pyski nasrożone ogiery w duralowych

półpancerzach, okrywających zady i genitalia. Tłumnie przybyli amatorzy psów i kotów, a zwierzęta przejawiały nieprzystojne podniecenie, węsząc syntetyczne feromony, trzymane przez ludzkich małżonków na podorędziu w jednorazowych dozownikach. Oklaskami powitane zostały bardziej nietypowe pary, jak mężczyzna z pytonem tak wielkim, że ów wąż mógłby bez trudu połknąć swojego partnera w całości, rosły pastuszek ze stadem do połowy wygolonych owieczek, a także Krakowianin w stroju ludowym pod rękę z białą niedźwiedzicą, poruszającą się na wzmocnionych łyżworolkach.

Oczywiście wśród tego tłumu nie zabrakło ciekawskich mieszczuchów o klasycznej orientacji małżeńskiej, a także dziennikarzy i fotoreporterów. Chronieni kordonem policji przybyli politycy, wśród nich Wysoki Komisarz Republiki Europy. Również pod policyjną ochroną po drugiej stronie placu pojawili się malkontenci, wszak tacy znajdują się w każdym, nawet najlepiej zorganizowanym społeczeństwie. Jeden z nich na desce do odgarniania śniegu napisał: „Jutro żenię się z laską gruzlicy”, drugi pokrzykiwał: „Ludzie po rozum, zwierzęta do lasu”, a kilku innych skandowało: „Unia do domu”. Ci ostatni zostali szybko zneutralizowani i wywiezieni policyjną suką.

Pastor Edward przemówił, wysuwając z obrączki groszkowy mikrofon.

— Drodzy zebrani! — Śmiechy i rozmowy ucichły. — Przybyliśmy tutaj, aby uczestniczyć w ceremonii zaślubin pary pozostającej w silnym emocjonalnym związku, Pawła Molickiego i Mary Lou. Jak się okazuje, żadne przeszkody im nie straszne, wzajemna atencja jest najważniejsza. Brawa dla oblubieńców!

Zerwała się burza oklasków. Malkontenci gwizdali i grali na trąbkach.

— Szanowni goście — kontynuował pastor, gdy wrzawa przycichła. — Zaraz udamy się do kościoła, aby dopełnić obrządku, lecz najpierw poproszę Wysokiego Komisarza Rady Europy, który zaszczycił swoją obecnością tę uroczystość, o zabranie głosu. Bardzo proszę!

— Hellou! — urzędnik europejski pozdrowił zebranych, machając ręką. — Cjesze sie niewymownie być tu z wami. Dziś mamy ceremonie precedensowa, małe z dużym, gładkie z puszystym, mądre z wiernym. My w naszej Juropie miłość ponad wszystko, Liebe ueber alles, love makes free! Miłość to akceptacja, a my nie odtrącamy nikogo, ani z biedny kraj, ani że czuje inaczej, ani ze wzgląd na płeć. Nie wolno dyskryminacja, że małe czy duże, przecież myśli, kocha, cierpi i cieszy. Wszyscy mają prawa do miłość!

Zagrzmiały brawa, a Komisarz musiał dwukrotnie bisować, machając rękami w geście pozdrowienia. Potem goście udali się do kościoła, gdzie co chwila wybuchały utarczki, bo mimo wszystko psy nie były w stanie okazywać wystarczającej miłości kotom, a małpy, nie wiedzieć czemu, stale miały o coś pretensję do osłów. Część osób i większe zwierzęta pozostały na zewnątrz.

W połowie ceremonii pod kościół podjechała furgonetka policyjna, a z niej wysiadło dwóch smutnych panów w szarych płaszczach. Przygotowali kajdanki i stanęli po obu stronach drzwi.

Paweł Molicki zadrżał, gdy usłyszał warkot silnika. Wiedział, że popełnił haniebny czyn i musi ponieść karę, ale panicznie bał się więzienia.

* * *

Dzięki zawartemu małżeństwu podejrzany nie został osadzony w areszcie śledczym. Po wstępnym przesłuchaniu dyżurny adwokat formalnie wystąpił o areszt domowy i wniosek został przyjęty. Oskarżonemu nie wolno było opuszczać mieszkania, a nad dotrzymaniem tego warunku czuwały policyjne kamery, zainstalowane w pomieszczeniach, na które opiewało zezwolenie. Niestrudzone oko sprawiedliwości bezustannie namierzało go zarówno w łazience, jak i w łóżku.

Po trzech tygodniach odbył się proces społeczny przed Sądem Okręgowym Becirku

Ochota. Rozprawa była otwarta, lecz przybyli tylko nieliczni obserwatorzy, ponieważ sprawy prenatalne zdążyły już spowszednieć.

— Otwieram rozprawę przeciwko obywatelowi Europy Pawłowi Molickiemu — oznajmił eurolicencjonowany sędzia w błękitnej todze z trzydziestoma słonecznymi gwiazdami, rozmieszczonymi helikoidalnie. — Proszę pana prokuratora o zabranie głosu.

— Dziękuję — powiedział chudy, siwowłosy mężczyzna, powstając i zapinając marynarkę. Miał w sobie coś z sępa, zarówno w twarzy, jak i w ruchach. — Będę mówił krótko, bo sprawa jest typowa. Oto tam, na ławie oskarżonych, siedzi morderca prenatalny. Zostało dowiedzione, że w czwartym miesiącu matczynej ciąży zaatakował swojego brata, a potem w następnych tygodniach ponawiał haniebne postęпки, powiem więcej, mordercze poczynania, które spowodowały zgon bliźniaka, a następnie resorpcję płodu przez organizm matki. Pragnę podkreślić, że matka jedynie wchłonęła martwe ciało, i proces ten nie ma nic wspólnego z poronieniem, nie można więc w żadnym stopniu uważać jej za winną.

Mężczyzna wstał i wyszedł przed audytorium, po czym wskazał na przestrzenny hologram, który ukonstytuował się nieco z boku na wysokości dwóch metrów, doskonale widoczny z każdego miejsca sali. Wewnątrz pojawił się tomograficzny obraz wnętrza brzucha ciężarnej kobiety, w którym obejmowały się i przepychały dwa płody. Środowisko było cieliste, galaretowate, półpłynne.

Prokurator zmienił obraz. Teraz poruszał się już tylko jeden płód, a ten nieruchomy przy kolejnych odsłonach zmniejszał się, zamieniał w kadłubek, rozpuszczał, aż w końcu zupełnie znikł. Pozostały rozpiekał się w obszernym brzuchu, miał teraz znacznie więcej miejsca. Po widowni przebiegło westchnienie.

— Tak, proszę państwa. Wszyscy byliście świadkami przestępczego czynu. Nagrania dowodowe zostały zarejestrowane w Szpitalu Bielańskim, a o ich prawdziwości zaświadczy obecny tu doktor Wernicki. Proszę, doktorze.

— Poświadczam — potwierdził lekarz, siedzący w ławie świadków. — Przejrzałem szpitalne archiwum i nie mam żadnych wątpliwości co do tożsamości matki, syna i płodów.

— Czy obrona chce na tym etapie rozprawy skorzystać z prawa głosu? — Włączył się sędzia.

— Nie — poinformował przydzielony z urzędu adwokat.

— Owszem, tak — odezwał się przedstawiciel społeczności Łemków. Oprócz Łemków przybyli reprezentanci grup etnicznych Kaszubów i Tyrolczyków. Tyrol ostatnio mocno akcentował swoją obecność, zapewne szykował kolejną petycję o rozszerzenie uprawnień. — Chciałbym wiedzieć, dlaczego płód ma odpowiadać według kodeksu, którego jeszcze nie miał okazji poznać?

— Proszę o pozwolenie na odpowiedź. — Prokurator znów wyszedł przed audytorium. Gdy sędzia skinął głową, kontynuował. — Otóż muszę nie bez żalu stwierdzić, że większość obywateli Europy też nie zna kodeksu, ani karnego, ani żadnego innego. Niestety. A mimo to, zgodnie z literą prawa, odpowiada za czyny przestępcze! Chciałbym od razu uprzedzić następne pytanie i przypomnieć, że istnieje w kodeksie istotny paragraf 45, dotyczący przestępstw nieumyślnych. Cytuję: „Za nieumyślne pozbawienie życia stosuje się karę więzienia do lat dziesięciu”.

— No dobrze — odezwał się maszynowy głos automatycznego tłumacza, płynący z głośnika. To jeden z Tyrolczyków mówił do szpilkowego mikrofonu, wpiętego w klapę marynarki. — Jestem dla pierwszego razu w tym pełnym piękności mieście i proszę o wybaczenie — brak znajomości tradycji. Czas życia my liczymy od chwila narodzin. Dlaczego ten człowiek odpowiada wcześniej? U nas takiego nie ma.

Sędzia uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Zechce pan znów wyjaśnić, prokuratorze?

— Oczywiście, z przyjemnością. W naszym kraju życie człowieka zaczyna się w chwili

poczęcia, a embrion ma od momentu pierwszego podziału komórki takie same prawa jak pan, ja i wszyscy tu obecni! — Mężczyzna zatoczył ręką koło w nieco teatralnym geście. — Nie rozumiem, dlaczego można zupełnie arbitralnie wytyczać granicę wieku, na przykład sześciu tygodni, po której płód raptem nabywa cech człowieczeństwa?

Rząd Republiki Europy uznał w tym przypadku prawo do jurysdykcji lokalnej — uzupełnił sędzia. — Lecz — podniósł głos o oktawę — europejski rząd jest nie tylko wielkoduszny, ale także konsekwentny. Jeśli dajemy obywatelowi pełnię praw, egzekwujemy również obowiązki. Posiadanie samych praw byłoby wysoce demoralizujące i nie wchodzi w rachubę. Czy te wyjaśnienia są wystarczające?

— Nie wiem — Tyrolczyk nie był do końca przekonany. — Jak karać za fizjologiczne procesy naturalne?

— Ależ, drogi kolego! — Prokurator uniósł obie dłonie w geście oburzenia. — Wystarczy spojrzeć przez mikroskop na kroplę wody, tam trwa nieustanny i oczywiście jak najbardziej naturalny proces zabijania i pożerania. Proszę powiedzieć, czy po to budowaliśmy cywilizację, której zwieńczeniem jest nasza kultura, aby wzorować się na takich atawizmach?

— Uważam te wyjaśnienia za wyczerpujące — stwierdził sędzia, poprawiając błękitną togę i tłumiąc ziewnięcie. — Czy pan mecenas zechciałby teraz zabrać głos?

— Tak, panie sędzio. Pan prokurator był łaskaw zacytować paragraf 45, precyzujący górną granicę kary za nieumyślne spowodowanie śmierci. Powtarzam: górną, bo minimalny wymiar kary nie jest określony, a w takich przypadkach domniemuje się, iż oznacza uniewinnienie. Odstąpić od wymierzania kary można, gdy występują istotne okoliczności łagodzące. Właśnie mamy z nimi do czynienia, Wysoki Sądzie.

To mówiąc, podszedł do niskiego stołka i ostrożnie zdjął woalkę z okrągłej klatki. Wewnątrz, strasząc wąsy i próbując wspiać się na pręty, biegała łaciata świnka morska.

— Nazywa się Mary Lou — poinformował mecenas. — Obywatel Paweł Molicki miał ją pod opieką od ponad roku, i przez ten okres ich zażyłość stopniowo zamieniała się w bardzo ciepłe, pełne empatii relacje. Zwieńczeniem tego procesu była symboliczna ceremonia ślubna, nakładająca na obie strony pewne obowiązki. Miłe, ale tym niemniej obowiązki.

— Na pewno nie zdradzisz jej z kaczką? — odezwał się jakiś dowcipniś z galerii, najpewniej antyglobalista. Zaraz pośpieszył tam strażnik, aby przywołać go do porządku.

W tym względzie obywatel Molicki ma szczególne obowiązki — kontynuował adwokat, nie dając się zbić z tropu. — Ślub był precedensowy, ale spełniał wszelkie formalne wymogi Europejskiej Karty Kultury, zyskał także aprobatę Wysokiego Komisarza Rady Europy. Tym niemniej prawnie uznana partnerka pana Pawła jest na tyle drobna i niesamodzielną, że wymaga szczególnej troski i opieki, aby przetrwała w zdrowiu i samospelnieniu. Powiedzcie — zawołał, unosząc ręce — jak obywatel Molicki ma sprostać zadaniu, jeśli zostanie skazany na odosobnienie w warunkach daleko posuniętego ubezwłasnowolnienia i intensywnej resocjalizacji albo na absorbujące prace fizyczne? Nie jest to możliwe! Powiem więcej — mecenas zniżył głos i uniósł wskazujący palec, aby uzyskać efekt konspiracji — pan Paweł ma zamiar usynowić przyszłe potomstwo swej oblubienicy, co nastąpi już wkrótce! Nie naruszam prywatności podsądnego, zdradzając tajemnice alkowy, ponieważ zostałem upoważniony przez samego zainteresowanego do podania powyższej informacji. A więc — znów podniósł głos — przed ferowaniem wyroku należy się zastanowić, w jakim stopniu poszukiwanie sprawiedliwości i egzekwowanie prawa może wpłynąć na bezpieczeństwo i indywidualne poczucie szczęścia innych członków naszej społeczności, wszak otwartej na potrzeby ogółu mieszkańców. Wysoki Sądzie, proszę wziąć pod uwagę wszystkie aspekty sprawy.

— Dziękuję panu mecenasowi — powiedział sędzia, spoglądając na zegarek. — Czy oskarżony chce zabrać głos?

Paweł Molicki przecząco pokręcił głową.

— Podsądny jest proszony o głośne, wyraźne i jednoznaczne udzielanie odpowiedzi!

— Nie, panie sędzio. Wszystko już powiedziano.

— No dobrze. Teraz proszę o opinie, dotyczące wymiaru kary. Panie prokuratorze?

— Wnioskuje o karę ośmiu lat więzienia, po uwzględnieniu okoliczności łagodzących. Skazany powinien wykonywać pracę koncepcyjną, na przykład pisanie artykułów na temat socjalnej polityki europejskiej. Tego rodzaju zajęcie umożliwi opiekę nad małżonką i ewentualnie urodzonymi dziećmi, a jednocześnie spełni rolę wychowawczą.

— Ja bym wolał coś, co nie obciąży budżetu — wtrącił trochę obcesowo przedstawiciel etnicznej mniejszości Kaszubów. Sterowany źródłem dźwięku jupiterek rozjaśnił jego brodatą, ogorzałą od wiatru twarz. — Trzeba mu obciąć kciuki, palce wskazujące i środkowe, bo właśnie nimi zadusił braciszka. Rzecz jasna, sterylnie, w szpitalu. Serdeczne i małe zostawić, żeby miał czym stukać w klawiaturę i obrządzać żonkę. Koszt mały, a każdy z daleka zobaczy, że dusiciel.

Sędzia uśmiechnął się półgębkiem.

— Oddalam wniosek. Prawo europejskie nie przewiduje kary okaleczania ciała, bo to są okrutne średniowieczne metody. Panowie? — Spojrzał na przedstawicieli innych mniejszości.

— Ja nie mam wiedzy — stwierdził Tyrolczyk sylabizującym głosem maszynowego tłumacza. — Brak zrozumienia przepisu.

— Cóż, nie przewidujemy prowadzenia tutaj kursów doksztalcających — skwitował sędzia. — Proszę o dalsze propozycje.

Powstał wysłannik Łemków.

— Jestem za uniewinnieniem, bo płód ze szczątkowym mózgiem nie może odpowiadać wobec prawa na równi ze świadomym człowiekiem.

— To jest demagogia! — zagrzmał sędzia. Jego długa, mięsista twarz poczerwieniała. — Wiadomo, że według kodeksów landów Hiszpania, Portugalia, Irlandia i Polska, płód od momentu poczęcia jest pełnoprawnym człowiekiem. Odmienna jurysdykcja obowiązuje na terenie innych landów, ale do zdarzenia doszło tutaj, i tu jest ono sądzone. Bardzo proszę, panie mecenasie.

Adwokat powstał i obciągnął poły marynarki.

— Wysoki Sądzie, szanowni państwo. Ci, którzy oczekują, że będę optował za uniewinnieniem, są w błędzie. Nie chodzi przecież o to, abym za wszelką cenę bronił swojego klienta, ale o to, by sprawiedliwości stało się zadość. Obywatel Paweł Molicki dopuścił się czynu przerywania czyjegoś życia, to zdarzenie dowiedzione. Jednakże nie udowodniono mu działania w zlej wierze, a ponadto, jak wiemy, występują istotne okoliczności łagodzące. Biorąc te czynniki pod uwagę, wnioskuje o skierowanie podsądnego na obowiązkowe uniwersyteckie studia, na wydział ekobiologii. Tam nauczą go szacunku do wszelkiego życia, a także do Matki Gai. Obywatel Molicki zrobił już pierwszy krok we właściwym kierunku, mianowicie wziął pod małżeńską opiekę jeden z przejawów globalnego życia, tym bardziej więc należy domniemywać, że studia nie będą stratą czasu i pieniędzy. Ponadto uważam, że obywatel Molicki powinien dożywotnio opodatkować się na rzecz medycznej ochrony wcześniaków, co byłoby symbolicznym gestem pojednania z zamordowanym bratem. To wszystko.

— Dziękuję — powiedział sędzia i uderzył drewnianym młotkiem w rezonującą podstawkę. — Ogłaszam pięć minut przerwy.

* * *

Sędzia odczytał wyrok.

— Po obradach składu sędziowskiego, na podstawie artykułu 22, posiłkując się artykułami 45, 2, 67 i 13, skazuje obywatela Pawła Molickiego na pięć lat więzienia za prenatalne

morderstwo, dokonane na swoim bracie bliźniaku, jednakże ze względu na okoliczności łagodzące zamieniam więzienie na areszt domowy, który rzeczony obywatel może opuszczać w razie nagłej potrzeby medycznej, a także uczęszczając do szkoły i na studia lub pomagając w prowadzeniu gospodarstwa domowego. Ponadto, po ukończeniu szkoły, kieruję rzeczzonego obywatela na obowiązkowe studia uniwersyteckie, na wydział ekobiologii. Naukę tę musi ukończyć, chyba że rektor uczelni zaopiniuje na piśmie, że jest to niemożliwe ze względu na poziom umysłowy skazanego. Wyrok stanowi także, że rzeczony obywatel nie może opuszczać landu Polska przez okres obowiązywania aresztu. W razie złamania przez skazanego któregokolwiek z postanowień wyroku odbędzie się drugi proces, a podsądny będzie traktowany jak recydywista. Posiedzenie uważam za zamknięte.

Paweł Molicki, skuty kajdankami, został wyprowadzony przed gmach sądu w asyście dwóch policjantów. Tam stróże prawa zatrzymali się, oczekując na furgonetkę, którą mieli dostarczyć go do miejsca odbywania kary.

— Mam ochotę na domową szarlotkę — mruknął Paweł. Podniósł klatkę z Mary Lou na wysokość oczu, posyłając małżonce całusa. — Ty też dostaniesz, maleńka.

— O co chodzi? — spytał policjant, wysuwając brodę i patrząc spod daszka czapki nasuniętej na oczy.

— O nic, mówię do siebie — odparł aresztant, spoglądając w niebo.
Zachodni wiatr ucichł. Było duszno, zbierało się na deszcz.

Wyhoduj mnie, proszę

Maciej Żerdziński urodził się w 1967 roku, lekarz psychiatra, mieszka i pracuje w Katowicach, w Centrum Psychiatrii, gdzie od czterech lat pełni funkcję zastępcy ordynatora. Opublikował kilkanaście opowiadań, zamieszczonych między innymi w antologiach SF, oraz dwie książki: *Korporacja Wars'n'Guns* (1996) i *Opuścić Los Raques* (2000). Był nominowany i nagradzany zarówno przez czytelników, jak i środowisko pisarzy SF. Wiele lat zajmował się rysunkiem, także plakatowym i komiksowym. Zilustrował dwie książki poświęcone psychiatrii, jest też autorem *Poradnika dla chorych cierpiących na zespół natręctw* i medycznych prac naukowych (*Postępy psychiatrii i neurologii*, *Archives of Psychiatry and Psychotherapy*). Pasje pisarskie ściśle powiązane są z życiem zawodowym. Łączy je sposób rozumienia człowieczeństwa, aprobaty odmienności, próby przedstawienia prawdziwego obrazu choroby psychicznej.

Piłem cienką jak siki herbatę z ósmego parzenia i obserwowałem karalucha, który przemieszczał się po upstrzonej zaskorupiałymi odpadami posadzce kuchni.

„Cóż za entuzjazm”, podziwiałem w myślach energią insekta. Biega wte i wewte, silny, twardy, a przede wszystkim przepełniony bezsensowną nadzieją, iż odnajdzie coś do żarcia. Bo dobrze wiedziałem, że czego jak czego, ale zjadliwego żarcia na podłodze mojej kuchni znaleźć się nie da.

— Hej — odezwałem się ochryple, poprawiając noktowizory. — Lepiej stąd spadaj, człowieku. Idź gdzieś w cholerę, w końcu jesteś made in Europe, więc możesz się dowolnie przemieszczać w przeciwieństwie do twoich noneuropian azjatyckich kamratów, którzy muszą kiblować w sraczach meczetów. A jeśli który skurwiel przekroczy granicę Euro, załapie w chitynowe dupsko ołowianą kulkę i kaput motherfucker. U now, chitinoman... Kaput, motherfucker.

Noktowizory miałem jeszcze z czasów starego życia, zanim zatopiono Brytyjczyków, kiedy zarabkowałem money-honey, piłem balen-inesy i fuckerowałem do totalblitzkrieg z kim popadło. Trendy było wtedy żyć na haju z dopaminy, a szczytem takich hajów było przeładowanie receptorów D2 i skrajne znieruchomienie pośród podobnych mi wunderpeople, w kompletnych ciemnościach stygmatyzowanych jeno punktowymi laserami z systemu speedoonday, programowanych specjal na wielkomięskie balangos. Siedziało się wtedy po golasie w noktowizorach, a wynajęci za cenciaki noneuropijans różnili się ku potrzebom wielkich europijan braci, niezdolnych już choćby do półwzwodów, ale nadal zdolnych do obserwacji wzwodów innych. Prochy były legal, trawa słała się po dywanach jak mech na pniakach, a księżyc zdawał się bliższy niż szklanka beczłowej irlandzkiej kawy zmiksowanej z naszą szopenwódzią. Szło veryizy, a nasze rdzenie spokojnie dopalały się w marihuanowej mgłę, pełgającej pośród ścian jak pajęczyna z nici drapieżnika pająka, co to chyta tylko najtłustsze z błyszczących much. My jednak nic nie chytaliśmy w nasze misterne marihuanowe sieci, prócz nas samych ofkors, ale zdawało nam się wtedy, że świat to Europa, a my: kilku folksdojczów, pedałów i Polaczków, to generatory światowego luzu.

— A żebyś wiedział — wysyczałem do karalucha. — Luz był w nas wtedy mega. Mitsubishi Evo 100 w neurotransmisji, chitynowy brachu.

Leciało się jak spadające messerschmitty, a upadek zdawał się wiecznością. Kumas, gościu? Mein Herr, cóż to miał być za upadek!

Nie chciałem mu gadać, iż nikt nas nie uprzedził, że nie roztrzaskamy się jak strącone samoloty, że nie będziemy total kaputti. Euro dba o ludziska. Euro ratuje ćpunów, forsa płynie z programów euroantidugs, psychiatrzy pracują w pocie czoła, ratują losersów i

outmanów. Choćbyś chciał wałnąć w glebę, oni zjawiają się tuż przed glebą, jak te pieprzone szwajcarskie zegarki, jak niemieckie turbodisle, co to skompensują cię niczym ropę w syfie: zwarcie, ograniczenie i w stałej gotowości do wytrysku. Wystarczy tylko nacisnąć, handmade, samodzielnie. Ohyes. Euromłodzież po trzech dyszkach, nasz bezcenny euroskarab, zawsze godna ratowania i inwestowania, choćby polska, z sekendhandu, to jednak wspólna w ogólnych wartościach wszechmocnej eurodobroci.

Koniec końców, tylko nas wypaliło. Po skomplikowanych detoxach i neuromodyfikacjach, zamienili nam nasze bezcenne, isiswobodne pomysłówki w jałowy euroszajs, na którym nie dało się już poprawnie kombinować.

— Księżyc się oddalił, człowieku — karaluch miotał się w noktowizorze jak krople rtęci złapane w dłoń, jak krew ciekąca po smole, jak ból pełgający po kościach nowotworzących ud. — Stał się łysy i podły. Lodowaty jakiś. Marny jak eurozasilek i wyrzuty sumienia, że bogaci Dojczy, Frenche i Swidisz muszą nas utrzymać w euroegzystencji.

Karaluch chyba nie kumał euroslangu. Zdawał się deep'ass mieć moje wynurzenia. Cwany, skubaniec. Cool.

— A potem, człowieku — postanowiłem dać mu jeszcze jedną szansę — potem, mój mały untermenszu, mój cudowny eurochitynowcu, potem przyszła ta właściwa oferta.

Karaluch znieruchomiał w noktowizorze. Czuję się powerfull, że w końcu go zagiąłem. Pancerzyk miał teraz bardziej napięty niż materiał jednych stringów na dupach stu kobiet naraz. Jakby łytał na mnie swoimi gałami, ale Bóg wie, czym naprawdę się we mnie wgapiał; nie uczyli nas w końcu, czy karaluchy mają oczy. W każdym razie załapał właściwego owadom czuja.

— Potem przyszli Oni. Dokładnie w piątą rocznicę zatopienia Brytanii.

Pogłaskałem czule moje lewe przedramię.

— Obcy, człowieku.

Spłoszony owad outował się ku niezgłęzionym ciemnościom otwartego sracza. Znikał jak dogasająca zapalka w spoconych paluchach, jak podwodny anioł w paszczy sinej mureny, jak Żyd, który stracił dorobek całego życia. Jak ja.

— Wynajęli mnie Obcy. To dla nich teraz pracuję.

Nie, żebym czuł dumę. Moim zdaniem Polacy nie powinni mówić o dumie.

Czułem tylko żal.

Udupili mnie na amen. Deadmanwalking. Tyle ze mnie zostało.

* * *

Listopadowe niebo napawało lękiem. Zawisło nad miastem niczym stary kisiel — półpłynne jak ciepła guma, przeciekające jak stare wiadro, śmierdzące czymś made in Euro i pozostające w stałej gotowości do skapnięcia na głowę tłumu łążącego po ulicach metropolii. Może i dobre by to było: niebo wałące się na nasze upodlone życiem łby, kruszące pancerne myśli, karmiące neurotransmisję nadzieją i poblaskiem odbitych w nim gwiazd. Nawet takie kisielowate, made in Norway/or/something.

— Logowanie, proszę pana! — głos bankiera skosił moje skandynawskie wizje. — Kolejka czeka.

Niebo jak niebo: złota polska jesień — fucking golden retriever jak zwał, tak zwał, tylko czemu tak późno, donerwetter. Problem w tym, że może przypierniczyć dzisiaj śniegiem, a ja nie zdążę z ewakuacją do mieszkania. Przecież nie ubrałem się ciepło i waterproof, co zaprzecza warunkom Kontraktu z Obcym. A Kontrakt z Obcym był jedyną umową, która definiowała moje obecne życie.

— Proszę się logować — mruknął bankier w przezroczystym kaszkiecie, cały jakby oplecionymi bannerami netkiły, równie mętnymi w przekazie, co jego własne oczy. —

Szybciej, kolejka czeka.

Niespiesznie zalogowałem rdzeniaka przez gniazdko dla bezrobociarzy, czyli to niższe z dwóch, schowane pod koszulką, ze specjalnym, kolagenowym kamuflażem, co by wstydu nie było (bezrobocie w Euroraju było równie hańbiące jak monozwiązki).

Poczułem, jak po unerwieniu przebiega ten ciepły, podniecający, endorfinowy dreszczyk. O tak. Cwani goście zbudowali system pobierz/oddaj. Kiedy byłeś inplugged, choćbyś nawet zalegał z opłatami, i tak cię nagradzali pobudzeniem ośrodków nagrody w centralnym, za to tylko, że poddajesz się regularnej kontroli. A jeśli okazało się, że płacisz wszystkie rachunki on time, to extra podrażniali cię jeszcze bardziej. Taki mały mózgowy orgazmik, man. Właśnie go przeżywałem. Czułem motyle w głowie pełnej gówna.

— Nie zalega pan z rachunkami za październik — poinformował szorstko bankier. — Czy czardżować listopad?

— Bardzo proszę — szepnąłem ochryple. — Bierz pan, co się da.

Bankier beznamiętnie wrócił do swojego kibordu i zaczął skanowanie zasobów afektu. Nadal nie myślałem o nim jak o złodzieju. Dla mnie był tylko końcówką, zasysaczem tego, co moje, privet, z nakazu korporacji trzymających w ryzach system i systemu, który potrzebował naszych emocji, bo sam wypalił się już wieki temu. Westeuro musiało przecież pobierać opłaty od takich dziadów jak my z Eastu. „Be as polish — less of brain, overloaded of affects”, tak się o nas gadało na Weście. A że Westeuro mieli wszystko prócz zasobów emocjonalnych, to i płaciliśmy im w emocjach. Pobierali nasze radości, smutki, gniewy i frustracje, pobierali miłość i nienawiść, chłód i napalenie, lęk i pragnienie, brali wszystko, pakowali w krzemowe puszkę i ładowali w swoje opustoszałe rdzenie.

Transfer veryisy, fast as Ferrari is, płynny niczym rtęć i żywotny jak palce piątego klona Jimiego Hendrixa. A my mieliśmy za to prądy, ciepelka i wodę, bo przecież nawet na wodę nie było nas stać, a agrobisness też do tanich nie należał, choć przysięgłbym, że zbiorniki pitnej wody spoczywają nie dalej jak pięćdziesiąt kilosów od mojego wieżowca.

— Ma pan jakiś wszczep w lewej kończynie górnej. Bez konkretnej definicji przeznaczenia — zdawkowo poinformował mnie bankier. — Czy jest zgodny z pańską wolą?

W Poland każdy mógł mieć wszczepy; tyle że często trafiały się nielegalne, implantowane wbrew twojej woli, tajemnie i cichcem służące swoim mocodawcom podglądaczom. Mój był z tych legal okidoki. Made by Alien.

— Jasne — syknąłem przez zęby i pogoniłem nieco bankiera. — Czy mogę się już ewakuować? Kolejka, wie pan.

— Tak — potwierdził i łypnął na mnie okiem pamiętającym życie równie dobrze, co ścięte białko kurzego jaja. — Proszę się wylogować. Transfer pańskiego afektu został dokonany. Proszę podpisać.

Przytknąłem kciuk do plastiku, a bankier wręczył mi pokwitowanie na maleńkim kawałeczku papieru. Zerknąłem nań dopiero poza bankiem, który przypominał mi teraz dinozaura, ajnc: przez masyw swojej gigantycznej konstrukcji, cwaj — przez gadzi ogon z ludzi, którzy waitingowali w kolejce na swój czas u bankiera.

„Mr Adam Pipoler”, odczytałem maleńkie literki. „Zaległości wobec systemu: 0 euro / 0 centów. Nadpłata za systemowe utrzymanie mieszkania za 11.2054: 533 euro / 47 centów. Pobrano afekt ekwiwalentnie do wykazanej kwoty. Dominacja profilu pobranego towaru — frustracja, lęk, złość, tęsknota i smutek. Kolejny termin pobrania afektu — 12.12.2054 r. Pożądana praca nad zasobami radości i spontaniczności. Have a nice day, our Eurofriend”.

Thanx, motherfuckers, pobłogosławiłem ich w myślach i potoczyłem się ulicą jak śnieżna kula, tyle że pchana pod górę. Łazłem coraz wolniej, zdawało mi się, że puchnę, nadymam się niemal, a wszystko przez to, że było mi z każdym krokiem weselej. Nienawidziłem takich radosnych stanów, bo pojawiały się cholernie sztucznie — przez to, że oni odbierali moje najskrytsze blue privets, a ta cała cholerna radość, zawsze głęboko i skutecznie stłumiona,

teraz rozpełzała się po moim jestestwie i w triumfalnym pochodzie krzywiła mi twarz w coś, o czym słyszałem tylko opowieści: smajlingowałem.

— Znowu mnie wypalili, shitludzie — szukałem błędnym wzrokiem jakiejś knajpy. — Trzeba dojsć do siebie. Trzeba posmutnieć i się wkurwić. Wbrew eurozaleceniom.

Rozcinałem moim błędnym krokiem jesienny tłum, mrugałem oczami do kisielowatego sklepienia, odpędzałem nogami goniące mnie hola z reklamami na tytanowych nóżkach i śmiałem się niczym facet z megakorwą.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy dostrzegłem wreszcie niebieskie logo baru z sieci OSTATNI TAKI HAJER. Nie żebym lubił bywać w podobnych skansenowych eurodziurach kultywujących lokalne tradycje. Nie żebym czule wspominał etap górniczy w moim mieście. Nie żebym okazywał ewolucyjną radość z knajpy, która słyęła z najlepszego oprogramowania w Silesji.

— Kawy chcę się napić — wymamrotałem jak ślepiec, macając aluminium kłamki. — Po prostu. Double-double.

* * *

Z trudem wspiąłem się na barowe krzesło, które szczelnie otoczyło mnie żebrami oparcia i z dyskretnym trzaskiem zapięło pasy bezpieczeństwa, zgodnie z trendy eurowymogami (knajpy były teraz odpowiedzialne nawet za upadki przy barze i nie miało znaczenia, co piłeś, paliłeś czy ładowałeś). Na wprost mnie — szeregowy mat kranów z piwem, chrom kawowych ekspresów, kolorowe węże okablowania z wycelowanymi w oczekiwaniu końcówkami układów endo, czerwonawe bąbelki płynących emulsji zapachowych, błękit ciągnących się smug nikotynowego dymu i zabudowana w dziwaczny wielokąt ściana z luster.

Tam też się odnalazłem. Z obrzydzeniem obserwowałem resztki uśmiechu błakającego się po mojej twarzy. I bez niego facjatę miałem silnie kontrowersyjną. Długa była, blada, pociągła jak u mrówkojada, tyle że osadził się w niej orli nos i bladoniebieskie oczy, które trudno było wyróżnić z sinawej skóry, wyściełającej zapadłe policzki niczym maxprzechodzony dywan. Wszystko w moim ryju zdawało się zamieniać w zmarszczki i nawet mocna zuchwa nie potrafiła zatrzymać ich naporu. Ktoś mi kiedyś powiedział — a była to chyba taka jedna, umiarkowanie naćpana endolaska z Tokyo — że moja facjata zdaje się spływać w dół i że kiedyś w końcu spłynie, a wtedy poczwarka żyjąca pod nią zamieni się w motyla i uleci ze mnie nowhere. Odpowiedziałem tej endolascie z Tokyo (o ile to była ona), że jeśli nawet tak właśnie się stanie, to nie motyla nam oczekiwać, a jeszcze gorszej poczwary, która nigdzie nie uleci, a only przyssie się do mnie total mocno. Tak to właśnie feelingowałem i w zasadzie nic się nie zmieniło od tamtego czasu.

— Co ci nalać, chopie? — Z cienia wychynął niski, ubrany na czarno barman, z głową łysą jak kij do baseballa i twarzą, która bez zbędnych słów opowiadała o meandrach życia i labiryntach człowieczych upadków. — Momy dzisiaj górniol w dobrej promocji.

Górniol był absolutnym killerem o prostym składzie opartym na czarnej wódzie, węglu i soku z porzeczki, a ich skuteczność nie budziła żadnych kontrowersji. I owszem, zdarzało mi się kiedyś pijać górniol, ale najgorzej szło to w samotności — miałeś wtedy fuckingczuja, że łeb zalewa ci czerń, a z tego mroku wylażą straszne, okopcone postaci i kopią w pocie czoła głębiej i głębiej, aż do samych trzewi, do samych jaj albo jeszcze dalej. Taaak. Co by o górniolach nie powiedzieć, nazwa była adekwatna do trunku.

Fedował w mózgu jak górniki na grubie.

— To co, górniol bydzie? — barman opacznie zinterpretował mój głupawy uśmiech.

— Nie — odpowiedziałem, pstrykając palcami w blat, który był zarazem monitorem wyświetlającym zamówienia. — Zwoduj mi pan kawy, jeśli łaska.

Łysa głowa załśniła w punktowych światłach i zdawało się, że to laserowy pot spływa po

czole barmana. Najwyraźniej był rozczarowany, jednak zachował kamienny wyraz twarzy.

— Kawa u nos tyż dobra, a czorna jak som wungiel — warknął dla zachęty, marnie udając entuzjazm. — Możesz se, chopie, zamawiać, co tylko zechcesz. Choby gorolskie żarcie.

Miał niemal nieskażony euroslangiem, stary, dobry, słunski akcent. Zapierdalał jak jego ojciec, dziad i inni motherfuckers z krewniaków w prostej linii. Z tą różnicą, że tamci fedrowali w kopalniach, a on zapierdalał za barem chycony w lasery niczym zmartwychwstały Lord Vader w Star Wars Episode 12.

Obserwowałem, jak pod blatem przepływają holograficzne parostatki z nazwami kaw. Czegóż tam, querwas, nie było. Kolumbia, Brazylia, Jamajka, Kuba, USA, Radioaktywna Irlandia, a nawet pieprzony Zanzibar.

Odwaitowałem całą serię, zajarałem fajeczkę i pstryknąłem w R—Irlandię. Zasady kontraktu z Obcym limitowały płyny i żarcie, które mogłem w siebie pakować. W praktyce sprowadzało się to do produktów z Eurozone.

— Irishcoffee — zadudnił procesor. — Pure Jameson, pure espresso, deep cream, clean polish water. ENJOY IT, my happy Eurofriend.

Thanx, motherfucker, przytaknąłem w myślach, a barman zeskanował mnie błękitnym, zniesmaczonym lookiem.

— Tyś jest jednak gorol, chopie. Aldraich na bank — westchnął zrezygnowany. — Coby w OSTATNIM HAJERZE napierdolać irlandzko kawo... Jezu Kriste Nazareński.

— Ja. — Obojętna akceptacja. — Jo jest gorol z aldraichu. A tyś jest za to prawdziwy jak wody płodowe walenia z „Animal Planet”.

— Kawa dla pana — odpowiedział łysy, wracając do swojej roli, po czym wygłosił zupełnie niepotrzebną, fatalną formułkę, tym razem bez słunskiego akcentu. — Na zdrowie dla szanownego pana. OSTATNI TAKI HAJER jest zaszczycony pańskim wyborem.

Mało się nie porzygałem, kiedy bar zwodował dla mnie filiżankę z irlandzką. Tym razem filiżanka w kształcie parostatku płynęła do mnie po blacie, czyli naprawdę dymiąc, sycząc, mieniając się brązami i bielą, jak prawdziwy parostatek, tyle że zminiaturyzowany dla ułomnych potrzeb zagubionych w życiu europijaczeków.

— Dzięki, father — skinąłem głową. — Thanx, danke und hajhitla.

Pierwszy gorący łyk zgasił resztki uśmiechu na mojej facjacie, drugi sprawił, że pobladła, a trzeci pociągnął wargi w dół.

Pstryknąłem w górę papierosem, a popielniczka zerwała się ze stołu i połknęła go tuż przed lustrem z moim mrówkojadopodobnym ryjem.

Z sykiem wypuściłem niebieską strużkę dymu.

Byłem teraz sobą.

Byłem nikim.

Coś mi ofuckerowało po tej irlandzkiej (zapłaconej afektem, a jakże) i zamiast prosto do domu, zaszedłem jeszcze do pornokina przy Mariackiej. Było to very confused kino, bo zbudowali go w starym kościele, który godnie zachował pierwotne, neogotyckie kształty, i choć Bóg dawno opuścił jego trzewia, to nadal zdawał się pomieszkiwać w kościelnych ceglach. Jako że czasem miewałem takie ścierny, że wewnątrzlonowo zdefiniowano mnie jako katolika, uznałem, iż cool jest odwiedzać grzeszne miejsca i węszyć w nich zapachy odeszłych w niebyt archaniołów.

„Nie aniołów szukasz, a matki”, skomentował kiedyś taki jeden psychiatra. Byłem pewien, że gdybym odnalazł moją matkę, nie wiedziałbym nawet, jak zagaić z nią gadkę o pogodzie.

— Pięć euroli — warknęła mi do ucha przeróbka faceta przy kinowej śluzie. — Trzy wymiary na zbiorowym, trzy wymiary w kabinach, końcówki kompatybilne z każdym rdzeniem. Prezerwatywy w cenie, endopakiet przy ławach.

Facet był z tych marnych, poor przeróbek. Twarz nie chytała wszczepów kolagenu, ropiejąca skóra szyi odrzucała tytanowe ornamenty, a srebrne monitory oczu pełne były skaz

generowanych transmisją chybionych danych. Pewno już wcześniej musiał być heavy popierdo—lony, skoro miał taką cholerną pustkę w gałach.

Taaak. Łatwo było się przerobić, gorzej wychodziło się na antybiotykach i dalszych korektach układu immunologicznego. Mało kto był na tyle plently w money, żeby temu sprostać. Zwaliliśmy kiedyś takich gostków majkeldžeksonsluke, na cześć pioniera nieudanych korekt facjaty i w ogóle.

— Kiedyś było cztery — odpowiedziałem bez sensu, bo cóż właściwie znaczyły wspomnienia starych cen. — Cztery pieprzone eurole i ani centa więcej.

— A teraz jest pięć — odwarknął ten cholerny metalowy ryj. — Nie podoba się, to fuckoff. Spadane jest.

— Oki — przytaknąłem bez emocji. — Wchodzone jest.

— Enter. — Poruszył z chrzęstem podrasowaną szyją, a mnie zrobiło się niedobrze.

Zasiadłem na drewnie zionącej pustką ławy pośrodku klimatyzowanej, obitej czerwonym futrzakiem sali i wgapiłem się w łukowate sklepienie kina. Nie dawało żadnej nadziei, ale pozwalało zapomnieć o kisielu lejącym się z listopadowego nieba — złota polska jesień — sierść golden retrievera — skośne oczy Koreanki sprzedającej amerykańskie fajki — motherfucker... Cholerne natrętne myśli opadły mnie jak sępy padlinę.

Kiedy ładowałem już rdzeń, przypomniał mi się stary komunikator gadugadu, w którym zaczynałem swoje sieciowe los fuckeros. Była to już całkiem niezła wersja, bodaj 2143, z mierną interwencją eurocenzorów, pełna hologramów z pieprzającymi się emotikonami o kształtach lepszych niż realne, przygotowanych zarazem na dotyk i wejście, co wymagało już modernendooprogramowania, czyli dziury w szyi. Byłem tak wielkim fanem gadugadu, że do osiemnacy bardziej ceniłem piersi emotikonów niż dupy żywych lasek. Kiedy pierwszy raz zanurkowałem w realu, miałem wrażenie, że boskie oprogramowanie jest jakieś marne, nieudane, że trzeba się spręzać, pocić i w ogóle motherfucker. Potem przyszły wreszcie odpowiednie drugi i koncepcje na mixedsex, kiedy to futem podłączałeś się w laskę, a rdzeniakiem w sieć. Laska też była w sieci, a jej vedżajnę podrasowywały dodatkowe chipy. Wszyscy w Euro mieliśmy atrofie penisów. Po co nam one? Pieprzone zmiennokształtne wypustki, od których byłeś zależny jak android od końcówki mocy.

Dopiero ona mi to zmieniła. Taka jedna wolna od chipów laska, która pokazała, czym naprawdę może być real. Pokazała, nakarmiła jak irackiego wirusa zagubionego w necie i zostawiła na amen. Kaput. Deadmenwalking zostałem po niej ja, od tamtych dni, a było to już tak wiele chronobajtów temu, że całkiem o niej zapomniałem, choć mój drugfree psychiatra gadał całkiem co innego, jak zawsze od rzeczy i chyba w końcu powinien zebrać za to tęgi wpierdol.

— Ohyes. — Byłem już sexdatafull i neogotyckie sklepienie zastąpiła spocona skóra jakiejś negro, która okryła mi żebra niczym ciepły koc zmarznięte stopy rosyjskiego żołnierza pod Leningradem, jeśli naprawdę była kiedyś ta straszna światowa wojna, chyba druga z kolei, hitlerowska, motherfucker.

— Jak masz na imię, bejbi?

Odpowiedziała, że Pearl Mu i że oczekują mnie wspólnie z jej austriacką koleżanką, i że mamy do dyspozycji cały cholerny ogród pełen zielonej trawy, i że one chcą ze mną tę trawę poznać bliżej. Ja powiedziałem (ledwie mały wzwodzik), że nie lubię trawy, bo żyją w niej różne obrzydliwe stworzonka, i że lubię tylko takiego jednego karalucha, bo czarny jest i chitynę ma na dupie, że hej, ale ona wyjaśniła, że ta akurat trawa jest cool, bo aseptyczna, i że już za dwie godziny będę fanem syntetycznych roślin (średni wzwodzik).

Gadałem jeszcze różne rzeczy (nadal średni wzwodzik) i wiłem się jak chrząszcz w łąpkach pensety. Kiedy one w końcu sprawiły, że stałem się tak duży, jak mogłem (nieco więcej niż średni wzwodzik), przestałem gadać i oprogramowanie przeładowało moje receptory.

Z tego wszystkiego zapomniałem założyć gumę i wróciłem do domu w mokrych gaciach (wspomnienie wzrodu). A przecież wszyscy z Euro powinni zachować nieskazitelnie czystą bieliznę.

Thanx motherfuckers, powiedziałem do kropel siniego deszczu.

Zmierzchało już, kiedy subway wypłuł mnie na stacji Rado, pod wieżowcem nr 280, gdzie cierpliwie waitingowałem na atypową śmierć, wyznaczoną precyzyjnym kontraktem z Obcym.

* * *

Jednak Obcy miał mnie odwiedzić dopiero w piątek (chyba jutro).

Zrzuciłem z siebie ubranie, niespiesznie zajaralem tytoniowego skręta i wlażłem z nim pod prysznic. Ot, zawsze zejdzie kilka minut. Prysznic też miałem atypowy — bez kabiny, bez zasłon, jak urąbany u podstawy monument, jak kikut nogi, jak bardzo niepewne wspomnienie czegoś kiedyś bardzo pewnego — sterczał sobie w kącie pokoju, tuż za splekanym lustrem upstrzonym zwłokami much, ciemny od splukiwanego brudu i smutków z mojej łysej głowy. Prysznicowa słuchawka zwisała smętnie niczym mój sprzęt, nędzna była jak moja rachityczna klata i bardziej skąpa w wodę niż moje usta w słowa. Lubilem mój prysznic, moje pordzewiałe, wierne oldfasonable alterego made in Mother Russia. Eurofriends z Westu mieli zapewne lepsze prysznice, ale czyż ja, affectsoverloaded Polaczek, godzien byłem aż tylu warstw niklu?

— Shitman — westchnąłem ciężko. — Niklu ci u nich dostatek. Czasem, myślę, że oni i mózgi mają niklowe. Pancerne skorupy, nieprzeniknione, błyszczące jak nocniki w świetle gwiazd.

W końcu wylażłem spod rzadkich strumyków wody. Nadal nie mogłem pozbierać do kupy myśli. Natychmiast dopadły mnie wszechmocne natręctwa: złota polska jesień — sierść golden retrievera — zmrużone oczy Koreanki sprzedającej tytoniowe liście — motherfucker... Płynęły i płynęły, swobodnie, bez sensu i bez żadnego celu, szukając sobie spokojnego miejsca w mojej głowie, niczym samice łasic węszące łęgowiska dla swoich młodych.

Natręctwa pojawiły się, kiedy Obcy podpisał ze mną kontrakt. Była to chyba jedyna przykrość związana z tą robotą. Nie byłem pewien, czemu się tak dzieje. Może jakieś zakłócenia w neurotransmisji, choć, mein Gott, nie czuło się tego na co dzień. Skany, którym mnie regularnie poddawano, nie wykazywały żadnych patologii. Jednak, było nie było, ostrożni i wygodni goście z Westu odrzucili propozycję współpracy z Obcymi. Na mieście gadało się, że wystawili nas, Polaczków, jako formę zastępczą, obawiając się prawdziwej inwazji w razie definitywnej odmowy. Dupki. Nawet nie wiedzieli, co tracą. Ja wierzyłem, że Obcy sami nas wybrali, bo zachowały się tu jeszcze resztki humanbeing.

— Chodź, chitinoman. — Usiadłem na taborecie i szerokim gestem dłoni zachęciłem karalucha, aby swobodniej rozgościł się w moich progach. Zdawał się dzisiaj jakiś nieśmiały w ruchach. Może chitynowi kolesie z Westu też podpierdalali mu zasoby afektu. Kto ich tam wie, los fuckeros. Nie było nawet jasne, czy rozróżniali polskie ssaki od polskich karaluchów.

Ty nie możesz pamiętać tamtych czasów, jednak ja zachowałem kompletny zapis z lądowania Obcych. Mam go nawet na płytkach w staromodnym notebooku, który stoi sobie obok archaicznej, matczynej mikroweli, równie zbędny i wystudzony jak ona. Kto wie, może ci to kiedyś zapuszcze... Kto wie, człowieku. Pokażę ci, jak to naprawdę wyglądało. Lookniemy sobie razem. Te trzy fuckin' spacetrucks, w środku Warszawki, jeden obok drugiego, władcy pierścieni, władcy naszych przedramion, a jednak o niebo bliżsi mi niż cała cholerna Euro i potrzeby braci z Frenczu i Dojczu. Ponad ich jajami, za to blisko naszych. Nasza chluba i duma narodowa. Jedyny eksportowar, jaki jesteśmy w stanie wyprodukować. Przeznaczony jednak nie fuckin'Euro, nie China i US, a innemu Bratu, zalogowanemu na

ciemnej stronie Księżycy, gdzie żaden z nas nie dotarł nawet na największym haju. Jutro mnie odwiedzą, człowieku. Już jutro sprawdzą, czy idzie mi dobrze. A teraz, chitinoman, spierdalaj po swoje okruchy i takethemveryeasy...

Dzwonek. Ktoś dzwonił do drzwi, a sądząc po niebieskim kolorze powietrza w przedpokoju, gość był mi znany. Dzwonek miałem typowy, ustawiony na trzy kolory: niebieski — znajomek, czerwony — obcy, zielony — obsługa techniczna budynku. Jako że dawno nie serwisowałem drzwi, proces barwienia był overintensywny i cuchnął nieco przesadnie starym giorgioarmanim, zgodnie z pierwotnymi definicjami programów mojego bloku.

— Fuck me — warknąłem i niespiesznie założyłem czarne levisy oplecione pod kolanami warstwami scotcha, tak dla jaj, żebym sztywniej i wolniej chodził. Na klatkę rzuciłem pomarańczowy T-shirt z małym, granatowym holo wirującym w okolicy mostka: NO FUTURE FOR EUROPE FUTURE FOR ALIENS & ME ONLY. — Pewno ciotka Edeltrauda. Dzi'zas. Byle bez wuja, bo nie zniosę motherfuckera. Naprawiał będzie, a godknows, co tu naprawiać... Chyba tego cholernego karalucha.

Na szczęście przyszła sama. Sprawnie przedarła się przez smugi perfumowanego błękitu, rzuciła torbę z zakupami na jedyne krzesło, które stało w kuchni, i zapaliła halogeny w suficie, co przepłoszyło moje oczy równie silnie jak karalucha. Tyle że on zdołał przynajmniej przed nią umknąć.

O tak. Siostra nieboszczki mamy była zawodowcem w sprowadzaniu mnie na porządne ścieżki euroegzystencji. Zawsze zaczynała od światła, a kończyła w sraczu (zdawało się, że przychodzi tu tylko po to, żebym sprowokował u niej sraczkę, od lat cierpiała bowiem na lekooporne zaparcia). Ciotka Edeltrauda. Zajebicie dziwna postać. Niby drobna, zgarbiona wiekiem, przeszzyta bronchitami i smutkiem, a jednak krzepa była w niej totalhi, słowa niczym wzbierające potoki, a ruchy tak cholernie zwarte, jakby podrasowali ją Japaneese. Ciotka była korporacją. Wszystko się w niej dogadywało, wszystko działało jak się patrzy, i robiła swoje lepiej niż stada podziemnych SI. Miała bladą, pełną troski twarz, długi, penetrujący myśli nos i usteczka zupełnie ginące w cieniu zdobionych turkusami policzków.

— Adasiu, dziecko moje. — Skissowała mnie niewidzialnymi usteczkami, a szorstki dotyk brylancików uprzytomnił mi, że choć mam już czterdzieści trzy lata, to dla niej zawsze będę przedwcześnie osieroconym chłopczykiem, inamatteroffact. — Zupkę mam dla ciebie. Rosółek z prawdziwej kurki.

— Cześć, ciocia — mruknąłem niemal bezgłośnie. — Miło, że wpadłaś. Lubię rosółki.

Ciotka Edeltrauda rozpakowywała swoje garnuszki. Nie czekała, aż się podgrzeje co trzeba. Ona nigdy nie marnowała czasu. Odnalazła szarą końcówkę ładowania walającą się w cieniu zlewozmywaka i z ulgą zrzuciła z szyi wielki, wielobarwny szal lśniący wilgocią (sierść golden retrievera — złota polska jesień — rzęsy Koreanki rzucające cień na żółtą skórę policzków — motherfucker...).

Fuck me, wzdrygnąłem się. Pieprzone natręctwa.

— Pozwolisz... — Nie czekając na potwierdzenie, sprawnie zalogowała rdzeniaka w necie i znieruchomiła na czas wymiany danych. Zdawało mi się przez chwilę, że infokody załśniły na jej wypukłym czole jak krew ukrzyżowanego Boga, jak pot Araba nanosekundę przed samobójczym atakiem, jak tonący w radioaktywnym morzu Angole. — No... Popłaciłeś wszystkie rachunki, dziecko moje. Masz nawet oszczędności. I, co najważniejsze, regularnie wychodzisz z domu. Das ist gut.

Owszem. Od dawna byłem oki, bo Obcy sugerowali mi bycie oki z procedurami Euro, ale ciotka dobrze pamiętała czasy, kiedy miesiącami nie opuszczałem mieszkania, bo nie znajdowałem żadnych targetów skłaniających mnie do ewakuacji z kondominium. Choćby wysłali drogę do metra dywanami z euroli, choćby nęcili mnie stanowiskami i chipowymi dupami, od czasu, kiedy uczynili mnie drugfree, nie widziałem potrzeby doceniania boskiej

jakości euroegzystencji.

— Tak, ciocia — westchnąłem ze znużeniem, bo podlepanie scotchem spodni było żmudnym zajęciem. — Idzie mi dobrze. Loguję się zgodnie z terminami, przyjmuję podstawowe zasady bycia Euromanem, cieszę się, że uczynili mnie drugfree, a nawet regularnie uczęszczam do kina, żeby być forward w sprawach kultury. Hoduję też czarne zwierzątko i współpracuję z pozaziemską rasą. Jak ciocia widzi, jestem bardzo OK.

Ciotka westchnęła ciężko i podała mi miseczkę z rosołem (wzdrygnąłem się, co natychmiast sprowokowało sierść golden retrievera — złotą polską jesień — smutne oczy koreańskiej dziewczyny — motherfucker...). Nie żeby ten ciotkowy rosół był taki kiepski, po prostu basickly nie lubiłem jeść. Od lat jechałem bardziej na płynach niż stałej karmie i najwyraźniej nie potrafiłem swobodnie metabolizować oldfashionable żarcia. Ale ciotka pojmowała świat po swojemu i nie było potrzeby, żeby wyprowadzać karmicielkę z błędu czy modernizować ideami na temat zawilosci mojego metabolizmu.

— Ech, mój chłopcze — pokręciła z dezaprobatą głową — podoba mi się, że chadzasz do kina, a i nieboszczka matka też by się cieszyła. Ale z tymi Allenami, to nijak nie pojmuję, o co ci idzie. Podobnież hodują oni w was jakieś świństwa, Szatanowi służyć mające i mrokom na Księżycu, gdzie Zły pomieszkuje, bo w Euro nie ma on już czego szukać. Podobno Francuzi wespół z Niemcami go tam przegnali, bo dobra w nich jeszcze więcej niż pieniądze. Aleś zawsze był uparty, to i pewnikiem teraz też cię nie przekonam.

Otarłem strużkę rosółu z podbródka (zdawało mi się czasem, że utraciłem niegdysiejszą szczelność układu pokarmowego) i z wysiłkiem mrugnąłem do ciotki okiem.

— Wie, ciocia — rzadko gadałem, więc i głos miałem całkiem ochrypli — ja tam nie wiem, gdzie podziewa się Szatan, ale zdaje mi się, że bez sensu byłoby lookować za nim na Księżycu. Jeśli on w ogóle istnieje, to zapewniam szanowną ciocię, że jeszcze nigdzie i nigdy nie było mu tak dobrze jak tutaj.

Ciotka uznała chyba, że zjadłem już wystarczającą ilość rosółku, bo powoli przemieszczała się do sracza. Jednak coś widać ją tknęło w moich słowach, bo wyhamowała na wysokości pęknięcia w progu, skrywającego posiadłość chitinomana. Puściła mi badawczy look i zapytała chytrym głosem:

— No to niby kto schował się po ciemnej stronie Księżyca, Adasiu, złotko moje? Komu niby służą ci twoi Aliensi?

Ostrożnie odstawiłem miseczkę z resztkami rosółu. Nie miałem nawet sił, żeby spojrzeć ciotce prosto w oczy, więc pokazałem jej tylko łysinę i wgapiałem się w spękaną posadzkę.

— No, właśnie, ciociu — mruknąłem pod nosem. — Kto też tam uciekł? Kogo tak naprawdę przepędziły zjednoczone siły francusko—niemieckie? I kogo starają się odbudować zastępy Obcych?

Odpowiedziały mi jedynie odgłosy ciotkowej defekacji.

Może to i dobry sposób: srać na to wszystko. Doceniłem ewakuacyjny ruch ciotki. I wykrzywiłem usta, przedrzeźniając szczególnie szpetną szczelinę na kaflu, co to jeszcze pamiętał czas Eurofree.

* * *

Ciotka poszła sobie już dawno, a ja spędziłem jeszcze jakiś czas na analizie przyczyn pęknięcia staromodnych płytek podłogowych. Było to oki zajęcie, bo nie kojarzyło się z niczym szczególnym, a przede wszystkim eliminowało cholerne natręctwa.

Niestety. Sam nie wiem jak, ale zasnąłem. W moim przypadku sen nie oznaczał nic dobrego. Najczęściej śniło mi się bowiem życie. Niby moje własne, a jednak zasadniczo odmienne. Byłem w nim człowiekiem planującym dobrą eurojakość, marzącym o żonie, dzieciach, bądź — czego szczególnie nienawidziłem — facetem zaradnym nie tylko w

spółkowaniu, lecz także w prowadzeniu własnej działalności gospodarczej.

Tym razem było inaczej. Śniłem o imprezce w rodzinnym domu (zanim jeszcze powiesiła się matka, a ojciec zamienił się w netocybera forever), na której to realizowaliśmy konkursy zręcznościowe. Byłem smilefull, charmy i happy. Do czasu, kiedy jeden z balangujących kumpli — Murzyn, Bóg wie czemu (nie znałem żadnego, co wynikało z prostej przyczyny: czarni nie znosili naszych zim i niewielu ich pomieszkiwało w Poland) — opracował grę zręcznościową polegającą na łowieniu nie dłuższych niż metr krokodyli. Ku mojemu zdumieniu, inni cholerni jegomości natychmiast wypuścili na dom sforę gadów, a jeden z tych bydlaków ubrany został w przykrótki T-shirt z rysunkiem Kaczora Donalda. To właśnie tego miałem pochwycić, donnerwetter. Kiedy goniłem go po domowym oranżerium pełnym wielkich, ociekających wilgocią paproci made in fucking kambr or something, role gry odwróciły się. Gad zyskał jakby na wielkości, stał się cholernie ruchliwy i zapierdalał teraz prościutko na mnie, w tym różowiułkim T-shircie z mordą (tym razem) Myszki Miki.

— Dzi'sas! — wrzasnąłem przerażony. — Łapcie go, bo mnie zeżre. Fuck!

Ale dom nagle opustoszał, a gąszcz gnijących roślin opanował wszystko wokół i ponad. Wilgoć tak silnie penetrowała moje płuca, że czułem się niemal podtopiony. Ciężko dysząc, sadziłem przed siebie wielkimi susami, raz po raz zapadając się w bagnistą podłogę, aż wreszcie, po kolejnym rozpaczliwym skoku, utknąłem w niej na dobre. Krokodyl płynął ku mnie z cynicznym uśmiechem Jacka Nicholsona. Nie spieszył się wcale. Miał mnie już w garści, pieprzony gadzior.

— Shit! — wrzasnąłem rozpaczliwie, marząc o obskurnych kaflach stacji metra na Rado, niewidzialnych usteczkach ciotki Edeltraudy, a nawet o listopadowym niebie (sierść golden retrievera — złota polska jesień — koreańskie źrenice spod żółtych powiek — motherfucker). — Hilfe!!!

Krokodyl zatrzymał się jakiś metr ode mnie i odezwał się wysokim głosem:

— Nie należy chodzić do pornokina zainstalowanego w byłej świątyni. Nie wiedziałeś, dupku jeden?

— Nie — skłamałem. — Ja pracuję dla Obcych. Niech pan zapyta w ich bazie na Jagiellońskiej. Powiedzą panu, co i jak. Kazali być aktywnym, no to, querwas, jestem aktywny. Jestem całkiem on, a przecież wcześniej byłem total off. Robię, co się da.

Gad pokręcił głową, podciągnął opadający T-shirt i zaśmiał się ochryple:

— Nieprawda, człowieku. Oni wcale nie są z ciebie zadowoleni. Nie po to dla nich pracujesz, żeby wałęsać się po elektronicznych burdelach.

Miałeś stać się lepszy. Miałeś ratować ślady Boga zmywane przez potęgę pieniądza Euro.

Strzyknąłem śliną, bo błoto zalewało mi usta.

— Nie to było w kontrakcie... — dyszałem w stronę śmiejącego się gada — ...nic o Bogu...

— Widać nie przemyślałeś kontraktu — odpowiedział spokojnie i zanurkował ku moim bezradnym członkom tonącym w zielonej zawieszynie bagna. — Pomogę ci lepiej pojąć jego zasady, ale najpierw staniemy się jednością.

Nie czułem bólu, kiedy mnie zjadał. Zastanawiałem się tylko, na co mu aż sześćdziesiąt cztery kilogramy mojego żyłastego ciała i Bóg wie ile niestrawnych wspomnień, których zważyć no chance.

Aż zgasty moje myśli i obudziłem się. Byłem jak brandnewman.

Widać trzeba mnie czasem zeżreć, żebym wreszcie poczuł się lepiej.

* * *

Wyszedłem z domu pomiędzy 2 AM a 3 AM. Palilem tytoń i dmuchałem dymem w

kierunku metra na Rado. Szedłem do stacji Rado, aby połknęła mnie i wypluła w całkiem innym miejscu, byle dalej od mojego kondominium, byle dalej od cholernych snów z metrowymi krokodylami. Mijane wieżowce pochylały się ku mnie ciemnymi szpalerami, gdzieniegdzie paliły się jeszcze światła, a zmutowane inteligentnym betonem. Jaskółki śpiewały swoje nocne pieśni. Swallows string connection. Fuck me.

Z ulgą przywitałem mroźny powiew na policzkach.

Pogoda była jak się patrzy. Grafitowe chmury waliły na łeb i szyję, oszczędnie podświetlone przez SilesiaIndustryCorp®; nisko, chyłkiem, jak ławice ciężarnych troci, zwinnie mijając zastępy anten porastające dachy wieżowców. Mżawka z łatwością przenikała postawione klapy mojego płaszcza. Białe kłęбки mgły snuły się u moich stóp, jak psy husky węszące za saniami pana, jak duchy górników szukających wygasłych kopalni, jak smog z dobrych czasów Chorzów/Batory/City. Gdzieś wysoko jęczały stratosferyczne frachtowce, tuż pode mną skrzypiał brudny, podmarzający deszczosnieg.

— O tak — zabalgotałem pod nosem. — Nie znajdziesz nic piękniejszego niż Silesia by night.

Nocne niebo skrzywiło się w bezzębnym uśmiechu. Ja wzruszyłem tylko ramionami i postawiłem kołnierz płaszcza.

Potem miałem mały, nagły outoftheblue. Przeciętny, konieczny do przeżycia break w neurotransmisji. Fuckin' hangin'. Palimpsestos.

Ocknąłem się dopiero w subwayu.

* * *

Nie wiem, dokąd jechał mój pociąg.

Siedziałem na samym końcu wagonu, niczym ostatnie jajo w odwołku karalucha, w pulsujących kadrach niesprawnych halogenów, raz po raz wyświetlających na brudnych szybach chude oblicze kogoś obcego, niepotrzebnego już nikomu, prócz żarłocznych, wiecznie głodnych eurodanych, które płynęły przez mój rdzeń i rozświetlały obolałą od sztywnego siedziska dupę. Nie chciało mi się nawet looknąć, czy jedziemy w kierunku down czy up, left czy right. Byle jechać, przemieszczać się, ewakuować, donikąd, gdziekolwiek, bo i tak nie zdefiniowałem żadnych strategicznych celów.

Minąłem sztuczne wyspy na północnych rozlewiskach Rawy Blues Corp, otoczone pancernymi zasiekami sprowadzającymi nasze doskonałe EuroEEG do barbarzyńskich wyładowań typowych dla noneuropian. Podobno na jednej z nich zachowano radioaktywne wspomnienia Londynu. Może to i prawda, myślałem, patrząc w sine kłęby mgieł wyściełających rzekę, a może nie. Może i hodują tam fragment GB, wypalonej do cna i w połowie zatopionej przez okrutny, zmasowany atak arabskich N-głowic. Zima 2042. Dupnęli w nich straszliwym, poliatomowym uderzeniem, wspartym wirusami niszczącymi szpik, tak żeby choroba popromienna jeszcze skuteczniej zabrała większość brytyjskich braci na zawsze out. Mówili, że to właśnie wtedy my, Polacy, skazani zostaliśmy na dominację Frenchów i Dojczów. A z tymi kolesiami popłynęliśmy na dobre.

— Fuck — westchnąłem. — Jeśli naprawdę Amerykanie klonują tam Londyn, to ciekaw jestem, kto go później zasiedli?

Mgły Rawy zostały w tyle, a pociąg wydał z siebie ostatnie tchnienie i złożył mnie delikatnie na ostatniej dostępnej stacji.

Ofkors. Nie ma darmowych podróży. Podłączyłem się przy A-Gate do rdzeniaka, a oni wzięli z moich afektywnych magazynków, co trzeba. Nie poczułem nawet śmiechu. Chyba nawet i to gównu mi podpieprzyli, primitives and cool. Wzdrygnąłem się tylko nieco, włożyłem łapy do kieszeni i poszedłem dalej, ku skrzącym się kopułom Netsznurów, przez gigantyczne śmietnisko na wpół obłąkanych mobile-reklam, których nie sposób było

definitywnie zutilizować (prawo pozwalało im reklamować producenta aż do upadku tego ostatniego), a które były out of the blue jeszcze silniej niż ja. Z każdym moim krokiem rodziły się na nowo do życia, unosząc się z wilgotnej ziemi, zapalając światełka na pordzewiałych pancerzykach, emitując swoje programy holo i popiskując w cichym szmerze padającego deszczu. Choć sam ledwie żyłem, pośród tych zmartwychwstałych mikrusów czułem się jak wskrzesiciel. Kroczyłem więc dumny niczym bóg otoczony setkami mniejszych braci, choć trudno byłoby uznać, że miałem do powiedzenia coś więcej niż ich prymitywne procesory. Odprowadziły mnie aż do służby NETsznurow, gdzie przepłoszył je nierejestrowalny dla mnie impuls EM.

— By, friends. — Z żalem pomachałem im zziębniętą dłonią i zanurzyłem się w świat, który wybrał kiedyś mój ojciec, teraz zredukowany do pakietu samonamnażających się informacji. — Powiem o was Obcym. Jesteście tego warci, bracia.

Światło służby zwięziło mi źrenice, a up-gniazdo w rdzeniu samoczynnie załapało connection. Dzi. Jak pięknie wszedłem... Nawet natręctwa nie zdążyły mnie dopaść, zostawiłem all of them za kopułą: złota polska jesień — sierść golden retrievera — śpiące oczy drobnej Koreanki — motherfucker.

* * *

W NETsznurach było nieoki. Jak mogło być oki, kiedy miałeś wrażenie, że płyną przez ciebie miliony schizoidalnych duchów, każdy z samobójem w wywiadzie. Bo niby jak nazwać porzucenie własnego białka na korzyść sprasowanych w cybers pakietów danych.

— Hi, Adam. — Cybers byli fuckin' fast. Ojciec odnalazł mnie, zanim jeszcze pobierałem myśli. — Miło, że wpadłeś.

A cóż on, querwas, mógł wiedzieć. Polepione scotchem levisy; to przecież one mnie tu przyniosły. Powyżej schotcha, czyli od dupy licząc, żaden z moich narządów nie pamiętał nawet, jak stary się nazywał, a co dopiero, jaką miał twarz. Teraz jawił mi się jako niebieski motyl z miniaturową głową jakiegoś wścizy, chyba tego z Poland, Walesa-Lech albo Lech Walesa, fuck me. Widać starego popierdoliło już na fuli, choć i w realu uprawiał szaloną jazdę. Pił górniolę, ćpał, co popadło i wrzeszczał, że on jest ostatni taki Polak, a nie żaden Euro, Dojcz czy Frencz. Z całego starego pamiętam tylko T-shirty z white/red fana na kłacie i antyeuro animacją na plecach. Stary był fanem Manchester United, ale nie dożył ich zatopienia przez arabskie poligłowice. Teraz miał to deep'in'ass, o ile w ogóle miał jakieś dupsko.

— Cześć, tato — westchnąłem w myślach. — Jak leci?

Nie leci — odpowiedziały dane zwane ojcem. — Stoi. Rzeczywiście. Niebieski motyl zdawał się trwać ponad czasem i rzeczywistością. Niczym delikatna bryza, muskały go wszechobecne strumienie danych, kolorowe wizualizacje innych cybers i netowych konstrukcji, o których nie sposób ani gadać, ani pisać, bo trzeba by mieć osiem jęzorów naraz albo pióro o szesnastu stalówkach.

— OK, tato — pomyślałem, czując nagłe zmęczenie. — Miło cię widzieć. Śnił mi się nasz dom, śmieszne, nie? Były w nim krokodyle.

Takie małe, metrowe, wiesz...

Twarz motyla powiększyła się, błyskawicznie zmieniając barwy, jakby chciała mi przekazać jakieś uczucia. Wyjściowo w cybersach nie było spontanicznego afektu, ale kto ich tam dzisiaj wie... Oni ewoluowali na swój netowy sposób, zarówno w sposobach komunikacji, jak i w namnażaniu potomstwa, którymi były dane definiujące kolejne pakiety osobowościowe typu cybers. Im bardziej się naprodukowali, tym więcej przestrzeni zyskiwali, bo dla nich przestrzenią była informacja. Żyli w sobie, poza sobą bądź skupiali się w megapakiety zwane sznurami, które mogły się równać w infopotencjale tylko z japońskim

SI. Po co się to wszystko wyprawiało i czemu miało służyć, trudno powiedzieć. Nie lubiłem oceniać. Bo niby dlaczego miałbym? Cokolwiek by rzec, mein Herr, ci goście umknęli Euro na dobre. A stary olwejsowo o tym marzył.

— Dom... Tak. Miałem kiedyś dom — powtórzyły dane, zwane ojcem, a moje myśli przeniknął nagły impuls bólu. — Teraz i na wieki mieszkam tutaj. Ale pamiętam tamten dom. Pamiętam mamę, która wkładała cię do wózka na poduszkach made in China, pamiętam, jak zsikałeś się w samonośne pieluchy made in Korea, pamiętam też, jak szliśmy wszyscy na spacer do parku Kościuszki, mijając stare buki made in Poland...

— Tak, tato. Muszę spadać — przytaknąłem z przerażeniem (ojciec zawsze miał heavy drive'a, jeśli szło o miejsce produkcji danego towaru) i sięgnąłem do rdzeniaka. — Narka.

Jednym szarpnięciem uwolniłem się z tej informacyjnej odbytnicy. Wyałtowanie było jak pchnięcie harpunem w corpus callosum. Resztki cybersów wiły się w mojej łepetynie na podobieństwo robali w gnijącym mięsie. Dobre było tylko to, że speedowo zdychały, miast przemieniać się w pieprzone muchy. Zrzygałem się ciotkowym rosołkiem. Na oślep szukałem wyjścia. Przy śluzie NETsznurów szardżowano mnie po raz kolejny.

Fuck.

Przesadzili.

— Dupki — wybelkotałem, z trudem utrzymując równowagę pośród podmuchów wiatru. — Los fuckeros.

Waliło śniegiem. Spadał z nieba jak karma. Jak miniaturowe kołdry. Na karalusze ciała. Nie umiałem złapać w dłoń. Dla mojego czarnego chitinomana.

Mój ryj był feelingsfree. Rejestrowałem pustkę. Myślałem bez myśli.

Mdłości. Lęk. Ból. Anhedonia. Moi kumple, thebest, heroinki, landrynki.

Aż do stacji metra towarzyszyły mi ławice kulejących reklam.

Bogiem jestem waszym. Jestem sobie. Ja.

Żółte oczy zdychającego retriwera — sierść Koreanki — złota jesień motherfucker — polska...

* * *

Myślenie powróciło o 5 PM. Szybko, sprawnie, jakby kto naszczał mi do łepetyny jak do nocnika.

Leżałem na posadzce kuchni, a popękane kafle zdawały się gorące. Namacałem palcami mętne pasma scotcha zwisające z lewisów i zbliżyłem je do oczu. Z trudem odzyskiwałem ostrość lookowania. Coś ciepłego sączyło mi się z szyi. Posmakowałem. Krew. Za szybko się wyałtowałem w NETsznurach.

— Querwas. — Wstałem i chwiejnie przemieściłem się do kibla. — Na cholerę im tyle afektu? Coraz więcej biorą tego gówna...

Przygotowałem herbatę, chyba z dziewiątego parzenia i założyłem noktowizory. Gacie mi spadały, trzeba będzie dokupić scotcha. Wibrowanie gniazd na karku sugerowało połączenie. Któż mógł do mnie dzwonić. Euroankieter. For sure.

— Nie odbieram — westchnąłem i wibracje ustały. — Piję herbatę i czekam na karalucha.

Na kogo naprawdę waitingowałem, uprzytomnił mi dopiero giorgio–armani, który wysączył się z drzwi tuż przez 6 PM.

Gość wszedł cicho (karminowe kształty na moich noktowizorach), uśmiechnął się (wybuch czerwieni) i pogłaskał mnie po twarzy (żółty, rozgrzany słońcem piach).

Obcy. Mój Obcy.

* * *

Siedziałem na krześle, które miało trzy nogi i wiele zawiłych w kształcie ramion. Zawsze je z sobą przynosił, rozkładał i cierpliwie czekał, aż zasiądę. Błazen na królewskim tronie.

— Jak się czujesz? — Obcy brzmiał jak lekko zdilejowana harfa, wielobarwnie, łagodnie i długo. Rzadko kiedy słyszało się kolory w słowach. — Dbalesz o siebie w tym tygodniu?

— Tak — niespiesznie zdjąłem noktowizory. — Bardzo się starałem. Nie brałem narkotyków i byłem aktywny w życiu. Odwiedziłem ojca, myślałem o mamie, byłem w kinie i piłem słabe herbaty.

— To dobrze. — Delikatnie ułożył moje lewe przedramię na najdłuższym z oparć krzesła i znowu się uśmiechnął. — A twój afekt? Oddałeś?

Przez chwilę znowu zrobiło mi się niedobrze.

— Oddałem tyle, ile było possible. A może nawet jeszcze więcej.

Obcy pochylił się, a nad jego głową rozpostarły się dwa skrzydła błyszczących srebrem narzędzi. Moje nagie przedramię zadrżało w oczekiwaniu na ich chłodny dotyk.

— To bardzo dobrze — harfowy głos zabrzmiał jeszcze piękniej. — Przecież nie są nam potrzebne.

Narzędzia poruszyły się jak liście targnięte łagodną bryzą.

— To się robi coraz trudniejsze. — Ja natomiast mówiłem jeszcze ciszej. — To cholerne oddawanie emocji. Biorą teraz więcej, a ja przestaję cokolwiek czuć. Myśli się nie fuckują między sobą, break w komunikacji, pusto w głowie. Może trzeba by nieco zwolnić?

Wypuścił mi na dłoń dwie krople białego metalu, które natychmiast przemknęły w górę i usadowiły się po bokach przedramienia.

Chwilę później rozcapierzyły się na kształt palców i sięgnęły do delikatnej blizny na dosiebnej części mojej lewej łapy.

— Nie. — Harfogłos zadudnił przyjaźnie jak lekko trącona gruba E w elektrycznym wiośle. — Ten afekt jest skażony złem, rozpustą i pieniędzmi. Niech więc wraca do swoich mocodawców. Niech go puszkują w magazynach Euro.

— Dlaczego? Po co im dawać, co moje?

— On nie chce tego afektu. Boi się, że Go zniszczy swoim fałszem do reszty, a wtedy On schowa się jeszcze głębiej, gdzieś w lodowych labiryntach kraterów ciemnej strony Księżyca, gdzie spaliśmy przez wieki w oczekiwaniu na dni misji. A kiedy On się tam schowa, już nie będziemy mogli mu pomóc. Przestanie nas tu wysyłać. A wtedy tacy jak ty i tobie podobni nie będą mogli Go odbudować. Rozumiesz?

Fuck me. Niby kogo odbudowujemy? Z tych naszych polskich, wynajętych Obcym przedramion.

Metalowe krople bezboleśnie rozwarły moją skórę.

— Rozumiem — przytaknałem, bo Obcy znowu pogłaskał moją twarz. — I chcę dalej Mu pomagać.

— Dobrze. Róbmy więc, co trzeba.

Dwa skrzydła narzędzi opadły na moją lewą łapę jak setki aniołów zwabionych zapachem boskiej ambrozji. Pracowały bezszelestnie, z pokorą, w natchnieniu niemal, choć nie wydawały się częścią obcego ciała, a jedynie sprawnymi maszynami.

Mogłem już tam zerknąć. W rozwartą niczym gwiazdne wrota skórę mojej ręki. A pod nią czerwień. W poduszce z mięśni, pośród pętli naczyń krwionośnych, w świetle punktowych reflektorów unoszących się wszędzie wokół, spoczywały dzieła mojej egzystencji. Pięć maleńkich sarkofagów, pięć klonów, które we mnie wyrosły, pięć przyszłości, które wypełnią się wkrótce czymś innym niż cały ten syf, który w sobie dzwigałem i który panoszył się wokół. Pięć wolnych od wszczepów istot, ślepych jak psie szczenięta, nieruchomych niczym kadry zatrzymanego filmu, czystych jak lzy, a przede wszystkim bez napisu made in Euro, za to z mikroskopijnym logo (skorzystałem kiedyś z mikrooptyki Obcego) made for God®.

— Piękne — powiedział zachwycony Obcy i sprawnie włożył je do torby przy swoich

skrzydłach. — Jak zawsze pięć. Twoja hodowla jest szczególna, przyjacielu.

Może i tak było, inamatteroffact. A może nieco przesadzał, Dzi'knows. Błogi spokój. Tyle czułem, kiedy je zabierali.

— Tylko to potrafię — pokiwałem głową. — Hodować, co we mnie wkładasz.

Z dumą patrzyłem, jak implantuje mi kolejny zarodnik. Za pół roku nowe zbiory. A za tydzień pierwsza kontrola.

Marzyłem teraz o tej kobiecie z realu, która kiedyś zaoferowała mi siebie chipfree i bez gadugadu, a ja, fucking asshole, nie potrafiłem pojąć, że lepsza jest niż wszystko, co kiedykolwiek było mi dane. Mógłbym jej teraz pokazać, co naprawdę potrafię. Na co mnie stać.

Kropki troskliwie zamykały poły skóry na przedramieniu. Skrzydła z narzędzi karłały. Obcy uśmiechał się i głąskał moje spocone skronie. Czułem ciepło.

— Szkoda, że tego nie widzisz, lady — gadałem do nieznośnych wspomnień. — Jestem dobrym hodowcą. Towar na dark side Księżycy, straight to heaven, baby.

Obcy złożył krzesło do formatu parasola i schylił z pokorą swą ciemną twarz. Wyszedł cicho, a pożegnalny giorgioarmani doprowadził mnie do parapetu w kuchni, gdzie dopiłem spokojnie ostygłą herbatę. Potem podlepiłem gacie resztkami scotcha i zapaliłem skręta z tytoniu.

* * *

Karaluch pojawił się tuż po 11 PM. Dostojny, pancerny chitynowiec, bez żadnego loga na dupie. Prawdziwy freeman. Noktowizor wyświetlił go w zieleni skąpanej nieco redem. Jak krew na wiosennej trawie. Jak butelka brandy z czerwonym kodem pasków danych. Jak kocie oczy porażone punktowym światłem lasera.

Wiedziałem, że mój chitinofriend jest kiepskim mówcą, za to dobrym słuchaczem.

— Po prostu. Robię swoje — powiedziałem pewniej niż kiedykolwiek. — Może są i lepsi, kto wie. Myślę jednak, że wielu takich w Euro nie znajdziesz. To uczciwa robota, człowieku. Właściwie robię za wolontariusza.

A potem pogłaskałem czule moje lewe przedramię i wspomniałem widok płonących w Morzu Północnym Angoli, 2042. Nijak się miał do wszechobecnych fabryk Opel-V Wagon, które zastąpiły nam parkowe drzewa, i robotników pracujących dla korporacji Renaulta, gdzie nawet proces pocenia się definiowały francuskie euronormy.

— Jeśli tego chce, to wyhodujemy Go od nowa.

Karaluch przemknął do kabiny z prysznicem. Podrapałem się po fiucie i strzyknąłem śliną w szybę okna. Natręctwa były szybsze od śliny, dopadły mnie, zanim spłynęła: złota polska jesień — sierść golden retrievera — skośne oczy w żółtej skórze liczącej szmal Koreanki — motherfucker.

— Bo niby co lepszego mamy, querwas, do roboty? W końcu będzie made in Poland.

I wcale nie chciało mi się śmiać. Byłem śmiertelnie poważny. Really.

Władca Deszczu

Lukasz Orbitowski urodził się w 1977 roku. Absolwent filozofii UJ. Po kilku latach obijania się po pismach i wydawnictwach „wysokokulturowych” zwrócił się w stronę fantastyki. Zaczął wraz z „Science Fiction”, publikując *Diabła na Jabol Hill* w pierwszym numerze tego pisma. Jego opowiadania drukowały „Nowa Fantastyka”, „Sfera”, „Science Fiction” i „Ubik”. Wydano mu dwie książki (*Złe Wybrzeża* — 1999, *Szeroki, głęboki, wymalować wszystko* — 2002), zapowiada trzecią, *Horror show*, jak tylko się ociepli.

1

Wierzbica to betonowa dziura na północy Lechii. Otoczona przez lasy i pola, przypomina szare oko pierścienia. Najbardziej lubię ryneček ze starą zabudową i pomnikiem Stoigniewa. Wielki Lechita stoi w rozkroku, ze świętym węzem w ręce, i wygląda, jakby zaraz miał cisnąć gada i pójść do karczmy. Jedną powiekę ma przymkniętą. Pomyślałem, że puszcza do mnie oko i świetnie się rozumiemy: fałszywy mag i marmurowy prorok.

Ludzie żyją tu z trzech wielkich gospodarstw, półkołem otaczających Wierzbicę. Nie wiem, co tam sięją. Facet, który mnie zaprosił, mówił, że mają więcej nagród niż bogowie imion. „Co im po nagrodach — myślałem — skoro od miesiąca nie spadł tutaj deszcz”.

Spędziłem pół życia w obozach, pełnych komuchów, wszy i katolictwa. Następny zrobiłby ze mnie wraka. Podniosłem ceny i — odkąd stanąłem w Wierzbicy — zastanawiałem się, jak zrobić szybką emeryturę i żyć w spokoju. Może to dziwne, ale zawsze, gdy zakładam strój kapłana, czuję się jak ostatni osioł. „Taka branża” — myślałem, czekając w knajpie na faceta, który mnie tu ściągnął.

Do dziś sędzę, że Wened to przyzwoity chłop. Wygląda, jakby wiatr wirował mu pod ubraniem. Wyłożyliśmy noże, Wened postawił kolejkę miodu i oznajmił, w czym rzecz.

— Sprawa pierwsza, najważniejsza — mówiąc to, udałem zamyślenie. — Deszczu nie przywołam, klaszcząc w ręce. Potrzebuję paru dni. Dobrego miejsca, blisko pola, ale w ukryciu. Paru ludzi na ceremonię.

Trudność mojego zawodu polega na tym, że nikt nie zapłaci za parę płasów w samotności. Muszę być widziany, odstawić szopkę z maską, świętym ogniem, pomachać niebu rączkami i ruszyć do kasy. Ludzie chcą widzieć, za co płacą.

— O pieniądze nie musisz się martwić — odparł. Pociągnął płytki, nerwowy łyk. — O ludzi też nie. Z wyjątkiem jednego.

— Niech zgadnę... Rada Starszych?

— Ja jestem z Rady Starszych — rozchylił wilgotne wargi. — Ale trafiłeś. Ten jeden to mój kolega, Słońcisław. Cięty na zabobony, ale Zadrużanin z krwi i kości.

Darowałem sobie informowanie Weneda, że każdy Słońcisław jeszcze niedawno był Stefkim czy Romkiem.

— Nasze żony się przyjaźnią i na pewno go poznasz. Ani słowa, bo polecimy razem. Jesteś moim kuzynem, dobrze? Przyjechałeś ze stolicy odpocząć.

— Mówiłeś mi, że ten twój... Słońcisław, tak...? — skrzywiłem się — to Zadrużanin pełną gębą. Nie zaznaczyłeś, że jest idiotą.

Twarz Weneda zmąciło zdziwienie.

— Posłuchaj — podjąłem. — Jak się umawialiśmy, sprawa była czysta, tak? Bez żadnych Słońcisławów. I niech tak zostanie. Nie chcę go widzieć. Miałem dość kłopotów.

— Nie rozumiesz — przygryzł wargi. Przejechał dłonią po włosach. — Słońcisław dużo widzi. To mądry facet...

— Jeszcze lepiej.

— Jego żona, Lilia, jest z nami.

— Poradzę sobie bez żony. Znam się na robocie.

— Nie dasz rady. Uwierz mi.

Poprosiłem o następny miód.

— Jeśli mnie tu ściągnąłeś, to słyszałeś coś o mnie, prawda? — nachyliłem się do Weneda. — I wiesz, że nie kabluję. Siedziałem pięć lat i nie sypnąłem. Jeśli w grę wejdzie babski język, możesz wpaść ze mną.

Wened jakby skurczył się w sobie. Obrzucił knajpę niespokojnym wzrokiem. „Bogowie — pomyślałem — ten gość jest jak dziecko”.

— Wiesz, co to jest obóz, przyjacielu, co to znaczy apel o trzeciej rano, świątek, piątek, lato, zima, aż ci zamarza gównno w dupie? Widziałeś siebie kiedyś w roli przedłużenia kilofa? Tak, Wened... kilofa. Mogą mieć sprzęt z wojen gwiazdnych, a tobie dadzą kilof, żebyś wiedział, co to praca. I żeby wzbudzić w tobie żal. Nie w twojej głowie — puknąłem się w czoło — ale w koniuszkach nerwów, w kościach i mięśniach. Chodzi o to, żeby każda komórka twojego ciała błagała o wybaczenie. Dlatego, Wenedzie, żadnych bab. I żadnych Słońcisławów.

Sięgnął po szklanekę z kwasem chlebowym. W jego oczach zatańczyła iskierka, jak zza zadymionego szkła.

— Więc nie chcę wiedzieć, co to obóz — rzekł — dlatego podwajam stawkę.

Można powiedzieć, żeśmy się dogadali.

* * *

Słońcisław przypominał Draculę z filmów sprzed stu lat. Chudy, krzepki i wyższy o głowę od słynnego wampira, budził niepokój. Gdy siedział, czułem się pewniej. Trzymał się dziwnie prosto, jakby kij połknął. Jedząc, nie pochylał głowy. Brał małe kęsy i żuł powoli. Pod krzaczastymi brwiami drżały ciemne oczy. Wymieniliśmy kilka spojrzeń i byłem pewien, że mnie nie polubi.

Zawsze mówię, że ludzi nie można odmienić. Przez pięćdziesiąt lat krajem targały zmiany. Czterdzieści milionów zasnęło w Polsce, by zbudzić się w Lechii. Powyrastały święte gaje, klechów przegnano, lewactwo wylądowało w obozach, słowem, koniec świata. Możesz jednak manipulować narodami, a nie ludźmi. Pobudzisz zmiany, ale nie przewidzisz ich kierunku. Jeden Lechita jest mądrzejszy od zespołu pianistów, ale gdy sam zostaje pianistą — traci siły.

„Ludzie są jak skansen — myślałem, patrząc na pijane towarzystwo u Weneda. — Za Sasa, pod zaborami, za piłsudczyków, komuchów i lewaków bawili się tak samo. Gospodarz intonował pieśni, jego barani bek ginął w burzy oklasków”.

Słońcisław pił po swojemu, sztywny jak wieko trumny, tylko pysk mu pęczniał i czerwieniał. Rzucił kilka sprośnych żartów i nawet, gdy nie mówił, mełł wargami, podobnymi w półmroku do gotowanej wołowiny.

Jego żona to inna historia. Smukła latarnia na cmentarzysku statków. Jedna z tych, przez które mężczyźni wpadają na slupy. Wystarczyły dwa słowa i połapałem się, że jestem w jej oczach kimś, kto z planetnikami co tydzień pije kwas chlebowy na chmurce.

— Sprowadzasz deszcz? — usiadła przy mnie.

— Ciszej — wykrztusiłem. Zerknąłem. Słońcisław wreszcie opadł na stół. Uszy nabiegły mu fioletem. Nabrałem podejrzeń, że ten dobry Zadruzanin pije, bo musi.

— Nie słucha nas — szepnęła. Wstałem. — I nie widzi.

Wened zajmował piętrowy domek przy głównej alejce. Dość w nim było pokoi, aby się skryć. Wymknęliśmy się na piętro, do biblioteki. Wszystko działo się tak szybko, że prawie zapomniałem o butelce.

— Chcę, żebyś wiedział, że to ja ściągnęłam cię tutaj — powiedziała. Stałem oparty o regał. Lilia usiadła na stole.

— Tego się domyśliłem.

— Powinieneś też wiedzieć, że są tu ludzie ci życzliwi. Ale są też tacy, którzy posłaliby cię do kamieniołomu już na zawsze.

— Twój mąż na przykład — pociągnąłem solidny łyk. Brakowało mi papierosów. Cóż, prawdziwy Lechita jest wolny od nałogów.

— Nie jest sam. To stary pierdoła — wyglądała, jakby zaraz miała się rozbeczeć. — Nudny osioł. Nawet nie zauważył, że mnie nie ma. W towarzystwie interesuje go tylko wódka.

— Tego również się domyśliłem.

— Zawsze mówię, że tacy jak on mogą zrobić karierę tylko w takiej dziurze. Dość o nim, przepraszam, że w ogóle zaczęłam — chwyciła mnie za rękę, jakby zamierzała zatańczyć. — Chcę, abyś mi opowiedział o swojej pracy.

Otarłem usta. Miałem już powód, by narazić się Słońcisławowi i nie potrzebowałem następnego.

— Patrzę na to w ten sposób. Niektórzy mają dar zaklinalnia stali.

Budują maszyny. Inni umieją zaczarować drewno albo słowo. Moja mała magia odnosi się do chmur. Nie umiem odpowiedzieć, dlaczego. Bogowie tak chcieli. Myślę, że byłoby nudno, gdyby wszyscy umieli to samo.

— A planetnicy? — przysunęła się do mnie. — Widziałeś kiedyś?

Równie dobrze można pytać klechę, czy rozmawia z aniołami.

— To nie takie proste. Wiem dużo o planetnikach. Być może ktoś od was rozgniewał jednego.

— Myślę, że wiedziałabym o tym — odparła poważnie.

Z magią jest tak, że chowa się przed światłem fleszy. Są istoty, które mają cele odmienne od naszych. Potrzebujemy siebie nawzajem, żeby istnieć. Planetnik daje nam deszcz, ale najbardziej boi się, że o nim zapomnimy. Ta susza to ostrzeżenie.

— Nie wiedziałam, że planetnika można skrzywdzić.

— Planetnik... — ściszyłem głos. — W gruncie rzeczy niewiele o nim wiadomo. Czasem jest chłopcem, czasem karzełkiem, czasem to cień albo postać utkana z chmur. Podobno to duch samobójcy. Niekiedy zjawia się na ziemi w ludzkiej postaci. Zatrzymuje samochód i prosi o podwiezienie. Albo przychodzi do domu i nalega na drobną przysługę. Kiedy spotyka się z odmową, wywiera zemstę na całej społeczności. Dlatego pytam, czy ktoś u was mu się nie naraził.

— Myślisz, że zdołasz go przebłagać?

Czułem na twarzy jej oddech.

— Ja nie, wy tak. Zrozum, nie jestem cudotwórcą. Jak strzelę z palców, to deszcz nie lunie. Łączę w sobie energie, nadaję im kierunek. Potrzebuję was. Wszystkich, którzy mi wierzą. Inaczej — twarz Lilii wyrosła przed moją — nic z tego. I chciałbym zostać... — pocałowaliśmy się długo i namiętnie — ...dobrze zrozumiany.

Żyję z paplania ozorem, ale oddech nie wystarczył na więcej słów.

Godzinę później wymknęła się z biblioteki. Pozbierałem się do kupy i gdy zjawiłem się na dole, dostrzegłem, że Słońcisław przegrał walkę z miodem i leży na trzech krzesłach, twarzą do podłogi. Lilia z gospodarzem próbowali doprowadzić go do porządku. Dziewczyna posłała mi uśmiech.

Szansę na przyjaźń ze Słońcisławem poważnie zmalowały.

* * *

Różnica pomiędzy mną i klientami jest taka, że im się zawsze spieszy, a mnie prawie nigdy. Wymawiając się kalendarzem świąt i koniecznością duchowego przysposobienia, spędzałem tygodnie pod ciepłym dachem, z dobrym jedzeniem, i, jak się okazało, miłą dziewczyną. Wpadałem do niej, gdy Słońcisław był w pracy, bredziłem o planetnikach i topielcach, by przejść do magii ciała.

Rozmowa zawsze schodziła na Słońcisława. Czułem się niezręcznie. Sprawił na mnie wrażenie podstarzałego faceta, który stracił kontrolę nad własnym życiem. Przeciętny i zasadniczy, zawędrował za wysoko w lokalnej społeczności. Takiego kustosza potrzebuje każde muzeum. Powinien mieć cichą pracę, tyjącą małżonkę i gromadę rozbręczanych bachorów. Nie nadawał się na Starszego ani na męża młodej żony. Pasował do niej jak garnitur do figury z wosku.

— Gdy robisz karierę na dupie, to po dupie dostaniesz — mówiła. — Kiedyś mi imponował. Myślałam, że wyjadę na jego plecach, zostawię tę dziurę — i wiesz, co ci powiem? Chciałam, żeby Wierzbica uschła. Zmieniła się w stare jabłko. Nienawidzę tego miasta. A potem okazało się, że ta dziura jest za dobra dla niego, że ledwo sobie radzi. Co mi będzie mógł dać za dziesięć lat... parę groszy i kaptur w spodniach. Rozumiesz, Zbyszek?

Czułem delikatne zażenowanie. Chciałem oszukać miasto Słońcisława, ale każdy musi jakoś żyć, prawda? Stawał mu raz na przesilenie, więc pieprzyłem jego żonę. To też w porządku. Ale mieszanie nieszczęśnika z błotem uważałem za niesmaczne.

Zwiedzałem okolicę. Zmarniałe pola przypominały wyschnięte dno jeziora. Trawa zbrązowiała pod okrutnym słońcem, srebrne maszyny stały nieruchomo i miałem wrażenie, że kurczą się, matowieją i grzęzną w spalonej ziemi.

Zawędrowałem pod pomnik Stoigniewa. Patrzyliśmy na siebie. „Co zrobiłbyś, mądralo, na moim miejscu? Jaka magia stała się twoim udziałem? Przegoniłeś stare słońce, jakbyś wierzył, że nowemu zdołasz rozkazywać. W gruncie rzeczy robimy to samo. Zaklinamy ludzi i chmury. Ale ty masz pomnik, ja jedną kurtkę i zwyczaj oglądania się za siebie. Zamieniłbyś się? Hej? Moja tułaczka za twój marmur?”

Wszedłem do gontyny. Podziwiałem złocone figurki zwierząt, podłogę jak pszenica i wielki posąg Świętowita, przed którego wzrokiem nie można się ukryć. Zwróciłem uwagę na znak słońca, powyżej figury, i pomyślałem, że rzeczy czasem szyczą z ludzi. W drzwiach świątyni stanął Słońcisław.

— Myślę, że powinniśmy porozmawiać — powiedział. Głos skrzypiał mu jak deptany śnieg.

— Nie tutaj — szepnąłem i wskazałem na posąg. — Słyszysz nas.

Knajpa była pusta. Zamówiłem kolejkę. Wyłożyliśmy noże. Mój wyglądał jak ubogi krewny. Wokół perłowej rękojeści noża Słońcisława wił się złoty wąż. Błyszcząca głowa spoczywała na ostrzu.

— Wiem o tobie — powiedział.

Zrobiłem zdziwioną minę.

— Nie udawaj. Ludzie mają cię za półboga. A ja nie pozwolę, żebyś mącił im w głowach.

— Rozumiem, że nie mam szans cię przekonać, że przyjechałem tu na wakacje — stuknęliśmy się. — W takim razie, kim twoim zdaniem jestem?

— Niektórzy powiedzieliby, że spełniasz marzenia. Ja mówię, że żerujesz na naiwności.

— Sądzisz, że przyjechałem, by sprowadzić deszcz? — roześmiałem się.

— Zbyszek to twoje prawdziwe imię?

— Miałem trochę szczęścia. Nie ma świętego Zbigniewa.

— Ale z tym szczęściem bywało różnie. Masz czterdzieści lat i jedną czwartą życia

przesiedziałeś. Pierwszy raz jeszcze przed dwudziestką i pierwszy raz za deszcz. Ostatnio, słyszałem, zamknięto cię za katolictwo.

Dobry był, skurwiel.

— Nie za katolictwo. Odpędzałem upiora.

— Kołkiem i siekierą. Oraz krzyżem. Jeśli wpadniesz, już się nie wybronisz.

— Katolik przyzywający deszcz, tak? — wyśmiałem go.

— Niektórzy bardzo chcą cię zamknąć, Zbyszek. A ja nie chcę tu ani planetników, ani aresztowań — uniósł kubek. Stuknęliśmy się. — Choć świat bez ciebie byłby piękniejszy.

— Pozwolę sobie mieć inne zdanie. Problem w tym, że pięć lat obozu potrafi zmienić światopogląd. Chcę odpocząć. Nabiorę sił i poszukam zajęcia.

— Niczego nie umiesz, Zbyszku — powiedział łagodnie. — Tylko kręcić i kłamać.

— Załóżmy w takim razie, że chcę cię okłamać. Zamierzam pod twoim nosem wywoływać deszcz. Okropna zbrodnia, prawda? Człowiek potańczy, powyglupia się trochę i da ludziom nadzieję, że zła karta się odwróci.

— Za dobre pieniądze.

— Sądzę, że ty też masz na podwieczorek. A twoich słów już nikt nie słucha. Co jeszcze możesz powiedzieć tym ludziom? — odstawiłem kubek. — Że trzeba wierzyć, że jeszcze trochę... Że wymaga tego Lechia, naród, ziemia, wola twórcy czy kto tam jeszcze? Co możesz im dać zamiast pustych bredni?

— Na pewno nie gusła.

— Gdybym chciał iść na pogawędkę z planetnikiem, powiedziałbym teraz, że nasze gusła niczym się nie różnią. Zawiodłeś. Siedzisz na ciepłym stołku, pasiesz się na tych ludziach i nic. Nie pomożesz. Ja, gdybym mógł wywołać deszcz, dałbym Wierzbicy sens.

— Jesteś z tych, których skręca, gdy mają powiedzieć prawdę. Moja prawda to dzieło zapisane w historii. Patrzę, jak ludzie łączą swoje losy z narodem, z przeszłością i przyszłością, jak splatają się w łańcuch pokoleń. Widzę Lechię, którą można by zbudować — głędził — ale widzę też takich, którzy myślą tylko o sobie.

„Święta racja, brachu — przemknęło mi przez głowę — o mnie Lechia raczej nie pomyśli”.

— Jak już jesteśmy przy Lechii, to ani ja, ani nikt tutaj nie doczeka jej rozkwitu. Można urobić sobie ręce. A kto wie? Być może rzeczywiście spadnie deszcz.

Zabrałem nóż i poszedłem do wyjścia. Przy drzwiach obejrzałem się. Słońcisław przesłał mi łagodne spojrzenie. Zrozumiałem, że także kłamał.

2

Ceremonię ustaliliśmy na najbliższy dzień słońca, zwany kiedyś niedzielą.

Zabawne. Odkryłem, że wielcy reformatorzy religijni, jak Chrystus czy Stoigniew, zajmowali się dzierzawieniem świąt. Starożytne Jule przerobiono na Boże Narodzenie, zagarniając celtycką choinkę. Teraz mamy równonoc i jestem pewien, że gdy Lechia przeminie, znajdzie się nowy szyld dla starego święta. „O co się bić — myślałem, czekając na Lilię w domu Słońcisława — przecież w każdej religii chodzi o jedno. Żeby być miłym misiem. Innym krew zalewa usta”.

Kręciłem się po pustym domu. Z okien mogłem łatwo zobaczyć, kto nadchodzi, i wymknąć się tyłem w razie czego. Słońcisław był o tyle idealnym mężem, że nigdy nie wracał wcześniej. Ale wolałbym pieprzyć się w zakamarkach u Weneda albo dokazywać w lesie. W łóżku Słońcisława czułem się jak pasażer na gapę i starania Lilii tego nie zmieniały.

Słońcisław żywił zamiłowanie do papierowych książek. Ulegał magii papieru. Myślę, że różnica pomiędzy wydaniem papierowym a elektronicznym jest taka, jak pomiędzy lasem a

żywoplotem. Ja lubię książek słuchać, najchętniej starych powieści pozostawionych przez Lechię przy życiu. Chętnie wracam do Marka Twaina, choć nie sądzę, żeby *Listy z ziemi* stanowiły, jak nam wmawiają, jego najlepsze dzieło. U Słońcisława znalazłem wszystko: *Tajemniczego przybysza*, humoreski, *Tomka Sawyera* i *Huckleberry'ego Finna*, wydanie z początku wieku, z pojaśniałą, foliową okładką. Czekać na Lilię, przeczytałem czterdzieści stron. Znudzony i rozzłoszczony, postanowiłem przetrząsnąć dom w poszukiwaniu papierosów. Szedłem o zakład, że stary alkoholik zachomikował parę paczek.

Zakaz palenia, ogłoszony w XII roku Lechii, z mojej perspektywy przypominał zalewanie betonem studni na pustyni. Wówczas zrozumiałem, że Lechia istnieje, aby mi przeszkadzać. Doświadczenia więzień i obozów nie zmieniły tego przekonania.

Znam drogę odciętego od nikotyny i rozpoznaję podobnych sobie. Po jedzeniu albo kubku miodu ręce dostają szału. Słońcisław wymachiwał chudymi ramionami, jakby odpędzał upiory. Potem splatał je, jedna pilnowała drugiej. Przyłapałem go na gryzieniu ołówka. Prawie zaciągał się grafitem.

Gdzie tacy ludzie mogą mieć skrytki? Ostukałem biurko, zajrzałem na regał, poodsuwałem książki, podniosłem materac i sprawdziłem umywalkę. Nie natrafiłem nawet na ślad popiołu. Nic dziwnego, facet tego pokroju musi się pilnować.

Ostatniego papierosa wypaliłem w kamieniołomie. Smakował jak ukręcony z zasszonego gówna.

Zszedłem na parter do biura Słońcisława. Biurko już sprawdziłem. Wątpiłem, aby trzymał szlugi w którejs z zamkniętych szuflad. Zerknąłem przez okno, czy nikt nie idzie, i zacząłem przyglądać się obrazom.

Zdjąłem jeden i nim zdążyłem go odwieść, ukazało się przejście pomiędzy regałami.

Mogłem iść o zakład, że wcześniej go nie było.

Zszedłem po stromych schodach. Poczuję się jak Tomek Sawyer grający w ciuciubabkę ze złym Indianinem. Na dole ciemność. Sunąłem przy ścianie z duszą na ramieniu, przerażony, że Słońcisław wróci i zastanie otwarte przejście. Z dziecięcej szafy wypełził strach przed pułapką — przed ostrzem ścinającym głowy, dołem pełnym węży, pokojem bez wyjścia. Nie wiedziałem, jak długo idę. Straciłem z oczu światło ze schodów, straciłem wycucie odległości. Bałem się, że gdy puszczę ścianę, już jej nie odnajdę.

Ten korytarz musiał powstać dawno temu. Tynk odchodził płatami. Kucnąłem. Betonowa podłoga, wilgotna i zimna. Obok kapala woda.

Spojrzałem za siebie. Ostatnia szansa, aby zawrócić.

Poszedłem dalej.

Teraz wiem, że korytarz był krótki, tylko szedłem jak po szkle. Zaczął się wznosić, musiałem schylić głowę. Nagle oślepiło mnie światło. Zrobiłem krok po omacku. Oczy otworzyłem wśród drzew.

Odkąd za zaśmiecanie lasu można trafić do pudła, każdy kawałek zieleni lśni jak na landszafcie. Nie lubię takich miejsc nie tylko dlatego, że jakiś idiota pokłonoł tury. Czy gdyby mocą ustawy nakazano wielbić miody, ktoś jeszcze chodziłby do baru?

Z kilkunastu kroków wylot korytarza był niewidoczny. Ktokolwiek go używał, dbał, aby nie przejrano jego tajemnicy. Wróciłem i nożem zrobiłem znak na drzewie. Prawie zapomniałem o papierosach. Nie uszedłem daleko, gdy wrócił głód tytoniowy.

Trochę błądziłem wśród drzew, zastanawiając się, kto i po jakiego czorta zawracał sobie głowę podziemnym przejściem, gdy znalazłem niszczącą chatę. Kiedyś musiała stać na polanie — drzewa wokoło były wyraźnie niższe. W spadzistym dachu ziały dziury, ale okna pozostały nienaruszone. Odłamana rynna sterczała cudacznie jak przetrącone ramię.

Wewnątrz palono świece. Zbliżyłem się ostrożnie, zerknąłem przez okno.

Z początku nie wiedziałem, na co patrzę. Byłem świadkiem cudacznego obrzędu i czułem się niczym antropolog obserwujący barbarzyńskie kultury. Liczbę zgromadzonych oceniłem na

dziesięciu. Rozpoznałem Słońcisława. Wszyscy klęczeli przed zabiedzonym facetem, wciśniętym w coś, co z grubsza przypominało czarną podomkę. Przysłaniał sobą komodę przystrojoną w biały obrus, chyba jedyną czystą rzecz w tym miejscu. Ktoś nieudolnie wyhaftował na nim rybę, podobną do tych, które malują dzieci. Nie miała oczu ani płetw, tylko śmieszny ogon złożony z dwóch kresek. Wydało mi się zabawne, jak można modlić się do czegoś takiego.

Czekałem. Ci wewnątrz byli zbyt skupieni, aby patrzeć w okno. Staruszek w podomce zabrał ze stołu srebrny kubek, uniósł go w górę, coś mamrocząc, i wypił zawartość z wyraźnym namaszczeniem. Reszta klęczała. W rękach staruszka pojawiła się kromka chleba. Znów coś powiedział, połamał chleb i wszedł między klęczących. Każdy, kto dostał kawałek do ust, pochylał głowę. Pomyślałem o wysiłku, jaki wkładam w swoją ceremonię i, patrząc na przejętego Słońcisława, doszedłem do wniosku, że podobny efekt da się osiągnąć przy znikomych kosztach. Głupi sukinsyn, mnie przegania, a sam nurza się w jakimś barbarzyństwie. Zastanawiałem się, co to za obrzęd, nie przypominał żadnego, który był mi znany.

Ale kiedy zebrani, jak na zawołanie, zrobili znak krzyża, замуrowało mnie. Dłoń Słońcisława poruszała się niczym dźwignia. Odszedłem w pośpiechu. Na pewne rzeczy nie warto patrzeć zbyt długo.

Znałem tylko jedną osobę, która powinna się dowiedzieć.

* * *

Przed ceremonią czuję zażenowanie właściwe starej dziwce, zdejmującej ubranie w sposób zachowujący pozór zmysłowości. Z książek i broszur o obrzędach starych Lechitów można by zbudować drugi mur chiński, żadnej jednak nie przeczytałem. Zdaję się na intuicję. Słucham zebranych jak matka dziecka w swoim brzuchu. Czytam słowa z ich warg. Ich oddech staje się moim. Idę zawsze tam, gdzie zabraknie im odwagi.

Zebraliśmy się w szesnastu. Stojem zawstydzonym pogrobowców katolicyzmu. Miałem złotą szatę, ozdobioną promieniami słońca i przeciętą srebrnymi kroplami deszczu. Gdy wdziałem ją po raz pierwszy, krople przypominały mi ołów spadający z nieba. Do tego nosiłem sandały z delikatnej skóry, bransolety, pierścienie, wielki naszyjnik z symbolem tak tajemnym, że dotąd nie przeniknąłem jego znaczenia, oraz maskę.

Przede wszystkim maskę.

Zdobyłem ją na pchlim targu, nie wiedząc jeszcze, do czego mi posłuży. Po oczyszczeniu jej wyłonił się ponury satyr z kręconą brodą i zrosniętymi brwiami. Głębokie bruzdy na policzkach przypominały korę. Ze środka czoła sterczał rybi pysk. Rogi nad uszami dodawały potworkowi pewnej wytworności. Odkryłem, że kiedyś masce towarzyszyła peruka. Zarzuciłem pomysł sporządzenia nowej i przed ceremonią ozdabiałem głowę trawą i liśćmi. Maska miała też właściwości magiczne i nieraz ocaliła mój tyłek.

Na obrzęd wybraliśmy nasłonecznioną polankę, niedaleko gospodarstwa. Czekałem w pełnym stroju od świtu. Ostatni uczestnik zjawił się w południe.

Każdy ubrał się, w co miał najlepszego, chcąc przyćmić słońce własnym blaskiem. Wened włożył seledynową marynarkę, a palce przyozdobił pierścieniami. Inny obwiesił się złotem, aż kark mu przygięło. Wśród zebranych dostrzegłem Lilię w obcisłej sukience. W bieli, z jasnymi włosami przypominała prawdziwą słowiańską kapłankę.

Każdego, kto próbował do mnie podejść, zatrzymywałem gestem. Wodziłem oczyma po zebranych. Krążyłem po polanie drobnym krokiem, mamrotałem coś pod nosem i czekałem, aż się zmęczą i łatwiej przyjmą, co mam do sprzedania.

Miotanie się to najtrudniejsza część spektaklu. W ruchu łatwo wychwycić kłamstwo. Musisz wierzyć, że tańczysz dla słońca, a jedna noga pociągnie drugą, każe skręcać się rękami

— i tak zaczynasz, z ciężką głową. Tylko jeden nerw w ciele, jeden kierunek dla każdej komórki, nauka tego jest trudniejsza niż rozkazywanie chmurom.

Gdy tańczę, tracę poczucie czasu. To magiczny ruch, który wykopuje mnie poza świat, w kulę zieleni, gdzie wszystko roztopiło się i zlało ze sobą. A może to ona wiruje, pieprzona karuzela twarzy, a ja stoję bez ruchu i oddechu. Nagle wymiękam, nogi się gną, ląduję na kolanach. W porządku, robaczki. Jestem Zbyszek, a wszystko to pic i muchomory.

Kłęczałem przed zebranymi. Widziałem, byli prawdziwie przejęci. Lilia patrzyła i chyba myślała, że wyzionę ducha. Oddychałem ciężko, serce przykucnęło w gardle i biło słabo. Szata nasiąkała potem. Oczekałem, aż wszystko wróci do normy, wywróciłem białka i wrzasnąłem:

— Najlitościwszy Ojcze, Złoty Panie wszystkiego, co żyje. Do Ciebie tęskni każde drzewo, a ptak lotem pochwała Twą miłosierną obecność. Ty, któryś jest pełnią istnienia, sprawiedliwym sędzią żywych i opiekunem zmarłych, odwieczny, jedyny Ojcze, błagam Cię, jak patrzysz na nas tu zgromadzonych. Przysłoń swoje oblicze, abyśmy nie musieli zawstydząć się naszą bezbożnością. Wybacz wieki ciemnoty i zapomnienia. Oto posypuję się ziemią za tych, co w Ciebie zwątpili, i tę ziemię jadł będę, jeśli rozkażesz. Lecz błagam i zaklinam Twoje surowe miłosierdzie, byś zapłakał nad naszą nędzą. Wspaniały Panie Życia, śmiem błagać Cię o łzy dla drzew i trawy, ryb i ptaków. Oto pustynna ziemia, mniej nędzna, niż zasługuje, niemniej zaklinam, byś pozwolił znów płynąć rzekom, rosnąć zbożu, a dzieci twoje...

Krzyczałem, aż gardło kazało przestać.

Pierwsze słowa modlitwy pamiętam i używam przy każdym obrzędzie. Dalej płyną same. Mówię, co słyszę, i słyszę, co mówię. Język sam się składa, jak palce marynarza przy wiązaniu węzła. Trzymam dłonie w górze, widzę, jak bledną, wreszcie osuwam się. Gryzę trawę, zagłębiam palce w ziemi i posypuję sobie głowę. W końcu przewracam się na plecy, nieruchomieję, a słońce wpelza mi pod powieki. Oto magia instant.

Podniosłem się z ziemi. Lilia wpatrywała się we mnie z zachwytem, reszta porozdziawiała gęby. Język Weneda był tak długi, że sięgał za podbródek.

Najgorsze są zakończenia, bo co mogę w takiej chwili powiedzieć? Niektórzy by chcieli, żeby niebo natychmiast przeszło w burzowy granat. Na usta ciśnie mi się coś w stylu „przedstawienie skończone”. Zwykle wykrztuszam, że trzeba czekać, albo — słaniając się — odchodzę bez słowa.

Tym razem wyręczyło mnie sześciu mundurowych. Wyskoczyli z krzaków z bronią i groźnymi okrzykami. Spokojnie uniosłem dłonie i zrobiłem krok do tyłu.

Jeden z nich ruszył do mnie z wyciągniętą bronią. Reszta otoczyła zebranych. Na widok baranich min, po jednej i drugiej stronie, o mało nie parsnąłem śmiechem. To byli miejscowi gliniarze, niewiele lepsi od dawnych ciur obozowych. Mierzyli do przyjaciół, znajomych i krewnych. Po cholere ci to było, Słońcisławie?

Lilia z pogardą próbowała wyminąć jednego. Gliniarz cofnął się, wiedząc, do kogo mierzy. Spróbował być mężczyzną i zatrzymał dziewczynę, prawie wbijając łufę w jej brzuch. Wiem, że Lilia mogła ją odsunąć i pobiec. Nikt by jej nie ścigał. Została, żeby upokorzyć Słońcisława.

Ja zostać nie mogłem.

Stałem w oddaleniu i uznali, że na mnie wystarczy jeden. Mundurowy, nalany chłopak o oczach naćpanego knurka z wahaniem sięgnął po moją maskę. Kopnąłem go w kolano, zgiął się, kwiknął i nim ktokolwiek się połapał, gnałem już między drzewami.

Skorzystałem z przejścia Słońcisława. U wyjścia czekało ubranie. Zrzuciłem szatę i pierścienie.

Magia maski polegała na tym, że ratowała moją skórę.

Zasłaniała twarz.

Nie próbowałem się ukrywać. Starczyło czasu na dotarcie do Weneda i szybki prysznic. Przyszła czwórka z drużyny, która rozwalila imprezę w lesie. Udałem zdziwienie i wyszedłem bez oporu.

Kolację zjadłem z powrotem u Weneda.

Zyskałem czas, a Słońcisław wyszedł na durnia. Maski i szata leżały w jego sekretnym korytarzu. Chciałem, żeby zostały odnalezione. Jeszcze przed nocą okazało się, że sprawy nie ma i nigdy nie było. Mało jest takich, którzy palą się do zapuszkowania swoich. Zwłaszcza że chodziło o żonę członka Rady Starszych.

Spędziłem uroczy wieczór, uspokajając Weneda i rozkoszując się wiedzą. Wyobrażałem sobie wrzask Lilii, od którego ptaki spadają z nieba, i kurczącego się, upokorzonego Słońcisława. Stawiam diamenty przeciw orzechom, że do północy osiągnął rozmiar naparstka.

Wened pytał, co dalej, czy ceremonia się powiodła. Odpowiedziałem, że nie wiem i mało mnie to obchodzi.

— Jutro wyjeżdżam — oznajmiłem, bojąc się, że nie spróbuje mnie zatrzymać. — Przygotujesz moje rzeczy i gotówkę. Zniknę przed świtem, żeby uniknąć pożegnań, tych miłych i niemiłych.

Wened nosił emocje jak odzież wierzchnią.

— A deszcz? — nachylił się do mnie. — Co z deszczem?

— Zrobiłem więcej, niż powinienem. Nie pytaj mnie o deszcz.

— Nie dostaniesz pieniędzy — powiedział miękko — dopóki nie spadnie.

— Posłuchaj mnie, Wenedzie — uśmiechnąłem się. — Chciałbym, żebyś wiedział, że swoją umowę wypełniłem. Nie śmiem zostać w tym mieście. Chciałbym też, abyś pomyślał, kto tu ryzykuje, a kto zawalił. Zagrało coś?

Delikatnie stuknąłem palcem w jego czoło. Otworzył usta i patrzył bezrozumnie.

— Więc może po kolei. Ja odpowiadam za ceremonię, wy za bezpieczeństwo. Nie obchodzi mnie, kto powiadomił psiurnię, ważne, że się zjawili. Jak myślisz, o kogo im chodziło? Co stałoby się ze mną, gdyby mnie złapano? Przy odrobinie szczęścia dostawałbym teraz wciry na komendzie, a ty siedziałbyś tutaj, tak jak siedzisz.

— Poczekamy na deszcz. Powiedziałem, że jest mi przykro.

— Słałbyś mi kartki do pudła, co?

— Zbyszku. Zawsze dogadywaliśmy się. Nie rób mi tego. Jesteśmy prostymi ludźmi. Miałaś uwolnić nas od kłopotów, a je sprowadzasz.

— Przecież mówię tylko tyle, że zabiorę je ze sobą — podniosłem się. — Jeśli chcesz, nawet teraz.

Wened szarpał policzek.

— Poczekaj na deszcz.

— Jaki deszcz? Sprofanowałeś święte miejsce. Nie zdziwię się wcale, gdy deszcz nie spadnie do jesieni. Więc idź do Słońcisława i jego bandy. Przyjmie cię z otwartymi dłońmi.

— Mogłem cię wydać — zagroził.

— Serdeczne dzięki — wzruszyłem ramionami. — Wiesz, że sypałbym w rewanżu. Więc daj pieniądze, i nic nie będziemy sobie winni. Powiem ci jeszcze, że możesz nie zapłacić. Wówczas deszcz na pewno nie spadnie. Klątwy są u mnie gratis. Pamiętaj o tym, przyjacielu.

Rozbawiony, spojrzałem na Weneda. Wyglądał, jakbym przybił go do fotela.

— Idę po swoje rzeczy. Pożegnaj wszystkich. Mam nadzieję, że kiedy zejdziesz, znajdziesz na stole, co moje.

Byłem w połowie schodów, gdy Wened zawołał, żebym zawrócił.

— Zapłacę ci więcej. Wszyscy zapłacimy. Zawróciłem i usiadłem w fotelu obok.

— Wreszcie zaczęłaś mówić po ludzku.

Takie rozmowy sprawiają mi trudność. Muszę chwycić gesty rozmówcy, podbijać jego słowa, wyminąć obrońców i wbić piłkę do bramki. Czysto, bez fauli. Gdybym miał papierosa, poszłoby łatwiej. „Co za kraj — myślałem — przyzywałem deszcz, dałem dyla przed policją, dyskutowałem z dwunożnym osłem i po wszystkim nie mogę zapalić”. Wahałem się, czy nie poprosić Weneda o jednego. Ale po co komplikować sprawy. Siedziałem w gównie po uszy i chciałem wyciągnąć od Wierzbicy pieniądze i zemstę.

Wened napełnił szklanki.

— Musisz wiedzieć jeszcze o jednym — zagadnąłem. — Pamiętasz, mówiłem, że ktoś mógł rozgniewać bogów?

Skinął głową.

— Być może tak właśnie się stało. Jest droga, jest trop. Być może — ściszyłem głos — ktoś z waszych dopuścił się czegoś strasznego.

Podniósł głowę znad miodu. Wbił we mnie bezrozumne oczy.

— Nic jeszcze ci nie powiem. Ale jeśli naprawimy zło, wróci deszcz.

I spokój do miasta.

* * *

Spędzałem dni u Weneda, gapiąc się w jedyny telewizyjny kanał, słuchając idiotycznych słowiańskich pieśni, ciągnąc miód i czekając na Lilię. Wiedziałem, że przyjdzie. Nie szukałem kontaktu. Unikałem Słońcisława i wołałem, żeby to Lilia przybyła z prośbą. Nie zawiodłem się.

Prosty umysł Weneda zakonotował, że coś skrzy, i nim zjawiała się w domu Lilia, Wened zniknął. Przywitaliśmy się chłodno, dałem jej odczuć, że wpadłem przez nią. Mówiłem, że upilnowanie męża jest prostsze niż zrobienie ze śpika kulki i czemu, cholera, musiała zesaść nam policję na głowy. Prawie się poryczała, a mnie — prawie — było jej żal.

— Nie rozumiesz, że nic nie wiem? Nie wiedziałam, Zbysiu... — łkała mi w ramię. — To potwór, jakaś bestia. Oszalał do reszty. Siedzi w domu całymi dniami, drze pysk i chodzi po gabinecie. Godzinami słyszę jego kroki. Można oszaleć od tego.

Zapewniłem, że będzie dobrze. Marny ze mnie pocieszyciel.

— Weź mnie ze sobą. Kiedy jedziesz? Mam więcej pieniędzy niż Wened i ta banda. Zabiorę je i odjedziemy. Niech sobie chodzi po gabinecie, niech modli się do bękartów, co z tego. Beze mnie.

— Lilio — ująłem jej twarz w dłonie — kochany głuptasku. To mogłaby być piękna historia. Ale wiem, jakby się skończyła.

Delikatnie odsunąłem ją od siebie.

— Słońcisław kazałby obciąć ci nos i uszy. Może kocha cię do szaleństwa, ale takie jest prawo, moja wiarołomna — pieszczotliwie podrapałem ją po nosie. — Na pocieszenie powiem ci, że mój los byłby też nie do pozazdroszczenia.

Przytuliliśmy się jak dwa małe koty.

— Przybiliby mi jaja do drewnianego mostu. Podejrzewam, że zbudowali go specjalnie dla mnie. Most zostałby podpalony, a ponieważ Lechia, nasza żywicielka, jest łaskawa, otrzymałbym nóż i wybór. Albo płonę, albo idę wolny, bez balastu w spodniach. Dlatego odprawię ceremonię ponownie, a ty dopilnujesz, żeby Słońcisław się nie dowiedział. Potem uściskamy się czule i, kochanie, pojedę w swoją stronę.

— Wciąż masz do mnie żal?

— Niektóre opowieści o zakochanych muszą tak się skończyć. Moglibyśmy zostać tutaj, ale wszystko zależy od ciebie.

— Myślę, że nic nie zależy ode mnie.

— Bardzo wygodne. Nie przyszło ci do głowy, że deszcz nie pada, bo twój mąż profanuje naszą ziemię? Że odprawia msze w lesie?

Lilia zamyśliła się.

— To niemożliwe. Nie ma takiej zależności.

— W takim razie, co tutaj robisz? Uwierzyłaś, że ściągam deszcz, że znam się na planetnikach. Widzisz — zaczerpnąłem oddech — świat to całość. Jesteśmy wpisani w pewien cykl, razem z porami roku, deszczem właśnie, drzewami i zwierzętami. I nagle ktoś robi dziurę w systemie.

Dziurę na dziwaczne zaświaty, na msze i okropne obrządki. Oni jedzą własnego boga — dodałem z przejęciem. — Jeśli to nie jest przyczyną suszy, nie mam tu nic do roboty.

Wbiłem ręce w kieszenie. Ruszałem wargami, jakbym żuł filtr od papierosa.

— Mówiąc po ludzku, jest szansa na rozwiązanie naszych problemów. I z deszczem, i ze Słońcisławem.

* * *

U Lilii urok zbiega się z handlową żyłką. Stańło na dwudziestu procentach. Mogłem też dzielić z nią życie w domu Słońcisława. Wówczas otrzymałbym wszystko.

Zebrałem na komendzie grupę dewocyjnych Lechitów z Wenedem na czele. Z równym szczęściem mógłbym zaufać krokodylom, ale nie miałem wyboru. Dopiero szarzało, gdy we czwórkę poszliśmy do lasu. Znalazłem nową polanę niedaleko chatki Słońcisława. Pozostałym kazałem wystarać się o pień drzewa, wysuszony i mocny. Spisali się na medal. Belka liczyła trzy metry, była gruba jak udo i sucha jak gardło na kacu.

Wened wkuł kajdany w pień. Sprawdziłem obręcz. Zaparłem się nogami o belkę, ciągnąłem łańcuch z wszystkich sił. Nie puścił. Jeśli Słońcisław zerwie kajdany — myślałem — to ze mnie cesarz chiński”.

Kazałem wykopać dół na metr głęboki, osadzić obciążoną belkę i zakopać. Ubiliśmy ziemię. Każdy miał kopać w pal, szarpać nim, wreszcie skoczyłem nań z rozpędu. Obojczyk jęknął, ale pal nie drgnął. Wened z innymi skończyli pracę i czekali, co dalej.

— Wy — wskazałem na młodszych — pójdziecie po wysuszone drewno. Może być trochę siana. Benzyna, na wypadek, gdyby nie chciało się palić.

Bez słowa znikli między drzewami.

— Przykuj mnie — powiedziałem do Weneda. Wened jest człowiekiem, który nigdy nie wie, co naprawdę słyszy.

— No, przykuj — zachęciłem. — Spokojnie.

Sam włożyłem dłonie w kajdany. Wened zacisnął obręcz i natychmiast odsunął się, jakby w obawie przed pokusą. Zacząłem się szarpać.

Wyrzuciłem ręce do przodu, aż zgrzytnęły stawy. Zaparłem się nogami, usiłując obalić pal własnym ciężarem. Czułem, jak pień drży pod ziemią, zbyt słabo, by się przewrócić, ale wystarczająco, by dać nadzieję. Wreszcie obróciłem się i spróbowałem wyjść na pal. Skończyłem metr nad ziemią, przyciśnięty do kory, nie mogąc iść w górę i bojąc się skoczyć.

— Wened — krzyknąłem — pomóż, do kurwy nędzy!

Opuścił mnie i natychmiast się odsunął. Wyobraziłem sobie, jak wyglądałem na tym palu, z wypiętym tyłkiem, i wybuchnąłem śmiechem. A potem pomyślałem o Słońcisławie, że powtórzy wszystkie moje ruchy... bez wesołości. Będzie wrzeszczał, aż gardło mu pęknie. Zechce przełamać kajdany. Pojawi się ogień i spróbuje wyjść na pal. Być może wyłamie sobie kości, odgryzie dłonie.

— Na co czekasz? — zawołałem do Weneda. — Odczep mnie!

Podszedł powoli, popatrzył na kajdany i zawahał się. Tylko na moment, najpewniej nie

wiedział, jak się do tego zabrać. I źle się stało, bo zobaczył coś, czego nie powinien.

Paniczny strach w moich oczach.

Lilia otrzymała trudniejsze zadanie. Kazałem jej napisać list do Słońcisława, że wie o mszach i chatce w lesie. Tam miała na niego czekać.

Zastanawiałem się, czy Słońcisław przyjdzie. Zjawił się jeszcze przed południem, zaferowany, w płaszczu narzuconym niedbale na ramiona. Wyszedł z tunelu, rozejrzał się trwożnie i popędził w górę. Przed chatką zatrzymał się, położył rękę na ustach i bałem się, że zawróci. Wyglądał jak ożywiony wieszak na ubrania, z ptasim gniazdem na szczycie. Wykonał ręką nieokreślony gest. Postawił kołnierz i wszedł do chatki.

Dałem znak ludziom, żeby czekali.

Ścianę naprzeciw drzwi ozdobił krzyż z wyciosanym Chrystusem. Słońcisław uklęknął przy wórce skrzypiącej podłogi. Pochylił głowę i przeżegnał się. To wystarczyło.

Otoczyliśmy go w siedmiu. Nigdy nie widziałem, żeby czyjaś twarz zmieniła wyraz tak szybko. Nadęte policzki opadły, jakby przecięto sznurki, na których się trzymały. Żuchwa osunęła się, ukazując drobne zęby i język, podobny do napuchniętej ryby. Z czoła zeszła pijacka czerwień, biel podpełzła za skronie. Spod zmierzwionych włosów wysunęła się srebrzysta strużka potu.

Poderwał się do wyjścia. Zastąpiłem mu drogę i zatrzymałem go bez wysiłku. Słońcisław uniósł dłonie w błagalnym geście i zaraz je opuścił, zmarniały i zrezygnowany. Kiedy dwóch młodych obaliło go na ziemię i skrępowało, nie stawiał oporu. Oberwał butem w podbrzusze, skulił się, jęknął jak drzewo przed przelaniem. Na wywalonym języku widziałem brud z podłogi.

— W ten sposób doszliśmy do sedna — powiedziałem do zebranych. — Znamy przyczynę suszy.

Podszedłem do stołu. Pod blatem znalazłem plastikowe pudło i graty znane z obrzędu — kubek i obrus ze wzorem ryby. Cisnąłem to na środek podłogi.

— Nie muszę mówić, co tu się dokonywało — ciągnąłem. — Nie wspomnę nawet, jaka kara odpowiada tej zbrodni. Bogowie zostali rozgniewani. Rozgniewani — nasiliłem głos — tym!

Zerwałem krzyż ze ściany i podniosłem. Słońcisław próbował się poderwać. Facet w czerwonej kurtce przycisnął mu głowę do podłogi.

— Wyobraźmy sobie wielki dom — ciągnąłem — budowany przez pokolenia. I pomyślmy następnie, co by się stało, gdyby jedną ścianę umyślnie osłabić. Dom będzie stał rok, może sto lat. W końcu runie, moi przyjaciele. Nikt nie będzie wiedział dlaczego.

Poprowadziłem zebranych za chatę. Słońcisława pociągnęliśmy za sobą. Zatrzymałem się na polanie. Słońce grzało w plecy. Prawie wierzyłem we własne słowa.

— Jeszcze wczoraj myślelibyśmy, że to nic takiego. Dzisiaj powstaje nowa siła i musimy odrzucić wszystko, co staje nam na drodze. Znacnie te słowa. Słyszeliście je z ust tego człowieka. Wynałazł sobie inną rozrywkę. Łatwiej przecież klęczeć, niż pracować dla wspólnego dobra.

Słońcisław zdołał wstać. Wodził oczyma za krzyżem. Na policzku wykwitły mu płytkie rany po drzazgach.

— Klęczał przed tym! — krzychałem, wymachując krzyżem. — Czy jest tutaj ktoś, kto też chce sobie pokłęczeć?

Nikt się nie ruszył. Zamachnąłem się, jakbym rzucał młotem, i cisnąłem krzyż w krzaki. Poleciał nisko, odbił się od pnia i przepadł w zieleni. Słońcisław szarpnął się, zdołał dobiec do skraju polany i znów padł na ziemię. Rozgrzałem zebranych i musiałem powstrzymać młodych, żeby nie zakatowali Słońcisława przed ceremonią.

— Zaczniemy o zachodzie słońca — obwieściłem. — Wy dwaj, zamknijcie go w tej szopie. Pilnujcie, żeby nie dał nogi. Reszty tu nie potrzebuję.

Niech każdy pójdzie do siebie. Już, już, rozejść się!

Młodzi zawlekli Słońcisława do chaty i zatrzasnęli drzwi. Pozostali rozeszli się niechętnie. Stałem chwilę, oddychałem ciężko i zastanawiałem się, co dalej. Plan powiódł się aż za dobrze. Tej nocy Wierzbica należała do mnie.

Przy odrobinie szczęścia przekonałbym Weneda, żeby tłukł własną głową w słup ku chwale Peruna.

Chciałem wracać do Lili i podzielić się dobrą wiadomością. Powinienem zajrzeć na miejsce ceremonii, by sprawdzić, czy wszystko gotowe. Ale jedyna rozmowa ze Słońcisławem pozostała nie dokończona. Trochę z głupoty, trochę z próżności, pragnąłem dowiedzieć się, co dobry Zadrużanin będzie miał do powiedzenia.

Poprosiłem młodych, żeby się odsunęli. Ten w czerwonej kurtce sprawiał wrażenie zdziwionego. Pewno myślał, że Słońcisław rzuci na mnie urok i zmieni w neofitę. Poklepałem pocziwinę i wszedłem do chaty.

Słońcisław kuczał w rogu i patrzył w okno.

— Po co tu przyszedłeś? — rzucił. Wyjmował drzazgi z policzka i rozjątrzył ranę.

— Zapytać o szluga.

— Palisz? — udał zdziwienie.

— Palilem przez lata — przyznałem. — Dobry kraj pomógł mi rzucić. Jeśli raz paliłeś, już nigdy nie będziesz niepalący. To tak, jakby ucieli ci palec. Wciąż go czujesz.

— Myślałem, że będziesz z Lilią.

— Ona nie wie — skłamałem.

— W pewnym wieku musisz godzić się na pewne rzeczy. Ja nauczyłem się patrzeć przez palce. Taki miałem pomysł na bycie mężem. Każda sroka w mieście skrzeczy tylko o was.

— Jak myślisz — próbowałem obrócić sprawę w żart — ucierpi na tym nasza przyjaźń? Moja i twoja?

Słońcisław nie zdobył się na uśmiech.

— To zły człowiek, Zbyszku. Oszuka ciebie, tak jak mnie.

— Biorę na to poprawkę.

— W takim razie powiedz, co zrobisz, jeśli deszcz nie spadnie? Znajdziesz następną ofiarę?

Sukinsyn, wiedział, co go czeka. Podniósł się ciężko i patrzył na mnie bez strachu.

— Umówmy się, że jeden nie wątpi w wiarę drugiego — rzuciłem.

— Myślę, że każdy z nas na coś liczy — stwierdził. Otarł policzek, mrużąc oczy z bólu. — Zagrajmy w tę grę. Jeśli istnieje mój Bóg, weźmie mnie do siebie. A jeśli istnieje Król Słońce, to przyjmie twoją ofiarę.

— Wiem, że spadnie deszcz, chociaż nie wierzę w pierdoły o Perunach i planetnikach. Ludzka energia ujawnia się przez religię, wiarę, magię, nazwij to sobie, jak chcesz. I każde czasy mają swoją formę. Zrzuciliśmy spleśniałe ubrania, twój krzyż leży w krzakach i nikt go nie podniesie. Za sto, za tysiąc lat Lechię i jej bogów trafi szlag. Pojawi się nowa siła i inny Zbyszek wyśle na śmierć nowego Słońcisława.

— To ładne — drań prawie się uśmiechnął. — Powiedz tylko, jaka religia usprawiedliwia to, co robisz?

— Religię buduje prorok, utrwała ten, który w nią nie wierzy — rzuciłem. Rozmowa zaczęła mnie męczyć. — Popatrz na siebie.

Słońcisław stanął przy oknie.

— Ogień? — zapytał.

— Nic przyjemniejszego nie wymyśliłem, twardzielu.

Odwrócił się do mnie. Usiłował panować nad sobą, ale zaciśnięte pięści zdradzały strach.

— Nie będę dobrym męczennikiem — rzekł w końcu.

— Po co ci to było? Miałeś wszystko. Za dużo jak dla ciebie.

— Chciałbyś usłyszeć, że Bóg do mnie przemówił? Poraził piorunem? Byłem złym chrześcijaninem i poszedłbym do piekła. Inaczej niż ty — nie wierzę w okrucieństwo Boga. Najczęściej wątpię, że on istnieje.

Pociągnął nosem i mówił dalej.

— Czemu w to wszedłem? Bo chciało mi się rzygać, Zbyszku. Patrzyłem na Lechię, na to, co wyprawia z całym narodem, i żarcie podchodziło mi do gardła.

Otarł usta.

— Dopiero twój widok jest budujący — stanął przede mną i myślałem, że skoczy mi do gardła. Ale tylko zgarbił się i spojrzał smętnie na las za szybą.

— Dzisiaj ja i ty zagramy swoje role — dodał. — Módl się, żebyś wypadł lepiej.

4

Zastałem ją w bibliotece. Myślałem, że czyta elektroniczną książkę. Okazało się, że Lilia ma przed sobą album ze zdjęciami — jeden z tych, które naśladują tandetę z początku wieku. Okładki z podróbki skóry kryły ekran. Jeździła po nim palcem i przewijała zdjęcia. Zerknąłem przez ramię. Zobaczyłem Słońcisława, parę lat młodszego. Lilia siedziała mu na kolanach, z włosami splecionymi w warkocze, wyglądała jak jego wnuczka.

Chciałem opierdolić Lilię, ale tylko otoczyłem ramieniem. Delikatnie zdjąłem jej palce z ekranu i zamknąłem album.

— Kiedy zaczynasz? — zapytała.

— Możesz się szykować.

— Nie będę. Otruj go.

— Nie mów głupstw, kochanie — objąłem ją znowu. Szeptąłem do ucha:

— Wiem, że to trudne. Pojawiają się wspomnienia i wątpliwości. Nie róbmy czegoś, czego oboje będziemy żałować.

— Był nudny. Był głupi, stawał mu od święta. Zrzędził, jakby miał drzazgi w tyłku. Do tego skąpy i ograniczony. Czytał książki jak przepisy kucharskie i śmiał się ze wszystkiego, co dla mnie było ważne. Ale nie był złym człowiekiem, Zbyszku.

— Nie zasłużył na taki los — przyznałem. — Mogłaś zastanowić się wcześniej.

— Wiesz, jaka jestem. Myślałam...

— Daj mi pomyśleć — usiadłem na stole, jak wtedy, gdy opowiadałem o planetnikach. — Powiem dwie rzeczy na pocieszenie. Romek, czy jak tam nazywa się Słońcisław — nie mogłem darować sobie drobnej złośliwości — dostanie zawału, nim podłożymy ogień. To reguła wśród skazanych na śmierć.

— Widziałam...

— Co widziałaś? Filmy, obrazy? To stary człowiek. Serce nie wytrzyma. I powiem ci jeszcze — ująłem jej twarz w dłonie — że teraz jest ciężko. Diabelnie ciężko, ale mamy siebie. Jakimi bylibyśmy ludźmi, gdybyśmy w takiej chwili nie mieli wątpliwości? Posłuchaj, kochanie.

Posłuchaj, proszę...

Pomyślałem, że moje życie to nieustanne przyzywanie deszczu. Puściłem Lilię, oparłem się o regał i mówiłem już spokojnie.

— Ten człowiek niszczył nas wszystkich. Położył łapę na twojej młodości. Mamił ludzi. Spowodował suszę.

— Nieświadomie.

— Głupota, zła wola, jaka różnica? Mówiłem o wątpliwościach. Musimy je przeżyć do końca i odrzucić. Dla niego coś się kończy, dla nas — pocałowałem Lilię w czoło — coś się zaczyna.

Wtedy wpadł Wened z krzykiem, że Słońcisław powiesił się w chatce.

* * *

Wisiał i nikt nie śmiał go odciąć.

Słońcisław podarł obrus ze stołu na równe pasy. Wypruł zamek ze spodni i sporządził stryczek. Całość obwiązał wokół klamki okiennej. W usta włożył szmaty, żeby stłumić charkot.

Wyglądał, jakby przejadł się i zaraz miał rzygać. Ręce, z których zawsze się śmiałem, leżały bezwładnie na podłodze jak u marionetki. Patrzyłem na martwego Słońcisława i po raz pierwszy w Wierzbicy stanąłem bez planu, bez pomysłu. Co, mam zaciągnąć trupa na polanę i przybić do pala? „Módl się, żebyś wypadł lepiej”.

Stary, cwany skurwiel.

— On nie umarł — powiedziałem do Weneda — on uciekł.

Wened gapił się bezradnie. Zacząłem krzyczeć na młodych, którzy pilnowali Słońcisława. Zwyczajnie ich od bałwanów, niedojd, dwunożnej obrazę najmniejszego nawet boga. Kajali się, próbowali tłumaczyć, ale, do kurwy nędzy, co z tego.

— To prosta rzecz — darłem się — zajrzeć do chaty! Przez okno. Raz na minutę! Albo siedzieć z nim!

To w końcu Starszy — wybelkotał ten w czerwonej kurtce. Kiedy Wened poklepał mnie po ramieniu i powiedział, że przecież wszystko będzie dobrze, chciałem wyrwać mu rękę.

— Wenedzie, przyjacielu — westchnąłem. — O tym, czy będzie dobrze, czy źle, jeszcze ja decyduję. Zbierz wszystkich i idźcie na miejsce ceremonii.

— Co dalej?

— Muszę coś przygotować. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o zaufaniu?

Wened skinął kwadratową głową.

— Pytałem, co dalej z nim — wskazał na Słońcisława. Jak mogłem o nim zapomnieć?

— Wy dwaj — dałem znak młodym — odetnijcie go i doprowadźcie do porządku. Będzie trzeba go przenieść na miejsce ceremonii. To później. Na razie... — zawiesiłem głos. Brakowało słów.

Tamci patrzyli, jakby mieli nadzieję, że chuchnę, dmuchnę i wskrzeszę Słońcisława.

— Na razie — wykrztusiłem — muszę iść.

* * *

— To prawda? — Lilia stała w kuchni i wyglądała jak emerytowany strach na wróble. Co miałem odpowiedzieć?

— Nie upilnowali — rzuciłem. — Wyszło na twoje.

— Daruj sobie. Co planujesz?

— Właśnie, o to miałem cię pytać.

— Teraz nie wiem, w czym problem? Wszystko przebiegło zgodnie z planem.

— Wszystko jest kurewsko dalekie od planu. Twój mąż dynda na klamce, a tamci czekają, aż go przyprowadzę. Mamy parę godzin.

Lilia przygładziła włosy.

— Są trzy wyjścia — niektórym prawdę trzeba wsadzać łopata do głowy. — Mogę pobiec na miasto w poszukiwaniu ochotnika, który da się podpalić zamiast Słońcisława. Chyba że ty reflektujesz. Druga możliwość jest taka, że spalimy trupa. To rozgniewa bogów, ale bardziej bałbym się tutejszej społeczności.

— Jesteś wygadany. Dasz sobie radę — skwitowała.

Proszę, nasza niunia umywa ręce.

— Ostatnia możliwość jest jedyną w mojej, przepraszam, naszej sytuacji. Mamy — zerknąłem wymownie na zegarek — trzy godziny do zachodu słońca. Zabieraj, co możesz, i dajemy nogę. No, już — trąciłem ją, pewien, że posłucha. — I módl się, żeby nas nie zobaczyli.

— Dasz sobie radę — powtórzyła. Po raz pierwszy Lili udawało się mnie zaskoczyć.

— Jesteśmy razem w tym gównie — przypomniałem.

— Ceremonia to twój problem. Zaklinasz deszcz i to ty zamknąłeś człowieka w szopie. Zastraszyles go, aż się powiesił. Więc ty jesteś w gównie.

— Zapominasz o liście.

— Zbyszek, jesteś zmęczony. Dokąd mam uciekać? Zostawię dom, to wszystko? Jeśli miałbyś zostać zbiegiem albo młodym wdowcem, na co byś się zdecydował?

Przygryzłem wargi. Gorączkowo myślałem, co robić. Miałem wrażenie, że głowa pęknie mi jak wielkie jajko.

— Mamy umowę.

Pocałowała mnie w usta, próbowała objąć. Odsunąłem się.

— Umowa pozostaje w mocy. Załatw sprawę z ceremonią i wracaj do mnie. Jesteś wygadany i poradzisz sobie.

— Słyszałem to już.

— Zbyszk, robię dla ciebie więcej, niż muszę.

Skinąłem głową. Poczułem, że na czole rośnie mi rozpalona kula. Wypuszcza nerwy, penetruje mózg, wpycha się do nosa. Nóż sam wpadł mi w ręce. Pchnąłem ją pod brodę i szarpnąłem, by przeciąć aortę. Uśmiech zniknął z twarzy Lili. Kąciki ust zbiegły się ku sobie, czoło przecięła zmarszczka, w oczach mignęło zdziwienie, że to już po wszystkim. Ugięły się pod nią kolana, wyrzuciła ręce przed siebie, jakby mogły uchronić ją przed upadkiem. Zrobiłem krok do tyłu, a ona osunęła się na ziemię.

W szafie trafiłem na plecak turystyczny, jeden z tych, które wyglądają jak pudełka śniadaniowe, a mogą zmieścić barak z fundamentami. Znalazłem trochę złota, karty płatnicze i gotówkę na gorące tygodnie. Pod pachę wepchnąłem obraz z XX wieku, kieszenie zapelnilem biżuterią.

Papierosów nie było.

Wróciłem do kuchni, jakby w obawie, że Lilia powstała z martwych. Chodząc od okna do okna, oceniłem sytuację. Dom Słońcisława stał dalej od innych. Miałem szansę ulotnić się, nie wpadając na sąsiada z naprzeciwka. Inna rzecz, że byłem widoczny dla wszystkich poniżej.

Zszedłem do garażu. Mój żuczek przy samochodzie Słońcisława wyglądał jak ubogi krewny. Wróciłem na górę po kluczyki, załadowałem plecak do bagażnika i otworzyłem bramę pilotem. Przez moment przeraziłem się, że na wyjeździe natknę się na posiniałego Słońcisława, z potarganym obrusem i stryczkiem wokół szyi.

Oczywiście nikogo nie było.

Zjechałem na główną drogę i dodałem gazu.

Dokonałem szybkiej rachuby: Na zewnątrz już pociemniało. Za godzinę, najdalej dwie, towarzystwo czekające na ofiarę całopalną zacznie się niepokoić. Przez noc zajadę do granic Lechii — niech szukają w Rzeszy, życzę szczęścia. Ciekaw jestem, jak zreferują policji tę historię.

Na granicy miasteczka byłem już w szampańskim humorze. Cieszyłem się ze zdobyczy. Planowałem zjechać w nocy na pusty parking i przyjrzeć się łupom. Karty będę musiał zużyć szybko, są zabezpieczone, ale takie zabezpieczenia to pryszcz dla mnie. Wiem nawet, co zrobię — kupię papierosy na czarnym rynku. Prawdziwą, czerwoną ramkę z zielonej granicy. Pojadę do lasu, pokażę brzuch słońcu i będę kurzył, aż płuca mi szernieją.

Zajęty myślami późno spostrzegłem, że ciemność gęstnieje wcześniej i szybko. Coś

zabębniło w dach samochodu. Wychyliłem się i dostrzegłem ołowiane chmury, podobne do nadętych brzuchów, oczekujących na nóż chirurga. Nie zdążyłem docenić ironii sytuacji, gdy lunął deszcz. Jezdnia zmieniła się w rzekę, nie widziałem dalej niż na metr. Miałem wrażenie, że woda jest czarna i gęsta jak roztopiona stal.

Zwolniłem i wzmocniłem światła. Jechałem najwyżej sześćdziesiątką, rozbryzgując wodę naokoło. Niebo przeciął piorun, w świetle dostrzegłem zarys drzew i niewyraźną drogę, plątaninę cieni. O człowieku świadczy możliwość docenienia przewrotności rzeczy, więc śmiałem się, ciekaw, jak ten cyrk się skończy. Jeśli miałbym szukać znaczeń w fantazji przyrody, stwierdziłbym, że niebo próbuje mnie zatrzymać — albo że trzyma ze mną i spowalnia pościg. Ofiara z Lilii została przyjęta.

Trochę przyspieszyłem. Pioruny rozszalały się na całego. Zza mokrej szyby widziałem elektryczne freski. Zerknąłem za siebie. Światła Wierzbicy przygasły. Odwróciłem głowę i dostrzegłem Słońcisława, machającego, żebym się zatrzymał.

Stał nagi i wyciągał dłoń przed siebie. Włosy łopotały na wietrze i zorientowałem się, że Słońcisław jest suchy. Przyspieszyłem i wyrósł przed maską. Nim skręciłem, spostrzegłem, że jego oczy nie mają białek i tęczówek. Są czarne. Zupełnie.

Targnęło samochodem. Minąłem zjawę, w lusterku dostrzegłem Słońcisława z uniesionymi ramionami. I nagle wszystko zakoziółkowało, jakbym wylądował w szklanej, toczącej się kuli. Mignęło niebo, strzelił elektryczny bat. Gruchnęło w podwoziu, gałęzie uderzyły o szybę. Wszystko znieruchomiało, jakbym ze świata wskoczył w dagerotyp — widziałem maskę samochodu, rozdwojoną przez pień, milczące chmury i krople zawieszony w powietrzu. W strzaskanym lusterku Słońcisław otwierał usta.

Poleciałem do przodu. Zdążyłem osłonić ramionami głowę. Miałem wrażenie, że porwał mnie wiatr, że wznoszę się w górę, owinięty deszczem jak żywym kokonem. Mogłem lizać chmury, łowić pioruny niczym kijanki. W kącie oka. Przed oczyma mignęło nagie ciało. Upadłem ciężko na miękką ziemię.

Nie wiem jak długo leżałem. Gdy otworzyłem oczy, deszcz wlewał mi się pod powieki. Podniosłem się. Noga bolała, jakby zdarto z niej skórę. Spodnie opuchły. Ale poza tym byłem cały, jeśli nie liczyć sińców i krwi na rękach. Podeszedłem do samochodu. Wystarczyło spojrzeć. Prędzej pojechałbym saniami świętego Mikołaja.

Na drodze wciąż stał Słońcisław z rozkrzyżowanymi ramionami.

Nie miałem lepszego pomysłu i podeszedłem do niego.

Zwrócił na mnie czarne spojrzenie. Usta otworzył tak szeroko, że brodą dotknął klatki piersiowej. Z gardła buchnął mu strumień wody. Pocięła z nosa, oczu i uszu. Wyglądał jak ożywiona fontanna. Stałem na drodze i patrzyłem, jak Słońcisław kurczy się i niknie. Nogi zmieniły się w wysuszone patyki, korpus zapadł się niczym u dmuchanej lali, twarz zatonała między ramionami. Myślałem, że pozostanie pusta skóra, ale Słońcisław po prostu przepadł.

Za to pojawił się kto inny.

Od Wierzbicy nadciągał sznur światła. Miałem niewiele czasu.

Nie próbowałem uruchamiać samochodu. Las szedł stromo pod górę. Bieg spowolniała obolała noga. Niewiele widziałem — tylko ciemne pnie i czarne niebo. W zaroślach kłębiły się cienie, jak na pierwszych, czarno-białych filmach. Coś złowrogiego, kanciastego jak połamana klisza wyzierało zza drzew, przemykało przy ściółce, sunęło pod gałęziami. Zdjął mnie strach, że jeśli planetnik okazał się prawdziwy, to żyją też wszystkie owe widmowe stwory, czyhające na podróznym poza kręgiem światła. A przecież miałem powody, by obawiać się rzeczy bardziej konkretnych.

Na dole ludzie wysiadali z samochodów. Błyskały latarki. Słyszałem głosy, rozpoznałem Weneda.

Ruszyli moim tropem.

Wiedziałem, że nie zdołam umknąć i bałem się myśleć o losie, jaki może stać się moim

udziałem. Za morderstwo przywiązują nogi i ręce do lin holowniczych i rozrywają czterema samochodami. Chciałem ukryć się w ciemnościach. Miałem czarne ubranie, a ścigało mnie pospolite ruszenie, bez psów.

Gnany strachem, nie mogłem zapomnieć Słońcisława, rozkazującego burzowym chmurom. Życie jest pełne ironii. Modlił się do bałwanów, a stał się częścią sił, których się wyparł.

Długo kluczyłem, zwodząc pościg. Znalazłem schronienie w jarze, blisko szczytu wzniesienia. Wpełzłem między krzaki, przykucnąłem i patrzyłem. Pościg podzielił się na trzy grupy. Jedna wędrowała w stronę Wierzbicy, druga lasem, blisko drogi. Trzecia przeszła tuż obok mnie. Widziałem nawet Weneda, jak kłął i sapał w wędrowce pod górę. Światło latarki padło na moje krzaki i powędrowało dalej.

Minęli mnie. Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Odczekam chwilę i pognam ile sił wzdłuż zbocza. Straciłem samochód, wygrałem życie. Oto koniec całej awantury.

Cofnąłem się o krok. Drewno pękło pod stopami.

Natychmiast otoczył mnie krąg światła.

Wstałem z dłońmi uniesionymi w górę i nadzieją, że zastrzelą mnie natychmiast. Nie mogłem oprzeć się pokusie i spojrzałem na przyczynę zguby.

Na krzyż, który dziś rano cisnąłem w krzaki.

Serce wołu

Maja Lidia Kossakowska urodziła się w 1972 roku, absolwentka liceum plastycznego oraz archeologii śródziemnomorskiej. Debiutowała w 1996 roku opowiadaniem z gatunku fantastyki *Mucha* na łamach magazynu „Fenix”. Od tamtej pory opublikowała wiele utworów, głównie w „Feniksie” — za cztery z nich otrzymała nominacje do Nagrody im. Janusza A. Zajdla. W 2003 roku ukazał się jej zbiór opowiadań *Obrońcy Królestwa*, a w 2004 powieść *Siewca Wiatru*. Nowe opowiadania Kossakowskiej znalazły się w antologiach *Demony* (w przygotowaniu) oraz *Wizje alternatywne* (w przygotowaniu).

Igor zawsze przychodził do biura odpowiednio wcześnie, żeby zdążyć zapalić trociczki na ołtarzyku Zarządu w holu na dole i poprosić Matkę Naturę o udany dzień. Figurki patrzyły na niego obojętnymi oczami z kryształów, ale twarz Wielkiej Prezeski wydała mu się dzisiaj wyjątkowo surowa.

— O Matko Naturo, błagam, abym nie zawiódł, mimo mej nędznej pozycji i skażonej krwi. Wesprzyj mnie, abym odpokutował winy przodków, daj siłę, abym osiągnął oczyszczenie i odrodził się jako obraz twojej doskonałości — recytował formuły modlitw. — Okaż mi łaskę i pozwól służyć sobie i zwierciadłom twojej cudownej mocy, które zesłałaś, aby płodziły i panowały.

Pokrzepiony, pokłonił się przed ołtarzykiem, zakreślił w powietrzu święty znak Ziemi i szybkim krokiem pomaszerował do windy.

Ledwo zdążył przejrzeć nadesłane wczoraj wieczorem wiadomości, przy jego biurku pojawił się pan Attis A1, kierownik.

Szeroka, nalana twarz przełożonego zastygła na zawsze w wyrazie skupienia i zaangażowania. Tylko oczy, wiecznie czujne, niespokojne, rzucające ukradkowe spojrzenia, zdradzały prawdziwe emocje dręczące Attisa. Lęk i nieufność. Kierownik żył w nieustannym strachu przed utratą stanowiska lub zwolnieniem. Igor czuł dla niego litość, pomieszaną z pewną dozą obrzydzenia, ale to nie znaczyło, że nie bał się przełożonego. Zwierzchnicy, nawet tak niskiego szczebla, dysponowali władzą, która mogła w ostateczności nawet zniszczyć pracownika.

— Igor — powiedział Attis A1 oschłym tonem. — Mam z tobą do pogadania.

Igorowi zwilgotniały dłonie. Miał nadzieję, że nie zbladł za mocno. Nie chciał, żeby kierownik odkrył jego zaniepokojenie. Zawsze trzeba okazywać gorliwość, użyteczność i pokorę.

— Słucham, panie kierowniku — wydukał przez ściśnięte gardło, starając się, żeby głos brzmiał wesoło i rześko.

— Nooo — zaczął Attis przeciągle. — Chodzi o pewną istotną sprawę...

Zawiesił głos i posłał pracownikowi przeciągłe spojrzenie. Igor z trudem przełknął ślinę.

— Będziesz musiał wyjechać w delegację.

Kamień, który spadł z serca Igora, musiał wywołać łoskot słyszalny w całym budynku.

— Na jutro musisz przynieść podpisaną zgodę szanownej małżonki — ciągnął kierownik. — Wtedy otrzymasz odpowiednie pełnomocnictwa. Zgłosisz się nazajutrz rano do mojego gabinetu, gdzie otrzymasz dokumenty i wszystkie dane od Łucji A9. Zrozumiałeś?

— Tak, panie kierowniku. A... — Igor zawahał się. — Jaki rodzaj zadania mam wypełnić? Na twarzy Attisa pojawił się grymas niechęci.

— Żebym mógł odpowiednio wcześnie przygotować się do pracy — dodał szybko.

Grymas przerodził się w pobłażliwy uśmiešek.

— Konsultacja w sprawie zgodności z tradycją. Jak stanowi twój zakres obowiązków.

Firma przygotowuje uroczysty bankiet. Dla bardzo wysoko postawionych osób — mars znów zagościł na czole kierownika. — Będziesz musiał się naprawdę postarać. Wśród zaproszonych mogą się pojawić specjaliści od wartości etnicznych. Odbędzie się koncert, podane zostaną regionalne potrawy, nastąpi otwarcie wystawy pod tytułem „Korzenie w drodze do przyszłości”...

Igorowi udało się stłumić uśmiech i zachować kamienną twarz.

— Wystrój sali, kostiumy, cała oprawa będą na twojej głowie.

Wszystko musi wypaść perfekcyjnie, profesjonalnie i odpowiednio etnicznie. Jasne?

Igor skinął głową.

— Oczywiście, panie kierowniku.

Attis A1 pokręcił się jeszcze chwilę koło biurka, wydając różne bezsensowne lub zbędne polecenia, aż w końcu podszedł do następnego pracownika, gruby, pobzykujący niczym bąk.

Igor zastanowił się przelotnie, jak Attis wyglądał w młodości. Nie potrafił uwierzyć, że prawdopodobnie był kiedyś przystojnym mężczyzną. Został przecież stworzony jako awatar jakiegoś prawdziwego Attisa, faworyta lub utrzymanka potężnej matrony, a może nawet siostrzycy. Inaczej nie nosiłby tego imienia. Imiona takie jak Attis, Adonis czy Dumuzi występowały tylko wśród specjalnie zmodyfikowanych ulubieńców wysoko postawionych kobiet. Zwykli mężczyźni ich nie nosili.

Z zamyślenia wyrwał go głos Łucji A9. Uśmiechnięta pochylała się nad biurkiem.

— Igor, szczęściarzu, wyjeżdżasz do lasu. Prawdziwego. Zazdroszczę ci. Ja muszę kisić się w biurze.

Spojrzał w ładne, niebieskie jak szafir oczy i odpowiedział uśmiechem. Lubił Łucję. Za serdeczność, uczynność i dobry humor.

— To trzeba było wybrać sobie inną specjalizację — palnął beztrąsko, zanim zdążył ugryźć się w język.

Wesołe iskierki w niebieskich oczach zgasły.

— Nie bardzo było jak — powiedziała Łucja bez gniewu.

Igor poczuł, jak zaczynają mu płonąć policzki i uszy.

— Przepraszam — bąknął. — Zapomniałem. Nie chciałem cię urazić, naprawdę...

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Wierzę. I jestem wdzięczna, że nie pamiętasz. Masz — pochyliła się nad biurkiem. — To jest formularz zgody na wyjazd służbowy. Przynieś go jutro rano, podpisany przez żonę.

Igor obracał w rękach kartkę.

— Tak, tak — powiedział zmieszany. — Przyniosę.

Gapił się na tekst dokumentu, byle nie spojrzeć Łucji w oczy. Kiedy ośmielił się podnieść wzrok, już wracała do sekretariatu. Mignęły mu tylko szczupłe plecy w popielatym żakiecie i ciemne włosy spięte na karku w schludny kok.

Opadł na krzesło, przeklinając swój brak taktu. Jak mógł zapomnieć, że dziewczyna jest awatarem i ma jeszcze mniej do powiedzenia na temat własnego życia niż przeciętny mężczyzna. Pewnie odniosła wrażenie, że z niej drwi. A przecież nie chciał sprawić jej przykrości. Była jedyną naprawdę sympatyczną osobą w firmie.

— Pogratulować szanownemu panu — mruknął do siebie. — Krańcowy kretyń.

Ale fatalnej odzywki nie dało się przecież cofnąć. Westchnął głęboko. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Łucja się nie obrazi.

Położył formularz zgody na stercie papierów i zabrał się do roboty. Od razu się uspokoił. Uwielbiał tę pracę. Kiedy czytał teksty starych pieśni, przeglądał paciorki nut zawieszane na niciach pięciolini, gdy kopiował i segregował wzory dawnych haftów, zdobień, koronek, miał choć przez chwilę wrażenie, że przenosi się do nie istniejącego już, magicznego świata, który jest taki naturalny, prosty i piękny. Żyjący wtedy ludzie nie musieli oddawać czci jakiejś ubóstwionej, upersonifikowanej planecie, szumnie zwanej Matką Naturą. Po prostu

wsluchiwali się w rytm świata, mądrze, choć nieświadomie. Nie przychodziło im do głowy palić kadzidła, wyrysowywać mandale ani godzinami medytować z kryształem przyklejonym plastrem do czoła. „Nie robili żadnych podobnych głupot — pomyślał Igor. — Mieli proste obrzędy, przystosowane do ich kultury i pojęć. Nie tak, jak my teraz”.

Igor posłusznie wypełniał wszystkie rytuały związane z kultem Matki Ziemi, ale w głębi duszy wątpił w ich skuteczność. Czasami, gdy potrzebował duchowego wsparcia, zwracał się do jakiejś niekonkretnej, potężnej istoty słowami dawnych pieśni. „Wyleciała dusza z ciała, nie wiedziała, gdzie sięść miała” — powtarzał na przykład, kiedy dręczyły go rozterki, przekonany po cichu, że jakiś duch minionego czasu usłyszy i wspomocze ostatniego wyznawcę. Nie traktował swojej dziwacznej religii zupełnie serio i oczywiście nigdy nikomu o tym nie mówił. Mała herezja, której się dopuszczał, powodowała miły dreszczyk podniecenia. Była odskocznią od prawdziwego, uporządkowanego świata. Igor nigdy się nie ośmielił postawić w kącie kuchni talerzyka z odrobiną miodu, kaszy i piwa, ale bawił się tą myślą. Właściwie nie ryzykował wiele. Matronna Erika zachodziła do kuchni bardzo rzadko, niemal wcale. Nie chciał jednak narażać się na jej drwiny, gdyby znalazła obiatę. Mogłaby uznać, że „historyczny zabobon”, jak nazywała jego zajęcie, namieszał mu w głowie, i nakazać zmianę pracy. Wzdrygnął się ze zgrozy. Nie ma co. Obiady na razie nie wystawi. W końcu to tylko niewinna zabawa, której inni mogliby nie zrozumieć.

Ale niepokój, że Erika któregoś dnia postanowi ukrócić „historyczno–idiotyczny zabobon” męża, wgryzł się w serce Igora tak głęboko, że nie potrafił nad nim zapanować. Uspokajał się i beształ na przemian, lecz atak nerwicy nie mijał. Postanowił więc zrobić sobie prezent i zanalizować zbiór niedawno pozyskanych kopii dziewiętnastowiecznego malarstwa na szkle z terenu Kaszub. Trzymał kilka podobnych wspaniałości na specjalne okazje.

Podziałało jak cudowny balsam. Wpatrywał się z zachwytem w proste, nieporadne wręcz linie wyczarowujące na szkle tulipany i osty, patrzył w poważne, grubo ciosane twarze przerysowanych z drzeworytów świętych, a magiczna rzeczywistość dawnych wieków przyniosła spokój i ukojenie. Nawet nie zauważył, kiedy dzień pracy dobiegł końca. Szybko pozbierał swoje rzeczy i wybiegł z firmy. Musiał przecież zrobić zakupy, ugotować obiad, posprzątać. A w koszu na bieliznę czekało pranie. Matko Naturo! I kostium Eriki, który miał odebrać od krawca. Mało brakowało, a zapomniałby o tym. Żona z pewnością byłaby wściekła i mógłby się pożegnać z wyjazdem w delegację.

* * *

Rzucił się z zapalem w wir zajęć. Postanowił ugotować coś specjalnego. Lekką, wykwinną, elegancko podaną potrawę, żeby wprawić matronnę w dobry nastrój. Zazwyczaj Erika odnosiła się do jego pracy wyrozumiale, ale przecież nie mógł mieć pewności, czy zgodzi się na wyjazd. I to na całe trzy dni.

Wysprzątał mieszkanie, aż lśniło. Kupił ulubione wino Eriki, przygotował obiad, nakrył stół nieskazitelnie białym obrusem i przystroił świecami i kwiatami. Teraz pozostawało mu tylko czekać. Późne popołudnie przemieniło się w wieczór, wieczór w noc, a żona nie wracała. „Błagam — myślał Igor — niech wróci na noc. Niech tylko wróci”. Czasem, oczywiście, nocowała poza domem, ale stosunkowo rzadko, więc musiałby mieć dzisiaj wyjątkowego pecha.

Wreszcie usłyszał szcęk otwieranych drzwi. Pobiegł prędko do przedpokoju, zdjął żonie płaszcz, schylił się po rzucone niedbale na podłogę rękawiczki. Erika ziewnęła szeroko.

— Matko Naturo! Ale jestem skonana. Idę spać. Przygotuj mi kąpiel.

— Zrobiłem obiad — wymamrotał Igor rozpaczliwie. — To znaczy, kolację.

Machnęła ręką.

— Jadłam na mieście.

Odwróciła się, żeby odejść do swojej sypialni.

— Dodaj olejek lawendowy. Tylko nie za dużo — rzuciła przez ramię.

— Ja... — zaczął Igor z rozpaczą. — Ja chciałbym cię o coś prosić.

— Och, nie teraz — burknęła. — Jestem zmęczona. Jutro.

Igor wpadł w panikę. Jutro będzie za późno. Rano musi wyjść do pracy z podpisaną zgodą. Przecież nie ośmieli się obudzić Eriki. Oczy zaszyły mu łzami.

— Proszę — wyszeptał.

Żona zatrzymała się w pół kroku, wysoka, smukła, władcza.

— No, co to za histerie? — spytała sucho, ale bez gniewu. — Tylko nie zacznij szlochać. Wiesz, że tego nie znoszę.

Igor wyciągnął drżącą rękę z papierem. Nie odezwał się, bo gardło miał ściśnięte tłumionym płaczem. Erika przebiegła dokument wzrokiem. Spojrzała na Igora szarymi jak stal oczami i parsknęła śmiechem.

— A, o to chodzi! Nie wstyd ci zawracać mi głowy czymś takim, kiedy wracam zmęczona? Ale dobrze. Masz szczęście. W tym tygodniu mogę cię ostatecznie puścić. W przyszłym nie byłoby mowy. Zapraszam przyjaciółki, żeby świętować Niski Księżyc. Musisz przygotować całe przyjęcie. Postaraj się, pamiętaj. Nie pozwolę, żeby twoje wyjazdy w jakikolwiek sposób wpłynęły na sprawne funkcjonowanie domu. No, niech ci będzie. Podpiszę.

Chciała mu oddać dokument, ale usłużnie podał jej pióro. Erika pokręciła głową.

— Proszę, proszę. Wciąż te same męskie gierki. Niby pyta o pozwolenie, a pióro już ma przygotowane. Chyba jestem za pobłażliwa. Może powinnam się rozmyślić? Tak dla poprawy dyscypliny.

Igor zamarł ze zgrozy. Przedobrzyłem, pomyślał z rozpaczą. Wszystko na nic. Po policzkach pociekły mu łzy.

— Nie rycz! — jęknęła Erika. — Dobrze, podpiszę. Jedź katalogować te swoje krowie łajna, czy co tam robisz.

Machnęła na dokumencie zamaszty podpis.

— No już, po dramacie — powiedziała z uśmiechem. — Tylko żebyś mi się nie rozbestwił. Na następny wyjazd nie zgodzę się wcześniej niż za pół roku. Nie pozwolę, żebyś przez swoje głupie hobby zapominał o obowiązkach. A teraz zejdź mi z oczu i przygotuj kąpiel. Nie widzisz, że padam z nóg? Matko Naturo! Co za egoiści z tych samców! Obchodzi ich tylko własna wygoda!

— Dziękuję! — zawołał rozpromieniony Igor. — Jesteś taka dobra, taka wspaniałomyślna! Dziękuję z całego serca!

Ziewając, otworzyła drzwi sypialni.

— Kąpiel! — rzuciła ostro. — I cisza, na Księżycową Boginię!

Igor pędem rzucił się do łazienki. Potem, kiedy już żona zasnęła, umył wannę, sprzątnął nakrycia i pozmywał. Bez żalu wyrzucał do śmieci nietknięte, zimne, zakrzepłe dania. Warto było. Przecież się zgodziła.

* * *

Nie zobaczył lasu. Skulony na tylnym siedzeniu dostawczego pojazdu, przemknął leśną drogą wprost do kompleksu luksusowych hoteli w samym środku Puszczy Białowieskiej. Po drodze modlił się, żeby za część etnograficzną imprezy odpowiadał mężczyzna lub, w ostateczności, żeński awatar. Konsultował kiedyś koncert organizowany przez prawdziwą kobietę i do tej pory wspominał ten koszmar. Wszystko, począwszy od strojów, a skończywszy na repertuarze, było okropne, kiczowate i nieautentyczne, a on nie mógł przecież niczego otwarcie skrytykować. Lawirował więc jak szalony, wyteżając cały swój

zmysł dyplomacji, stosując pochlebstwa i podstępny, ale koncert i tak wypadł kiepsko. Chociaż przynajmniej nie żenująco tragicznie. Jednak tym razem Wielka Bogini albo prywatny, bezimienny bóg Igora wysłuchali prośby. W hotelu powitał go rzutki blondyn o nieprzyjemnie śliskim wyrazie twarzy.

— Koplewicz — przedstawił się. — Kierownik artystyczny. Wszystkie uwagi proszę kierować do mnie.

— Chciałbym zanieść bagaż do pokoju i zaraz mogę rozpocząć pracę — powiedział Igor.

— Ależ oczywiście, oczywiście — skwapliwie przytaknął blondas.

„Musi być z niego niezła kanalia”, pomyślał Igor. Zostawił podróżną torbę w niedużym, ale przyjemnym pokoju, umył ręce i zszedł na dół, do sali bankietowej.

Dekoracje wyglądały nie najlepiej, ale po Koplewiczu spodziewał się czegoś jeszcze gorszego.

— Nie jest źle — powiedział — ale trzeba przeprowadzić pewne zmiany. Mamy teraz wiosnę. Choinka przybrana słomianymi zabawkami jest zupełnie nie na miejscu. Stanowiła rekwizyt świąt obchodzonych zimą. I na przyszłość proszę nie wieszać na niej pisanek. Pisanki służyły obrzędowi wiosennemu. Ostatecznie mogą zostać jako element dekoracji, ale bez choinki.

— To piękne, trzymetrowe drzewko zostało ścięte specjalnie na tę okazję! — oburzył się Koplewicz. — A pan żąda, żebym je usunął?

— Bezwzględnie.

— Nawet pan nie wie, ile pracy kosztowało odtworzenie i wykonanie ozdób! — jęknął blondas.

Igor był nieugięty, jak każdy znawca fanatyk uwielbiający swoje zajęcie. W pracy pozwalał sobie tylko na absolutnie niezbędne kompromisy.

— Spodziewam się — powiedział twardo. — Proszę je zachować na imprezę odbywającą się w okresie zimowym.

— Tyle pracy na marne! — Koplewicz załamał ręce.

Igor miał tylko jedną odpowiedź.

— Trzeba było zasięgnąć konsultacji wcześniej. Zawsze chętnie służę pomocą przy organizacji tego rodzaju konferencji. To nie wszystkie uwagi, panie Koplewicz. Pobielone ściany, stylizowane na wnętrze wiejskiej chaty, są w porządku. Strzecha ostatecznie może być, chociaż na przyszłość proszę używać słomy, a nie siana. Sianem karmiono zwierzęta gospodarskie. Ale wiszące pod belką obrazy przedstawiające Wielką Boginię muszą zniknąć.

— Nie ma pan racji — syknął wściekle kierownik artystyczny. — Przecież czytałem, że w chatkach wisiały sakralne przedstawienia. Pokazać panu opracowania naukowe na ten temat?

— W dawnych czasach na tych ziemiach nikt nie czcił ani Matki Natury, ani Księżycowej Bogini — warknął Igor ostro. — Żądam natychmiastowego zdjęcia obrazów. Chyba nie chce pan narazić naszej firmy na kompromitację?

— No to co mam zostawić? — Koplewicz dramatycznym gestem rozłożył ręce. — Gołe ściany?

Igor westchnął.

— Ramy mogą zostać, jeśli zetrze się z nich złocenia. Natychmiast poproszę kogoś z biura, żeby przesłał odpowiednie obrazy z mego banku danych, a pan je wydrukuje i oprawi. Fotokopie autentyków z końca dziewiętnastego i początku dwudziestego wieku.

— I co na nich niby będzie? — zapytał blondas z przekąsem.

— Kwiaty, przedstawienia sakralne, madonny, święci...

— Pan chyba oszalał! — ryknął kierownik artystyczny z jawnym przerażeniem. — Chce pan wywołać skandal?! Jacy znów święci, na Matkę Ziemię?! Absolutnie nie pozwolę na coś podobnego! Przecież może pan urazić uczucia religijne gości!

Igor zawahał się. Rzeczywiście, w imprezie będą brać udział nie tylko specjaliści od

etnologii, ale i laicy.

— W porządku — zrejetrował. — Wyłącznie kwiaty i scenki rodzajowe.

Koplewicz otworzył usta, ale Igor nie dopuścił go do głosu.

— Oczywiście tylko te, na których status kobiet i mężczyzn jest odpowiednio równy.

Kierownik artystyczny milczał, chociaż cały czas poruszał szczękami, jakby coś przeżuwał.

— Do kwestii wystroju wrócimy później, kiedy dokona pan najbardziej niezbędnych zmian. Proszę mi teraz pokazać menu.

Koplewicz ze wściekłą miną grzebał w teczce.

— Proszę — warknął.

Igor spojrział w kartę.

— Rozumiem, że poczęstunek ma składać się z tradycyjnych, etnicznych potraw? — spytał.

— Takie mieliśmy założenia — burknął blondas sztywno.

Zupa cebulowa — czytał Igor. — Nie bardzo, ale ostatecznie niech będzie. Kaszka kuskus absolutnie wykluczona, proszę zastąpić jaglaną albo zwykłą jęczmienną. Indyka proponuję zamienić na gęś albo kaczkę, ale w żadnym wypadku w chińskim sosie!

Koplewicz skrzywił się nieprzyjemnie.

Igor spokojnie studiował menu.

— Zaraz, zaraz? A to co? Fromażki?

— Oczywiście. Tradycyjne górskie sery.

— Nie ma mowy — powiedział twardo Igor. — Mamy jeszcze dwa dni. Skontaktuję pana z licencjonowanym wytwórcą prawdziwych podhalańskich serków, które, tak przy okazji, nazywają się oscypki.

— No nie! — Koplewicz pobladł ze złości i grozy. — Chce pan otruć gości jakimś brudnym jedzeniem, które ktoś lepi parszywymi łapami w chałupie w Zakopanem? Na to nie pozwolę!

— A ja nie pozwolę narażać wizerunku firmy! — wrzasnął rozwścieczony Igor. — Będzie pan karmił specjalistów, znawców, jakąś pacią z supermarketu?! Widzę, że robi pan wszystko, żeby utrudnić mi pracę. Jeśli nie zmieni pan nastawienia, natychmiast się wyniosę. Nie mam zamiaru się z panem użerać. Ale nie biorę odpowiedzialności za ten kabaret, który zrobi pan z przyjęcia i koncertu. Napiszę odpowiednie pismo, w którym udowodnię, że uniemożliwia mi pan pracę.

— Proszę się nie gorączkować. — Koplewicz wyraźnie się wystraszył, bo na jego twarzy zagościł służalczy uśmiech. — Przecież możemy dojść do porozumienia. Obu nam zależy na jak najlepszym przebiegu imprezy.

— Mam nadzieję — mruknął Igor, wracając do karty. — Kartacze — podniósł wzrok. — Duże wyzwanie, ale doskonały pomysł. Jakie nadzienie, mięsne czy grzyby z kapustą?

— Pasta ze świeżutkich krewetek — obruszył się kierownik. — Żadne tam grzyby.

Igorowi opadły ręce.

— Nie wierzę! — krzyknął. — Jakie krewetki? Mięsne nadzienie z dużą ilością czosnku albo kapusta z grzybami. Koniec dyskusji.

Koplewicz zrobił się czerwony na twarzy.

— Czy coś jeszcze?

— Kielbasa i szynka oczywiście wieprzowe, prawda?

Kierownik artystyczny spuścił wzrok.

— Sojowe.

Igor przesunął dłonią po twarzy.

— Proszę zastąpić wieprzowymi albo kiszka kartoflaną. I wykreślić z menu frytki. Bezwzględnie.

— A co z wegetarianami? — desperacko spytał blondas.

— Można dla nich ugotować pierogi z kapustą i grzybami. Podać soczewicę, bób, warzywa takie jak marchew, seler, por.

Koplewicz nawet się nie odezwał. Milczał ponuro.

— Krepy z marmoladą figową i maracują też nie przejdą — dobił go Igor. — Tu nie jedzono żadnych naleśników. Niech kucharz wymyśli inny deser. Może knedle ze śliwkami albo pierogi z jagodami. Coś w tym rodzaju.

Zamknął kartę.

— Proszę wszystko przemyśleć, a potem pokazać mi nowe propozycje.

Po południu zajmę się muzyczną i taneczną stroną imprezy. Teraz, proszę mi wybaczyć, pójdę zorganizować obrazy.

Kiedy odchodził, Koplewicz mamrotał coś pod nosem, a Igor nie miał wątpliwości, jaki jest temat tego wewnętrznego monologu.

* * *

Po południu też wszystko przebiegało ciężko, ale zdecydowanie lepiej niż rano. Projektant kostiumów znał się jako tako na rzeczy. Igor stoczył z Koplewiczem tylko jedną poważną batalię. Poszło o odprucie od spódnic i gorsetów tancerek fosforyzujących w ciemności barwnych taśm. Kierownik artystyczny rozpaczał, że w ten sposób pójdzie w diabły całe starannie zaplanowane widowisko ze specjalnymi efektami świetlnymi, ale Igor był nieprzejednany. Fluorescencyjne taśmy i cekiny odpruto. Poza tym zdecydowanie zaprotestował przeciw gitarom i harfie w składzie kapeli ludowej, sabotom na nogach krakowiaków i pawim piórom przy góralskich kapeluszach. Układy choreograficzne wydawały mu się zbyt wydumane, ale mógł je ostatecznie zaakceptować. Stanowczo też nakazał zdjąć wieńce i czepce z głów tańczących chłopców, nie dał się przekonać, że tak jest sprawiedliwie pod względem równości płciowej.

Był już naprawdę zmęczony, kiedy okazało się, że czeka jeszcze solistka. Ponieważ została na końcu, musiała być awatarem, więc przez chwilę miał ochotę powiedzieć, że przesłucha ją jutro, ale przypomniał sobie Łucję A9 i postanowił jednak się nią zająć.

Do sali weszła drobna jasnowłosa dziewczyna, która przedstawiła się jako Anna A1, a Igor na jej widok dosłownie zamarł z zachwyty i niedowierzania. Nie chodziło wcale o urodę, chociaż była dość ładna, ale o strój. Solistka miała na sobie autentyczny kurpiowski ubiór ludowy. Igor porwał się z miejsca, podbiegł rozpromieniony, zaaferowany.

— Czy mogę go dotknąć, obejrzeć? — wyksztusił nieprzytomnie.

— Proszę — powiedziała dziewczyna, lekko jednak speszona.

Igor z nabożnym lękiem przesuwając palcami po materiale spódnicy, ostrożnie dotykał grubej, szorstkiej wełny.

— On ma grubo ponad sto lat — wyszeptał. — Cudowny, cudowny autentyk. Powinien się znaleźć w muzeum. Skąd pani go ma?

Anna A1 uśmiechnęła się.

— To spadek. Wiele lat przeleżał wciśnięty na dno szafy. Mam go po prababce.

Pobladła nagle, zasłoniła dłonią usta.

— To znaczy, oczywiście, mają prawdziwe spadkobierczynie. Nie były zainteresowane i łaskawie zgodziły się oddać strój mnie. Proszę wybaczyć, zapomniałam się. Nie wiem, jak mogłam coś podobnego powiedzieć. Podszyć się pod prawowitą członkinię rodziny. To niewybaczalne.

Przepraszam.

Igor wcale się nie oburzył na tę straszliwą impertyncję.

— Proszę się nie przejmować — powiedział. — Dobrze, że tak cenna rzecz dostała się w

ręce kogoś, kto docenia jej wartość.

W niebieskich oczach dziewczyny pojawiły się strach, niepewność, wdzięczność i coś w rodzaju dumy.

— Rodzina uznała, że najlepiej się przydam, kształcąc się na kierunku ekonomicznym, ale mnie od dziecka interesowała etnologia. Przede wszystkim muzyka. W wolnych chwilach ćwiczyłam, uczyłam się pieśni, spisywałam stare teksty.

Serce Igora zabiło mocniej.

— Czy po pani prababce, to znaczy po prababce prawowitych spadkobierczyń, zostało coś jeszcze oprócz stroju?

Anna A 1 skinęła głową.

— Zapisy nutowe paru pieśni, słowa, kilka wycinanek, trochę narzędzi.

Dziewczyna wyraźnie się ożywiła, gdzieś zniknęła niedawna nieśmiałość, skrępowanie.

— Mam też autentyczny kołowrotek. Były również krosna, ale przeszkadzały w domu i szanowna matka kazała je wynieść na śmietnik — dodała ze smutkiem.

— Ale, ale — powiedział Igor. — Pani miała śpiewać. Czy czuje się pani na siłach?

Zarumieniła się.

— Spróbuję.

Igor rozsiadł się wygodnie, a Anna stanęła na środku sali. Po chwili przez powietrze popłynął cudowny, natchniony głos dziewczyny. Śpiewała doskonale. Przymknął oczy, czując, że mógłby jej słuchać bez końca. Wyobraźnia podsuwała mu obrazy kołyszących się łąnów, chałup zatopionych w zieleni, strzech skrytych pod śniegiem, bochnów chleba wyciąganych z pieca, skib czarnej, żyznej ziemi obracanej lemieszem pługa, płowych końskich grzyw i drabiniastych fur, turkoczącego kołowrotka, jesiennych rżysk, nad którymi snują się sine opary palonych łątów. Piękny, bajkowy, zaginiony świat, do którego tak tęsknił.

Głos Anny, raz rzewny i smutny, raz poważny i nostalgiczny, płynął, niosąc cudowne ukojenie. Gdy dziewczyna skończyła, Igor długo nie mógł wypowiedzieć słowa.

— Pani jest... genialna! — zawołał. — Ma pani doskonały, czysty, autentyczny biały głos. Co za dar! Co za talent!

— Och — zmieszana się. — Ja tylko próbuję...

— Jest pani skarbem, Anno — przerwał. — A ja nie pozwolę zmarnować się takiemu głosowi. Wezmę od pani namiary i spróbuję zainteresować pani talentem odpowiedzialne osoby w naszej firmie. Proszę się nie martwić. Wciąż trwa moda na tradycję, powrót do korzeni, jak się mówi. Będziemy dążyć do tego, żeby nagrywała pani pieśni na potrzeby muzeów i uczelni etnograficznych. Dobrze?

Anna wydawała się oszołomiona.

— Jak najchętniej, ale nie wiem, czy rodzina się zgodzi. Wybrała dla mnie inną drogę.

— Załatwimy i ten problem — powiedział stanowczo Igor. — Rodzina dostanie odpowiednią gratyfikację finansową. Zapewniam, znacznie wyższą niż pani dotychczasowe zarobki.

Anna A1 przesunęła dłonią po twarzy.

— Ja chyba śnię — wyszeptała.

— Ależ skąd — uśmiechnął się Igor.

Rozpierała go radość. Otrzymał od losu niespodziewany, wspaniały prezent. W dodatku dziewczyna jest awatarem, co ułatwi współpracę. Bez fochów będzie przyjmowała wskazówki, wykonywała ćwiczenia. Coś wspaniałego.

— Chciałabym jeszcze coś panu pokazać — powiedziała nieśmiało. — To na pewno wartościowe, ale... Sam pan oceni.

Sięgnęła po torebkę i wyciągnęła stamtąd poźółkły, złożony we czworo kawałek papieru. Twarz miała bladą i bardzo poważną.

— Proszę spojrzeć — dłoń, którą wyciągnęła w stronę Igora, drżała lekko. — To tekst

starej pieśni weselnej.

Ostrożnie rozwinął papier. Był zapisany bladym, pajęczym pismem. Atrament niemal zupełnie wyblakł. Igor zaczął czytać:

Klęknijta młodzi przed obrazami
I zalejta się rzewnymi łzami.
Młoda już klęka, rączki podnosi,
Pana Jezusa o szczęście prosi.
O panie Jezu, dajcie mi szczęście,
Boja już idę pod jego pięście.
Pod jego pięście, pod jego pazury,
O Matko Bosko, daj dobry natury.

Igor bardzo powoli złożył papier. Wstrząśnięty podniósł oczy. Napotkał spojrzenie Anny. Była blada, spięta i niepewna. Igor oblizwał suche wargi.

— To jawny dowód okrucieństw, jakich mężczyźni dopuszczali się na kobietach — powiedział cicho. — Potwornego bestialstwa i cierpień tysięcy zastraszonych, sterroryzowanych ofiar. Powinnaś to oddać do Instytutu Martyrologii Kobiet. To obowiązek.

— Wiem — szepnęła. — Ale to pieśń. Dokument minionego czasu. Nie potrafiłam.

— Rozumiem — skinął głową. — Dziękuję ci za zaufanie. Pewnie nie było ci łatwo pokazać tak niebezpieczny tekst obcemu człowiekowi.

— Liczyłam, że zrozumiesz. Zdobył się na blady uśmiech.

— Nie przeliczyłaś się. Czy... umiesz to zaśpiewać?

Szybko skinęła głową, a Igor poczuł, jak potnieją mu dłonie.

— Niesamowite — szepnął. — Może kiedyś... kiedyś to usłyszę. Pobladła jeszcze bardziej.

— Może. Weź to. Zatrzymaj. Ja znam na pamięć.

Wciągnął głęboko powietrze.

— To bardzo kuszące. Ale niebezpieczne.

— Wiem. Jeśli odmówisz, nie będę ci miała za złe. Pomyślałam tylko, że podobny dokument powinien się znaleźć w rękach fachowca.

Igor spojrzął głęboko w niebieskie oczy dziewczyny i szybkim ruchem wsunął kartkę do kieszeni. W ostatniej chwili dopadł go nagły lęk, że może padł ofiarą prowokacji, ale na ustach Anny pojawił się leciutki uśmiech.

— Dziękuję — powiedziała poważnie. — Teraz wiem, że jest w dobrych rękach. U mnie nie byłby tak bezpieczny.

Igorowi trochę kręciło się w głowie z emocji i zmęczenia.

— O nic się nie martw. Wszystkim się zajmę. A teraz, wybacz. Muszę się położyć, przemyśleć różne rzeczy. Do zobaczenia jutro.

— Do zobaczenia. To cud, że cię spotkałam.

— To cud, że znalazłem kogoś z takim głosem — uśmiechnął się. — Idę się położyć. Czuję się, jakbym przerzucił trzy tony kamieni.

Do pokoju wracał zmęczony, ale dziwnie szczęśliwy. Czuł się jak spiskowiec, jak konspirator, i to było mile uczucie. Nareszcie w jego życiu zdarzyło się coś niezwykłego.

W ciągu następnych dwóch dni był bardzo zapracowany i nie miał czasu na kontakty z Anną. Wziął tylko jej dane i obiecał zająć się wszystkim po powrocie do Warszawy. Przyjęcie i koncert udały się całkiem dobrze. Igor wrócił do domu wykończony, ale zadowolony.

Pozbierał i starannie złożył porzucane na podłodze ubrania i bieliznę Eriki. Zebrał brudne talerze, umył wszystko, posprzątał, nastawił pranie, a potem mógł już spokojnie zabrać się do przygotowania kolacji. „Jednak dobrze jest spać we własnym łóżku”, pomyślał,

gdy późnym wieczorem zamknął wreszcie drzwi swego pokoju.

* * *

Obchody Niskiego Księżyca wypadły fortunnie w piątek, dzień Wenus, ustawowo wolny od pracy (zamiast dawno już wycofanej solarnej, patriarchalnej niedzieli), ale planowane przyjęcie Eriki skończyło się na wizycie jej najlepszej przyjaciółki, Rity. Igor ucieszył się, bo Rita zazwyczaj zabierała ze sobą męża, a Igora i Józka łączyła od dawna serdeczna więź. Matrona Rita miała charakter znacznie bardziej rozrywkowy, ale i bardziej wybuchowy niż stonowana, chłodna Erika. W głębi duszy Igor dziękował Bogini, że nie przypadła mu w udziale żona pokroju Rity. Często, kiedy spotykał Józka, widział, że przyjaciel miał podbite oko, pękniętą wargę albo łuk brwiowy. Kiedyś opieszłość i lenistwo męża rozzłościły Ritę do tego stopnia, że złamała mu rękę i dwa żebra. Igorowi żal było przyjaciela, bo wiedział, że Józek bardzo się stara, ale paraliżuje go nieprzytomny wręcz lęk przed żoną. Rita umiała pokazać pazury i bardzo, bardzo lubiła demonstrować władzę.

Przechodziła właśnie niezwykle modny proces afrykanizacji. Jej skóra przybierała już piękny odcień kawy z mlekiem, nos stał się szerszy i płaski, wargi wydatne. Ale nieprzyjemne, wielokrotne zabiegi działały matronnie na nerwy, sprawiając, że cały czas chodziła podminowana. Józek żartował gorzko, że i on przechodzi kurację zmieniającą kolor skóry na sinoczną.

Rita wkroczyła jednak do domu Eriki w wyjątkowo dobrym humorze, w kreacji w lamparcie cętki, odsłaniającej wszystko, co tylko dawało się odsłonić. Matrony nie udały się do salonu, tylko do prywatnego saloniku Eriki, sąsiadującego z jej sypialnią, gabinetem i łazienką. Rita była przecież niemal domowniczką. Erika traktowała ją jak siostrę.

Na przyjaciółki czekały już przygotowane przekąski, trunki i zimne dania. Józek z Igorem natychmiast popędzili do kuchni, żeby podgrzać i utrzymać w ciepłe główne potrawy. Przyjaciel wydawał się Igorowi jakoś szczególnie przygnębiony, a nawet przybity. Niestety, porozmawiać będą mogli dopiero, kiedy żony zjedzą obiad i zajmą się piciem i plotkami. Sprawnie sprzątnęli resztki deseru, Józek pomógł Igorowi pozmywać i znaleźli wreszcie trochę czasu dla siebie. Jeśli będą mieli szczęście, matrony nie zawołają ich aż do rana. Rita nigdy nie wychodziła od Eriki wcześniej niż o świcie, a często decydowała się przenocować i zostawała do południa następnego dnia.

Igor posadził Józka przy kuchennym stole, a sam sięgnął do lodówki po dwie puszki piwa. Pochwyił przerażony wzrok przyjaciela.

— Co ty robisz? A jak zauważą?

Igor machnął ręką.

— No co ty. Jest tego pełna lodówka. Erika kazała nakupić piwa, wina i wszelkich możliwych alkoholi, jakby chciała upić całą armię. Umrą, jeśli spróbują wysuszyć chociaż połowę.

Józek wiercił się nerwowo.

— No nie wiem. Rita mnie zabije, jak się dowie, że piłem. Według niej mężczyzna z porządnego domu nie powinien nawet myśleć o alkoholu. Inaczej wcale się nie różni od dziwków.

— Jedno piwo i od razu dziwkowie — obruszył się Igor. — Też coś. Zresztą ona nie zauważy. Obie już są nieźle wstawione. A tobie chyba się przyda coś mocniejszego.

Józek westchnął.

— Dawaj! — powiedział z desperacją.

Pociągnął długi łyk i wpatrzył się ponuro w blat.

— Co jest? Gadaj! — ponaglił go Igor. — Stało się coś? Znów cię pobiła?

Józek pokręcił głową.

— Gorzej, znacznie gorzej.

— No co? Rozwodzi się z tobą?

W brązowych oczach męża Rity pojawił się cień prawdziwej rozpaczy.

— Z tego bym się może i nawet ucieszył. Igor, ona chce mieć dziecko!

Igor zachłysnął się piwem.

— Nie — wyszeptał ze zgrozą. — Z tobą? Niemożliwe?

— Nie bądź głupi — jęknął Józek. — Jasne, że nie ze mną. Przecież chce mieć idealną, piękną, inteligentną i utalentowaną córkę. Skorzysta z banku modyfikowanej genetycznie spermy. Albo z najnowszego wynalazku, procesu dzieworódtwa. Chociaż jest cholernie kosztowny i wciąż jeszcze w fazie eksperymentów.

— Rozmawiała o tym z tobą? — zdziwił się Igor.

— No co ty? Podśledzałem, jak gadała z matką.

Igor wzruszył ramionami.

— E, tam. Może się jeszcze rozmyśli.

— Nie. — W oczach Józka nagle zabłyśły łzy. — Nie rozmyśli się. Już mi zapowiedziała, że będę się zajmował jej córką. Święta Księżycu! Jak ja to zrobię? Taka odpowiedzialność!

Ukrył twarz w dłoniach, pochylił się nad stołem tak nisko, że niemal leżał na blacie. Igor gapił się z rozdziawionymi ustami na wstrząsane szloch ramiona przyjaciela.

— Nie przejmuj się tak — wymamrotał. — Dasz sobie radę.

Józek uniósł głowę. Po białych policzkach płynęły strugi łez.

— Igor, ja nie podołam. I tak wszystko, co robię, jest źle. Ona mnie zabije, stary. Albo sam się zabiję. Bogini, Bogini! Jak ja mam wychować dziecko? Córkę Rity, Igor. Rogaty boże, ratuj! Przecież ona wyrośnie na taką samą zarazę jak matka! Małą, rozpieszczoną, wredną, żądającą nieustannych usług. Ja nie wytrzymam z dwiema, przysięgam.

— No nie. Daj spokój. Przecież przez dłuższy czas to będzie niemowlę.

— Cudownie — chlipnął Józek z ironią. — Rozkoszne niemowlę, któremu mam poświęcić dwadzieścia cztery godziny na dobę. A jednocześnie prowadzić dom i spełniać wszystkie kaprysy Rity. Nie dam sobie rady, a ona mnie zabije. Wiem, co mówię. Jak dziecko zacznie płakać, a ja nie będę umiał natychmiast go uspokoić, Rita zatłucze mnie na śmierć. To koniec, Igor. Już po mnie.

— Nie histeryzuj — powiedział Igor stanowczo. — Dasz sobie radę i tyle.

Usta Józka wykrzywił grymas.

— Łatwo ci mówić. Erika nie ma takich pomysłów.

Igor zadrżał.

— Nie, jak na razie, Bogini uchowaj. Posłuchaj, na pewno wszystko będzie dobrze. Nie będziesz jedynym facetem na świecie, który wychowuje dziecko. Większość wspaniale sobie radzi.

— Ale nie z dzieckiem Rity — burknął Józek.

Igor miał już na końcu języka jakiś krzepiący frazes, gdy zabrzączał kuchenny dzwonek.

— Erika wzywa — powiedział. — Muszę pędzić.

Błyskawicznie znalazł się pod drzwiami saloniku, zapukał.

— Wejść! — zawołała żona.

Wsunął się cicho do pokoju. Rita i Erika siedziały na dywanie, na miękkich poduszkach. Wyglądały na rozradowane.

— Wspaniale — mówiła właśnie Erika. — Gratuluję, Ri. Aleś mnie zaskoczyła. I jak? Sztuczna macica czy naturalny poród? Teraz to bardzo modne. Kobiety znowu chcą paradować z brzuchami jak balony.

Rita wydeła nowe pełne wargi.

— Och, Eri. Jasne, że sztuczna macica. Te poranne rzygi, ten bandzioch. Nie, to nie dla mnie — przesunęła dłońmi po biodrach. — Jeszcze bym sobie zepsuła figurę. Nie, nie,

skarbie. Tylko sztuczna macica. Co się tak gapisz?

Ostatnia uwaga była do Igora. Erika odwróciła głowę.

— A, jesteś. Zamów szampana. Prawdziwego. Mamy co świętować — mrugnęła do Rity.
— Aha, zadzwoniłyśmy po chłopców do towarzystwa. Jak przyjdą, wprowadź ich do sypialni i nie przeszkadzaj. Będziemy zajęte do rana.

Rita roześmiała się na głos. Kieliszek wyslizgnął się z palców o barwie karmelu. Czerwone wino wsiąkało szybko w jasny, gruby dywan.

„Nasprzątam się jutro”, pomyślał ponuro Igor.

— Nie stój jak debil — warknęła żona Józka. — Spływaj.

Zamykając drzwi, usłyszał jeszcze rzucone za sobą „głupi samiec”. „Biedny Józek — przeszło mu przez myśl. — Może i nie przesadza tak bardzo”.

* * *

Chłopcy zjawili się po upływie pół godziny. Wyrośnięci, szerocy w barach, wbici w eleganckie ubrania. Na pozór wydawali się pewni siebie, a nawet światowi, ale gdzieś za tarczą śmiałości i obycia kryły się wylęknione nastolatki. Żaden nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Igor wprowadził ich do sypialni Eriki, a sam wrócił do Józka.

— Możemy się położyć, jeśli chcesz — powiedział. — Do rana mamy spokój.

— Nie, proszę — szepnęła przyjaciół, który już nieco wziął się w garść. — Wolałbym pogadać. Ja... sam rozumiesz. Nie pracuję. Nie wolno mi samemu wychodzić. Rita zamawia wszystko osobiście, z dostawą do domu. Daję jej do akceptacji tylko listę zakupów potrzebnych w gospodarstwie. Nie mam do kogo pyska otworzyć. Oszaleję od tego, Igor. Ty chociaż pracujesz. A ja mam pecha.

— Rozmawiałeś z nią o tym, że chciałbyś pracować zawodowo?

Józek machnął ręką.

— Zapomnij. Rita jest z tych nielicznych kobiet, które uważają za dyshonor posłanie męża do roboty. Tylko kobiety naprawdę nadają się na stanowiska. A ona ma pozycję i pieniądze. Sama potrafi utrzymać dom. Nie potrzebuje do pomocy samca. Facet nadaje się na śmieciarza albo kanalarza, ale taki mąż uwłaczałby jej godności i stanowisku. Więc kisnę w chałupie. A teraz jeszcze dziecko. Mam przechłapanie.

— Zazwyczaj jest odwrotnie — mruknął Igor. — Samce harują, żeby zapewnić kobiecie pozycję, rozrywki i umiłowane bezpieczeństwo. Czyli szmal.

— I pokutują za dawne winy, bla bla bla. Niewolę patriarchy, czy co to tam było.

— Nie pleć bzdur — zaniepokoił się Igor. — To były czasy niesprawiedliwości, nierówności i ucisku. Miliony cierpiały niewinnie, pozbawione praw, edukacji, wolnej woli...

— Były, Igor? A teraz to niby co się dzieje? To samo, ale z drugiej strony.

— Wcale nie. Obecnie panuje niemal doskonałe równouprawnienie... — zaczął niepewnie i urwał pod drwiącym spojrzeniem Józka.

— Ach, jasne. Tylko mnie nie wolno wyjść samemu z domu, nie wolno pracować, nic nie umiem, bo matka nie uważała za stosowne kształcić synów, nie mam żadnego własnego majątku, ruchomego czy nieruchomego, pieniędzy, rozrywek, o wszystko muszę pokornie prosić. Nie mogę dziedziczyć, uzyskiwać wyższych stopni naukowych, odpowiedzialnych i dobrze płatnych stanowisk, zajmować się polityką, inwestować na giełdzie, założyć własnej firmy bez zgody i poręczenia żony, matki, siostry lub innej odpowiedzialnej za mnie kobiety, awansować w armii na stopnie oficerskie i milion innych rzeczy. Taka to równość. Ale co ty tam wiesz. Masz życie usłane różami. Uderzyła cię kiedyś żona?

Igor spuścił głowę.

— Nie — bąknął. — Erika jest bardzo dobra.

— No to mnie dłużej nie denerwuj — burknął Józek. — I daj jeszcze jedno piwo.

Najwyżej mnie Rita zabije. Wszystko jedno.

* * *

Chłopcy wyszli po cichu, przed samym świtem, a matronny spały do późnego popołudnia. Igor ucieszył się, że Józek pomógł mu posprzątać salonik i gabinet Eriki. Sądząc po pozostawionym bałaganie, święto Niskiego Księżyca musiało być naprawdę udane.

* * *

Życie Igora rzeczywiście płynęło bez wstrząsów. Do pracy, z pracy, codzienne obowiązki. Rutyna. Jeszcze spokojniej było, gdy Erika wyjechała na urlop z Ritą i przyjaciółkami. Przez dwa tygodnie Igor siedział sam w domu, ale nie odczuwał specjalnej różnicy. Miał tylko trochę większy wpływ na organizowanie swoich zajęć. Dwa razy odwiedził Józka, raz nawet, z duszą na ramieniu, został do rana. Nie tęsknił za Eriką, ale ucieszył się, kiedy przyjechała. Samotne życie na dłuższą metę wydawało mu się trochę straszne. Już po tygodniu zaczął się budzić z dziwnym lękiem ściskającym serce. A gdyby coś się stało? Coś, co wymagałoby podjęcia decyzji? Nie tak ważnego, żeby ośmielić się zawracać głowę żonie na wakacjach, ale jednak istotnego? Nie miał pojęcia, co by to mogło być, ale i tak się bał.

Wreszcie Erika wróciła. I kiedy już miał odetchnąć z ulgą, że świat znów toczy się utartymi koleinami, nastąpiła katastrofa. Życie Igora stanęło na głowie, przewróciło się i rozprysło na tysiąc kawałków.

Gdy Erika wezwała go do gabinetu, trochę się zaniepokoił, ale nie przeczuwał większych kłopotów. Przez czas nieobecności żony wywiązywał się ze wszystkich obowiązków, dom prowadził bardzo oszczędnie, o niczym nie zapomniał, niczego nie zaniedbał. „Pewno dowiedziała się, że nocowałem w domu Rity — pomyślał ponuro. — No i dostanie mi się za tę niedozwoloną eskapadę. Trudno. Jak się popełnia błędy, trzeba pokutować”.

Ale Erika wcale nie robiła mu wyrzutów, że oddał się bez pozwolenia i zostawił dom bez opieki. Siedziała za biurkiem, patrząc na niego przenikliwymi, szarymi oczami.

— Muszę zakomunikować ci coś ważnego — powiedziała. — Co zmieni i moje, i twoje życie. Szacowne gremium Cór Bogini postanowiło dostrzec i nagrodzić moje wieloletnie starania. Zostałam podniesiona do godności siostrzycy.

Igorowi pociemniało w oczach. Nie, tego się nie spodziewał. Chociaż właściwie powinien. Matronna Erika była bardzo ambitna. Czemu nie miałyby dojść daleko? Jednak wiadomość spadła niespodziewanie jak jastrząb na stado kurcząt. Nie był w stanie wykrztusić słowa.

Żona przyglądała mu się chłodno, spokojnie.

— Oczywiście rozumiesz, że nasze małżeństwo musi się zakończyć.

Siostrzyce nie mogą pozostawać w trwałych związkach z samcami. Już podpisałam i wysłałam do odpowiednich urzędów papiery rozwodowe.

Najdalej za trzy dni przestaniesz być moim mężem. Poinformowałam o wszystkim twoją szanowną matkę. Nie chciałam sprawić wrażenia, że nie liczę się z jej zdaniem. To wspaniała kobieta. Wyraziła wielką radość z mego awansu, gratulowała mi serdecznie i szczerze, zapewniając, że dla rodziny łączące nas więzi były prawdziwym zaszczytem. Tak samo jak dla mnie obcowanie z twoją szacowną matką i siostrami. Oczywiście nie będziesz już nosił mojego nazwiska, powrócisz do rodowego, po matce.

Igor milczał. Erika splotła dłonie wsparte na blacie.

— Zawsze byłeś dobrym chłopcem, Igorze — w rzeczowym głosie pojawiła się cieplejsza nuta. — Lubiłam cię. Posłuszny, usłużny, cichy, znalazłeś swoje miejsce. Będę z zadowoleniem wspominać moje małżeństwo. Jeśli twoja szacowna matka znajdzie czas i zadecyduje, że przyniesie to korzyść rodzinie, zapewne wyswata cię powtórnie. Jesteś jeszcze dość młody,

masz szansę na kolejny związek. Wspomniałam już, że mam do ciebie słabość. Dlatego też, choć moja, niestety, już była teściowa zdecydowanie odradzała, postanowiłam zadbać o twoją przyszłość. Otrzymasz niewielkie mieszkanie, należące oczywiście do mnie, ale będziesz mógł nim dysponować. W wypadku twego ponownego ożenku nowa małżonka otrzyma lokal w posagu. Uzgodniłam z twoją matką, że pozwoli ci nadal pracować, żebyś nie obciążał jej kosztami utrzymania. Nie darowałabym sobie, gdybym naraziła twoją rodzinę na nieprzewidziane wydatki. Zarząd firmy otrzymał już odpowiednią zgodę podpisaną przez moją byłą teściową. Przeprowadzisz się jutro. No, co? Nie pogratulujesz mi? Nie podziękujesz?

Igor, blady jak ściana, z trudem zmusił zeszywniały język do współpracy.

— Szczere gratulacje, szanowna żono — wykrztusił. — To znaczy... eee... szacowna siostrzyco. Ta godność jest w pełni zasłużona. Dziękuję ci pokornie za twoją dobroć, której nie jestem godzien. I za spędzone u twego boku lata... Cieszę się, że mogłem ci służyć... a ty łaskawie ofiarowywałaś mi opiekę i utrzymanie...

Głos mu się załamał. Igor urwał, gwałtownie nabrał powietrza. Pożegnalna formuła, której nauczyła go na wszelki wypadek matka, za nic nie chciała przejść przez ściśnięte gardło.

— Wybacz nieporadność, lenistwo, głupotę, zły charakter i wszelkie niegodziwości, które względem ciebie popełniłem świadomie czy też nie, jako istota niższa, z przyrodzenia przeznaczona, aby służyć córom Boskiej Księżyc. Niech Bogini cię prowadzi, siostrzyco Eriko — wymamrotał bardzo cicho.

Erika podniosła wzrok znad papierów, które przeglądała, odkąd zaczął mówić.

— Byłeś dobrym mężem — rzuciła. — Teraz już odejdz. Mam mnóstwo do zrobienia. Bogini wie, kiedy się z tym uporam. Nie sądzę, żebyśmy się jeszcze kiedyś zobaczyli, więc żegnaj, Igorze. Aha, spakuj rzeczy. Rano podjedzie po ciebie szofer.

— Żegnaj, siostrzyco Eriko — szepnął.

* * *

Noc poprzedzającą wyprowadzkę i następny ranek przeżył jak w transie, jakby znajdował się w malignie. Niewiele pamiętał poza rozmazanymi obrazami. Samochód, szofer, jazda przez nieznanne, ubogie dzielnice. Kilkupiętrowy szary blok, ani ładny, ani obskurny. Nijaki.

Małeńki pokój, kuchenka jak dla lalek, równie mikroskopijna łazienka. Materac do spania, tani, funkcjonalny stół, jakieś szafki, półki, dwa krzesła. To teraz twój dom, podpowiadała skolatanemu Igorowi trzeźwa część umysłu. Rzucił na podłogę dwie torby, które zabrał z domu Eriki. W jednej były ubrania, osobiste drobiazgi, bielizna, w drugiej książki etnograficzne. Usiadł na materacu. Erika wybrała czwartek na przeprowadzkę, uprzednio zwolniwszy Igora z pracy na ten jeden dzień. Teraz miał przed sobą wolny piątek i sobotę, żeby przyzwyczaić się do sytuacji. Widocznie Erika naprawdę go lubiła.

Pamiętał dzień, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Miał wtedy szesnaście lat. Na Boginię, kiedy to było. Prawie piętnaście lat temu.

Rodzina Igora nie miała zbyt wysokiej pozycji, ale aspiracje na pewno tak. Nie należała do zbyt zamożnych, choć matka pracowała na eksponowanym stanowisku, zajmując się finansami renomowanej firmy. W odróżnieniu od matronny Rity, posyłania swego męża do pracy nie uważała za hańbę. Wprost przeciwnie, twierdziła, że kobieta nie powinna utrzymywać w domu darmozjada. Ojciec pracował w tej samej firmie jako pracownik biurowy najniższego szczebla. Matka nieustannie przypominała mu, żeby dawał z siebie wszystko. Nie zniosłaby, gdyby został zwolniony i musiał zatrudnić się jako sprzedawca w supermarkecie czy robotnik fabryczny. Ucierpiałby na tym prestiż rodziny. Ojciec harował więc jak szalony.

— Musisz być gorliwy, musisz robić więcej niż inni, udowadniać swą użyteczność —

mawiała bez przerwy do męża i syna. — Musisz być usłużny i posłuszny. Wykonywać natychmiast polecenia, to za mało. Trzeba je przewidywać. Uprzedzać to, co nakaże kobieta lub przełożony. Urodziłeś się gorszy i głupszy niż najmniej nawet utalentowana kobieta. Twój mózg nie funkcjonuje sprawnie. Na twoje myśli i reakcje wpływają odrażające samcze hormony płciowe. Jesteś słaby psychicznie, co nadrabiasz agresywnością i brutalnością. Urodziłeś się jako wybryk natury, błąd w kodzie genetycznym. Nie jesteś do niczego potrzebny, twój gatunek powoli ginie. Samczość to obrzydliwy atawizm, skazany na zagładę. Świat, w którym rządzą wam podobni, brutalny, rozdarty nieustannymi wojnami, rzeziami i cierpieniami niewinnych kobiet, był piekłem. Potworną niewolą patriarchalnych struktur. Każdy z was jest za to odpowiedzialny. Każdy samiec powinien odpokutować winy. Wasza krew została skażona. Ale wielka Bogini i rzesze nieugiętych bojowniczek swym poświęceniem i determinacją przyniosły wreszcie kobietom wyzwolenie. Teraz zapanowała równość. Kobiety wreszcie udowodniły swą wyższość. Samiec musi ustąpić. Musi zasłużyć na miejsce w świecie rządzonym przez sprawiedliwą Boginię. Dlatego staraj się. Staraj się z całych sił.

Ojciec się starał. Prowadził dom, wychowywał dzieci, a wieczorami dodatkowo zajmował się przyniesioną z biura robotą. Igor bardzo go kochał. Pierwszy zauważył, że ojciec jest coraz słabszy, z coraz większym trudem radzi sobie z obowiązkami. Kiedyś, gdy zasłabł przy kuchni, Igor zdecydował się powiedzieć o tym matce. Nigdy nie powtórzył tego błędu. Nigdy też nie zapomniał, jak matka darła się potem na ojca, że jest histerykiem i hipochondrykiem symulującym chorobę z czystego lenistwa i wrodzonej gnuśności. Tamtej nocy słyszał przez ścianę, że tata płacze. Ale wtedy jeszcze nie zaczął nienawidzić matki. To stało się rok później, kiedy ojciec umarł. Igor miał wtedy dziesięć lat. Ostatnie słowa ojca brzmiały: „Pamiętaj, że bardzo cię kocham, synku. Całe życie tak się starałem...”. W tamtej chwili coś w sercu Igora pękło na zawsze. Pustkę, która powstała w miejscu utraconej miłości do ojca, zappełnił szczerą nienawiścią wobec matki. Nie miał wątpliwości, że przyczyniła się do śmierci męża. Właściwie ją spowodowała. Nawet nie próbowała go leczyć. Doktor przyszedł do domu raz, kiedy było już na wszystko za późno. Na pogrzebie wyglądała na znudzoną. I co to był właściwie za pogrzeb? Niektórzy z większą atencją chowają ulubionego psa. Ale ojciec z pewnością nie był ulubieńcem matki. „Ten głupi nieudacznik”, mówiła o nim w przystępie dobrego humoru.

W dniu, w którym Igor stracił ojca, został we własnym mniemaniu zupełnie sam. Matka się nie liczyła. Starsza siostra gardziła wszystkimi samcami świata, zwłaszcza tymi z własnej rodziny. Jej także Igor nauczył się nienawidzić. Za wredne słowa o zmarłym ojcu, za lizusostwo wobec matki, za arogancję, pogardę, brak podstawowej nawet lojalności. Za to, że pozwalano jej na wszystko. Że mogła się kształcić i decydować o swoim życiu. Że korzystała z rozrywek, wyjeżdżała na wakacje, miała mnóstwo przyjaciółek, a Igor siedział w domu, sam. Kiedy Monika wyjechała do szkoły kadetek, odetchnął z ulgą. Wreszcie przestała go bić i poniżać. Młodsza, Maria, była mała i głupia. Wcześniej została odesłana do szkoły z internatem. Renomowanej, co lubiła podkreślać matka. Pozostawało jej tylko wykorzystać szansę.

Jemu żadnej szansy nie dano. Matka pozwoliła mu skończyć gimnazjum i nie uważała za stosowne dalej go kształcić. Rozpoczął szesnasty rok życia i został chłopcem na wydaniu. Przez ich dom zaczęły się przewalać tabuny przyjaciółek i znajomych matki, którym zachwalała go jak zwierzę przeznaczone na sprzedaż, podkreślając skromność, brak narowów i doskonale posłuszeństwo. Igorowi płonęły wówczas policzki i uszy, czuł się upokorzony, choć nie potrafił powiedzieć dlaczego.

Dobrze pamiętał dzień, kiedy matka zawołała go do gabinetu. Siedziała za biurkiem, tak samo jak później Erika, gdy zawiadomiła go o awansie. Igor stanął przed nią niespokojny. Czuł, że dzieje się coś niezwykłego. Bardzo rzadko pozwalano mu tu wchodzić. Okazja

musiała być niecodzienna.

Patrzył na surową, kamienną twarz matki, szpakowate włosy ściągnięte w ciasny kok. Popielaty, schludny i praktyczny kostium wyglądał jak mundur nowoczesnej kobiety. Odzierał ją z indywidualności. Matka wydawała mu się bezduszna niczym robot wykonany z szarej stali. Nawet oczy miała jak dwa otoczaki.

— Synu — zaczęła. — Zapewne zauważyłeś, mimo wrodzonej głupoty i ograniczeń, że od pewnego czasu staram się wydać cię za żonę.

Nasza rodzina nie jest może zbyt dobrze sytuowana, ale z pewnością porządna i ogólnie szanowana. Bogini pobłogosławiła moje wysiłki i pewna wysoko postawiona szacowna osoba, zapewne za sprawą naszych modłów do Świętej Księżyc, zechciała zwrócić uwagę na naszą rodzinę, a w szczególności na ciebie. Zmierzyła syna ciężkim wzrokiem.

— To matronna — powiedziała dobitnie.

Igor milczał.

— Mam nadzieję, że nie jesteś aż takim kretynem, synu, żeby nie pojąć, jakie to ma dla nas znaczenie — warknęła. — To dar od Matki Ziemi, cudowna szansa dla twoich sióstr. Prawdziwa matronna byłaby z nami skoligacona. Martwi mnie jedynie, że tak ważna sprawa jest zależna od twojej postawy i zachowania. Igorze, jesteś tylko samcem i wiesz, jak nad tym boleję. Gdybyś tak mógł urodzić się kobietą.

Westchnęła.

— Choć i tak mam za co dziękować Świętej Naturze, która obdarowała mnie dwiema wspaniałymi córkami. A przecież mogła nie uczynić mi tej łaski, karząc samymi synami. Jeden syn to przykreść, ale trzej — prawdziwe nieszczęście. Dokładałam wszelkich starań, żeby wychować cię w pokorze i karności. Wierzę, że znasz swoje miejsce.

Musisz teraz zmobilizować wszelkie zalety swego miernego umysłu i wykorzystać moje nauki. Pamiętaj, od ciebie zależy los twoich sióstr. Jeśli zawiedziesz, nigdy ci tego nie daruję. Pożałujesz do końca życia. Wiesz, jak drogie jest mi szczęście córek. Nie pozwolę, żebyś zaprzepaścił ich szansę. Musisz się spodobać matronnie Erice. Pamiętaj, absolutne posłuszeństwo, całkowita uległość. O Bogini, czemu pokarałaś ten świat samcami!

Wystudowanym gestem zaplotła palce.

— Szanowna matronna Erika odwiedzi nas jutro po południu. Bądź gotów. I lepiej módl się, żebyś nie zawiódł. Musisz zrobić na niej dobre wrażenie.

Oszołomiony Igor kiwał głową.

— Wyjdź już — warknęła matka. — Głupota bijąca z twoich oczu przeraża mnie. Pamiętaj, matronna ma być zadowolona.

* * *

Erika była wysoka, smukła, zasadnicza. Miała w sobie jakąś wyniosłość, charakterystyczną dla ludzi dzierżących w ręku władzę. Wydawała się jednak bardziej otwarta, przystępniejsza niż matka.

Igor nie miał pojęcia, ile Erika może mieć lat. Z pewnością była sporo starsza od niego. Miała piękną, zadbaną twarz właściwie bez wieku, przenikliwe szare oczy i włosy czarne jak krucze skrzydła. Ubierała się ze swobodną elegancją.

Rozmawiała głównie z matką, czasem tylko zwracała się do Igora, który bąkał coś pod nosem sploniony i coraz bardziej przerażony. Stalowe oczy matki ciskały pioruny. Ale Erika śmiała się pobłaźliwie.

Kiedy odprawiły go wreszcie do pokoju i miał właśnie złożyć przed Eriką głęboki pożegnalny ukłon, wyciągnęła wypielęgnowaną dłoń, ujęła go pod brodę i popatrzyła mu w oczy.

— Igor — powiedziała. — Dawne imię walecznych kniaziów. Ale ty chyba nie będziesz

zbyttnio brykał, prawda?

— Nie, szanowna matronno — wymamrotał strasznie speszony. — Niech czuwa nad tobą Wielka Bogini.

Roześmiała się, jakby usłyszała świetny dowcip.

— I nad tobą, waleczny kniaziu.

Późnym wieczorem matka znów wezwała go do gabinetu.

— Stał się cud, za który powinieneś podziękować Pani Naturze i Świętej Księżyc — powiedziała. — Matronna Erika chyba naprawdę jest tobą zainteresowana, choć Bogini jedna wie czemu. Zachowywałeś się skandalicznie. Mamrotałeś pod nosem jakieś bzdury, nie okazywałeś gorliwości ani oddania. Łaska Matki Ziemi, że nie wzięła cię za przygłupa.

Odejdź teraz i przemyśl swoje postępowanie. Ja muszę podziękować Wielkiej Naturze za cud.

Widocznie Bogini postanowiła okazać rodzinie przychylność, bo Erika nie zrezygnowała. Przyszła jeszcze ze dwa razy i zdecydowała się na ślub. Igor, z początku śmiertelnie przerażony, powoli przyzwyczajał się do nowego statusu i nowych obowiązków. Szybko zorientował się, czego matronna sobie życzy, co lubi i na co pozwala. W sumie w małżeństwie było mu lepiej niż w domu. Kiedy ośmielił się powiedzieć Erice o swoich zainteresowaniach etnologią, zgodziła się posłać go na studia.

— Wykształcony mąż dla kobiety o wysokiej pozycji to zabawna ekstrawagancja — powiedziała potem do Rity — zwłaszcza jeśli zajmuje się takimi śmiesznymi bzdurami.

Oczywiście nie pozwoliła mu zostać na uczelni.

— Na takie głupoty nie mogę się zgodzić — oznajmiła stanowczo.

Igor trochę żałował. Pewnie, że jako mężczyzna nie miał żadnych szans na stopień naukowy, ale podobała mu się atmosfera uniwersytetu. Lecz praca, którą znalazła mu Erika, wcale nie była zła. Przynajmniej zajmował się tym, co kochał. I tak miał za co dziękować Bogini. Mógł przecież skończyć jak Józek.

Jak by na to nie patrzeć, Igor także dobrze wspominał małżeństwo z Eriką.

* * *

Pierwsze tygodnie samotnego życia okazały się koszmarem. Igor żył w ciągłym lęku, że robi coś złe, że Erika się rozmyśli i straci dach nad głową, że będzie musiał wrócić w pohańbieniu do matki, wreszcie, że wydarzy się coś niespodziewanego i zostanie zmuszony podjąć jakąś straszną, acz nieznaną dotąd decyzję. W firmie nikt nie zwrócił uwagi na kiepski stan psychiczny Igora. Z wyjątkiem Łucji A9. Tylko ona zapytała z troską, dlaczego jest taki rozbity.

— Moja żona została siostrzycą — powiedział w przypiływie szczerości. — I w ciągu jednego wieczoru po prostu wyrzuciła mnie z domu.

Po piętnastu latach małżeństwa. Zwolniła mnie, jakbym był służącym, którego już nie potrzebuje.

Popatrzył spłoszony na Łucję.

— Ale zawsze była dla mnie bardzo dobra — dodał szybko. — Wspaniałomyślnie ofiarowała mi mieszkanie. I uzgodniła z matką, że dalej mogę pracować.

— Biedaku — Łucja położyła mu dłoń na ramieniu. — Musisz się okropnie czuć. Ale nie martw się, wkrótce się okaże, że życie w pojedynkę ma swoje dobre strony.

Zniżyła głos.

— Znacznie, znacznie lepsze niż małżeństwo albo mieszkanie przy rodzinie. Wiem, co mówię.

Miała rację. Już po pół roku Igor nie wyobrażał sobie powrotu do Eriki albo powtórnego związku. Nigdy w życiu nie zaznał takiej swobody. Robił, co chciał i kiedy chciał. Sprzątał i

gotował na własne potrzeby. Nie musiał prowadzić ogromnego, luksusowego domu. W spokoju zajmował się ukochaną etnografią. A w malutkim mieszkaniu panowała błoga cisza. Przez długi czas drżał, że matka zechce znów go wyswatać. Ale powoli doszedł do wniosku, że niebezpieczeństwo minęło. Matka odezwała się do niego raz, odkąd opuścił dom Eriki. Przysłała krótką wiadomość, że Monika awansowała z majorki na pułkowniczkę i nakazała niezwłocznie złożyć siostrze gratulacje. Wysłał więc konwencjonalny tekst i zgodnie z oczekiwaniami nie otrzymał odpowiedzi.

Nadał również bieg sprawie dotyczącej Anny A1, dziewczyny obdarzonej cudownym białym głosem, i doczekał się pierwszych efektów.

Anna miała przyjechać, żeby nagrać dla archiwum firmy pierwszą partię pieśni. Igor był naprawdę dumny, że odkrył taki talent.

Zostawał teraz w pracy długo po godzinach, bo nigdzie się nie śpieszył. Katalogował zbiory, opracowywał pieśni, analizował obrazy i rzeźby, osiągając stan cudownego błogostanu. Odpowiadało mu, że jest nieważny, niemal anonimowy. Przynajmniej nikt niczego od niego nie żądał. Wykonywał obowiązki, cierpliwie realizował kaprysy Attisa A1. Trwał.

Wszystko zmieniło się nagle, zupełnie niespodziewanie. Zasiedział się długo w biurze. Inni pracownicy już wyszli, a Igor analizował motywy oszczędnych, czarno-czerwonych haftów lasowiackich. Zachwycony pięknymi, choć surowymi wzorami wyłaniającymi się z równych rzędów nicianych krzyżyków, zapomniał o całym świecie. W ostatniej chwili zorientował się, że zrobiło się w pół do dziesiątej wieczorem. A przecież po dziesiątej samotny mężczyzna nie może się pokazać na ulicy pod groźbą aresztowania. Ustawa o zapobieganiu przestępczości. Wiadomo, że gdzie mężczyzna, tam bandzior i złodziej. Igor szybko zabrał rzeczy, pobiegł do wyjścia. Musi zdążyć na ostatni autobus do domu. Pośpiesznie szedł korytarzem. Ze zdziwieniem zauważył, że w pokoju Łucji A9 pali się światło. Wiedziony nagłym impulsem zatrzymał się, cicho otworzył drzwi. Łucja siedziała przy biurku z twarzą ukrytą w dłoniach. Szczupłym ciałem dziewczyny wstrząsał szloch. Płakała bezgłośnie, jakby bała się, że ktoś usłyszy.

— Łucjo — szepnął. — Co się stało?

Drgnęła, zaskoczona. Podniosła bladą jak płótno twarz. Chabrowe oczy były smutne jak jesienne niebo.

— Och, nic — szybko ocierała łzy. — Chyba mam chandrę.

Położył teczkę i płaszcz.

— Czy ktoś cię skrzywdził?

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie. Naprawdę nic się nie stało. Attis się na mnie wziął. Nie mogę się wyrobić z papierami. I... i na obchodach dni Zarządu widziałam matronę Łucję, wiesz, tę prawdziwą. Jest jedną z Zarządczyń. I sama nie wiem, no po prostu sama nie wiem... Ona jest taka piękna, zadbana, mądra. A ja... ja nigdy jej nie dorównam. Zrobiło mi się jakoś smutno.

Igor też widział matronę Łucję. I wcale nie wydawała mu się podobna do Łucji, jaką znał. Siedziała w łoży Zarządczyń, lodowa jak czapa na Grenlandii, z suchą, ściągniętą twarzą i zastygłym na zawsze wyrazem gniewu. Władcza, arogancka, nieskazitelna w każdym calu, splatała wystudiowanym gestem wypielęgnowane dłonie, które Igorowi i tak przypominały szpony. Żaden włos w kunsztownie upiętej fryzurze nie wymknął się spod spinki czy grzebienia. Diamentowa biżuteria gasła przy gniewnym błysku oczu. Koktajlowa suknia, granatowa niczym morze przed sztormem, była wolna od najmniejszego zagniecenia, fałdki czy drobinki kurzu. Przed matroną Łucją, wyniosłą i zimną, nawet światło zdawało się przygasać. Patrzyła dumnie na tłum wiwatujących pracowników, tak samo sztywna i martwa jak posąg Wielkiej Prezeski, córki Bogini, który obnoszono w dorocznej procesji. Nie, jego Łucja wcale nie przypominała tamtej złej królowej.

Sam nie wiedział, jak zdobył się na odwagę, żeby podejść do dziewczyny i objąć ją mocno. W chabrowych oczach mignęło zdumienie, ale nie odsunęła jego rąk.

— Jesteś znacznie piękniejsza od jakiegokolwiek matronny — powiedział szczerze. — Znacznie lepsza i mądrzejsza. Proszę cię, nigdy nie próbuj naśladować tej nadętej, paskudnej, starej kukły. Zostań sobą. Nigdy dotąd nie spotkałem tak miłej, ślicznej i inteligentnej dziewczyny jak ty. Jesteś jedyną istotą, na której mi w życiu zależy. Nie zniósłbym tego, gdybyś stała się podobna do tamtej harpii. Naprawdę.

— Och, Igor — szepnęła. — Dziękuję, że to powiedziałeś. Nawet nie wiesz, jak bardzo mam dość. Nie znoszę tej wstrętnej biurowej roboty. Nie znoszę swojego życia. To niesprawiedliwe. Czym się różnię od innych kobiet? Tych tak zwanych prawdziwych? Dlaczego można mnie traktować jak śmiecia, jak własność? Nie jestem rzeczą! Po co mi dały życie? Żebym była ich wołem roboczym? Marzę o tym, żeby uciec, ale nie mam dokąd! Z rajskiego ogrodu Wielkiej Bogini nie ma ucieczki.

Przytulił ją mocniej. Do głowy wpadł mu nagle szalony pomysł.

— Wiesz co? — wypalił. — Jedźmy do mnie. Mieszkam sam, będziemy mogli pogadać, wyzalić się. Obojgu nam to potrzebne.

Zesztywniała i odsunęła się.

— No co ty? To niebezpieczne! Zapominasz, kim jesteśmy?

Pokręcił głową.

— Nie zapominam. Nic mnie to nie obchodzi. Chcę z tobą rozmawiać, patrzeć na ciebie, słyszeć, jak się śmiejesz, co mówisz. Jesteś mi bardzo bliska, Łucjo.

— Nie — spuściła wzrok. — To niemożliwe. Samotny mężczyzna i żeński awatar. Przecież to całkowicie zabronione. Nie wolno nam tak ryzykować. Nie jesteśmy panami własnej woli.

— I o to właśnie chodzi! — krzyknął z rozpaczą. — Jeśli wszyscy będą pokornie siedzieć w kącie, nic się nigdy nie zmieni!

— Święta Księżycu! — jęknęła Łucja, bo zegar na biurku oznajmił ostrym piskiem, że wybiła dziesiąta. — Nie wpuszczą mnie na kwaterę. Będę miała nieprzyjemności! Muszę się natychmiast dostać do domu! Muszę się stawić na wieczornym apelu! Inaczej jestem zgubiona!

— O której godzinie?

— Dziesiątej trzydzieści — szepnęła zdruzgotana. — To kawał drogi. Na obrzeżach miasta. Nie zdążę.

— Wezwiemy taksówkę — zdecydował szybko. — Odwiozę cię.

— Nie! — zbladła jeszcze bardziej. — A jak ktoś zobaczy, że jestem sam na sam z mężczyzną? A jak taksówkarz zadencuncjuje, że wysiadłam przed kwaterami awatarów, w nocy, po podróży z mężczyzną przez pół miasta? Święta Matko, będę zgubiona!

— Nie masz innego wyjścia — zawołał. — Przecież sama nie możesz korzystać z taksówek. Wsiądziesz przecnicę dalej. No, pośpiesz się.

* * *

Igor strugał odważnego, ale też wsiadał do taksówki z duszą na ramieniu. W końcu już od jakiegoś czasu obowiązywał zakaz wychodzenia samców na ulice, a on musiał najpierw odwiedzić Łucję i dopiero potem wrócić do domu. Dziewczyna uparła się, że wsiądzie dwie przecnice dalej, choć do w pół do jedenastej brakowało nieco ponad pięć minut. Igor dotarł do swego mieszkania przed samą jedenastą. Na szczęście taksówkarz sprawiał wrażenie obojętnego i nie zadawał żadnych pytań. Igor czuł się wykończony. Zwalił się do łóżka jak kłoda i natychmiast zasnął.

Na drugi dzień odniósł wrażenie, że Łucja go unika. Jednak późnym popołudniem, gdy

wszyscy zaczęli zbierać się do domów, mijając go, rzuciła półgłosem:

— Zdażyłam. Dziękuję.

Rozradowany Igor podniósł do góry kciuk. Odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem.

Do końca tygodnia nie udało im się ani razu porozmawiać w cztery oczy. Zresztą Igor nie szukał okazji. Bardzo chciał ponowić propozycję, ale nie miał pewności, jak zostałyby przyjęta. Toteż przeżył kompletny szok, kiedy w piątkowy rano w progu jego mieszkanie stanęła Łucja.

— Przemyślałam wszystko — powiedziała. — Nie mogę żyć w ciągłym strachu. To zabija, odczłowiecza. Nie obchodzi mnie, co powiedzą. Bardzo chciałam cię odwiedzić. Adres ściągnęłam z akt. No i jestem.

Ucieszył się. Cały dzień spędzili razem. Igor ugotował obiad, Łucja bardzo chciała pomóc, ale objali się o siebie w malutkiej kuchni, więc wysłał ją do pokoju. Śmiali się i żartowali, jakby ich przyjaźń trwała od dawna. Igor nigdy dotąd nie rozmawiał tak swobodnie z kobietą. Zachowywała się zupełnie inaczej niż jego siostry czy Erika. Była serdeczna, zabawna, otwarta. Całkiem nie jak kobieta. „To dlatego, że jest awatarem”, pomyślał.

Łączyło ich podobne nieszczęście, oboje znajdowali się na bardzo niskim szczeblu społecznej drabiny. Ich problemy i marzenia prawie się nie różniły. Tak samo ryzykowali w razie wykrycia ich sekretnej przyjaźni. Rozumieli się bez słów. Igor opowiadał Łucji o swoim rodzinnym domu, o małżeństwie z Eriką. Ona — o życiu w kwaterze awatarów, o smutnym dzieciństwie, uczelni, którą wybrano za nią, wiecznym, niemal więziennym rygorze. Musiała się meldować na porannym i wieczornym apelu, jadać posiłki we wspólnej stołówce, wracać przed dziesiątą wieczór do ponurego, obskurnego gmaszyska, które firma udostępniała awatom niskich numerów, mieszkającym poza domem rodziny, do której należeli, oraz uczestniczyć w obowiązkowych medytacjach i obrzędach ku czci Wielkiej Bogini. Ale miała swój pokój i odrobinę swobody w weekendy. Podobno życie męskich awatarów było jeszcze gorsze. Do reguły należały zbiorowe sale i terminarz zajęć nie uwzględniający żadnego czasu wolnego.

Łucja przychodziła często. Właściwie oczekiwał jej z niecierpliwością w każdy piątek. Oczywiście, nie mógł jej odwiedzać. Awatary obowiązywał zakaz prywatnych stosunków z przedstawicielami płci przeciwnej. Ale Łucja nie dbała o to. Czasem nawet lękał się, że zachowuje za małą ostrożność. „Nie mogę się przez całe życie trząść”, mówiła wtedy.

Wkrótce przyjaźń przerodziła się w związek. Igor rozkwitał. Nigdy jeszcze nie przeżywał tak szczęśliwych chwil. Od czasu śmierci ojca z nikim nie łączyła go prawdziwa więź, prawdziwe uczucie. Teraz doświadczał czegoś naprawdę niezwykłego. Związku z kobietą, która była przyjaciółką, oparciem, kumplem i najbliższą istotą na świecie. Zaufał, a w zamian otrzymał miłość i lojalność. I doskonale zdawał sobie sprawę, jakim jest wyjątkiem we współczesnym świecie, w którym zabrakło miejsca na jakąkolwiek serdeczność kobiety wobec mężczyzny. Przecież walka płci nieustannie trwa. „Jesteście z obcych planet”, wrzeszczały media. „Należycie do dwóch różnych gatunków”. „Między płciami zieleje przepaść nie do przeskoczenia. Mężczyznom bliżej do zwierząt, kobietom do duchowego oświecenia”. „Samce to wybryk natury”. „Mężczyzna pochodzi z planety Tępa Brutalność, kobieta z planety Uczucia i Intelpekt”. Tymczasem w małej kawalerce, w niezbyt zamożnej dzielnicy, narodziła się i trwała inna planeta, gdzie mężczyzna i kobieta żyli razem w radości i harmonii. „A może to raj — myślał Igor. — Pełen łaszących się zwierząt i kwiatów wielkich jak dynie, raj ze starych malowideł na szkle”. Żałował tylko, że nie mogą mieszkać ze sobą, że cudowna planeta krąży po orbicie kilku piątkowych i sobotnich godzin. W pracy musieli zachowywać się wobec siebie obojętnie. W mieście też nie wolno im było się spotykać. Ich światem stało się więc mieszkanie Igora. Pożegnalny dar od matrony Eriki. „Jest naszym dobroczyńcą”, śmiała się często Łucja. Ale Igorowi nie było wesoło. Wolał nie myśleć, co mogłoby się stać, gdyby była żona dowiedziała się o ich związku. Po wyjściu Łucji biegł

pędem do kuchni, żeby wymienić miód, kaszę i piwo na ofiarnym talerzyku stojącym w kącie. Tak na wszelki wypadek.

* * *

Łucja przeciągnęła się na łóżku.

— Igor, to nie będzie trwać wiecznie — powiedziała.

Drgnął, niemile zaskoczony.

— O czym ty mówisz? — spytał. — Znudziłaś się mną?

— Skąd! Bardzo cię kocham. Ale prędeż czy później nas dorwą.

— Nie gadaj takich rzeczy! — zachnął się. — Jeszcze zapeszysz.

Uniosła się na łokciu. Chabrowe oczy były bardzo poważne.

— Posłuchaj, ja... — zawahała się i urwała. — Mam jakieś niedobre przeczucia. Głupoty i tyle.

— Zaraz — przerwał. — Chcesz mi o czymś powiedzieć? Pomogę ci we wszystkim. Jestem po twojej stronie, pamiętaj.

Szybko potrząsnęła głową.

— Nie, to tylko głupie lęki. Nie przejmuj się.

A jednak się przejął. Miał wrażenie, że coś przed nim ukrywa. Chciała powiedzieć o czymś ważnym, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Czyżby mu nie ufała? Ta myśl przyniosła ból.

Łucja leżała na wznak, zamyślona, wpatrzona w sufit.

— Zajmujesz się historią — zaczęła po chwili. — Powiedz, jak było kiedyś? Lepiej?

— Sam nie wiem — usiadł na kółdrze. — Często zdaje mi się, że tak. Może jednak wyznawczynie Bogini mają rację. To był inny świat. Surowy. Z pewnością zdarzało się wiele niesprawiedliwości.

— No — mruknęła z przekąsem. — A teraz, oczywiście, nie.

— Niestety też — przyznał ze smutkiem.

Usiadła w pościeli.

— Wiesz — powiedziała, a w oczach zapłonął jej dziwny ogień. — Mówią, że kiedyś, dawno, chodził po świecie Wyzwoliciel. Był człowiekiem i nieczłowiekiem równocześnie. Kimś z innego wymiaru. Przyszedł do ludzi, bo... bo ich lubił. Lubiał wszystkich. Nie rozróżniał lepszych, gorszych, mężczyzn i kobiety. Po prostu chciał, żeby ludzie umieli żyć. Cieszyć się, uśmiechać, być życzliwy wobec innych. Chciał mi pokazać, jak to osiągnąć. Opowiadał różne rzeczy i robił cuda. A potem odszedł. Ale obiecał, że wróci, jeśli stanie się coś złego.

Zniżyła głos.

— A teraz dzieje się wiele złego. Więc on podobno wróci. Żeby pomóc walczyć z Wielką Boginią, bo ona uczy ludzi tylko nienawiści.

Urwała speszona. Igor uśmiechnął się.

— Kochanie — powiedział, starając się, żeby słowa nie zabrzmiały szorstko. — To tylko legenda. W dodatku naiwna. Ciekawostka, ale trochę niebezpieczna. Kto ci to opowiedział?

Wzruszyła ramionami.

— Dziewczyny na kwaterze.

— To tylko bajka, skarbie — powtórzył łagodnie.

W niebieskich oczach Łucji mignął cień smutku.

— Wiem — szepnęła.

* * *

Tej nocy Igorowi przyśnił się dziwny sen. Stał na pustym, błotnistym polu zaoranym w krzywe, nierówne bruzdy. W błocie wokół niego tonęły wycinanki, fragmenty ludowych strojów, czepce, paradne gorsety, koronki, choinkowe ozdoby z papieru i słomy, bibułkowe kwiaty, kartki zapisane nutami bezcennych pieśni. Igor ukląkł. Woda natychmiast przemoczyła materiał spodni. Wyciągał z błota fragmenty wycinanek, usiłował je oczyścić. Rozmiękły papier rozłaził mu się w palcach. Zajęty bezowocnymi próbami ratowania skarbów, kątem oka zauważył, że ktoś przed nim stoi. Podniósł głowę i zobaczył ubranego na biało mężczyznę. Zamszowe buty i nogawki spodni były ochlapane brudną breją. Za to sweter lśnił bielą jak ośnieżony szczyt Giewontu. Mężczyzna uśmiechał się. Miał raczej pociągłą, sympatyczną twarz i nieprawdopodobnie mądre, przenikliwe oczy, w których mieszkał wszechświat. W dłoni trzymał wielki, krwawy ochłap mięsa. Igor skądś wiedział, że to serce wołu.

Poczuł ogromny lęk, nie śmiał patrzeć w twarz przybyszowi. Skulił się w błocie u jego stóp. Międlił nerwowo w palcach kawałek wycinanki, lecz niedawne skarby wydawały mu się teraz śmieszne i nieważne.

— Człowiek nie powinien dawać się traktować jak bezrozumne zwierzę — powiedział mężczyzna w bieli.

Miał przyjemny, melodyjny głos, ale Igorowi zdawało się, że jego dźwięk wprawia w drżenie fundamenty kosmosu.

— Na przykład wół roboczy — ciągnął przybysz. — Nie jesteś wołem, prawda? Więc dlaczego się tak zachowujesz? Pozbawiony godności nie osiągniesz zadowolenia z życia. Powinieneś sam to zrozumieć. To ci ułatwi drogę, Igorze. Możesz mi wierzyć.

Igor zatrząsł się ze strachu. „Skąd zna moje imię?”, myślał gorączkowo.

Człowiek w bieli pokręcił z ubolewaniem głową.

— Poskromienie własnego lęku to pierwszy krok. Posługiwanie się najprostszymi instynktami nie zawsze okazuje się korzystne. Nie jesteś zwierzęciem, więc nie zachowuj się jak ono.

— Nie krzywdź mnie — wybełkotał rozpaczliwie Igor.

Oczy, które miały miliony lat, patrzyły na klęczącego mężczyznę z mieszaniną pobłażania i litości. Igor nie wytrzymał spojrzenia. Musiał odwrócić wzrok.

— Wcale nie mam takiego zamiaru — powiedział przybysz. — Znalazłem się tu, żeby ci pomóc. Ośmielić cię, wskazać drogę, pokrzepić.

Zwykle unikam podobnych działań, ale sytuacja dojrzała. Przybyłem, żeby pomóc ci wyzwolić umysł, Igorze. Tylko tyle.

Lęk przerodził się w jakieś okropne poczucie wstydu. Igor gmerał w błocie, jakby starał się znaleźć tam coś niezwykle cennego, ale tak naprawdę chciał się ukryć, zapaść pod ziemię. Z trudem powstrzymywał płacz.

— Popatrz na mnie — nakazał mężczyzna łagodnie, lecz stanowczo.

Igor podniósł głowę.

Przybysz uniósł rękę. W dłoni wciąż trzymał serce wołu. Płonęło.

W tym momencie świat rozpadł się na tysiące iskier. Igor obudził się we własnym łóżku, zlany zimnym potem. Zęby mu szczękały, jakby miał gorączkę. „To tylko koszmar”, pomyślał, ale wcale nie był tego do końca pewien.

* * *

Czas mijał spokojnie i Igor zapomniał wkrótce o niemiłym wrażeniu, jakie pozostawił po sobie dziwny sen. Nic nie zapowiadało katastrofy, która nastąpiła pewnego ranka, późnym latem. Nie zdążył usiąść za biurkiem, gdy podszedł do niego wyraźnie zdenerwowany Attis A1.

— Idź natychmiast do mojego gabinetu — powiedział.

Igorowi wystarczyło jedno spojrzenie na twarz przełożonego, żeby bez słowa wykonać polecenie. Otworzył drzwi do biura szefa i zamarł. Serce podskoczyło mu do gardła, nogi zmiękły jak wata, przed oczami zawirowały czarne i krwawe plamy. Musiał się chwycić framugi, żeby nie zemdleć.

— Wejdz i zamknij drzwi — powiedziała Erika.

Igor jak we śnie wykonał rozkaz.

— Debilu — syknęła nienawistnie matka. — Durny, ohydny gówniarzu! Zabiję cię! Za ten wstyd, który mi przynosisz! Przysięgam, nie wyjdiesz stąd żywy!

Siostrzyca Erika uciszyła rozwścieczoną kobietę ruchem ręki. Matka sapała jak oszalały byk. Wydawało się, że naprawdę może rozszarpać Igora na strzępy.

— Nie spodziewałam się po tobie takiej głupoty — powiedziała Erika sucho. — Rozczarowałam mnie i zawiodłeś. Przekonałam się, że wszyscy mężczyźni są tak samo bezwartościowi. Nie ma wyjątków. Powinieneś się wstydzić. Powinieneś pomyśleć o mnie, o szanownej matce i siostrach. O Bogini! Co za upadek! Potrząsnęła głową.

— Nie masz krzty przyzwoitości! — warknęła matka. — Za tyle dobroci, którą ci wyświadczyłam, taka odpłata! Możesz zrujnować siostrze karierę! Możesz zaprzepaścić przyszłość Marii! Bodajbyś zdechł w dniu, kiedy przyszedłeś na świat! Powinnam cię osobiście zadusić! Jesteś zakałą rodziny! Nie wybaczę ci tej hańby, Igorze!

Erika przyglądała mu się z pogardą i wyrzutem.

— Nie podejrzewałam, że możesz być tak głupi — mruknęła.

Igor walczył z obezwładniającymi falami słabości.

— Gdzie jest Łucja? — wychrypiał. Erika rozłożyła ręce.

— Na Boginię! Wiedziałaś, że ta durna dziewczyna zadaje się z jakąś wywrotową, politycznie podejrzaną sektą?

— Gdzie ona jest? — czerwone i czarne strzępy fruwały w całym pokoju.

Erika machnęła ręką.

— Została przeniesiona. Nie łudź się, że ją kiedykolwiek zobaczysz. To szaleństwo zakończy się definitywnie. Nie wiem jeszcze, jak ukarzę cię. W każdym razie twojej szanownej matce i mnie zależy na natychmiastowym wyciszeniu sprawy. Nie ma mowy o publicznym skandalu. Wiesz, że mam przeciwniczki, które chętnie wykorzystałyby tę żalną aferę przeciwko mnie. Twojej matce też zależy na uratowaniu honoru rodziny. Dlatego wszystko zostanie jak przedtem, przynajmniej przez jakiś czas. Dopóki nie zadecydujemy, co z tobą począć. Będziesz mieszkał i pracował jak dotychczas. — Wydęła wargi. — Na Wielką Macierz, jak mogłeś zadawać się z awataram? Nie rozumiem. Przecież to dno dna.

Igor poczuł, jak ogarnia go szaleńczy, zrodzony z rozpaczny gniew. Przed oczami zgęstniała czerwona mgła.

— Jak śmiesz tak mówić o Łucji! — krzyknął wściekle. — Nie masz prawa jej obrażać! Jest tysiąc razy lepszą, piękniejszą i mądrzejszą kobietą niż którakolwiek z was! Nie miałem pojęcia, co to znaczy związek, zanim jej nie poznałem! Podłe, zakłamate żmije, coście z nią zrobili? Zamordowałyście ją, tak? To jest wasza sprawiedliwość! To wasza równość! Wpakowałyście ją do więzienia czy do obozu wyrównawczego? Nienawidzę was, potwory! Zdechniecie razem ze swoją parszywą Boginią!

— Zamilcz! — syknęła Erika. — Twoja kochanka — awatar została przeniesiona do odległej filii firmy...

— Jaki awatar?! — wrzasnął Igor. — Zawsze macie jakieś gładkie słówko na ukrycie prawdy! Łucja jest klonem! Myślicie, że ta durna nazwa coś zamaskuje?! Jest klonem! Efektem nieetycznego, sprzecznego z naturą zabiegu! Ale poza tym pełnoprawnym człowiekiem. A wyście zrobiły z niej niewolnika! Wiem, jak to się zaczęło. Aroganckie, bezduszne baby u władzy porobiły sobie klony, żeby je zastępowały w nudnych ceremoniach

i zmuszonej robocie. A potem już poleciało, bo okazało się, jak fajnie mieć niewolników.

— Przystań wrzeszczeć — Erika zrobiła się biała jak ściana. Szare oczy ciskały gromy.

— Kazałaś ją zabić, podła suko — powiedział z bólem. — Zrobiłaś to z zazdrości i nienawiści, stara żmijo!

Erika przyskoczyła niczym wściekła puma, uderzyła go z całej siły w twarz.

— Milcz! — krzyknęła z furją. — Dostyc tego, nędzny samcze! Jesteś i zawsze będziesz niczym! Brzydzę się tobą. Nie ma już twojej rozkosznej Łucji! To wszystko, co powinieneś wiedzieć. Całe szczęście, że zdążyłam interweniować, zanim wybuchł skandal. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć. Szczerze mówiąc, wołałabym, żebyś umarł. Mam nadzieję, że to szybko nastąpi.

Złapała bezceremonialnie za ramię matkę Igora i niemal wypchnęła ją z gabinetu.

— Idziemy! — zakomenderowała.

Matka zdążyła jeszcze splunąć Igorowi na buty.

Został sam w pustym gabinecie, miejscu klęski. Nie miał już nic, o co mógłby dbać. Nic prócz honoru. Własnego i swojej prawdziwej, choć nieślubnej żony. Nie mógł się nawet rozpłakać.

Nigdy więcej nie zobaczył Łucji.

* * *

Igor siedział w brudnym, obskurnym biurze. Przez okno widział szare, zachmurzone niebo. Mżyło nieprzyjemnie.

Przejechał palcami siwe włosy. Przyjrzał się ciemnym smugom brudu za paznokciami. Farba drukarska wżarła się w skórę na amen. „Powinieneś się wziąć za siebie. Boże, jaki jestem stary. Jutro skończę pięćdziesiąt cztery lata. Kto by pomyślał?”

Na biurku walały się krzywo odbite ulotki. Stosy żółtych, zielonych, czerwonych kartek. Wyjął z kieszeni pudełko z tytoniem, nabił fajkę. Deszcz zaczął bębnić o szybę zimnymi, mokrymi palcami. Igor pykał spokojnie. Nauczył się korzystać z drobnych przyjemności życia. W końcu czas spędzony w więzieniu i obozach reedukacyjnych dla samców dał mu dobrą szkołę.

Sięgnął do szuflady po zdjęcie Anny A1, dziewczyny o białym głosie. Wyglądała ślicznie w kurpiowskim stroju.

Igor westchnął. Czas nie obszedł się łagodnie ani z nią, ani z nim. Nie byli już dwójką młodych ludzi zakochanych w starych pieśniach i obrazach. Tylko oczy Anny zostały takie same, jasne, pełne życia.

Przyjaźnili się. Łączyły ich wspólne pasje i cele. I wspólna walka. O godność, wolność, o prawo do życia według własnych reguł. Byli sobie bardzo bliscy. Nigdy jednak nie zdecydowali się stworzyć związku. Igor nie potrafił zapomnieć o Łucji. Wiedział, iż prawdopodobnie krzywdzi Annę, ale nie umiał wyrzec się nadziei, że gdzieś żyje jego jedyna, prawdziwa żona.

Westchnął znowu i zamknął zdjęcie w szufladzie. „Gdybym równie łatwo mógł zamknąć przeszłość”, pomyślał smutno. Deszcz za oknem padał ponuro, niebo zasnuwała szarość.

Wtem usłyszał prędkie kroki na schodach, drzwi otworzyły się z wściekłym zgrzytem. W progu pojawił się Wojtek. Jego młodzieńcza twarz promieniała.

— Igor! — krzyknął. — Wygraliśmy! Odzyskaliśmy prawa wyborcze! Będziemy głosować! Bracie, będziemy wolni! Wygraliśmy! Boże, nie mogę w to uwierzyć! Nie wierzę, że dożyłem tej chwili! Pójdziemy głosować, Igor! Ja, ty, wszyscy! Już nie jesteśmy niewolnikami! Staliśmy się znów obywatelami naszego kraju! To cudowne! Wspaniałe! Miałeś rację! Nie można pozwolić sobie na strach! Nie wolno godzić się na zbydlęcenie! Człowiek, który straci godność, traci równocześnie człowieczeństwo. Uderzyliśmy i

zwyciężyliśmy! Jesteśmy godni i wolni! Mamy prawa wyborcze! Boże, Igor! To także twoja zasługa! Udało się! Kocham cię, stary!

Rzucił się w ramiona starszego kolegi, ścisnął go, a po młodzieńczych policzkach płynęły łzy szczęścia.

Igor delikatnie, ale stanowczo zaprotestował przeciw nagłemu atakowi czułości Wojtka. Zaciągnął się dymem z fajki i wypuścił równe, błękitne kółko. „Sukces to suma małych kroków — pomyślał. — Czasem tak maleńkich, że prawie niedostrzegalnych. Tak szybko się o nich zapomina. Dobrze doczekać czasów, kiedy tytoń znów jest legalny”.

— No co jest? — krzyknął Wojtek, pijany euforią. — Nie cieszysz się?

Co z tobą, stary? Zwyciężyliśmy! To najszcześniejsza chwila w moim życiu! Za moment zwariuję z radości.

Igor zapatrzył się na padający za szybą deszcz.

— Jasne, że się cieszę — powiedział. — Zwyciężyliśmy. To piękny dzień, synu.

Rubież

Olga Tokarczuk urodziła się w 1962 roku w Sulechowie, ukończyła psychologię na Uniwersytecie Warszawskim, mieszka w Sudetach. Prozaiczka i eseistka. Uehonorowana wieloma nagrodami, m.in. nagrodą Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek, nagrodą Fundacji im. Kościelskich (1997) oraz kilkoma nominacjami do literackiej Nagrody Nike. Trzykrotna laureatka nagrody czytelników. Debiutowała powieścią *Podróż ludzi Księgi* (1993). Następne książki: *E.E.* (1995), *Prawiek i inne czasy* (1996), *Dom dzienny, dom nocny* (1998) oraz zbiory opowiadań *Szafa* (1997) i *Gra na wielu bębenkach* (2001).

Wyzaczyłem sobie do pisania godziny przedpołudniowe, kiedy słońce wpada wielką jasną kolumną do mojego pokoju i rozbija się o krawędź stołu w świetlistą plamę na kamiennej podłodze. Wtedy jest najjaśniejsze, a i głowa najświeższa. Będę pisał regularnie, regularność jest najważniejsza, tego nas uczył ojciec Bazyl. Mówił, że powtarzalność jest prawdziwym mechanizmem świata i całe zło bierze się z zamieszania i chaosu. Ale moja głowa nie jest nawykła do myślenia, a palce do pisania. Dlatego postaram się ująć to, co mam do powiedzenia, jak najkrócej, zwłaszcza że myśli przychodzą mi, jak chcą i nie panuję nad nimi w żaden sposób. Szczegóły budzą się w mojej pamięci bez ostrzeżenia i składają się w okrągłe zdanie w najmniej odpowiednim momencie, gdy ręce mam zajęte barwnikami i nie mogę sięgnąć po pisadło albo gdy przychodzi moja kolej zabawy z dziećmiaczkami, co bardzo lubię, i chętniej poświęciłbym się temu dobremu zajęciu całkowicie.

Od kiedy podjąłem zamysł pisania — a było to po śmierci ojca Bazyla, gdy wydawało się, że wszystko runie w gruzy — na zawsze straciłem dawny spokój. Nawet sen przestał być gwarantem odpoczynku, nawet modlitwa stała się rwana i powierzchowna i nie umiem już zapaść się w nią jak w śnieżną zaspę. Teraz jakieś zdania mogą przyjść w każdej chwili, waląc w drzwi mojego biednego mózgu i domagając się posłuchu. Kiedy je zapiszę, dają mi spokój, odchodzą.

Ojciec Bazyl w swej wielkiej mądrości musiał wiedzieć, że choć piszę powoli i brakuje mi słów, to jednak najbardziej ze wszystkich się do tego nadaję. Gdy był jeszcze przytomny, swoim cichym, osłabionym głosem zwolnił mnie z wielu obowiązków, obym tylko mógł pisać. Wybawił mnie ze znieawidzonej kuchni i od sprzątanania. Kazał zebrać dla mnie papier z całej Rubieży i wszystkie dostępne pisadła, choć wiele z nich wyschło i nie nadaje się już do użytku. Mam za to pudło pełne kolorowych ołówków. Kiedy okazało się, że po ostatniej zimie wilgoć dostała się do magazynów, kilka dni przebierałem, arkusz po arkuszu, zamokłe i porośnięte grzybem ryzy papieru. Niewiele udało się uratować, ale i sam papier był już stary i pochodził jeszcze z tamtych czasów sprzed Repartycji. Nawet smakował jakoś szczególnie — uszczknąłem czysty rożek i wsadziłem sobie do ust. Tak, miał smak komunii — najczystsza, najświętsza, najdelikatniejsza komunia.

A ponieważ to, co tu piszę, traktuję jako brudnopis, wziąłem sobie pudło dziwnego długiego papieru, zadrukowanego z jednej strony, ale już prawie nieczytelnie, i wyciągam go teraz, nie dbając o strony, pisząc tylko ciurkiem. Ten papier musi być świadkiem dobrych czasów, bo zapisano go tylko z jednej strony, nie licząc się z tą niezrozumiałą dziś arogancją, że odwrotna nie zapisana biała kartka pozostaje w grzechu lenistwa i beczynności. Jakże pozwolić tym stronom na milczenie, gdy inne dają świadectwo wydarzeń, umów, planów i pomysłów... W czworobokach wymieniane są jakieś słowa, a dalej po prawej podaje się cyfry. Na przykład:

Saldo początkowe.....	2.355,89
Limit zadłużenia.....	5.000,00

A pod spodem:

Suma transakcji uznaniowych.....11.812,00

Nie bardzo rozumiem, co to znaczy.

Tak więc piszę dwie godziny rano, grzejąc stopy w plamie słońca, zatopiony w rześkim, suchym powietrzu, które płynie nad rzeką ze Stepów. Czasem moje skupienie narusza grzmot dział — ale rzadko — gdy z naszego garnizonu strzelają na tamtą stronę, bardziej chyba na zapas, od dawna bowiem tamci przestali nas niepokoić. Na stole mam cenne przedmioty, które ojciec Bazyl polecił mi przekazać: nożyczki, kolorowe ołówki, pióro, do którego sam robię atrament, świece, a także coś, co dostałem od niej, od Udiny, zanim zniknęła. Jest to piękna i skomplikowana rzecz: składa się z jedenastu cienkich patyczków spiętych na dole metalowym drutem i połączonych ze sobą grubym białym papierem, przybrudzonym już niestety. Gdy rozciąga się kijki, papier rozkłada się, wtedy widać na nim czarne malownicze rysunki, zapewne znaki jakiegoś dalekiego pisma. Rozkładałam i składałam tę rzecz, gdy stracę wątek — jak teraz — to pomaga. Ów przedmiot jest poręczny i zgrabny. Z przyjemnością trzyma się go w ręku i właściwie nawet wcale nie trzeba wiedzieć, do czego służył, żeby się nim zachwycić.

* * *

Jak wszyscy, znalazłem się tutaj dzięki ojcu Bazylemu, ale dokładnie nie wiem, jak to się stało. Miałem zaledwie kilka lat i pamiętam tylko przez mgłę starą kobietę, która się mną opiekowała. Ojciec Bazyl mówił, że była to moja babcia, która umarła. Często opowiadał nam, jak po Zaciemnieniu nastął wielki chaos i upadek. Lecz zanim się to stało, podobno dzięki światłu ludzie mieli wielką moc przemieszczania się i nawet rozmawiania ze sobą na odległość. Dawno temu pokazywał nam w podziemiach urządzenie, które, gdy kręciło się korbą, powodowało świecenie małej zamkniętej bańki, ale potem ta maszynka popsowała się, a bańka pękła. W każdym razie wojna i chaos zniszczyły takie rzeczy albo rozkradli je dzicy i wszystko, wszystko przepadło. Ojciec Bazyl czasami siadał z nami i rysował nam różne przedmioty, które podobno należały kiedyś do ludzi. Niektóre z nich były tak dziwne, aż uważałem — niechże mi to wybaczy — że zmyśla. Ale potem ojciec Bazyl zaprzestał tych zajęć przypominania nam i sobie, jak wyglądał tamten świat. Powtarzał nam codziennie, że żyjąc na Rubieży, mamy najświętszy obowiązek obrony naszej cywilizacji przed barbarzyńcami i że zamiast tęsknić do przeszłości, powinniśmy skupić się na tym, co jest. A jest nasza Rubież, rzeka Prut, oddzielająca cywilizowany świat od chaosu, są resztki garnizonu, który od czasu do czasu zatapia jakiś jednoosobowy skul, próbujący przepłynąć rzekę. Ale nade wszystko jest nasza święta Panna z Dzieciątkiem, Królowa Świata, Dobra Dusza i to ją co roku pokazujemy Chaosowi. I tak ma trwać przez lata, aż cywilizowane ziemie połączą się znowu w jedno pod wodzą Panny i świat wróci do stanu sprzed Repartycji.

* * *

Na samym początku byłem kalefaktorem — każdy nowy tak zaczyna — wraz z podobnymi sobie chłopcami, przygarniętymi przez ojca, zaopatrywaliśmy Rubież w drewno opałowe, o które już wtedy było trudno, bowiem wędrujący ludzie wycięli wszystko w pień. Wyprawialiśmy się małymi grupami daleko na południe i tam, u podnóża gór, cięliśmy, co się dało, a inni starsi spławiali kłody z prądem Prutu do Rubieży. Prace trwały całe lato. Zimą zaś, która tutaj jest ciężka i smutna, ojciec uczył nas czytać i tkąć, farbować nici i wyszywać. Nie miałem serca do pracy fizycznej, czekałem na te zimowe wieczory, kiedy skupialiśmy się przy ogniu i ćwiczyliśmy nasze umysły i ręce. Uczyliśmy się na pamięć modlitw ojca.

Byłem za wątyły do pracy fizycznej. Raz ujrzał mnie, gdy znosiłem drewno do magazynów,

i ulitował się nade mną. Nie wiem, czym zjednałem sobie jego przychylność, że uwolnił mnie od tej ciężkiej pracy i przydzielił do farbowania, a potem pisania — może nie było żadnego powodu. Ojciec Bazyl patrzył na ludzi zawsze rozświetlonym wzrokiem i mrużył lekko powieki, co jest niewątpliwie oznaką czułości. Kazał mi pilnować ognia w naszych piecach. Biegałem z góry na dół, rankiem wygrzebywałem popiół i wysypywałem go na pole, a zachodni wiatr rzucał mi szare chmury prosto w twarz, tak że chodziłem umorusany i wzbudzałem ataki śmiechu.

Wtedy Rubież była bardziej zatłoczona niż dziś. Z zachodu ciągnęły jeszcze pojedyncze grupy ludzi, którzy docierali aż tutaj, ale nigdy nie gościliśmy ich w środku, oddawaliśmy im tylko stajnie i podwórza. Ojciec Bazyl nie chciał, żeby mieszały nam w głowach. Ci ludzie patrzyli z niedowierzaniem z naszego wysokiego brzegu na tamten, dziki i płaski, i w końcu zawracali tam, skąd przyszli. Także i po tamtej stronie było bardziej gwarno. Ze Stepu nadciągali obcy, byli jak stada wycieńczonych zwierząt i za wszelką cenę próbowali przepłynąć rzekę. Wtedy z garnizonu strzelano do nich, a oni rozpierzchali się w pośpiechu. Ci z zachodu, nasi, którzy mówili po naszemu albo przynajmniej podobnie, stawali na wysokim brzegu rzeki i jakby widok monottonnych, płaskich obszarów po drugiej stronie powodował u nich otrzęźwienie: to jest koniec, dalej nie ma po co iść, tu jest szew świata, który rozpruł się już dawno temu i nie ma sposobu, żeby go zszyć na nowo. Zatrzymywali się więc u nas na jakiś czas, a potem zawracali rozczarowani. Wieczorami rozpalano ogniska i stawano w wielkim kręgu na całym naszym dziedzińcu. Śpiewano razem, wieloma głosami i głosy te wznosiły się do nieba, do naszej Panny z Dzieciątkiem. Posiłki wydawano z kotłów, pod którymi palono najsuchszym z drewn. Zapach zupy z grochu wydawał mi się najpiękniejszy na całej Ziemi.

Nie wiem, czy to jest cecha mojej pamięci, że dostrzega tamte obrazy jako bardziej spójne, czyste i zwarte. Wszystkiego było wtedy więcej — słońca, światła, zapachów, szczegółów, a nawet przedmiotów. Len, który tkaliśmy, był bardziej gładki i solidny, kolory nici jaskrawsze, ołówki mniej zwietrzałe, a i papier bielszy i mocniejszy. Noże ostrzejsze, klamki precyzyjniej zaskakiwały w zamkach, pokrywki lepiej pasowały do garnków, a niektóre buty miały jeszcze cienkie mocne sznurowadła, a nie parciane sznurki. Mógłbym wymieniać jeszcze długo, przedmiot po przedmiocie. Dziś coś dziwnego dzieje się z naszym światem — jakby się popsuł, jakby zbutwiał i stracił świeżość.

Nie przeczę jednak — przecież tego uczył nas zimowymi wieczorami ojciec Bazyl — możemy widzieć świat tylko przez nasze zmysły, tylko samymi sobą, a ja jestem przecież starszy o te dwadzieścia lat i z zagubionego chłopczyka stałem się dojrzałym mężczyzną, strażnikiem Rubieży — członkiem naszej rodziny, wprawdzie dużo mniejszej niż kiedyś, lecz wciąż rodziny; i zmieniłem się bardzo, czasem nawet myślę, że jestem inną osobą. Więc może byłoby pokorniej, gdybym nie miał pretensji do świata, ale do własnych zmysłów.

Uważam wszakże, że ojciec Bazyl popełnił jeden błąd. Nie skłonił nas do regularnego zapisywania tego, co nam opowiadał. Teraz czuję, że pewne jego nauki idą w zapomnienie. Strażnik Mateus Drugi, którego umierający ojciec Bazyl wyznaczył na kontynuatora zimowych nauk, załamał się pustką, jaka została po śmierci nauczyciela, i zniknął zeszłej wiosny, podobnie jak kilku innych braci. Ci, którzy zostali, zamknęli się w sobie i teraz trudno jest być nam w tamten dobry sposób. Czasem widzę, jak dużo zapomniałem z opowieści ojca, jak mylą mi się jego historie, jak straciłem wiele ważnych szczegółów z jego nauk, które wtrącał mimo woli w czasie najzwyczajszych naszych codziennych prac. Na przykład nie pamiętam imion rodzeństwa naszego Pana, wiem tylko, że było ich dwunastu, tyłu, ile książek jest w naszej bibliotece.

Gdy ojciec Bazyl umarł, a było to nad ranem, zaraz na początku stycznia, w czasie tej długiej, mrocznej i ciężkiej zimy trzy lata temu, z jego zwłok wyjęliśmy serce i umieściliśmy je w szkatule, a resztę pogrzebaliśmy w pięknym miejscu pod murami, żeby ojciec miał

wspaniały widok na zachód, do którego tak tęsknił. Jednak następnego wieczoru trzech bracia, Marek Czwarty, Mateus Pierwszy i Marek Pierwszy, otworzyli szkatułę i rozcięli serce. Mieli bowiem jeszcze w pamięci słowa ojca Bazyla: „krzyż naszego Pana jest głęboko w moim sercu”. I rzeczywiście w sercu, większym niż u innych ludzi, jak mówił brat Mateus Pierwszy, który się na tym znał, znaleźli coś podobnego do krzyżyka, kawałek jakby kosteczki. Byliśmy tym tak podniesieni na duchu, uznaliśmy bowiem, że są to widome oznaki świętości ojca Bazyla. W ciemnościach, w chłodzie i osamotnieniu postanowiliśmy zbadać całe zakopane ciało. I był to prawdziwy cud — w woreczku żółciowym tkwiły trzy małe okrągłe przedmioty — rozpoznaliśmy je jako znak Trójcy. We wnętrznościach ojca Bazyla znaleźliśmy jeszcze uformowane z ciała: koronę cierniową, bicz i gwoździe. Pilnie strażemy teraz tych relikwii.

* * *

Wraz ze zniknięciem brata Mateusa Drugiego przepadła prawie cała nasza wiedza o pogodzie i kalendarzu. Była to dotkliwa strata, od tej pory nie bardzo dajemy sobie radę z obliczeniami przesilenia wiosennego i letniego, polegamy tylko na tym, co dostrzegą nasze oczy. Wielką Noc Odrodzenia obchodzimy teraz zawsze w dniu, gdy puszcza lód na Prucie, a Narodziny, gdy jest już tak ciemno i zimno, że bardziej być nie może, a my tonimy w smutku i przygnębieniu. Lecz nasze najważniejsze święto — Chorągwie — ogłaszamy, gdy świat jest najbardziej otwarty na słońce i życie, gdy niebo robi się czyste i przyjazne, a przejrzyste powietrze daleko w Step niesie nasze obrazy.

Za ojca Bazyla było to wielkie święto, włączał się w nie cały garnizon i na cześć Chorągwi strzelano z wielu dział przez cały dzień. Po tamtej stronie rzeki przyprawiało to dzikich o przerażenie i zdumienie. Ojciec Bazyl twierdził, a mnie się wydaje, że sam to widziałem, będąc dzieckiem, iż kiedyś tłumy barbarzyńców padały na ziemię w świętym przestraszu, a Chorągiew świeciła na niebie niczym drugie słońce. Od kilku jednak lat tamci nie podchodzą już tak ochoczo — rozeszli się, widocznie dali spokój, choć przecież teraz byłoby dużo prościej pokonać rzekę łodzią niż kiedyś.

Dlatego też muszę przerywać to pisanie od czasu do czasu, jak mówiłem, bo przygotowania do Chorągwi już trwają. Sprawdzam, jak farbują się nici, czy len jest odpowiednio miękki i czy jego odcienie pasują do siebie. Chorągiew pękła w zeszłym roku i tej okropnej zimy naprawialiśmy ją centymetr po centymetrze. Wyszło też na jaw, że niektóre jej części wyblakły albo zetlały od wilgoci i trzeba je wymienić. Przy tej okazji postanowiliśmy wzbogacić ją o nowe elementy. Muszę się też zajmować naszymi dwoma dziećmiaczkami.

Nasze dzieciaczki to Piotr i Paweł, z tym, że Paweł jest dziewczynką. To ja nadałem im te imiona, przedtem bowiem nazywały się po barbarzyńsku i trudno to było wymówić i zapamiętać. Chciałem, żeby imiona były cywilizowane i żeby dzięki nim łatwiej było włączyć się im w nasz świat. Ich matkę nazwałem Krzysztof, ale nie chciała używać tego imienia, wyśmiała je nawet. Sama o sobie mówiła Udina i, chcąc nie chcąc, i my tak ją musieliśmy nazywać. A szkoda, bo Krzysztof, jak nam opowiadał ojciec Bazyl, był wielkim człowiekiem, który przeniósł przez rzekę Pana, gdy ten był mały i jeszcze nie nauczył się sam chodzić po wodzie. Czuję się dumny, że zobaczyłem podobieństwo tych historii, bo i Udina pojawiła się u nas wczesną wiosną, tuż przed świętem Odrodzenia — niosła dzieci na plecach i brzuchu, zamotane w płachty. Szła z kry na krę i o mały włos nie utonęła przy brzegu w lodowatej wodzie. Do tej pory nie wiem, dlaczego nie strzelano do niej z garnizonu. Może upili się tam, a może przestraszyli się tak dziwnej postaci. Kiedy do nas dotarła, była wycieńczona i brudna. Jako i dzieci. Sine z zimna i głodu, przestraszone stadko. Ci z garnizonu, po czasie widząc, co się stało, że jest u nas ktoś obcy, natychmiast przyszli, żeby

ich im wydać i pozbawić życia — takie jest przecież prawo Rubieży: nikt z tamtego brzegu nie może się tutaj dostać. To ja wziąłem na siebie całą odpowiedzialność i udało mi się ich przekonać, że ta ledwie żywa trójka nie jest w stanie zagrozić w żaden sposób cywilizowanemu światu i, że jak tylko dojdą do siebie, odeślemy ich łodzią z powrotem.

Udina była jedyną dorosłą niewiastą, jaką widziałem w życiu. Mogę więc powiedzieć, że znam trzy stadia odmiany kobiecej: moja babka, którą ledwie pamiętam (a najbardziej uścisk jej suchej, kościstej dłoni), Udina, jako forma dojrzała, w szczycie rozwoju i teraz Paweł, kobieta malutka, która dopiero co nauczyła się chodzić — nie różni się niczym szczególnie, oprócz oczywiście tych cielesnych znaków, najbardziej zadziwiających, ale chwala Panu, ukrytych przed wzrokiem postronnych.

O Udinie trudno mi pisać, bo każde jej wspomnienie wywołuje w moim sercu żal i smutek. Zrobiliśmy jej tu jak najlepiej — miała ciepłe pomieszczenie i jedzenie. Chociaż trudno się było z nią porozumieć, mówiła bowiem językiem dzikich, przyjęliśmy ją do swego grona jak brata. Uczyłem ją farbować i rozpalać ogień kawałkiem szkła. Pokazałem, jak wyszywać i dobierać nici. Miała gładką twarz, piękne oczy w kolorze orzecha i długie ciemne włosy. Ale Udina była dzika. Bała się nas. Wieczorem barykadowała się w izbie, którą dla niej i jej dzieci przeznaczyłem, a za dnia, gdy tylko któryś z braci chciał do niej podejść bliżej, krzyczała strasznie, przenikliwie wysokim głosem. Muszę powiedzieć uczciwie, że tylko ja miałem do niej dostęp i mogliśmy nawet rozmawiać, powoli ustalając reguły naszej wspólnej mowy, która składała się z pojedynczych słów i gestów. Czasami śmiała się radośnie, gdy okazywało się, że jakieś słowo znamy oboje. „Rzeka”, mówiłem i pokazywałem Prut, a ona powtarzała to zupełnie podobnie. Bardzo mi się podobał jej śmiech. Zależało mi, żeby go było jak najwięcej, wtedy i ja czułem się szczęśliwy. Podarowałem jej kawał dobrego płótna — zrobiła sobie z niego długą koszulę i zachwycona naszymi barwnymi niemi wyszyła na niej kolorową rybę. Umiała splatać włosy w skomplikowane warkocze, czym zaprowadziła u nas nowy zwyczaj. Teraz prawie wszyscy bracia noszą włosy uczesane w taki sposób. Pokazała nam też pewną potrawę — trzeba zrobić ciasto, rozgnieść je w cienkie placki, a potem zawinąć w nie ugotowane ziemniaki z serem. Ale gdy lody spłynęły i brzegi Prutu zaczęły się zielenić, coraz częściej wychodziła na mur i stała tam nieruchomo wpatrzona w Step. Tęskniła, to jasne. Do swoich, do dzikich ludzi. Tak samo jak ja tęskniłem do ojca Bazyla. Wiem, jakie to jest bolesne, jak ciężko jest wtedy w okolicy serca, gdzieś w środku ciała. Chciałoby się coś zrobić, żeby wypruć ten ból, i jednocześnie się wie, że nie jest to możliwe. Ona mogła jednak dokądś odejść. A my? Gdzie można pójść, żeby się spotkać z ojcem Bazylem?

Musiałem już poniekąd przeczuwać, że odejdzie, choć sam o tym jeszcze nie wiedziałem. Chciałem ją zatrzymać i sądziłem, że najlepiej będzie, jak pokażę jej to, co nas tu wszystkich trzyma, co każe nam budzić się co rano w tym samym miejscu i nie poddawać się szaleństwu przemieszczania się i nieustannej podróży — to różniło nas od dzikich. Dla nas stałość i porządek są bowiem filarami cywilizacji. Cywilizowany świat tworzą przywiązanie do miejsca i powtarzalność, bycie podobnym bardziej drzewu niż ptakom. Tak powtarzał ojciec Bazyl.

Sprowadziłem ją na dół do naszych magazynów i tam, odsłoniwszy okna, pokazałem rozłożoną na podłodze Chorągiew. Na Udinie musiały zrobić wrażenie jej wielkość i rozmach, jej kolory, nawet jeżeli gdzieś tam są trochę spłowiałe. Obchodziła ją wkoło, wstrzymując oddech. Tak, miałem rację, uległa jej czarowi, mocy, jak wszyscy. Potem kobieta przykucnęła i z bliska oglądała wzory aplikacji i ściegi nici, z żalem dotykała postrzępionych tu i ówdzie brzegów, przetarć i odbarwień. Muszę przyznać, że ucieszyłem się jej przejściem. Znaczyło to, że będzie wolała schodzić tutaj z nami i pracować nad tym cudem, niż stać na blankach i patrzeć niewidzącym wzrokiem w Step. I rzeczywiście — poprosiła mnie o nici i porządną metalową igłę. Przez kilka dni obrębiała brzeg. Siedzieliśmy odtąd popołudniami także z innymi braćmi i szyli, naszywali i haftowali. Miło było patrzeć na

jej sprawne, szczupłe palce, jak zaprowadzały porządek w chaosie. Swoim chropawym językiem opowiadała jakieś historie, które rozumieliśmy tylko częściowo — o zwierzętach, przemarszach, polowaniach, o wielkich opustoszałych miastach gdzieś na wschodzie, o górach, które stoją na końcach Ziemi, wielkim morzu, które podobno jest na południu i do którego wpływa nasz Prut. Mówiła o wielkich łodziach napędzanych wiatrem, o żelaznych drogach. Pokazała nam ruchome światła, które wędrują po wieczornym niebie i potem, kiedy odeszła, zacząłem ją w myślach nazywać taką ruchomą gwiazdą. W końcu zapytała mnie o pozwolenie wyszycia w samym rogu Chorągwi takiej samej ryby, jaką zrobiła sobie na koszuli. Zgodziłem się, dlaczego nie mogłaby zostawić swojego śladu, dlaczego my wszyscy nie moglibyśmy tego zrobić? Każdy z braci umyślił sobie jakieś zwierzę, obrysował jego kontury i wypełnił kolorem. Była czapla, jeź, sowa, a nawet wąż. Ja wybrałem psa, bo wydało mi się, że będzie najbliższy temu, co robię: jak pies jestem strażnikiem. Udina ułożyła piękną rybę, całą w kolorowych łuskach, z wielkim okiem ze szkła do rozpalania ognia, z powiewnym ogonem. Naszywała te łuski jedna po drugiej, każdą z innego kawałka barwnego lnu, aż ryba wyglądała jak żywa.

No i zniknęła, kiedy zrobiło się już całkiem ciepło. Ojciec Bazyl mówił, że dzicy szybko się nudzą. Dlatego wędrują, dlatego nie należą do cywilizowanego świata, bo brak im naszych cnót — przywiązania do miejsca i regularności.

Z początku myślałem, że wróci i teraz ja stałem na murze i patrzyłem w Step, i każdy ruchomy punkt brałem za Udinę. Jak przepłynęła rzekę? Tego nie wiem. Może poszła w inną stronę, na zachód. Może Chorągiew obudziła w niej tęsknotę za czymś innym, nieznanym i, może, my też tęsknimy, ale nie mamy odwagi się do tego przyznać — że istnieją gdzieś inne miejsca i inne sposoby trwania na straży. Zostawiła nam dzieciaczki i właśnie z ich powodu sądzę, że ona wróci. Była bowiem do nich bardzo przywiązana.

Są to istoty ruchliwe i radosne, wszyscyśmy je pokochali. Bracia wolą nawet zajmować się dziećmi, mieć u nich dyżur, niż pracować w polu czy przy farbowaniu i przedzeniu nici. Brat Jan Drugi uczy je naszego języka, a także innych cywilizowanych umiejętności — stawiania liter, czytania, uprawy ziół w ogródkach czy robienia serów. Głównie Piotra, bo Paweł jest jeszcze za mały. Towarzyszą nam teraz także w pracach nad Chorągwią, bowiem święto zbliża się szybko — dzień staje się coraz dłuższy. To z ich powodu postanowiliśmy dodać tego roku jeszcze jedną postać i to nie zwierzęcą jak przedtem, lecz ludzką. Uznaliśmy, że brat Bazyl pochwaliłby tę decyzję, będzie bowiem teraz na Chorągwi prawdziwa Trójca, a przecież wiemy, że miał ją w swym sercu.

Prace trwają. Ręce mam ubarwione błękitem i czerwienią, palce pokłute do krwi igłą. Wstajemy o świcie, żeby nie uronić ani jednego promienia światła. Dojrzewają już nasze pomidory, więc żywimy się tylko nimi i serem, bo szkoda nam czasu na rozpalanie w piecu, żeby upiec chleb. Dziś brat Łukasz Czwarty przypominał nam, kiedy wszyscy pracowaliśmy w skupieniu, co ojciec Bazyl mówił o Chorągwi — że dawno, dawno temu, przed Zaciemnieniem i Repartycją cudowną Chorągiew pokazywano każdego wieczoru. Była wtedy całkiem biała, czysta jak nasza Panna i w całkowitych ciemnościach ukazywały się na niej ruchome barwne obrazy. Chorągiew wydawała wtedy głos, postacie mówiły, poruszały się, śpiewały święte pieśni. Schodziło się do niej mnóstwo ludzi, którzy w nabożeństwie byli świadkami cowieczornego cudu. Lecz w świetle, który się rozpadł i utonął w chaosie, Chorągiew zamilkła. Dlatego naszymi igłami musimy ją nakłaniać, by znów przemówiła, musimy ją szturchać i podsuwać jej obrazy.

Udino, Krzysztofie, idąca przez wodę, gdybyś tu była, widziałabyś, jak wykonujemy swoje zadanie z oddaniem i poświęceniem: jak szykujemy bębny, mocniej naciągamy na nie skórę, jak czyszcimy nasze długie trąby robione z łodyg arcydziegla, jak w garnizonie przygotowują armaty i już błyszczą w słońcu ich świeżo wypolerowane lufy, jak trwa gorączkowa krzątania. Na blankach stoi już potężny stelaż, na którym rozwiesimy Chorągiew ku

wschodowi i może znowu nadciągną ze Stepu nasi barbarzyńcy przyzwyczajeni do corocznego pokazu. Czy wiedzą, czy domyślają się, że robimy to dla nich? Żeby i na nich spojrziała Wielka Panna, Królowa Cywilizowanego Świata, wszelkich rubieży i stepów. A jest jeszcze bardziej potężna, bo umieściliśmy przy niej drugie dzieciątko, tak więc teraz ukazuje się w całej swej mocy — jedno dziecko przytula do siebie, drugie zaś trzyma mocno za rękę.

I jeszcze myślę bardzo nieśmiało, że gdzieś w oddali ujrzy to Udina, i nie będzie się mogła oprzeć temu, by zawróciwszy ze swojej drogi, znów do nas zawitać.

Autorewers

JERZY SOSNOWSKI urodził się w 1962 roku w Warszawie, opublikował m.in. powieści *Apokryf Aglai* (2001) i *Prąd zatokowy* (2003). Za *Wieloscian* (2001) otrzymał nagrodę Fundacji im. Kościelskich. Pracuje jako dziennikarz w radiowej Trójce; mieszka w Warszawie.

No to już. I tak nikt mi nie uwierzył. Wymazuję ten tekst, wers po wersie. Moje zadanie dobiega końca: zadanie, które sobie postawiłem, czy może — które przede mną stanęło. Tymczasem sunę piórem po ciemnej ścieżce atramentu: stalówka trze o papier, nadaje mu szorstkość i biel. Granatowa strużka wznosi się i przepada w gardzieli zbiorniczka, skąd wypchnę ją niebawem do firmowej butelki i odniosę do sklepu, żeby odebrać pieniądze. O ile będą jakieś. Następne pokolenia współwędrowców przyjmą bez zdziwienia porządek rzeczy. Zabawne, że na co dzień w niczym mi to nie przeszkadza. Choć należę do tych, którzy zawrócili, więc widzą różnicę.

Z wysiłkiem rekonstruuje kolejność wydarzeń, czemu dziwić się trudno. Kiedy zamknę oczy, w tamtym końcopoczątkowym okresie mnożą się obrazy, osoby, miejsca, jak na wielokrotnie naświetlonym filmie albo jak na przyjęciu, na które roztargniony majordomus zaprosił zbyt wielu gości. Ale kiedy wydobywam z tego chaosu dwa księżycy na nocnym niebie, wiem, że to nie złudzenie mierzącej się z nienaturalnymi wyzwaniem pamięci. Oto Moon i Naomi, czyli, jak je w Polsce próbowaliśmy nazywać: Księżyc i Księżniczka. Rzeczywiste, piękne i złowrogie.

Po raz pierwszy (i zarazem ostatni) zetknąłem się z wiadomością o Księżniczce gdzieś około roku 2040. Mam wrażenie, że był rok 2040, bo kojarzy mi się to ze sprawą toalet: Europejska Unia Partii Prawicowych (EUPP) przegrała jakoś wtedy kolejne referendum i z drzwi szaleców miejskich masowo zrywano mosiężne trójścianki, które mężczyźni zabierali sekretnie na pamiętkę. Sam schowałem ze trzy, chociaż rozumiałem trochę argumenty Ruchu Wyzwolenia Kobiet: przed ubikacjami dla pań zawsze kłębiły się kolejki, a faceci załatwiali swoje szybko, czemu więc nie można było uznać ich przybytków za koedukacyjne? Poza tym — wciąż staram się nie zagubić w czasie — wydaje mi się, że mam przed oczami stronę euronet.pl, na której jest wzmianka o zbliżającej się do Ziemi asteroidzie, a powyżej widzę link do newsu o tym, że Kitty DeBlanche zwierzyła się ze szczegółów orgazmu, jaki zapewnił jej piłkarz Ajaxu, czarnoskóry Brian O'Brian, zwany O'O — i klikam w Kitty, bo lubię, jak śpiewa tym swoim nosowym głosem *Hurt Me, 'Cause My Blood Is For You, Soldiers* (i wiele bym dał, żeby dotrzeć do nieoficjalnej wersji tego nagrania, w której wykorzystano podobno dźwięki zarejestrowane przez mikroporty, umieszczone pod skórą kozy, gdy dostarczono ją tygrysom szablatozębnym z Ogrodu Paleozoologicznego w Rzymie). A Kitty zastrzelił terrorysta palestyński w roku 2043, dla zaprotestowania przeciwko zerwaniu przez Izrael planu pokojowego prezydenta Butchera, więc ta wiadomość o Naomi musiała nadejść wcześniej. Ale nie przed 15 stycznia 2040 roku — gdy z kolei zatrzymano realizację programu pomocowego dla hodowców owiec, żeby za zaoszczędzone w ten sposób pieniądze szukać ratunku dla nas wszystkich.

Zatem panika narastała początkowo dość wolno. To nawet za dużo powiedziane: panika. Raczej zainteresowanie, najpierw mniej niż umiarkowane, bo przecież wiadomości o kosmicznym gruzie, który miałby zagrażać Ziemi, powtarzały się w mediach od niepamiętnych czasów. W audioserwisach pomijano tę sprawę przez wiele miesięcy, zwłaszcza że wszyscy śledzili z niepokojem konwulsje Wspólnoty Muzułmańskich Państw, gdzie konflikt między dynastią putinowską i kalifatem groził, jak zapewniali specjaliści,

obaleniem caratu i wprowadzeniem władzy teokratycznej, na co Unia nie bardzo chciała przystać. Rząd w Ankarze podjął się mediacji, ale jastrzębie z Paryża przeciwstawiały się tej inicjatywie, obawiając się, jak to ujmowało oficjalne oświadczenie, „wzmocnienia religianckiego wstecznicstwa na wschodnich rubieżach Unii”, co z kolei rozdrażniło prezydenta Zawadzkiego, obsesyjnie doszukującego się w wypowiedziach Francuzów antypolskich akcentów. Krótko mówiąc, mieliśmy niezły ambaras, bo z jednej strony, nieopodal, tuż za granicą Ukrainy, groziła nam regularna wojna (trybuna.com przebąkiwała już coś złośliwie o nowych Dymitrach Samozwańcach), a z drugiej — musieliśmy zabiegać o pełną zgodność z linią polityczną Komisji Europejskiej, żeby uniknąć podejrzenia o rozbijanie Unii, co było trudne, ponieważ linia ta zmieniała się kilka razy dziennie.

Staram się zrekonstruować klimat tych pierwszych lat końcopoczątkowego okresu: rok 2040, 2041, 2042 — i spostrzegam, że co chwila pienia się zawiązki nieporozumień, przekłamań, fałszywych analogii. Na domiar złego byłem wtedy starszy niż teraz, od dziesięciu lat przebywałem na emeryturze, więc perspektywa, z której patrzyłem na wydarzenia, z pewnością zniekształcała ich obraz. Jeśli na przykład stwierdzam, że „wszyscy się czymś pasjonowali”, to na pewno się mylę. Strony, które odwiedzałem, rejestrowały mnie wprawdzie jako milionowego, dwumilionowego, a przynajmniej pięćsettyśięcznego gościa — ale domyślałem się, że część internautów, których ciepłą współobecność miałem poczuć dzięki tym liczbom, to istnienia wirtualne, krążące po sieci, by sprawdzać przepustowość łączy, mieć reklamodawców wizją tłumów do uwiedzenia, a może nawet podtrzymywać na duchu samotników, takich jak ja.

Z adresów naprawdę popularnych po prostu nie mogłem korzystać. Nie tylko dlatego, że emerytura nie pozwalała mi na unowocześnienie sprzętu i ze znaczną częścią internetowych atrakcji byłem zwyczajnie niekompatybilny. Moja niekompatybilność była głębszej natury, dotyczyła organicznego, nie zaś elektronicznego składnika mojego jestestwa. Nawet gdybym zainwestował w nowoczesny software i poprawił hardware, pozostawał, jak to ujmowali socjopsychologowie, mindware, nieodwracalnie skażony dwudziestowiecznością. Przez jakiś czas czerpałem nawet mroczną satysfakcję ze śledzenia na łamach wiedzaiswiat.com sporu między socjopsychologami a biopsychologami: ci drudzy zarzucali pierwszym idealizm i twierdzili, że najsłabszy element e — socjalizacji należy nazwać meatware, nie zaś mindware; tym bowiem, co czyni starców nieelastycznymi, nieedukowalnymi, jest brak nowych połączeń neuronowych w mózgu, nie zaś treść kształcenia i kanon obyczajowy (zwany potocznie lepkością kulturową), jakich nabawili się w dzieciństwie. Kiedy raz zdarzyło mi się zapuścić w stosunkowo prostą technologicznie odnogę sieci, oferującą rozrywki dla dzieci i młodzieży, byłem niestety gotów przyznać rację biopsychologom. Zgrzytliwe hałasy i migania, które wypełniły, jak mi się zdawało, sto procent transmisji, stanowiły coś tak absurdalnego, że nie umiem sobie wyobrazić, bym bez przebudowy mózgu, a tylko dzięki przewycięzeniu lepkości kulturowej, był w stanie cokolwiek z tego pojąć. Kto mógł przewidzieć wyższość nas, emerytów, której miały dowieść nadchodzące wydarzenia?!

Więc czym zajmowali się wszyscy? Pewnie każdy czym innym, zgodnie z teorią Abramowicza–Dolsky’ego, przewidującą, że rozrost sieci doprowadzi w końcu do zaniku komunikowania się, każdy bowiem internauta stanie się konsumentem wytwarzanej przez samego siebie informacji. Rzecz jasna przesadzam, znowu przesadzam, powolny starczemu odruchowi wyostrzania wad świata. Co prawda, starcem przestałem być jakieś dwadzieścia pięć lat temu, ale kto wie, czy w wędrówce powrotnej niektóre cechy psychiczne nie opierają się anachronizacji i pozostają z nami jak uciążliwe pasożyty? Jakaś wymiana komunikatów ciągle jeszcze istniała, pamiętam na przykład te ogłoszenia, których studiowanie wypełniało mi długie godziny bezsennych nocy: z nigdy wcześniej nie doświadczaną mieszaniną wstrętu i podziwu odczytywałem, że „mężczyzna lat 20 z podwiązanymi nasieniowodami, zdrowy, pozna parę hetero lub homo (les lub gej) w celu prowadzenia im domu; posiada referencje”.

Albo net–konkursy: „Czy wokalistka zespołu New Smell używa: (a) tamponów, (b) podpasek, (c) jako były mężczyzna nie ma okresu?” I jeszcze blog — seriale: niewiarygodna mnogość adresów, które pozwalały podłączyć się do czyjegoś życia, w trybie on–line albo the best of, albo the–moment–of–the–year (to ostatnie hasło oznaczało zazwyczaj sceny pornograficzne). Były też wersje pozwalające wpływać na czyjeś decyzje poprzez udział w głosowaniu lub, co uchodziło za przypadek harder, pojedynczo: serwer wybierał konkretnego widza, a pośrodku obrazu wyświetlał się napis: „bohater zrobi teraz tak, jak postanowi jerzy.sosnowski@euronet.pl„ — tak jest, raz mi się to zdarzyło i stchórzyłem, wylogowałem się natychmiast. Zresztą przeczuwałem oszustwo: nie umiem uwierzyć, że ktoś gotów jest uzależnić się od drugiego tak bardzo; napawa mnie to uczuciem, w którym zgroza miesza się z podnieceniem, niestety.

Więc pewnie tymi lub podobnymi sprawami zajmowali się wszyscy. Jeśli można sobie wyobrazić, że ktoś w tamtych pierwszych latach końcopoczątkowego okresu monitorował jeszcze całość społeczeństwa, to pewnie widział nas jak mrowie opiłków kręcących się chaotycznie na powierzchni olejistej cieczy, które dopiero pod wpływem pola magnetycznego, rosnącego stopniowo, orientują się wszystkie na jeden kierunek; a tym kierunkiem była trajektoria lotu Naomi, wtedy jeszcze anonimowej asteroidy. Ni z tego, ni z owego wyszło na jaw, że NASA otrzymała od Kongresu największą dotację od czasów misji „Apollo” i pracuje nad metodą, która pozwoliłaby na uniknięcie kosmicznej kolizji. I chyba właśnie wtedy po raz pierwszy od przejścia na emeryturę zamieniłem kilka zdań na ulicy z zupełnie obcym człowiekiem: zastanawiałem się, stojąc przy kolorowych kontenerach, czy samodegradującą się butelkę nowej generacji (po coca–coli) należy wyrzucić do niebieskiego czy żółtego, a raczej — mówiąc pełną prawdę — rozglądałem się, czy jeśli wrzucę ją gdziekolwiek, ktoś to dostrzeże. Poprzednim razem bowiem byłem nieuważny i wyskoczył na mnie strażnik miejski z otwartym już bloczkiem mandatowym. Więc kręciłem się koło kontenerów dość bezradnie, myśląc ze złością, że niczym się nie odróżniam od innych żalonych staruszków, którymi skrycie pogardzam, kiedy podeszła do mnie jakaś kobieta i zapytała smutno: — Myśli pan, że warto segregować, skoro to spadnie jak bomba?

W pierwszej chwili wziąłem ją za maniaczkę religijną; asteroida nie zaprzętała jeszcze mojej uwagi, a o doli ludzi religijnych zdarzało mi się myśleć dość często. Wychowany w tradycji umiarkowanego katolicyzmu, z każdym dziesięcioleciem dwudziestego pierwszego wieku stawałem przed coraz brutalniejszymi wyzwaniem — księża mówili „pokusami” — współczesności: klimat, w którym mnie wychowano, ani gorąco religijny, ani zimno ateistyczny, rozwiązał się. Rzec można, że wygodne siedzisko dla łagodnego ducha wyostrzyło się w brzeszczot, byłeś po tej lub po tamtej stronie, albo heroicznie negowałeś osiągnięcia współczesnej genetyki, antropologii i psychogenezy (informatycy generowali już niektóre doznania mentalne, jak rozdrażnienie, wściekłość, rozgoryczenie i resentyment, i chępli się stworzeniem komputera, który na głos operatora, podającego mu komendę: „wake up, enter!”, zareagował okrzykiem: „fuck you, asshole”), i twierdziłeś, że choćby komputer mówił językami ludzi i aniołów, a nie potrafił się zakochać, niczym jest, albo zostawałeś żarliwym ateistą, gotowym bezcześcić Najświętszy Sakrament, w pretensji, że nie spada na ciebie grom z jasnego nieba. Wiele słabszych charakterologicznie jednostek źle znosiło te warunki: poszukiwali nowej odmiany oportunistów i wtapiali się w obojętny religijnie tłum lub popadali w apokaliptyczne szaleństwo, wieszcząc kres czasów i powtórne nadejście Chrystusa. Moją rozmówczynią przy śmietniku właśnie do tej ostatniej kategorii zaliczyłem i oddaliłem się pospiesznie, czego, wracając, przyszło mi żałować: bo choć byłem wtedy jeszcze gotów szerzyć następczo — uprzednią wiedzę i, wbrew procedurom, planowałem skruszyć determinizm dziejów, to zaledwie zaszedłem pod śmietnik, by wyjąć swoją butelkę po coli, kobieta odezwała się z nagłą i cofnęła się, nim zdążyłem zareagować.

Możliwe zresztą, że skojarzenie tej sceny z kwestiami religijnymi nastąpiło w moim

umyśle później (czy raczej: wcześniej; to zbyt skomplikowane, więc powiedzmy, że kiedy indziej): przede wszystkim musiałem być wstrząśnięty nawiązaniem kontaktu głosowego, bez określonego powodu, z kimś obcym i pewnie dlatego właśnie, od lat milczący, nie wymyśliłem lepszej reakcji na jej słowa niż prędkie odejście.

W uszach większości ludzi na ulicy, w metrze, w trolejbusach, tkwiły słuchawki — i zresztą w moich również, póki pracowałem i w drodze do rozgłośni słuchałem nagrań relaksacyjnych. Odkąd zaś odszedłem na emeryturę, nie oddalałem się tak bardzo od swojego bloku, by miało sens zabieranie ze sobą plikmana. I cisza miasta, wtedy, pierwszego dnia po pożegnaniu (w mieszkaniu kwiaty od dyrekcji i tak dalej), była porażająca: bez rozmów, których przecież nie prowadzono, ale i bez reklam, które, nadawane inwazyjnie przez uliczne mikrostacje, odzywały się tylko w słuchawkach.

Tymczasem w ciągu następných miesięcy plikmany właściwie w ogóle wyszły z użycia — czego zresztą trochę żałowałem, bo wzruszał mnie zawsze widok dziewcząt, nadstawiających uszy, żeby chłopcy wkładali tam swoje słuchawki, albo sięgających nieśmiało do uszu chłopców, by dać im posłuchać swoich nagrań, gest niewinny, a zarazem miłosny. Ludzie rozmawiali coraz bardziej gorączkowo, jakby chcieli nadrobić przemilczany czas. Przyznam, że obserwowałem ich nerwowość z arystokratyzmem człowieka znad grobu.

Okolo roku 2045 czułem się już naprawdę źle i to, czy umrę w pojedynkę, czy też pochłonie mnie globalny kataklizm, nie robiło mi — takie przynajmniej odnosiłem wrażenie — specjalnej różnicy. Roilem sobie, że asteroida, którą widać już było wyraźnie jako żółtawy grosik na nocnym niebie, leci specjalnie po mnie — i nonsensowność tego wyobrażenia cieszyła mnie ponad miarę. Niewykluczone, że wszedłem w pierwszą fazę euforii starczej. Z szuflady wy dobyłem starą ekierkę i nieraz, zamiast włączać nocą komputer, śledziłem przyrost wielkości katowej tarczy, a zanosilem się przy tym od śmiechu, nie mogąc przestać. Spieszę jednak zapewnić, że pierwsza wzmianka o możliwości wejścia Naomi na orbitę okołozemską rozradowała mnie w stopniu, którego zrazu nie umiałem wytłumaczyć.

Był wieczór, przez osiedle szła właśnie, jak co dnia od wielu miesięcy, procesja błagalna, ludzie zawodzili starodawną pieśń „od powietrza, głodu, ognia i wojny”, a ja wysłuchałem audioserwisu i spojrzałem w niebo, i nie mogłem pojąć, co niby zmienia w moim własnym losie fakt, że czerwona kula oznaczona rozległymi kraterami jednak nie spadnie na nas, to jest właśnie nie „na nas”, ale „na nich”, boja przecież z pewnością miałem niebawem i tak zejść. A potem, wiedziony impulsem, ubrałem się i wyszedłem na dwór. Nie tylko ja usłyszałem radosną wieść, w całym bloku otwierały się okna, procesja — już prawie u wejścia do kościoła — jakby załamała się w sobie, wklęła i zawróciła, płaczące suplikacje ścichły i nagle wyłonił się spomiędzy gasnących zawodzeń gromki śpiew: „Boże, coś Polskę”. „Będziemy mieli towarzyszkę — powiedziała koło mnie jakaś kobieta — patrz, jaka piękna”. A Naomi czy też Księżniczka — wołałem tę nazwę, ale niestety się nie przyjęła — więc Naomi kręciła się wtedy jeszcze szybko wokół osi, toteż w ciągu godziny, kiedy stałem z zadartą głową wraz z innymi, dziobate oblicze obróciło się kokieteryjnie, jakby chciała pochwalić się drugim policzkiem, jakby zamierzała uwieść Księżyc, a może i nas. I dopiero wracając do domu, uświadomiłem sobie, że człowiekowi potrzebne jest coś, co go przekracza, ku czemu może patrzeć, gasnąc — i że nie jesteśmy przeznaczeni do zbiorowych śmierci, ale właśnie do śmierci pojedynczych, które pochłaniają z nas wszystko, poza nadzieją. Tak przynajmniej tłumaczyłem sobie swoją nieomal młodzieńczą ekscytację.

Mam powody, żeby skupiać myśl na tamtym wieczorze i, prawdę rzekłszy, najchętniej tylko o nim bym opowiadał, w kółko i w kółko wskrzeszając szept kobiety, jej zachwyty obliczem Naomi, podczas gdy wokół powiewają złocone chorągwie i kto wie, może nawet chybczą się płomyki świec. Tak, mogły tam być świece i feretrony, i baldachim na wysokich drzewcach, i kapłan w ornacie, i monstrancja. Mogły i powinny były być. A jeśli dodaję coś do tego obrazu, wzbogacam go przesadnie, to dlatego, że ludzie może nigdy nie byli tak

szczęśliwi jak wówczas, i skoro nie dopilnowaliśmy czegoś w sprawie tamtej nocy, skoro nie byliśmy na nią przygotowani, to niech nadrobi to wyobraźnia.

Nazajutrz bowiem autoserwisy przyniosły nam wiedzę o drugiej stronie zaistniałej sytuacji: ani orbita, na której hipotetycznie znalazła się Naomi (to chyba wtedy użyto po raz pierwszy tego imienia), ani więc orbita nie musiała się okazać stabilna, ani pojawienie się drugiego, masywnego satelity nie mogło pozostać bez straszliwego wpływu na stan naszej planety. Gwałtowne przyływy przyniosły śmierć setkom tysięcy ludzi w Holandii i na Filipinach, trzęsienia ziemi spustoszyły Japonię i zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych, lada chwila spodziewano się fali aktywności wulkanicznej o niespotykanym natężeniu. Wiadomości były zresztą dalece niekompletne, co jedni tłumaczyli sobie zarządzonym rzekomo przez władze w Brukseli embargiem informacyjnym, inni zaś — w tym ja — awariami serwerów na całym świecie. Rozmawiało się o tym koło piaskownicy, całymi godzinami; opuszczałem to miejsce tylko po to, żeby wejść do sieci w poszukiwaniu najnowszych danych. Nad sąsiadami pracującymi na etatach górowałem tym, że miałem zawsze czas na surfowanie po Internecie; nad bezrobotnymi — tym, że miałem na surfowanie pieniądze.

Co tu gadać, noce były piękne. Księżniczka i Księżyc szybowały nad naszymi głowami majestatycznie, przypominały trochę pająki w godowym tańcu: olbrzymia, czerwonawa pajęczycza Naomi i czterokrotnie od niej mniejszy, sinawy samczyk Moon. Astronomowie mogli przekonywać, że różnica jest pozorna, że rzeczywiste proporcje kształtują się dokładnie na odwrót. Świadcstwo oczu mówiło jednak wyraźnie, że kłamią, i samo spowijało nas mgiełką słodkiego kłamstwa. Dzięki niemu bowiem bardzo późno, prawie po roku dotarło do mnie, co znaczą ich słowa, a kto wie, czy nie byłem jednym z pierwszych, którzy zrozumieli. A więc czekało nas jednak zderzenie! Naomi obracała się coraz wolniej i była coraz większa, jej rudy brzuch wzdymał się coraz bardziej, noc w noc, przynosząc pierwsze anomalie grawitacyjne, dostrzegalne w codziennym życiu. Na kortach Rolanda Garrosa odbył się pierwszy na świecie turniej tenisowy rozgrywany piłeczką o większej niż dotąd masie. Odwołano transmisję z wyborów Miss World w Phenianie — nie ulegało wątpliwości, że satelity komunikacyjne odmówiły w nowych warunkach współpracy.

Serwisy informacyjne zachłyśnęły się wówczas wiadomościami o amerykańskim planie wysłania na powierzchnię Naomi tysięcy robotów ryjących, a następnie odpalenia w przygotowanych przez nie studniach wszystkich znajdujących się dotąd na Ziemi ładunków nuklearnych. Wyglądało to trochę niepoważnie i nie od rzeczy prezydent Francji zadał pytanie, czy obliczono miejsce, w które spadną kawałki Naomi w razie powodzenia akcji.

Na mój skromny, dziewięćdziesięcioletni umysł było za późno na tego rodzaju porządzenie sobie z potworem. Amerykanie odpowiedzieli ironicznie, że w każdym razie uprzedzą Francuzów, którzy mogą wtedy użyć swojego tajnego planu pod kryptonimem Grand Depart; w ten sposób opinia światowa dowiedziała się o przygotowywanym dyskretnie od kilku lat exodusie trzech tysięcy Francuzów na pokładzie gigantycznej flotyli promów kosmicznych „Babette”. Gdzie miały one wylądować, o tym nigdy się nie dowiedziałem; przypuszczalnie projektodawcy spodziewali się, że jednak kawałek Ziemi po kolizji z Naomi ocaleje — ale domyślałam się tego jedynie po nie do końca przeze mnie zrozumianym felietonie francuskiego satyryka, w którym powtarzało się określenie „Kangurzy Skok”.

Żeby skierować w inną stronę oburzenie światowej opinii publicznej — Amerykanie z ich bombową koncepcją brali przynajmniej w częściową obronę także innych — Paryż ujawnił, że z kolei Niemcy rekonstruują pas umocnień z czasów drugiej wojny, zamierzając ukryć tam część swoich obywateli, przy czym wśród przeznaczonych do względnej przecież ochrony nie ma ani jednego Turka, co we francuskiej nocy przedstawiono jako dowód na przebudzenie upiora eugeniki. Pytanie kanclerza Schumachera, czy wśród przewidywanych pasażerów promów „Babette” będą Arabowie, pozostało bez odpowiedzi. Jeśli się nie mylę, zareagowała

tylko Wspólnota Muzułmańskich Państw, domagając się od Paryża miejsc dla rodziny cara, ale nie jestem już tego pewny.

Rozwodzę się nad tym szczegółowo, żeby pokazać kontekst projektu, który zrodził się nad Wisłą. Chodzi mi o to, że w godzinie próby każdy rząd — niestety — musiał mieć świadomość, iż w historii ludzkości zbliża się wąskie gardło, straszliwa selekcja, jakby wszechświat definitywnie objawiał nam swój prawdziwy wizerunek, wizerunek bezgranicznego obozu zagłady. Należało krzepić ducha deklaracjami o ogólno ludzkiej solidarności, ale przecież było wiadomo, że metody ocalenia, wynajdywane w tajnych laboratoriach, zaproponowane zostaną najpierw swoim, nie obcym. Co prawda wielokrotnie słyszałem, że tej niemiłej ksobności pozbawiona jest koncepcja amerykańska, ale pogłoska, że do ochrony terytorium Stanów Zjednoczonych przed kawałkami Naomi wykorzysta się parasol przeciwrakietowy, którego nie ma nad pozostałymi kontynentami, uciszyła nawet największych entuzjastów Wuja Sama.

Jeśli chodzi o mnie, to wszystko odbyło się jak w filmie sensacyjnym z czasów mojej młodości: dosłownie w ostatniej chwili. Nigdy nie wierzyłem, że będę żył tak długo, a nawet jeśli — że u samego kresu moich dni dostanę drugą szansę. Powinienem być umrzeć wcześniej, wszystko wskazywało na to, że tak się właśnie stanie. Ale śmierć najwidoczniej zapomniała o mnie, o moich słabych płucach i raku prostaty; może skryła mnie przed jej wzrokiem ogromniejąca powierzchnia Księżniczki? Internet już prawie nie działał, sieć rwała się, urządzenia elektroniczne odmawiały posłuszeństwa, na ulicach zaczęto sprzedawać archaiczne gazety. Właśnie w jednej z nich odkryłem, że poszukuje się starców do pewnego eksperymentu, stanowiącego całkowicie polską, bezprecedensową odpowiedź na kosmiczne zagrożenie. Byłem już zbyt wiekowy, żeby ogarnąć techniczną stronę przedsięwzięcia. EIO „Elektromagnetyczny Impuls Odpychający”. Skierowanie w przeciwną stronę biegu czasu — tyle zapamiętałem.

— Zakładamy — tłumaczył w ośrodku pod Warszawą młody inżynier — że historycznie doszliśmy już do ściany: dalej jest tylko spektakularna katastrofa zakończona zagładą ludzkości, a więc percypujących czasoprzestrzeń świadomości, a więc także zagłada czasu. Czas przestaje płynąć, kończy się, jak kończyła się taśma w magnetofonach, które wielu z was pamięta jeszcze z dzieciństwa.

Słuchaliśmy tego, cały batalion, cała armia emerytów: posiwiałe głowy, pergaminowa skóra, wysuszone wargi.

— W obszarze zjawisk przedmiotowych natura okazała się silniejsza — kontynuował. — Śledzimy dość uważnie dokonania naszych kolegów z Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych, aby nie popełnić błędu, ale wszystko wskazuje na to, że ich tromtadrackie zapowiedzi takich lub innych działań maskują tylko beznadziejną rozpacz. Jeśli jednak popchniemy wasze świadomości, aby popłynęły pod prąd czasu, przeżyjecie wszystko raz jeszcze, cofając się, jak pod wpływem mechanizmu autorewers we wspomnianych już magnetofonach. Będziecie żyli dalej i ludzkość przeżyje, bo impuls EIO przekazany przez was rodzicom, a może, z racji waszej masy, całemu światu, pójdzie wstecz, przez zastępy pokoleń, którym pozwolimy żyć. W jakimś sensie można nawet powiedzieć, że pozwolimy żyć znowu, że zatem je wskrzesimy.

Kto wie, czy dzieje świata nie są dziejami wahadła? Kto wie, czy ostatecznie i na zawsze niezmienny jest jego tor? Może przy następnym podejściu...

Ale tu inżynierowi przerwała postawna brunetka, wyraźnie starsza od niego wiekiem i urzędem. Oświadczyła, że metafizyczne skutki polskiego przedsięwzięcia są nie tak ważne, zwłaszcza dla uczestników eksperymentu, których ma prawo obchodzić raczej czysto pragmatyczny, a co najwyżej moralny aspekt oczekujących ich doświadczeń.

Z jej słów zrozumiałem tyle, że zapewne nie będziemy w stanie, a z pewnością nie powinniśmy przeciwstawiać się determinizmowi dziejów, to jest: pamiętając bieg wypadków

z ostatnich (czyli niebawem: pierwszych) tygodni czy miesięcy, starać się zachowywać jakoś inaczej, niż zachowaliśmy się poprzednio. Pokusa taka zresztą zaniknie w miarę, jak coraz słabiej będziemy rozpoznawać kolejne dni, które, przeżywane wstecz, okażą się notabene spektaklem niełatwym do ogarnięcia i na pewno pasjonującym.

— Przed wszystkim zaś proszę pamiętać — wywodziła kobieta — że determinizm jest z pewnego punktu widzenia zaledwie igraszką umysłu i w ogóle trudno wyrokować, czy będziecie musieli zachowywać się tak, a nie inaczej, zniewoleni przez tor waszych niegdysiejszych rozstrzygnięć, czy przeciwnie: kiedyś rozstrzygaliście tak, a nie inaczej, powolnie logice tego, co czynić będziecie obecnie. To zresztą znów metafizyka — zreflektowała się. — Istotne jest co innego: że nasza polska koncepcja wybrnięcia z kłopotów, w jakie ludzkość została wpędzona wyrokiem kosmicznym czy boskim, jest, przy pozornym eskapizmie, który można by próbować jej zarzucać, pełna bezgranicznego umiłowania świata, takim jakim on jest, jakim był faktycznie. Bo oto poddając się EIO, zgadzacie się przeżyć wszystko jeszcze raz, odwinąć taśmę z tym, co bezpowrotnie (jak sądziliśmy) minęło, zarówno dobre, jak złe. Nie unikniecie zatem cierpień, ale nie umknie wam też ani jedna z dawnych rozkoszy. A jeśli ktoś na sali jest wierzący — mówczyni dodała to z zakłopotaniem, z jakim świeccy już od lat wypowiadali się na tematy religijne — to można powiedzieć, że wracacie, a wraz z wami i następne pokolenia wracają do Boga, do Boga Stwórcy.

Po czym jakoś zakręciła się nerwowo, zafurkotała przydługą spódnicą i zeszła z estradki.

Domyślałem się, że nie dadzą nam rozejść się do domów, by ktoś nie przygotował jakiejś pułapki na samego siebie (mówili o tym: „niebezpieczeństwo odbicia się o małe ścianki”), a może też, by rzecz nie rozeszła się po społeczeństwie... w razie niepowodzenia. W istocie — zastanawiałem się przez chwilę — jak skutki eksperymentu będą wyglądały dla ludzi, którzy pozostaną w dotychczasowym nurcie czasu? Czy nie szykowano tu, pod wyrafinowanymi pozorami, jakiegoś zbiorowego aktu eutanazji? Ale też zapewne dlatego potrzebni im byli starcy: pogrzeb naszych zbędnych ciał, opuszczonych przez wędrujące wstecz świadomości, łatwiej było zatuszować, niż gdyby temponautami — z jakichś lektur z dzieciństwa przyplęnęło mi nagle to słowo, zamierzam jeszcze sprawdzić, kto je wymyślił — zostali młodzieńcy. Choć gdy zapytałem o to, inżynier, który przemawiał pierwszy, zapewnił mnie gorąco, że chodzi o coś innego. Otóż projektodawcy nie byli do końca pewni, czy impuls EIO uda nam się komukolwiek przekazać, obliczenia nie miały jednoznacznego sensu fizycznego, a przecież tylko w ten sposób projekt stanowiłby rzeczywiste rozwiązanie problemu, który zagroził ludzkości. Prawdopodobieństwo przekazania EIO matce wzrastało podobno z kwadratem, a ojcu z sześcianem przeżytych wcześniej lat (czy też odwrotnie; w tak wielkiej bliskości końcopoczątkowego punktu dziejów nie potrafię przewyciężyć spazmów pamięci, czarnych czy raczej kolorowych dziur, ani budzących dziś jeszcze mdłości fal hałasu, które zastępują niektóre segmenty wspomnień, i w wielu relacjonowanych tu kwestiach mogę się mylić). Tak czy tak, im starszy uczestnik eksperymentu, tym większe prawdopodobieństwo, że w stosunku do następnych (czy raczej poprzednich) pokoleń odegra rolę bili, przekazującej energię uwsteczniającą czas dalej i dalej.

Nie wahałem się. Błąkam się teraz już w całkowitym chaosie, w strzępach nakładających się obrazów, może w halucynacjach poddanej nieludzkiemu doświadczeniu duszy — tak jest, duszy, bo że to dusza wraca przez kolejne dziesięciolecia, prawie nie wątpię. Więc błąkam się po strzępach zdarzeń, ale mam wrażenie, że mój brak wahania wynikał z całkowitej jasności: odpowiadając na wezwanie w gazecie, kupiłem bezwiednie bilet w jedną stronę (choć tak naprawdę to właśnie: w tę drugą); żeby znów zobaczyć swoje osiedle, drzwi mieszkania, ekierkę, którą mierzyłem tarczę Naomi, musiałem cofnąć się krok po kroku do podmiejskiego trolejbusu, wejść tyłem po stopniach do jego wnętrza i patrząc przez przednią szybę, obserwować, jak szosa ucieka w dal... — nie było innego sposobu, bo jeśli nie pracownicy Urzędu Ochrony Państwa, to sama kostucha tylko czekała, bym postąpił jeszcze trochę w

przód. Zatem nie wahałem się i karnie dałem się zamknąć w jakiejś komorze i darujcie, ale początek to moment, w którym załamuje się i myśl, i słowo, i świata afirmacja wygląda tak więc cofałem się po własnych śladach; to sprawiało mi trudność tylko na początku, coś podobnego przeżywamy pewnie w niemowlęctwie, kiedy nasze oko, nasza camera obscura wysyła do mózgu nie zdeszyfrowany jeszcze sygnał, w którym góra jest dołem, a prawa lewą, a potem uczymy się odwracać obraz i orientować się w przestrzeni. Zrazu miałem rzeczywiście ochotę — tak jak mnie uprzedzano — szerzyć moją następczo — uprzednią wiedzę i, wbrew procedurom, kruszyć determinizm dziejów: pierwszy raz napadło mnie to w tamten wieczór, gdy kobieta koło mnie zaszemrała z zachwytem o pięknej Naomi i że będziemy mieli towarzyszkę, a rozbrzmiewający wokół nas gromki śpiew zgasł nagle i zastąpiło go rozpaczliwe zawodzenie, procesja wycofywała się w pośpiechu w stronę bramy kościoła, tam odwróciła się do mnie plecami i znów zaczęła się zbliżać, drepcząc ostrożnie — wtedy miałem ochotę wykrzyknąć, żeby się nie martwili, bo wracam właśnie spod samego progu zagłady i żyję, i będę jeszcze żył długo... Ale uświadomiłem sobie, że zdania te, wypowiedziane w porządku, w którym zwracam się teraz do was — czyli, z mojej perspektywy wstecznego wędrowca, od tyłu do przodu — że zatem zdania te nie będą miały żadnego sensu, a wypowiedziane coraz trudniejszym dla mnie trybem od pierwszego do ostatniego dźwięku, pozostaną nieczytelne. I potem jeszcze raz czy dwa razy miałem taką pokusę, na przykład tam, koło śmietnika, z samodegradującą się butelką po coca-coli w rękę, ale okoliczności lub samodyscyplina zniechęcały mnie do wprowadzania chaosu w strumień czasu, którym brnę pod prąd.

Dziś, po pięćdziesięciu prawie latach, nabrałem wprawy. Pozwala mi ona mknąć piórem po papierze i odsysać napisany niegdyś — zdawało mi się, że dla zabawy — tekst. Już dawno Naomi pomknęła w otchłań kosmosu i przytwierdziliśmy do drzwi szaletów miejskich wszystkie podrywane stamtąd trójkąci. Kula karabinowa opuściła ciało Kitty DeBlanche, która mogła znów przeżyć swój najwspanialszy orgazm. A potem Kitty poszła do przedszkola i słuch o niej zaginął. Mój status wędrowca zapewnia perspektywy budzące niekłamana radość: już niedługo spotkam znowu ojca, a potem jeszcze tylko dwadzieścia lat i na Boże Narodzenie zapachnie w naszym domu ogromna choinka (co prawda, będę musiał oddać prezenty). Jakoś sobie z tym wszystkim radzę...

Za to prawdziwe trudności, jakie przeżywam, zaskoczyłyby z pewnością projektantów EIO, w każdym razie tamtego pamiętnego dnia, dnia zerowego, nawet się o nich nie zająknęli. Oto z odrazą muszę patrzeć na poczciwców, którzy mijają ludzi chorych, rannych i nieszczęśliwych, nic im nie robiąc — za to złoćcy budzą moją pełną rozterek sympatię, bowiem bijąc swoje ofiary, pozbawiają je bólu, zadając śmiertelne ciosy, przywracają życiu, a kradnąc — obdarzają pieniędzmi. Rzecz jasna, niektórzy z nich żyją dopiero po raz pierwszy, w tamtą stronę, nie mogę jednak wykluczyć, że inni żyją z powrotem i stan ich sumień budzi moje najwyższe zakłopotanie.

Czy byliście uważnymi czytelnikami, czy zauważyliście, że istotniejszą od wątpliwości moralnych zgryzotę — i w ogóle największy mój problem — stanowi samotność? Nie wiem, kto żyje jak ja, a z kim się jedynie mijam, i nie mam tego jak sprawdzić. Tym samym wciąż brak mi pewności, czy impuls EIO da się przekazać świadomościom moich rodziców, czy też, z innymi byłymi starcami — dziś rozproszonymi wśród was, nie do zidentyfikowania! — pozostają dziwolągami dziejów. Nawiasem mówiąc, przynajmniej wiem z dokładnością co do godziny, kiedy umrę: brzuch mojej matki wessie mnie do wewnątrz, gdzie w ciągu następnych dziewięciu miesięcy zmniejszę się i zaniknę, rozstąpię w plemnik i jajeczko, wchłonięte przez organizm kobiety; a tę znów pochłonie kiedyś jej matka — czy widzicie ten prawie bezkresny ciąg kołysek, przygotowujących do wiecznego snu, i ten szereg ciężarnych kobiet, niby żarłocznych Saturnów?

Chcę, żebyście je zobaczyli oczami wyobraźni, bo pośrednio czerpię z tego widoku

nadzieję, że projekt, w którym uczestniczę, okazał się jednak skuteczny, skoro z odległego czasu (przyszłości dla mnie, przeszłości dla was) przychodzi zaszyfrowany komunikat, hipotetyczne pozdrowienie dla innych współwędrowców. Siedemnastowieczny poeta, Daniel Naborowski, musiał coś wiedzieć, musiał być zstępnym przodkiem któregoś z nas, skoro napisał:

wielom była
kolebka grobem, wielom matka ich mogiła.

EIO przekazane pobiegło przez stulecia — to jeszcze akt wiary, ale więcej niż prawdopodobnej. Może zresztą i ci wszyscy, którzy kiedykolwiek bali się kobiet, wiedzieli? Czy tylko przeczuwali ich dwuznaczną rolę w Ewo-inwo-lucji?

Za oknem przechodzi kondukt; trudno mi nie witać pogrzebów z radością. Niebawem przecież wstanie z trumny człowiek i zacznie młodnieć. I tylko ta jedna wątpliwość mnie dręczy: czy kocham ten świat, obracając go w niwecz? A choćby tylko przyzwalając spojrzeniem, by się cofał, cześć, wpelzał we własne zarodki? Czy istnienie odzyskuje w ten sposób czystość? Wraca do pierwotnego „fiat lux”? Czy aby? Wiem, że dla was, płynących z prądem, wszystko toczy się jak dawniej. Więc dlaczego co wieczór, wygrzebując się z pościeli i patrząc, jak słońce wznosi się mozolnie nad horyzont, czuję się potworem? Dlaczego brzydzę się samego siebie, odzyskując wigor? Skąd myśli, że uciekłem przed Sądem? Skąd potrzeba waszego rozgrzeszenia?

Cóż: właśnie się z niej wyzwalam. Skupiam się i odpominam zdanie po zdaniu i unicestwiam je po porządku — zresztą na nic były, skoro przez tyle lat nie pojęliście ich, nie zrozumieliście mojego głosu, głosu spomiędzy was, a obcego. Więc nie będzie więcej tego tekstu. Niszczę ślad, kiedyś przeze mnie uczyniony.

Czy też — wówczas nadrobiłem, co dziś niszczę?

Który ja którego ja pętam? Z której strony jest mus mego ego sum?

Tego nie wiem.

Choć należę do tych, którzy zawrócili, więc widzą różnicę.

Zabawne, że na co dzień w niczym mi to nie przeszkadza.

Następne pokolenia współwędrowców przyjmą bez zdziwienia porządek rzeczy.

O ile będą jakieś.

Granatowa strużka wznosi się i przepada w gardzieli zbiorniczka, skąd wypchnę ją niebawem do firmowej butelki i odniosę do sklepu, żeby odebrać pieniądze.

Tymczasem sunę piórem po ciemnej ścieżce atramentu: stalówka trze o papier, nadaje mu szorstkość i biel.

Moje zadanie dobiega końca: zadanie, które sobie postawiłem, czy może — które przede mną stało.

Wymazuję ten tekst, wers po wersie.

I tak nikt mi nie uwierzył.

No to już.

ikswonsoS yrzeJ

Ostatnia poetka

Karol Maliszewski

urodził się w 1960 roku w Nowej Rudzie, gdzie mieszka i pracuje w szkole podstawowej. Ponadto wykłada współczesną literaturę polską w Kolegium Karkonoskim w Jeleniej Górze. Poeta, prozaik, krytyk literacki. Opublikował siedem zbiorów wierszy, m.in. *Rocznik sześćdziesiąty grzebie w papierach* (1996), *Rok w drodze* (2000), oraz trzy książki prozatorskie — *Dziennik pozorny* (1997), *Próby życia* (1998), *Faramucha* (2001). W roku 1999 ukazała się jego książka krytycznoliteracka *Nasi klasycyści, nasi barbarzyńcy*, a ostatnio *Zwierzę na J. Szkice o wierszach i ludziach*. Stale współpracuje z kilkoma czasopismami literackimi.

Ktoś musiał zostać trupem. W tym tygodniu wypadło na naszą ulicę. Chodziło o rytuał, niesienie trumny, marsz pogrzebowy. No i udział tłumów. Zgodziłem się. W zasadzie nie miałem wyjścia. Już od lat nikt z mojej rodziny nie poświęcił się.

Potem miano mnie szybko przywrócić do życia. Funkcje będą wstrzymane chwilowo. Oddech zrobią mi płytki, serce będzie biło niedostrzegalnie, jak u żaby zagrzebanej w mule. Widziałem to na instruktażowym filmie. Inaczej tego nie można zobaczyć. Wszystko pokryto gumą, asfaltem, plastikiem. Chyba trzeba zerwać kawałek, polać odkryć, żeby zobaczyć pod nią żabę, białe robaki albo mysz. Podobno jakieś życie tętni pod tymi powłokami. Ktoś opowiadał, że w północno-wschodniej Polsce są tereny zupełnie nie przykryte. Ale dostęp do nich mają najwyższe władze. Na przykład prezydent ze swoimi trzema córkami nieraz leży na czymś zielonym, szorstkim, włochatym, zupełnie nie przykrytym.

Nie pamiętam, od kiedy śmierci nie ma (w pamiętniku ojca te strony wydarto), a my musimy udawać umieranie i delegować poszczególne ulice według rozdzielnika. To już chyba od dawna tak jest. Nawet przed pracownikami naukowymi pewne fakty się ukrywa. Przymierzałem garnitur do trumny, kiedy nagle zobaczyłem tę żółtą, nierealną twarz. I chociaż dziewczyna obsługująca w sąsiednim dziale nie miała więcej jak dwadzieścia lat, to wyglądała na staruszkę. Przypomniała mi kogoś. Coś znajomego było w wyrazie jej twarzy. Kiedyś na zajęcia przyprowadzono kobietę skutą kajdankami. Siedziała przed studentami i odpowiadała na ich pytania. Beznadziejny przypadek. Groziło jej krzesło elektryczne, bo nie chciała wycofać się z tego, co uprawiała. Mogłaby spokojnie zostać wychowawczynią w wirtualnej świetlicy albo instruktorką narciarstwa biegowego. Było jednak za późno. Dokonała już wyboru i gotowa była za to umrzeć.

To chyba było na ostatnim roku. Przygotowywałem się do pracy naukowej. Profesor Zawora traktował mnie jak swego asystenta. Widać było, że lituje się nad kobietą i robi wszystko, żeby wyciągać ją z więzienia na zajęcia ze studentami. Przysięgaliśmy później przed prefektem, że nigdy nie ujawnimy przebiegu zajęć. Zawora tłumaczył władzom, że osiąga w ten sposób cel dydaktyczny, że młodzi ludzie, doznawszy wstrząsu, nabiorą głębokiego wstrętu do tak zwanej poezji. W ten sposób podarował jej kilka tygodni. Ale nie wyrwał ze szponów śmierci. Ta nastąpiła w maju. Kwitły kasztany, chodziłem pod rękę z fantomem Justyny, która była wtedy na stypendium w Stanach Zjednoczonych, wszystkie gazety pisały o śledztwie, procesie i egzekucji. Schwywanie ostatniej poetki. Śmierć dla idei. Koniec poezji. Nareszcie wolni od mrzonek. Belkot wykorzeniony.

Dziewczyna z sąsiedniego stoiska nawet ruchy miała podobne. Wyglądała jak córka czy wnuczka tamtej sprzed lat. Pomyśleć, że tylko ja znałem jej tajemnicę. Ale nie wydam jej, niech sobie po nocy czyta albo pisze te swoje wiersze. Ciekawe, skąd je wzięła. Pewnie wygrzebała cienki tomik z jakiejś szpary w podłodze. I teraz schnie, zółknie, ucieka od

rzeczywistości. Magia słów, przed którą przestrzegał Platon. A miało tego nie być. Utopia. Zawsze się w ludzkim stadzie znajdzie ktoś taki.

— Idiotka — mruknąłem, wchodząc, ciągle zamyślony, do sali wykładowej. Na szczęście nikt tego nie usłyszał. Chociaż kręcił się koło mnie ten rudy z pierwszego rzędu. Zero subtelności. W swoich esejach umie tylko chłostać. Wczoraj bajdurzył coś o jakiejś Masłowskiej. „Dziecko z liceum nie jest w stanie opisać mojego świata”, doskonale pamiętam słowa ojca, które znalazłem w pamiętniku gdzieś na dnie komody. Franz mnie irytował, a już szczególnie dzisiaj, kiedy miałem poruszać tak drażliwe, niebezpieczne tematy. Postanowiłem uciąć tę niepotrzebną wymianę zdań.

Była taka gwiazdka na firmamencie literatury, ale dziś nie wiadomo, gdzie spadła. Ktoś podobny do niej handlował w północnej Afryce laserami, które stały się zwyczajową bronią plemion saharijskich. Ktoś widział ją w szpitalu zakaźnym w Marsylii.

Rudzielec nie do końca usatysfakcjonowany wrócił na swoje miejsce. Poprawił identyfikator z napisem „Franz Boryna”, rozsiadł się wygodnie i z ironicznym wyrazem twarzy czekał na pierwsze słowa swego ulubionego profesora. Rozłożyłem staroświeckie papiery na pulpicie i nie wiedziałem, jak zacząć. Nie chciałem wywoływać jakichś niezdrowych reakcji. Najbardziej obawiałem się poznawczej furii Franza. To w końcu syn jakiegoś towarzysza z centrali, ważnej szycy z Międzyplanetarnej Unii Medialnej.

— Chciałem tylko powiedzieć, że mam pozwolenie na użycie niektórych słów. To pozwolenie jest ważne, określony w dokumencie termin nie wygaś, więc proszę o spokój. Poezja jest jednym z tych słów i...

Jako pierwsza wystrzeliła smukła, biała dłoń z głębi sali. Tym razem rudy się spóźnił. Ach, to Mściwoj Schlissenbry. Temu odpowiem. Lubię go. Jedyne z grupy, który czyta. Pozostali korzystają ze skrótów bitowych, które aplikują sobie z odtwarzacza. Trzeba tylko odpowiednio załadować maszynkę przed zaśnięciem. Ale Mściwoj tego nie robi. Jest staroświecki w każdym calu. Przecież sam kiedyś powiedział na zajęciach, że nie cierpi tych wszystkich wynalazków. Książka pachnie i szeleści.

— To może niehigieniczne — mówił wtedy — ale bardzo ludzkie, ślady rąk, oddechów i łez tych wszystkich ludzi, którzy dotykali jej przede mną i coś przecież czuli. Niestety, nie wszystko można znaleźć w bibliotekach, niektóre półki świecą pustkami.

Musiałem go wtedy delikatnie wyciszyć. Zdążyłem, zanim do innych studentów doszło, o co właściwie chodzi. Miałem wiele szczęścia, bo tego dnia z powodu konserwacji wyłączony był podgląd i podsłuch.

— Panie profesorze, zdania są podzielone. Chcielibyśmy usłyszeć to od pana. Co to znaczy według pana?

— Poezja jest, przepraszam, była... Jak tu państwu powiedzieć... Była kiedyś taka forma aktywności duchowej.

— A co się z tym robiło? — to dyszkant rudzielca ukradkiem dawał znać o sobie. Do czego ten gówniarz dąży... Mam złe przeczucia.

Pisało się i czytało. Potem już tylko pisało, bo nie miał kto czytać. Nawet rodzina piszącego miała dość i mówiła, żeby spadał, przepraszam, chciałem powiedzieć: zaprzestał. Więc ten zabierał swoje kartki i z płaczem zamykał się w najciemniejszym pokoju. Ostatnich tak zwanych poetów resocjalizowano w latach trzydziestych. Znalaziono dla nich pracę w domach kultury. Najchętniej zostawali palaczami i konserwatorami. Oporni chowali się po lasach. Wkrótce zostali wyłapani i osadzeni w stosownych ośrodkach. To zaszło w latach, w latach...

Myśli oderwały się od pulpitu, od tej sali i zaczęła się ich swobodna wędrówka po intymnym kalendarzu. Kiedy to było? Ale właściwie co, co usiłowałem sobie przypomnieć? Coś dziwnego działo się z pamięcią ludzi pozbawionych mocniejszych wzruszeń, zaczynało brakować punktów oparcia. Myślałem o czymś, co zaszło w latach, kiedy popęd seksualny

został genetycznie wygaszony. Od tego czasu żyję sam. Justyna odeszła, zabierając wszystkie fantomy. Mam spokój z tymi klockami. Nawet onanizować już mi się nie chce. Mało rodzi się dzieci, ale też nikt właściwie nie umiera. Chyba że sam chce. Ja chciałem. Ale to było na próbę. To było w imieniu ulicy, społecznie.

— Teraz mamy rok 2056 i na dzisiejszych zajęciach będziemy przyglądać się agonalnym formom poetyckim, jakie pojawiły się na przełomie wieków, mniej więcej w latach 1989–2000. Proces rozkładu rozpoczął poeta Marcin Świetlicki. Poezja pod jego piórem karkołomnie zwyrodniała... To wtedy interesująca nas dziedzina niebezpiecznie sprywatyzowała się, uciekła poza pole szerszych znaczeń, zintymizowała się kuriozalnie i gdyby nie zdecydowana postawa poetów funda — mentalistycznych (patrz: laureat Nagrody Nobla z roku 2027 Wojciech Wencel), to zmarginalizowałyby się definitywnie i ostatecznie. To wtedy do głosu doszła w poezji codzienność, banalność i zrytualizowana trywialność. Płodny dzisiaj w prozie hiperbanalizm strukturalny wówczas w tych mrokach zaledwie raczkował, ale już został rozpoznany. Pisano, że poezja doszła do jakiegoś stanu zerowego. Istotność wypowiedzi literackiej, jej szczególna prawomocność retoryczna została w niektórych wierszach poetów pokolenia „bruLionu” postawiona w stan podejrzenia. Załamały się hierarchie i doszło do zaburzenia jasnych do tej pory relacji między kulturą niską a kulturą wysoką. Na śmietniku kultury narodziła się nowa forma wyrazu, którą niejaki Karol Maliszewski, prowincjonalny belfer z terenów obecnie wcielonych do Republiki Czeskiej, określał jako wiersz ponowoczesny.

Mówiłem coś jeszcze i słyszałem swój głos z boku, z góry, słyszałem, jak wypełnia małą salkę i dławi się, dusi... Przerwałem, podszedłem do okna, nieco je uchyliłem. Za dużo powiedziałem, poniosło mnie. Widzę po twarzach studentów, że przekroczyłem jakąś granicę, naruszyłem tabu. W dyżurce pewnie już pulsuje czerwone światło przy moim nazwisku. Funkcjonariusze leniwym krokiem kierują się do stojącego na podjeździe pojazdu służbowego. Do dzielnicy uniwersyteckiej dotrą po dwóch kwadransach jazdy. Ale nie to było ważne. Twarz była ważna, twarz dziewczyny ze sklepu, jej tajemnica wypisana na czole. Odkrycie tej tajemnicy przeze mnie. Podniecenie, którego już dawno nie zaznałem.

— Tak rozumiana ponowoczesność ma pewne cechy wspólne z wcześniej omawianym banalizmem. Przykładem praktyki twórczej powstającej na styku tych dwóch tendencji jest pisarstwo Darka Foksa, jak państwu wiadomo, długoletniego ministra kultury i sztuki w rządzie prawicowego premiera Pawła Dunina — Wąsowicza. Przez jakiś czas bardzo popularnym poetą był Jacek Podsiadło. Z danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że był on autorem najczęściej deklamowanych wierszy na konkursach recytatorskich w latach 2012–2019. Obecnie jego felietony są stopniowo wycofywane z podręczników z uwagi na anarchizm, który stał się palącym problemem naszego czasu i jako taki nie jest tolerowany przez obecną ekipę rządową. Doskonale przetrwał wszelkie meandry gwałtownie zmieniającej się kultury Marcin Świetlicki, jedno z nielicznych starych nazwisk ciągle ważnych dla odbiorców literatury. Jego teksty, chodzi oczywiście o listy do Macieja Maleńczuka, posłużyły do stworzenia popularnego programu psychoterapeutycznego i pomogły wielu czytelnikom przezwyciężyć depresję (przez jej pogłębienie), a zanotowane są przypadki całkowitego oczyszczenia się z neurozy.

Natalie Juda demonstracyjnie zbierała się do wyjścia, przepychając się przez sprasowany blok męskich ciał. Klęła pod nosem. Przerwałem na moment i usiłowałem sobie wyobrazić, o czym teraz myśli. Znowu niczego o kobietach, jakby tylko faceci mieli zawsze coś do powiedzenia. Ona dobrze wie, że były poetki, i niektóre z nich na pewno lepsze od wymienianych na wykładzie poetów. Czego się boi? Dlaczego stary pierdziel nie ujawnia pewnych faktów, skoro zdecydował się dzisiaj na odsłonięcie wszystkich kart... Swoją drogą, za jakieś pięć minut będą się tu działy ciekawe rzeczy. Ale ona nie chce tego słuchać i nie chce oglądać. Niech się samcy duszą w tym pikantnym sosie, który sobie sami zgotowali.

Wyszła.

— Obok Foksa i Świetlickiego inne ważne nazwisko ciągle odkrywane przez następne pokolenia badaczy i czytelników to Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki. Jego poezja może być najbardziej jaskrawym przykładem twórczości odbiegającej od brulionowego modelu lirycznego i była przez długie lata przysłonięta rusztowaniami dominującej aparatury lirycznej. Wchodzące do literatury pod koniec dwudziestego wieku nowe pokolenie poetów (tak zwane roczniki siedemdziesiąte) wyłuskało go z cienia i wybrało na patrona swych poczynań. Czyżby powtórzył się casus Leśmiana? Natomiast poetą narodowym, jak państwu wiadomo, stał się debiutujący wówczas Andrzej Sosnowski. Nasza na poły oniryczna, szukająca istotności kultura znalazła swego wieszca.

Jakże to znamienne, że poeta ten przewidział nasze czasy, naszego, że tak powiem, człowieka, będącego, co tu ukrywać, w części kawalarzem nie stroniącym od whisky, a w części jakąś wersją Oblomowa. Przypominam, że w podziemnym konkursie internetowym na najlepszą, acz swobodną charakterystykę tej poezji dwa lata temu (w roku 2054) wygrało zdanie: „Takie słodkie głupoty, z pewną ilością sensu”.

Nagle zaskrzypiały drzwi i wsunął się konserwator sprzętu komputerowego, woźny Stasiuk. Kiedyś zaproszony na zajęcia opowiadał o swoim stryjecznym dziadku, pisarzu. Teraz kiwał na mnie nerwowo, chcąc wywołać z sali. Przeprosiłem studentów i wyszedłem.

— Wie czy nie wie, co się wyprawia? — zapytał.

— Domyślam się — odpowiedziałem.

— No więc właśnie. Nie jest dobrze, czerwona żarówka miga, mało z oprawki nie wyskoczy i trzeba, że tak powiem, spierdalać.

— Co? Co pan ma na myśli?

— Ucieczkę ja mam na myśli. Normalnie. Na dwóch nogach. Tak jak kiedyś.

— Nie wiem, nie wiem...

— A to trzeba było wcześniej wiedzieć, a teraz szybko nogi za pas.

Jak to „nogi za pas” — pomyślałem — co właściwie znaczy ten zwrot?

— Profesor słucha. Mam ciotkę w górach, dziką ciotkę, można powiedzieć, nie zarejestrowaną. Teraz wychodzimy przez piwnice, szybko...

Ale na dole w świetle czerwcowego słońca stał już pojazd służbowy nowej generacji. Widziałem dwóch funkcjonariuszy wysiadających z niego. Szli w stronę głównej bramy. Trzeci został w pojeździe. Obok niego ktoś siedział. W pewnym momencie ten trzeci wysiadł i otworzył drzwi. Ta osoba ze związanymi rękami też wysiadła. Kobieta. Strażnik wsadził jej w usta papierosa i przypalił. Stasiuk ponaglał i ciągnął mnie za sobą. Jeszcze można było uciec. Wieziona do więzienia odwróciła się w moją stronę. Poczulem ukłucie w sercu i krew nagle uderzyła mi do głowy. To była ona. Dziewczyna ze sklepu. Patrzyła na mnie. Zaczęła się uśmiechać. Jakże była przez ten uśmiech młodziutka, jak promienna! Odzyskała swoje dwadzieścia lat. Szedłem, już szedłem w jej stronę, odwzajemniając uśmiech. Dawno tego nie robiłem. Musiał wyjść jakiś potworny grymas. Szeptala coś. Powoli rozróżniałem słowa: „Poświęć mi, klonie osypany światłem. Szukam sosnowej igły, przez której ucho przeszły moje nadzieje. Szukam odbicia, które obiecała mi zachować woda, szukam tego, co obiecało trwać”. Odpowiadałem jej szeptem, odpowiadałem wierszem. Nie wiem, czy coś z tego usłyszała, ale... „Żałowałbym ciebie, ale jestem trupem, albo żyjesz w niebie, albo żyjesz we mnie i dokąd mam się zwrócić, i co mam powiedzieć, i będę przeklęty, dokądkolwiek pójde”. Już byłem przy niej. Chciałem dotknąć jej ust, pogłaskać po policzku. Już czułem jej zapach. Uniosłem dłoń. I wtedy wszystko zamarło, uderzyło coś we mnie, huknęło, posypał się gruz z nieba i jakiś trzask w głębi mej istoty był ostatnią rzeczą, którą pamiętam.

W opowiadaniu wykorzystano fragmenty wierszy
Julii Hartwig i Ryszarda Chłopka

Biała krew

Cezary Domarus urodził się w 1966 roku w Gdyni. Mieszka w Gdańsku. Debiutował w 1992 roku opowiadaniem w „Nowej Fantastyce”. W tym samym roku w piśmie „bruLion” pojawiły się także jego wiersze. Drukiem ukazały się jego dwie powieści: *Caligari Express* (1996), *Istoty* (1998), a także dwa zbiory poezji: *ekwipunki* (1999/2000) oraz *Mózg story* (2001). Utwory prozatorskie i poetyckie zamieszczał w takich pismach, jak: „FA-art”, „bruLion”, „Kresy”, „Lampa i Iskra Boża”, „Studium”, „Odra”, „Dwukropek”, „Nowa Fantastyka”, „Dziennik Portowy”. Tłumaczony na język chorwacki (antologia krótkiej prozy polskiej *Orkestru iza leda*) i angielski (antologia nowej poezji polskiej *Altered State*).¹

1

Znowu na chodzie. Nie było tak źle. Otwieram oczy i wszystko widzę. Nie ma złudzeń ani mgły. Opuszczam Śpital, idę aleją wzdłuż śnieżnobiałych i seledynowych zabudowań ciągnących się dobre dwa kilometry i wiem, że w pobliżu będzie przystanek autobusowy, będzie rozkład jazdy i autobus, który dowiezie mnie na miejsce. Sprawdzam rozkład i rzeczywiście tak jest. Nade mną drzewa kołyszą ze zrozumieniem olbrzymimi głowami. Mógłbym darować sobie autobus i pójść dalej spacerkiem, ale tylko on może dowieźć mnie bezpiecznie na miejsce, bo jeszcze nie znam drogi, którą znałem.

W kieszeni, oprócz ważnego biletu, w który mnie zaopatrzone, mam coś jeszcze — maleńki dysk adaptacyjny. Tuż przed wyjściem ze Śpitala przypomniała mi o nim Informatorka. W razie czego powinien mi pomóc. Nie rozumiem, czego mogłaby dotyczyć ta pomoc. Wszystko idzie gładko. Autobus zatrzymuje się na przystanku i zabiera pasażerów. Myślę, że również opuścili Śpital. Mijamy ulice i domy. Stajemy w korkach i przemykamy po grzbietach wiaduktów. Drażymy tunele, by zaraz potem oglądać skapaną w złocistym słońcu zielen trawników, szarość krawężników i aksamitny błękit nieba. I wreszcie tutaj. To jest to miejsce. Prawie nie mogę uwierzyć. Wsiadam z autobusu i czekam, aż wyruszy w dalszą drogę. Robię pierwszy krok. Przechodzę przez ulicę. Mój blok. Opuściłem go pewnego dnia. Rok temu. Byłem w Śpitalu. Teraz wracam. Wróciłem.

W drodze na czwarte piętro nikogo nie spotykam. Nie przypominam sobie, kim są ci ludzie mieszkający piętro wyżej, piętro niżej, naprzeciw moich drzwi.

Jestem u siebie. Niedawno ktoś musiał wywietrzyć mieszkanie. Wyglądam przez okno. To właśnie ten widok. Siadam na kanapie i nagle czuję ogromne zmęczenie. Tak samo jak przedtem czułem lekkość powietrza, tak teraz czuję ciężar wypełniający płuca i zatapiający mnie jak okręt, któremu zacięły się grodzie, a woda leje się przez wielki otwór w burcie.

2

Ten ból, choć właściwie nie wiem, nie wiem na pewno, czy to jest ból — może jedynie dokuczliwe uczucie; ale nie, już teraz daje się uchwycić... No więc chodzi o moje oko, boli tak, jakby zaczynało zmieniać kształt, przybierać postać wielkiej łyzy przeciskającej się przez służę oczodołu, a kiedy to nie wystarcza, łyza jeszcze bardziej wydłuża się, tworząc podłużną bryłę, której jeden koniec odstaje od twarzy na przeszło pół metra, a drugi tkwi dzielnie w

oczodole. Kapryśna gałka nie przekazuje mi obrazu, mam wrażenie, jakby się odgrywała... Prawa... A co z lewą?... Unoszę powiekę i kiedy jestem już poza granicą snu, słyszę dzwonek telefonu.

Okazuje się... Matka.

— No masz! Myślałam, że wychodzisz dwudziestego piątego... bobym pojechała do Śpitala, co za pech!

— Pomyliłaś tygodnie.

— Pomyliłam, złotko... Jak się czujesz? Wpadniesz jutro na ciasto czekoladowe?

— Nie mogę jeszcze wszystkiego jeść. Zapisali mi jakąś pastę.

— To wpadnij z pastą. No a jak się czujesz?

— Może być.

* * *

W sklepie dostaję pastę bez przeszkód. Śpital zapisał, że należy mi ją wydać. Nie muszę nic mówić, zresztą wciąż nie czuję takiej potrzeby. Otwieram tubkę na ulicy. Jakaś kobieta przygląda mi się uważnie, a potem znika za rogiem budynku filii Honda Bank. I znowu to czyste niebo. Poniżej dosztukowane do ziemi bryły pawilonów, powtarzalne symetrie budynków, tych od strony ulicy i tych w głębi parcel. Spory tłum przy kinotronie FUJI, wycieczka szkolna w drodze nad morze i cała reszta.

— Witaj na wizji! — To Waldek. Stara paczka nie ginie. Od małego blok w blok. Z miejsca otwiera puszkę piwa i podaje mija, a ja mu na to, że jeszcze nie mogę pić takich cudów.

— Przecież żartowałem! — mówi, bo żartowniś z niego.

— Jak leci? — pytam i dowiaduję się. Kilka miesięcy temu zatrudnili go w fabryce zabawek WADER AND WOŹNIAK. Poszedł tam na miejsce ojca, w ramach Systemu Zamian. W zamian ojciec po jednej tylko rocznej hibernacji dostanie Zimną Rentę i podryfuje spokojnie do emerytury.

— A jak u ciebie, chłopie? Już myślałem, że zapomnieli odłączyć twoją lodówkę od sieci, he, he! Co robisz wieczorkiem?

— Odpoczywam.

— Dobrze... No to wpadnij do mnie, jak już odpoczniesz. Kojarzysz Ewkę?

— Nie.

— Nie pamiętasz tej wariatki? Oj, musisz bratku odtajać, bo ciemno to widzę, he, he! Adres chyba znasz, co?

— Nie bój się.

— Do zobaczenia...

Wchodzi między bloki i znika mi z oczu.

Nadal przyglądam się kolorom i sprawdzam, jak to z nimi jest. Żółty autobus w pomarańczowe paski. Ciemnogrnatowa balustrada banku Hondy na tle ugrowych ścian. Dziecko w zielonej czapce.

3

Beata? Wykonaliśmy klasyczną mijankę. Siedzę przed komputerem i kojarzę. Kiedy odprowadzała mnie do Śpitala rok temu, jej został miesiąc. Więc jeszcze przez miesiąc będzie zastopowana. Jeśli nic się nie zmieni, zobaczymy się znów za 30 dni.

Ta dziwna słabość... Mając w pamięci twarz Beaty, nie mogę przypomnieć sobie całej

reszty. Poniżej szyi jest ciemno. Opadam na tapczan i momentalnie zasypiam. Pokój jest pogrążony w mroku, ale za sprawą niecodziennego oświetlenia kontury wszystkich przedmiotów są wyraźne. Wiem, że w mieszkaniu jest Beata, tymczasem ja w gościnnym pokoju stoję naprzeciw brunetki, jakby znajomej, i rozmawiam z nią chyba o nowych trendach na rynku urody. Kiedy wreszcie zbieram się na odwagę, by ją pocałować, okazuje się, że ona bardzo tego pocałunku pragnęła i nasze gorączkowe gestykulacje sumują się w dość nieprzewidywalny sposób; języki przemawiają do innych części ciał i jesteśmy bliscy radykalnego rozwiązania, choć pamiętając o obecności w mieszkaniu Beaty i o tym, że należy to wszystko stopniować i jeszcze potwierdzić kilkoma słowami (być może warto by wypowiedzieć je gdzie indziej i w innych okolicznościach), poprzestajemy na pocałunku i głodnych spojrzaniach. Za oknem odzywa się ptak. Przez szybę widzę jego główkę. To leżąca na stole opodal kanapy tubka mojej pasty.

* * *

Matka już zabierała się do wyściskania mnie, ale poprzestaje na trzech tradycyjnych buziakach. Mówi, że dobrze wyglądam. Mówię to samo o niej. Pokazuje ciasto, które zrobiła z okazji mojego powrotu. Siadamy do stołu. Ona zaczyna jeść ciasto, ja swoją pastę.

— Jak długo musisz to brać?

— Trzy, cztery dni.

Przy okazji daje mi trochę poczty, którą odbierała z mojej skrzynki. Rachunki regulowała na bieżąco. Przez dziesięć miesięcy wynajmowała mieszkanie jakiejś kobiecie. Nie było kłopotów.

— No i zwróć uwagę na to wezwanie z Urzędu Rejestracji Społecznej.

Przyszło przedwczoraj.

Więc musiało zostać wysłane, kiedy dopiero co zaczynałem wracać do widu i słyhu. Otwieram kopertę. Mam się stawić w ciągu tygodnia od chwili wyjścia ze Szpitala. Nic specjalnego. I nic dziwnego. To spotyka każdego. Matka też tak sądzi. Dokłada sobie jeszcze jeden kawałek ciasta. Pokazuje mi nowy czajnik i nową maszynę do szycia. Mówi, że zapisała się na kurs ikebany... Na parapecie w dużym pokoju stoi pierwsza kompozycja.

— Nie męczysz się szybciej niż zwykle?

— Chyba tak... chociaż... chyba nie...

* * *

Mówi też wiele innych rzeczy. Na przykład, że Krzysiu z piątej klatki dostał miesiąc temu pracę przy sprzedaży okularów korekcyjnych, a Piotrek został zatrudniony jako ogrodnik. Taki ogrodnik, a proszę. Kilka dni temu był u niej wujek Władysław. Jest bardzo zajęty działalnością w partii, ale jak znajdzie chwilę, może coś doradzi. Nie chciał wierzyć, że zostałem hibernowany. W głowie mu się nie mieściło, że to może się zdarzyć w naszej rodzinie. Miał o mnie inne wyobrażenie.

— Błady jesteś...

— Dopiero nabieram kolorów.

4

Holomgła przy Urzędzie Rejestracji Społecznej układa się w zmyślny wzór, z którego w pewnym momencie wyłaniają się zagadkowe słowa: „Odszukaj nasze miejsce”. Przy wejściu

do budynku unosi się natomiast zwiewny napis: „*Gimu Polaka*”.

Karta obywatela łączy się z odzwiercym Urzędu, a ten nadaje mi numer sprawy. Podchodzę do jednego z kilkunastu wolnych stanowisk mieszczących się na sali. Pod nisko podwieszonym sufitem siedzi urzędniczka.

— Wyszedł pan ze Szpitala przedwczoraj — mówi, patrząc na ekran swojego interfejsu. — Zobaczmy... Pięć nieskutecznych przekwalifikowań, współczynnik kreatywności w dolnych partiach średniej...

Prawą dłonią leniwie wystukuje krótkie polecenia, próżniowa otchłań danych niemal wysysa pigment solaryjnej opalenizny i lakier z nadmiernie spuchniętej fryzury.

— No tak... Jeszcze tutaj... Bez zmian... Reasumując... rejestruję pana ponownie, a oferty i aktualny schemat przekwalifikowań, jeśli w ogóle będą, prześlę na pański adres. To chyba wszystko. Ma pan jakieś pytania?

— Nie.

Spotykają się najbardziej wysunięty na wschód zachód i najbardziej wysunięty na wschód wschód. Już w 1980 roku jeden z Ojców, niepozorny, wyrastający jak spod ziemi we właściwym momencie, Lech Wałęsa, przeczytał to i wyraził w słowach, które zapłodniły wyobraźnię współczesnych, a co ważniejsze — stały się zapowiedzią przyszłości. Szybciej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać, ziściła się wizja, przypieczętowana genialnym emblematem Chopina, czyli miłością, którą dwa narody, oddzielone od siebie przepaścią azjatyckiego mroku, mogły się obdarzyć w zgiełku światowych knoń. I dwa narody podały sobie ręce, oddając się Symbiozie...

„Wyplata punktów zasiłkowych nastąpi miesiąc po wygaśnięciu hibernacji, o ile osoba stawi się do ponownej rejestracji nie później niż siedem dni po opuszczeniu Szpitala, celem zainicjowania następnego cyklu, w przeciwnym razie zostanie wszczęta procedura Przyspieszonego Cyklu...”

Cały wywód przerywa dzwonek do drzwi. Listonosz z poleconym. Wezwanie do Urzędu Regulacji Pamięci w charakterze świadka. Targ Drzewny 3/7, środa, godzina 9.30.

* * *

— Zabij mnie, ale cholernie i wykurwiaście nie mam pojęcia, co to jest! W życiu nie słyszałem, no co ty! — Waldek kończy czwarte piwo, ja nieśmiało zaczynam pierwsze. Kiedy przychodzi Jola, nowa znajoma Waldka, obraz niespodziewanie zaczyna się szatkować. Mówię, sam nie wiem co, i uśmiecham się niezależnie od tematu rozmowy. Ona też nie wie, co piszczy w tym Urzędzie Regulacji Pamięci.

— Waldek, a to ten kolega, co świeżo z freonki wyszedł?...

— Taa, laska...

* * *

Gładka powierzchnia, pokryta mało rzucającym się w oczy kolorem, coś oddzielonego od świata użyteczną ścianką, którą polecały miesięczniki poświęcone wystrojowi wewnątrz i perspektywie nieuchronnego remontu. Dzwonek komputela wzywa uparcie.

To Rysio W Sam Raz, niewiarygodna ozdoba naszej starej licealnej klasy... A teraz? Zaraz... Zarządzanie zapachami... Wybitne wyczucie rynku, niemowlak szczęścia... Ekran komputela prawie puszcza szwy od jego uśmiechu.

— Stary, co za wyczucie czasu! Ty wiesz, kiedy pojawić się na wizji, bratku złocisty! Już po wszystkim? Myślałem, że leżakujesz sobie na wczasach alfa, ha, ha! Dlatego nie odzywałem się, rozumiesz. Ale teraz co innego... Ty, przypomniałem sobie! Jutro moje urodziny i mówię ci, zjawiasz się, brachu, punkt dziewiętnasta. Atrakcje i światła! Światła i

śmiała! Jazda, chłopie, w sam raz na rozruch, bo widzę, żeś jeszcze coś—nie—ten—tego? I jak?

— Mieszkaś tam gdzie zawsze?

— Trafiony — zatopiony!

Kiedy otwieram usta, żeby puścić w ruch niewinne pytanie o Urząd Regulacji Pamięci — bo może on wie, z czym to się je — komputer przerywa naszą gadkę i wciska szalowy sugestyw trąbiący o zbliżającym się meczu Nintendo Polska — Siemens Niemcy. „Historyczne starcie na murawie historii! Konkurs: puść oko do bramki, szczegóły wkrótce!” Piętnaście sekund i wiem, że złoty trzydzieści ląduje na moim koncie, które zasila abonament komputerowy taryfy minimum. Nasze drogie perpetuum mobile. Po sugestywie twarz Rysia W Sam Raz nie wraca, a kiedy próbuję połączyć się ponownie, jego serwis ignoruje moje nudne działania. Niestety, nie mam Postaci, żeby złapać go tam, gdzie go nie ma — w Odbiciu.

5

To już dziś?

Czerwona tabliczka z niepozorną bielą państwowych liter tkwi w murze jakby od zawsze. Stare drewniane drzwi, świeżo pomalowane, uchylają się lekko i wchodzę do przestronnego wnętrza. Hol jest za skąpo oświetlony, żeby ruchomy świetlny tunel, wyłapujący nowo przybyłego petenta, mógł poprowadzić go bezbłędnie do jednej z wind majaczących po drugiej stronie pomieszczenia.

Winda otwiera się, zamyka i bez zwłoki pędzi na piąte piętro. Jest tu korytarz, a z jego końca mruga do mnie niebieska lampka. Nim się zdążyłem obejrzeć, światełko zasuwą w moim kierunku, zatrzymuje się na chwilę tuż przed twarzą i mówi:

— Proszę za mną do pokoju 40. Pan Robert Kom czeka.

Idę za drogowskazem, który dostarcza mnie bezpiecznie do miejsca przeznaczenia. Nawet nie muszę otwierać drzwi.

* * *

— Proszę. — Pan Kom, wysoki mężczyzna średniej tuszy i w średnim wieku, stoi w głębi pokoju, koło regału szczelnie wypełnionego woluminami. W dłoni trzyma jeden z nich, przybierając teatralną pozę zamyślnego profesjonalisty, który rozważa, czy w ministerialnej praktyce da się zastosować pewną zapomnianą filozofię.

— Proszę usiąść — pokazuje krzesło i stolik, ustawione przy obrazie przedstawiającym wielkie, pięknie zaorane pole, nad którym rozpościera się stalowoniebieskie niebo. Po przeciwnej stronie wisi inne dzieło: wielki biały orzeł trzyma w szponach włócznię, w tle Belweder.

Nazwisko pana Kom jest skrócone. Tak robi wielu ludzi z kręgów administracji państwowej, technokracji i biznesu. O zgrabne, krótkie nazwisko trzeba odpowiednio zadbać. Po pierwsze — zdążyć przed innymi, żeby zarejestrować owo jedno, niepowtarzalne. Po drugie — dysponować środkami i argumentami, żeby odpowiednio umotywić swoją chęć zmiany przed obliczem Urzędu Tożsamości. Niewąskie zadanie. Być może gość nazywa się Kom 25, ale liczbą nikt się nie afiszuje.

— Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie ma pan pojęcia, dlaczego go wezwaliśmy — mówi pan Kom, kiedy już siedzę.

— Prawda, nie było napisane.

— Oczywiście — uśmiecha się mechanicznie. — To byłoby trudno wytłumaczyć w

lapidarnym skrócie wezwania. Poza tym liczymy na pewną, jak by to nazwać, psychiczną świeżość, kiedy nagle stawiamy sprawę wprost i oczekujemy natychmiastowej, szczerzej odpowiedzi.

Zatem bez dalszych wstępów pragnę poinformować, że wezwaliśmy pana, by spytać, co pan wie o losach pięciu złotych prętów pozostawionych w ogrodzie pańskiego pradziadka we wrześniu roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego.

Jego długi wstęp, zwieńczony mocną puentą, kwituję milczeniem. Do wszystkiego trzeba dojść. Z mgły, przypominającej bardziej dym unoszący się nad ogniskiem, wyłaniają się pręty stojące w ogrodzie mojego pradziadka. W oparach starej opowieści poruszają się mężczyzna i jego pomocnik — po krótkiej rozmowie z pradziadkiem zostawiają w ogrodzie pięć rdzawo — szarych prętów opartych o płot, wyglądających dość podle, jak niepotrzebne żelastwo.

— Owszem, znam tę historię od babki — odzywam się wreszcie, a pan Kom jakby nieco szerzej otwiera oczy. — Nic specjalnego. Jeśli dobrze pamiętam, pod koniec kampanii wrześniowej przyszedł do mojego pradziadka jego dawny znajomy z kolegą. Powiedział, że musi wyjechać na dłużej, i spytał, czy mógłby zostawić u niego miedziane pręty, bo boi się, że pod jego nieobecność znikną z szopy. I pradziadek, z tego co wiem, zgodził się, chyba nie widział powodów do odmowy.

— Jak nazywał się ten kolega?

— Nie wiem.

— Czy pręty cały czas były w ogrodzie? Pański pradziadek nie chował ich do piwnicy albo do innego zamkniętego pomieszczenia?

— Opowiadano mi o ogrodzie. Że do końca wojny tam stały. Razem z innym żelastwem i dechami.

— Kiedy pański pradziadek dowiedział się, że to nie jest miedź, tylko złoto? Oczywiście według opowieści, o której tu mówimy...

— Po wojnie. Jak ten kolega przyszedł je odebrać.

— Może pan to opisać?

— Proszę bardzo, ale to nic szczególnego. Słyszałem, że poszli do ogrodu. Pradziadek pokazał koledze, że pręty znajdują się w tym samym miejscu i może je sobie zabrać. Tamten podziękował, potem wziął podobno piłkę do metalu i uciął mniej więcej dziesięciocentymetrowy kawałek jednego z nich. Dał go pradziadkowi i wtedy powiedział, że to jest złoto.

— A pręty miały po metr osiemdziesiąt każdy?

— Chyba tak, nie pamiętam dokładnie. Skąd pan wie?

— Czy z tym kolegą był drugi mężczyzna, który towarzyszył mu kilka lat wcześniej?

— Nie wiem, chyba nie.

— Czy pamięta pan jakieś inne szczegóły, o których nie opowiedział pan, bo nie wynikały z moich pytań?

— Raczej nie. To cała opowieść mojej babki.

Pan Kom zmienia pozycję. Siada wygodniej na krześle, lewą dłoń opiera na udach, a w prawej zaczyna obracać malutki pręcik, zapewne długopis lub pióro. Pan Kom nie wygląda na zadowolonego. Wyraźnie widać, że spodziewał się czegoś więcej. Wreszcie mówi:

— Rozumiem, że nie doszedł pan jeszcze do siebie po wyjściu ze Szpitala. To normalne. Dlatego zakończymy dzisiejsze spotkanie, a pan w najbliższych dniach niech spróbuje przypomnieć sobie więcej szczegółów związanych z tą sprawą. Wrócimy do niej niebawem. Czasami zwykły drobiazg może nam powiedzieć bardzo wiele. Proszę pamiętać, że działając zgodnie z Ustawą o Wyrównaniu Zaszłości, nasz Urząd musi wyjaśnić wiele niejasności w historii naszego kraju. Niejasności dużych i małych. Odświeżając pamięć, działać pan będzie w interesie kraju. Żeby budować przyszłość, musimy raz na zawsze zrobić porządek z przeszłością, rozjaśnić to, co zaciemnione, niedopowiedziane, pokryte pleśnią. Proszę o tym

pamiętać.

— Postaram się — mówię.

Pan Kom wstaje z krzesła i uprzejmym ruchem pokazuje mi drzwi. Żegnam się i wychodzę na korytarz. Winda nawołuje mnie z daleka, ale teraz idę powoli i mogę wreszcie dojrzeć obrazy wiszące po mojej prawej stronie. Każdy z nich przedstawia bogato zdobiony inicjał. Literuję i wychodzi mi, że obrazy układają się w sentencję „Czas dobrem wspólnym”.

6

Poczucie spokoju, piękna — droga ocalenia, powiadają. W szufladzie znalazłem schowane tam przed hibernacją pudełko z modelem ciężkiego krążownika „Futuraka”. Długo czekał, poszatkowany na części, nie pomalowany... Więc żyłotka, klej...

Nierozwiązywalna kwestia: dlaczego japońskie okręty z okresu drugiej wojny światowej tak bardzo różniły się od okrętów pozostałych flot? Niektóre z nich, tak dziwaczne, że można powątpiewać w ich przydatność bojową, stanowiły prawdziwe dzieła sztuki. Bolesne, że w ogóle doznawały ran w czasie potyczek i starć, że były zatapiane przez siermiężne samoloty jankesów. Nieszczęsne pogromy w zatoce Leyte! Egzekucja w cieśninie Surigao! Zagłada na Morzu Filipińskim!...

Jak do tego doszło? Kiedy wygasa traktat waszyngtoński i każde mocarstwo zaczyna przebudowę swoich nieco spierniczałych flot, jedynie Japonce zdobywają się na rozmach i finezję. Piętrzą nadbudówki okrętów liniowych na niebotyczne wysokości, ustawiają wieżyczki artyleryjskie według zagadkowych zasad i oto te fantasmagoryczne konstrukcje unoszą się po z lekka spiętrzonych falach (sztormy są tu nie do pomyślenia). Pomysł, że to wszystko sklecone zostało jednak z myślą o sile rażenia, jest zwyczajnie nie na miejscu.

Tymczasem istniała jeszcze prawda podręczników, wykorzystująca te cudowne wynalazki do niegodnych celów. Tak narażać się na zatopienie! Co za lekkomyślność! Niegodnie zbombardowana „Haruna”! Upokorzony „Yamato”! Rozniesiony na strzępy „Yamashiro”! Jak szczur podczas deratyzacji między Lyete a Dinagat! Skala 1:700 ustawia sprawę we właściwych proporcjach.

— Cholerna dziecinada — powtarzała Beata.

* * *

— Ale się szykuje! Idziesz?

Tak się składa, że o urodzinach Ryśka W Sam Raz wiedzą wszyscy. Nie wiadomo dokładnie kto, ale z pewnością wszyscy. Waldek ledwo trzyma się na nogach.

— To mus... Musienie... Musian potasu...

— Idziesz zjolką?

— Jolka mnie... nie... chce... Ty wiesz... Ty wiesz kto... tam będzie?! Wszyscy!... Wszyscy będą tam!... Musianian etylowy... No i, chłopie... do ludzi!... Do masy!... Lu...

Potem mówi, że musi koniecznie pójść do Państwowego Kościoła im. Naszych Ukochanych Świętych. I dodaje przytomniej:

— Ona dostała... angaż do Holdingu Znak... Poznała wielu ludzi...

Holding Znak sprzedaje jeden znak logo: uśmiechniętego ludzika. Od zawsze osiągnęli niebywały sukces. Pamiętam rozmowę z ojcem:

— Dlaczego ludzie potrzebują tego ludzika?

— Ten ludzik jest jak słońce. Wielkie czerwone słońce. Chyba wiesz, o co mi chodzi?

Dom Rysia W Sam Raz stoi mężnie pośrodku dużej działki. Okna na pierwszym piętrze mrugają przesadnie i kolorowo. Wielka brama jest otwarta, choć tak naprawdę broni jej ktoś w tej chwili niewidzialny, Demon Prywatności najęty za ciężki blok złota.

Drzwi otwierają się na mój widok i naprzeciw wychodzi Rysio W Sam Raz. W czerwonych spodniach, w czerwonej koszuli z potężnymi zoltarami i w czerwonej marynarce.

— To nie mówiłem ci, że dzisiaj ubieramy się na czerwono? Taki smaczek, wiesz...

— Chyba nie mówiłeś...

— Nie szkodzi, ładuj się, przecież nie odwalisz teraz cofki!

Włazę w gardło korytarza, na którego końcu drży neurasteniczne światło, poddane władzy strasznego Programatora Ubawu. Na spotkanie wychodzi Andżela, którą znam z podstawówki, chociaż co to w ogóle znaczy, że się kogoś zna, po prostu kojarzę kobietę, chirurgia kości, twarda sztuka.

— No proszę, wyrwałeś się wreszcie ze swojego zacisza! — uśmiecha się naprawdę olśniewająco, bierze mnie pod rękę i prowadzi w głąb posesji. Jej krótka czerwona sukienka odslania mocne uda, kolumny baterii zasilających kluczowe stanowiska wymiany płynów ustrojowych. Kiedy podnoszę wzrok i patrzę jej prosto w oczy, podaje mi pucharek wina.

— Tylko nie odmawiaj. Jako lekarz wiem, czego ci trzeba, mój drogi...

Rysio W Sam Raz zostaje z tyłu, zapominam dać mu prezencik, który mam w kieszeni czarnej kurtki. Mijamy dwa ciemne pokoje i wchodzimy na salkę ze schodami na piętro, skąd dobiegają dźwięki muzyki i gwar rozmów. Na parterze także dostrzegam kilka osób, ale one wydają się nie interesować otoczeniem. Zwróceni twarzami do siebie, przeważnie w parach, wymieniają uwagi niemal prosto do swoich uszu. Andżela ciągnie mnie na schody.

— Oto jezioro pieprzonej śmietanki... Ładuj się, kawalerze! — puszcza moją rękę i popycha mnie w kierunku środka.

Ze sto osób, wszyscy w czerwonych szmatkach; śmiechy, gadki, tańce, kłótnie, gonitwy. Chcę zamienić kilka słów z Andżelą, ale ona schodzi pospiesznie na dół, śląc mi na pożegnanie powietrznego całuska. Nie wiedząc, co zrobić, wypijam połowę zawartości pucharu.

— Pamiętasz mnie? — słyszę męski głos. Podchodzi do mnie czterdziestoletni gość, uczesany jak samuraj z okresu Edo. — Mieliśmy okazję się spotkać, znałem twojego ojca. Jeszcze przed śmiercią namówiłem go na zapis w testamencie, który pozwolił zachować mieszkanie dla rodziny. Czyli dla ciebie!...

— Możliwe... Nie znam szczegółów...

— Zbych jestem, jakby co... Słyszałem, że niepokoił cię ludzie z tego cholernego Urzędu...

— Skąd wiesz?

— Wiem, w końcu pracuję w gazecie... Ale poważnie. Więc mówisz, że szukają złotych prętów sprzed stu lat, w tym Departamencie Wyznaczania Zakresów...

— Urzędzie Regulacji Pamięci.

— Jasne! I co im powiedziałaś?

— To, co wiem.

— Byli zadowoleni?

— Myślą, że coś przed nimi ukrywam.

— Nie wyjechali z żadnym oskarżeniem?

— W ogóle mogą?

— A nie? Radzę, rzuć gałką na jakieś ustawy z tego działu.

Podchodzi do nas krótko obcięta brunetka, wpatruje się we mnie jak w obraz.

— Heja, Rysio mi o tobie powiedział! To ty wyszedłeś w zeszłym tygodniu ze Śpitala, no nie?

— Wyszędłem.

— Chodź, mamy do ciebie sprawę!

I ciągnie mnie za rękę na koniec sali balowej, gdzie za grupką osób tańczących, na półkolistej kanapie siedzi kilka postaci, chyba zupełnie mi nie znanych, choć może...

— To on! — przedstawia mnie.

Robią mi miejsce, napełniają moje naczynie, siadam, opieram się wygodnie.

— Powiedz, chłopie, jak to w końcu jest? Bo różnie gadają, już sam tracę rozeznanie. Co mówi potencja? — pyta jeden z gości, ekstrablondyn, serce towarzystwa.

— Potencja? Na temat czego? — odpowiadam pytaniem.

— Podobno facet po rocznej hibernacji długo nie może, rozumiesz... Długo mu nie staje. Impotencja, nie? Prastare siły na jakiś czas idą w cholerę, tak?... Tak czy nie?

Publiczność czeka na moje słowa, czeka, aż wypalę pocisk jeszcze większej sensacji, prawdziwą myśl—nie—do—pomyślenia, masakrującą, straszną ponad wszelkie poziomy, żeby można było pobiec na północ i południe, na wschód i zachód i w każdym zakątku Rysiewego domostwa ogłosić chwałę niewiarygodnej wieści.

— Nie wiem. Nie miałem okazji...

Chór głosów na kanapie:

— Nie miałeś okazji?... Oooooo... Oooooo...

— W tym miejscu — to przewodnik chóru, ekstrablondyn — może niezbyt szczęśliwie, ale nie mogę oprzeć się wewnętrznemu naciskowi, by nie wspomnieć o pastylkach Fanta, które łykaj, a twoja sperma uzyska pomarańczowy kolor i smak. Potem, by zdyskontować wydatek, zakomunikuj to na pierwszej lepszej imprezie. Jeśli lubisz efekty długofalowe — powiedz na kanale towarzyskim, co wpierniczasz. Moje laski tak lubią teraz ssać, że mówię ci, zmartwienie niemal mam. Bo to jest istotne niebezpieczeństwo, istny problem: coraz rzadziej wsadzam im wacka do szparki!

Aplauz i rejwach, śmiechy i poklepywania.

Zbliża się do nas Andżela, w glorii wytrawnej wodzirejki, kołysze się obezwładniająco, ręce kreślą melodie przyszłych imprezowych szaleństw.

— Ach, doszły mnie wieści niesłychane, nic mi o tym nie mówiłeś, kochany... — powiada. — Chodź, mam ja coś dla ciebie, tego jeszcze nie widziałeś...

— Nie trzeba, moja Beata wyjdzie niedługo z ustawowej przerwy...

— Nawet nie wiesz, co masz zobaczyć, a już oponujesz, tymczasem powinność nasza pierwsza poznawać, porównywać, wybierać... Chodź.

Jej ostatnie słowa zagłusza muzyka, którą ktoś zgłośnia, bo to widać niezmiernie aktualny szlagier. Większość śpiewa na karaocką modłę, słowa zaczynają się od

Z daleka, a miałem blisko;
ledwom wymienił nazwisko,
a zaraz mi pokazali
tacy chłopcy, rześcy, mali.

Reszty nie słyszę, bo uwagę moją absorbuje Andżela. Wchodzimy do sąsiedniego pokoju, gdzie kilka osób w spokojniejszej atmosferze prowadzi wesołą dyskusję.

— Widzisz ją?

Andżela pokazuje ruchem noska wysoką szatynkę, ostrożnie podrygującą w towarzystwie tęgiego mężczyzny i niskiej dziewczyny.

— Widzisz jej nogi? To moje dzieło. Moja wirtuozka...

— Proteza?

— Gdzie tam, czyste biało! Pamiętasz tę niesamowicie zgrabną aktorkę, która zginęła w zeszłym roku, uduszona przez włosko–francuskiego kochanka? Próbowali ją reanimować, bezskutecznie. Na szczęście udało mi się uzyskać zgodę rodziny, którą pocieszyła wizja dalszego życia nóg naszej idolki. Nie to co komplet, ale zawsze... A teraz moja kochana Marlenka wspiera się na legendzie, spójrz na nią, czyż nie jest urocza? Wyobraź sobie — drugie nogi Pioneera, była już na okładce „Newsweeka” i „MegaThing”!

— Bogato...

— Chcesz sprawdzić jakość spojeń? — szepce mi do ucha.

— Mówiłem ci, Beata...

— Nie bądź taki... Może choć spróbujesz, nie rób zawodu...

Witamy się z Marlenką, a także ze skośnooką Myoko i z tęgim mężczyzną (ma na imię Tadeusz). Dowiaduję się, że Myoko jest tu ze swoim narzeczonym. Podaje mi talerz z ciasteczkami. Życzenia? Chyba tak. Biorę pierwsze ciasteczko z prawej. W środku jest jakieś tworzywo. Rozwijam je, to naprawdę małe przezroczyste majteczki.

— O, znaczące! — wykrzykuje Andżela.

— Dow... cipniś! — dorzuca Myoko.

W sukurs idzie mi Tadeusz:

— Ha, ha! Ale ma pan tu powodzenie! Pozwolą panie, że porwę na moment naszego gościa. Niechaj złapie trochę wytchnienia...

Idę z nim na bok, siadamy przy niskim stole, na którym leżą karty i stoi butelka wódki.

— Napijmy się — proponuje Tadeusz — bo każdy tu gada, a nie pije. To znaczy pije, ale nie robi tego w sposób zdecydowany. Koszmar. Zanika umiłowanie rytuału. To na zdrowie...

— Na zdrowie.

Pijemy.

— Zmęczyli kolegę. No fakt — powiada ze zrozumieniem. — Ciągłe to pierdolenie o dupczeniu. Jebanie o pierdoleniu. A ja widzę, że ciebie nie bardzo to chwyta. Niewielu jest już w ojczyźnie, którzy chcą poważnie porozmawiać o sytuacji. O nas wszystkich. A przecież nie można o tym tak po prostu nie myśleć. Weźmy na przykład sprawę podległości. Kiedyśmy przed laty wchodzili w układ z Japonią, sytuacja wydawała się absolutnie czytelna. A co się stało później? Kto mógł przypuszczać, że Japonia, na skutek machinacji na Giełdzie Państw, zostanie łyknięta przez Chiny jak jakiś, za przeproszeniem, koci bobek przez odkurzaczy?! No i my razem z tym smrodkiem! Po raz który żeśmy tak wyszli? No po raz który, pytam? Znowu brak zmysłu przewidywania? Czy taka karma? Czy stało się, co miało się stać? Kto my jesteśmy? I kto za to odpowiada? Ech, najteższe umysły nie dały rady!

Ale człowiek tkwi tu i kombinuje. Masz pojęcie, czym to pachnie?

Wbijają we mnie wzrok, dwie kotwice podciągające dno ku powierzchni morza pełnego odchodów sinic.

— Nie wiem — kwituję jego wywód.

— No właśnie... — mówi i nie zważając na mnie, szybko wypija kieliszek wódki, po czym zaczyna wpatrywać się w dal, która nie jest dalą tego domu.

Ostrożnie wstaję i oddalam się od Tadeuszowego stolika, zanim znowu zacznę zauważać otoczenie. Wychodzę i wślizguję się do innego pokoju, gdzie stoję twarzą w twarz z młodym Japończykiem. Ten na mój widok raduje się na dziecinną modłę i podaje mi rękę.

— Akita jestem! Gdzieś już ciebie widziałem!

— Niemożliwe — odpowiadam. Jestem pewien, że mam z nim do czynienia pierwszy raz.

— Możliwe, możliwe! Widuję wielu ludzi, przewijają się przez moje bazy danych, przyjacielu, całymi milionami! A co robię, chcesz zapytać? O, twoje oczy mówią więcej niż usta! Czytam z nich kluczowe binaria twojego procesu myślowego! A tak, tak!

Jak wielu dziwnych Japońców, dobrze zna polski. Czasami lepiej niż moi rodacy. Kiwam potakująco głową, a on nabiera rozpędu i wciąż gada, dotyka mojego ramienia, gestykuluje,

gra całym ciałem.

— A gdzie ja widziałem ciebie, gdzie? — zastanawia się Akita. — A w Śpitalu ciebie widziałem, gały robisz, o, ale czy to coś dziwnego? Każdego prawie widziałem, kto tam zapuścił korzonki, przez moje ręce przechodzą, bo tam pracuję! Kłania się analityk działu sterowania procesów życiowych Pomorskiego Śpitala Pracy. Zdziwerka, co? Niespodziewanko, ha! Wiedziałem, wiedziałem! Nie co dzień spotyka się swojego Charona, opiekuna zanikających fal, wygładzacza sinusoidy aktywności, kapłana minimum. Nie bój wcale, jestem w tym dobry, urodziłem się specjalnie w tym celu i spłacam ten słodki dług przeznaczenia, w moich rękach żywy trup nosi w sobie cud odrodzenia pewny jak konta na Aleutach! Kolego, byłeś bardziej bezpieczny niż kiedykolwiek przedtem i potem, gdybyś to wiedział, nie trząśbyś kolanami po przekroczeniu moich wysokich progów. Jeśli kiedykolwiek znów pokierują tam twoje kroki, wiedz, że twój Akita ma wszystko w jednym paznokciu i nie pozwoli, by coś piknęło nie tak! Nie ma strachu, wszystko opanowane! Czyż można lękać się w takich okolicznościach? Czyż można żywić obawy, kiedy wszystko jest poukładane z dokładnością do pikometra? A nie, oczywiście, już widzę w twoich oczach zanikające kilwatery wątpliwości. Bo tak być powinno. Nawiasem mówiąc, na zewnątrz rzeczy przedstawiają się też niczego sobie. Żyję tu sporo latek i widziałem to i owo. Spokez kraj. Głowa do góry! A niektóre elementa są imponujące! Macie tu wspaniałe Związki Rowerowe, miodzik mówię. Fantastiko! Mają silną pozycję, nie ma co. Wiele mogą, cholernie. Jak się postarają, są w stanie tak zamotać, że termin hibernacji oddala się z szybkością światła na odległość paru latek. Niesamowite! To jest, powiadam, siła! Związki Rowerowe, a jaki pałér!

Nie umiem ukryć zaskoczenia:

— Są w stanie przesunąć termin hibernacji?

— Śpiewajaco!

— Tak po prostu? Przecież Urząd Zatrudnienia jest instytucją niezależną i nikt nie może im podskoczyć...

— Nie wiem, kolego, czy podskakują, czy spacerują, może podbiegają, czy też podkopują, ale w terminach są w stanie pogmerać, i to niewąsko! Nie należysz do Związków Rowerowych?

— Nie. A ty?

— Mam trzy rowery i należę do sekcji Zielonych Tras Wytrawnych — melduje Akita. — Zarządzają pięcioma setkami najlepszych zbiorników wypoczynkowych i trzydziestoma tysiącami tras rowerowych klasy prima. Do tego multum kinotronów. Ale na hibernację i tak nie mam szans, ha, ha, rozumiesz, długoletni kontrakt, więc nie grzebałem w kontaktach, tyle że wiem, co w trawie szumi. Ogólna orientacja, rozumiesz. Ale, człowieku, musisz tam się dostać. Składka to pipa, dałbyś radę, rower też można skołować. Potem wkręcisz się w odpowiednie towarzystwo i uzyskasz wgląd w sprawy. Tylko trzymaj się regulaminu!

— Tak, warto o tym pomyśleć... — mówię nie bez przekonania.

Akita na moment milknie, z niebieskiego naczynia odciąga słomką sporą ilość płynu. Gdy ktoś klepie mnie w plecy, odwracam się i widzę Rysia W Sam Raz, odpowiednio już rozanielonego. Korzystając z okazji, pospiesznie składam mu spóźnione życzenia.

— Zginąłeś mi z oczu — rzucam.

— Tak, zginąłem wam z oczu — śmieje się i wtedy przypominam sobie o prezencie, więc wyciągam z kieszeni kurtki pudełko i wręczam mu, a on, nic nie mówiąc, otwiera opakowanie i wyjmuję ze środka sklejonny model krążownika „Futuraka”. Nieźle mi wyszedł, biorąc pod uwagę ponadroczną przerwę. Rysio W Sam Raz cieszy się jak gwizdek, śmieje się, pokazuje przechodzącym obok znajomym i nieznanym, niezła bajerezka, wszyscy kiwiają z uznaniem głowami, a Akita, który w z początku nie wydaje z siebie dźwięku, nagle odzyskuje fonię i drze się ultraambitnie:

— Nie! Krążownik „Futuraka”! Panie, panowie, co za traf! Mój pradziadek zginął na nim w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim pod Guadalcanal! Ja pierdykam! Ale faza!

Towarzystwo podziwia ten niebanalny zbieg okoliczności; niektórzy przerywają taniec, widząc, że na boku grupka rozprawia o czymś żywo, skupiona wokół szarego przedmiotu, który jakby pogłębił ciemność — miniaturowa czarna dziura z masztami, wieżyczkami działowymi i ornamentem ażurowych nadbudówek. Tworzy się dziwna kompania. Ktoś przypomina sobie, że kiedyś był taki film, ktoś inny, że jego dziadek urodził się w Chinach, a jeszcze ktoś, nieco bez sensu, że kiedyś okręty to miały serca, nie to co teraz; kiedyś były romantyczne, może nie tak jak te z żaglami, ale przecież epoka silników spalinowych nie ma sobie równych, bo tak naprawdę z tych żaglowców to żadne okręty były, dopiero blaszaki zarządziły... Rysio W Sam Raz ordynuje podanie specjalnego trunku dla krążowniczego grona. Wlewamy płyn w swoje wnętrza i jesteśmy jeszcze bardziej na zewnątrz, rzucamy się hasać, objając się o dźwięki muzyczki z list przebojów dla każdego obywatela. Widać nawet ożywionego już Tadeusza, jak lawiruje wokół panien i chwyta okazje ich zaszyfrowanych uśmiechów, coraz bardziej rozanielony, uwolniony od ciężaru rozmyślań o dziejach.

* * *

Siódme poty wychodzą na wierzch mimo udatnej klimatyzacji i w organizmie ścina się nadmiar sprzecznych substancji. Ledwie chwytam poziom, szukam wyjścia z sytuacji, co nie jest łatwe, gdy czerwoni ludzie, nie bez oznak wyczerpania, dokazują żarliwie, gdzie okiem sięgnąć. W kącie sali dostrzegam schody pnące się ku górze i posuwam się powoli w tamtym kierunku. Schody wbijają się korkociągiem w sufit i dzięki nim wystawiam głowę ponad nowy poziom. Gwar dolnej zabawy momentalnie znika, ustępując miejsca delikatnej tkance dźwiękowej o niewątpliwie kojących właściwościach. Na finezyjnej pomarańczowej kanapie rozłożyły się trzy panie. Prowadzą rozmowę, której nie zakłóca pojawienie się mojej osoby.

PIERWSZA PANI: Droga przyjaciółko, postąpiłaś genialistycznie, nazywając na jego argumenta obrączkę ekskluzywnej tezy o różnicach, do których styczności nie zdążył sobie wyrobić żadnej trasy. Och, w mej widzialności roztacza się panorama jego niesmacznego grymasu!

DRUGA PANI: Było nawet bardziej entuzjastycznie, bo w otoczeniu mych ścian, jak wiecie, w łagodnym majestacie pól tulipanowych i ledwo skontrastowanych aktów kobiecych ta twarz była niemalże nieludzka, zakrapiana zakwitami substancji obcej a napastliwej, cóż za dyswizję odczułam, zrozumcie, chłonąc ten pejzaż isticie niefunkcjonalny, zakutany w stal własnych pomyłek!

TRZECIA PANI: Och, niemalże jak przy niedoborze chromu musiałaś odczuwać dyskomfortację. Przecież to nieznośnie napastliwa sfera się rodzi w opisanych okolicznościach. Podziwiam twój spokój tak potrzebny, by utrzymać w ryzach gospodarkę białek i lipidów, by nie zaprzepaścić tolerancji na glukozę... Toż do tego wymagana jest głębia mocy rodem z belwederskiego czakramu!

Siadam na fotelu, opodal niespodziewanych towarzyszek, i sięgam po butelkę wody mineralnej, której zapas stoi na podłodze.

PIERWSZA PANI: A mówię wam, jaka to wtyczka podpięta jest usilnie w strefie przy piczkach?

TRZECIA PANI: Wtyczka–bezinteresowniczka?

DRUGA PANI: Do czasu, kiedy wyjdzie z niej śrubka wiadomej intencji, zaimpregnowanej gniewnie, po facecku.

PIERWSZA PANI: Zatem doświadczenie rzeczzone atakiem jest bezprzykładnie brutalnym?

DRUGA PANI: Chwileczkę, niechaj się przyjrzę, skądś znam obudowę, po prawdzie

skojarzenie me biegnie do innego pokoju, gdzie rozmawiałam z mym obecnym towarzyszem życia o zawodowych jego zdarzeniach i pewien ciekawy przypadek mi przytoczył, wielce zaniepokojony. Zdjęciem potraktował niby nie pasującym do society jego codziennego pasjansa i wyraził mroklive podejrzenia.

PIERWSZA PANI: O tym tu?

DRUGA PANI: A o tym. Chwileczkę, pozwólcie, załączę się do mojego kontraktmena i rozjarzę ów moment dysfunkcji towarzyskiej.

Używa ekskluzywnego teleskantransmittera najnowszej generacji, by skontaktować się ze swoim mężem i porozumieć z nim bez udziału słów. Po czym wraca do nas, uśmiechając się cokolwiek tryumfująco.

DRUGA PANI: Prawdaż, miałam rację. Poznać mego męża miał pan przygodę?

JA: Jeśli dobrze zrozumiałem, pana Kom?

DRUGA PANI: Domyślność iście referencyjna, trafił pan w centrum. Otóż to. Przy okazji, jak pan już tu się przysiadł pełen kto wie jakiej ciekawości, sposobność zaistniała przyokazyjna powiedzieć panu, że Urząd w osobie męża mego, że tak się posłużę przy tej okazji archaiczną nomenklaturą, ma przyjemność prosić pana do siebie, a jeśli przysłaby panu chęć oficjalnego wezwania, to pan Kom służy stosownym zawiadomieniem, lecz w tym względzie liczy się własna inicjatywa, to znakomicie będzie widziane, jeśli z własnej woli ujawni się pan w Urzędzie.

JA: Postaram się... o tym pamiętać.

Pierwsza Pani wstaje, podchodzi do okna i niezręcznym, choć w zamierzeniu dystygowanym ruchem ręki odsłania część okna. Za oknem kompletny mrok, nie naruszony ani gwiezdny drobiazgiem, ani światłami sąsiednich domostw. Spod krótkiej sukienki Pierwszej wystają nogawki jakichś zabytkowo-turbonowoczesnych majcioch-galot w kolorze czerwonym. Oddała się od okna, robi kilka kroków w moją stronę i przygląda uważnie mojej dłoni...

PIERWSZA PANI: Aj, chyba się pan zaciął przy otwieraniu butelki...

I pokazuje niewielkie nacięcie na moim palcu wskazującym. Jest to szczelina głębokości nie większej niż milimetr i równie dobrze mogła powstać dużo wcześniej.

PIERWSZA PANI: Proszę zwrócić uwagę, że nie krwawi...

JA: Widocznie nie było tu naczyń krwionośnych...

TRZECIA PANI: Słyszałam ja w toku pewnej dyskusji, że w procesie hibernacji krew staje się biała... ale żeby przezroczysta?...

DRUGA PANI: Ależ nie staje się ona biała, tylko krew zastępuje się białą substancją, a sama krew znajduje schronienie w stosownym akwarium specjalistycznym...

PIERWSZA PANI: Zostawmy to fachowcom. Niech z poziomu swych profesjonalizmów drążą wewnętrzne tematy.

DRUGA PANI: Tak, lepiej pomyśleć o wizycie w Urzędzie. Skupienie daje czasem spore efekta. Oto rada niejaka...

Dopijam butelkę i wstaję. Trudno nie zauważyć, że skończyły ze mną. Wszystkie tematy wyczerpano. O zabawie, w myśl trendów panujących piętro niżej, także mowy być nie może. Kiwają głowami w rytm wyimaginowanej muzyki, nie odzywają się, nie patrzą w moją stronę, więc nurkuję w ślimaka schodów. Schylam głowę i widzę, wysrany z wysokości drugiego piętra, że ubaw wkracza na etap stołów, tańce bioder, brylują Rysio W Sam Raz i jakaś szczupła brunetka, woda tłucze o burty blaszaka, długie torpedy pucuje ochocza gromada...

* * *

— Już wytrzeźwiałem, poważnie! — wykrzykuje Tadeusz. — Podwójnie, potrójnie, jak

chcesz! W tańcu zobaczyłem to wszystko wyraźnie...

Leży w piwnicy, gdzie go znalazłem, drzwi wyglądały zachęcająco, schody bieły w dół łagodnie, a na dnie światełka i barek kameralny, i stary telewizor. Skorzystałem.

— Szukałeś spokoju, jak ja — stwierdza. — W spokoju chciałeś to wszystko przećwiczyć w umyśle!...

Przemyśleć? — Nie bardzo wiem, o co mu chodzi.

— Nie udawaj. Ja ciebie przejrzałem, bratku — mówi. — Chodzisz sobie, niewiele gadasz... Dla kogo pracujesz?... Nie musisz mówić... Ja wiem... Zresztą nie powiesz mi prawdy, to nie należy do gry... I co właściwie sobie myślisz?... Ale ja ci powiem... powiem, to będziesz wiedział, że i ja wiem co nieco o tych sprawach... Nie musisz nic mówić... Otwieram talię, pokazuję karty... Wszystko jawne, nic nie jest znaczone... Pierwsza karta, rozgrywająca, pamiętasz? *Gyoseishido*... Dobrodziejstwo, choć w rezultacie trucizna... Mam ci przypomnieć definicję?... Ech, nie pamiętam dokładnie tej zmyłki... Forma decyzji administracyjnej, którą organ administracyjny traktuje jako podstawę oczekiwania określonego zachowania adresata dla osiągnięcia danego publicznego celu... Dobrze zasuwa?... Rozumiesz, subtelne działanie, niewładcze, dodajmy... Doradztwo administracyjne... Nasze dzielne społeczeństwo wprowadza w życie ten wynalazek... Jak to pięknie działa!... Zasypanie przepaści między władzą ustawodawczą, wykonawczą i dołami, które muszą jakoś ustawić swój kurs, dokonane!... Tak, kurs, bo doły idą z prądem, a nie nadają mu bieg, jak to wykombinowała pani przyroda... *Gyoseishido*... Jak to leciało?... Doradztwo administracyjne dla osiągnięcia danego publicznego celu... A kto między władzą wykonawczą a dołami?... Jest ktoś?... Kto był pomiędzy... ten przeskoczył na dół lub do góry... Więc jednak... Nie ma w tej strefie już... nikogo?... jak widzisz... jak widzisz... Leczn!... Druga... druga karta... karta... ech...

Chwieje się i upuszcza butelkę, z której pociągał co chwila, po czym pada, stękając coś w rodzaju: „Ech, fip...”, i momentalnie zasypia. Piwnica zamiera, przestaje oddychać i światło przestaje biec ze swoją legendarną prędkością, stoi w miejscu, może nawet już go nie ma, a to widmo jest zatopionym w bursztynie kawałkiem błędnej pamięci.

* * *

Mocno zapomniany gramolę się do góry, gdzie rozproszone towarzystwo przeżywa już liczne kryzysy, podzielone na szajbki, mniej lub bardziej chwiejne, śmiechy z byle powodu, lecz już nie tak głośne jak na zgrupowaniach integracyjnych windowania pułapu turbomotywacji, ruchomy ekran komputera cyka ekskluzywne obrazy—do—obrazy, na które nikt nie zwraca uwagi; w dalekim Kioto zwariowany statek ładuje 20 procent ładunku ponad limit i zasuwa przez ocean w kierunku najstarszego kontynentu — uschniętej gałązki wyrastającej nieszczęśliwie z wielkiego pnia niezgody i ponadnarodowej ugody — przybywa pewnego dnia do brzegu i automatyczna ekipa przeflancowuje na ląd kilka tysięcy gotowych na wszystko ekspertów. Natychmiast znajdują swoje zadania, są prawie bez potrzeb, kilka minimalnych, doprawdy, odrobina wody, paczki z prasowanym żarciem i jedna prezerwatywa na trzy tygodnie (dlaczego na trzy? nie wiadomo, ale trzy to solidna, utytułowana liczba...). Czy są już jakieś raporty? Czy w nerwie łączącym nas z ogromem klienteli drży już impuls zniecierpliwienia?... Na wpół rozebrany Rysio W Sam Raz tańczy na środku sali, zwolnione ruchy o czymś świadczą, żadna panna nie chce się z nim kołysać, nadrukowany na majtkach Elvis cmoka mu ptaka bez przekonania. Musiało śmignąć od groma czasu... W tej piwnicy? Być nie może... Ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu; to Brunet, całkiem na chodzie.

— Byłeś tu, ale gdzie się podziałeś? — zagaduje.

— Sam nie wiem...

— Wybacz uwagę, kolego, ale co z tego, że tu przydreptałeś... Ominęło cię najlepsze...

Ale w końcu... nic z siebie nie dając, nie zabrałeś niczego...

Nie daję się wciągnąć w jego gadkę.

Z powodu nadchodzącej chmury snu wychodzę z domu, przed którym Andżela awanturuje się z jakimś gogusiem o to, czy może jechać tak „poważnie rozpiędzioną taksówką”. Goguś próbuje jej coś wytłumaczyć, ale z jakiegoś powodu nie może mówić wyraźnie i, co gorsza, chyba nie zdaje sobie z tego sprawy. Podczas gdy ja pomijam kwestię taksówki i pomykam do siebie z kaptura.

8

Akita mieszka na strzeżonych Wzgórzach Redłowskich, posiadających własne lotnisko, doskonale skomunikowane z Łebską Strefą Surfingową im. Bohaterów Wojen Turystycznych. Następnego dnia po imprezie u Rysia W Sam Raz Akita dzwoni do mnie, żeby porozmawiać (zahacza o krążownik „Futuraka” — „No wiesz, to dla mnie dość ważne...”), a ja korzystam z okazji i łatwo wpraszam się do niego, „bo zawsze to lepiej twarzą w twarz...”

Dość proste skojarzenie towarzyskie — okazuje się, że Myoko jest jego dziewczyną, kręcącą ze sobą od prawie roku. Nie ma jej teraz z nami, podretuszowana fotografia wisi nad makietą fortepianu.

Dotykam tematu Związków Rowerowych, których jest członkiem. Bez ceregieli daje mi adres swojego regionu.

— Ale nie próbuj zapisywać się za pomocą komtela. Staw się tam osobiście. Możesz powołać się na znajomość ze mną, ja potwierdzę, kiedy zażądają autoryzacji.

— A co z rowerem?

— Kup na razie byle jaki.

— Nie mam kasy na takie cuda.

— Mogę ci pożyczyć jeden z moich. Na dowodzie własności wpiszę cię do rubryczki „użytkownicy”. Chcesz?

— Tak. Jeśli można. Dzięki... Naprawdę...

— Przyjaciele moich dobrych znajomych są moimi dobrymi znajomymi.

— Poznałem wiele osób na tej imprezie u Rysia. Może zresztą jeszcze nie zdążyłem sobie wszystkiego przypomnieć... I co najdziwniejsze, chyba wszyscy byli zatrudnieni, to nieprawdopodobne spotkać w jednym miejscu tyle osób z pracą... Niektórzy... Ten grubasek, Tadeusz, znasz go?...

— Nie, ale wiem, o kogo chodzi. Co ci mówił?

— Właściwie nic... Ogólnie, o sytuacji...

— Uważaj, ten typ pracuje dla Instytutu Bezpieczeństwa Biznesu. Stosuje wyrafinowane techniki inwigilacji substancji pracowniczej.

— Nie jestem pracownikiem...

— Ale zawsze możesz nim być. Tacy jak Tadeusz zbierają materiał. Wyczerpujące portrety psychologiczne i takie tam. Facet cały najeżony jest sprzętem do rejestracji i analiz. Zawsze zdarzy się taki w pobliżu. Niedługo zniknie z naszego horyzontu towarzyskiego, a pojawi się ktoś inny...

— Zaczynasz mnie podejrzewać?

— Skąd. Zresztą rzadko werbuje się kogoś z kręgu dawnych znajomych. Przeważnie są to ludzie z zewnątrz. Ciągłe zmieniają im środowiska, bo dość szybko stają się aż nadto czytelnymi.

Otóż to. Pamięć daje o sobie znać (macha rączkami). Sprzężeni ze światowymi centrami kontroli zasobów ludzkich, tropią optymalne egzemplarze, wyręczając sławetny mechanizm doboru naturalnego. Kierunek rozwoju. Rozwój kierunku. Kierwój. Rozunek.

— Nie miał ze mnie zbyt wielkiego pożytku...

— Tak ci się tylko wydaje. Zresztą może inwigilował pod innym kątem...

Z okna jego pokoju widać czyste, pozbawione widoku statków morze. Blżej brzegu dwie żaglówki i kilka skuterów ugania się za własnymi kilwaterami. Na pobliskich wzgórzach korony białych i błękitnych osiedli. Słyszę, jak Akita mówi, że musi iść do roboty. Odwozi mnie i pożyczony rower do Chyloni swoim Sonysterem z podwójnym napędem.

— Nie wiedziałem, że Śpital tak dobrze płaci.

— Śpital nie płaci, płatnikiem jest polityka zatrudnienia. Diabli wiedzą, gdzie jest jej początek, a gdzie koniec... Kiedy się spotkamy?

— Wolałbym się nie spotykać... Żartowałem, chodziło mi o twoją profesję. Wolałbym nie spotykać się w Śpitalu. Jak uda mi się w Związkach Rowerowych, dam znać. Może jakiś wspólny wypad?

— Koniecznie.

* * *

Po powrocie do mieszkania spotykam się z gniewną reakcją mojego komputera.

— Przypominam, że abonament został aktywowany dwa dni temu. Warunki użytkowania zgodnie z umową pozostają bez zmian. Przypominam minimalny rozkład dzienny: filmy, teledramy i filmo-gry — 4 godziny, sport — 2 godziny, pozostała rozrywka — 1,5 godziny. Uprzedzam o konsekwencjach złamania umowy abonamentowej. Odsetki karne według odpowiednich taryf, a w przypadku niemożliwości wyegzekwowania należności, zgodne z ustawą o naliczaniu „zimnych godzin”...

Zasiadam do oglądania pierwszego lepszego kanału, tyka zegar mojej obecności. „Zaległości można odrobić w ciągu tygodnia od dnia ich powstania, lecz nie więcej niż pół dnia zaległości w ciągu jednego dnia”.

Zaznaczona w kalendarzu data wyjścia Beaty odwraca na chwilę moją uwagę, kosztem czasu satelitarnego. Dwa i pół tygodnia. Jeśli uda mi się nadrobić telezaległości i wejść w strefę dodatkowych godzin, być może uzbieram na niedrogi, lecz miły w wymowie prezent powitalny...

9

Nie czekając na wezwanie, stawiam się w Urzędzie Regulacji Pamięci. Dać wyraz dobrej woli. Nie okazywać lekceważenia. Zilustrować chęć współpracy.

Kiedy przekraczam próg pokoju 40, pan Kom wita mnie wylewnie i pokazuje, tak jak poprzednim razem, stolik przy obrazie przedstawiającym wielkie, pięknie zaorane pole, nad którym rozpościera się stalowoniebieskie niebo.

— Jakąż wielką radość wyświadczył mi pan swoim przybyciem. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy i powoli przygotowywałem się do sporządzenia wezwania — mówi, nie ukrywając odprężenia, jakie spowodowała moja wizyta. — Tymczasem spora niespodzianka. Bardzo się cieszę.

— Panie inspektorze, wolałbym, żeby nie robił pan sobie dużych nadziei w związku z naszym spotkaniem. Po prostu uważałem, że powinienem zrobić ten krok, że to jest jak najbardziej na miejscu...

— I bardzo dobrze! Doskonale! O to właśnie chodzi. Widzi pan, mamy już coś, co dobrze rokuje na przyszłość, coś, co, jak mniemam, i proszę mi pozwolić użyć odpowiedniego określenia, „odezwało się” w panu niby echo naszego *gimu*, echo, które zmusza nas, byśmy spełnili najbardziej podstawowe z naszych zobowiązań. To w panu gra niczym nieco

zapomniana pieśń, lecz pieśń nie przebrzmiała!

— Inspektorze, bardzo żałuję, ale obawiam się, że pan zbyt wiele sobie obiecuje po mojej wizycie. Przyszedłem powiedzieć tylko, że nie przypominam sobie nic więcej, jeśli chodzi o te pręty. Nie mogę sobie nic więcej przypomnieć, bo niczego więcej mi nie przekazano. Nawet moja matka... Chociaż, swoją drogą, to dziwne, że nikt nie zwrócił się do niej z odpowiednim zapytaniem. Ale myślę, że nawet lepiej. Po co niepokoić starszą kobietę... Ona wie tyle, co ja... To znaczy ja wiem dokładnie tyle, ile ona...

Pan Kom powoli wstaje, tracąc sporo ze swojego początkowego entuzjazmu. Jego ściągnięte wargi gną się w grymasie, który można by określić jako mieszanekę zadumy i zdeterminowania. Z szufladki niewielkiego sekretarzyka wyciąga pręcik, zapewne pióro lub cienko — pis, przygląda się mu, obraca go w palcach, wreszcie przenosi spojrzenie na obraz przedstawiający białego orla trzymającego w szponach włócznię, w tle Belweder. Wtedy twarz mu zupełnie marsowieje, zaduma ulatnia się nad pola przeciwległego obrazu i tam opada na rozoraną glebę.

— Tym gorzej... Gorzej dla nas wszystkich... Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Po tym, jak pojawił się pan w tych murach z własnej nieprzymuszonej woli, mogłem wnosić, że jesteśmy o krok od zamknięcia całej kwestii. — Pan Kom odwraca się do mnie plecami i zaczyna wyraźnie ignorować. Wygląda, jakby słowa kierował do kogoś innego, kogo sobie tylko wyobraża; do osoby, która jest w stanie właściwie ocenić jego intencje. — I oto stoimy wobec wręcz rozjątrzonego nieuregulowania, wymierzonego w nas, nierozumnego, lecz tym bardziej wrogiego... Doprawdy, nie mogę pojąć, dlaczego tak być musi! Prawie za każdym razem, gdy oferujemy naszą wyrozumiałość, łagodność, kiedy nie przebieramy w środkach, by uzmysłwić wagę naszych działań, spotyka nas zawód!... A swoją drogą — teraz odwraca się na powrót w moją stronę — uprzedzano mnie, że z panem tak będzie.

— Kto uprzedzał?...

— To my zadajemy pytania, proszę o tym nie zapominać — zauważa lekko podniesionym tonem. — Pora już chyba uzmysłwić panu, że sytuacja jest poważna i nie możemy jej traktować inaczej. Może się bowiem okazać, że największym błędem pańskim jest traktowanie sprawy z nienależną jej powagą. Taka jest prawda. W związku z tym czuję się zobowiązany przybliżyć panu temat, by nabrał pan doń właściwego stosunku...

Pan Kom podchodzi do półki z książkami, poprawia kilka grzbietów tak, by lepiej przylegały do ścianki regału, następnie odwraca się w moją stronę:

— Czy wiedział pan, że pręty stanowiły własność podziemnej organizacji wojskowej?

— Nie.

— Czy to szczerą odpowiedź?

— Oczywiście. Nie mam powodów...

— Nie sędzę — pan Kom podchodzi do sekretarzyka, otwiera szufladkę, wyjmując z niej marmurkową teczkę, jednak nie zagląda do niej, tylko kładzie ją na stoliku. — Tak samo, jak doskonale panu wiadomo, że jeden z mężczyzn był podwójnym agentem i pracował na rzecz wroga.

— Skąd te informacje?

— Mówiłem już panu...

— A zresztą nie obchodzi mnie to! Jeśli wiecie dobrze, kto przyniósł i zabrał te pręty z ogrodu mojego pradziadka, to po co zawracać mi głowę i posądzać o mówienie nieprawdy?...

— Pańskie pytania są bez znaczenia. Nic pan dzięki temu nie uzyska, proszę nie tracić czasu. Tylko udzielając mi wyczerpujących, szczerych odpowiedzi, może pan działać na własną i ogólną korzyść.

— A jeśli nie?

— Gdyby przeczytał pan uważnie Ustawę o Wyrównaniu Zaszłości, nie tracilibyśmy czasu

na jałowe przekomarzania.

— Wiem tylko to, co powiedziałem podczas poprzedniego przesłuchania. Przyszedłem tu wyłącznie po to, żeby to powtórzyć. Nie mam nic do przypominania sobie, ponieważ...

Drzwi otwiera młoda kobieta, która nie zważając na naszą obecność, ustawia jedno z krzeseł na środku pomieszczenia i korzystając z tego udogodnienia, poprawia coś w staroświeckim żyrandolu nad naszymi głowami. Zajmuje jej to ledwie kilka chwil, po czym stawia krzesło na swoim miejscu i bez słowa nas opuszcza.

— To pani Lucyna Szmaj z dużego pokoju — mówi pan Kom, jakby to mogło mi cokolwiek wyjaśnić. Potem, niby nagle coś sobie przypominając:

— To na razie tyle. Może pan iść. Proszę zgłosić się za dwa dni o tej samej porze. — Podnosi słuchawkę staroświeckiego telefonu z bakelitu, wykręca numer i czeka. Po drugiej stronie długo nikt się nie odzywa. Pan Kom wysyła w moim kierunku ponaglące spojrzenie.

10

Piwo „Miecz Grunwald”, głodne, żądne zdobyczy, dostaje się do organizmu i panuje. Jolka, znajoma Waldka, uśmiecha się do mnie zalotnie, porusza językiem w otwartych ustach, napędzając dynamo trudnych do odrzucenia sugestii. Kiedy Waldek idzie do łazienki, Jolka mówi do mnie:

— Zrobię ci batona za trzy dychy, chcesz?...

Odmawiam, wspominam coś o Beacie, co wkurza Jolkę, która mówi chyba bez związku:

— Waldek to sknera, jakich na pęczki...

Moje piwo chce iść, ale nie wie dokąd, Waldek wraca z łazienki, dopinając rozporek i powiada:

— Jak szczeram, to lepiej kojarzę. Ten Urząd Regulacji, chłopie, to, przypominam sobie, mojego kuzyna kiedyś nieźle urządził! Nie pamiętam dokładnie, o co chodziło, tylko że smrodu mu narobili... A mecz, jak myślisz? Dwa do zera dla Siemensu, coś tak czuję... Ale jak ty wyglądasz?... Jolka, patrz na niego, ale ma gały!... Chodź, przeniesiemy go na tapczan... Chyba nie odwali kity, co?... Ja pierdolę...

11

Elegancki budynek Związków Rowerowych przyjmuje mnie bez zastrzeżeń, traktuje bez zastrzeżeń i bez zastrzeżeń załatwia. Rekomendacja Akity działa bezszelestnie, blitzkrieg niespodziewany i bezlitosny. Pękają wszystkie zabezpieczenia broniące wstępu, odsłania się panorama niesłychanych możliwości. Czekać na wydruk karty członkowskiej, obserwuję ruch znakomitych aut na parkingu Związków, manewrowanie przemyślane w najdrobniejszych szczegółach. Dostaję przydział do tras typu standard-plus, co jest, jak zapewnia mnie operatorka, znakomitym punktem wyjścia. Do kompletu załączono trzy bilety na rozgrywki Pucharu Mistrzów Piłki Nożnej Kobiet w klasie Latex. I jeszcze statut, numery kontaktowe władz, ośrodków informacyjnych, centrów szkoleniowych, informator.

Pierwsza lepsza standard-plus z czerwonego asfaltu prowadzi przez środek miasta miniaturowymi wiaduktami, oszalałymi tunelikami wypełnionymi światłem i sugestywnym gęstym jak atmosfera na giełdach walutowych podczas rzezi maklerów na Cyprze. Trochę niesprawnie przemykam na grzbiecie nowego sprzętu, niezmiernie lekkiego, i nagle, nie zdając sobie sprawy z przebytej odległości, pojawia się na moim osiedlu, wynurzając się przez służbę umieszczoną na tyłach kinotronu FUJI. Nie miałem pojęcia, że

tam jest, diablo dobrze zakitrana.

Parkuję przed sklepem sieci A–Dio, wyznaczonej mi przez Urząd jako „jedyni z mocy przepisów dostawcy dziennej racji żywnościowej dla azajęciowców, związani umową z rządem wybranym w wolnych wyborach”. 250 gram chleba, 3 serki homeland, instant zupa (dziś smaczpomidorowa z PółChin) przez dziewięć miesięcy, potem delikatne uszczuplenie menu, pomysłowe surogaty...

- Serki o smaku miętowym czy miodu?
- Niech pani losuje.

12

Zostaje tydzień do wyjścia Beaty, kiedy mój stary komputer odbiera komunikat ze Szpitala. Automatycznie informują osoby zapisane w formularzu rejestracyjnym. W odpowiednich rubrykach jestem ja i jej matka. Komunikat mówi o „poważnej dysfunkcji ustrojowej, zerującej aktywność podmiotu”. Całe pokolenia rynkowych klakierów w garniturach dopasowanych jak cięcia budżetowe pracowały nad sformułowaniami mającymi w sobie tyle dyplomacji, co woń z oczyszczalni ścieków. Kontaktuję się z biurem informacyjnym Szpitala. Oczekuję wyjaśnień. Pracownica grzebie w interfejsie i wyciąga słupki danych. Wysła mi wydruk. Nie mam rozeznania, szczerze mówiąc... Co to znaczy?

- To znaczy, że pani B.W. jest nie do odzyskania — odpowiada pracownica.

Pytanie: „Dlaczego, co się stało?”, zostaje skwitowane terminologią mroczną jak podstawy księgowości. Na pytanie: „Czy to był wypadek?”, pada odpowiedź: „Zapewniam pana, nikt nie popełnił błędu. Wygląda na to, że organizm wyczerpał możliwości dalszej aktywności”.

Wyczerpał?

Na połączenie z Izbą Lekarzy czekam dziesięć minut. Dyżurny specjalista — maleńka główka pomocnika głównej księgowej tkwiąca w lewej górnej części ekranu — zaspianym głosem oznajmia, że jest gotowy przyjąć zgłoszenie. Mówię, o co chodzi, że trzeba sprawdzić, co się stało w Szpitalu z Beatą W., więc operator z Izby przegląda dane i powtarza to, co mówiła pracownica Szpitala. Czerpie z tego samego źródła, więc mówi to samo. Nie o to mi chodzi.

— Co mam teraz robić? — pytam, co niespecjalnie wstrząsa tym ćwierćhibernatem z urzędu.

- Do mnie ta mowa? Zawsze zażalenie można złożyć, nie?
- Więc składam... Chcę złożyć cholerne zażalenie!
- Proszę wypełnić formularz, który zaraz panu wyślę.

Pół godziny wypełniam formularz, wiele rubryk stanowi tajemnicę zaginionego okólnika. Wreszcie odsyłam blankiet, a on wnika w pojemną krainę rejestracyjnej Izby i natychmiast daje mi zwrotny informacyjny pocałunek: mają miesiąc na sprawdzenie okoliczności i ustosunkowanie się do zarzutu, choć tak naprawdę idzie o odpowiedź na proste pytanie: czy został popełniony błąd, czy była awaria, czy może aktywność organizmu mogła się obrazić na panujące warunki przetrwania... Miesiąc? Hojny czas.

Jednocześnie — interesująca zbieżność — przychodzi kopia (bo oryginał poszedł do matki Beaty) zapytania z bloku UTY/Szpital. Uprasza się o deklarację, kto zajmie się pochówkiem?

- Nie zacierać śladów! — odpowiadam odruchowo.

Z miejsca dostaję pałą od Regulatora Procedur: „Niewłaściwy zwrot, następny będzie zbilansowany mandatem liczoną w godzinach karnych”. Zostawiam sprawę, matka Beaty z pewnością zajmie się pogrzebem...

Tymczasem moja droga musi wieść do źródeł. Znam tylko jeden ślad. Skojarzenie szybkie i bezbłędne: Akita. To jasne jak laserowy wyświetlacz na ścianie kinotronu. Pora nie jest

idealna, ale tak się składa, że łapię go w mieszkaniu. Właśnie wrócił z roboty i jest cholernie odprężony. Na mój widok rozpromienia się wyjątkowo słonecznie, a może myślał, że połączenie pochodzi od Myoko?

Bez wstępu typu „jak–minął–dzień” albo „co–porabiasz–stary” streszczam mu wiadomość z ostatniej godziny, odwołuję się do możliwości płynących z jego profesji.

— Jest już w UTY? Niemożliwe — mówi.

— Możliwe — poprawiam go — możliwe, sam sprawdź.

Z turbofunkcjonalnego, bajecznie drogiego terminalu, umieszczonego w bluzie z rysunkiem uśmiechniętego słońca na tle ruchomej burzy z piorunami, łączy się z masywnymi procedurami Śpitalnej potęgi, której jest jakże cenną partycją. Trzy minuty wysokooktanowego oczekiwania na prawdziwy obraz sytuacji, raport z jądra milionowego organizmu. Oczy Akity śledzą obraz wyświetlany gdzieś po lewej stronie stacjonarnego ekranu, na którym moja twarz wypala warstwę luminescencyjną niemożliwym do określenia grymasem.

— I co? — mam prawo do odrobiny zniecierpliwienia, jeśli można tu mówić o jakiegokolwiek adekwatności słów i faktów.

— Nic, to wygląda na całkiem normalny przebieg zdarzenia — mówi Akita.

Całkiem normalny przebieg zdarzenia? Człowieku, nagraj to i posłuchaj siebie! Moja dziewczyna trzaska w kalendarz na tydzień przed Wybudzeniem, a ty mi mówisz, że to normalne?! Chcę wiedzieć, czy oni coś spieprzyli, czy jakiś zaszary Dyzio nie dał dupska z nudów albo przez zaniedbanie i chcę tego kmiota wytargać za kudły, aż poczuje mnie w rdzeniu kręgowym, rozumiesz? O takie coś mi chodzi i to chyba jest zupełnie na miejscu, dobrze myślę?

Akita kiwa potakująco głową i grzebie dalej w swojej prawie niematerialnej aparaturce. Obserwuję go, jakby to mogło mu cokolwiek pomóc, a może najwyżej zirytować. Na szczęście nie Akite. Czekam cierpliwie.

Jego twarz, z początku wyrażająca spokój i opanowanie, zaczyna zmieniać wygląd. Pojawia się grymas niedowierzania wymieszany z obawą, że wynik, który pojawił się w opadzie informacji, jest mocno nieprawdopodobny. Może jednak źle czytam układy napięć na twarzy, skurcze i naprężenia mięśni, mniej lub bardziej nerwowy ruch gałek oczu, pracę powiek. Akita sprawia wrażenie kogoś, kto powtarza wszystkie czynności jeszcze raz, bo nie jest pewien swego, bo zdaje sobie sprawę, że jeden błąd w długim ciągu czynności może wprowadzić sporo zamieszania na samym końcu.

Wreszcie, po dobrych kilku minutach, kabel przynosi do mojego pokoju jego wyblakłe spojrzenie, a usta mówią:

— Ja pierniczę, nie wiem. Gdybyś mógł wpaść do mnie, bo coś się chyba... sam nie wiem.

Wygląda na zupełnie bezradnego, jakby poniósł stratę większą niż moja, jakby uszło z niego to, co stanowiło zasadnicze wypełnienie osoby imieniem Akita. To nie jest pocieszające. To nie ma nic wspólnego z pocieszeniem ani w ogóle z żadną dobrą perspektywą.

Jak na ironię, śluza trasy rowerowej standard znajduje się tuż przy największym sektorze B kinotronu, w którym non stop puszczają erointerfilmy w wersjach soft, hard, fantasy–bizarre. Gdzieś nade mną tysiące ludzi w klimatyzowanych pakamerkach przeżywają stymulacje według niezmiennie nieprawdopodobnych scenariuszy. Doskonale wygłuszone pomieszczenia, nie słychać nawet pracy aparatury czuwającej nad cyrkulacją substancji lotnych i płynnych w obrębie kompleksu, a dźwięk, jaki wydaje karta Związku w czytniku, brzmi tu niczym huk startującego odrzutowca.

Na trasie jest dzisiaj tłoczno, nowe modele rowerów żyroskopowych i innych cudów do jazdy w czasie snu lawirują między takimi jak ja maruderami z małpią zręcznością. Największe trasy łączą kinotrony, sieci handlowe różnych kategorii, parki prezentacji, hale

koncertowe nowości w wielką sieć, której najsłabszymi odnogami są te wiodące do osiedli mieszkalnych, choć większość osiedli leży na trasach między węzłowymi punktami rozrywki, handlu i dostępu. Wzgórza Redłowskie nie należą do wyjątków.

Co teraz? Jedno pytanie. Jakich informacji nie powinny przynosić satelity i kable? Odpowiedź czeka na pobliskim osiedlu, gdzie mieszka facet, którego niedawno poznałem, bardzo kontaktowy gostek. Właściwie niewiele o nim wiem. I nie wiem, czemu on w ogóle rejestruje moją obecność. W porównaniu z nim jestem wartością ujemną, dalekim miejscem po przecinku. Właśnie zasuwam w jego kierunku, bo czegoś nie może mi powiedzieć per kabel.

Gładko wnikam w granice osiedla, rozpoznaję mnie nie wiadomo kiedy, zwalniam co trzeba z arsenału blokad. Na podjeździe omal nie zderzam się z niezwykłym modelem toypla. Gość w niebieskim kombinezonie wymierza mi spojrzenie o sile paru granatów, ale nie odzywa się ani słowem.

Chwila i trafiam na miejsce. Cały i w kupie. Akita jest w lepszym humorze niż prognozowała nasza ekranowa rozmowa, ale to niewiele znaczy. Delikatnie daję mu do zrozumienia, żeby nie trzymał mnie dłużej w napięciu, powołuję się nawet na to, że nie jadłem od rana. Akita kiwa ze zrozumieniem głową.

— To, o czym ci powiem — mówi — trzyma się kupy, choć być może istnieją dane, które zmieniłyby całkowicie obraz sytuacji, gdybyśmy mieli do nich dostęp. Trudno niekiedy wyjaśnić, dlaczego kojarzymy fakty tak, a nie inaczej.

— Cokolwiek! Cokolwiek!

Mój okrzyk nie robi na Akicie wrażenia.

— To będzie jak szkic — kilka punktów, które połączymy linią. Nie wiem, jaką wartość mają same połączenia. Pierwszy fakt — twoja Beata po prostu odeszła, na próżno szukać błędów aparatury, człowieka, oprogramowania. Sprawdziłem dobrze, mam odpowiednie narzędzia kontrolujące moduł raportów UTY. Na drugim miejscu jest pewne skojarzenie. Kiedy przyniosłeś mi złą wieść, przypomniałem sobie o pewnych śladach, na które wcześniej natknąłem się przypadkiem i do których nie przywiązywałem większej wagi. Przez mój łeb przechodzą masy danych; czasem nie dowierzam mechanikowi w moim autoryzowanym serwisie rowerowym, pamiętając o jakimś raporcie o mechanikach w autoryzowanych serwisach rowerowych, który rozkłada to środowisko na części pierwsze. Ale to nie do końca dobry przykład. Skupmy się jednak na punkcie trzecim, moje skojarzenie to tylko trampolina. Kilka miesięcy temu natknąłem się na dane, które pochodziły z kręgów bliskich operatorom Enicmy. Przewidywana sytuacja, znam człowieka, nieważne... Dane pochodziły z jakiegoś pakietu do symulacji makromodelowej, dotyczyły białej krwi, ale nie można było się połapać, o co chodzi. W tym samym czasie dowiedziałem się od znajomego z Centrum Równowagi Pracowniczej, że moduły statystyczne w Szpitalach od pewnego czasu mają założony rodzaj filtra, który, podobno, dokonuje dyskretnych przekierowań wyników. Czyli że pewien ośrodek, nie mam pojęcia, o kogo może chodzić, usiłuje przekłamać statystyki sprawozdawcze.

— Chwileczkę, słabo kojarzę Enicmę.

— Enicma, chłopie, to zajebiście wielki kawał oprogramowania. Gdyby programy mogły się materializować, to Enicma byłaby wielkości miasta, najpewniej stolicy państwa.

— Co robi ta franca?

— Analizy i symulacje. Na dobrą sprawę może chyba imitować działanie całych państw, ale kto wie, do czego jeszcze jej używają i co w ogóle z niej wyłazi.

— Chwileczkę, chcesz powiedzieć, że ta cholera ma autonomię? Że mają nad nią ograniczoną kontrolę?

Kolego, zapomnij o czymś takim — odpowiada Akita z uśmiechem. — Włóż między filmy wszystkie te opowieści o maszynach czy sztucznych inteligencjach, które przejęły

kontrolę nad ludźmi i kręcą nimi według własnych potrzeb. W przypadku Enicmy może chodzić jedynie o szwankujący jak zawsze, biurokratyczno–zarządzeniowy mechanizm. Cały ten ekspercko–polityczno–ambicjonalny kołowrotek jest równie rozbudowany, co architektura samego programiska. Do tego stosunek kręgów politycznych do Enicmy ociera się, powiedzmy szczerze, o granice patologii. Są ludzie, którzy widzą w niej wyrocznię, a zapowiedzi jej pojawienia się tropią nawet w starożytnych mitologiach. Słowo. Nie zakwestionują żadnej z jej diagnoz, już samo pojawienie się Enicmy musiało u nich wywołać rodzaj psychozy, z której nikt i nic ich nie wyrwie. Tak czy inaczej, Enicma jest narzędziem władzy. W razie czego wszystko zrzucą na nią.

— Dobra — przerywam mu — ale co to wszystko ma wspólnego ze śmiercią Beaty? Chcesz mi powiedzieć, że Enicma załatwiła Beatę, bobo właściwie co?...

Rozlega się dźwięk dalekowschodniego gongu i francuskojęzyczny, tęskny zaśpiew.

— Mamy gościa — mówi Akita. — Dokończymy później.

Idzie do drzwi wejściowych i wraca z wysokim mężczyzną, na którego omal nie wpadłem kilkanaście minut wcześniej.

— Poznajcie się — mówi Akita. I poznajemy się. Poznają pana Ho.

Pana Ho, nie przesłyszałem się.

Nigdy nie miałem okazji ścisnąć dłoni dwuliterowca. Nigdy nawet nie przebywałem w jednym pomieszczeniu z taką osobą. Jeśli dwuliterowcem jest programista, znaczy to, że istnieje cesarstwo, gdzie oddają mu cześć. I że część naszego świata wyszła spod jego palców. Pracuje dla wszystkich i dla nikogo. Jak wszyscy informerzy, ślubował nie wtykać nosa w zupełnie instytucjonalnej władzy, a jednocześnie posiada dostęp do wielu danych, których, o dziwo, jeszcze nie ma. Jest lustrem bez warstwy luminescencyjnej, błoną półprzepuszczalną, półznakiem.

Facet stoi obok mnie. Skąd się tu wziął? Jego środowiskiem naturalnym są protokoły znaczeń. To jego las. Tam oddycha pełną piersią, tam poluje na zwierzynę i wydaje na świat kolejne formy u — życia. Teraz wśród ludzi? Czym jeszcze może zaskoczyć znajomość z Akitą?

— Zapomniałem ci powiedzieć. Byliśmy umówieni na gonitwę psów — mówi Akita. — Idziesz z nami?

— Mogę pójść, ale nie znam się na tym.

— Nie szkodzi, wystarczy popatrzeć — mówi Ho.

Wychodząc, dostrzegam sporą gablotę stojącą w rogu dużego pokoju, w której plastikowe okręty w skali 1:700 ustawiono na imitującej morze powierzchni, w pobliżu zarysu wyspy. Wydaje się, że mamy tu do czynienia z symulacją jednej z bitew morskich koło wyspy Guadalcanal. Może jestem przewrażliwiony, ale jeden z modeli przypomina krążownik „Futuraka”.

Wrzawę na psim stadionie daje się znieść tylko dzięki wszechobecnym pochłaniaczom dźwięku. Nad torem wyścigowym unosi się gondola sędziego, trwają zapowiedzi, powyżej ciemna kopuła jak niebo śmierci. Ho ma zarezerwowane dobre miejsce w środkowej części toru, na jednym z czterech tarasów. Jest tu sporo luzu, a towarzystwo nie szaleje z emocji, jak ci na dole. Psy czekają już w boksach startowych, dziesięć sztuk. Nad każdym z boksów lewituje film — emblemat klubu–organizacji.

Uwagę zwracają dwa psy, najbardziej zmodyfikowane spośród tu wystawionych. Pierwszy ma potężne tylne łapy, uformowane na wzór kangurzych. Jego głowa jest mocno spłaszczona bocznie i przypomina bardziej rodzaj żagla, natomiast ogon wygląda jak płetwa. To zwierzę reprezentuje klub — organizację Adminzór Północny. Drugi najbardziej widowiskowy zawodnik jest zbudowany bardziej proporcjonalnie (nad łbem ma logoreskę Związków Rowerowych), chociaż wyjątkowo masywna szyja może sprawiać niekorzystne wrażenie. Ale to nic w porównaniu ze skórą psa, na której pojawiają się fluorescencyjne ruchome wzory

utkane z biało — niebieskiego światła.

Zwierzak stoi w swoim bloku, nie, właśnie rusza, razem z innymi, rusza jak kawałek podświetlonego morza... Psy nabierają prędkości i szybko wpadają w pierwszy wiraż. Prowadzi ten z pletwoogonem, tuż za nim zasuwaają trzy następne, w tym nasz świecący cudak. Z tym ostatnim w miarę upływu czasu dzieje się coś dziwnego. Na drugiej prostej świetlny wzór na jego skórze zaczyna wykonywać coraz bardziej gwałtowne ewolucje, a samo światło miga z coraz większą częstotliwością. W pewnym momencie jest pędzącym na złamanie pyska stroboskopem, co dezorientuje towarzyszących mu zawodników, którzy tracą łby i szybkość, aż biegacz Związków Rowerowych ma przed sobą, a wkrótce obok siebie, jedynie kangurzego pletwoogona. Ale tylko przez chwilę. Faworyt Adminzoru Północnego nie wytrzymuje presji i traci rytm, a potem zmienia tor i wpada na innego psa. Sędzia ogłasza dyskwalifikację obu. Na wirażu czworonożny stroboskop prowadzi zdecydowanie i wkrótce osiąga metę samotnie, daleko za nim sunie gromada zwierząt rozkojarzonych i, jak się okazało, mało pomysłowych w konstrukcji.

Ho jest wyraźnie zadowolony. Niektóre sektory gwizdzą, ale zdecydowana większość oklaskuje niezwykły okaz, który dał przedsmak tego, jak będą wyglądały wyścigi psów już wkrótce.

— Wygraliście? — pytam, a Akita uśmiecha się i kiwa potakująco głową.

— Opowiedziałem Ho o przypadku twojej narzeczonej — mówi nagle. — On nie może rozmawiać z tobą na takie tematy, sam rozumiesz, ja pociągnę to dalej. Skończyliśmy na Enicmie, teraz pora przejść do białej krwi. Istnieją podejrzenia, że dyrektywa 3/13 Z Rządu Autonomiczno — Zjednoczonego dotyczy modyfikacji białej krwi w ten sposób, by spełniała pewien wymóg, który określiliśmy roboczo algorytmem redukcijnym Enicmy. Jak wszystkie dyrektywy społeczeństw demokratycznych i ta jest absolutnie jawna, i jak większość z nich jest tekstem specjalistycznym, piekielnie naukowym, naszpikowanym wzorami. Jednak dyrektywa 3/13z to analiza tak gęsta i mętna, wielowątkowa i czerpiąca z tak wielu dziedzin, że nie wymagała nawet stosowania zabiegów maskujących. Chodzi o... trudno to jednoznacznie określić... Chodzi o to, żeby za pomocą białej krwi dokonywać pewnych zmian... aby, przypuśćmy, co trzecia jednostka powyżej trzech hibernacji doznawała automatycznie dyskretnego i niewykrywalnego uszkodzenia ustroju, prowadzącego do znacznego skrócenia życia po opuszczeniu Szpitala. Cień takiego rozumowania można odnaleźć w rezolucji o regulacji demograficznej sprzed roku. Mówi się tam o trosce o przyszły obraz świata, ale takich dokumentów nigdy nie należy czytać bez powiązania z dziesiątkami innych zapisów i faktów. Naszym zdaniem, dyrektywa 3/13z jest rodzajem przepisu wykonawczego do tamtej rezolucji. Śmierć Beaty może być skutkiem raczej problematycznego wdrażania zasady tego algorytmu w życie. Zbyt szybkie i właściwie pozbawione przyczyn zejście twojej narzeczonej może być wypadkiem przy pracy, a jednocześnie dowodem, że biała krew zaczyna być elementem polityki demograficznej i zatrudnieniowej. Ale zważ na to, nie posiadamy żadnych dowodów, a tylko domysły, one z kolei są rodzajem twórczości, o której los już teraz się obawiamy, stąd nasza rozmowa w tym pięknym otoczeniu, gdzie odbywa się właśnie pokaz psiej mody.

Na tafli stadionu faktycznie zaczyna się pokaz psiej mody jednego z najśłynniejszych dyktatorów psiego świata, Amadeusa Arna.

Ho opuszcza taras, dając nam jednocześnie znak, że za chwilę wróci.

— Co mam w tej sytuacji robić? — pytam Akitę, a ten po chwili milczenia pokazuje mi owalny kształt wyznaczony przez odpowiednie ułożenie kciuka i palca środkowego prawej ręki.

— Jeśli chodzi o Beatę, tylko to — dodaje. — Brak aktywności, milczenie, zero. Musi ci wystarczyć świadomość stanu rzeczy, tylko z tego możesz czerpać siłę. Tylko z tego, że wiesz lub podejrzewasz, jak się sprawy mają. Jeśli chodzi o ciebie, radzę, wykorzystaj możliwości,

jakie dają Związki Rowerowe. Nie licz na Urząd Rejestracji Społecznej.

Patrzę na arenę stadionu. Psy paradują bez udziału właścicieli, jakby prowadzone na niewidzialnych smyczach. Tymczasem wraca do nas Ho.

— Czy już? — pyta Akitę.

— Tak.

* * *

Podchmielony Waldek wyśmiewa moją wiarę w powiązanie Związków Rowerowych z Urzędem Rejestracji Społecznej, a w szczególności w zdolność tego pierwszego do wpływania na terminarz hibernacji. Spiski–śmiski, czary–mary, cuda–niewidy, tajemniczy skarb ducha generała Sikorskiego, mówi. Za tydzień jego etat przenoszą wraz z nim do oddziału fabryki w Rzeszowie i zniknie stąd na długie miesiące, może lata.

Przed dziesiątą wieczorem jedna z jego znajomych przychodzi pochwalić się, że dostała angaż do Domu Instant Gejszy. Nie jest to co prawda Dom Zawsze Jedwabnej Gejszy, ale szczerze mówiąc, z taką urodą to naprawdę szczyt możliwości i niespotykany fuks. Mówi, że już pierwszego dnia wzięła ją „na pokój” jakiś lepszy działacz Związku Rowerowego i tak się spił, że nie chciał mu stanąć i przez cały czas gadał jak najęty o tym, czego to on nie może. Jak zechcę, to dam ci nieśmiertelność, darł się głupi, a nie mógł nawet wstać z wyra, kompletny flak, mówi ta Vanessa, taką ma ksywkę.

— Pamiętasz, jak się nazywał? — pytam, a ona, że chyba oszalałem, kto by takie rzeczy...

— Był z jakiegoś departamentu kursów czy jakoś tak. Nawet gdybym znała jego nazwisko, obowiązuje nas dyskrecja — dodaje z dumą, jako świeżo upieczona profesjonalistka z zasadami.

Waldek kończy piąte piwo i mówi, że to chyba był jakiś pierdolony pedał od gumowego roweru, pogięty ówok z ówkorodu, zwykle marnowanie kasy, nie wykorzystana laska, ludzie, trzymajcie...

13

„Doświadczenie uczestnictwa w ruchu społecznym” — kurs w Związku Rowerowym o ciągle zmieniającym się obrazie świata, o wymogu coraz większej elastyczności, o potrzebie angażowania się w nowe więzi, gwarantujące utrzymanie w ryzach cywilizacji. Wykładowca występuje z zespołem tańca synchronicznego, który, kiedy trzeba, dynamizuje prelekcję. W środkowej części sali co bardziej wrażliwi na rytm oddają się tanecznym harcom.

Po drugim spotkaniu podchodzi do mnie starszy mężczyzna, którego widziałem chyba podczas pierwszej wizyty, kiedy wstępowałem do Związku.

— Pan Chełmicki? Zauważyłem pańskie nazwisko na jednym z formularzy. Znałem pańskiego ojca.

— Poważnie?

— Tak. Pracowałem z nim wiele, wiele lat temu. Przyjaźniliśmy się. Nazywam się Stefan Szczuka.

— Cieszę się.

— To ja się cieszę, że pana tu widzę. Być może będę mógł w czymś pomóc, bo wie pan, ja już w Związkach od dawna jestem...

— Pomóc? Skoro o tym mowa... Przyznam szczerze, jestem trochę zaskoczony szybkim rozwojem wypadków. Ledwo się tu pojawia, a już rysują się jakieś możliwości... Cała ta sytuacja ma dla mnie, przyznam, posmak nieprawdopodobieństwa...

— Rozumiem. Tak można to odbierać. A mogę spytać o powód pańskiego wstąpienia do Związków?

— Byłem ciekaw...

— Tylko tyle? A może ktoś powiedział panu, że tylko tu da się załatwić pewne sprawy?

— Jakie sprawy?

— Niech pan nie udaje, że nie wie. Przede mną nie musi pan udawać. Mnie można zaufać. Przez wzgląd na pana ojca, między innymi...

— Niby z jakiego powodu można by tutaj załatwiać sprawy, których gdzie indziej nie da się załatwić? To wygląda na jakąś, pożałuj Boże, konspirację dla gówniarzy...

— Tak pan uważa? A ja myślę, panie Maćku, że dobrze pan wiedział, w jakim celu tu przychodzi. Uzyskanie wakacji hibernacyjnych to perspektywa nie do pogardzenia dla kogoś w pana sytuacji...

— Owszem, ale na jakiej zasadzie miałbym uzyskać ten przywilej? Co mam dać w zamian? Bo chyba nie powie mi pan, że nic?

Szczuka uśmiecha się pojednawczo i po ojcowsku klepie mnie w plecy.

— Proszę nie traktować tego w kategoriach transakcji. Coś panu powiem. Zna pan niejakiego Akitę Sakai, prawda? I nie przyszło panu do głowy zastanowić się, dlaczego ta trochę niezwykła w pańskiej biografii znajomość nagle rozkwitła w krótkim czasie i dostarczyła panu tylu emocji?

— Skąd pan to wie?

— No tak — uśmiecha się jeszcze bardziej przymilnie — żeby to wiedzieć, nie wystarczyło być znajomym pańskiego ojca... Ale poważnie. Śmiem zauważyć, że ten Sakai nie pojawił się w pańskim życiu ot tak, z niczego.

— A skąd?

— Tego jeszcze nie wiemy, ale możemy się domyślać. Jeśli się nie mylę, to właśnie on namówił pana do wstąpienia do nas? Proszę nie zaprzeczać, wiem, że tak było. Sakai wie o Związkach bardzo dużo, ale dotarł do nieprzekraczalnej bariery, za którą leżą obszary informacji dla niego niedostępnych. Jako obywatel obcej narodowości i rasy, nie może wniknąć w struktury naszego Związku głębiej ani uzyskać informacji, na których mu zależy. Statut Związku wyraźnie mówi, że do tego mają prawo wyłącznie osoby narodowości polskiej.

— Cóż za informacji może pożądać? Jaki kolor szprych będzie modny w następnym sezonie?

— Należy pan do ludzi nie zdających sobie sprawy, czym tak naprawdę są Związki Rowerowe. Chyba nie wydaje się panu, że Związki Rowerowe, które mogą dokonać istotnych wpisów na koncie hibernacyjnym obywatela, są organizacją tego samego rzędu co na przykład Towarzystwo Koedukacyjnej Siatkówki Nietekstylnej?

— Nie mam pewności...

— Oczywiście. Zapewniam, że nie są. I szybko pan to przyzna, ale musimy zacząć współpracę, z korzyścią dla wszystkich...

— A jeśli odmówię?

— Nie ma powodu.

— Sam nie wiem, co o tym myśleć. Widzi pan, jeszcze nie pozbierałem się po stracie kogoś bliskiego... Nie chciałbym nikomu zaszkodzić...

— Nie zaszkodzi pan, zapewniam... Poza tym pańska odmowa wiązać się będzie z wciąż otwartą kwestią pańskiej hibernacji...

— Co miałbym robić?

— To proste. Przekazywać Sakai informacje, które pan od nas dostanie, a które on postrzeżać będzie jako zdobyte na drodze pańskiej związkowej inicjacji.

— Jakiej inicjacji?

— Właściwe członkostwo uzyskuje się na drodze inicjacji, która dostępna jest tylko ograniczonemu kręgowi związkowców. Jeśli da się pan pokierować we właściwy sposób, prawdopodobnie i pana spotka zaszczyt prawdziwej inicjacji. Ale najpierw musi pan wypełnić zadanie, o którym mówiłem. To tak niewiele za naprawdę niemało...

— Mam nadzieję... Ale właściwie dlaczego zależy wam, żeby Akita dostał nieprawidłowe informacje? Dla kogo on pracuje?

— Wystarczy, że nie pracuje dla nas... Zresztą, to na razie nieważne.

— A wy dla kogo pracujecie?

— Żartuje pan? Tylko wiek pana tłumaczy... Przecież jesteśmy Polakami... Proszę się nie martwić, nadrobimy zaległości. W końcu mamy dostęp do... Ale do rzeczy! Za jakiś tydzień przekazemy panu pierwsze informacje. Powie pan, że na podstawie standardowych testów kursowych został zakwalifikowany jako „biały rekrut” i przejdzie pan testy upoważniające do odbycia obrzędu przejścia. Pewnie bardzo się ucieszy na tę wieść... Więc jak będzie?

— Muszę się zastanowić.

— Tylko proszę długo nie zwlekać. To ważne. Najlepiej, żeby decyzję podjął pan teraz.

— Muszę się zastanowić...

W tym momencie stoimy już na parkingu przed regionalną siedzibą Związków Rowerowych, skąd za chwilę ruszymy każdy w swoją drogę. Szczuka oddali się srebrnym honDMW, a ja rowerem pożyczonym od mojego osobistego obconarodowca.

14

Pan Kom ma dzisiaj na sobie ciemnogrnatowy garnitur i połyskuje w świetle lamp jarzeniowych jak mucha z wielkim odwłokiem.

— Przeglądałem pański profilariusz — zaczyna. — Pan wykazuje, zdaje się, zainteresowanie tematem floty japońskiej z okresu drugiej wojny światowej?

— Owszem.

— To pożyteczne, choć oczywiście martwi brak poświęcenia uwagi chlubnym kartom floty polskiej na morzach i oceanach obu półkul...

— Przykro mi.

— Mam rozumieć, że wciąż nie zna pan treści rozmowy, jaką odbył pański pradziadek w październiku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku z dwoma mężczyznami, którzy przynieśli na przechowanie pięć złotych prętów, ani rozmowy, jaką odbył pański krewny sześć lat później z człowiekiem, który zgłosił się po odbiór tych rzeczy? Czy w takim razie jest pan w stanie powiedzieć, co się stało z dziesięciocentymetrowym kawałkiem kruszcu, który mężczyzna odpiłował od jednego z prętów i potraktował jako tak zwany dowód wdzięczności?

— Nie wiem... Może pradziadek dał z tego zrobić obrączkę dla mojej przyszłej prababki, może sprzedał, nie wiem...

Jednak zdaje pan sobie sprawę, że również w odniesieniu do tego fragmentu Polska ma prawo rościć słuszne pretensje? Jest pan w tej nieszczegółnej sytuacji, że zakończono prace nad ustawą o rozszerzeniu pojęcia zobowiązania *giri* na spłatę długów zaciągniętych przez przodków, do trzeciego pokolenia włącznie. Ustawa ta lada moment zostanie uchwalona przez Sejm. Jeśli tak się stanie, a nie widzę powodów, by miało być inaczej, sprawa fragmentu przywłaszczonego złota, jak i brzemień wyjaśnienia losów zasadniczej części skarbu, spadnie na pańskie barki, a odpowiedzialność za te historyczne uchybienia obciąży pana konto. Radzę wziąć to pod uwagę, kiedy po raz kolejny zaprzeczać pan będzie z taką pewnością siebie.

Pan Kom nie próbuje już zachować nawet cienia poprzedniej uprzejmości. Również jego

garnitur, dotąd wyjątkowo starannie leżący na smagłym ciele urzędnika, zawsze nienagannie wymodelowany, teraz wygląda trochę niedbale. Co gorsza, w mocno dzisiaj niedoskonałym świetle gabinetu można odnieść wrażenie, iż ten znakomity uniform nosi ślady zabrudzeń! Spoglądam do góry. Jedna z żarówek w obsadzie staroświeckiego żyrandola, w którym dwa dni temu gmerała młoda asystentka, jest przepalona, a inna świeci słabiej, jakby za chwilę również miała utracić zdolność luminescencji. Pan Kom patrzy na mnie natarczywie, posągowo nieruchomy. Nagle podąża za moimi ukradkowymi spojrzeniami rzucanymi do góry i zawiesza spojrzenie na konstrukcji żyrandola. W powietrzu unosi się zapowiedź jeszcze jednej awantury, tyle że całkiem już współczesnej. I nie wiadomo, co bardziej irytuje i tak już będącego w nie najlepszej kondycji inspektora. Jednak sprawa niewystarczającego strumienia światła w tym momencie odchodzi na dalszy plan.

— Słyszał pan, co powiedziałem?

— Tak...

— Mimo to milczy pan?

— Milczę, bo w tej sprawie powiedziałem już wszystko. Nie chciałem pana denerwować, powtarzając w kółko to samo.

Pan Kom otwiera szeroko oczy, na sekundę podnosi obcasy swoich butów na wysokość kilku centymetrów, po czym opuszcza je z trzaskiem na podłogę z patynowanej klepki dębowej. Jednocześnie jego prawa ręka dosięga przycisku umieszczonego w ścianie tuż pod obrazem przedstawiającym wielkiego białego orła, trzymającego w szponach włócznię, w tle Belweder. Otwierają się drzwi, dotąd dobrze zamaskowane.

— W takim razie zapraszam do poczekalni...

Pozbawiony wyboru, przechodzę do pomieszczenia, w którym nie ma nikogo. Poczekalnia jest wyłożona tapetą z cyklu „Największe osiągnięcia polskiego filmu”.

Godzinę później asystentka — nie ta od wymiany żarówki, tylko zupełnie inna — przynosi szklankę wody. Na pytanie, jak długo jeszcze mam czekać, kobieta nie znajduje najmniejszej odpowiedzi i wychodzi bez słowa.

Oczekiwanie z gatunku oczywistych: zemsta za niespełnienie oczekiwań. Naturalnie należy dać mu satysfakcję, jednak pod koniec drugiej godziny to zadośćuczynienie zaczyna wydawać się zbyt wygórowane. Brak znajomości przepisów uniemożliwia mi ocenę, czy cała ta błazenada z oczekiwaniem jest zgodna z prawem. Próbuję otworzyć drzwi, ale są zablokowane. Decyduję się na postępowanie dość ryzykowne. Głośno wypowiadam zdanie:

— Jak długo jeszcze, do diabła?

Na efekt nie trzeba czekać długo. Z niewidocznego głośniczka odzywa się głos pana Kom:

— Słucham?

— Czy macie prawo przetrzymywać mnie tak długo?

— Tak — wypala z miejsca pan Kom. Jako urzędnik państwowy nie może w tej materii kłamać, więc przyjmuję tę odpowiedź jako wystarczającą. — Czy chce pan numer paragrafu?

— Nie. — Jestem pewien, że paragraf dotyczy dokładnie tej sytuacji. — Po prostu nie spodziewałem się, że spędzę tutaj tak wiele czasu. Czy mogę wiedzieć, na co czekam?

— Nastąpiły nowe okoliczności, które będą mieć raczej decydujący wpływ na postępowanie. W tej sytuacji musi pan pozostać do naszej dyspozycji, ponieważ lada moment będziemy mogli podjąć dalsze czynności.

Głośniczek przynosi głucho puknięcie, które może oznaczać tylko koniec rozmowy.

Jako że poczekalnia nie jest zaopatrzona w egzemplarze kolorowych pism, gazet ani nic w tym guście, powracam do oglądania wielce zajmującej tapety. Moją uwagę przykuwa zdjęcie z pamiętnego filmu „Człowiek z pikseli” Andrzeja Wa, na którym uchylający się od odpowiedzialności politycznej działacz partyjny zostaje gwiazdą przemysłu farmaceutycznego, wykorzystując z powodzeniem umiejętności zdobyte na arenie politycznej. Postać tę grał niezapomniany Cezary Li, który podobno popełnił samobójstwo na

wieść o przejęciu Japonii przez Chiny. Choć według innej wersji przeszedł globalną cielesno — duchową przemianę w jednej z tych niebywale tajemniczych i słynnych klinik doktora Ra i żyje z dala od zgiełku świata, niczym w prywatnym, dobrze strzeżonym Odbiciu.

* * *

Odbiciu... W tej ciszy, dysponując tak znacznym nadmiarem beczynności, powracam mimowolnie do wydarzeń z dwóch ostatnich dni. Linia biegnie od ceremonii pochówku na cmentarzu UTY, potem krótka stypa w bardzo wąskim gronie, gdzie od matki Beaty dostałem niewielkie archiwum córki, skopiowane z komputera naszej drogiej nieobecnej. W tej mieszance zwyczajnych zapisków, ulubionych filmów i baz danych znalazłem zaskakującą informację: Beata posiadała w Odbiciu swoje Miejsce i Postać! Nie wiem, jak to możliwe, nie była przecież kimś, kogo stać na taki zbytek.

Wtargnięcie do Odbicia pozostawało z pewnością poza moim zasięgiem. Lecz wśród przekazanych mi danych było również hasło dostępu oraz identyfikator...

Następnego dnia rozmawiałem o tym z Akitą, a on zaproponował mi, żebym skorzystał z jego Postaci; bardzo bym się zdziwił, gdyby jej nie posiadał. Pozwolił mi wejść do Odbicia i dotrzeć do Miejsca Beaty.

Mimo że byłem podekscytowany perspektywą inicjacji w toni Odbicia, czekałem, aż Akita zada mi jakieś pytanie związane ze Związkami Rowerowymi. Jednak on nie zahaczył o ten temat ani słowem. Może był po prostu bardzo ostrożny. Może jednak to ja uległem zbyt łatwo pewnej sugestii...

Dobrze znaną trasą pokonałem na rowerze dystans między naszymi osiedlami; podróż wydała mi się wyjątkowo nieatrakcyjna, pozbawiona uroku, a czerwona trasa przypominała pas gorącej lawy zdolnej przepalić nie tylko opony, ale też metalową konstrukcję i dobrać się do mojego ciała.

Postać w Odbiciu to aplikacja, która „uczy” się swojego pierwowzoru, swojego rzeczywistego pana, i po jakimś czasie dysponuje czymś w rodzaju szkieletu osobowości użytkownika; jest lepszym lub gorszym cyfrowym odbiciem osoby — dlatego niektórzy nazywają Postać swoim Cieniem. Jeśli uruchomimy Cię pod nieobecność pierwowzoru, Postać, w zależności od stopnia zaawansowania, jest w stanie imitować swego właściciela, choć naturalnie nie wykona zbyt skomplikowanych i samodzielnych operacji. Kiedy Cię porusza się w przestrzeni Odbicia z udziałem swojego pierwowzoru, przejmuje wszystkie jego cechy, choć wygląd „zewnątrzny” nie musi w żadnym wypadku odpowiadać prawdzie. Wygląd kupuje się w niematerialnych biurach korporacji budowania Postaci, a potem ewentualnie modeluje i wprowadza korekty u autoryzowanego technika Powierzchnowości.

Akita udostępnił mi swoją Postać, ale oczywiście dezaktywował na ten czas kilka funkcji, przede wszystkim moduł uczenia się zachowań. W tak ograniczonej formie nie mogłem szwendać się w toni Odbicia, tylko raz dwa dotrzeć do celu, czyli do Miejsca Beaty. Dlatego całą wyprawę sprawnie zainicjował Akita, a kiedy już stanął przed progiem celu, oddał mi gogle i sensory.

* * *

Drzwi były zwyczajne, drewniane. Nie dostrzegłem przycisku dzwonka, więc zapukałem trzy lub cztery razy, a wtedy w miejscu, gdzie mój palec stykał się z powierzchnią drzwi, pojawiła się niewielka półeczka. Z kieszeni binarnych spodni wyjąłem przygotowane z góry hasło — szklaną figurkę węża. Położona na półeczce, otworzyła drzwi.

Wszedłem do dużego jasnego pokoju, złożonego z wielu mniejszych, połączonych ze sobą pomieszczeń. Miejsce urządzone zostało ze sporym przepychem, spojrzenie gubiło się w

nadmiarze kształtów: meble stylizowane na osiemnasto — i dziewiętnastowieczne, sufitowe lampy ginące w istnym deszczu różnokolorowych szklanych paciorków, ściany pokryte obrazami, w których maniera dawnych malarzy spotykała się z całkiem współczesną figuracją. Gdzie tylko okiem sięgnąć, spoglądały na mnie ślepią wypchanych zwierząt, nierzadko ubranych w bogato zdobione kostiumy arystokratów i klaunów: tygrys karmiący dwie małe sarenki, pittbull w stroju baletnicy, niedźwiedź z głową lisa i wielki motyl z tułowiem i odnóżami pająka... W głębi, na złożonym szezlongu, siedziała Beata. Miała na sobie skromną sukienkę, bardzo kontrastującą z przepychem otoczenia, a jej pozę charakteryzował niezwykle spokoj, a jednocześnie rezygnacja i zagubienie. Powoli zbliżyłem się do niej, starając się wyłapać niezgodności czy błędy przedstawienia. Nawet kiedy byłem już nie więcej niż dwa metry od niej, nadal miałem wrażenie, że to naprawdę ona, dokładnie taka, jaką zapamiętałem.

Z początku nie zwracała na mnie uwagi, patrzyła na jeden z przedmiotów. Gdy stanąłem przed nią, przesunęła wzrok na moją twarz i uniosła lekko brwi. W niewielkim lustrze wiszącym na ścianie za szezlongiem widziałem swoje odbicie, a raczej odbicie Postaci Akity, wzorowanej na rzeczywistych rysach jego twarzy. Zatem Beata miała prawo mnie nie rozpoznać.

— Pewnie nie uwierzysz, ale to ja, Maciek... Pożyczyłem Postać, żeby tu wejść... Nie mam swojej, wiesz... Nie wiedziałem, że ty masz własną...

Potem opowiedziałem jej o czymś, o czym wiedzieliśmy tylko my dwoje, a co mogła umieścić — miałem taką nadzieję — w profilu swojego Cienia. Po chwili skinęła głową i uśmiechnęła się obiecująco.

Co dalej? Co miałem jej powiedzieć? Co w ogóle mogłem jej powiedzieć? Przez dłuższą chwilę tkwiliśmy w milczeniu naprzeciw siebie. Wciąż nie potrafiłem zapomnieć, że mam przed sobą oprogramowanie, co prawda bardzo szczególne, przechowujące ślad żywej osoby, ale jednak oprogramowanie. Jak wcześniej bywało w naszym związku, czekałem, aż Beata wykona pierwszy ruch. Ta resztką, pozostałość, półszkielet z jedynek i zer...

Beata bez słowa sięgnęła do torebki leżącej na stoliku z krzywymi nogami, tuż przy szezlongu. Wyjęła z niej coś bardzo małego — dwie złote obrączki. Jedną z nich wsunęła mi na palec, drugą założyła sama, po czym spojrzała mi prosto w oczy. Miała niespotykane smutny wyraz twarzy, w oczach drżały płomyczki nieokreślonej obawy.

Spytałem, skąd ma te obrączki. Beata, nie przestając patrzeć na mnie i nie zmieniając wyrazu twarzy, wskazała wyprostowaną ręką jeden z obrazów. Spojrzałem. Przedstawiał piersie mężczyzny, którego rysy nie były zupełnie obce.

— Kto to jest?

Beata otworzyła usta, ale nie wydała żadnego dźwięku, za to wykrzywiła się w grymasie zapowiadającym rychły płacz. Raz jeszcze, bardzo gwałtownym gestem, wskazała obraz. Ponownie obróciłem głowę w jego stronę. Jednocześnie usłyszałem krzyk mężczyzny. Nie miałem okazji powtórnie przyjrzeć się portretowi ani stwierdzić, kto krzyczy, ponieważ wszystko uciekło mi sprzed oczu — wyleciałem z Odbicia jak nieważna karta płatnicza.

Kiedy Akita pomógł mi z powrotem dotrzeć pod adres Miejsca Beaty, okazało się, że w Odbiciu takiego Miejsca nie ma, ten adres nie istnieje, w lokalizacji jest błąd, to pomyłka, przekłamanie, ślepy zaułek...

— Jak to możliwe?

— Wybierz spośród wielu: może Miejsca nie są takie znowu nietykalne i niezależne?... może właścicielce tego Miejsca tylko wydawało się, że nią jest?... może jest ktoś, kto ciebie zawsze wyprzedza?... — odparł Sakai.

* * *

Teraz, przyglądając się setkom twarzy na tapecie, mam wrażenie, jakby każda z nich miała w sobie coś z tamtej fizjonomii, była częścią portretu z Odbicia; wszyscy są jakby rodem z rodzinnych zdjęć, oblicza ludzi przyporządkowanych w naszej pamięci na pewnych, nie do końca poznanych zasadach... Czuję, jakby pamięć kończyła się tutaj, ostatecznie rozproszona, oddalająca się od dyszy informacyjnego aerozolu, ginąca błyskawicznie i ostatecznie...

15

Wreszcie drzwi poczekalni otwierają się i znów widzę pana Kom. Opuszczam historię kina polskiego i wracam do bieżącej projekcji.

— Proszę wejść — mówi pan Kom.

W pokoju panuje już odpowiednia jasność, wadliwe żarówki ktoś wymienił. Jego garnitur znów jest nieskazitelnie czysty i dopasowany, a twarz inspektora wyraża profesjonalne przekonanie o prawidłowym kierunku rozwoju sfery skomercjalizowanych stosunków międzyludzkich popartych dbałością o wysoką jakość usług.

— Podczas naszego ostatniego widzenia powiedziałem panu o ustawie, która ma niebawem zostać uchwalona przez Sejm. Otóż przyznaję, posiadałem mało ściśle dane. Posiedzenie odbyło się dzisiaj w godzinach rannych i ustawa o rozszerzeniu pojęcia zobowiązania *giri* na spłatę długów zaciągniętych przez przodków, do trzeciego pokolenia włącznie, weszła w życie pięć minut temu. W związku z tym, a także w związku z pańską postawą podczas przesłuchań dotyczących złotych prętów, jestem zmuszony zastosować w stosunku do pana areszt, jednocześnie skierować do sądu sprawę przeciwko panu o wyegzekwowanie zobowiązania *giri* za długi zaciągnięte przez pańskiego pradziadka.

Chciałbym zauważyć, że jesteśmy pierwsi, którzy wypełniają najświeższą obecnie w naszym kraju literę prawa...

Z wąskiej szczeliny w stole wysuwa się zadrukowana i opieczętowana kartka. Pan Kom podaje mi ją jako potwierdzenie swoich słów.

— Nie musi pan jej podpisywać, jest tylko do pańskiej wiadomości.

Zarejestrowaliśmy wszystko, został pan powiadomiony.

Do pokoju wchodzi ubrany na czarno strażnik. Znam tę twarz. Kiedy zakłada mi na rękę kajdanki, wiem, gdzie go poznałem: na urodzinowym przyjęciu Rysia w Sam Raz. To Tadeusz, który podobno pracuje w gazecie. Uśmiecham się do niego i witam po imieniu. Nie odpowiada mi, być może przez wzgląd na pana Kom. W milczeniu wyprowadza mnie na korytarz i kieruje tam, gdzie jeszcze nie byłem.

Chłopaki, wszyscy idziecie do piekła

ANDRZEJ ZIEMIAŃSKI

urodził się w 1960 roku, jest architektem i mieszka we Wrocławiu. Debiutował zbiorem opowiadań *Daimonion* w 1985 roku. Potem opublikował szereg powieści, m.in. *Wojny urojone*, *Bramy strachu*, *Dziennik czasu plagi*, *Zabójcy szatana*, *Nostalgii za Sluag Side* (dwie ostatnie wspólnie z Andrzejem Drzewińskim), oraz *Przeziadkę w przedpieklu* (pod pseudonimem Patrick Shoughnessy). Jako pisarz zamilkł na ponad dekadę, by powrócić już w nowym tysiącleciu opowiadaniem — m.in. *Bomba Heisenberga*, *Waniliowe plantacje Wrocławia*, *Autobahn nach Poznań* — i powieścią *Achaja* (2003, 2004). Laureat Nagrody im. Janusza A. Zajdla i „Sfinksa”.

Czarna wołga podjechała pod budynek Komitetu Wojewódzkiego Partii we Wrocławiu. Wysiadło z niej dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Pierwszy szedł wysoki, barczysty ochroniarz; za nim — działacz terenowej organizacji partyjnej, szpakowaty, lekko pochylony. Kim była kobieta, nie wiedział nikt z obsługi wielkiego budynku położonego nad samą Odrą.

Cała trójka weszła przez ogromne drzwi, skręciła w długi korytarz po lewej. Wspięli się po schodach. Właściwy gabinet znajdował się tuż obok. Ochroniarz został na zewnątrz, a kobieta i starszy mężczyzna, sprawdzeni przez sekretarkę, podążyli do środka.

— Towarzyszu pierwszy sekretarzu — zameldował szpakowaty, zdejmując kapelusz. — Znalazłem ją.

Wielki tłustawy mężczyzna siedzący za biurkiem wskazał obojgu krzesła. Przez prymitywny interkom zamówił kawę. Sam nalał do trzech kieliszków koniak, otrzymany niedawno jako łapówka. Trunek zresztą znakomity, oryginalny, bardzo dobrej marki. Dłuższą chwilę czekali, aż sekretarka przyniesie trzy szklanki wypełnione dziwną cieczą, która w latach siedemdziesiątych płynęła w kranach. Po zagotowaniu zalano nią tak zwaną plujkę; mieloną kawę, która charakteryzowała się tym, że nie opadała na dno po zaparzeniu, kto więc owego napoju spróbował, zaczynał odruchowo płuć, usiłując pozbyć się z ust drobnych ziarenek.

— To na pewno ona, towarzyszu? — spytał mężczyzna za biurkiem, spoglądając na przybyłą ze szpakowatym kobietę.

— Tak, towarzyszu pierwszy sekretarzu. Przeszukaliśmy całe Bieszczady. To cud, żeśmy ją znaleźli.

— Cudów nie ma. — Pierwszy sekretarz otworzył szufladę i wyjął z niej małą kartkę. — Ale spisaście się dobrze. Proszę. To dla was.

Szpakowaty podniósł się z fotela i stanął prawie na baczność. Talon na samochód! Ta karteczka to talon na samochód dla niego! Nie mógł uwierzyć we własne szczęście.

Pierwszy sekretarz spojrzał na kobietę.

— Jesteście, towarzyszy... o, przepraszam. Jest pani wróżką?

Kobieta skinęła głową. Tłusty mężczyzna zapalił carmena. Długą chwilę badał ją wzrokiem.

— Wie pani, w Ameryce, w latach pięćdziesiątych w wielu barach wisiał napis: „Skoro jesteś taki mądry, to dlaczego nie jesteś bogaty?”. Mam w związku z tym pytanie. Skoro potrafi pani przewidywać przyszłość, to dlaczego ani razu nie wygrała pani w totolotka?

Kobieta uśmiechnęła się lekko.

— Pieniądze są mało ważne. Mnie nie kupi pan talonem na samochód.

— A czym mógłbym panią kupić?

— Niczym. Ale potrzebuję pańskiej przysługi.

— Jakiej?

— Dysponuje pan potężną organizacją, monstrualnymi funduszami. Powiem panu, jak przetrwać najgorsze, jak zachować, a nawet pomnożyć pieniądze. Za jedną jedyną rzecz.

Popiół z carmena spadł na blat biurka.

— Co to znaczy „przetrwać najgorsze”?

— Socjalizm w Polsce upadnie. Już niedługo przestanie istnieć Związek Radziecki.

Pierwszy sekretarz wybałuszył oczy, po czym wybuchnął śmiechem. Szpakowaty towarzysz usiłował śmiać się jeszcze głośniejsze, demonstrując swe niezachwiane przekonanie o zwycięstwie socjalizmu.

Wróżka zmrużyła oczy.

— Sprawa, dla której mnie pan wezwał, jest banalna. I od razu udzielę odpowiedzi: tak, będę mogła to przewidzieć.

Choć mówiła cicho, obydwaj rechoczący mężczyźni usłyszeli ją, gdy dodała:

— Ważniejsze, że powiem wam, co zrobić z tymi kontami bankowymi. Wie pan, którymi? Tymi, co nie istnieją i nigdy nie istniały.

Pierwszy sekretarz natychmiast przestał się śmiać. Papieros wypadł mu z dłoni, by dopalać się na pokrytym sukrem blacie biurka. Przez długą chwilę w gabinecie panowała idealna cisza. Wypełniał go swąd tytoniu pomieszany z wonią tłącego się materiału. Szpakowaty mężczyzna wykazał się najlepszym refleksem. Wrzucił niedopałek do popielniczki i, klepiąc otwartą dłonią, zgasił żar sukna.

Pierwszy sekretarz spojrzał na niego, przygryzając wargi.

— Dziękuję wam, towarzyszu. Wykazaliście się dobrą postawą partyjną, udowodniliście, że jesteście zaangażowani. Poruszę to na egzekutywie.

Ponownie wysunął szufladę, wyjął z niej talon na pralkę i podał szpakowatemu, nachylając się nad biurkiem.

— A teraz zaczekajcie na panią w sekretariacie. Odwieziecie ją z powrotem w Bieszczady.

— Dziękuję, towarzyszu pierwszy sekretarzu,

— To partia wam dziękuje. Dobrze się spisaliście.

Po wyjściu mężczyzny pierwszy sekretarz długo sączył kawę, paląc następnego papierosa. Potem warknął:

— Co pani wie o tych kontaktach?

Wróżka uśmiechnęła się ciepło.

— Powiem panu, co zrobić z pieniędzmi i jak je zachować po upadku Związku Radzieckiego.

Tym razem pierwszy sekretarz nie rechotał.

— Powiem panu — kontynuowała — jak zbudować imperium finansowe. Powiem panu, jak odnaleźć zaginionego syna...

Widząc jego szeroko otwarte oczy i drżące nagle dłonie, dodała:

— Żyje, żyje. Spokojnie. — Tym razem ona się roześmiała, — jak partyjniak wzywa na pomoc wróżkę, to chodzi o coś, z czym milicja nie może sobie poradzić — odgarnęła jasne włosy. — Ja sobie poradzę.

— Na pewno?

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Tak.

— Co mam dla pani zrobić? — spytał zupełnie poważnie. Pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego Partii we Wrocławiu rozmawiający z wróżką. Surrealizm. Ale dziewczyna potrafiła go przekonać. Samą swoją postawą. Wyrazem twarzy. Gdzieś w podświadomości odzywał się nieufny głos: „No, ale przecież nie ma prawdziwych wróżek!” Sam jednak kazał ją sprowadzić, zdesperowany po zaginięciu syna.

— Znajdzie go pani? Naprawdę żyje?

— Tak.

Westchnął ciężko. Ale się uspokoił.

— Co mam dla pani zrobić?

Przynajmniej był rzeczowy. Po raz pierwszy poczuła do niego cień sympatii. Wyjęła z torebki zatkaną korkiem probówkę z jakimś płynem, fiolkę ze spirytusem, kłębek waty i strzykawkę.

— Cena będzie bardzo wysoka.

— Jaka? Dwie walizki nielegalnych baksów?

Wzruszyła ramionami.

— Nie zależy mi na pieniądzach. Ale... jestem patriotką. Rozpocznie pan misję w czasie.

— Jaką?

— Taką, która zostanie zrealizowana po dziesiątkach lat.

Zdusił papierosa w popielniczce. Znowu zwątpił. Przez chwilę wydawała mu się osobą rozsądną, a teraz... Przypomniawszy sobie jakieś opowiadanie science fiction, które czytał za młodu.

— Wie pani — skrzywił się. — Nie mamy maszyny czasu.

— I nie potrzebujecie. Wykorzysta pan część pieniędzy, które pomogę panu pomnożyć, i jedną rodzinę.

— Nie rozumiem.

— Chcę jednej rodziny, która będzie szkolić swoje dzieci, a one będą szkolić swoje dzieci, aż do skutku. Do wypełnienia misji. Za kilkadziesiąt lat. Gdy będzie pan już od dawna martwy. Ja zresztą też. Ale zależy mi na tym.

Zacisnął zęby. Potem zerknął na oprawioną fotografię syna.

— Jaka to misja?

Kobieta wbiła igłę strzykawki w korek probówki. Odsuwając tłok, napełniła pojemnik mętnym płynem. Odwinęła sobie rękaw. Wata i spirytus. Zdezynfekowała skórę. Pomagając zębami, zacisnęła gumową rurkę wokół ramienia. Obróciła strzykawkę igłą do góry i przycisnęła lekko, aby się upewnić, że nie pozostało w środku powietrze.

— Mam wezwać lekarza? — spytał pierwszy sekretarz.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Uderzyła się kilka razy dłonią w zgięcie ramienia, a potem wbiła igłę w żyłę. Cofnęła tłok, mieszając płyn z krwią.

— Czy odnajdzie pani mojego syna? — spytał sekretarz. — Jaką misję mam spełnić?

— Zaraz się dowiesz. — Kobieta przycisnęła tłok strzykawki. Chwilę później zaczęła wyc.

* * *

Trójkąt Bermudzki to nieoficjalna nazwa pewnego obszaru Wrocławia, która wzięła się stąd, że w niewytłumaczony sposób znikają tam różne rzeczy. Co gorsza, znikali też ludzie. Milicja twierdziła, że to po prostu dzielnica o najwyższym wskaźniku przestępczości w mieście. Ale funkcjonariusze nie mieli racji. To że ktoś został obrabowany, chłaśnięty nożem po gardle albo walnięty „brykówą” w tył głowy, w żaden sposób nie tłumaczyło, jakim cudem ciało dematerializowało się następnie w starej, niemieckiej studziencie ściekowej. Nie udało się go znaleźć i już. Trójkąt Bermudzki.

Potem, w roku 1997, wielka powódź doprowadziła do zawalenia się części budynków. Wzniesiono nowe, a stare remontowano, czasem zostawiając tylko fasady i sprzedając za ciężkie pieniądze. Dzielnica traciła złą sławę. W roku 2020 kolejny wielki kryzys sprawił jednak, że w ciągu kilku lat odzyskała „dawny blask”. Znowu zaczęto ją nazywać Trójkątem Bermudzkim. Po raz kolejny w dziejach Wrocławia rzeczy i ludzie znikali tam w niepojęty sposób. Żadnych zwłok, żadnych ukradzionych przedmiotów, żadnych samochodów nie udało się nigdy znaleźć. Czarna dziura. A poza tym, mimo gęstego zaludnienia i bezdomnych

koczujących wśród ognisk pod gołym niebem, nigdy nie było świadków zbrodni — dematerializowali się w równie niewytłumaczalny sposób.

Dobrze, że Wrocław nie ma dostępu do morza. Znikające krążowniki mogłyby przyprawić rząd o niezły ból głowy. Chociaż zagubiony czołg podczas pacyfikacji zamieszek też stanowił niezłą zagadkę.

Kilkadziesiąt lat później, mniej więcej w połowie stulecia, pod koniec grudnia, pewien mężczyzna przekroczył granicę Trójkąta Bermudzkiego. Miał na sobie militarny kamuflaż przypominający łachmany bezdomnych usiłujących się ogrzać przy ogniskach w koszach na śmieci. Nawet twarz pomalował tak, że sugerowała zarazem odmrożenie, jak i skrajne wyczerpanie. Przekradał się powoli pomiędzy skostniałymi ludźmi, udając chwiejny, niepewny chód.

Mężczyzna był snajperem. Łachmany kryły mały karabin steyera. Przyszedł tu w jasno określonej misji. Ktoś miał dzisiaj zostać wysłany do pewnego świętego. Konkretnie do Świętego Piotra.

* * *

Z naprzeciwka zbliżał się człowiek będący dokładnym przeciwieństwem snajpera. Miał na sobie fantastyczną kurtkę z prawdziwego puchu kaczego. Na pewno kosztowała co najmniej kilka tysięcy zasiłków dla bezrobotnych. Spodnie jeszcze lepsze: czyściuteńkie, lśniące, podkreślające jego kształtne, proste nogi i wąski tyłek. Buty — zupełny odlot. Musiały mieć coś wmontowane w podeszwy — bo przecież nie da się stąpać tak lekko.

Ludzie odwracali głowy, żeby się mu przyjrzeć. Wymuskany paniczyk miał na oczach ciemne, przeciwsłoneczne okulary. W nocy, w grudniu, w śnieżnej zamieci? Noktowizory, przyrządy na podczerwień, radary — nieważne. „Już stąd nie wyjdiesz, gościu! Znikniesz jak wszystko inne! A sama twoja kurtka wyżywi przez rok parę osób”.

Mężczyzna jednak nie przejmował się wrogimi spojrzeniami.

* * *

Snajper był już blisko. Zobaczył dwóch ludzi siedzących przy ognisku. Chłopak w wieku około szesnastu lat, owinięty w dwa koce, i siwiuteńki, brodaty starzec o trzęsących się rękach. Snajper nie mógł dobrze wymierzyć w śnieżnej zamieci. Podszedł jeszcze bliżej. Wycelował w chłopca. Ten jednak kątem oka zauważył ruch. Przez zasłonę wirujących, białych płatków dojrzał snajpera.

Jedna krótka chwila. A dla niego — koniec świata. Fachowiec z supernowoczesną bronią i biedny, dygoczący z zimna chłopak.

Nastolatek zobaczył nikłe odbłaski namierników. Był pewien, że kula jest przeznaczona dla niego. Nie miał pojęcia, dlaczego, ale wiedział, że umrze. Drżenie wychłodzonego ciała ustało. Nie był tchórzem. To po prostu koniec świata. I już.

* * *

Mężczyzna w eleganckiej, puchowej, czarnej kurtce dotarł właśnie do celu swojej wędrówki. Jeden z rękawów rozszerzył się nagle i prosty mechanizm włożył mu w dłoń przymocowany do przedramienia pistolet już przeładowany i odbezpieczony.

Świat nie kończył się jednak. A przynajmniej nie dla chłopaka.

* * *

Snajper nie miał żadnej szansy. Miękką, bezpłaszczową kulą trafiła go prosto w potylicę. Druga — z jego głowy zrobiła miazgę.

Ludzie wokół wstawali, zszokowani hukiem. Nie uciekali. To nie była przecież zwykła dzielnica. To był Trójkąt Bermudzki. Podchodzili bliżej, z ciekawością przyglądając się paniczekowi, który nie opuści już tego kwartału; na pewno nie żywy.

* * *

Chłopak przy ognisku powiedział cicho:

— Dziękuję.

Mężczyzna w eleganckiej kurtce podszedł ku rozpalonemu do czerwoności koszowi na śmieci. Przykucnął.

— Pozwolą panowie, że się przedstawię?

Jego słowa i przesadnie poprawny sposób wyrażania się robiły większe wrażenie niż strzały z broni palnej. Wybałuszyli nań oczy. On sam jednak nie przejmował się, że wygląda jak rajski ptak w latrynie. Kontynuował spokojnym tonem.

— Nazywam się Maciek Śleszyński. Ten tam — wskazał kciukiem na trupa snajpera, którego właśnie ograbiano z dobytku — został wysłany, żeby cię zabić.

— Wiem. Widziałem — powiedział chłopak. Zdecydowanie nie był tchórzem. — Ale kto chciałby mnie zabić? Po co?

— To trochę bardziej skomplikowana sprawa. Proszę, oto mój bilet wizytowy. — Śleszyński podał mu srebrny kartonik. — Gdybyś miał jakieś kłopoty, zadzwoń, przyjdź, skontaktuj się.

— Ale... Ale o co w tym wszystkim chodzi?

— On miał cię zabić, żeby mógł przeżyć ten staruszek — wskazał palcem na siwowłosego brodacza, który obserwował scenę zbaraniały. — A moje zadanie jest odwrotne. Rozumiesz?

Chłopak udowodnił, że zdecydowanie nie był też idiotą.

— O Jezus Maria! Nie zrobisz tego!

— Zrobię — powiedział beznamiętnie Śleszyński i zastrzelił staruszka. Czysto, prosto w czoło.

— Jezus, Jezus, Jezus... — chłopak ścierał rękawem krew z twarzy.

— Nie wzywaj imienia Pana naszego nadaremno — zakpił Śleszyński, Wstał lekko. Rękaw kurtki rozwinął się znowu i mechanizm na przedramieniu schował broń.

— Pamiętaj: coś ci zagraża, czujesz się źle, samotny... Zadzwoń — uśmiechnął się sympatycznie, acz nadal kpiąco.

Mieszkańcy Trójkąta nie zamierzali mu jednak darować.

— Zabić go! Zabić go! — krzyczał jakiś obdartus. — Załatwił dwóch naszych!

Śleszyński podszedł do niego, popatrzył prosto w oczy.

— Słucham?

Tamten wyraźnie wymiękł, stojąc twarzą w twarz z uzbrojonym mężczyzną. Rozejrzał się po innych bezdomnych. Ktoś skryty w tłumie podjął okrzyk:

— Weźcie brykowsy i cegły! Załatwimy go!

Tłum wokół zaczął podnosić narzędzia zbrodni prosto z ulicy. Czarna kurtka rozchyliła się znowu. Tym razem na plecach. Wypadło z niej małe, metalowe pudełko, Ci, którzy kiedyś służyli w wojsku, rzucili się natychmiast do ucieczki. Pozostali patrzyli ze zdziwieniem, jak Wiedźma 7 rozkłada pajęczę nogi. Żadne zachodnie bajeranctwo: normalna, wojskowa seria z fabryki w Mielcu.

Wiedźma otworzyła na razie tylko jedno oko i przyglądała się otoczeniu. Tłum jednak

instynktownie zrozumiał, że lepiej się cofnąć.

— Dobranoc państwu — powiedział Śleszyński i spokojnym krokiem ruszył wzdłuż ulicy. Wiedźma truchtała za nim na swoich pajęczych nogach, odwrócona tyłem. Coś musiało być nie tak z krajowym oprogramowaniem, bo metalowa powłoka drugiego oka drgała nieustannie. I — natychmiast to pojęli — lepiej, żeby się nie otworzyła. Wykonali klasyczne „padnij”, uciekali, kryli się za nieczynnymi latarniami... Cholera wie, co wykombinowali nasi inżynierowie?! A jak odpali z drugiego oka? Boże, o czym myślał konstruktor, który to stworzył? Co pił? Ja cię pierdolę! — zaraz odpali ze wszystkich oczu! Panika rosła.

Wiedźma jednak była dobrze zaprojektowana. Po zrobieniu kilkudziesięciu kroków wskoczyła Śleszyńskiemu na kark, zwinęła nogi i wpełzła z powrotem pod elegancką kurtkę.

* * *

Chłopak prawie zasypiał w sążnistej kolejce do biura pomocy społecznej. Przedtem w Urzędzie Zatrudnienia powiedzieli mu, że szesnastolatkom żaden zasiłek nie przysługuje. Posłali go do schroniska Brata Alberta. Dowiedział się tam, że i tak mają przepelnione sale. Wysłali go do sióstr urszulanek, gdzie usłyszał, że chłopców nie przyjmują. Polski Czerwony Krzyż z kolei nie zajmował się indywidualnymi przypadkami. Caritas miał go gdzieś. Pozostała Państwowa Opieka Społeczna.

W korytarzu prowadzącym do biur opieki, gdzie wiła się długa kolejka, samotna kobieta siedziała na jedynym ustawionym pod ścianą krześle. Nie interesowała się w ogóle ludźmi wokół i ani razu nie spojrzała na z rzadka otwierające się drzwi, na które wszyscy patrzyli z nadzieją niczym na wrota Sezamu. Kobieta miała na sobie krótki płaszcz, który otulał ją jak migoczący zwój światła. Spod niego wystawały kształtne nogi w połyskujących złoto pończochach. Buty na wysokim obcasie dopełniały obrazu, zupełnie nie pasującego do przepychających się łachmaniarzy.

Dwóch mężczyzn, którzy zatrzymali się przy chłopcu, wywołało jednak jej reakcję. Wstała energicznie i podeszła bliżej.

— Wyskakuj z forsy, mały — powiedział jeden z mężczyzn.

Kobieta rozwinęła elektryczną nahajkę i smagnęła go przez plecy. Szok, rozerwane ubranie, rozcięta skóra, oparzenia trzeciego stopnia. Drugi cwaniak miał jeszcze większego pecha. Dostał prosto w twarz. Wyjąc, poleciał w tył i wbił się wprost w ściśnięty w kolejce tłum.

Elektryczny pejcz zwinął się wokół nadgarstka kobiety w gustowną bransoletę, ale nadal łypał zimnym ślepiem, gotowy do natychmiastowej reakcji.

— No, trzymaj się, mały — powiedziała. — Dzisiaj już ci chyba nic nie zagraża.

Chłopak wyskoczył z kolejki.

— Jezu... Niech mi pani powie... Co się dzieje?

— Nie jestem od wyjaśniania — odparła. — Masz pytania? Zadzwoń do mojego brata.

— Do tego z wielkim pistoletem?

— Dał ci chyba bilet wizytowy.

Miała tylko kilka sekund, zanim wpadną tu ochroniarze, zaalarmowani tym, co widzieli na monitorach. Ruszyła w stronę wyjścia.

— Proszę pani! — pobiegł za nią. — Wy mnie chronicie?

Nie odpowiedziała.

— Przepraszam. Ale czy nie mogłaby mi pani dać... pożyczyć kilku groszy na chleb? Umieram z głodu!

Zerknęła przez ramię.

— Nie. Nie jesteśmy po to, żeby ci pomagać, Mamy cię tylko chronić.

Przyspieszyła kroku. Chłopak został z tyłu.

— Mam wrażenie, że mnie pani nie lubi.

Zatrzymała się na krótką chwilę. Odwróciła. Popatrzyła mu prosto w oczy.

— A jak lubić człowieka, przez którego zmarnowałam sobie życie? — prawie szepnęła, ale dosłyszał.

Potrząsnęła głową i ruszyła biegiem. Otworzyła drzwi dokładnie w momencie, kiedy na schodach słychać już było łoskot podkutych butów ochroniarzy.

* * *

Źli ludzie zabili kogoś luźno powiązanego z misją i jego ciało podrzucili do sypialni w luksusowej willi. Umieścili je w wielkim, małżeńskim łożu i przykryli kołdrą.

Śleszyński wrócił do domu późną nocą. Nie chciało mu się nawet zapalać światła. Był zbyt zmęczony. Zrzucił ubranie w salonie. Potem szybki prysznic. Nagi przeszedł do sypialni i po omacku włożył przygotowaną wcześniej piżamę. Ledwo się położył, kiedy zadzwonił telefon.

— Chcę się z panem spotkać — powiedział chłopak.

— Nie ma sprawy.

— Ma pan coś do pisania?

— Moment.

Śleszyński zapalił światło. Notes leżał na stoliku nocnym. Ale nie było długopisu. Rozejrzał się — i zobaczył trupa. Szybko przeszukał kieszenie zakrwawionej marynarki. W wewnętrznej znalazł staroświeckie pióro. Zębami zerwał nakrętkę.

— Mogę notować.

— Podam panu adres, gdzie się spotkamy.

— Dobrze... jutro będę.

Odłożył słuchawkę i dokładnie zakręcił pióro. Było naprawdę fajne. Staroświeckie, kute metalem na obrzeżach, istne чудо.

Jeszcze raz zerknął na trupa. Zawiadamiać teraz policję? Nie. Cholernie chciało mu się spać. Jutro, Zerwał ze zwłok kołdrę i przykrył się starannie. „Tobie już i tak niepotrzebna”.

* * *

Chłopak zaprosił Śleszyńskiego do taniego baru przy Dworcu Głównym Kolei Podziemnych. W starym budynku zlikwidowano naziemne tory i zostało sporo miejsca na historycznych peronach. Zbudowano więc tam wiele tanich knajpek. Jedna powstała nawet w starej lokomotywie, która jeździła wokół dworca na jedynym zachowanym torowisku.

Chłopak myślał, że postępuje wyjątkowo sprytnie. Może przy okazji jego gość postawi mu obiad? Zawiódł się. Śleszyński zamówił tylko kawę. Sobie.

— Co mógłbym dla ciebie zrobić? — spytał.

— Na przykład pożyczyć trochę pieniędzy.

— A masz z czego oddać? Będziesz miał?

Chłopak potrząsnął przecząco głową i powiedział:

— Przepraszam. Nie przedstawiłem się wtedy. Nazywam się Krzysztof Walicki.

— Wiem, kim jesteś.

Chłopak przez dłuższą chwilę zbierał myśli.

— Ryzykuje pan dla mnie życie. Dlaczego nie chce mi pan postawić głupiego obiadu? Czemu?

— Nie jesteśmy po to, żeby ci pomagać, mały. Jesteśmy wyłącznie po to, żeby cię chronić.

— Nie rozumiem. Zabił pan z mojego powodu dwóch ludzi, a nie chce mi pan postawić rosołu czy kurczaka?

— A co mnie to obchodzi? Zmarnowałem sobie życie przez ciebie — Śleszyński

nieświadomie powtórzył słowa swojej siostry. — Jeśli sądzisz, że cię lubię, to jesteś w błędzie.

— Dlaczego mnie chronicie?

— Nie mogę ci powiedzieć. Bo być może zmieniłbym historię, która jeszcze się nie zaczęła. A to nie jest moim zadaniem.

Chłopak ukrył twarz w dłoniach,

— Kto chce mnie zabić?

— Żli ludzie, którzy nie chcą, żeby historia się spełniła.

— Kto?

— Nie powiem. Ale nie bój się. Oni działają w dużej mierze na ślepo. My mamy lepsze informacje.

— Jakie informacje, do kurwy nędzy?

— Pochodzące z wczesnych lat siedemdziesiątych zeszłego wieku.

— Co...?

— Uspokój się. — Śleszyński podniósł do ust filiżankę z kawą. — Twoja praprababka postanowiła zadbać o ciebie. A jednocześnie zrobić coś dla nas wszystkich. Stała na głowie i uruchomiła piekielną maszynę opresji, która toczy się przez dziesięciolecia, by wypełnić tę misję. — Pociągnął mały łyk i skrzywił się. Kawa na dworcu nie miała jakości, do jakiej przywykł. — Ona stworzyła imperium finansowe tylko po to, żeby uruchomić tę koszmarną maszynę.

— A... ci ludzie, którzy chcą mnie zabić? Kim są?

— Nie o twoją śmierć im chodzi. Zaczęli swoją misję dużo wcześniej niż my. Nie bój się. Do pewnego momentu gwarantuję, że nic ci się nie stanie. Potem będziesz musiał radzić sobie sam.

— Do jakiego momentu? — Chłopak aż podskoczył na tandetnym, plastikowym krześle.

— Do spełnienia się ostatniej przepowiedni.

— Kurde, co za bzdury mi pan tu wciska?

Śleszyński tylko się uśmiechnął.

— Nie chcesz, nie wierz. Twoja sprawa. Nie moja. Ja zasrałem sobie życie tylko po to, żeby cię chronić. I więcej ode mnie nie oczekuj.

Chłopak dyszał jak po ciężkim biegu.

— Co mam robić? — prawie krzyknął.

— Co chcesz. To twoje życie.

Chłopak zerwał się z krzesła.

— Może przynajmniej jakąś radę mi dasz, człowieku!

— Dam ci radę, jaką każdy rodzic daje dziecku. Ucz się! Zrób z siebie prawdziwego człowieka. Cała wiedza świata jest przed tobą. Przyjmij ją.

— Tylko tyle? — zachnął się chłopak. — A za co, kurwa?! Za co? Jak nie stać mnie na głupi obiad! Skąd mam wziąć pieniądze na naukę?

Śleszyński ponownie się uśmiechnął.

— Twoi rodzice dali ci podstawy. Głupi nie jesteś. Gdy zginęli i mieszkanie przejął bank, to mimo szoku, mimo rozpacz, nie stoczyłeś się. Nie dajesz dupy gejom na Gwarnej, nie żebrzesz pod kościołem na kolanach, Nie jesteś tępakiem. Jak się kształcić? — powtórzył. — Wymyśl!

Śleszyński wstał, rzucił na blat pieniądze za kawę plus napiwek i odszedł bez słowa.

Chłopak siedział otępiąły, ze wzrokiem wbitym w zbliżającą się kelnerkę. Ich spojrzenia spotkały się. Uśmiechnęła się lekko. I wtedy chłopak zaczął myśleć.

Dopił szybko prawie nietkniętą kawę Śleszyńskiego. Chwycił cukierniczkę i drobne z blatu stolika, po czym rzucił się do ucieczki.

* * *

Obsługa megamarketu w podziemiach Wzgórza Partyzantów zdawała się spać. Chłopak umył się w ubikacji; usiłował też doprowadzić do w miarę przyzwoitego stanu swoje ubranie.

Najpierw ukradł flamaster. Ale nie zamierzał go wynosić z megamarketu, więc nie musiał się przejmować sygnalizatorami. Poszedł do działu książek i nabazgrał coś szybko na kilku okładkach. Na razie nie popełnił żadnego przestępstwa. Pieniądzy wystarczyło mu jedynie na małą porcję żeberek w miodzie na stoisku spożywczym. Ale poprosił o duży papierowy worek. Na innym stoisku wypakował z fabrycznych plastików czytnik książek i włożył go do worka z żeberkami. A potem rąbnął książki, które wcześniej podpisał, i porzucił flamaster, upychając go między opakowaniami z kawą.

Przy kasie żebereka przejechały przez lasery gładko. Chłopak zapłacił i schował je wraz z czytnikiem do kieszeni. Książki oczywiście zapiszczały na bramce. Ochrona obudziła się z letargu.

— Co tam masz?

— Książki, proszę pana.

— Pokaż! Kradzione, tak?

— No jak, kradzione! Przecież jest na nich dedykacja od autora. To mój profesor z uczelni. Jestem jego najlepszym studentem.

— To dlaczego piszczą na bramce?

— Nie wiem. Kupiłem je tu dwa tygodnie temu. I nigdy nie piszczały.

— A po co je nosisz ze sobą?

— Bo jutro mam egzamin. Uczę się nawet w kolejce.

Oglupiały ochroniarz zerknął na śliczną dedykację opatrzoną datą sprzed dwóch tygodni.

— I to ma być student? — westchnął. — Jezu... co za dzicz.

— Proszę?

— No przecież książki trzeba dezaktywować po kupnie. To powinien zrobić kasjer!

— No to dlaczego nie zrobił?

Ochroniarz znowu westchnął. Załamał ręce.

— To się robi tak. Patrz.

Wsunął do dezaktywatora własny identyfikator oraz książki.

— O! Już nie będą piszczeć. I pamiętaj o tym! — rozejrzał się wokół. — A który to był kasjer?

— Taki wysoki, dość chudy.

— Masz rachunek?

— A pan ma rachunek za chleb, który pan kupił dziś rano?

— Która to była kasa?

— Nie wiem. Gdzieś tam — chłopak zatoczył ręką koło.

Ochroniarz przygryzł wargi.

— Dobra. Możesz iść. Ja już się zajmę szukaniem kasjera...

— Ale, proszę pana! Nie chcę być uważany za złodzieja. Zadzwońmy na policję i do mojego profesora, żeby potwierdził dedykację, ja...

— Spadaj! Kasjerem zajmę się ja!

— A jak mnie widział ktoś z uczelni? Zadzwoń do Państwowej Inspekcji Handlowej!

— Dzwon, gdzie chcesz. Spadaj.

* * *

Na wyższą uczelnię dostał się bez trudu. Naprawdę przyłożył się do nauki. W Trójkącie Bermudzkim wyszukiwał co bardziej zapamiętanych profesorów, którzy utknęli tam z powodu

nałogu lub klęsk życiowych. A oni chętnie udzielali konsultacji, gdy tylko nie byli zbyt napici. Przypominało im się dawne życie, to sprzed wody i sprzed wszystkich nieszczęść, które zepchnęły ich do tego zakątka popaprańców.

Chłopak zdał egzamin wstępny jako jeden z lepszych. To była państwowa wyższa uczelnia. Nie wymagano więc opłaty z góry. Miał cały miesiąc na uiszczenie należności. Złożył podanie o stypendium, ale oczywiście odrzucono je natychmiast — za dużo chętnych.

A potem...

A potem poznał zjawiskową kobietę. Studentkę z wyższego roku. Zdecydował przypadek. Zaczęli rozmawiać na korytarzu i chłopak w desperacji, żeby ją czymś zainteresować, rzucił nagle:

— Wiesz... Jestem agentem tajnych służb rządowych!

Parsknęła śmiechem.

— Agent? W tak nędznym ubraniu?

— Muszę się kamuflować.

Zaczęła chichotać.

— Chłopaki już różne głupoty usiłovali mi wcisnąć. Ale to jest największy kretynizm, jaki słyszałam.

Coś go nagle olśniło — rozwiązanie wszystkich problemów.

— Myślisz, że kłamię?

Pogardliwie machnęła ręką. Śmieszył ją. „Agent” w łachmanach. Akurat. Mężczyźni już wiele pierdoł jej opowiadali, choć rzadko aż tak naiwnych.

— Testosteron story — pomachała mu na pożegnanie.

— Jak masz wolne pięć minut, to zaczekaj chwilę przed dziekanatem. Zobaczysz fajną akcję.

— Taak? Chętnie. — Sądząc po kpiącym uśmiechu, nie daruje sobie upokorzenia pętaka.

— Powiedz mi tylko, kto tu handluje narkotykami. To muszę rozwiązać w pierwszej kolejności.

Była teraz wzorem uprzejmości.

— Ależ proszę. Gruby ze swoim gangiem. Ale jego nawet policja za bardzo nie rusza.

— Czyżbym nie mówił ci, że jestem agentem tajnych służb?

Nawet nie chciało jej się roześmiać.

* * *

Grubemu łatwo było podpaść. Na głośny ryk: — Ty pierdolony handlarzu narkotyków! — chwycił kij bejsbolowy i razem ze swoim gangiem zaczął gonić chłopaka. Ten jednak uciekł do dziekanatu.

Na szczęście udało mu się dość szybko dostać przed oblicze samego dziekana.

— Proszę pana, mam pewną sprawę — powiedział do nobliwego profesora w szarym garniturze, kładąc przed nim swoje podania o stypendium i miejsce w akademiku. — Dobrze byłoby, gdyby pan to podpisał.

Dziekan ledwie zerknął.

— Widzę tu pieczętki „odrzucono”.

— No właśnie. A ja jestem synem pewnego wysoko postawionego człowieka. Ojciec nie chce, żebym żył w cieplarnianych warunkach. On, wie pan, robotnik, który sam z siebie doszedł tak wysoko. I... niestety, chce, żebym skończył studia jak zwykły człowiek.

— Syn kogoś z rządu? — Dziekan uśmiechnął się dokładnie tak samo, jak przedtem dziewczyna. — A może od razu samego pana prezydenta?

— Nie, nie, nie... Wujka w to nie mieszajmy. Jego nazwisko absolutnie nie może się tu pojawić.

Stary profesor oklapł za biurkiem.

— Czy mógłby pan przestać belkotać? I oddalić się na zajęcia?

— Jasne, ja chcę tylko uprzedzić, że prowadzenie przez syna życia zwykłego człowieka nie zwalnia ojca od odpowiedzialności za jego bezpieczeństwo. Muszę pana uprzedzić, że na terenie szkoły będą przebywać moi ochroniarze. Jeśli pozwoli pan ze mną, to ich panu wskażę dla identyfikacji.

— Świetnie. — W umyśle profesora pojawiła się nadzieja na szybkie pozbycie się mitomana. — Chodźmy!

* * *

Gruby już czekał ze swoim gangiem. Na widok chłopca wziął szeroki zamach kijem bejsbolowym.

— Bij tutaj — powiedział chłopak, usłużnie pochylając głowę.

Śleszyński wyszedł z ukrycia i strzelił Grubemu w prawy bark. Studenci w panice padli na ziemię. Strzelił raz jeszcze, posyłając dealera do tego świętego, którego imię wypadło mu z pamięci. Siostra Śleszyńskiego, która wyszła właśnie z damskiej ubikacji, rozwinęła swój elektryczny pejcz i przyłała trzem pozostałym członkom gangu. Poza kilkoma osobami, nikt w zasięgu wzroku już nie stał na nogach.

Potem rodzeństwo dyskretnie usunęło się z widoku.

— Ojej. Jaka akcja — zażartował chłopak, zerkając na profesora. — Przepraszam, że tak wypadło. Chciałem ich panu przedstawić nieco bardziej kulturalnie.

Dziewkan obserwował zdarzenia szeroko otwartymi oczami; ledwo trzymał się na nogach.

— Spokojnie, spokojnie. Wszystko zostanie wyciszzone, policja nie będzie się czepiać uczelni. Aha... i jeszcze jedna sprawa. Czy podpisał pan już moje podania?

— Za... za... za...

— Słucham?

— Zaraz podpiszę!

— Dziękuję serdecznie. Tylko błagam. Nazwisko wujka, ups, to jest pana prezydenta, chciałem powiedzieć, nie może się pojawić w związku z tą sprawą.

— Tak. Oczywiście!

Chłopak podszedł do dziewczyny, która tak mu się podobała; kuliła się za najbliższym filarem.

— Słuchaj, przepraszam. Popatrzyła na niego błędnym wzrokiem — Zaprosiłem cię na akcję, ale nie sądziłem, że dojdzie do strzelaniny. No po prostu szlag mnie trafia! Nie narażałbym cię dla obejrzenia egzekucji głupiego dealera.

Nie mogła nawet mrugnąć. Jej oczy wielkością już przypominały spodki od filizanek.

— Wiesz, jak to jest — ciągnął bajer. — Moich podwładnych czasami ponosi. No i co teraz? Jestem zdekonspirowany. A muszę tu jeszcze przekiblować pięć lat. Takie mam zadanie.

— Za... za... za...

— Słucham?

— Zaprosisz mnie na kawę?

— Z przyjemnością. Tylko muszę poczekać na stypendium. W kawiarni nie wolno mi korzystać z tajnych funduszy operacyjnych.

* * *

Wieczorne wiadomości donosiły o wspaniałej akcji spec-służb w walce z „zabójcami dzieci”. Śleszyński mógł wiele, a imperium finansowe, którego był częścią, mogło jeszcze

więcej.

Dziekan, obejrzawszy program, zadzwonił do księgowego uczelni.

— Słuchaj. Mam specjalnego studenta, jego ojciec musi wiedzieć, jak bardzo staramy się w sprawie jego syna.

— No, to damy stypendium, jakieś nagrody za wybitne osiągnięcia, puchary...

— A jak nie będzie miał wybitnych osiągnięć w nauce?

— Zadzwoń do kolegów i powiedz, żeby dostawał same piątki. A ja mu okolicznościowe dyplomy i nagrody ukręcę z budżetu.

* * *

Te same wiadomości oglądało kilka studentek w akademiku. Kiedy mignęła twarz chłopca, jedna z nich powiedziała z dumę:

— To mój chłopak.

Pozostałe zainteresowały się żywo.

— I co? Spałaś już z nim?

— Jeszcze nie. Zaprosił mnie na kawę.

— I co? I co?

— Dajcie mi trzy tygodnie. Owinę go sobie wokół palca. — Wydęła kształtne wargi. — To tajny agent! — dobiła koleżanki.

* * *

Studia, gdy już się miało stypendium, akademik, śliczną koleżankę i ciche wsparcie wykładowców, okazały się bardzo przyjemne. Walicki zaczął się przedstawiać nazwiskiem — określenie „chłopak” przestało mu się podobać. A poza tym doroślał. Dał się owinać dziewczynie wokół palca i to owinięcie strasznie mu się podobało. Ale też wszystkie dyszane wprost do ucha „Och, och!, oooooch!!!” zdecydowanie były warte całego zachodu. Stawał się powoli mężczyzną.

Pod koniec studiów, na piątym roku, zdarzyły się jeszcze dwa zamachy na jego życie. Obydwa zlikwidowane w zarodku przez rodzeństwo Śleszyńskich. Walicki jednak postanowił się bronić. Zresztą o pracę było trudno. Wolał kontynuować studia na innej uczelni. Zapisał się na studia doktoranckie. A ponieważ chciał mieć broń palną w zasięgu ręki, wybrał Akademię Wojsk Lądowych na Karłowicach — polski West Point. Mając dyplom z orłem i wstęgą z poprzedniej szkoły, nieprawdopodobnie wręcz peany w rekomendacjach od wszystkich wykładowców i opinię dziekana, pełną zachwytów nad „geniuszem studenta” — dostał miejsce od razu. Został doktorantem–podchorążym.

Cholera... Polubił to. Czołgi i helikoptery. Polubił skoki spadochronowe, strzelanie z karabinu maszynowego, odpalanie rakiet do sztucznych, ruchomych celów. Dowiedział się, co to jest taktyka, a potem strategia. Awansował na porucznika. Dowodził plutonem ciężkich czołgów, wreszcie kompanią.

A potem nadszedł dzień, kiedy zamachowcom prawie się udało.

* * *

Walicki siedział w ogródku kawiarni „Jaś i Małgosia”, składającej się z dwóch malutkich, prześlicznych budynków, tuż przy placu przed kościołem garnizonowym. Plac był zresztą szczególnie. Kiedyś znajdował się tu cmentarz, a cukierkowe domki jak z bajki należały do tych, którzy zajmowali się zwłokami. Co gorsza, jak już zlikwidowano cmentarz w centrum

miasta, pod granitową powierzchnią placu zamurowano kilkudziesięciu mieszczan ściętych za bunt przeciwko radzie miasta. Obywatele mieli deptać ich groby po wieki wieków. Tak zarządzono w późnym średniowieczu. Niemniej współczesna rada kazała podczas renowacji wyróżnić drogę z kawiarni do kościoła czerwonym granitem. Droga prowadziła akurat nad grobami. Ciekawe, czy postąpiła tak z solidarności ze średniowiecznymi kolegami z ówczesnego „urzędu miasta”. W każdym razie buntowników deptano nadal.

Uwaga Walickiego skupiała się właśnie na dwóch dziewczynach, które usiadły przy stoliku obok. Instynkt łowcy kazał ruszyć do ataku od razu. Wiedza stratega jednak podpowiadała, że dwa towarki muszą się najpierw nagadać między sobą. Trzeba im dać dobre pół godziny i dopiero później przysiąc się, żeby puścić zwykłą gadkę: „Jestem pisarzem, właśnie pracuję nad książką o tym, czy mężczyzna jest w stanie naprawdę zrozumieć kobiety”. Zdobycie numeru telefonu dziewczyny zajmowało mu średnio piętnaście minut. E-mail dostawał z reguły już po trzech.

Jeden snajper stał na wieży kościoła Świętej Elżbiety. Cud, że nie trafił. Kula roztrzaskała nogę krzesła Walickiego, upadł więc na ziemię i nie mógł już podziwiać prześlicznych dziewczyn przy stoliku obok. Wiedźma 7 Śleszyńskiego wyłapała laserem dwie następne kule, a sam Śleszyński załatwił strzelca na wieży, kierując się radarowymi namiarami torów pocisków. Jego siostra pokryła klatkę piersiową Walickiego kamizelką kuloodporną w aerozolu. Powłoka stwardniała szybko. Śleszyński strzelił jeszcze raz do drugiego snajpera ukrytego na dachu. A potem dostał pociskiem karabinowym prosto w czoło. Wiedźma była niestety nastawiona na ochronę innego celu. Przez chwilę dotykała nieruchomego ciała jedną z pajęczych nóg — wydawało się, że metalowe zwierzątko żałuje swojego pana i stara się go wskrzesić. Ale nie. Po prostu automat sprawdzał, czyjego właściciel jeszcze żyje.

Nie żył. Wiedźma oślepiła więc napastników laserami, niezbyt skutecznie.

— Zakryj oczy! — rozkazała siostra Śleszyńskiego, przyciskając dłonie do twarzy.

Walicki — nawet z twarzą na podłodze, nawet z pięściami przy twarzy — odczuł makabryczną moc światła, kiedy Wiedźma poraziła napastników „blaskiem tysiąca słońc”. Wynalazek konstruktorów mieleckiej Fabryki Broni, Ludzie płakali, miotali się, krzycząc i wymachując rękami; jedni ślepcy wpadali na drugich.

Dziewczyna wyszarpnęła z olstrów dwa pistolety maszynowe i opróżniła magazynki, stawiając zasłonę z milionów igiełek. Potem chwyciła Walickiego za kołnierz i pociągnęła w kierunku samochodu.

Wypalona Wiedźma przytuliła się do ciała swojego pana. W przedśmiertnym odruchu strzeliła jeszcze do snajpera, który zsuwał się właśnie z dachu banku. Potem wpełzła pod pachę Śleszyńskiego i zamarła, jej baterie były kompletnie wyczerpane.

Dziewczyna roztrzącała zszokowanych ludzi. Wyjęła z kieszeni malutki bukietek fiołków i wcisnęła martwemu bratu w dłoń. Zdjąwszy bluzę, przykryła mu twarz. Potem w samym biustonoszu, z pustymi olstrami, wepchnęła Walickiego do auta i ruszyła ostro w górę, na estakadę, dosłownie sekundę przed zjeżdżającymi zewsząd radiowozami policji.

* * *

We wnętrzu luksusowej willi w dzielnicy Krzyki Walicki w końcu eksplodował.

— Miałaś bukietek kwiatków! — ryczał. — Miałaś bukietek przygotowany w kieszeni! Widziałem!

— No to co? — spytała Śleszyńska, napełniając kieliszki koniakiem.

— Miałaś ze sobą kwiatki, żeby dać bratu na pożegnanie! Miałaś! Widziałem!

— No to co? — powtórzyła.

Walicki opróżnił kieliszek jednym haustem. Kaszłał przez chwilę. Wreszcie odezwał się w miarę spokojnie:

— Wiedziałaś, że zginie. Przygotowałaś się.
— Tak. — Upiła mały łyk i zapaliła papierosa (nielegalnego, oczywiście). Trochę drżały jej dłonie, ale poza tym nie przejawiała żadnych symptomów szoku. — Wiedziałam. Walicki tylko potrzasał głową.
— Naprawdę znasz całą przyszłość? Naprawdę?
— Nie znam przyszłości — zacisnęła usta. — Ale wiedziałam, że Maciek zginie. On też wiedział.
— Jezu... Jezu!
Zerknęła przez okno gdzieś w górę.
— Myślisz, że Jezus zstąpi z niebios na twoje zawołanie? Jakoś nie widzę żadnego znaku. Nawet głupiego płonącego krzaka.
— Nie kpil!
— Sorry. Niestety, nie wierzę w Boga.
— A w co?
— W nic.
— Pytam, w co wierzysz?
Spojrzała mu prosto w oczy.
— Przez tyle lat nie spytałeś nawet, jak mam na imię.
Zmieszał się.
— Jak masz na imię? — szepnął.
— Maria. Ale możesz mówić Majka — uśmiechnęła się bezczelnie.
— Właśnie zginął twój brat. Dotarło to do ciebie?
— Wiesz?... — zamyśliła się. — Dotarło.
Znowu bezczelny uśmiech. Z trudem można było się doszukać na jej twarzy śladów smutku.
— W ogóle cię nie rozumiem.
— Nie przejmuj się. Sama siebie też nie rozumiem.
— W co ty właściwie wierzysz? — powtórzył.
— Źle zadane pytanie — skwitowała. — Zapytaj inaczej. Ile możesz poświęcić dla swojego państwa? Jak wiele jesteś w stanie oddać tym zapijaczonym politykom, tej organizacji, która przez nieudolność skrzywdziła i ciebie, i miliony innych, tym dupkiem, którzy śnią tylko o swoich portfelach? A może jeszcze inaczej — co jesteś w stanie poświęcić dla swoich braci i sióstr?
Nie odpowiadała.
— Ja poświęciłam całe swoje życie. Mój brat też. Czego miałeś dziś ostateczny dowód. A co ty dasz tym ludziom, którzy obojętnie mijają cię na ulicy, którzy mają cię w dupie, którzy utopiają cię w łyżce wody, ale którzy są twoją rodziną — co im dasz, pytam?
Podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.
— Wszystko! — warknął.
— Nawet jak cię nie lubią? Nawet jak cię nie szanują? Nie doceniają? Dlaczego?
— To... — zawahał się. — To danina, którą muszę zapłacić dla... — nie wiedział, jak to powiedzieć. — Dla tego czegoś, co jest większe od nas wszystkich razem wziętych.
— Ach, więc dla tej starszej pani Rzeczypospolitej? — szydziła. — Dla kilku fantastycznych idei i ich poronionych realizacji? Czy dla poczucia wspólnoty z innymi durniami?
— Nie kpil z tego! Jestem żołnierzem!
— Och, doprawdy? I co? Dasz się posiekać? W imię czego?
— Nie „w imię czego”. Dam się posiekać dla tych dwóch głupich kolorów, które widnieją na szmatach wywieszonych przed każdym urzędem. — Zapalił jej papierosa. — Dla tych dwóch kolorów widniejących, kurwa, na naszej fladze!

— Czym dla ciebie jest Polska?

Wrzasnął:

— Tysiącletnią staruchą stojącą już jedną nogą w grobie! Potrząsającą swoim kosturkiem przed wilkami, które szarpia jej ubranie. Rzeczpospolita już nic nie może. Każdy na nią może pluć, szturchać, każdy może obrzucać najgorszymi obelgami!

Tu się uśmiechnął.

— Ale przychodzi moment... Kiedy Rzeczpospolita zaczyna stukać kosturkiem w swoją własną trumnę i mówi: „No, przegieliście, skurwysyny! Teraz spuszczę ze smyczy swoje wściekle psy!” I te kundle lecą, rozszarpując wszystko na swojej drodze.

Majka podała mu kieliszek z koniakiem.

— Ja jestem takim wściekłym psem — prawie szepnęła. — I mój brat był również.

— Domyślam się!

— Ale... ty chyba też. Wiesz...? Warto było.

— Co: warto?

— Zmarnować własne życie dla tej starszej pani z kosturkiem. Nawet jako jeden z jej kundli, którego tylko czasem spuszcza ze smyczy.

Usiadł w fotelu i ukrył twarz w dłoniach.

— Cholera, o czym ty mówisz? Przecież właśnie zabito twojego brata.

Wzruszyła ramionami.

— Wy wszyscy, chłopcy, idziecie do piekła.

— Co?

— Taki już wasz los.

— Zabito twojego brata.

— Nie jestem głucha — westchnęła. — Poszedł do piekła! Jak wszyscy chłopcy na świecie! Bo wy wszyscy jesteście pojebani! Wierzycie w jakieś ideały. Dacie się posiekać dla czegoś tak nieokreślonego, jak głupie dwa kolory na fladze. — Otarła łzy spod oczu. — Na cmentarz z wami, a potem do piekła! Tam wasze miejsce, pogięte psychicznie dupki!

* * *

Leżeli w skołtunionej pościeli, kiedy Walicki zbudził się z krzykiem: — Spadam! Spadam! Chwyć mnie!

Majka ocknęła się natychmiast i niezbyt jeszcze przytomna, chwyciła go za rękę. Mocno i pewnie.

— Jakiś koszmar?

Usiłował przetrzeć oczy. Przez dłuższą chwilę nie mógł się skupić.

— Drobiazg.

Sięgnął na nocną szafkę po papierosy i zapalił od razu dwa. Dla siebie i dla niej.

— Naprawdę wiedzieliście, że Maciek zginie? — spytał, zaciągając się głęboko.

— Tak.

— I on poszedł na śmierć? Dokładnie znając dzień i godzinę?

— Tak — uśmiechnęła się smutno, — Wiedział to od... — zawahała się. — Od dziecka właściwie. Tak go wychowano. — Zaciągnęła się równie głęboko jak Walicki. — Ja również wiedziałam.

— Chryste. Jak można tak żyć?

— Jakoś można. Czyżbym ci nie mówiła, że oboje zmarnowaliśmy sobie przez ciebie życie?

— Mówiłaś! — potrząsnął głową. — Naprawdę znasz całą przyszłość?

— Zwariowałaś? Tylko pewne momenty. Znam wszystkie przepowiednie.

— No to skoro znałaś czas jego śmierci... Dlaczego nie wezwałaś choćby policji.

— Bo wtedy, być może, nie dokonaloby się, co ma się dokonać.
— Przepraszam cię. Ale to kompletnie nielogiczne.
— Czary i wróżbiarstwo są kompletnie nielogiczne. To nie jest część naszego racjonalnego świata, To zupełnie inna bajka.

— Jaka?

Wzruszyła ramionami. W ciemności nawet tego nie zobaczył, poczuł jedynie ruch jej pełnej piersi.

— Co mnie czeka? Co mam zrobić?

— Nie wiem. Znam tylko parę szczegółów. Aż do ostatniej przepowiedni. I tę mam ci przekazać. Wróżka też nie wiedziała wszystkiego. Wyjął z bólu, wykrzyczała informacje o najważniejszych punktach zwrotnych w naszym życiu.

— I nie wiedząc dlaczego... postanowiliście się z bratem poświęcić?

— Tak nas wychowano. To część układu, który zawarła twoja praprababka z pewnym bardzo potężnym człowiekiem. Chciała chronić ciebie i tę starszą panią, co stoi jedną nogą w grobie i potrząsa kosturkiem. Życzyła sobie, by ten kosturek przekształcił się w kosę. Postawioną na sztorc.

— I ja mam to sprawić?

— Nie wiem — przyznała szczerze. — Może chciała wyłącznie ochronić swojego prawnuka i wszystkich nas oszukała? Naprawdę nie wiem.

Nagi wyskoczył z łóżka i plaskając bosymi stopami, pobiegł do kuchni po koniak. Nie przejmował się kieliszkami. Kiedy na powrót znalazł się pod ciepłą kołdrą, oboje pociągnęli wprost z gwinta. Znowu się przytulił do Majki. Dopóki tylko spokojnie leżeli, pilnował się, by nie dotknąć stref erogennych. Już wiedział, że tego nie lubiła.

— Jak można poświęcić życie dla czegoś... — nie potrafił znaleźć stosownego słowa — czegoś tak nieokreślonego.

— Wiesz, w pewnym momencie musisz sobie zadać pytanie: ile jesteś w stanie poświęcić dla ukochanej osoby. Albo, ile jesteś w stanie poświęcić dla ojczyzny. Co możesz zrobić dla tej starszej pani.

— To chyba proste. Paru gości w tym kraju poszło już na czołgi, mając tylko butelki z benzyną w rękę. Kupa luda polazła na barykady jak było trzeba. Kilku facetów pocwałowało wprost na hiszpańskie działa. Gdzie to było?... — zakpił delikatnie. — Somosierra? Czy jakoś tak.

— Łatwo jest galopować na wspaniałym wierzchowcu z szablą w rękę. Powiem inaczej. Co zrobisz, jak ci każą zabić tysiąc niewinnych osób dla dobra Rzeczypospolitej? Co zrobisz, jak ci powiedzą: morduj dla dobra ojczyzny tych, którzy nie są winni? Jeśli ich nie zabijesz, twój kraj przestanie istnieć. A jeśli ich zabijesz, musisz sama znieść ten ból. A w dodatku będziesz przestępcą. Kimś niegodnym szacunku. Kimś, na kogo można pluć. To jest wojna, na której nie dostaje się orderów. Orkiestra wojskowa nie zagra nad grobem. To jest front, na którym spotkają cię same upokorzenia. Nie będzie pomników. Tylko anons w kronice kryminalnej w jakiejś prowincjonalnej gazecie.

Podniosła się na łokciu. Nie mógł oderwać oczu od ciała Majki; dzięki ulicznej latarni widział dobrze zwłaszcza środkowe jego partie.

— Odpowiedz mi na jedno pytanie, Krzysiek: Czy jak ci każą zabić własną córkę... zrobisz to? Dla dobra Rzeczypospolitej?

— Nie wiem! Chryste... W Biblii był taki jeden gość, który chciał zabić swojego syna...

— Nie pieprz mi o Biblii. Jestem niewierząca.

— A gówno prawda! Wierzysz w coś! Tylko nie potrafisz tego nazwać.

— Odpowiedz mi na pytanie: Czy zabijesz własną córkę, jeśli starsza pani dzięki temu przetrwa jeszcze jakiś czas?

— Nie! — warknął. — Nie każ mi wybierać,

— A ja musiałam wybrać.
— Przecież nie masz córki.
— Właśnie dlatego. Bo wiem, że mnie zastrzelą. Nie chcę osierocić dziecka.
— I dalej pełnisz swoją misję?
— Tak, Krzysiu — uśmiechnęła się. — Dalej będę cię chronić. Bez względu na koszty. Tak w życiu czasem bywa. Ktoś to musi robić. Ktoś musi.
— Bez fanfar, werbli, strzałów honorowych z armat podczas pogrzebu... Bez orderów.
— To tylko błyskotki. Tylko harmider. Ważne jest, co robisz, a nie, jak ci zapłacą. Starsza pani nie płaci. Ona jedynie wymaga. Ale są tacy, którzy sprostają jej wygórowanym wymaganiom. Zapewniam cię, są.
— Jakie ty masz popieprzone życie.
— A ty nie? Tak jak inni chłopcy, też pójdziesz do piekła, bo tam wasze miejsce. Obrócił się na drugi bok, by w końcu oderwać wzrok od detali kobiecego ciała.
— Jaką rolę mam do spełnienia?
— Nie wiem.
— I walczysz, nie wiedząc o co?
— Tak przebiega każda walka. No dobra... — zmieniła zdanie. — Trochę wiem. I powiem ci o ostatniej przepowiedni. Chociaż to drobiazg. Najważniejszego nie zdradzę, bo nie mogę.

* * *

Siedzieli przy oknie w kuchni, jedząc kanapki i jajecznicę. Walicki ledwie przełykał kolejne kęsy. Majka była beznadziejną kucharką. Co prawda umiała robić niesamowite spaghetti, co udowodniła wczoraj, ale jajecznica przypominała gumę do żucia. Kanapki też bez smaku, choć wydawało mu się, że tego już nie można spieprzyć. A jednak. Radził sobie tylko dzięki wielkim łykom kawy, którą popijał każdy kęs.

— Kim są ci, którzy chcą mnie zabić?
— Tak dokładnie nie wiem. To grupa ludzi, którzy prawie dwieście lat temu rozszyfrowali kabałę. Dzięki temu odnaleźli zaginiony fragment Biblii.
— No chyba nie powiesz mi, że Biblia traktuje o Polsce.
— Oczywiście, że nie. Ale jest tam parę przepowiedni o losach świata.
— Większych bzdur w życiu nie słyszałem.
— Oni rozszyfrowali też przepowiednie Nostradamusa. I wiedzą o naszej przyszłości naprawdę dużo.
— Z Nostradamusa? — skrzywił się ironicznie.
— Pewne węzły historii, jej najważniejsze przełomy da się przewidzieć. Maciek wiedział, kiedy zginie. Ja też znam dzień i godzinę.
Potrząsnął głową.
— Naprawdę chcesz powiedzieć, że przyszłość jest „z góry ustawiona”?
— Nie. To tylko możliwości. Można ją zmienić. Ale są pewne sprawy, kluczowe dla istnienia naszej cywilizacji, i parę osób takich jak Nostradamus czy twoja praprababka potrafiło je dostrzec. — Oparła się na łokciach i warknęła: — A ja pokażę historii, że taka wredna suka jak ja może zmienić ją, jak zechce. Maciek się bał. Ja nie.
— I co trzeba zrobić?
— Po pierwsze, wyszkolić ciebie. Po drugie, zabrać się za tych, którzy mają inną wizję losu starszej pani z kosturkiem.
— A po trzecie? Westchnęła.
— Zawsze musi być jakieś „po trzecie”?
Nawet nie usiłował się uśmiechnąć.
— Po trzecie — wysyczała — ja dam starszej pani tę kosę!

Wypiła łyk kawy.

— Dam jej kosę. Bo wiesz... My, baby, zawsze się lepiej rozumiemy. Wiem, w odróżnieniu od tych zestrachanych przepowiadaczy, jak to zrobić. Będzie miała swoją maszynę do mielenia mięsa — powiedziała, już promiennie uśmiechnięta.

— Czyli co?

— Czyli ciebie!

* * *

Dzienniki sieciowe donosiły o tajemniczym snajperze wykonującym wyroki. Ofiarami byli politycy, dziennikarze, nawet zwykli ludzie. Prasa nadała temu nazwę „wrocławskiej jatki”. W ciągu trzech miesięcy zastrzelono jedenaście osób. Policja znalazła się pod prężeniem. „Mafia! Niech ktoś coś z tym zrobi!”

Tymczasem Majka szkoliła Walickiego.

— Oni działają na ślepo. Do wyeliminowania mają prawie tysiąc osób, nie posiadają dokładnych danych. Ja wiem lepiej. Ty jesteś tylko jednym z tysiąca. Masz szansę przetrwać. Ale musisz poznać wszystkie przepowiednie. Nauczę cię. To zaczęło się od prasłowiańskiego rytuału. Ale jakieś dwieście lat temu oni posunęli się dalej. Ja jednak stawiam na inną wersję rozwoju zdarzeń. I zobaczymy, czyje będzie na wierzchu. Zobaczymy, czy potrafię zrealizować wizję twojej praprababki.

* * *

Majkę zastrzelono na moście Osobowickim dwa lata później. Walicki niósł ją na rękach pod osłoną Wiedźmy 8B i krzyczał, żeby nie umierała. Usiłował jej wytłumaczyć, że powinna przeżyć, że on wcale nie chce, żeby się to tak kończyło.

Chyba nie zrozumiała albo nie usłyszała.

— Chłopaki... — szepnęła — ...teraz do piekła. Ty też. — Krew wylewała jej się z ust, — Ale czasem dziewczyny też tam idą. Będzie wesoło!

Położył ciało na chodniku. Zakrył jej twarz własną bluzą. A w dłoń wetknął...

Tak. Miał przygotowany mały bukiet kwiatków. Znał już wszystkie przepowiednie.

* * *

Poszedł do gmachu, który kiedyś był siedzibą Komitetu Wojewódzkiego PZPR we Wrocławiu. Portier o niczym nie miał pojęcia. Walicki spotkał jednak na korytarzu fizyka, który zaprowadził go do pokoju, dawnego gabinetu pierwszego sekretarza partii.

Stał, patrząc na ustawione pod ścianami precyzyjne urządzenia. Nie czuł właściwie niczego. Może żal? Może trochę ciekawości? To tu zaczęła się historia. Losy całej rodziny, losy samego Maćka i Majki. I jego los również. W tym miejscu jego praprababka stworzyła imperium finansowe, którego nie pragnęła dla siebie, ale które musiała mieć, żeby wypełnić misję w czasie.

Aparaty fizyków szumiały cicho. To tu zaczęła się historia.

A jak się skończy?

* * *

Dwadzieścia lat później czołgi stoją na pustyni. Starsza pani z kosturkiem właśnie powiedziała komuś: NIE! I powiedziała to bardzo donośnym głosem. Wałąc przy tym pięścią

w stół. Uderzyła pancerną pięścią — ot, takie przyzwyczajenie starszej kobiety. Ona uwielbiała i swoich husarzy, i czołgistów. Kochała chyba metal. I prędkość. W każdym razie rąbnęła postawioną na sztorc kosą.

Spuszczone z łańcucha psy odpoczywały właśnie wśród piasków. Żołnierze stacjonującej w Afryce Dywizji Pancerniej imienia generała Maczka, korzystając z chwili przerwy, uzupełniali amunicję, czyścili działa, ale przede wszystkim oglądali serwisy informacyjne.

„Generał Walicki dokonał cudu. Jedna jedyna dywizja, w krótkiej szarży, prawie bez strat, uwolniła wojska ONZ tkwiące w pułapce okrążenia. Dzień później polski garnizon został oswobodzony z bunkrów. Żołnierze docierają już do morza...”

Ten manewr przejdzie do historii wojskowości. Generał Walicki zdawaj się znać wszystkie pozycje nieprzyjaciela. To akcja, przy której błędą wyczyny Guderiana...

Lepszy numer niż pod El Alamein...

Ale miazga! Jatka! Żołnierze pokazali, że lepiej nie zadzierać z ONZ, bo to się przykro kończy i ma fatalne skutki dla przeciwnika”.

Krajowi komentatorzy używali innych określeń. „Drugi Grunwald. Poszło szybciej niż pod Kircholmem. Zaliczyliśmy jeszcze jeden Wiedeń!”

I najważniejsze:

„Chłopaki spod Somosierry chyba stali z tyłu i dopingowali! Napoleoński manewr.

Teraz będzie się mówić: Sobieski, Żółkiewski i Walicki!”

* * *

Generał Walicki podjechał na pierwszą linię opancerzonym poduszkwowcem. Żołnierze stawali na baczność i salutowali. To był ich dowódca. Facet, który sprawił, że przeszli do historii. A peany na ich cześć we wszystkich mediach miały wielki wpływ na morale. Chorąży wykonał salut sztandarem.

Walicki jednak nie zwracał na to uwagi. Wskoczył na pancerz najbliższego czołgu i zaczął odłączać kable sprzężonych działek.

— Panie generale! — z boku podskoczył major. — Czy mogę w czymś pomóc?

— Nie.

— Ale... dlaczego kazał nam pan zatrzymać się akurat tutaj?

— Bo tam jest pułapka — Walicki wskazał ręką pasmo najbliższych wzgórz.

Major wybałuszył oczy.

— Panie generale! Przecież Wiedźmy 14S niczego nie wykryły! Amerykańskie satelity mówią, że tam niczego nie ma.

— Jest sześciuset facetów ukrytych wśród wydm z bronią przeciwpancerną.

— Niemożliwe! Coś byłoby widać w podczerwieni.

— Są obłożeni lodem albo mają specjalne kombinezony. — Walicki wyłączył już wszystkie automatyczne urządzenia działek na wieży czołgu.

— Panie generale — odważył się zaoponować pułkownik. — Przecież komputer zrobi to lepiej. Zaraz... — zmitygował się. — Skąd pan wie?

— Ostatnia przepowiednia — szepnął Walicki. — Ostatnia przepowiednia.

— Proszę?

— Odtąd będę już musiał radzić sobie sam — ledwie słyszalny w pustynnym wietrze głos dotarł do niewielu osób. — Ale poradzę sobie!

— Oczywiście, że pan sobie poradzi. Jasne! Pewnie! — zapewniali oficerowie. Żołnierze salutowali tylko. To był ich bohater. Nieważne, co mówił.

— Ale, panie generale — pułkownik nie ustępował. — Dlaczego pan osobiście? Przecież komputer...

— Bo to są moje osobiste porachunki. Za Maćka i Majkę.

Uruchomił silniki czterech dwudziestolufowych, sprzężonych działek rozpryskowych. Osiemdziesiąt luf zaczęło się błyskawicznie obracać wokół czterech osi. Hałas motorów nie pozwalał dosłyszeć czegokolwiek.

— Chłopaki! — wrzasnął Walicki pod adresem ukrytych w zasadzce partyzantów. — Zgadnijcie! Dokąd teraz idziecie?

Potem przycisnął cztery zintegrowane spusty naraz.

Siódme niebo

MAREK ORAMUS

urodził się w 1952 roku, z wykształcenia energetyk jądrowy, z zawodu pisarz, krytyk literacki, dziennikarz specjalizujący się w zagadnieniach cywilizacyjnych. Interesuje się astronautyką, astrofizyką, kosmologią; po amatorsku zajmuje się futurologią. Przez ostatnich czternaście lat kierownik działu krytyki w „Nowej Fantastyce”, obecnie w dziale opinii „Życia”. Píše fantastykę „przyziemną”, mocno osadzoną w realiach i problemach dzisiejszego świata, w wymowie pesymistyczną. Powieści: *Senni zwycięzcy*, *Arsenał*, *Dzień drogi do Meorii*, *Święto śmiechu*; zbiory opowiadań *Hieny cmentarne* i *Rewolucja z dostawą na miejsce*; zbiory publicystyczne *Wyposażenie osobiste* (szkice i krytyki) oraz *Rozmyślenia nad tlenem* (felietony). Przygotowuje powieść *Trzeci najazd Marsjan*, szuka wydawcy tomu felietonów i miniatur literackich *Człowiek idzie z dymem*. *Podroby z brzucha PRL-u*. Mieszka w Myślenicach i Piasecznie.

A gdzie jest siódme niebo
Jaki jest za nim ląd
Czy to daleko
Czy to daleko
Czy to daleko stąd?
(z piosenki)

Dziejopis

Kiedy nad Piątą Strefą Produkcji Alkoholu Napędowego wstaje świt, Wan Hu jest już na nogach. Przebiega truchtem zapyziałą izdebkę, stawia mocno obtłuczony garnek z wodą na palniku maszynki spirytusowej, dosypuje herbaty — można zacząć dzień. Żegna się w przelocie krzyżem świętym, choć już prawie zapomniał, co to za znak, przemywa oblicze strużką wody i ułmkiem grzebienia rozczesuje resztki włosów wokół głowy. Czynność tę wykonuje, omijając zmętniałe lustro, nie chcąc oglądać obwisłej, ponurej gęby, która ma być jego własną. „Starości, nędza jest imię twoje”, kołacze mu się wers z przetłumaczonego byle jak poematu chińskiego. Ale celebrując poranną herbatę, nie może odwrócić oczu od swych rąk, przypominających szpony i jakby skurczonych. Pokryta wątrobowymi plamami skóra oblepia rysujące się pod nią kości, stawy palców napuchły i zamieniły się w gruzły, a poźółkłe paznokcie przypominają plastikowe atrapy. Wan Hu od pewnego czasu nazywa je manipulatorami. — Moje manipulatory — powtarza i chichocze bezgłośnie, ale samo słowo otwiera w jego głowie zamierzchłe skojarzenia, więc milknie i spokojnie zastanawia się, co mu się zwidziało.

Gorzelniany odór przenika przez ściany, odbierając niemal zdolność myślenia; intensywność doznań olfaktorycznych zależy od wiatru. Dziś jest jeszcze znośnie, ale jeśli wiatr zmieni kierunek, trzeba będzie cały dzień chodzić z wilgotną chustką na nosie i drugą na czole. Najgorzej, gdy wiatr ustaje zupełnie: wtedy miasteczko Ha Jin kiśnie tygodniami w obezwładniającym oparze, ludzie łązą otumanieni, jedni mrą, inni z szaleństwa popełniają zbrodnie. Chińczycy zjawiają się w kotlinie rzadko albo wcale; dopóki produkcja idzie rytmicznie, wydają się przebywać na innej planecie. Dekują się w hermetycznej warowni na wzgórzach; czasem widać, jak lądują tam helikoptery albo wyjeżdżają konwoje. Z rzadka pojawiają się drobne figurki na tarasach i szybko znikają.

Ze swego miejsca przy stole Wan Hu zwraca się ku nowemu meblowi pod ścianą, który

zajął poważną część skąpej przestrzeni życiowej. Jest nim biurko, też nie pierwszej młodości, ale solidne, z płyty; szafka z prawej strony ma metalowe zawiasy. Biurko jest darem od komisarza Li Chi Hana, który osobiście podjął decyzję, żeby starego Wan Hu przy kadzi numer 6 zastąpić kimś młodszym. Wan Hu jest schorowany i wysłużony; jego niepospolite zdolności zostaną wykorzystane w inny sposób dla rozkwitu Wielkich Chin. Komisarz Li Chi Han przywraca oto wspaniałomyślnie Wan Hu status literata, którego zadaniem będzie odtąd wiernie opisywać przemiany i osiągnięcia, jakich Piąta Strefa notuje w służbie cesarstwa niemało. Na dowód zaufania, niejako w prezencie na drogę, Wan Hu otrzymuje stosowną legitymację z pieczęcią i hologramem urzędowym, biurko, przyrządy do pisania i bony żywnościowe. Komisarz przekazał te dobra za pośrednictwem podległych mu ludzi i ciężarówka z biurkiem na pace. Z szoferki wylazł Chińczyk po cywilnemu, robotnikom z paki nakazał dostarczyć biurko do izdebki, ale tekturowe pudełko wniósł z atencją osobiście. W atmosferze pewnej celebrytów oznajmił Wan Hu po chińsku i po polsku, jak pomyślnie decyzje zapadły w jego sprawie. Następnie odczytał, że czcigodnemu literatowi w cesarskiej służbie przekazuje się: papieru do pisania w formacie A4 arkuszy dwieście, ołówków HB sztuk dwie, legitymację służbową sztuk jedna, biurko sztuk jedna, bon żywnościowy opiewający na miesiąc sztuk jedna. Trochę się przekomarzali, bo Wan Hu nie mógł się zdecydować, gdzie postawić biurko; w końcu wybrał miejsce obok okna, tak aby mieć światło po lewej ręce. Pokwitował, poszli. Ciężarówka strzeliła z rury i Wan Hu został sam z przymusowym wyposażeniem.

— Wasze podanie zostało rozpatrzone pozytywnie — powiedział człowiek komisarza, nie bardzo nawet kalecząc polski. — Nie musicie nic zgłaszać w fabryce, tam już o wszystkim wiedzą.

Wan Hu zasępił się. Przecież żadnego podania nie składał. Ale zwolnienie z obowiązku świadczenia pracy było gratką samą w sobie, rzeczą wyjątkową w Piątej Strefie, a także poza nią, gdzie każdy cesarski poddany miał obowiązek trudzić się ku chwale Wielkich Chin od smarkatej młodości po zgrzybiałą starość. W przyływie euforii Wan Hu chciał zaraz biec realizować bony, ale postanowił okazać zbawczą powściągliwość — a nuż to wszystko pomyłka? Przyszło mu też do głowy, że o tej porze punkt dystrybucji Szczęśliwy Żołądek może być po prostu nieczynny.

Podarunki od komisarza trochę go zastanowiły. Obydwa ołówki były już używane, o czym świadczyły starte grafity. Jeden, biały we wzorki, miał gumkę w metalowej obsadce na końcu i ten nazywał się White Gull — po chińsku cztery ideogramy. Drugi, koloru niebieskiego, został określony jako Friendship; napis wytłoczono złotymi literami, zdobnymi w takie zawijasy, że Wan Hu miał trudności z odcyfrowaniem. Obok napisu umieszczono rysunek dwóch ściskających się dłoni i numer 888. Czy miało to jakieś znaczenie? Arkuszy było tylko 185; Wan Hu policzył je skrupulatnie. Po jednej stronie każdego odbito techniką kserograficzną fragment jakby ankiety; Wan Hu próbował się zorientować, czego dotyczyła, lecz jego znajomość chińskiego była zbyt nikła.

Teraz więc, przyjemnie rozgrzany herbatą, skierował się w stronę biurka, zamierzając je wypróbować. Po drodze skręcił ku oknu, chcąc zorientować się w kalendarzu. Na parapecie miał wyryte cztery prawie metrowe odcinki, podzielone na dni; gdy się pamiętało o tym, aby codziennie przesunąć ziarno grochu o kolejną działkę, zyskiwało się dokładną informację, jaki jest dzień miesiąca i tygodnia według starego kalendarza. Ale taszczący biurko robotnicy musieli stracić ziarno, bo nie było go na swoim miejscu. Wan Hu padł na czworaka i uważnie zlustrował spory fragment podłogi — bezskutecznie. Będzie musiał wydłubać z podwórzowego betonu odpowiedniej wielkości kamyk i umieścić go na skali tam, gdzie ostatnio zapamiętał pozycję ziarna grochu. Debatując nad tym, popatrywał przez pękniętą szybę. Beton na podwórku zarósłby trawą, gdyby Wan Hu od lat nie walczył z nią kopaczką, chcąc utrzymać obejście w schludności i uniknąć kary. Na samym środku beton zapadł się w

ziemię i w tak powstałym wklęsnięciu zbierała się woda. Teraz z kałuży pił szybko spory ptak, kręcąc łebkiem we wszystkie strony. Nie widząc zagrożenia, rozłożył skrzydła i porządnie wychlapał się w wodzie. Z pobliskiego krzaka sfrunął następny; wtedy pierwszy z niechęcią ustąpił mu miejsca. Ten drugi wydawał się mniejszy, lecz zażywał kąpieli tym energiczniej: małe niebiesko–żółte tornado w obłoku kropel wody. Sójka? — wysilał pamięć Wan Hu. Patrzył urzeczony; nie widział ptaków od lat.

Przyglądał się im, dopóki nie odleciały. Potem zasiadł za biurkiem: chwyciwszy oburącz za deskę tworzącą blat, sprawdził solidność mocowania. Zajrzał do szuflad — puste. W sam raz na papier i ołówki od komisarza. Przy okazji wyszło na jaw, że środkowa szuflada się zacina. Próbował wsuwać ją i wysuwać na różne sposoby, a w końcu postanowił zostawić w spokoju. Dwie pozostałe wystarczały mu w zupełności.

Po tych czynnościach zachciało mu się sikać. Stępkając z wysiłku, napełnił blaszankę wydobytą spod łóżka i zanim wyniósł zawartość do zbiornika na podwórzu, sprawdził machinalnie, kiedy przyjadą szambiarze.

Dopiero zadośćuczyniwszy porannym obowiązkom, wydobył ze schowka swoje prywatne skarby. Składały się na nie zbierane skrętnie karteluski, stare koperty, zadrukowane jednostronnie ulotki, odcięte precyzyjnie marginesy gazet, które po sklejeniu tworzyły piękne strony do notowania. Natrafił też na pudełka z cienkiego kartonu, rozcięte wzdłuż krawędzi — nieskazitelna biel nie zadrukowanych wnętrz wręcz prowokowała, by powierzać im najskrytsze tajemnice. „Woda kolońska Tchnienie Wiosny”, odczytał ze zdumieniem. „Płatki owsiane Niezrównany Raj”, 250 gramów. „Miej swoje zdanie, uwierz reklamie”, głosiła kolejna z ulotek. Musiała pochodzić sprzed cesarskiego zakazu wszelkich reklam. „Stare czasy”, westchnął. Czy przechowywanie takich rzeczy jest aby legalne?

Miał też własne ołówki, tak krótkie, że prawie nie dało się ich ostrzyć. Położył kilka papierków przed sobą i zaczął się nad nimi z takim szczątkiem ołówka. O czym pisać? Jak odgadnąć życzenie komisarza? Jego urzędnik ani się nie zająknął na ten temat. „Urodziłem się przed Wielką Zmianą”, napisał i zaraz skreślił. Co to kogo obchodzi? Większość urodziła się przed przybyciem Chińczyków. „Jeśli chodzi o warunki pracy w wytwórni alkoholu napędowego, to są one dobre”. Znowu skreślił. Kogo to interesuje? Praca była ciężka, nudna i brudna, szkodliwa dla zdrowia, a w brygadzie prawie wszyscy przekroczyli sześćdziesiąt lat. Przy samej kadzi smród jak diabli. „Dziś rano, patrząc przez okno, zauważyłem ptaki”, napisał. „Piły wodę z mojej kałuży”. Dlaczego „z mojej”? Niebezpiecznie używać zaimków dzierżawczych w kraju, którego jedynym hegemonem jest cesarz. „Piły wodę z kałuży pod moim oknem”. Teraz lepiej. „Potem kąpały się, bijąc wodę skrzydłami. Pierwszy raz od bardzo dawna widziałem kąpiące się ptaki. Gdybym miał atlas ornitologiczny, mógłbym odnaleźć ich nazwy”. Przekreślił i dopisał: „mógłbym je zidentyfikować”.

Po namyśle skreślił całe ostatnie zdanie: komisarz gotów jeszcze pomyśleć, że w zakamuflowanej formie domaga się dostępu do biblioteki albo przymila się, żeby dostać album z ptakami w prezencie. Z komisarzem lepiej ostrożnie.

Opisał scenę z ptakami szczegół po szczególe, usiłując wiernie oddać obraz skrzydlatych rozdokazywanych stworzeń. Skreślił tu i tam, naniósł poprawki i korzystając z nowego ołówka, przepisał wszystko na czystą kartkę od komisarza. Nie wypadło to imponująco. Komisarz przeczyta, zachnie się z niesmakiem i powie: „A to leń śmierdzący. Z powrotem do kadzi go!”. Z kolei o żadnych terminach nie było mowy. Ani o tym, że ma pisać obficie, nie zaś z sensem. Ale i tak czuł, że nie spełnił oczekiwań dostojnika.

Tangzhou

Skazańców było ośmiu, wszyscy w wieku Wan Hu lub niewiele młodszy. Wyjątek stanowiła jedyna wśród nich kobieta o częściowo azjatyckich rysach — pół–Chinka? Pół–Wietnamka?

Tak jak mężczyźni, była boso, ale w odróżnieniu od nich pozostawiono jej koszulę. Wszystkim związano z tyłu ręce. Czekali półnady, aż herold skończy odczytywać wyroki: dwóch skazano za kradzież, dwóch za notoryczne włóczęgostwo, czyli za porzucenie pracy i samowolne oddalenie się od przypisanego im miejsca zamieszkania i zatrudnienia. Jednego mężczyznę i kobietę skazano za spiskowanie przeciwko cesarzowi. Herold wyczytywał nazwiska, ale tłum nie był w stanie rozeznaczyć, kto jest kto; ich twarze, na których przesłuchania i tortury wyryły wyraz obojętności, pozostawały niewzruszone. Tylko jeden z mężczyzn w pewnym momencie nie wytrzymał napięcia i rozplakał się; łzy lały mu się na nagi tors, pokryty obwisłą skórą. Kobieta odsunęła się od niego z dezaprobatą, emanując kamiennym spokojem.

Strażnicy podprowadzali ich kolejno, a oni posłusznie osuwali się na klęczki i kładli głowy na pieńku. Szeroki mandaryński miecz opadał na ich karki i w tym momencie ciało doznawało raptownego rozluźnienia, podczas gdy głowa z głuchym łoskotem lądowała w koszu. Zwłoki pomocnicy jak najszybciej odciągali na bok, ale już wkrótce deski w miejscu kaźni były śliskie od krwi. Jakiś starzec — pewnie znajomy strażników — rozsypywał postronki na ciepłych jeszcze nadgarstkach i pieczołowicie układał z boku.

Na każde opadnięcie miecza tłumek na placu reagował przeciągłym „O—och!”. Tylko raz cios okazał się mało precyzyjny i kat musiał poprawiać. Błąd wypadł na kobietę. „Przypadek?”, zastanawiał się Wan Hu. Stał jednak za daleko, żeby to rozstrzygnąć. Z nudów przypatrywał się innym kibicom ponurego widowiska. Zbiorowisko obszarpańców, przeważnie mężczyzn, spędzonych tutaj pod przymusem, odzianych w przydziałowe fabryczne uniformy, a raczej to, co z nich jeszcze zostało. Łyse czerepy albo zmierzwiłone siwe włoki, wpadnięte policzki, obwisłe wąsiska. Chude, drapieżne pyski starych ludzi o oczach rozjarzonych emocją z krwawej rozrywki. Któryś trzymał tablicę z napisem potępiającym przestępczość jako taką.

Obdarty osobnik, ani na jotę nie odróżniający się od reszty, przepychał się w zamieszaniu. Wan Hu poczuł, jak obca ręka wsuwa mu coś w kieszeń. Sięgnął i namacał zwiniętą ulotkę.

Kiedy skończyła się część obowiązkowa i wprowadzono przestępców lżejszego kalibru, przeznaczonych do oćwiczenia w dybach, Wan Hu dyskretnie wysunął się spośród gawiedzi, zamierzając podążyć w kierunku domostwa. Nim zdążył jednak przejść choćby sto chi, pod pachy ujęły go mocne dłonie i półgłosem wydany rozkaz polecił mu zawrócić.

— Tangzhou Zha Buzhou chce się z tobą rozmówić.

Skręcili w wąskie wyludnione uliczki. Jeszcze przez chwilę słychać było świst bata, a potem tylko jęki głozone chóralnym odliczaniem wymierzanych plag. Minął ich wóz drabiniasty zaprzężony w woły. Na skraju błotnistego skrzyżowania przysiadł wielki czarny samochód o lśniącej karoserii i opuszczonych na okna pancernych płytach. Jeden z prowadzących Wan Hu goryli otworzył tylne drzwi i wepchnął go do środka.

Siedzenie zareagowało na ciężar nowego pasażera przeciągłym sykiem i ugięło się niebezpiecznie. Na wysokości brody, a nawet czoła Wan Hu wznosił się przedni fotel — mięsisty garb obity skórą, jak przedpiersie dziwnego okopu. Za nim siedział kierowca, Chińczyk. Trzasnęły przednie drzwiczki i już byli w komplecie. Z przodu wąska jak wizjer czołgu szyba ukazywała widok na świat.

— Dokąd to tak pędzisz, czcigodny Wan Hu? — odezwała się kobieta z boku. Rzucił ku niej kosę spojrzenia, nie wiedząc, jak się zachować. Odwrócenie się przodem mogło zostać potraktowane jako nietakt. Po przesuwających się w wizjerze szczegółach poznał, że samochód ruszył.

— Wyszedłem zrealizować bony żywnościowe — rzekł ostrożnie — i z obwieszczeń dowiedziałem się o kaźni. Punkt dystrybucji został z tego powodu zamknięty i tak, chcąc nie chcąc, znalazłem się na placu.

— Brawo — skwitowała kobieta, a jej głos podbiegł ironią. — Gdyby wszyscy obywatele

byli tak gorliwi jak nasz Wan Hu... Ale właściwie skąd to imię?

— Na pamiątkę urzędnika z epoki Ming, który wierzył w możliwość lotu na Księżyc i do gwiazd. Trzymając w ręku pęki latawców, kazał przywiązać się do solidnego krzesła, pod którym umocowano czterdzieści siedem bambusowych rur wypełnionych prochem strzelniczym. Proch został podpalony przez czterdziestu siedmiu służących.

— Przeżył?

— Legenda o tym milczy. Nie to w niej było istotne.

— W każdym razie, jeśli nie on sam, to jego duch powędrował na Księżyc i w gwiazdy. Nasz program kosmiczny powinien obrać go za swego patrona.

Silnik samochodu szemrał usypiająco.

— Nie jesteśmy zadowoleni z tego, co napisałeś — stwierdziła Zha Buzhou, prawa ręka Li Chi Hana i, jak fama niosła, jego kochanka. — Chyba nie chcesz zostać wezwany na tamzing, co?

Dreszcz przebiegł Wan Hu po plecach.

— To tylko szkice — bąknął. — Nie zdążyłem ukończyć...

— Ale my jesteśmy niecierpliwi, zaglądamy, że tak powiem, autorom przez ramię. Spostrzeżenia o ptakach ciekawe, życie biologiczne odradza się nam imponująco. Ale nie w tym rzecz — powiedziała nadspodziewanie ostro.

— Byłbym wdzięczny za szczegółowe instrukcje — Wan Hu starał się z całej siły, by wysterylizować to zdanie z jakichkolwiek dwuznaczności.

— Jak szczegółowe? — zainteresowała się. — Od pewnego stopnia szczegółowości wymagań tak dobrze wiadomo, co ma powstać, że nie ma sensu tego pisać. Ale twoja praca, Wan Hu, nie jest na zamówienie. Ma nas zadowolić, a jednocześnie nasze zadowolenie nie jest istotne. Innymi słowy, masz napisać to, czego oczekujemy, nie nastawiając się z góry, że wiesz, czego oczekujemy. Rozumiemy się?

— Nie jestem pewien, tangzhou Zha Buzhou.

— Nie jesteś pewien — pociągnęła nosem. — Mył się ostatnio?

— Zgodnie z harmonogramem.

— A te ciuchy? Kiedy prane?

— Niestety, nie tak często, jakby należało. Względy materialne...

— Zajmiemy się tym, dostaniesz nowy uniform i bieliznę. A teraz słuchaj: w twoim otoczeniu działa konspirator. To oczywiście nei lou, tajemnica państwowa. Śmie on, sam lub w zмовie z innymi, spiskować przeciw świętemu porządkowi, którego uosobieniem jest cesarz. Nie wiemy, kto jest tym bezczelnym śmiałkiem, bo odłowilibyśmy go i zrobili z nim to, co z tymi ośmioma na placu.

— Ja go również nie znam.

— Możliwe, że mówisz prawdę. Niestety, co najmniej tak samo prawdopodobne jest to, że oszukujesz. Może znasz go, lecz nie wiesz o nim wszystkiego. Pomysł jest taki: jeśli poddasz szczegółowej analizie wszelkie podejrzane kontakty, jeśli zapiszesz wszystko, co ci się przypomni w tym kontekście, niewykluczone, że udzielisz nam newralgicznej informacji, nawet nie będąc tego świadom. Tego byśmy z grubsza oczekiwali po twojej pisaninie.

— Może lepiej porozmawiać?

Nie ty będziesz nas uczył fachu! Pisanie pozwala uporządkować myśli. Pozwala odkryć rzeczy, których nie dostrzegaliśmy wcześniej. Piszącemu ukazują się niespodziewane relacje pomiędzy faktami, zdarzeniami i osobami. Powinieneś to wszystko wiedzieć jako były literat. A właściwie nie były, skoro przywróciliśmy cię do tej funkcji.

— Niby tak... — mamrotał Wan Hu. — Skąd jednak...

— Powiedziała ci wystarczająco wiele. No, uciekaj. Wytrzymałość naszego powonienia ma swoje granice.

Mai xiao nu

W herbaciarni Zengzhang, zdobnej w obskurne lampiony i kantońskie ornamenty na ścianach, panował miodowy półmrok tak głęboki, że Wan Hu nie mógł dokładnie przyjrzeć się kobietom. Wczorajsze przesiadywanie nad herbatą nie na wiele się zdało, ale dziś miał więcej szczęścia. Mai xiao nu, kobieta sprzedająca uśmiechy, której poszukiwał, stała pomiędzy stolikami, wymieniając uwagi z koleżanką. Skinął głową, gdy wydało mu się, że pochwycił ich wzrok, ale nie doczekawszy się reakcji, zasiadł zniechęcony przy stoliku.

— Cześć, Kaźmirz — odezwała się niespodziewanie. — Mogę się przysiąść? Co cię do nas sprowadza?

— Niezrównany smak tutejszej herbaty Rozkwitająca Róża — zaryzykował Wan Hu. — Znalazłem zbędne dwadzieścia juanów.

— Aha. — Zakręciła się na krześle, aby spojrzeć za siebie. — Dawno cię nie widziałam.

— Aja ciebie, Lucyna. — Odczekał i sięgnął pojedną z filiżanek, które postawiła przed nimi kelnerka. — Dasz się wyciągnąć na dwie godziny? Bardzo mi ostatnio doskwiera samotność.

— Tu nazywam się Zhu, Cynober. W porządku, zgłoszę tylko szefowej, że wychodzę.

Szefowa, rosła Chinka w okularach, taksowała Wan Hu przez dłuższy czas, nim wreszcie z ociąganiem udzieliła zgody.

— Musisz opłacić z góry — zakomunikowała Zhu. — Kredyt umarł.

— Powiedz jej, że mam przydział za osiągnięcia produkcyjne — Wan Hu zademonstrował bladoniebieski kartonik.

Zaczął się oglądanie bonu, odczytywanie dyspozycji, badanie pieczęci i podpisu. Przełożona kilkakrotnie podnosiła surowy wzrok na Wan Hu, jakby nie mogła pojąć, jakim cudem ktoś taki wszedł w posiadanie reglamentowanego dobra. Wyraz jej twarzy świadczył aż nadto wymownie, iż wątpi z całej duszy, by przywilej tej miary należał się komuś tak mało użytecznemu jak Wan Hu. Zadała Zhu kilka szybkich pytań, zanotowała coś w wydobyłym zza pazuchy zeszytce i pieczołowicie umieściła między kartkami podejrzanym kartonik.

— Godzina — powiedziała Zhu.

— Tak tam było napisane?

— Tak ona zarządziła — wzruszyła ramionami dziewczyna.

— Powiedz jej, że dopłacę.

— Tak cię przypiliło, staruszkule? — indagowała uczepiona jego ramienia, kiedy opuścili już gościnne progi Narastającej Wspaniałości. — Znasz ostatnie wieści? Podobno morze opadło na tyle, że odsłoniło ruiny Gdańska.

— Znaleźli coś?

— Nie wydaje mi się. Wszystko pokryte warstwą mułu. Zniszczone.

— Ale to by znaczyło, że efekt cieplarniany się cofa. Lód wraca na bieguny, odradzają się lodowce. Klimat przestał wariować na taką skalę. Może jest w ich postępowaniu jakaś racja? — zastanowił się. — Może i Polska wróci, jak trochę poczekamy?

— Linia brzegowa ciągle się zmienia — rzekła z powątpiewaniem Zhu. — Nawet jeśli Bałtyk opadnie, nie odtworzy się dawne wybrzeże... z Helem, Zatoką Pucką i tak dalej. Nie będzie już dawnej Polski. Takiej jak tamta. Wybijmy to sobie z głowy.

Szli, milcząc.

— Kaźmirz, ohydny staruchu, przecież nie wzięłeś mnie po to, żeby nic nie gadać. Korzystajmy z tego, że nikt nas nie słyszy.

Co trochę przystawała, a to poprawiając sznurówkę, a to niby coś podnosząc, dopóki nie upewniła się, że nikt ich nie śledzi. Zresztą o tej porze nie było wielu przechodniów. „Cóż, część w robocie, reszta odsypia”, pomyślał Wan Hu.

— Wiem, że szukałeś mnie wczoraj.

— Tak.

— Zostałam wezwana do Chinoli. Do twierdzy — pokazała ruchem podbródka w kierunku, gdzie forteca chińska górowała nad miasteczkiem. — Chinole zorganizowali tam sobie mały wykwinny burdelik... Niedługo mogę awansować, cieszę się tam pewnym zainteresowaniem...

— Czyli mam szczęście, że złapałem cię w ostatniej chwili. Przystaniesz być dostępna dla pospólstwa.

— Jak wszystko pójdzie po mojej myśli, może któryś weźmie mnie na konkubinę.

— To bardzo pomyslnie wieści — osądził Wan Hu. — Idziesz w górę... organizacja będzie miała z ciebie pożytek...

— Już ma — powiedziała twardo. — Raport o twierdzy poszedł... — zorientowała się, że posunęła się za daleko. — Zakładam, że wciąż w tym jesteś... i znasz zasadę nieufności. Każdy, z kim się spotykasz, mógł zostać przekabacony godzinę temu. Prośbą, groźbą, mamoną. I już nie gra po naszej stronie. Dlatego nie należy ufać nikomu oprócz siebie.

— Ja ci ufam, Lucy — powiedział.

— Wobec tego źle robisz. O Boże, jak ja ich nienawidzę.

— Nie urządzajmy konkursu, kto bardziej.

— Ale tobie przynajmniej Chinole nie wybili całej rodziny. Zostałyśmy tylko z siostrą.

— Masz z nią kontakt?

— Nie. Nie wiem nawet, gdzie się podziewa... czy w ogóle żyje. No, ale mówmy o tobie.

— Stracili Sawickiego.

— Wiem. Byłam wtedy na placu. Rozplakał się. Naprawdę powiesił polską flagę na kominie?

— Ja tego nie widziałem, odsypiałem po nocce. Ale podobno wylazł na najwyższy komin i zawiesił. Całą noc wychodził... był chory. Wziął ze sobą ładunki wybuchowe i odstrzelił parę metrów drabinki za sobą, więc zanim go ściągnęli, minęło pół zmiany.

— Słyszałam, że sprowadzali snajperów, żeby go zastrzelić.

— Nie. Chcieli żywego. Usiłowali strącić flagę. Pod koniec była podziurawiona jak sito... ale wciąż się trzymała. Wiatr był po naszej stronie, podobno łopotąła jak za wolności.

— No to dobra nasza. Sawickiego szkoda.

— Pewnie. Każdego szkoda. — Wahał się, czy powiedzieć o raku. — Miał raka, parę tygodni życia. Co oczywiście w niczym nie umniejsza jego bohaterstwa.

— Tu każdy prędzej czy później staje się bohaterem. Przy Chinolach wyrastamy na dzielny naród. Właściwie powinniśmy im podziękować... że wyciągnęli nas z zeszmacenia.

— Mówisz jak ich propaganda.

— Mówię, jak myślę, bo co fakt, to fakt. Ludziom już na niczym nie zależało, taplali się jak kaczki w podłości i dobrobycie. Względny, oczywiście.

— No to nas w porę otrzeźwili. — Poczul niespodziewaną irytację. — Słuchaj, Zhu, już mówię, o co chodzi. Chinole wzięli mnie w obroty. Potrzebuję kontaktu z organizacją. Z kimś ważnym. Muszę się dowiedzieć, co mam robić.

— Żeby go wystawić Chinolom, co?

— Nic z tego nie rozumiem. Kazali mi spisywać swoje wrażenia... jakby życiorys, ale od końca. Dali papier, przybory do pisania. Przydziały. Zwolnili z roboty. A przecież wiedzą o każdym wszystko. Na co im moje wynurzenia? Nie będą ich przecież drukować?

— Nie o każdym. I nie wszystko. Nie domyślasz się, na co im ktoś taki jak ty?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— Pewnie myślą, że wiesz coś ważnego... A ty oczywiście nie wiesz nic. — Mrugnęła okiem łobuzersko, ale jej twarz pozostała poważna. — Pisanie życiorysu w coraz to bardziej szczegółowych wersjach to stary numer komunistów. To śledztwo. Uczestniczysz w śledztwie... Ale Chinole robią to, jak wszystko, po swojemu.

— Zaraz po imprezie na placu zgarnęli mnie goryle towarzyszki Zha Buzhou. Wsadzili do gablyoty. Wyobraź sobie: ja śmierdzący, złachany, ona pachnąca, wypoczęta...

— Zaiste, godne współczucia — zakpiła. — I co?

— Z tego, co mówiła, w moim otoczeniu działa ktoś dla nich istotny. Bardzo im na nim zależy. Przeleciałem w głowie listę kandydatów i nie znalazłem nikogo takiego. W dodatku od momentu wycofania z fabryki moje kontakty się urwały. Rozumiesz, nie ma w tym grama sensu.

— Teraz mi to mówisz? Oczywiście, że jest. Pilnie obserwują każdy twój ruch i czekają, kogo im wydasz. Ja cię kręcę, trzeba uciekać. — Z dobrze odegraną trwogą obejrzała się dookoła.

— Trzymaj się mnie, teraz już za późno na demonstracje. Chcemy czy nie, musimy odgrywać zakochanych. Zresztą już dochodzimy; to tutaj.

— Pamiętam.

— Przekaż komu trzeba, w jakim jestem położeniu i powiedz, że proszę o instrukcje. Sam jestem na to za krótki. Niech się ze mną spotkają, rozmówią. Doradzą, co mam zrobić. Jak ich wodzić za nos. Co pisać.

— Co im już dałeś?

— Takie tam. Opisy ptaków kąpiących się w kałuży. Moich stanów wewnętrznych. Proza psychologiczna. Nie byli zadowoleni.

Pchnął odrapane drzwi, zaskrzypiały. Weszli w mroczny korytarz. Woń stęchlizny unosiła się w nieruchomym powietrzu.

— Dalej nie pójdzie ci już tak gładko — ostrzegła.

Ninja

Zdumiewające, jak szybko organizm przywyka do wygod i jak opornie z nich rezygnuje. Wan Hu mógłby teraz spać całymi nocami; nie może wyjść z podziwu, jak gładko zerwał z rygiem pracy na trzy zmiany. Jest środek nocy, czas pierwszej syreny, której buczenie dobiega przez półotwarte okno; przy kadzi numer 6 robotnicy mają właśnie kwadrans przerwy. Wan Hu wstaje, wyłącza sprężynowy budzik, który nie zdążył zadzwonić; nie zapalając światła, rozwiera szerzej okiennicę. Noc — czarna, smolista — wydaje się jego sprzymierzeńcem; chmury na niebie trzymają dziś stronę sekretnych kochanków i tajnych stowarzyszeń. Nasłuchuje. Blok nie śpi, ale rygorystycznie zachowuje ciszę nocną; jeżeli gdzieś toczą się nocne rozmowy Polaków, to po ciemku, bo dozorca wyłącza oświetlenie o ósmej. Nasłuchawszy się do syta, Wan Hu przelazi po omacku przez parapet, uważając, żeby nie potraścić kamyka oznaczającego datę. Stojąc na twardych płytach, domyka okiennicę. Gdyby ktoś chciał go teraz okraść, miałby otwartą drogę; ale od kiedy za złodziejstwo chłosczą różgami na placu, zakusy na cudze dobro znacznie osłabły. Zresztą co tu kraść takim nędzaczom jak Wan Hu?

Teraz Wan Hu oddala się od ciepłego muru, czując niemal jego przyjazne promieniowanie. Dom jest jak przytulny ul, z którego tylko idiota mógłby emigrować w nieprzyjazną czerń — i przez moment Wan Hu tak o sobie myśli: „Szaleniec”, „szaleństwem jest to pakowanie się w kłopoty”. Lecz i pozostawanie w domu z niczym innym mu się nie kojarzy, więc rusza, maca drogę stopami jak ślepiec, liczy kroki, zakręca zgodnie z zakodowanym w głowie planem. Blok pamiętający jeszcze dni chwały sprzed stu lat, a może i wcześniejsze, przepadł już nieodwołalnie w ciemnościach i Wan Hu znajduje się sam na sam z okrutnym światem, który pewnie zdumiewa się, co tu robi ten intruz i dlaczego nie obawia się straży, która po schwytaniu włóczęgi bez przepustki od razu ekspediuje go do obozu lao gai. Za domem rozciągają się uprawy, pomiędzy nimi wiedzie droga szerokości dwukółki, przechodząca w łąkę, na której zgodnie z rozporządzeniem cesarza Budonga odradzają się liczne gatunki

roślin, owadów i płazów. Wstęp dla osób postronnych jest tam oczywiście surowo zakazany. Łąkę od upraw odgradza płot, ale Wan Hu zna przejście i kiedy wreszcie wydostaje się na otwartą przestrzeń, ktoś zniecierpliwiony grzmi mu nad uchem:

— Stój!

Więc Wan Hu posłusznie się zatrzymuje.

— Wszelki duch — mówi ten z ciemności. Wan Hu zastanawia się, czy jest młody, czy stary, wysoki czy niski, lecz te dociekania zostają brutalnie przerwane.

— Wszelki duch! — powtarza tamten lekko zniecierpliwionym tonem. — Odpowiadaj, bo oberwiesz.

— ..Pana Boga chwali — uzupełnia skwapliwie Wan Hu, bo niespieszno mu do konfrontacji z nocnym ninją.

— I ja go chwale — odpowiada tamten zdawkowo. — Masz broń?

— Nie. Instrukcja...

— Nie pytam o instrukcję, tylko o broń. Odwróć się i nie próbuj sztuczek.

Wan Hu czuje na sobie ręce tamtego, obszukujące go szybko, fachowo i bezceremonialnie.

— Gdybym miał broń, ukryłbym ją lepiej — mruczy z niechęcią.

— Gdybyś miał broń — podejmuje tamten — już byś nie żył. Nałóż to.

Miękki kłęb po rozpostarciu okazuje się kocem albo płaszczem, choć bez rękawów. Mężczyzna pomaga mu założyć kaptur, ale czyni to z niechęcią. Wtyka w rękę Wan Hu koniec kija i komenderuje:

— Teraz pobiegniemy przed siebie. Wyciągaj nogi, bo się zgubisz.

Z tym kuriozalnym kijem w ręce Wan Hu pędzi przez ciemność, niczego nie rozumiejąc. Wie tylko, że uczestniczy w monstualnym dziwactwie. Trawa czepia się butów, przemoczonych do podeszew, powietrze świszczę wokół głowy, świszczę też za krótki oddech, a bieg zdaje się nie mieć końca. Kiedy wydaje mu się, że dłużej nie da rady, nagle potyka się i pada, zawstydzony, że wypuścił koniec kija — teraz nie wie nawet, jak wrócić. Lecz obok przypadł też jego przewodnik; właśnie unosi się na rękach, węsząc jak pies. W jego oddechu nie ma śladu przyspieszenia, podczas gdy Wan Hu rzezi bezwstydnie, jak zdezelowany traktor.

— Przestań — strofuje go przewodnik. — Słyszać nas nawet z samolotu.

Więc Wan Hu, mimo że wysiłek rozrywa mu płuca, posłusznie przestaje oddychać.

— Mów, coś za jeden i czego chcesz. Mamy mało czasu.

— Cynober... Zhu nic wam...

— Może tak, może nie. Wolałbym to usłyszeć od ciebie.

Chcąc nie chcąc, Wan Hu relacjonuje wszystko, co wydaje mu się ważne, co wie i czego się domyśla, prosto w ucho tamtego, jak grzesznik wczepiony w spowiednika. Czasem pada krótkie, rzeczowe pytanie i znowu płynie intymne mamrotanie. Łąka świadczy temu ze zdumiewającą dyskrecją.

— Dobra — mówi tamten wreszcie. — Zaczynasz się powtarzać. Na razie wystarczy.

— Co o tym myślisz?

— Po mojemu najbardziej prawdopodobna wersja to taka, żeś prowokator i masz ściągnąć na nas Chinoli. Nawet chciałbym, żeby tak było. Ale to hipoteza trywialna; jeśli jest fałszywa, sprawy się komplikują. Może istotnie Chinole coś kombinują, kto ich tam wie. Pisanina, którą ci zlecili, wygląda na kamuflaż. Nikt jej na nic nie potrzebuje. Może kogoś próbują wywabić, ale na śmiech mi się zbiera, kiedy myślę, co warta jest taka przynęta jak ty.

— Innymi słowy, nic tylko zdrowo zmyślać. A że przy okazji łeb spadnie z karku, o to mniejsza.

— Oni wierzą we wszystko jak leci. Są jak duże dzieciaki. Czasem ogarnia mnie zdumienie, jak mogli zagarnąć z taką łatwością cztery piąte świata.

— Może tylko udają naiwnych, a swoje wiedzą? — poddaje łagodnie Wan Hu.

— O, tak. Wyznam ci coś w sekrecie. — Gorący oddech pali ucho Wan Hu. — Czasami marzę, żeby z nimi potańcować. Gdyby się miało prawdziwe wojsko, samoloty i komandosów, a nie pospolite ruszenie złachanych starców. Dlaczego tyłu was jest? Dlaczego zamiast wymrzeć, wciąż płączenie się pod nogami?

— Zapytaj demografii — chrząka Wan Hu z zakłopotaniem. — Sam kiedyś będziesz stary — dodaje nie wiadomo po co.

— To twoje pokolenie wszystkiemu winne — syczy tamten z nienawiścią. — Mielście walczyć i zginąć... jak ten idiota Kocmołuchowicz, a nie podnieść łapki do góry i grzecznie włożyć szyję w obrożę. Ale przesraliście ten świat znacznie wcześniej, kiedy wybieraliście marnych polityków, których horyzont umysłowy sięgał od kadencji do kadencji, kiedy wyrzekliście się dziedzictwa waszych ojców i dziadów i przyjęliście obcy model kultury, te wszystkie sitcomy, tokszoły i big brotherzy, filmy akcji robiące wam gówna z mózgu. Jak przyszli Chinole, oddaliście je bez dyskusji, nigdy nie były wasze. Nawet czuliście wdzięczność, że was wyzwolili od nudy i przesytu. A to, co wasze, przepadło bezpowrotnie. I tak zostaliście z pustymi rękami — charczy.

— Chinole nie wzięły świata z nudów ani dla rozrywki! — Wan Hu jest wkurzony nie na żarty. — Poszli na Moskali i Europę, bo się dusili u siebie, bo nie mieli co żreć i czym popić, i prawie czym oddychać. Huang Ho wysychała na trzysta dni w roku... a jak płynęła, miałaś w wodach całą tablicę Mendelejewa. Kiedy z mocarstwowych zakusów robiły się coraz większe nici, a są to ludzie mocno przekonani o własnej wyższości, pozostała im tylko wojna.

— W tym czasie ty i reszta Europy zamiast zabrać się do roboty, orać i płodzić dzieci, taplaliście się w gnuśności, czekając, aż was wygarną. No to doczekaliście się.

Wan Hu nie jest pewien, ale sądząc po odgłosie, tamten splunął.

— Zamiast wierzyć w Boga, pościć i pokutować, wyrzekliście się wiary... podobnie jak reszta tej zgniłej Europy, która z lenistwa wpuszczała na swe terytorium niewolników, a potem dziwiła się, że domagają się praw, szkół i meczetów. Ile miałaś dzieci?

— Co to ma... Jedno.

— No widzisz — parsknął ninja, jakby doprowadził dowód do końca. — A oni najmarniej po tuzinie. Zalali nas, zdeptali. Za to, żeście przychylali im nieba, z Francji zrobili republikę muzulmańską.

— Ale Chinole też ich przygnietli.

— Chiński walec walcuje równo. Wiesz, co teraz wymyślili? Zwieźli z całej Polski i z kresów na Jasną Górę cudowne obrazy na czele z Czarną Madonną i Matką Boską Ostrobramską. Organizują skansen religijny. Jak pokażesz paszport amerykański, za opłatą będziesz mógł sobie obejrzyć liczne dowody zabobonu religijnego.

— Zmyśliłeś to.

— Chciałbyś, prawda? Wypróbowali te metody wcześniej w Tybecie, niczego nie muszą zmieniać. Nie na nasze płuca ich długie marsze... Za sto lat nie zostanie po nas śladu... jak nie zostało po Tybetańczykach.

Wan Hu z głową utopioną w mokrym zielsku trawi w milczeniu jego bezlitosne słowa.

— Powiedziałbyś lepiej, jak wybrnąć z kłopotów.

— A co ty myślisz, że jestem jakimś pieprzonym jasnowidzem? Zbuntuj się albo uciekaj. Dowiedz się, o co im chodzi. Rozpracuj ich. Pisz te swoje dyrdymały, zawsze to czytelnicy. Może uda się ich zwodzić z miesiąc czy dwa. Chyba że wolisz przy kadzi.

Wan Hu czuje nagle ogromne znużenie. Nikt mu nie pomoże; jest sam. Nikt nim nie pokieruje, nie poprowadzi za rączkę. Sam musi wejść w to gówno i porządnie oberwać.

— W takim razie po co to spotkanie?

— Aleś ty naiwny — zachnął się tamten. — Nic nie rozumiesz? Gdyby to ode mnie zależało, przewracałbym się teraz w wyrze na drugi bok.

— Jak to?

— Wysłali mnie, to musiałem iść.

Wan Hu ma na końcu języka dalsze pytania, ale ninja nagle wprasowuje mu głowę w ziemię.

— Ty sukinsynu! — syczy. — Wyszło szydło z wora! — I zupełnie niespodziewanie zwalnia uścisk.

Czy to noc się przejaśniła, czy chmury zrzędyły, dość że Wan Hu dostrzega ponad ciemną płaszczyznę bladej opar, w którym płąsa kilkanaście ciemniejszych sylwetek. Echo komend zlewa się z odgłosami razów. Ten, który mu czynił gorzkie wyrzuty, świsnął przeraźliwie, jednym skokiem znalazł się na nogach. Natychmiast zadał i odbił kilka ciosów. Żółte ramię nunczako skoczyło do przodu.

— Jezu! — zawył trafiony i osunął się w trawę. Jego pogromca już zmagął się z następnym. Zdołał położyć i tego, a Wan Hu dopiero podnosi się na kolana.

— Uciekaj! — wrzeszczy mu w twarz zgorzkniały ninja. — Bo zginiesz!

Wan Hu chce go zapewnić, że zgadza się całkowicie z tą diagnozą, podziękować za trafne rozpoznanie zagrożenia, ale okoliczności nie bardzo sprzyjają wymianie zdań. Puszczą się biegiem przed siebie, obierając kierunek rokujący szybkie oddalenie się od centrum awantury. Czuje zadowolenie, że wybrnął z trudnej bądź co bądź sytuacji. Lecz w tym właśnie momencie nieuzasadnionej euforii zalicza potężny cios i traci przytomność.

Jak długo leży bez czucia? Ktoś w bordowym uniformie pochyla się nad nim, mamrocząc zaszyfrowane formuły, dotyka go nieśmiało muśnięciami, a w końcu opada na pięty. Stary, łysy, jakby zasuszony, rzewnie uśmiechnięty. Nagie ramiona. Na piersi dynda mu potężne srebrne gau w kształcie rombu.

— Wszystko dobrze, młody przyjacielu — zaszemrał mnich. — Jeszcze nie pora wybierać się do bar-do.

Mandaryn

Wan Hu budzi się ze snu kamiennego i nie wie, gdzie się znajduje. Wdzierająca się do pomieszczenia jasność kluje w oczy. To nie może być znajoma klitka z oknami na północną stronę. Przez czyste szyby widać ciemny las, a w lesie drą się niemiłosiernie ptaki. Ileż to lat Wan Hu nie słyszał tego rejwachu — tyle że prawie o nim zapomniał.

Izba ma ściany z desek; gdyby Wan Hu znał się na stolarstwie, powiedziałby, że z modrzewiowych. Na ścianach wiszą obrazki przedstawiające wąsatych jegomościów w wysokich czapach, przeskakujących ze skrzyżowanymi nogami przez ognisko. Pełno jest kwiatków, szlaczków, zawijasów, wzorków, bibulek, kolory wydają się żywe, powietrze pachnące, więc Wan Hu ochoczo wyskakuje z pościeli, żeby jak najszybciej zapoznać się z tym niespodziewanym bogactwem. Łomot w głowie sprawia, że z powrotem opada na piernaty. Czyjaś ręka, lekka jak motyl, muska jego czoło.

— Zhu... Ty tutaj?

Zhu-Cynober spogląda nań z bezbrzeżną troską, kładzie palec na ustach i odchodzi. Wraca z kubkiem parującego napoju. Woń ziół wierci w nosie, kiedy Wan Hu posłusznie siorbie cierpki, gorący płyn. Opada na poduszkę i momentalnie zasypia.

Znowu się budzi i znów widzi to samo: góralską izbę, gliniane dzbanki na hakach, wąsatych rozbójników na szkle malowanych.

— ...mu lepiej — informuje głos należący do kobiety, której nie widać.

— Już panu lepiej — powtarza z mocnym chińskim zaśpiewem siedzący obok mężczyzna. Prawdziwy Chińczyk: zgodnie z wymogami ostatniej mody, ma podretuszowany chirurgicznie skos oczu i cienkie jak u suma wąsy. Uśmiecha się zyczliwie. — Chciałbym panu pogratulować, Wan Hu, ma pan żelazne zdrowie. A i tak ledwo się pan wykaraskał.

— Co się ze mną stało?

— Niczego pan nie pamięta? Brał pan udział w nielegalnym nocnym zgromadzeniu. Przystępczy buntownicy starli się z siłami porządkowymi, korzystającymi z prawa do interwencji. W trakcie tej utarczki otrzymał pan silny cios w głowę.

— Pan oczywiście żartuje.

— Cios był naprawdę mocny, podejrzewano u pana wstrząs mózgu i pęknięcie czaszki. Ale się pan wykaraskał. — Chińczyk po raz drugi ryzykuje trudne słowo i po raz drugi nie popełnia błędu.

— Kto zwyciężył?

— Tam na łące? — Oblicze chińskiego dostojnika okrywa woal smutku. — Niestety, poziom wyszkolenia buntowników przerósł skromne umiejętności naszych porządkowych z ludu. Musielibyśmy chyba ściągnąć mnichów z Shaolin, żeby im sprostać.

— A to miejsce... ta leśniczówka — gdzie się znajduje?

— Jak to gdzie? Jak leśniczówka, to w lesie. Postanowiliśmy przenieść pana z zasmrodzonego bloku komunalnego, gdzie z pewnością nie miał pan odpowiednich warunków do uprawiania twórczości... a tym bardziej do rekonwalescencji. Tu, w głuszy leśnej, wytchnie pan i nabierze sił, i niejedno przemyśli, by tym sprawniej przelewać myśli na papier. — Obraca się na krześle. — Oto pańskie biurko, papier, przybory do pisania. Nic tylko brać się do pracy.

— Ptaki tak hałasują...

— Przeszkadzają panu? Zaraz każę przepłoszyć.

— Nie, tylko nie to. Przywykłem do innego typu hałasów... trudno się tak przestawić.

— To najlepszy dowód, jakie rezultaty daje plan miłościwie nam panującego cesarza. Skrzydlatych przyjaciół wciąż nam przybywa. Tylko patrzeć, jak pojawiają się w miastach.

— Ptakom powodzi się teraz lepiej niż ludziom — zauważa sarkastycznie Wan Hu.

— Dziwi to pana? Ptaki są rzadkością, prawie groziło im wyginięcie... a ludzi wszędzie pełno. To, co rzadkie, zawsze bywa w większej cenie niż to, co pospolite.

— Inaczej to widzę — mruczy Wan Hu. Zdumiewa go własna śmiałość, ale wewnętrzna przekora każe mu brnąć dalej. — Uczono mnie: człowiek najwyższym celem. Wszystko ze względu na człowieka. Przez człowieka i dla człowieka.

— I do czegoż was to doprowadziło, drogi Wan Hu — śmieje się Chińczyk pobłaźliwie. — Gmach cywilizacji zachodniej, narzuconej całemu światu na jego nieszczęście, jął kolapsować pod ciężarem licznych błędów. Brnęliście w te błędy uporczywie, rzekłbym nawet: z ochotą. Dziesiątki lat temu grube ekstrapolacje wykazywały, że musi się to skończyć tragicznie. Jedni mówili o dnie przepaści, inni o apokalipsie, a wszyscy siłą inercji podążali wciąż w tym samym, śmiertelnie niebezpiecznym kierunku.

— Ale człowiek wtedy coś znaczył, cieszył się poszanowaniem, godność ludzka nie była pustym słowem. Dziś został zamieniony w niewolnika! — Pomimo szumu w głowie Wan Hu czuje narastający temperament polemiczny.

— Bawi się pan w mylenie pojęć, drogi Wan Hu. Jakże mam się z panem zgodzić, skoro to wierutna nieprawda? Wołaliście, owszem, człowiek to brzmi dumnie. Na sztandarach i w gazetach wypisywaliście, że wolność, równość, braterstwo... Tylko że praktyka na każdym kroku przeczyła wzniosłym ideałom. O jakiej wolności mowa, skoro handel żywym towarem odbywał się bez ustanku i na wielką skalę? Potrzebowaliście prostytutek, robotników, nawet dawców organów i pozyskiwaliście ich bez względu na to, jakim prawom trzeba było zaprzeczyć. Równość — nie było u was większej fikcji. Ludzie ani nie rodzą się równi, ani nie są do równości przeznaczeni. Do czego wam były potrzebne te abstrakcje? Do lepszego samopoczucia?

— I dlatego wy postanowiliście się ich pozbyć, ratując ludzkość przed nią samą?

— Właśnie.

— Biorąc za mordy, nakładając pęta i kagańce i wywożąc nieposłusznych na cmentarze.

— Nadałby się pan na trybuna ludowego — kręci głową dostojnik chiński. Odziany jest w ciemny garnitur, ale w rękę trzyma złożony wachlarz z wycinanych misternie płytek.

— Ręczna robota — mówi, widząc zainteresowanie rozmówcy. — Pamiętajmy, że terapia musi przebiegać tym radykalniej, im później została rozpoczęta, a my z naszą ruszyliśmy dosłownie w ostatniej chwili. Ludzkość już miała dobrze zaciśniętą pętlę na szyi i zaczynała się dusić. W takiej sytuacji nie wolno się wahać ani przebierać w środkach.

— Wywołałście więc wojnę i zajęliście pół świata. Dla jego dobra, rzecz jasna.

Dokładnie cztery piąte. Wojna była nieunikniona, mogliśmy w niej zwyciężyć albo poleć, więc proszę nie mieć pretensji, że wybraliśmy to pierwsze. Dopiero wtedy cesarz Budong mógł rozpocząć realizację wielkiego planu shigandang. Jak kamienie shigandang, stawiane naprzeciw mostów, na skrzyżowaniach w kształcie litery T, załamują tory szkodliwych przepływów, tak plan shigandang załamał tory szkodliwych wpływów cywilizacji zachodniej. Postanowiono więc ograniczyć liczbę ludzi na Ziemi w pierwszym etapie o dwie trzecie, czyli z dziewięciu miliardów do trzech, i zabrać się do przywracania światu jego dawnego wyglądu.

— Poprzez wywózki na skalę, której nie powstydziliby się sam Stalin.

— Zgadza się. Miejsce Murzynów jest w Afryce, a Eskimosów na biegunie. Azjaci niechaj żyją w Azji, na rdzennie etnicznych terenach, a Europejczycy w Europie. Notabene, gdyby nie nasze zabiegi, w niecałe sto lat biali, zwłaszcza tak umiłowane przez was blondynki, byłiby jedynie wspomnieniem. Zechce pan zauważyć, panie Wan Hu, że taki świat jest nie tylko bardziej uporządkowany, jest przede wszystkim ciekawszy. Chce pan odwiedzić Persów, jedź pan do Persji; zatęskniło się za Hindusami, oto bilet do Indii. Nie tak jak u was, wszystko totalnie wymieszane, a w każdym kącie świata to samo: hamburgery i coca-cola. Ale to kwestie, że tak powiem, bardziej filozoficzne.

— I tylko Chińczyków to nie dotyczy.

— Co?

— Rejonizacja, o której pan wspomniał. Skoro Polacy w Polsce, Anglicy w Anglii, to i Chińczycy w Chinach. Tu się załamuje pańska logika.

— Wcale nie. Po prostu musiał znaleźć się naród, który wziął odpowiedzialność za to tytaniczne zadanie. Nie zostaliśmy w Chinach, bo nasze miasta zostały zniszczone w wyniku działań wojennych.

— Należy zatem rozumieć, że skoro tylko plan shigandang stanie się ciałem, natychmiast cofniecie się nad Jangcy.

Chińczyk przygląda mu się uważnie, przekrzywiwszy głowę.

— Sądziłem, że przynajmniej w jednym promilu jest pan po naszej stronie. Że nawet jeśli nie popiera pan zaordynowanej ludzkości terapii, to przynajmniej nie ma wątpliwości, że była nieodzowna. Rzecz jasna, nie wrócimy nad Jangcy, przynajmniej nie wszyscy. Układ, który tak łatwo się rozstraja, wymaga nieustannego dozoru. Musimy pilnować delikatnej równowagi.

Wan Hu nie ma siły oponować. „To beznadziejne”, myśli. „Ale jeśli to właśnie oni mają rację?”

— Niełatwo przyszło Chinom wziąć na siebie trud ulepszenia i uregulowania świata — kontynuuje mandaryn. — Przywykło się o nas myśleć jako o olbrzymie skoncentrowanym na wewnętrznych problemach, niezdolnym do sięgnięcia wzrokiem poza własny pępek. Na szczęście nie była to jedyna tradycja, jaką odziedziczyliśmy. — Wzdycha boleściwie, a mimo to Wan Hu odnosi wrażenie, że z satysfakcją. — Na początku waszego XV wieku, za wczesnej dynastii Ming, byliśmy mocarstwem na skalę światową. Milion żołnierzy pod bronią, we flocie sto wielkich dżonek oceanicznych z tekowego drewna, każda po 444 chi, czyli 150 metrów długości. Przeniesienie stolicy do Pekinu. Najpotężniejsi ludzie na Ziemi, syn i wnuk Tamerlana, musieli wykonać przed cesarzem Yongle słynny pokłon kontou, i to

trzykrotnie. Świat, drogi panie Wan Hu, był w zasięgu ręki i cesarz Yongle o tym wiedział. Wysłał swych admirałów na rozpoznanie odległych kontynentów, ale w tym momencie passa się odwróciła. Piorun podpalił rezydencję cesarską w Zakazanym Mieście, niszcząc Pałac Wielkiej Harmonii, Środkowej Harmonii i Zachowania Harmonii, a tron cesarski spłonął doszczętnie. Oznaczało to, że cesarz przestał się cieszyć łaską niebios. I rzeczywiście, wiodło mu się koszmarnie: pakował się w katastrofy, przegrywał bitwy. Wreszcie stary, chory i upokorzony Yongle zmarł, a jego syn Hongxi zapoczątkował erę izolacji od świata, kontynuowaną w jeszcze drastyczniejszej formie przez cesarzy z następnej dynastii Quing. Tak to świat wymknął się Chinom z rąk i dopiero cesarz Budong, czyli Trwający w Bezruchu, przywrócił właściwy bieg rzeczy.

„Co mnie to wszystko obchodzi”, myśli zniechęcony Wan Hu. „Wymknął się, nie wymknął, jaki ja mam w tym udział?”

— W wielkim dziele naprawy świata Chiny potrzebują sojuszników — stwierdza autorytatywnie mandaryn. — Spodziewam się, że pomoże pan nakłonić rodaków, aby się włączyli. Pozyskanie do współpracy narodu polskiego, skorzystanie z jego mocy duchowych należy do naszych priorytetów.

— I dlatego patriotów, których wyłapiecie, ścinacie publicznie mieczem.

— Panie Wan Hu, trzeba odróżnić działania pozytywne od destrukcyjnych. Z nieprzejednanymi buntownikami, a takich tu nie brakuje i pan to wie najlepiej, nie ma rozmowy. Musimy ich eliminować. Nie ma miejsca na żale za utraconą przeszłością. Było, minęło, zaczynamy od nowa. Ale wszyscy ci, którzy godzą się z nową sytuacją, tym samym opowiadają się po naszej stronie.

— Nigdy się nie pogodzimy — oświadcza butnie Wan Hu.

— Zobaczymy — wzdycha mandaryn. — Szkoda byłoby takiego dzielnego narodu.

Kłania się uroczyście i opuszcza pomieszczenie.

W nocy, która zapada zaraz potem, do Wan Hu przychodzi Lucyna — Cynober. Używając całej czarnoksięskiej sztuki kurtyzan, w ramach pradawnego rytuału „chmury i deszcz”, usiłuje mu wynagrodzić straty moralne, jakich doznał w konfrontacji z komisarzem Li Chi Hanem. Wan Hu zasypia, zmęczony i szczęśliwy; nie śni mu się nic.

Rinpocze

Następnego dnia promienie słoneczne, wpadające przez okna, mają ten sam migotliwy odcień, a ptasie trele dokładnie ten sam ton. Wan Hu maca obrzmiałe miejsce na głowie; guz rozlewa się chyba na pół czaszki, ale skóra wydaje się nie uszkodzona. Czapka stłumiła uderzenie? Usiłuje sobie przypomnieć: miał czapkę, nie miał? Zdejmuje opatrunek, ciska jak najdalej. Boże, co za ulga. Wtedy spostrzega, że znowu ma gościa.

Kalu rinpocze siedzi w powietrzu z podwiniętymi nogami, tuż obok miejsca mandaryna, który wczoraj poniżył się do gołej agitacji. Kalu odziany jest tak jak zwykle, a jego poznaczone bruzdami, zapadnięte jak owoc figi oblicze przybrało uroczysty wyraz.

— Witaj, młody przyjacielu — mówi lama. Jego głos szmerze jednostajnie i Wan Hu musi naprawdę natężyć słuch. — Rozmawiajmy szybko i konkretnie, bo czas nagli.

W jakiś tajemniczy sposób, nie poruszając żadną częścią ciała, wskazuje ku drzwiom, w których właśnie pojawiła się Zhu i zastygła w pół kroku. Wzrok spuściła pod nogi, żeby się nie potknąć o próg, przed sobą trzyma podpórkę z tacą zastawioną śniadaniem: pękaty imbryk, czarka, talerzyki. Wan Hu rejestruje to jednym mgnieniem oka i ogarnia go uniesienie.

— Kalu rinpocze, błagam, nie mów nic. Nie niszcz tej chwili.

Lama uśmiecha się i przymyka z rozkoszą oczy. Coś tam śledzi w swym przepastnym wnętrzu. Wreszcie odzywa się:

— Jak długo tu przebywasz, młody przyjacielu?
— Drugi dzień? — zastanawia się Wan Hu. — Tak, od wczoraj.
— W rzeczywistości około czterech godzin. Ile razy byłeś w toalecie?
— Ani razu. Tak, masz rację... Kalu rinpocze, powiedz mi, co się tutaj dzieje?
— Z wielką chęcią. Jesteś uwięziony w jednym z sarkofagów, które pozostały po dawnych przybytkach rozkoszy w rodzaju „Pryśły zmysły” czy „Siódme niebo”. Pamiętasz je jeszcze?

Wan Hu kiwa głową.

— Przykro mi, ale tak.

— Dlaczego ci przykro? Jeśli komuś podoba się mamić zmysły, oszukiwać ciało i umysł grubiańskimi sposobami, to jego sprawa. Ale do rzeczy. Chińczycy po rozpoczęciu okupacji oczywiście przejęli wszędzie te aparaty i przez pewien czas stosowali zgodnie z przeznaczeniem. Doznawali niezmiernych rozkoszy z dawnymi gwiazdami filmu, postaciami mitycznymi i tak dalej. Edykt cesarski zakazał tych praktyk, bo spychały jego poddanych na manowce, odwracały uwagę od spraw istotnych... a potem technika zaczęła się sypać i każdy taki aparat stał się na wagę złota. Położyły na nich rękę wojsko i tajne służby. Po licznych przeróbkach, udoskonaleniach, zamieniono je w maszyny do przesłuchań, swoiste konfesjonały do wydobywania zeznań. Oczywiście nie stosowano ich powszechnie, były za drogie i zbyt wyrafinowane. Po niewielkich modyfikacjach nadawały się nawet do torturowania milkliwych i małomównych.

— Jak to?

— To, co pieści, może równie dobrze zabijać, wystarczy odwrócić bieguny. Mocniejsze impulsy, inaczej rozłożone elektrody czy wbite igły od akupunktury... Co kiedyś służyło przyjemnościom, obróciło się we własne przeciwieństwo. W jednej z takich machin, w szczelnym sarkofagu nadzorowanym z zewnątrz, spoczywa twoje doczesne ciało, poddawane technikom generowania iluzji prawie doskonałych.

— Nie wierzę.

— W co nie wierzysz? Jeśli w iluzje doskonałe, to słusznie. Jeżeli w moje słowa, to popełniasz błąd. Wstań; przekonasz się, że nie możesz opuścić tego miejsca, bo drzwi i okna istnieją jedynie wizualnie. Wynika to stąd, że nikłej mocy iluzjotwórczej tych machin starcza ledwie na tę ograniczoną przestrzeń — powiódł w powietrzu suchą ręką. — Na nic więcej. Dla zażywających kiedyś w tej izbie rozkoszy erotycznych nie było specjalnie istotne, co wisi na ścianach i czy w lesie za oknami rosną grzyby, więc programy to pomijały. Wierne odtworzenie otoczenia tego domostwa angażowałoby drugie albo i trzecie tyle mocy obliczeniowych... Ale to szczegół. Co innego się teraz liczy. Oczywiście wydobywanie zeznań zwykle przebiega w okolicznościach bardziej drastycznych... wierz mi, widziałem sceny, słyszałem odgłosy, na samo wspomnienie których rejteruje umysł. Wobec ciebie na razie stosują taryfę ulgową. Skoro jednak w ten sposób nie osiągną niczego, z pewnością zaostrzą metody.

— Nie strasz mnie, rinpocze — szepcze Wan Hu. — I bez tego śmiertelnie się boję.

— Ja tylko udzielam informacji. Napęlam twój umysł faktami, abyś mógł sprostac temu, co cię czeka.

— Może też wiesz, rinpocze, czego ode mnie chcą? Co to wszystko ma znaczyć?

— Pozwól, że odpowiem nie wprost. Jak może wiesz, sto lat temu nastąpiło przymusowe wcielenie Tybetu do Chin. Chińskie wojska zalały nasz kraj, burzyły nasze gomy, mordowały mnichów, w samym sercu gór kuły sztolnie na wyrzutnie raketowe. Dostojnych lamów osadzano w obozach lao gai tylko za to, że byli lamami i Tybetańczykami. Byliśmy za słabi, żeby się temu przeciwstawić, bo cóż znaczą wobec tej nawały akcje purbów albo jedno czy drugie powstanie? Świat, mielący codziennie tony frazesów, wolał nie dostrzegać naszej tragedii i uznając prawo silniejszego, o nas się nie upomniał. I tak, za ogólnym przyzwoleniem, zniknęliśmy z powierzchni ziemi, przenosząc się gdzie indziej. Lecz pomimo

fizycznej likwidacji przetrwaliśmy, my i nasi bogowie, i ruszyliśmy za naszymi katami, i po dziś dzień towarzyszymy im wszędzie tam, gdzie postawią stopę. Trwa ten nasz pochód już trzecią dekadę. Wleczeni się za nimi, wygnani z rodzimego Tybetu. Niczym gromada głodnych widm asystujemy każdemu ich przedsięwzięciu, które zaplanują albo rozpoczną. Od kiedy sekretarz generalny ich partii komunistycznej porzucił doktrynę i ogłosił się cesarzem, jako wierni poddani z jednej z jego prowincji włączamy się chętnie do realizacji każdego zadania. Pomagamy, jak umiemy najlepiej i według najlepszej naszej wiedzy.

— Zabijacie?

— Nie zawsze. Dokładamy starań, aby się do nich nie upodobnić. Potrafimy im szkodzić na różne sposoby. Dzięki pewnym technikom związanym z medytacją otworzyliśmy sobie drogę do infosieci... kiedy jeszcze istniała w swej rozbuchanej i imponującej formie. Spełniliśmy marzenia tych, którzy wierzyli w transfer osobowości ludzkiej do sieci komputerowej. Nie jest to łatwizna, jak się zdawało entuzjastom. Trzeba spełnić bardzo rygorystyczne warunki... zmieścić się w naprawdę wąskim prześwicie. Lecz kiedy tego dokonaliśmy, obie rzeczywistości, realna i wirtualna, stanęły przed nami otworem. Wtargnęliśmy w świat subatomowy, poznaliśmy z autopsji te wszystkie stany splątane, stany chaotyczne, stany nieoznaczone. Rozstrzygnęliśmy nękający fizyków dylemat o związku pomiędzy obserwatorem a kreatorem, stając się równocześnie jednym i drugim.

— Ale przecież od wielu lat nie ma już sieci.

— Kto to powiedział? Druty istnieją jak dawniej i niekiedy płyną w nich prądy. Czasami sami je puszczamy, czasami sami nimi jesteśmy. Tam, w głębi sieci, niedosiężni, nie niepokojeni przez nikogo, odtworzyliśmy nasz Tybet, tam czcimy nasze bóstwa i tam zamieszkujemy. Ale od czasu do czasu wyłaniamy się z bayalu, tej krainy wiecznej szczęśliwości, by realizować ziemską część posłannictwa. To nie Chińczycy zawrócili świat z fałszywej drogi rozwoju, to my zawróciliśmy Chińczyków. Wystarczyło wyłączyć im technikę komputerową, wprowadzić chaos i blokady na infostradzie. Zdechli sami, nie wiedząc kiedy. Wasza droga rozwoju całkiem im się podobała i nie mieli nic przeciwko niej, skoro tylko sami się na niej znaleźli. Ale to my sprawiliśmy, że ich technika rozlała się jak mokra glina w rękach. To dzięki nam chiński smok nie połknął świata w całości. Powiem ci więcej: to na mnie polują, nie na ciebie. Na takich jak ja. Starają się nas wywabić w rozmaite pułapki, pojmać osoby i pojąć nasz fenomen, bo już wiedzą, że póki istniejemy, skazani są na dreptanie w kółko.

— A więc to wszystko — Wan Hu uniósł się na łokciach — jest zastawioną na ciebie pułapką? Ja, mandaryn, Cynober... — Spojrzał ku drzwiom, gdzie jasnowłosa dziewczyna wciąż nie mogła uczynić decydującego kroku przez próg.

— Właśnie. Mają tylko jeden naprawdę niebezpieczny pomysł; koncentrując w Częstochowie cudowne obrazy Matki Boskiej, zamierzają otoczyć ten teren jak gdyby ścianą boskiej mocy i pod tą osłoną dokonywać swych eksperymentów. Tam poczują się bezpieczni od naszych ingerencji.

— Bóg ani Matka Boska nie pozwolą sobą manipulować.

— W tym cała nadzieja. Oraz w tobie i w twoich rodakach... że do tego nie dopuścicie. — Przerwał i zamknął oczy. Trwało to kilka uderzeń serca. — Mój czas dobiega końca. Blokada zaraz ulegnie przerwaniu.

Zniknął, a projekcja ruszyła jak zatrzymany na stop-klatkę film. Wan Hu przyjął od Cynober śniadanie i zjadł je w łóżku. Czy jej milkliwość, dociekał, tak przecież nietypowa dla kobiety, także wynika z ograniczonej pojemności programów i mocy obliczeniowej aparatury? Kiedy odeszła, odłożył tacę na taboret i jednym susem dopadł drzwi, a następnie okien. Zgodnie z zapewnieniem rinpocze były zatrzęsnięte na głucho.

Dokończył śniadanie, ubrał się w nowe rzeczy przyniesione przez Cynober i nie zwlekając, zasiadł do biurka. Może jak zobaczą, że pracuje, nie będą go niepokoić? Parę razy zapuścił

żurawia w wyświetlany za szybą film przyrodniczy. Na parapecie ktoś wyciął identyczny kalendarz jak ten w jego dawnej klitce, którą tak pochopnie opuścił. Ziarno grochu spoczywało dostojnie we wgłębieniu oznaczającym osiemnastego grudnia. Ale to przecież było kilka dni temu.

Napisał: „Co się tyczy ostatnich mych przeżyć, to nic z nich nie rozumiem. Sen miesza się zjawą. Komu i w co mam wierzyć?” Machinalnie otworzył i zamknął środkową szufladę biurka. Zgodnie z tym, co zapamiętał, była pusta. Ale przecież zaczynała się, a teraz chodziła gładko i poruszał nią bez wysiłku. Otworzył — zamknął. Szuflada.

Shangdi

Step tym razem ma świadkować kaźni trzydziestu pięciu skazańców, których ustawiono w długi wąż. Rzuceni na gołą ziemię, zostali przygotowani do ceremonii: odarto ich z ubrań, ręce i nogi powiązano z tyłu, a do tych więzów przytroczono warkocze tak, iż żaden nie jest w stanie ruszyć głową. Oczami celują wprost w wysoki nieboskłon, jakby tam wypatrywali ostatniej nadziei. Jeńcy są chińskimi kupcami, pojmanymi opodal twierdzy Kobdo; teraz nikt się o nich nie upomni. Zastygli w uciążliwych pozach, z piersiami wypchniętymi do przodu. Nie widzą nawet swych prześladowców, kiedy ci nadchodzą orszakiem, przepychając się przez podekscytowany tłum. Lamowie, przybrani w czerwone płaszcze, z gołymi głowami, intonują modlitwy. Warczą damary, bębny z ludzkiej skóry; recytacja zaklęć przybiera na sile, a instrumenty z ludzkich kości wspomagają okropny śpiew. Gdy rejwach wydaje się sięgać zenitu, spomiędzy łamów występuje Dża–lama, klęka przed pierwszym z Chińczyków i krótkim nożem ofiarnym w kształcie sierpa błyskawicznie rozcina mu pierś. Wydarte serce trzepocze mu w rękę jak czerwona ryba; strumień krwi wypisuje na podstawionym płótnie formuły zaklęć, mających zagwarantować pomoc dokszytów, współpracujących demonów. Dża–lama umieszcza serce w gabali, kielichu z górnej połowy ludzkiej czaszki, ozdobionym srebrem, i przesuwając się do kolejnej ofiary. Lewą ręką zadaje cios, prawą zanurza w ranie; chwytając serce jak ukrywającego się w klatce z żeber ptaka. Kolejne płótno doznaje namaszczenia krwią wroga. Inni lamowie w tym czasie uderzeniami noży otwierają zabitym czaszki i rozpalone mózgi ciskają do parujących w gabalach serc.

Kolejnych pięciu ma umrzeć inaczej: Dża–lama ostrzem z cienkiej ludzkiej kości otwiera im aorty i zbiera wypływającą krew do gabali. Wykrwawiają się powoli, póki nie upadną twarzami w trawę.

Wan Hu spostrzega nagle, że w obserwowaniu porażającego widowiska towarzyszy mu komisarz Li Chi Han. Tym samym rozwiewa się okropne przypuszczenie, że lada chwila usługujący lamom młodzi mnisi dokooptują go do grona skazańców. Mandaryn bierze go za łokieć i odchodzą w step, byle dalej od odrażającego jazgotu tłumu, łomotu bębnów i ryku trąb z muszli.

— Był pan świadkiem ofiary według starego rytu zwanego „poświęceniem sztandarów” — wyjaśnia. — Ów ryt przekazywany był ustnie i potajemnie w ramach najwyższego wtajemniczenia. Dża–lama jest postacią historyczną, uznaną za świętego jeszcze za życia i inkarnację Mahakali, Wielkiego Czarnego Boga. Ceremonia zaś, która wywołała tę bladość na pańskim obliczu, to wprawdzie tylko inscenizacja, ale oddająca wiernie autentyczne wydarzenie.

— Dlaczego mi to pokazujecie?

— Żeby panu unaocznić, kto pana kusi. Wiemy że odwiedził pana jeden z nich, niestety, nie wiemy który. Nie potrafimy ich jeszcze identyfikować. Jakimś cudem są w stanie spowodować zawieszenie projekcji na okres od czterech dziesiątych do dwóch sekund; w tym czasie instrumenty pokazują, że zachodzi niezwykle intensywne transmisja danych. Niestety, odbiorcą mógł być tylko pan, czcigodny Wan Hu.

— Była jeszcze w pobliżu Cynober...

Chińczyk spogląda na niego uważnie.

— Dobrze pan wie, że Zhu to tylko fantom. Niczego się od niej nie dowiemy. — Idą przez chwilę w milczeniu. — Teraz już pan wie, co ma pisać?

Wan Hu nie potwierdza ani nie zaprzecza. Step pachnie wonią dojrzałych traw, łagodne wzgórza przesłoniły litościwie mordowanie kupców, dzień jest piękny, a świat tym bardziej straszny.

— Pozwolę sobie udzielić panu rady, drogi Wan Hu — odzywa się mandaryn zatroskanym tonem. — Jeśli pan coś wie, i tak to z pana wydobędziemy. Uciekniemy się do tego w ostateczności, ponieważ nasza obecna sytuacja wymaga stosowania środków ostatecznych. Nie chcemy jednak, by informacja, której nam pan pod przymusem udzieli, została zniekształcona, co w takim procesie niekiedy się zdarza. Jeśli jednak podzieli się nią pan z nami z własnej woli, potraktujemy to jako oznakę lojalności i chęć współpracy okazaną nie tylko we własnym imieniu. — Nachylił się i zamamrotał: — Naprawdę potrzebujemy po swojej stronie Polaków. Bez was sobie nie poradzimy.

Wan Hu nie wie, co odpowiedzieć.

— Przesadza pan — mówi w końcu. — Nie jestem niczym przedstawicielem, reprezentuję tylko siebie. — Znowu idą w milczeniu i Wan Hu, chcąc zyskać na czasie, próbuje z innej beczki. — Ludzie ludźmi, ale proszę mi wytłumaczyć, co wam zawiniła technika? Czemu, jak dawniej, ludzkich starań nie wspomagają maszyny, czyniące życie znośniejszym?

Teraz Li Chi Han wydaje się zakłopotany. W końcu postanawia udawać, że nie zauważył podstępny.

— Technika zdeprawowała ludzi. Ludziom wydawało się, że zostali przez technikę zwolnieni z wysiłku, bo skoro mechaniczne konie ciągną wóz, nie trzeba troszczyć się o nic więcej. Technika nie została pogrzebana; istnieje, jak pan wie, nawet teraz. Nie może być jednak dostępna dla wszystkich, bo wtedy co się dzieje? Nagle ni stąd, ni zowąd znikają ptaki i tygrysy, pod piłami i siekierami, jak pod ciosami huraganów, kładą się pokotem lasy, powietrze przestaje nadawać się do oddychania, a woda do picia. Taka jest cena powszechnego dostępu do udogodnień.

Wobec tego technika nie może już służyć wszystkim, służy wybranym, a pozostałym muszą wystarczyć własne ręce i nogi oraz siła mięśni zwierząt. No i maszyny proste, wykorzystujące moc żywołów: wiatraki, młyny, żagle... Wiem, powie pan, że to ideologia. Żeście już to ćwiczyli: utopię nierealizowalną z założenia... która na pewnym etapie nieodwołalnie się degeneruje i po której pozostają tylko hekatomby ofiar. Nie mam zamiaru pana przekonywać, że tak nie jest. To jest ideologia, która wymaga ofiar; te ofiary są i będą.

Milknie, przystanąwszy raptownie. Na jego puciołowatej, zadowolonej twarzy gości wyraz przestachu. Wan Hu może tylko zgadywać, czego boi się Chińczyk, gdyż nie widzi nic groźnego. Z powietrza wyłaniają się kontury siedzącej metr nad ziemią postaci, przez którą prześwituje trawa; stopniowo kontur wypełnia się ciałem i oto mają przed sobą Kalu rinpocze w całej okazałości.

— Witaj, dostojny komisarzu Li Chi Hanie — odzywa się swym szemrzącym jak strumień ryżu głosem. — Skoro tak bardzo chciałeś mnie poznać, zjawilem się na twe przywołanie.

Li Chi Han nie odpowiada, tylko jego gałki oczne wykonują niespodziewane rzuty na boki, jakby stamtąd spodziewał się odsiecz.

— Cóż, mieliśmy w swoich dziejach i takie epizody — Kalu zwraca się tym razem do Wan Hu. — Wstydzimy się ich i żałujemy, ale wśród wyznawców każdego kultu zawsze znajdują się nadgorliwcy.

— Ale przecież buddyzm uchodzi za religię dobroci! — wykrzykuje Wan Hu. — Nie zabijaj, nie niszcz, to jego naczelne przykazania! Wpajano mi, że buddyzm każe chronić wszystko, co żyje — a to, co widziały moje oczy, przeczy temu rażąco!

— Może twoje oczy widziały to, czego nie było? Może widziały, co im usłudźnie podsunęto? — kwituje starzec. — Poszczególne odłamy wiary różniły się od siebie, nieraz bardzo znacznie. Dża–lama należał do fanatyków, uważał, że prawda o chronieniu życia nadaje się w sam raz dla tych, którzy dążą do doskonałości — lecz nie dla tych, co ją osiągnęli. Wśród północnych buddystów ofiary z ludzi składano w zasadzie do początku XX wieku.

— Zbrodni na trzydziestu pięciu dopuszczono się w sierpniu 1912 roku! — wybucha Li Chi Han.

— O, nasz dostojny komisarz się ożywił. Powiedziałem: do początku XX wieku. Powiedziałem też: w zasadzie.

— Wasze modły, wasze nawoływania są wciąż skierowane do drapieżnych demonów, wzywają je do bezlitosnej rozprawy z wrogami lamaizmu! Wciąż składacie im krwawe ofiary!

— Jakże może być krew tam, gdzie nie ma nawet ciała? — zdumiewa się rinpocze. — I kto to mówi? Przedstawiciel narodu, który grzęźnie w krwi tak głęboko, że z trudem oddycha, bo wystają mu z niej tylko nozdrza.

Li Chi Han już go nie słucha. Opuścił swe miejsce obok Wan Hu i zniknął. Wan Hu spostrzega, że uwaga rinpocze skierowana jest w przestrzeń za jego plecami; odwróciwszy się, widzi górującego nad stepem wspaniałego smoka: żółtobrazowe giętkie ciało o przerażającej paszczy, zakończone ogonem z owalną jak u suma płetwą. Łuska lśni matowo w promieniach słońca. Grzbietem biegnie ni to grzebień, ni płetwa, nastroszona ostrzegawczo. W całej postaci smoka jest coś rybiego i wężowego zarazem.

Smok nasrożył się, zwinął i rozprostował potężne pazury, a broda i narośla na jego kwadratowym łbie zafalowały. Wydał z siebie odgłos przypominający niewielką turbinę w ruchu; z jego pyska strzeliła struga ognia. Trawa wokół stanowiska rinpocze zakopciła się.

— Longwang — stwierdza łagodnie starzec — popełniłeś błąd, rzucając mi wyzwanie. No, dobrze.

Przez moment nic się nie dzieje. Potem Wan Hu zaniewidział, bo jakby czerwona zasłona spadła na świat, likwidując sielski nastrój słonecznego dnia. Ogarnęło go wzburzone morze krwi końskiej i ludzkiej (skąd to wiedział?), pośrodku którego wznosiła się prostokątna jak cokół z miedzi góra. Na jej szczycie, w towarzystwie słońca, zwłok ludzkich i końskich, stał sam Dżamsaran o czerwonej twarzy, z wieńcem ludzkich czaszek wokół głowy, z miedzianym mieczem w prawej ręce. W lewej trzymał wątrobę i nerki należące, jak znów coś podpowiedziało Wan Hu, do wrogów wiary, a pod pachą ścisnął skórzaną czerwoną flagę. Usta Dżamsarana, szeroko otwarte, ukazały wyraźnie cztery białe kły, a troje oczu pełnych nienawiści nadawało jego obliczu straszliwie rozsierzdzony wygląd. Trwało to może мгновение, tak iż Wan Hu nie zdążył rozpoznać więcej szczegółów; potem wszystko utonęło w czerwono-brunatnej mgłę, która błyskawicznie wessała w siebie całą tę wizję. Następne мгновение oka — mgła skoczyła ku smokowi, który do tej pory pozostawał niedosiężny nawet dla czerwonego oddechu, uderzyła weń i oblepiła go szczelnie. Smok zaryczał, zwinął się w wężowych konwulsjach, puszczając kolejną fontannę ognia, lecz akcja ta nikomu nie wyrządziła szkody, gdyż wróg w materialnej postaci już nie istniał. W kolejnej sekundzie Longwang rozpadł się, poszatkowany na poziome i ukośne fragmenty, jak obraz telewizyjny, w którym zerwała się synchronizacja. Widać było, jak owe cząstki rozpaczliwie starają się połączyć, lecz separująca je siła nie pozwoliła im na to. W końcu fragmenty smoka jęły opadać ku ziemi jak liście albo jak strzępki pierza, bo w ich krawędziach wżarła się już erozja, nim jednak dotknęły murawy, nikły sprzed oczu Wan Hu, który nie zdołał wykonać ruchu, tak szybko się to działo.

— Dzieci — powiedział lama. — Są naiwni jak dzieci.

Wyglądał, jakby w ogóle nie ruszał się z miejsca. Lekki wietrzyk kołysał łodygami traw,

rozwierając resztki niewidocznego oparu, który pozostał po Longwangu.

— Zabiłeś go, rinpocze?

— Musiałem. Inaczej on zabiłby mnie. Działał z sąsiedniego sarkofagu, sprzężonego z twoim, i wierz mi, był do tej konfrontacji dobrze przygotowany. Ale teraz technicy znajdują w sarkofagu tylko martwe ciało.

— Dżamsaran dostał swoją ofiarę.

— Każdy walczy tak, jak może i umie — rzekł lama i po raz pierwszy w jego głosie Wan Hu wykrył ślad irytacji. — Tu nasze drogi się rozchodzą. Ale pamiętaj: walka trwa. Nic nie jest jeszcze przesądzone. Gdybyście jednak musieli ulec, zawsze znajdzie się dla was miejsce... obok naszego. — Uśmiechnął się do jakiejś dalekiej myśli. — Polska granicząca z Tybetem... kto by pomyślał?

Step matowieje, jakby ktoś wyłączył nad nim ogromną lampę. W miejscu, gdzie siedział rinpocze, nie ma już nikogo. Stopniowo z powietrza wyłaniają się dobrze znane modrzewiowe ściany, wąsaci rozbójnicy oraz cała rzeczywistość na szkle malowana.

Wan Hu podchodzi do okna, przygląda się ziarnu grochu na kalendarzu. Liczy cicho w pamięci: jutro Wigilia. Trzeba rozpocząć przygotowania. Przesuwa ziarno we właściwe miejsce, zamierza usiąść przy biurku, ale spostrzega, że pozbawiono je szuflad. Ktoś zabrał szuflady podczas jego nieobecności. Pomarudziwszy trochę, kładzie się na łóżku w pozycji, jaką zapamiętał sprzed trzydziestu lat z seansów w „Siódmym niebie”: ciało wyprostowane, ręce wzdłuż tułowia. Zdecydowanym ruchem sięga oburącz do oczu, chwyta za czaszkę tuż za kącikami oczu, ciągnie. Potworny ból nakazuje mu natychmiast zaprzestać tej czynności, całe ciało wzywa, żeby się opamiętał. Wan Hu nie rezygnuje; wyjął z bólu i wściekłości, chce zerwać z twarzy nie swoją maskę, w której znudziło mu się paradować. I w końcu gogle puszczają ze słabym cmoknięciem, chata na szkle malowana, kwiaty, zbójnicy Janosika przepadają w ciemności. Czyjeś ręce odplątują go z uprzęży, uwalniają od płyt emanujących grzesznym ciepłem. Widzi rozmazane sylwetki; jedna z nich podchodzi i z całej siły wali go w twarz.

— Boże prowadź — bełkocze Wan Hu. — Duchu Święty, oświeć.

Udaje mu się utrzymać na nogach; odczuwa upiorną satysfakcję, że oto dokonało się. Z porażającą jasnością zdaje sobie sprawę, że nie należy ani wspierać Chińczyków w ich zbożnym dziele nakładania ludzkości wędzidla, ani pakować się w mroczne otchłanie, gdzie grasuje Dżamsaran z gronem jemu podobnych i gdzie Polska może graniczyć z Tybetem. Na początek tyle musi wystarczyć. Tak kończy się droga Wan Hu, niewolnika imperium, a zaczyna droga Kazimierza Winklera, wodza i powstańca.

styczeń 2004

Słowniczek wyrazów nie objaśnionych w tekście

B a r – d o (tybet.) — 49-dniowy stan pomiędzy śmiercią a ponowną inkarnacją

b a y a l (tybet.), ukryta kraina — sfera zamieszkiwana przez bóstwa i święte istoty

c h i (chin.) — jednostka długości, około 32 cm

gau (tybet.), przenośna kaplica — noszony na szyi relikwiarzyk z metalu na tekst modlitwy lub amulet

g o m p a (tybet.), miejsce medytacji — klasztor buddyjski

l a o g a i (chin.), poprawa przez pracę — obóz koncentracyjny dla przeciwników reżimu

L o n g w a n g (chin.), Król Smok albo król smoków, ogólnie — potwór wodny

m a i x i a o n u (chin.), kobieta sprzedająca uśmiechy — slangowe określenie prostytutki

p u r b a (tybet.), gwóźdź, klin — bojownik o prawa Tybetu

r i n p o c z e (tybet.), drogocenny — honorowy tytuł wybitnych mistrzów duchowych

S h a n g d i (chin.), Pan na Wysokościach — imię Władcy Bogów

s h i g a n d a n g (chin.) — wg ideogramów: kamień ma odwagę się oprzeć; tablice stawiane w miejscach o niekorzystnym fengshui, mające łamać tory szkodliwych przepływów i chronić tym samym budowle i drogi tam

z i n g (chin.), zebranie krytyki — publiczna krytyka osoby z poniżeniem oraz użyciem słownej i/lub fizycznej przemocy

t a n g z h o u (chin.) — towarzysz

Z e n g z h a n g (chin.) — Narastająca Wspaniałość

Et in Arcadia ego

BARNIM REGALICA (TOMASZ SZCZEPAŃSKI)

urodził się w 1964 roku w Szczecinie, mieszka w Warszawie. W 1990 ukończył historię na UW. W latach 1984–1989 współpracował z prasą niezależną. W 1990 roku odbył służbę wojskową (st. kpr. pchor. rezerwy). Po roku 1990 regularnie współpracował z pismami „Razem”, „Gazetą Polską KPN”, „Magazynem Literackim”. Publikował także artykuły w „Najwyższym Czasie”, „Myśli Polskiej”, „Oddali”, „Tygodniku Solidarność”. Autor książek *Ruch anarchistyczny na ziemiach polskich zaboru rosyjskiego w dobie rewolucji 1905–1907 r.* (1999), *Międzymorze* (1993 — broszura przetłumaczona na ukraiński, białoruski i angielski), *Xiądz Marek* (1991) oraz zbioru opowiadań fantastycznych *Bunt* (1999). Uwaga — nie jest tożsamy z poetą o tym samym imieniu i nazwisku.

Stara Prochownia znajdowała się w zabytkowym budynku położonym u stóp łagodnie opadającej skarpy nadrzecznej zabudowanej równie zabytkowymi domami. Strzeżyk nie używał drągów, więc tam nie bywał, teraz jednak miał umówione spotkanie w kafejce mieszczącej się wewnątrz baszty pomalowanej w jaskrawe graffiti.

Właściwie był tu już kiedyś — na lekcji przyszybsu, jak w szkole nazywali „przysposobienie do życia w społeczeństwie otwartym”. W ramach przedmiotu odbywały się zajęcia z alternatywnych stylów życia, podczas których odwiedzali regionalne i lokalne ośrodki alternatywnego bytowania. Wprawdzie już w gimnazjum wybrali się z wychowawcą do zwykłej osiedlowej dragerii, ale liceum było dość ambitne i zorganizowało wycieczkę właśnie do Starej Prochowni, znajdującej się wtedy u szczytu powodzenia jako główny punkt dystrybucji narkotyków miękkich. Uśmiechnął się na to wspomnienie, mijając bramkę z mikrokamerą i wykrywaczem metali. Nie wziął żadnej broni, nawet noża, jedynie gaz paralizujący, ale z gatunku tych legalnych — przed południem w mieście powinno być spokojnie.

Ominął salę palaczy opium, stanowisko sprzedaży trawki, automaty z pastylkami ecstazy i LSD, bufet meksykański, gdzie facet w sombrero serwował peyotl z tequila, i przeszedł do kawiarni w następnej sali. Zamówił piwo i usiadł w półmrocznym kącie, skąd mógł obserwować całą salę: dwoje zaćpanych małolatów z walkmanami w uszach, neo-hipis w nieokreślonym wieku, mamroczący mantry do kieliszka wina, kopulująca murzyńska para w przeciwległym rogu i znudzony barman — poza tym nie było nikogo. Pod sufitem w solidnej bańce z pleksi wisiała policyjna kamera. Brak osób podejrzanych nic jeszcze nie znaczył — obserwacja mogła być prowadzona właśnie przez tę kamerę czy wręcz przez pluskwę w ubraniu rozmówcy. Tę ostatnią jednak wykluczył — nie tylko z uwagi na odpluskwiacze i ogólne postępowanie BHP w takich wypadkach. Jego misja była nietypowa, w zasadzie polegała na zwykłej rozmowie, której sens pozostanie nieczytelny nie tylko dla postronnego obserwatora, lecz nawet dla samego rozmówcy. Wymiana zdań miała pozwolić Strzeżykowi jedynie zorientować się w przekonaniach i charakterze interlokutorów — co nie dawało żadnego punktu zaczepienia śledczemu czy prokuratorowi. No, może poza faktem ulegania szowinistycznym stereotypom, co samo w sobie było niekaralne — przynajmniej nie w formie sądowej. Pracę w szkole zdążył już utracić, więc poglądy szowinistyczne mógł wyrażać bez obaw.

* * *

Cała sprawa zaczęła się około pół roku temu, gdy przez system łączności wewnętrznej

otrzymał tekst ogłoszenia, jakiego ma szukać w sieci. „Lekcji martwego języka — udzielam”, obok podano e-mail. Zaszifrowana odpowiedź wyjaśniała odbiorcy, kiedy się zgłosi, mówiła też chyba coś o rejonie, z którego się zgłosi, i możliwe, że o strukturze poziomej Organizacji — choć to było już przypuszczenie, bo o niej sami jej członkowie wiedzieli niewiele. Potwierdzenie zwrotne zawierało m.in. numer konstrukcji hasła i jego wariant zmienny; z tego należało odgadnąć samemu hasło, co przy znajomości konstrukcji nie sprawiało już kłopotu.

Sprawa musiała być ważna, skoro miało dojść do osobistego spotkania z kimś spoza piątki. Takie przypadki starano się ograniczać do minimum.

Miejscem kontaktowym okazała się kawalerka w zeszlowiecznym osiedlu bloków. Ze względów bezpieczeństwa większość mieszkań na parterze przeznaczono na lokale użytkowe. Strzeżyk minął drzwi z szyldem radioelektronika i drugie, za którymi Wietnamczyk sprzedawał dogburgery. „Biuro tłumaczeń — firma oświatowa” — to tutaj. Drzwi się otworzyły. Zobaczył szczupłego mężczyznę w średnim wieku, o skupionym spojrzeniu.

— Ja w sprawie słownika połabskiego.

— Chodzi o pierwsze czy drugie wydanie? — Mężczyzna z zapraszającym gestem usunął się z przedpokoju. Usiadł za biurkiem i wystukał coś na klawiaturze komputera, zapewne napis „zamknięte” na wyświetlaczu nad wejściem.

— O przedostatnie.

— Olin, waruj — rzucił gospodarz w stronę majestatycznego rottweilera, który wyciągnął się na kocu pod ścianą, nie wykazując zainteresowania Strzeżykiem, gdy zajął on miejsce po drugiej stronie biurka.

— Proszę przeczytać.

Obie mapy stanowiły zwykły komputerowy wydruk na jednej dużej karcie i w zasadzie nie było w nich nic, czego nie można wychwycić w analizie danych ogólnodostępnych, a w każdym razie jawnych. Problem polegał na ich zebraniu, a przede wszystkim w opublikowaniu tych danych tak, aby dotarły do ogółu — było to właściwie niemożliwe.

Mapa nr 1 przedstawiała obszar Grupy Euroregionalnej Wisła–Odra, jak najczęściej nazywano terytorium byłej Rzeczypospolitej Polskiej. W zasadzie starej nazwy nikt nigdy nie zniósł, występowała ona nawet w pismach oficjalnych, niektórych drukach urzędowych i corocznym orędziu prezydenta RP, czyli w tekstach, których nie czyta nikt, kto nie musi. Wszędzie indziej królowała jednak „GEWO”. Komputer podkreślał „RP” jako błąd, a w nowszych programach samodzielnie zastępował ją powszechnie używanym skrótem Grupy.

Co uderzało w tej mapie, to nietypowa kolorystyka: znana na pamięć mozaika euroregionów, regionów autonomicznych, powiatów, gmin — nie pasowała do tej kakofonii barw. Dołączona karteczka z legendą wyjaśniała sprawę: mapa przedstawiała stosunki etniczne na obszarze GEWO. Zarys granic RP używany w materiałach propagandowych Organizacji, a wewnątrz siatka innych linii granicznych i słabo przystające do nich różnobarwne plamy.

— Proszę spojrzeć na Euroregion Nadwiślański — mężczyzna zwrócił uwagę Strzeżyka.

Rzucąca się w oczy mozaika dzielnic etnicznych Warszawy, a na południe od niej, wzdłuż lewego brzegu Wisły aż do Pilicy — pas osadnictwa tureckiego, tradycyjnie trzymającego się najlepszych gleb na zapleczu wielkiego warszawskiego rynku zbytu. Przeniesieni z Berlina Turcy okazali się nad wyraz utalentowanymi ogrodnikami. Niebieska podłużna plama pod Płockiem oznaczała Holenderski Taras Zalewowy, ciemna plama obok — niemiecki mikroregion Płock im. E.T.A. Hoffmanna, a czarne kółka — autonomiczne dzielnice żydowskie Płocka, Sochaczewa, Łowicza, Ciechanowa, Pułtuska czy Warki; inaczej wyróżniono osiedla Afroeuropejczyków. Od tego tła odcinały się wschodnie powiaty Euroregionu aż po Korytarz Suwalski; tu odsetek ludności polskiej mieścił się wprawdzie tylko nieco powyżej średniej, ale radykalnie inna była jej struktura przestrzenna. Brakowało

enklaw zwarte osadnictwa obcych poza większymi miastami, no, jeśli nie liczyć „Siczy podlaskiej”, jak nieoficjalnie nazywali Autonomiczny Mikroregion Siemiatycko–Hajnowski położony między środkowym Bugiem a górną Narwią. Ale i tam dominowali Ukraińcy z dodatkiem Polaków. Oprócz kółka dzielnicy żydowskiej w Bielsku Podlaskim, tuż przy zachodniej granicy Siczy, na mapie w tym miejscu nie było żadnych innych kolorów. Natomiast na poziomie gmin i małych miasteczek ludność polska zdecydowanie przeważała.

— Pan popatrz.

Rozmówca pokazał Strzeżykowi kolejną mapę z powiatami: od granicy Euroregionu Prusy Wschodnie aż po Eksterytorialny Obszar Pamięci „Treblinka”. Przedstawiała obraz etniczny po odjęciu zeń miast powiatowych — przewaga ludności rodzimej była wręcz miażdżąca. Szczególnie rzucało się to w oczy na terenach Puszczy Zielonej i Południowokurpiowskiej (dawnej Puszczy Białej, której nazwę ktoś kiedyś zmienił — brzmiała zbyt rasistowsko).

— Obszar ma charakter wyjątkowy nie tylko przez swój skład etniczny, ale i wielkość. Jest parę podobnych, lecz nie w tej skali. Różne czynniki się na to złożyły: jakość gleb, stopień zalesienia i zabagnienia, współczynnik urbanizacji... Dość powiedzieć, że bardzo łatwo na tym terenie osiągnąć zdecydowaną przewagę ludności rodzimej, prawie bez konieczności działań siłowych, które naturalnie wzbudziłyby silną kontrakcję — gospodarz zawiesił głos, ale Strzeżyk nie przerywał milczenia. — Przyjęto postanowienie, że tam właśnie zostanie zrealizowany projekt Arkadia — podjął po chwili. — Inny niż dotychczasowe działania Organizacji.

Wtedy Strzeżyk zrozumiał, że sprawa jest poważna: w rozmowach nie tylko nie używano nazwy Organizacji, ale też formułowano myśli tak, by nie było oczywiste, że dana rzecz to jej akcja. Nawet kryptonimami posługiwano się wstrzemięźliwie.

— Celem projektu jest doprowadzenie do takiej zmiany na tym obszarze, aby nasza przewaga stała się miażdżąca, by odsetek pozostających pod wpływami Organizacji był na tyle wysoki, że będziemy mogli oddziaływać tam na politykę, i więcej: na klimat społeczny. Tu nie chodzi tylko o to, aby wybrali białego z „Inicjatywy na rzecz Wielorasowej Warszawy” albo „Stowarzyszenia Nigdy Więcej”. Należy skierować tam dyskretny strumień osadnictwa: osoby pod naszymi wpływami, nadto charakteryzujące się określonymi cechami. Względnie młodzi lub w średnim wieku... Powinni być przedsiębiorczy, mieć żyłkę społecznikowską, ale przede wszystkim — powinni chcieć się bronić. Czy pan mnie rozumie?

Strzeżyk skinął głową. Już w szkole miał z tym kłopoty. System wychowawczy został tak ustawiony, aby eliminować odruchy samoobrony wśród rdzennych mieszkańców. W szkołach ostrzej niż sami napastnicy karani byli ci, którzy w obronie własnej zrobili coś napastnikom — zwłaszcza jeżeli zaczepiającymi byli czarni (żółci chodzili najczęściej do własnych szkół). Podobnymi przypadkami zajmowała się też Młodzieżowa Liga Antyrasistowska, a przecież jej opinia wchodziła w skład teczki personalnej każdego ucznia, także gdy nie należał on do MLA. Prawo o obronie koniecznej pozostało w kodeksie, lecz ktoś, kto na przykład w obronie mienia zranił bandytę, miał z reguły znacznie większe problemy niż sam bandyta. Jeżeli dodać, że tubylec od szkoły podstawowej do końca studiów miał wpajane poczucie winy (egzamin z wiedzy o holocauście był nawet na politechnice), to Strzeżyk czasem sam się dziwił, jak wśród „narodu szmalcowników” (określenie znanego intelektualisty i antyfaszysty Rafała Sankowskiego) w ogóle powstało coś takiego jak Organizacja.

Wychodząc od Zięby (poznał w końcu pseudonim rozmówcy, co znaczyło, że będą ze sobą częściej współpracować), spojrzął na wydrukowany gotykiem wiersz wiszący w ramce pod staroświecką fotografią przedstawiającą chyba jakiś skansen.

Katu mes santik bayt
stzezik mes santik bayt...

— Po jakiemu to?

— Mniej więcej tyle pozostało z literatury Połabian, a dokładniej Drzewian — ich najbardziej zachodniego plemienia. Pomijając firmę, Połabianie to moje hobby — Zięba uśmiechną się melancholijnie.

* * *

Zadanie było zarazem łatwe i trudne. Łatwe, bo nie wiązało się z takim ryzykiem jak choćby podłożenie bomby. Trudne, bo ludzki umysł i wola to nieproste materiały do obróbki. A trudności sprawiał nie tylko i nie przede wszystkim materiał ludzki, naturalna niechęć do ryzyka stanowiąca przejaw instynktu samozachowawczego. Bardziej to, co ludzie — nawet ci obdarzeni dużym potencjałem woli — mieli wdrukowane w głowy w procesie wychowania. Tak, właściwym przeciwnikiem Organizacji nie był bynajmniej Urząd Ochrony Społeczeństwa Otwartego czy nawet organizacje paramilitarne mniejszości narodowych, lecz szkoła i media, promowany przez nie program wychowawczy i kształt kultury współczesnej.

Spojrzał na zegarek. Pierwszy jego rozmówca stał w drzwiach, z piwem w rękę, rozglądając się po sali. Uśmiechnął się i zamachał.

— Nie wiedziałem, że lubisz takie miejsca — Rzecki wykonał nieokreślony ruch ramionami.

— „Takie”?

— No wiesz... Teraz jest tu cicho, ale wieczorem odchodzą balety. Chociaż w porównaniu z tym, co działo się tu parę lat temu...

Strzeżyk skinął głową. Lokal miał mniej klientów, odkąd w pobliskim opuszczonym kościele Św. Marcina powstała Nowa Prochownia. Zwrot „pomoże ci św. Marcin” wszedł już do slangu ćpunów.

— Myślałem, że to miejsce pasuje ci z uwagi na pracę.

— Prawda. Ale mamy święto, dojeżdżałbym z domu. Choć dziś i tak musiałem podłubać, więc dobrze się złożyło — skinął głową, siorbnąwszy piwo.

Racja — był dzień świąteczny: dziewiętnasty kwietnia, rocznica powstania warszawskiego w getcie, dzień wolny od pracy w całym Euroregionie Nadwiślańskim. Ale tacy drobni przedsiębiorcy jak jego rozmówca często musieli rezygnować także ze świąt. Wymagały tego nie tyle interesy, co konieczność prowadzenia rozbudowanej księgowości przez każdego legalnego przedsiębiorcę, nawet gdy zatrudniał on tylko siebie. Ryzyko kontroli PIH-u, NIK-u, sanepidu, Straży Miejskiej, zwykłej policji, a zwłaszcza Gwardii Finansowej było stanowczo zbyt duże.

— Papierologia? — raczej stwierdził, niż zapytał Strzeżyk.

— Dokładnie. No, ale na dziś mam to z głowy — Rzecki pociągnął kolejny łyk, wyraźnie odprężony.

— Jak wy sobie z tym wszystkim radzicie? — Strzeżyk słyszał już o tym wiele, ale ogrom biurokratycznego szaleństwa z jednej i niewyczerpana pomysłowość z drugiej strony nie przestawały go nigdy zadziwiać. A znali się już na tyle, by w prywatnej rozmowie w cztery oczy pozwolić sobie na nieco szczerości.

— Wy, nauczyciele, macie prościej. Nikt was nie ściga za tuczniaki, może dlatego, że dzieci tych z Gwardii Finansowej też potrzebują czasem korepetycji. A drobny przedsiębiorca to zwierzyna łowna. No, ale tak na zdrowy rozum — pomyśl, na kogo oni mają polować?

— Nie rozumiem.

— Bo popatrz. Z kogoś takiego jak ty ściągną najwyżej trochę starych podręczników. Czarnego biznesu albo się boją, albo wchodzi z nim w jakieś układy. A największe legalne firmy mają swoją drugą księgowość, prowadzoną przez najlepszych fachowców w branży. Tam wszystko jest legalne. To że firma działająca dwadzieścia lat na rynku zawsze wychodzi

na zero albo jest wręcz na minusie i nic nie płaci — nikogo nie dziwi. Tamci księgowi są naprawdę lepsi od wszystkich kontrolerów, a na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, ich szefowie mają odpowiednie dojścia... No to na kim państwo ma się bogacić? Tylko na takim średniaku, który coś ma, więc jest do skubnięcia, a zarazem nie stać go na kosztownego magika od papierów. Grać z fiskusem w kulki muszę sam — zakończył prawie melancholijnie.

— I jak ci się to udaje?

— „Uparcie do przodu”.

Roześmieli się obaj. Było to hasło wyborcze AWSLD (Akcji Wyborczej Sojuszu Liberalno-Demokratycznego), głównej mainstreamowej partii Nadwiśla. Dotyczyło, zdaje się, wytrwałego przewycięzania trudności w budowie społeczeństwa otwartego w Euroregionie Nadwiślańskim.

— A poważnie — Rzecki znów łyknął piwa — to absolutną podstawą jest podwójna księgowość. — Nie zdradzał żadnej tajemnicy, o tym wiedzieli wszyscy.

— Słyszałeś, że w Mikroregionie Siemiatycko — Hajnowskim CIT-15 i CIT-26 zostały zniesione, a CIT-y 16-24 zawieszono na czas nieokreślony? A żeby firma otrzymała NIP, wystarczy tylko osiem formularzy?

— Słyszałem. A pewnie nie wiesz, bo przekaziory tego nie podały, że jak pojechała tam kontrola Gwardii Finansowej, to rizuny rozwały jeden z pojazdów rusznicą przeciwpancerną. I zaraz wnieśli do Strasburga pozew o dyskryminację. Ale oni mogą się ogłosić prześladowaną mniejszością i zgodnie z zasadami dyskryminacji pozytywnej im się należy. U nas to nie przejdzie: z miejsca by się przyczepili o nacjonalizm.

Strzeżyk wiedział o tym, lecz się z tą wiedzą nie afiszował, żeby facet nie nabral podjęrzeń. Jeśli nie usłyszał w prywatnej rozmowie (co było mało prawdopodobne), Rzecki musiał to wyczytać na stronach umieszczonych na serwerach w USA, Australii albo Emiracie Grenady. Wszystkie były kodowane, a ich rozkodowanie w granicach (JE stanowiło przestępstwo, ścigane z oskarżenia publicznego).

— Wiesz, gdybyśmy my mieli taki mikroregion, gdzie bylibyśmy prawie sami...

— Stary, z ust mi to wyjąłeś. Ale trzeba patrzeć realnie — gdzie znajdziesz takie чудо?

— No to za realizm. — Stuknęli się kufłami.

Strzeżyk z tej rozmowy właściwie dowiedział się wszystkiego, na czym mu zależało. Mógł z pełnym przekonaniem zaliczyć nieświadomego niczego rozmówcę do przyszłych mieszkańców Arkadii.

* * *

Następne spotkanie miał w południowej części miasta, dokąd musiał dojechać metrem. Doszedł do stacji „Plac Bankowy” i zajął miejsce przy oknie wagonika. Na Świętokrzyskiej pociąg dłużej niż zwykle powstał przy peronie. Okno Strzeżyka wychodziło wprost na płot oddzielający peron Dzielnicy Żydowskiej. Po jednej stronie bramki z wykrywaczem metali siedział strażnik miejski, po drugiej — strażnik dzielnicy z gustowną opaską z logo stanowiącym kombinację gwiazdy Dawida i syrenki.

Pociąg ruszył i już po chwili byli na stacji „Centrum”, przez którą, jak zazwyczaj, przewalał się różnorodny wielorasowy tłum. Miejsce obok zajął Turek (co Strzeżyk poznał po czytanej przez niego gazecie). Stacja „Politechnika” posiadała wyjście na Dzielnicę Niemiecką, poprzez rondo Jazdy Konnej (kiedyś nazywało się chyba inaczej, pomyślał), w stronę placu Unii Europejskiej i alei Szucha, na której końcu stał duży pomnik Przyjaźni Polsko — Niemieckiej, wyznaczający zarazem granicę Deutsch Viertel in Warschau.

Minęli Pole Mokotowskie. Uśmiechnął się do wspomnień. Lubił tam chodzić, jeszcze zanim Pole Mokotowskie zostało Polem Romskim, a Centralna Biblioteka GEWO przestała

być bezpłatna. Pole swoją nazwę zmieniło zresztą w okolicznościach dość zabawnych, dobrze to pamiętał. Nastąpiło to już w jego czasach studenckich. Otóż w ramach festiwalu Wielokulturowa Warszawa ściągnięto ze Słowacji — a ściślej: z Romskiego Regionu Autonomicznego Górnego Wagu — duży tabor cygański; tuż przedtem wybuchły tam dość poważne zamieszki. Intencja była jasna: włodarze miasta chcieli się wykazać przed Komisją Europejską. Tabor zakwaterowano w pustym budynku dawnego Urzędu Patentowego (zlikwidowanego, skoro patenty rejestruje się bezpośrednio w Brukseli) i na przyległej doń części Pola. Kiedy festiwal się skończył, szefowie taboru oświadczyli, że nie mogą wracać, bo sytuacja w ich ojczystym Górnym Wagu nie jest jeszcze stabilna z uwagi na szalejący tam słowacki nacjonalizm, a zresztą w tamtym regionie panuje przeludnienie, podczas gdy w Warszawie są, jak widać, rezerwy powierzchni, toteż solidarność europejska wymaga... Po jakimś czasie władze zaakceptowały to „wzbogacenie wachlarza etnicznego wielokulturowej Warszawy”, jak napisała „Gazeta Wyborcza”. Akceptacja przybywszy przez Polskę Romę (ciekawe, terminu „Nadwiślańska Roma” nie dało im się narzucić) nastąpiła znacznie później. Kolega pracujący w policji wspominał Strzeżykowi, że jeszcze dwa lata później liczba cygańskich trupów wyławianych z Wisły znacznie przekraczała średnią z ostatnich dziesięciu lat.

Wysiadł na Wilanowskiej i udał się w stronę jednej z okolicznych knajp. Miało się tam odbyć spotkanie z pisarką Galadriela Maślak, po którym był umówiony ze swoim kolejnym rozmówcą.

* * *

Jeszcze na studiach zastanawiał się, dlaczego właściwie system utrzymuje coś takiego jak literatura polska.

Z jednej strony — liczba jej odbiorców była doprawdy znikoma i likwidacja dotacji dla paru pism i stron WWW oraz półgodzinnej audycji literackiej emitowanej raz w miesiącu w ramach misji telewizji publicznej przeszłaby praktycznie niezauważona. Ciekawe, czy Ateńczycy zauważyli likwidację Akademii Platońskiej? A przecież kończyła się epoka.

Z drugiej strony — jest w człowieku siła twórcza wybuchająca nawet w najmniej sprzyjających warunkach. U nas na skutek historycznych i kulturowych uwarunkowań przejawia się ona najwyraźniej w literaturze. Nawet zepchnięta na całkowity margines — jako pozostająca poza kontrolą systemu — literatura mogłaby stanowić źródło kłopotów. Toteż lepiej utrzymywać struktury i osoby kanalizujące jej wpływ, zwłaszcza że kosztuje to stosunkowo niewiele — tak sobie rzecz tłumaczył. Nadto można je wykorzystać do wysyłania specyficznych sygnałów — jak wtedy, gdy po raz pierwszy od dwudziestu trzech lat nagrodę Nike otrzymał ktoś nie będący pracownikiem ani współpracownikiem „Gazety Wyborczej”. Strzeżyk był już wtedy w Organizacji i pamiętał, że używano tego faktu jako argumentu w dyskusjach nad możliwością ewolucji systemu.

Kiedy przyszedł, spotkanie trwało już jakiś czas. Dostrzegł swojego rozmówcę w jednym z pierwszych rzędów; sam zatrzymał się w ostatnim. W prezydium obok Galadrieli zasiadała prowadząca Anda Fleischfarb ze sponsorującej spotkanie Fundacji Batorego. Właściwie słowo „prezydium” nie odpowiadało rzeczywistości: na większości publicznych zebrań zrezygnowano z tradycyjnych stołów prezydialnych jako przejawu antydemokratycznego archetypu. Organizowano zebranych w koncentryczne kręgi, a u szczytu zewnętrznego z nich stał stolik z konsolką nagłośnienia i innym oprzyrządowaniem — będący w istocie dawnym prezydium. No, ale demokratyczny obyczaj został podkreślony.

Galadriela właśnie skończyła prezentację swojej książki o flupach i zaczęły się pytania. Książka była zapisem monologu wewnętrznego jednego z przedstawicieli subkultury flupów po spożyciu pewnej ilości narkotyków zaprawianych alkoholem. Całość uzupełniały zdjęcia

nazywane przez autorkę, za flupami, „kolekcją pawi królewskich”, czyli szczególnie obfitych i atrakcyjnych wizualnie rzygowin, stanowiących efekt wspólnych sesji alkoholowo–narkotycznych. Członkowie subkultury zbierali się na nie i kiedy już wszyscy mieli ochotę „zapawić”, chwyтали się za ręce, tworząc koło, i wymiotowali wspólnie do środka. Symbolizowało to wolę odbudowy wspólnoty w zatomizowanym i zindustrializowanym świecie.

Związki flupów z dadaizmem, anarchizmem kolektywistycznym czy fowizmem naprawdę go nie interesowały. Z ulgą więc doczekał końca spotkania. Potem przeszedł wraz z Piotrem do sąsiedniej kawiarnianej sali.

— Maślak zdecydowanie przereklamowana — komentował Piotr, mieszając kawę. — A ta jej teza, że flupy inspirują się ruchem dadaistycznym, jest mocno naciągana. Choć jeśli ona tak uważa...

Zgodnie z etykietą, użycie zbyt jednoznacznego sformułowania uchodziło za nietakt. Przekonanie to wiązało się z jedną z głównych zasad społeczeństwa otwartego: nie ma prawdy, są tylko opinie. A szacunek dla jednostki ludzkiej („osoby”, jak lubili pisać systemowi myśliciele chrześcijańscy, w przeciwieństwie do laickich, bo czymś się przecież musieli różnić) wymagał szacunku dla każdej jej opinii. Nawet takiej uznającej płytę z wymiotami za dzieło sztuki.

— Stary, nie pierdol. — Strzeżyk znał Piotra na tyle, że mógł być bezpośredni. — Cała ta jej książka to kit i ty wiesz o tym równie dobrze jak ja. Tylko szum medialny trochę cię onieśmiela, nawet w rozmowie ze mną. — Piotr uśmiechnął się kwaśno, co znaczyło, że Strzeżyk celnie trafił.

— Wiesz — kontynuował — mam swoją prywatną teorię na temat tego, co jest sztuką, a co nie. Doszedłem do niej, gdy usiłowałem zrozumieć, dlaczego malarstwo zasadniczo kończy się dla mnie na impresjonizmie. Otóż sztuką jest to, czego nie potrafiłbym wykonać sam. Dlatego uznaję za sztukę obrazy Tarasewicza, bo mimo ich programowej prostoty nie wykonałbym tak precyzyjnego skrótu bruzd ziemi zredukowanych do kilku linii, a jednak czytelnych. Pomijam już kwestię, czy w ogóle wpadłbym na taki pomysł. Natomiast instalacja złożona ze starego komputera, pralki i szafy gdańskiej sztuką nie jest — nawet jeżeli opatrzymy ją komentarzem, iż chodzi o refleksję nad przemijaniem czy coś równie górnolotnego. Prawdziwa sztuka zresztą nie potrzebuje komentarzy.

— No dobrze, ale jeśli nawet masz rację, to dokąd nas takie podejście doprowadzi? — Piotr łatwo docierał do istoty rzeczy i także za to Strzeżyk go lubił. — Powiedzmy, że przywrócimy kanony piękna i tym samym pojęcie brzydoty, chociaż dzisiaj to chyba tylko arbitralną decyzją. Do czego zatem wówczas wracamy? Do pojęcia obiektywnej prawdy i fałszu — na początek w sztuce. Zaraz jednak można będzie powiedzieć, że tak jak istnieją prawda i fałsz w estetyce, tak samo możliwe są w etyce. Stąd już tylko krok do wprowadzenia tych pojęć na powrót do polityki. Jeżeli oceniamy przeciwnika jako kogoś złego, a nie tylko uczciwego inaczej, wyznającego alternatywny, ale równie prawomocny co mój system wartości — to dążymy do jego pokonania, a nie do kompromisu z nim. To logiczne. Jakież kompromis czy dyskusję można prowadzić z bakteriami dżumy? Dżumę się zwalcza. A zatem, przywracając pojęcie piękna i brzydoty, wracamy do epoki fanatyzmu — którą zdecydowanie jako Europejczycy zamknęliśmy. A czym to grozi? Popatrz na relacje z Grenady.

W istocie Emirat Grenady często się przewijał w mediach, choć dla Unii problem stanowił oczywiście nie sam Emirat, ale stojący za nim Kalifat. Zanosilo się chyba na jakąś nową rozgrywkę, kto wie, czy luzy polityczne w GEWO nie wiązały się z obawą Brukseli przed otwarciem nowego punktu zapalnego.

— Muzułmanie osiągnęli to, co osiągnęli, także dzięki mocnemu przekonaniu, że mają rację. Sam kiedyś przyznałeś, że brak tego poczucia utrudnia obronę naszych interesów.

— Ale czy możemy ich bronić tymi samymi metodami co tamci? Przecież wtedy staniemy się tacy jak oni. Pamiętasz, rozmawialiśmy o uchodźcach z Palestyny. Kiedy przyjmowaliśmy pierwszych uciekinierów, jeszcze przed upadkiem Jafy, byłem w liceum i już interesowałem się polityką. Sam wtedy doszedłem do wniosku, że nie wszystkie płynące z tego korzyści, o których mówili w telewizji, to prawda. A nawet domyślałem się, że mogą się pojawić trudności. Lecz czy mogliśmy ich tak zostawić na łasce losu pośrodku morza?

— Po pierwsze, nie na łasce losu, ale ich rodaków z USA. Jeżeli tak się nimi przejmują, to dlaczego nie wykroili im kawałek Oregonu, większego niż było państwo Izrael? Przecież upadek Jafy przeżyło niecałe dwa miliony Żydów, a ewentualny sprzeciw kongresmanów z Nation of Islam tak wiele jeszcze wtedy nie znaczył.

Przypomniał sobie, jak kilka lat temu Organizacja wypuściła na rynek grę komputerową opowiadającą o ostatnich dniach Izraela. Zaczynała się od miny jądrowej, którą Hamas przemycił do Tel Awiwu, a kończyła na flotyli statków z uchodźcami na Morzu Śródziemnym. Wygrana zależała od liczby zatopionych jednostek.

— To z tą ziemią mają związki historyczne, nie z Oregonem. Także prawa własności... Co ja będę zresztą ci tłumaczył. Jako historyk wiesz to lepiej ode mnie.

— I wiem również, że te prawa własności to fikcja, a związki historyczne sefardyjczyków czy Falaszów z Polską to dowcip.

— W porządku — Piotr uśmiechnął się przy Falaszach. — Musimy bronić swoich racji i interesów. Ale powinniśmy to robić w ramach reguł cywilizacji europejskiej, do której należymy, latami przez tę cywilizację wypracowywanych.

— Sęk w tym, że te reguły nie pozwalają nam na skuteczną obronę. W prywatnej rozmowie wszyscy się godzą, że nie da się, po prostu nie da się żyć na osiedlu Afroeuropejczyków, nawet chodząc w kamizelce kuloodpornej i masce przeciwgazowej. Co z tego, skoro nie możemy o tym napisać pod groźbą naruszenia paragrafów o „szerzeniu nienawiści”? Nie mogą nazwać zła, jak z nim walczyć?

A czy trzeba walczyć? To, z czego naprawdę jako zbiorowość możemy być dumni, to nasza kultura. To ona przyczyniła się do przetrwania czasów zaborów i totalitaryzmów bardziej niż przegrane powstania. W przeszłości asymilowaliśmy bez przymusu Litwinów, Niemców, Ukraińców, nawet Ormian i Tatarów — jedynie siłą naszej kultury. Dlaczego sądzisz, że jest to niemożliwe w przypadku Turków, a nawet tych nieszczęsnych Murzynów?

Musiało go to naprawdę nurtować, skoro się zapomniał i użył niepoprawnego politycznie słowa. Zabranie go do Arkadii to zdecydowanie kiepski pomysł.

— Piotrze, nasza kultura obecnie ma twarz Galadrieli Maślak. A ściślej: fotografowanego przez nią talerza.

* * *

Spotkanie na Targówku miało być ostatnim tego dnia; stamtąd łatwo już było Strzeżykowi wrócić do domu. Wysiadł zaraz przy cmentarzu Żydowskim, choć do umówionego miejsca miał jeszcze kawałek. Przebył go pieszo, klucząc wśród uliczek i domów z pierwszej połowy XX wieku; ich bramy dobrze się nadawały do sprawdzenia, czy nie wlecze za sobą ogona. W zasadzie ten sposób inwigilacji powinien stanowić margines pracy policyjnej, zastąpiony przez kamery na rogach ulic, urządzenia skanujące siatkówkę w wejściach do instytucji czy stały nasłuch elektroniczny. Jednak w takich dzielnicach jak Targówek czy Stara Praga żywotność podobnych urządzeń była wyjątkowo krótka. Ich zamalowywanie, obcinanie, zaklejanie masą plastyczną przerodziło się w rodzaj sportu, i to pomimo groźących za to kar. Inna sprawa, że dla znaczącej części mieszkańców tych dzielnic wizja wyroku w zawiasach czy nawet krótkotrwałej odsiadki w razie recydywy, nie była czymś specjalnie przerażającym. Sprzęt obserwacyjny pozwalał im też na ujawnianie zapoznanych talentów aktorskich. Do

ulubionych zabaw należało odgrywanie sceny włamania do własnego samochodu pod okiem kamery. Patrol interwencyjny po przybyciu dowiadywał się, że właściciel właśnie zapodział gdzieś kluczyki. Stopniowo i bez hałasu zrezygnowano zatem w pewnych dzielnicach z systemu monitoringu, ograniczając go do miejsc najłatwiejszych do pilnowania — jak rondo im. Nissenbaumów naprzeciw obsadzonej przez całą dobę wartowni w wejściu do cmentarza Żydowskiego, skąd Strzeżyk właśnie się oddalał.

Gdy już zmierzał ku właściwemu miejscu spotkania — niewielkiemu barowi wietnamskiemu u zbiegu dwóch ulic — zaczęło padać. Przyspieszył kroku, mając nadzieję na gorącą zieloną herbatę u żółtka. Okazało się, że właściciel baru też świętuje żydowskie powstanie w warszawskim getcie, bo zamknął budę. Parasole nad stolikami były zwinięte, krótki okap nie dawał osłony przed deszczem. Strzeżyk nie dostrzegł żywej duszy, ulewa wymiotła nielicznych w święto przechodniów. „Ani cebulki, ani w co wkroić” — pomyślał, obchodząc barek. Będzie musiał poczekać z kwadrans na swego rozmówcę. Lało jak z cebra.

I wówczas zobaczył to miejsce. Bar Wietnamczyka składał się z trzech blaszanych modułów; przypominał w swym planie kształt litery U, podstawą przylegającą do głównej ulicy. Jedno ramię było do niej prostopadłe, za drugim zielenił się trawnik z klombem. Szukając zadaszienia, wszedł do wnętrza litery, niewidocznego z ulicy. Przez chwilę sądził, że właściciel zrobił tu sobie ogródek. Jednak tak nie było. Cztery niskie kamienne słupki połączone porzewiałym łańcuchem tworzyły prostokąt, wewnątrz którego spoczywała mocno poczerniała płyta z trudno czytelnym napisem: „Tu 1 VIII 1944 polegli za wolność ojczyzny żołnierze Armii Krajowej kpr. «Jastrząb», plutonowy «Dzik». Cześć ich pamięci”. Tablica była po prostu brudna, parokrotnie musiał skrobać żłobienia liter wyjętym z kieszeni staroświeckim metalowym kluczem, aby je odczytać. Obok słupka dostrzegł puszkę po piwie. Żadnych celowych uszkodzeń Strzeżyk jednak nie zauważył. Wietnamcowi zapewne ten obiekt był obojętny, a zrozumiała niechęć do zwracania na siebie uwagi w urzędach powstrzymywała go zarówno od samowolnego usunięcia płyty, jak i od pisemnego o to wystąpienia. Strzeżyk przypomniał sobie, że jeszcze w dzieciństwie widywał w mieście podobne tablice. Oficjalnie ich nie usuwano; znikaly przy okazji modernizacji ulicy, nowej zabudowy albo gdy na czas remontu oddawano je do konserwacji. Nie pamiętał już, kiedy widział ostatnią. Dawno temu.

Oczywiście wiedział, co upamiętniały — sporo doczytał sam, a przecież Organizacja także dbała o lektury członków. Mimo to czasy, z których ci dwaj tu leżący pochodzili, zdawały się Strzeżykowi tak odległe, że aż nierzeczywiste; równie dobrze mogli być to średniowieczni rycerze albo samuraje. Samuraje zresztą byli mu bliżsi, w liceum uprawiał sztuki walki i znał prawdziwych pasjonatów, dla których dawni mistrzowie miecza byli postaciami jak najbardziej żywymi i ważnymi. Ale z tymi dwoma tutaj jego pokolenia nie łączyło nic, poza zniekształconym językiem i ciągłością biologiczną. Choć zważywszy na odsetek małżeństw mieszanych i o tej ciągłości można by dyskutować. Istnienie Organizacji nic tu nie zmieniało; wiedział, że stanowiła margines.

Płyta leżała jak pocztówka z zaświatów. Padający ciągle deszcz zmył część brudu, który Strzeżyk wyskrobał kluczem. Wyjrzał na zewnątrz. Nikt nie nadchodził. Stało się jasne, że dziś do spotkania już nie dojdzie. Właściwie mógł pójść do domu, ale ponownie stanął nad płytą. Przyciągała go, nie wiedział dlaczego. Ciekawe, co by ci dwaj powiedzieli, gdyby mogli zobaczyć swoje miasto. Wiadomo co. Ale chyba by nie uwierzyli, że stało się takim bez wystrzału. Hitler i Stalin działali siłą, przez co budzili opór setek tysięcy ludzi. A okazało się, że żadne dywizje nie są potrzebne, że można zrobić prawie to samo jedynie z pomocą pieniędzy, słów i telewizji. I że wtedy żadne „Dziki” i „Jastrzębie” nie wyjdą z lasów naszych przedmieść.

Rozpogodziło się, ale jeszcze nie chciał odchodzić. Z klombu obok ułamał kwiat. Pomyślał, że jutro właściciel baru uprzątnie go i nawet nie będzie wiedział, dlaczego tam się

znalazł. No i chuj. Położył kwiat na płycie, raz jeszcze patrząc na oczyszczone przez deszcz litery.

lato 2003

Crux

JACEK DUKAJ

urodził się w 1974 roku w Tarnowie. Debiutował w roku 1990 na łamach „Fantastyki” opowiadaniem *Złota Galera*. Odtąd publikuje m.in. w „Nowej Fantastyce”, „Feniksie”, „SFinksie” i „Science Fiction” oraz rozmaitych antologiach (m.in.: *Wizje alternatywne*). Wydane książki: *Xavras Wyzryn* (1997), *W kraju niewiernych* (2000), *Czarne oceany* (2001), *Extensa* (2002), *Katedra* (2003, z Tomkiem Bagińskim), *Inne pieśni* (2003). Laureat nagród m.in.: im. Janusza A. Zajdla (dwukrotnie), „SFinksa” (dwukrotnie), Srebrnego Globu, Śląfy, nominowany do Paszportu „Polityki” (dwukrotnie) i „Machinera”. Krótkometrażowa *Katedra* Tomka Bagińskiego, zrealizowana na podstawie opowiadania Dukaja, w 2003 roku była nominowana do Oscara. Strona internetowa: dukaj.pl

Parodos

Teraz się wydarzy to, a następnie tamto,
później zaś, za rok albo za dwa lata (jak obliczam),
takie a takie rozegrają się działania, takie a takie zapanują obyczaje.
Nie będziemy się troszczyć o daleką przyszłość.
Postaramy się o to, żeby się działo jak najlepiej.
Im zaś gorliwiej się postaramy, tym więcej zepsujemy
i tym gorzej wszystko powikłamy, aż wreszcie się pograżymy
na samo dno zamętu. Wtedy się zatrzymamy.

Graffiti

CRUX CRUX CRUX CRUX

— Co, znowu?

— W nocy.

— Gdzie jest ochrona?

— Werki spadają z deszczem. Wieczorem lało, dzisiaj całe śródmieście tak wygląda.

CRUX CRUX CRUX CRUX

— Ale co to w ogóle jest?

— Mhm? — Lipski już kryje się za rozpostartą gazetą.

— Ten crux.

— A bo ja wiem. Pewnie po prostu litery ładnie im wyglądają. No, wiesz, graffiti.

— Taa.

Piątek, siódma dziesiątka rano. Do służy biurowca Czermu wchodzimy razem z tą nową od Leśmiana. Lipski zaszywa się w kącie z „Wyborczy”. Odruchowo wyciągam na kontakt ID panny: Anna Zoja Stefańska, nieherbowa, 25, SGH i rok w londyńskim C&C — ale pełne CV pod gryfem Buzdygana.

Błysk virścionków zwrócił jej uwagę, musiała rozpoznać mudrę albo po prostu domyśliła się odruchu, spogląda mi prosto w oczy.

Uśmiecham się uprzejmie.

— Pierwszy dzień w pracy?

— Pierwszy tydzień... — tu następuje krótka mudra z jej strony, której nie kryje wcale — panie Ćwiecz.

Wstaje i dyga, gdy ujmuję jej uvirścinioną dłoń i składam w ukłonie pocałunek.

- Bardzo mi przyjemnie,
- Wasza miłość.

Ma ciemne oczy, ciemne włosy we włoskim splocie, ciemno opaloną skórę. Także ciemny żakiet i spódniczkę oraz białą bluzkę z mazowieckim haftem, a wszystko to, nie wątpię, manufakturowe.

- Pracuje panna u Staszka Leśmiana?

— Tak tam, tymczasowo... I właśnie powinnam zająrzeć do pana lub pana Żeguty, pan Stanisław chciałby włączyć wasze plany kryzysów wschodnich...

- Ależ oczywiście, proszę, jeśli nie ma dziś panna nic pilniejszego, możemy od razu...

— Dziękuję państwu — mówi służa i wchodzimy do holu Czermu. Niewiasta oczywiście przodem i Lipski, przesunawszy wzrokiem po jej nogach w ciemnych pończochach, mruga do mnie porozumiewawczo. Mudruję mu na priva głośny fakof. Śmieje się, składając gazetę.

W windzie krótka pogaduszka o nowej modzie pośród magnatów Unii Południowej: polują w Kampinosie na tury za pomocą średniowiecznych broni. Tylko Chińczycy psują obraz: nasi socjerzy nie kwapią się do tak ryzykownej pracy, choć wysoko płatnej (zresztą, do jakiej się kwapią?), i najmować trzeba Azjatów.

Lipski wysiada wcześniej, my dopiero na siedemnastym. Mijając dygające sekretarki, mudruję im z podworeźnia plik harmonogramu dnia. Pokój Jakuba jest zamknięty. „Mój osobisty sekretarz wciąż na zwolnieniu, muszę się obywać bez sekretarza”.

- Pani Madziu, sejf rękopisów.

Pani Madzia nosi pęk ręcznie szlifowanych kluczy na srebrnym łańcuchu zawieszonym na szyi. Gdy ona otwiera toporną kasę pancerną i kolejne w niej metalowe szkatułki, pełne grubych manuskryptów, zdejmuję marynarkę, siadam za biurkiem i sygnuję poranne pisma — zabytkowy Waterman między palcami w herbowych virścionkach. Panna Stefańska przycupnęła na fotelu pod zimowym Malczewskim, ze zmarszczonymi brwiami czyta coś na kontakcie.

Ściany biurowca Czermu wykonano z werkfakturowego plastu. Jego właściwości regulowane są natężeniem pola magnetycznego oraz temperaturą. W godzinach pracy wszystkie pomieszczenia poza łazienkami i gabinetami magnatów pozostają całkowicie przezroczyste, ich ściany, podłogi i sufity — prawie niewidoczne. Dywany, chodniki, biurka, krzesła, regały, obrazy, rośliny — wszystko wisi w powietrzu, kondygnacja nad kondygnacją, nad kondygnacją. Przesunawszy wzrok poza krawędź dywanu, widzę — skroś szesnaście poziomów biurowca, aż do parteru z jego jajowatymi bryłami służ — przybywających kolejnych pracowników niższych departamentów Czermu, witających się, kłaniających, całujących dłonie niewiast, siadających przy swoich biurkach... Tylko dźwięki się nie przenoszą, to teatr niemy.

Natomiast uniósłszy wzrok, natrafię na nieprzeniknione kobierce apartamentów najwyższego piętra: nad nami już tylko pokoje właścicieli Czermu,

Skreśliwszy powoli podpis na ostatnim z pergaminów, odkładam pióro i odchylam się na fotelu, obracając się w prawo, ku pannie Annie. Spojrzenie jednak mimowolnie wędruje poza piast, na drugą stronę alei Putina.

Ściana sąsiedniego budynku prawie na całej wysokości pokryta jest fraktalowo zorganizowanym graffiti. Poranne słońce odbija się od lśniących płaszczyzn, mrużę oczy. Z blasku wyłania się mechaniczny wzór czarnych liter, CRUX CRUX CRUX.

— Wandale meteorologiczni — mruczę, szukając papierońnicy w kieszeni marynarki zawieszanej na oparciu fotela.

- Przeświecają w jego imię gowarki w Bałtyku.

- Słucham?

Panna Anna wykonuje mudrą zamknięcia, zakłada nogę na nogę i skupia wzrok na mnie.

- To jest taka gra, panie Ćwiecz. Werki rządowe, zwłaszcza ekologiczne i pogodowe,

zhackowano już dawno, kilkanaście lat temu.

— Brukselscy werkmanci wypuszczają coraz nowsze wersje. Kiedy ostatnio pomyłono się w prognozie pogody? Panna wierzy w te wszystkie teorie spiskowe?

— Ja po prostu wiem, jak się dzisiaj bawi młodzież, panie Cwiecz. Kiedyś włamywali się na strony Pentagonu czy Hagi, teraz łamią goworki. Kiedyś wywieszali na zhackowanych stronach w sieci dowcipy i przechwałki, teraz — wskazuje sąsiedni budynek — sam pan widzi. Złamią jednego goworka w Bałtyku, on przerobi kolejne, te następne, werklawina; potem spada to z deszczem. Co prawda zazwyczaj kodują ograniczenia geograficzne, nie wiem, czemu teraz od paru dni sieją tak na ślepo, może jakiś ambicjonalny wyścig sztam... Kuzyn należał do sztam, która prowadziła z innymi gry na barwy chmur i kształty błyskawic.

— To przecież niebezpieczne. Równie dobrze można złamać werki, żeby, o, dziękuję, pani Madziu, żeby kondensowały kwas siarkowy albo, boja wiem, rozkładały białko.

— Można. A hackerzy komputerowi mogą zablokować sieci komunalne, też zabijając tysiące ludzi. Przecież nie jest to legalne, oczywiście, że nie. Ale też jest niemożliwe do kontrolowania.

Uśmiecham się krzywo.

— Ma panna kuzyna przestępcę.

Opuszcza wzrok, wygładza spódniczkę.

— No tak.

Otwieram skórzaną teczkę przyniesioną przez panią Magdę.

— Panna pochodzi z socjalisk — mruczę pod nosem, kartkując rękopis.

Kątem oka widzę, jak wzrusza ramionami; zacisnęła wargi.

— Mam to w CV.

— Nie czytałem.

— Więc skąd...?

— jak tylko pannę zobaczyłem: młoda profesjonalistka, jak z reklamy, pełne porno. Ubranie, słowa, uśmiech, jak panna tu usiadła, wszystko ideał. Więc się zastanawiam. Że nieherbowa? Nie, to za mało, A teraz mówi mi panna, że jej krewni bawią się hackowaniem werków. Ukraina?

— Słucham?

— Ta inżynieria kryzysów wschodnich. Ukraina, Odessa, Zakaukazie? Plany moskiewskiej bessy na przyszły rok wywieszono już w sieci.

— Mogę zerknąć?

— Proszę — przesuвам ku niej papiery. Pochyliła się nad nimi. Kosmyk czarnych włosów układa się ponad kołnierzykiem białej bluzki wzdłuż linii szyi i zagłębienia nad obojczykiem. Z premedytacją odwracam wzrok, mudruję priva ojca. Mgła snuje się nad parkiem konnym Piłsudskiego, sekundanci wbijają w błoto szpile dymiących werkalergów, z wypalanej mgły sypie się szary śnieg. Ojciec wskazuje coś na niebie.

— A to?

Skupiam wzrok na pannie Stefańskiej. Przesuwa karminowym paznokciem pod tabelą planowanych bankructw i upadłości, w sumie ponad czterdzieści miliardów euro strat.

Czerm jest firmą brokerską, specjalizujemy się w inżynierii kryzysów. CM, *crisis management*, dzięki werkom logicznym stał się zupełnie nową dziedziną ekonomii. Od dawna wiadomo, że gospodarka rozwija się w cyklach i że żadna hossa i wzrost nie mogą trwać wiecznie; sztuka polega więc nie na sztucznym ich podtrzymywaniu, lecz takim wywoływaniu i zarządzaniu kryzysami, recesjami, dewaluacjami, by posłużyły one tylko jako katalizator jeszcze większego wzrostu, możliwie bezbolesny. Dzięki werkom logicznym można obliczać, co przedtem było nieobliczalne, i próbować zapanować nad nie opanowanymi przedtem procesami.

Ponieważ gospodarka drexlerowska jest grą o sumie dodatniej, bardziej opłaca się współpracować, planując zgodnie kryzysy w skali lokalnej i globalnej; a przecież tak naprawdę każdy kryzys wpływa na resztę świata. Gdy podpisujemy kontrakt na wywołanie i zarządzanie kryzysem jakiejś branży, rynku, państwa, unii — musimy znaleźć sposób na bezkonfliktowe wpisanie go w większy, największy obraz. Przypomina to sztukę wyczuwania przez surfera rodzącej się mu pod deską fali.

Gospodarka drexlerowska wymusza więc jawność i kooperację; uzgadniać trzeba nie tylko działania z działaniami, lecz także działania z planami, a nawet plany z planami i planami planów. Panna Stefańska porównuje zamierzenia departamentu Leśmiana z otrzymanymi przeze mnie w zaufaniu harmonogramami kryzysów firm CM z Protektoratu Rosyjskiego. Kaligrafuję je zawsze zabytkowym piórem na grubym, czerpanym papierze i chowam jedyne egzemplarze w werkalergowej kasie pancernej.

— To? Kryzys spowoduje wzrost cen energii, będą sadzić drzewa słoneczne. Wobec czego... Przepraszam.

Cofam dłoń, która spoczęła tymczasem na jej ramieniu, zsunęła się po szorstkim zakiecie ku miękkiemu mankietowi, gdy śledziłem ruch czerwonego paznokcia.

Panna Stefańska podnosi wzrok znad papierów.

— W tym budynku, jak dam po mordzie, zobaczy to woźny w piwnicy. Pamięta pan, co radzi Boziewicz?

— Staszek musi mieć z panną ciężkie życie — uśmiecham się, wyjmując z papierošnicy ręcznie zwijanego krusta. Częstouję zagniewane dziewczę. Przyjmie, nie przyjmie? Przyjmuje. Siada, wkłada krusta do cygarniczki, podaje jej ogień. Zaciągnąwszy się, wydmuchuje powoli dym. Też już nie potrafi powstrzymać uśmiechu. Hušta lewą nogą, postukując obcasem pantofla o piast.

— Proszę, dla znajomych i przyjaciół: Aza.

— Aza.

— Tak.

— Zygmunt.

— Mhmm — spogląda przez obłok dymu — to jednak nie wypada, ja mimo wszystko —

— Mój sekretarz jeszcze się kuruje, siekł się o jakąś głupotę, możesz go przecież zastąpić przez ten czas. Staszek winien jest mi przysługę, zaraz to... chyba że nie chcesz?

— Skoro tak, Zygmunco... Co się stało?

Podrywam się z fotela i wychodzę zza biurka, po drodze gasząc dzwony, których nagły łoskot niemal rozsadził mi czaszkę. Mudruję po windę.

— Szef wzywa.

Wszyscy ludzie honorowi są sobie bezwzględnie równi

Pan Jan Andrzej Buzdygan herbu Pobóg wybierał się właśnie na śniadanie do ambasady Brazylii; musiał zawrócić, nie zdążył się przebrać, stoi teraz za biurkiem w przesywanym złotem, czerwono-żółtym żupanie, z paradną karabelą u pasa, z zatkniętym za pas słucki czarnym werkalergiem — buławą ebonitową. Virścionki w kształcie rodowych pierścieni błyskają, gdy prawą ręką wyłapuje z sieci kolejne pliki. Lewą natomiast szarpie sumiastego wąsa.

Mruga w charakterystyczny sposób, spoglądając na mnie przez kontaktówki: astygmatyczny buldog.

— Pan doły pode mną kopiesz, panie Ćwiecz! — huczy, a rude kłaki na podgalanym łbie stroszą się w bojowy kopeć. — Pan mnie skompromitować usiłujesz, panie Ćwiecz wielmożny!

— Ależ skąd, co też —

— Wasza familia, panie Ćwiecz! Ba! Ojciec wasz rodzony! Ja was pytam: skąd niewdzięczność taka? K'czemu zdrada?

— Zdrada? Zdrada? — łapię się teatralnie za serce. — Co ja słyszę? Co wasza miłość rzeczesz!

— Nu, nu, nu, waspan się nie wyłgasz, minęła już ósma, a oni na dziewiątą umówieni, ja nie mam czasu. Vater Ćwiecz nie może go drasnąć! Słyszysz? Ani drasnąć!

Dopiero pojmuję, w czym rzecz.

— Kim on jest? — pytam, zmieniawszy ton, podchodząc do biurka karmazyna. — Ten Wichwitz.

Nad parkiem Piłsudskiego przeredzają się mgły, wrony przysiadłe na topolach i wierzbach rozpościerają żalobnie skrzydła i rozdziwiają dzioby, zimne krakanie płoszy konia na pobliskiej ścieżce. Joachim Wichwitz, oparty biodrem o maskę swego rolls-royce'a, spoglądając mi prosto w oczy, ściągą powoli zamszowe rękawiczki.

— A kto Burre, wiesz? — warczy Buzdygan.

— Mały Burre? Co on ma do tego?

Frederico Burre, zwany Małym z uwagi na ponad dwa metry wzrostu, pełni funkcję nieoficjalnego ambasadora Unii Alpejskiej w Polsce. Stara Unia Europejska prawnie i obyczajowo nadal istnieje, jak istniała przez dziesięciolecia po minięciu daty jej użyteczności Organizacja Narodów Zjednoczonych — lecz nieporównywalnie większą rolę grają mniejsze sojusze państw o wspólnych celach politycznych i gospodarczych: Unia Południowa, Unia Alpejska, Unia Założycieli, Frager, Unia Bałkańska, Unia Słowiańska, Unia Skandynawska. Nie chodzi przecież o ustalanie polityki celnej i (migracyjnej, bo rynek globalny tak czy owak wymusza tu wszędzie maksymalne swobody — co najwyżej właśnie o wspólne planowanie strategii kryzysów. Mały Burre kilka lat temu złożył w Czermie kurtuazyjną wizytę, Buzdygan i Struś przyjmowali go miodem i pieczonym prosięciem. Oficjalnie Burre nie ma żadnej władzy, lecz gdyby rzekł złe słowo — nie podpisalibyśmy ćwierci tych kontraktów, które podpisaliśmy.

— Mały Burre — cedzi pan Jan — ma trzy córki. Panny, słyszę, wielce urodziwe i kochliwe. Dwie już się zaręczyły. Z kim zaręczyła się najstarsza, panie Ćwiecz?

— Z Wichwitzem?

— A teraz przysięgnij się pan na ten krzyż święty, że ojciec jednego z moich dyrektorów nie usiecze przyszłego zięcia ambasadora Alp.

— Akurat, Kmicica będę ci jeszcze odstawił — mamroczę.

— Przysięgasz! — ryczy Buzdygan, łapiąc za rękę karabeli. Wyrecytowawszy przysięgę, pochylam się i całuję złoty krucyfiks.

— Co za porno.

* * *

— Tato, ty mnie nie słuchasz, on — nie wyrzucaj mnie teraz! — ten łorany Wichwitz — na litość boską — ile jeszcze, Grzesiu?

— Dziesięć minut. Chyba że złapię się za kierownicę.

— Łap, łap, ubezpieczenie biorę na siebie.

Szofer wyłącza pilota i nagłym szarpnięciem wrywa nas z kolumny pojazdów; przyspieszamy na lewym pasie.

Niechący trącam mudrującą energicznie Azę. Skupia na mnie wzrok i unosi pytająco brew.

— Wyblokował mnie — krzywię się. — Nie mam podglądu.

— Sekundanci?

— Nie wpuszczą mnie bez alarmu, teraz już wszyscy wyłączeni. Ósma czterdzieści trzy.

Sprawdziłaś?

— Mhm, sam zobacz. O co właściwie twój vater się z nim bije?

— Aaa, on tak zawsze.

Łapię na kontaktówki pliki newsowe. Aza szukała głównie po publicznych filtrach — bo tak najszybciej i najłatwiej — więc wyłowiła przede wszystkim podrasowane oficjałki: Wichwitz na nartach, Wichwitz na premierze *Dziadów*, Wichwitz na balu charytatywnym — tańczy z gładką blondynką. ID: Fiona Burre.

Joachim Wichwitz + Fiona Burre: „Romans w wyższych sferach”, „Zaręczyny magnatów”, „Pierścionek dla hrabianki”.

— Co: zawsze?

— Honor. Kiedyś na raucie wyzwiał komisarza policji za „niestosowny żart”.

— I co?

— Z komisarzem? Przeżył.

Joachim Wichwitz + pojedynek. Trzy nazwiska skojarzone — do ostatniego zarejestrowanego pojedynku Wichwitza doszło przed dwoma laty. Draśnięcia, żadnych głębszych ran. Dwa razy Wichwitz przegrał.

Zdejmuję sobie zaćmę z kontaktów. Aza spogląda na mgielne łąki parku Piłsudskiego, gdy łamiąc przepisy, pędzimyjedną z jego alei hipiczych. Wóz podskakuje, mijamy zagajnik i pomnik Marszałka, Grześ skręca ku zjazdowi na polanę. Kraczą wrony.

— Czego chciał od ciebie Byczuś?

— Kto? — Aza odwraca wzrok od okna.

— Małżecki, bezpieczniak Buzdygana. Czekał na ciebie pod parkingową służą.

— Aa, ten goło ta. Musiałam podpisać zobowiązania do zachowania tajemnicy, straszliwe klątwy prawne, w dwunastu egzemplarzach; pióro było wilgotne i upuściłam, przepraszam, jeśli czekałeś...

— Jako moja asystentka i tak musiałabyś podpisać, ale ten pośpiech — Grześ, zatrzymaj tu!

Samochód staje za nierównym szeregiem wozów zaparkowanych pod młodymi topolami.

Pierwszy krok i but w kałuży błota. Otrząsam nogę z obrzydzeniem. Powietrze jest chłodne i wilgotne, kontaktówki szczypią w oczy. Mrugam, obchodząc automobile.

Tamci oczywiście spostrzegli nasz przyjazd, ojciec zbliża się szybkim krokiem, wyraźnie zirytowany, szerokie rękawy białej koszuli nadymają się na wietrze. Jak zwykle przed pojedynkiem ostrzygł się na łyso; teraz lśni mu na czaszce pot, a może mgła skroplona, a może martwe werki atmosferyczne.

— Co ty sobie wyobrażasz, wpadać tu w ostatniej chwili, już wszystko —

Trzeba odbić jego pierwszy gniew.

— Tato, poznaj pannę Annę Zoję Stefańską, moją nową asystentkę. Zdążyła już obejść samochody z drugiej strony. Dyga, uniósłszy rękę. Ojciec zatrzymuje się, kłania głęboko, przeciąga pocałunek składany na dłoni Azy — nie byłby sobą.

— Cała przyjemność. Co się stało z Jakubem?

— No więc właśnie — próbuję ująć go pod ramię i odciągnąć pod drzewa, lecz wrywa się, odstępuje. — Też szabelka. Na litość boską, ten jeden raz, błagam cię, nie musisz przecież zawsze —

— I ja takiego syna wychowałem, tfu! Dziadek się w grobie przewraca!

— Dziadek, jak się kiedykolwiek w życiu z kim bił, to chyba tylko w kolejce po kuroniówkę — mruczę pod nosem.

On się ogląda na ludzi zebranych przy owalu wyznaczonym wbitymi w grunt szpilami werkalergów; czekają bez słowa, lecz lekko już zniecierpliwieni. Wichwitz, również w białej koszuli, tnie nerwowo powietrze obnażoną szablą. Siedzący w otwartych drzwiach ambulansu lekarz pali papierosa. Ambulans znajduje się najbliżej, na końcu szeregu samochodów, doktor

zapewne dobrze słyszy naszą sprzeczkę.

— Rozumiem, że nie chce się pan wycofać — wtrąca Aza. — Ale wystarczyłoby, mhm, zaprzeczyć obrazie.

Rzuca mi plik z Boziewiczem. Zezuję na siwe chmury, gdzie rozsmarowało na kontaktówkach tekst:

Art. 105.

Zaprzeczenie obrazy jest wystarczającym zadośćuczynieniem w tych wszystkich wypadkach, w których obraza faktycznie nastąpiła, jednakowoż ogranicza się do poniżenia miłości własnej obrażonego, ale sama w sobie jest niegrzecznością towarzyską.

Inaczej określając: zaprzeczenie obrazy wystarcza we wszystkich przypadkach lżejszej zniewagi a oczywiście o ile nie jest zniewagą czynną.

* * *

— Tyś go wyzwał od — od czego? „groszowych rywinków”?

Ojciec wzrusza ramionami.

— Co to są „groszowe rywinki”?

Wzrusza ponownie.

— A miałeś w ogóle jakiś poważny powód? Czy po prostu brakło ci rozrywki w tym tygodniu? Od kiedy ty w ogóle chodzisz do term rzymskich?

Aza powstrzymuje mnie gestem.

— Panie Ćwiecz — zbliża się do ojca — jeśli nie chce pan osobiście, można pisemnie, przez sekundantów —

— Po moim trupie!

Panna spogląda błagalnie, ujmuje go delikatnie za ramię, czerwone paznokcie na białej tkaninie.

— Ale może w takim razie da się to załatwić bez wyrządzania mu krzywdy. Panie Ćwiecz. Przecież pan pokona go bez trudu, Zygmunt mi opowiadał, nie musi go pan okaleczać, prawda? Nie jest pan przecież jak te młodziki, nie zależy panu na krwi. Jakie warunki spisali sekundanci?

— Oczywiście, oczywiście, ale to jednak się tak nie da, moja droga — ojciec kręci głową, krzywi wargi. — Jak los pozwoli... Żadnych gwarancji.

Art. 76,

Gentlemanowi nie wolno przyjąć mandatu wówczas, jeśli jego klient żąda z góry pojedynku aż do śmierci jednego z walczących.

Ale mało to pocieszające, zważywszy, że córeczka Burre dostanie spazmów na widok byle blizny u ukochanego, choćby i zeszła ona pod werklązem w jeden dzień; a ojciec jeszcze nigdy nie wypuścił spod klingi człeka nienaznaczonego. Śmierci też się przydarzały.

— Może gdybyśmy porozmawiali jeszcze z sekundantami obu stron... — myśli na głos Aza. Wyraźnie widzę, jak w kolejnych próbach rozwiązania problemu panna usiłuje się zaprezentować jako energiczna, zdecydowana profesjonalistka. W pewien sposób jest to nawet rozczulające; w pewien — zasmucające.

— Ani się ważcie! — Ojciec odskakuje jak oparzony. — I odczep się wreszcie, Zygmuś, czas ucieka, zresztą zaraz będzie po sprawie, tylko się mi nie wtrącaj, dobrze? Waćpanno.

Kłania się i odchodzi ku placowi pojedynkowemu. Opieram się o maskę merca, wyjmuję papierośnicę.

— Więcej niż kwadrans opóźnienia i zapiszą niehonorową ucieczkę — zapalam. — Gdybym dał mu z zaskoczenia w łeb, jako chory, nie w pełni sił, musiałby się wycofać. Przynajmniej na kilka dni.

Aza spogląda na mnie, na ojca, na sekundantów, Wichwita, policjanta.

— To co? Rezygnujemy?

— Trzeba liczyć na lekką ranę. Pójdę, przepraszę, pokłócę się na jego oczach z vaterem, scena przecieknie na plotkarskie serwisy; jakoś się ułoży.

— On naprawdę taki fechmistrz?

— Uczył w jednym z pierwszych liceów szermierczych. Gdy potem prywatne szkoły zaczęły wprowadzać klasy szabli, napisał podręcznik. Mały Wołodyjowski. W domu miałem to dzień po dniu. Ekstrema sarmatyzmu. My już jesteśmy drugie pokolenie, połykamy jako normę albo kontestujemy — a dla niego to ideologia życia. Trzeba było znaleźć jakieś chwytliwe memy dla odbudowy polskiego etosu, ja to rozumiem.

— Musiał cię nieźle przeciwiczyć.

— Ba!

— Przynajmniej rozmawiacie ze sobą.

— Ano.

Ojciec ma sześćdziesiąt lat, ale jest to sześćdziesiątka werkmajsterowa: soczyste mięśnie, proste plecy, jędrna skóra, jasne oczy, energiczne ruchy, mocny głos. Te bary miał jeszcze przed kuracjami. Nosił wąsy, ostatnio zgolił. Apodyktyczny był zawsze.

Rozmawiamy ze sobą, tak; kilka lat nie rozmawialiśmy, co najwyżej na vircie. Że teraz wpuszcza mnie na kontaktówki i pozwala podglądać swoje pojedynki, to raczej forma jego przewrotnej zemsty: ja nigdy nikogo nie wyzwalałem, a nie potrafię powściągnąć nerwów, gdy on po raz enty ryzykuje zdrowie i życie — muszę podglądać. Papieros w dłoni odrobinę pomaga.

Obaj — ojciec i Wichwitz — zdjęli koszule, lekarz i sanitariusz okręcają ich teraz przepisowymi bandażami: przegub lewej ręki, przegub prawej ręki, brzuch i plecy. Obserwator policyjny sprawdza szablę i ziemię (trawa jest niedozwolona). Dokoła gniazd szpil werkalgicznych, wbitych głęboko w grunt, obracają się wiry szarej mgły, z których spada powoli migoczący w promieniach słońca pyl. Szpile wyznaczają granice owalu placu pojedynkowego.

Art. 247.

Wielkość miejsca walki ma wynosić — przy pojedynku na szable: 15 metrów długości i co najmniej 6 metrów szerokości.

— Bacność!

Ojciec i Wichwitz stają na swoich stanowiskach, obok nich sekundanci z nagimi szablami w dłoniach. Bandaż ojca jest biały, Wichwitza — białobłękitny.

— Złóż się!

Okrzyk podrywa z drzew stadko czarnych ptaszysk, przelatują nad nami, zataczając krąg; unoszę na chwilę głowę.

Sekundanci podali szablę klientom, ojciec i Wichwitz salutują sobie lśniąca stałą.

Z wozu wysiadł także Grzesiu, przypatruje się widowisku z założonymi na piersi rękoma.

— Vater waszej miłości?

— Aha

— Byku. A ten młodziak spietrany, widać. Będzie dobrze.

— Mhm.

Aza przypatruje mi się kątem oka. Uśmiecham się krzywo. Ciepły dym w płucach. Na priva dobija się nieprzerwanie Buzdygan; ignoruję go, gaszę dzwony.

— Bij!

Ruszają i od razu widzę, że coś jest nie tak. Odrzucam papierosa, prostuję się. Zły balans ciała i to ugięcie nóg — a kiedy Wichwitz uderza wlew, zasłona ojca jest odrobinę spóźniona, łapie cios na sztych, zamiast na zastawę. Kiedy przechodzi do cięcia z podlewu, też jest zbyt wolny i nieprecyzyjny; Wichwitz spuszcza je na jelec, ale mógłby się uchylić. Ojciec to widzi, odstępuje, krok, drugi, trzeci, prawie do granicy szpil werkalgicznych, wciąga do

pluc powietrze, widzę, jak próbuje się ocucić głębokimi oddechami.

Chcę krzyknąć, ostrzec go, zatrzymać pojedynek — ale wiem, że nie powinienem, nie mogę, w tej chwili to najgorsze, co mógłbym uczynić. Dłonie zwijają się w pięści. Jak wszyscy zebrani, zachowuję milczenie i patrzę w bezruchu.

Słychać jedynie głośnie oddechy walczących i zgrzyt stali. Cięcie, zasłona, cięcie, zasłona, cięcie, unik, cięcie, cięcie, dostał w głowę, pada.

— Stój! — ostatnia komenda. Zadyszany Wichwitz odstępuje.

Podbiegamy.

Teraz krzyczą wszyscy, wszyscy w ruchu, muszę się przepychać. Obok przeciska się lekarz.

Ojciec leży twarzą do ziemi, widać krew w błocie, ale nie widać rany, dopiero gdy doktor, uklękłszy, odwraca go na wznak, ukazuje się ukośna bruzda na czole, nad lewym okiem, powoli nabiegająca czerwienią. Spod skóry przebijają krawędzie kości czaszki. Stracił przytomność natychmiast, ostrze musiało sięgnąć mózgu.

— Odsunąć się, do cholery! Tutaj!

Ambulans zatrzymuje się tuż nad ciałem, wysuwa się kokon, cofamy się. Półprzeźroczysta macica medwerków obejmuje ojca, lekarz mudruje zawzięcie, palce migają w wirtuozerskich układach. Sekundanci i świadkowie przyglądają się, rozmawiając cicho w grupkach.

Ktoś szarpie mnie za ramię. Aza?

— Pan Ćwiecz? — rozbandażowywany Wichwitz usiłuje zajrzeć mi w oczy; odwracam twarz. — Panie Ćwiecz, chciałbym, żeby pan wiedział, że ja naprawdę —

— Excusez-moi.

Uciekam za ambulans (kokon powoli cofa się do wnętrza wozu). Tutaj nie dosięgną mnie ich spojrzenia. Gapią się tylko kruki i wrony siedzące na gałęziach wierzb oddzielających polanę od alei hippicznej. A z tej alei — rumak o sierści jak atrament zatrzymał się właśnie między drzewami — amazonka przypatruje się zamieszaniu z męskiego siodła. Białe bryczesy, czarne oficerki, białe koronki, ogniście czerwony rajtrok, ręką z palcatem osłania oczy od słońca. Opieram się plecami o ambulans. Amazonka przekrzywia głowę, przygląda mi się zmrużonymi oczyma. Odruchowo kłaniam się. Salutuje palcatem.

Na privie matka szepcze mi do ucha:

— Żyje, żyje, żyje, jedź z nim, będę się modlić, zobaczysz, wszystko będzie dobrze, nie martw się.

— To jest jakieś urewskie oszustwo, mamó. To nie tak miało być!

— Ciii.

Splunąłbym, kopnął samochód, zaklął głośno, zawył do nieba — amazonka patrzy, tylko więc kręcąc głową i sycząc przez zęby, gdy kokon z ojcem znika we wnętrzu ambulansu, a matka szepcze mi w głowie pogodnie modlitwy, z każdą sekundą coraz bardziej irytujące. Verdammt, to jest czas na gniew, nie na pokorę!

Kobiety cierpienie zbliża do Boga, mężczyźni — oddala.

Legenda ludowa

— Crux, powiadają, Crux mu na imię. Towarzysz Crux, szwagier Crux, pan Cruz-Kruczyński. W jego żyłach płynie krew Gierka, Wałęsy, Leppera i Glińskiego. Wszedł z nocy blokowisk, z dymu melin śródmiejskich, z majaków socjerów. Śnią na jawie z otwartymi oczyma, godziny, dni całe, z okien widzą światła szos, po których pędzą w swych luksusach jaśnie państwo. Począł się Crux z brudnej strzykawki dragmana, z krwi przypadkowej ofiary mołojców, z czarnego wirtu socjerskiego. Najpierw się go bano, zanim o nim mówiono; najpierw o nim mówiono, zanim dokonał cudu; najpierw dokonał cudu, zanim go ujrzano. Młódź strzela sobie na skórze jego imię, maluje na oknach jego herby, graffituje

nim niebo — takie jest porno. Crux, Crux. „Pracować ci się zachciało? Czekaj, przyjdzie Crux, to popamiętasz, zaprzańcu!” Panowie ścigają go, oczywiście. Jest list gończy, chociaż nie ma człowieka; znają tylko ksywę, imię legendarne. Crux, Kruczyński. I wygląd, też z legendy: niski kaleka w starym dresie, na szyi wszystkie możliwe i niemożliwe metale, w ślepiach słońca laserowe, diamenty w ustach.

— Więc władze wiedzą. Co mówią?

— Och, wersja oficjalna — to znaczy wersja policmajstrów — jest oczywiście banalna. Urodził się w rodzinie przeżartych drągami socjerów, kto był jego ojcem, nie wiadomo, stryj, kuzyn, dziadek, w każdym razie geny mocno zasupłane: karzeł, garbus i kuternoga. Ale umysł ma sprawny, choć pewnie też pokręcony, i siedząc całymi dniami przy kompie — bo i tak nie mógł się ruszyć, kaleka, więc co miał robić — od małego ćwiczył się w tek–arcie, i w końcu taki werkmajster z niego wyrósł, że potrafi hackować dowolne werki, rządowe, wojskowe, korporacyjne, i rządzi niepodzielnie swym otoczeniem, bo wszelka materia uległa jest jego algorytmom. To tu, w mieście — ale legenda się szerzy, przyjeżdżają socjerzy zewsząd, niech pobłogosławi, niech dotknie — sam wiesz, że dotyk wystarcza, dotyk leczy, dotyk zabija.

— Aza!

— Ścigają go za terroryzm, za morderstwo, za podżeganie do morderstw. Ale na kanałach płatnych o nim nie usłyszysz, mówią tylko na publicznych, socjerskich. I też rzadko otwarcie; pojawia się niejasny rysopis — a i tak wszyscy wiedzą, że chodzi o Cruxa. Wszyscy tam, na dole, w socjaliskach, w ziomalstwach.

— Kryją go?

— Sam się kryje. Nikt nie wie, gdzie mieszka; on się tylko pojawia. Ale tak, istotnie — marny los donosicieli, kapusiów. Żebyś jednak nie zbudował sobie fałszywego obrazu: nie jest Robin Hoodem, nie rozdaje socjerom bogactw, nie spełnia życzeń do złotej rybki. Chociaż niektórzy modlą się do niego.

— Modlą?

— Widziałam kaplice. Pod betonem, pod ścianą peerelowskiego bloku — ogniste graffiti i różańce herbowe, rozgnieciony obcasem luxus i ciemna kropla drągu utoczona na ziemię.

— Jakie, u licha, „różańce herbowe”?

— Mołojec wychodzi z ziomalstwa, dopada jaśnie pana, nóżka, kuzia, bryko, i zdejmuje mu z palca pierścień herbowy. Tak zbiera — kilka, kilkanaście — nawleka je na strunę i składa Cruxowi w ofierze. Wiszą potem te wota, nikt nie zdejmie, Crux patrzy, są, wiszą na prętach zbrojeniowych, na starych antenach, radiatorach.

— Jezukryste, to wszystko są bandyci, mówisz o bandytach.

— Swoich nie plewią, panów tylko.

— Po polsku, proszę.

— Crux potrafi podnieść z grobu.

— Legenda ludowa, tak?

— Albo i nie legenda. Trzy lata temu, pamiętasz, bruta uliczna, wymiana lepperów w całym kraju. Policja posiała neurowerki, pamiętasz, tłum szedł na centrum. W efekcie pół setki wymóżdżonych, werki przeżarły im płyty skroniowe. Na pewno pamiętasz, było w wysokich kanałach. Co robiły rodziny? Zabierały te rośliny i wiozły, wlokły do Cruxa.

— To znaczy dokąd?

— Tam, na dół, w głąb socjalisk, poza sieć, poza zasięg kamer, satelitów, gowerków. Pod jego kapliczki, w cieniu betonu. Mój kuzyn — nie ten, inny — mój kuzyn, Maciejko, znalazł się między nimi, kompletnie wyłorany. Lekarze powiedzieli, że struktury neuro wyprażone do cna, nie ma z czego odtworzyć umysłu, skoro informacja utracona. Ale Crux zwrócił mu duszę i Maciejko hartuje teraz u pijków nowego leppera, ziany bucuś.

— Co ty mówisz? Aza!

— Tylko zacyc Cruxowi przykrakać musiał; bo cena jest zawsze. Ale żyza. Znaczy żyw i

przy świadomości. Ja cię poprowadzę. Pokłonisz się, hołdujesz, przyświeci, vatera ci odżyzi.

— Czyja dobrze rozumiem? Chcesz —

— Moja wina, ja jestem odpowiedzialna. Nie mam herbu, ale mam honor.

— Nie twoja.

— Ja mu przyniosłam śmierć na czystej dłoni.

* * *

Siedzimy w salonie poczekalni w skrzydle neurologii Szpitala Przemienienia Pańskiego. My: ja, matka, Aza, sekretarz Wichwita, dwóch Szwedów z biura ojca, jego sekundant, policmajster. Policmajster mudruje na wyślepie: on jest tu w pracy.

Postawiony przy drzwiach szpitalny gołota przynosi matce szklankę z wodą mineralną. Matka uśmiecha się promiennie, dziękując mu cicho. Tego już za wiele, nie wytrzymuję, wychodzę.

Za salonem korytarz zakręca ku szerokiemu tarasowi okrążającemu piętro — siódme, najwyższe. Stąd łagodne pochylnie prowadzą na dach, gdzie znajduje się lądowisko dla kopterów.

Przysiadam na marmurowej ławeczce. Po prawej ręce mam jasnobliski luksus centrum; dalej, za rzeką, stoją we mgle dzielnice socjalne, szara panorama regularnej zabudowy, aż po horyzont. Niebo pozostaje zachmurzone i zdaje mi się, że wciąż słyszę krakanie kruków i wron — to tylko szpitalne słupy werkalergowe trzeszczą, trawiąc nano niesione z miasta przez wilgotny wiatr. Drżą włosy na dłoniach, gdy zaplam papierosa.

— Mogę?

Wzruszam ramionami.

Aza siada obok. Ławeczka jest niska, w wysokich obcasach wygodniej wyciągnąć pannie nogi przed siebie. Kontempluję ponuro ich aerodynamiczną geometrię.

— Dzwonił do mnie Buzdygan, mówi, że go wyblokowałeś.

— Czego chciał? Powinien być zadowolony. Mimo wszystko teraz to Burre ma u niego dług honorowy.

— Brzmi, jakbyś winił Buzdygana.

— A broń mnie Bóg!

— Psychologia. Poczęstujesz mnie? Dzięki. Psychologia, Zygmunt: lepiej dla ciebie, że vater przegrał, więc chociaż źle mu nie życzyłeś, sam teraz masz poczucie winy. Kto odnosi korzyść, ten może nie zawsze jest winny, ale zawsze czuje się winnym.

— Poszła won.

— Psychologia, kurs podstawowy. Jak się wydobyć z niesłusznego poczucia winy? To jest już zresztą fundament wszelkich kursów asertywności. Przeprowadzamy racjonalny rozbiór faktów i motywów, aż widzimy, że uczucie jest bezzasadne. Co prawda ty na dodatek masz za sobą ten konflikt z ojcem —

— Aaa, więc po to pan Jan dzwonił? Posłał cię, żebyś urządziła mi tu improwizowany seans psychoanalizy? A może trzymasz go tam na privie, co? A na podwórzedziu — Małego Freuda 7.0?

— Po kolei. Czy naprawdę uważasz, że twoje pojawienie się wyprowadziło vatera z równowagi na tyle, że dlatego właśnie przegrał?

Kręcę głową.

— To nie było, nie było normalne. Oglądałem wszystkie jego pojedynki. Co mu się stało? Jakby został nagle odurzony, zakręciło mu się w głowie, stracił dech,..

— Lekarz badał ich przed walką.

— To nic nie znaczy. Taki Buzdygan, gdyby mógł, oblałby cały park naczelnymi na vatera werkami.

— Osuwasz się w paranoję. Stały wszędzie przepisowe werkalergi, widziałeś. Policjant nie podniósł alarmu.

— Więc w kontakcie bezpośrednim, przenoszone nie drogą powietrzną, Skóra—skóra. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Myśl, Zygmunt, myśl. To wszystko się kupy nie trzyma. Wyszedłeś z Czermu przez służbę parkingową, byłeś czysty, Buzdygan nie mógł zasadzić na tobie żadnych werków. Gdyby.” Co? Puść! No puszczaj!

Wykręcam jej ramiona, upuściła papieros. Próbuje się uwolnić, nie potrafi wstać z niskiej ławki. Przyciskam ją do balustrady.

— Dłonie! Pokaż swoje dłonie!

— Co —

Czerwone paznokcie, opalona skóra, bursztynowe virścionki.

— Werkmać! Za późno!

Puszczam ją, wstaję. Nic nie udowodnię, weszliśmy do Szpitala Przemienienia Pańskiego przez służbę kliniczną, nie pozostał ślad. Aza masuje nadgarstki. Podnosi się, wygląda spódniczkę.

— Panie Ćwiecz. Spodziewam się —

— Pióro Małżeckiego.

Nie rozumie, widzę, że nie rozumie.

Ale już zaczyna wątpić, już marszczy brwi nie w gniewie, lecz w zamyśleniu, sięgając na oślep pamięcią wstecz.

Na tarasie pojawia się sanitariusz z wózkiem zamiennego fleszu. Mija nas — nawet nań nie spoglądamy.

Aza mruga, jakby wpadło jej coś do oka — i istotnie, łzy lśnią pod jej powiekami. Odrzuca zaplecione włosy na plecy, zakłada ramiona na piersi — zrozumiała, teraz zrozumiała.

— Gdybym tylko —

Po lokalu wchodzi mi na kontakt doktor Bierżyński. Stoi w salonie poczekalni neuro i mówi do matki:

— ...są niestety nieodwracalne. Interwencje werkchirurgiczne potrafią zazwyczaj odtworzyć każdą tkankę. I, technicznie rzecz biorąc, moglibyśmy w końcu odtworzyć także tkankę mózgową. Mięsień musi być jedynie mięśniem tego samego rodzaju, by spełniać swą funkcję — wszelako tkanka mózgową musiałaby być nie tylko taką samą, ale tą samą tkanką, zapisem tej samej pamięci, osobowości. Przy podobnie rozległych uszkodzeniach struktura nie jest w stanie sama się odbudować — co najwyżej moglibyśmy skonstruować nową. To znaczy, nowego człowieka w ciele pana Ćwiecza. Tak czy owak, nie byłby to już pan Roman Ćwiecz. Jego już nie ma. Przykro mi.

Mutter uśmiecha się do doktora Bierżyńskiego ze świętą wyrozumiałością.

— Ja wiem, że pan musi tak mówić, doktorze, ubezpieczyciele każą panu —

Odcinam transmisję, z wściekłości niemal się trzęsąc.

Aza również musiała mieć Bierżyńskiego na kontakcie. Po raz pierwszy całkowicie opada z jej twarzy maska wzorcowej młodej profesjonalistki, grywnej, zrywnej i asertywnej.

— Kiedy ja naprawdę... — przetyka ślinę.

— Wyblokowałaś się? Wybłokuj.

Kiwa głową.

Wspinamy się na dach szpitala, przechodzimy między pękatymi kopterami. Zatrzymujemy się dopiero przy krawędzi dachu, tuż pod słupem werkalergowym. Włosy stają mi dęba na głowie, mrowi język, metaliczny smak drażni usta.

— Ma jego profil — mówię cicho — musi mieć. Buzdygan ma profile psychologiczne wszystkich członków rodzin wszystkich swoich najbliższych współpracowników. Więc wiedział, że jeśli pojedziesz ze mną, ojciec nawet w największym gniewie nie sprzeniewierzy

się tradycji. Wszystko się zmienia, oprócz odruchów. Pocałunek w rękę to idealny sposób. Czymkolwiek Małżecki pokrył pióro, trafiło to bezpośrednio do organizmu vatera.

— Zrobię analizy, pacjentów nie wwożą przecież przez służbę, był w kokonie —

— Sądziś, że werki nie rozłożyły się zaraz po wykonaniu zadania? Wystarczyło zaburzyć lekko równowagę hormonalną organizmu. Do tego nie trzeba żadnych mechanicznych inwazji. Buzdygan nie popełnia takich błędów.

Aza przygryza wargę.

— Nie mamy więc nawet poszlak. To naprawdę może być zbieg okoliczności —

— Aza!

Opuszcza głowę, nagle bardziej podobna do skarconej dziewczynki niż łonabi kobiety sukcesu.

— Ziany Buzdygan, karcz jego błada — mamrocze ledwo zrozumiale — panu wyżyżany.

No tak, trzeba spojrzeć z punktu widzenia Azy: nie każdego dnia człowiek się dowiaduje, że współuczestniczył — w czym? — w próbie morderstwa, tak, i to przecież próbie udanej — w morderstwie.

Obejmuję ją. Drży — od tego zimnego wiatru, może istotnie także od niego.

— Czego cię uczyli na kursach asertywności? — szepczę. — Nie ma tu twojej winy.

— Jja —

— Ciii. Tak się gra między magnatami, tak magnaci grali zawsze. Ale czuję, że do niej nie trafiam, wstrząs był zbyt mocny. O bogaczach opowiada się najczarniejsze historie, w duchu jednak w nie nie wierząc. Nie wierzą, nie mogą wierzyć zwłaszcza tacy jak Aza: młodzi parweniuse, nakierowani na sukces niczym samonaprowadzający się pocisk, gorliwi wyznawcy świata sztywnych hierarchii — skoro przyszli z Dołu, to znaczy, że istnieje Góra, prawda? I jak teraz pannie wytłumaczyć? Nie po to ciułała na ręcznie szyte kostiumy, nie po to ćwiczyła przed lustrem profesjonalne grymasy. Cynizm to narkotyk sączony latami w małych dawkach; podany od razu w jednym zastrzyku — zabija nieudoporniony organizm.

— Buzdygan... — zaczyna Aza.

— Nie znasz Buzdygana. Daj spokój,

Ja, niestety, znam. Jan Andrzej Buzdygan herbu Pobóg jest głową jednej z Rodzin. Na siatce ustrojów politycznych pomiędzy demokracją absolutną (zrealizowaną właściwie tylko w greckich polis), arystokracją absolutną (tyraniu, totalitaryzmów), demokracją konstytucyjną (USA XIX wieku, Europy ery przedinformacyjnej) oraz arystokracją konstytucyjną (monarchii oświeconych czy dzisiejszych Chin) nasz ustrój odpowiada pozycji arystokracji moderowanej; dzierżyciele władzy się zmieniają, lecz zawsze pochodzą z tej samej elity; na owe zmiany wpływają zaś między innymi wyniki głosowań ludu (który musi wierzyć, iż może wybrać każdego), stanowiące odbicie aktualnego stosunku sił wewnątrz elity — kto miał akurat więcej pieniędzy i sprytu, kto lepiej zbajerował socjerów. Zawsze więc rządzą panowie magnaci lub ich reprezentanci. Rodzin jest w Polsce dwanaście, Polska należy do dwunastu Rodzin. Jan Andrzej Buzdygan jest głową jednej z nich.

Aza drży coraz mocniej, coraz mniej rozumiała są jej słowa — aż wreszcie orientuję się, że panna płacze w moich ramionach. Teraz odruchy opiekuńcze i reakcje czułości całkowicie biorą górę. Przytulam ją, prowadzę pod wiatrę. „Wysokie obcasy nie wybijają już marszowego rytmu. Ttuk, ttuk, ttuk–tukk, łamie się chód dziewczyny. Jest niższa ode mnie, o ile niższa, nie zwróciłem przedtem uwagi, różnica nie była widoczna, gdy Aza patrzyła hardo wyprostowana, gdy słowa padały twarde jak piast.

Całuję ją lekko w czubek głowy, w zaplecione ciemne włosy.

— Teraz już na pewno zostaniesz moją asystentką, Jakub odchodzi.

I to była właściwa rzecz do powiedzenia. Aza odrywa się ode mnie, ociera szybko łzy, zaciska wargi. Wysunięta broda, ręce przy bokach.

— Przeżyje, będzie żył — mówi gniewnie. — Wróci.

— Słyszałaś, co doktor —

— Łorać doktora. Nie wszystko panowie wiedzą. Zmartwychwstanie, jak będzie trza.

Zapada się w socjerstwo na moich oczach — niemal jakbym obserwował odwróconą wersję przyspieszonego filmu o ewolucji *Homo sapiens*.

— Co — szydę — chowacie tam jakiegoś małokalibrowego Chrystusa?

— Mesjasze zawsze przychodzą spośród ludów najbardziej pogardzanych — Aza uśmiecha się ironicznie, ale to jest tak zimna ironia, że mróz spina mi kręgosłup; mimowolnie prostuję się i marszczę brwi.

— Crux, powiadają, Crux mu na imię — intonuje panna ciemna. — Towarzysz Crux, szwagier Crux, pan Cruz–Kruczyński. W jego żyłach płynie krew Gierka, Wałęsy, Leppera i Glińskiego. Wszedł z nocy blokowisk, z dymu melin śródmiejskich, z majaków socjerów...

Stasimon

Nie wszyscy z jednym szczęściem na świat się rodzą,

Szerzej jedni niż drudzy swe płoty grodzą:

Ten ma wiele nad insze w zacności domu,

Ten dobrą sławą nie da naprzód nikomu,

Za tym przyjaciół więcej. Śmierć sprawiedliwa

Jednakiego na wszystkie prawa używa.

Kto bądź, ten bądź, na kogo los naprzód padnie,

Tak pana, jako sługę poima snadnie.

Tragedia proletariatu

Największą tragedią proletariatu okazała się nanotechnologia.

Nie chodzi nawet o to, czego spodziewali się wszyscy luddyci XXI wieku, to znaczy o odebranie kolejnych kilkunastu procent miejsc pracy przez maszyny, maszyny już w ogóle niewidoczne. Oczywiście odegrało to swoją rolę — chociaż każda nowa technologia buduje przecież stopniowo wielkie zaplecze powiązanych z nią usług oraz przemysłu developerskiego, rozmaitej maści technokratów. Tak samo komputery, odebrawszy ludziom wiele zawodów i funkcji, stworzyły zarazem niebywale popularną profesję informatyka i technika komputerowego, czy to faktycznie piszącego programy, czy też jedynie wyspecjalizowanego w posługiwaniu się nimi. Toteż na rynku wciąż istnieje zapotrzebowanie na wykwalifikowanych werkmánów. Uniwersytety nie nadążają z wypuszczaniem magistrów nano.

Ostateczną tragedią i pogrzebem proletariatu okazało się więc nie to, że werki odebrały ludziom pracę, lecz — że dały im chleb.

Dawniej istniał oczywisty przymus pracy: kto nie pracował, ten nie miał co jeść, nie miał gdzie mieszkać, nie miał się za co leczyć, umierał, on i jego dzieci. XX wiek wyraźnie złagodził presję, zwłaszcza w Europie. Leczyć musiało cię państwo. Wkrótce także państwo musiało zagwarantować dach nad głową. W XXI wieku wysokość gwarancji socjalnych wzrosła zaś tak bardzo, iż państwo nie pozwala także głodować.

Ostatnie ekonomiczne przymusy — że pracować musi przynajmniej tyłu podatników, by utrzymać tych niepracujących — upadły bowiem z chwilą wejścia użytkowego nano. Werkuchenka w każdym domu! Pamiętam, jak swego czasu wygrywano nawet wybory pod tym hasłem. Teraz koszty dostarczania do socjalisk wody, minerałów i pulpy COH stanowią drobny ułamek dawnego zasiłku socjalnego. Werkuchnie zajmują się resztą. Nie głoduje nikt.

Raj ludzi pracy to życie bez konieczności pracy. Czekali na to od pokoleń, od czasów

Szeli, Gierka i Kwaśniewskiego. Należy im się — imają! Po co poniżać się, szukając zatrudnienia, po co męczyć się latami w szkołach, po co kłaniać się panom, po co pozwalać się wyzyskiwać obcym kapitalistom, oddawać dzieci w kierat wrednych krwiopicców i grabieżców narodu polskiego? Nie muszą; socwerki dały im wolność. Tryumf proletariatu to śmierć proletariatu — narodziły się Ziomalstwa Socjału.

Tu życie toczy się w leniwym rytmie betonowych wschodów i zachodów Słońca. Ludzie budzą się i zasypiają, spożywają posiłki i wydalają, awanturują się i kopulują zgodnie z ramówką programów sieci publicznych: do południa tapety migoczą głównie obrazami kościelnymi, transmisji mszy i modlitw, różańców i Aniołów Pańskich — wtedy tkwią przed ekranami socjerzy najstarsi, zwłaszcza kobiety, nie ujrzysz ich w oknach, na podwórkach czy ulicach ziomalstw; po południu królują sagi romantyczne i sagi przygodowe, plotkarnie, spowiedniki i sport dla średniego pokolenia; potem programy dla nastolatków, seks, muzyka i adrenalina — i koło obraca się od nowa. Niekiedy wydaje się, że rytm przyspiesza, co kilka lat: w czas wyborów, w czas zmiany lepperów, pielgrzymek relikwii papieskich, mundialu. Z góry jednak wiadomo, że wszystko wróci do normy: socjerzy, dwadzieścia milionów obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, osiemdziesiąt procent społeczeństwa, drugie i trzecie pokolenie wolnych bezrobotnych — nie mogą, nie potrafią inaczej żyć, innego życia nie są w stanie sobie wyobrazić.

Z rzadka wybija się z masy statystyczna anomalia, owoc ambicji i determinacji tchniętych w nią chyba przez Ducha Świętego, bo na pewno nie przez rodzinę i sąsiadów, rówieśnych socjerów, jedna na tysiące — Anna Zoja Stefańska.

Mówi, że urodziła się właśnie tutaj, na tej ulicy. Jest już późne popołudnie, przedwieczorna cisza opadła na miasto. W sercu socjaliska pora dnia właściwie nie ma znaczenia: nikt przecież nie idzie do pracy, nikt z pracy nie wraca — co najwyżej uliczni dragmani i pokątni dilerzy ziomalskich biznesów.

— To nie praca — poprawiła mnie Aza — wypluj to słowo. To kant.

— Zarabiają. Co za różnica?

— Ale nie na legalu. I nie mają nad sobą żadnych panów.

W niektórych socjaliskach lepperzy podtrzymują tradycję szkół publicznych — tam można jeszcze ujrzyć rankiem i po południu dzieci z tornistrami, wędrujące grupkami przez pogrążone w letargu dzielnice. Nie tutaj, e-dukacja jest tańsza, lepper przeznaczył te fundusze na jakąś kiełbasę wyborczą. Dzieci socjerów mogą być tylko socjerami. Na skrzyżowaniu kilkanaście metrów dalej trzy dziewczynki bawią się w wieszanie kota.

Bloki stoją w równych rzędach prostopadle do szerokiej ulicy; pomiędzy nimi — pasy gęstej zieleni. Część budynków pochodzi jeszcze z XX wieku, część zaś postawiono już w werk-teku, z plastu i kraku. Nie dostrzegłbym różnicy, gdyby Aza mnie nie oświeciła. Wszystko przykrywa gruba warstwa pstrokatego graffiti, hackowane gowerki codziennie przepisują oblicze socjaliska, granice wpływu poszczególnych barw i form wyznaczają granice wpływu sztam. Rodzinny dom Azy — pięciokondygnacyjny zygzakowiec — piętnują fioletowe fraktale Bieżyjobów.

— Poznasz ich po werkpigmentcie i ogniach nad głowami — zapowiedziała, wysiadając, — jeśli się pojawią, padaj od razu na kolana i całuj asfalt. Nie śmieć się, nie żartuj. Tu nawet beton i chmury są po ich stronie.

— Mógłbym uciec pod inną sztamę.

— Nie mógłbyś.

Wysiadłszy, sama uklęka i polizowała krawężnik.

— Dość często odwiedzam rodzinę — mruknęła, — Muszę aktualizować werki immuno.

— Aha.

Wzruszyła ramionami i pomaszerowała ku domowi. Akacyjowa 12 B.

Weszła sama; zostałem na zewnątrz. Siedząc samotnie w zamkniętym fiacie, sprawiałbym

wrażenie przerażonego turysty. Wysiadłem, oparty o maskę palę papierosa. Werkduj idzie pustą ulicą, ostre, błękitne lśnienie municypalnych disasemblerów — nie uświadczysz tu śmieci, brudu, odchodów zwierzęcych i ludzkich (choć po drodze mijaliśmy pijaków i dragerów szczających otwarcie pod latarniami, śpiących gromadnie na trawnikach w kałużach rzygowin i ekskrementów, jeszcze nie rozłożonych). Socjaliska w większej części są czyste niczym luksusowe kostnice.

W bramie obok na piastowym krzeselku siedzi neonowa staruszka. Pod lewą ręką — butla werkimbriu samopędneho; w prawej — różaniec herbowy. Zachrypniętym głosem modli się bezmyślnie na sygnetach ułoranych panów:

Żyzaś Mario, werków pełna, Crux z Tobą,
Uwiedzionaś Ty między feminami,
i zwidzion towar żyza Twego, werkur.
Ziana Marryo, mutroroża,
virtuj za nami, socjerami,
tera i w godzinę śmierci naszej.
Ament.

Unosi suchą twarz, wypraną ze zmarszczek topornymi socwerkami kosmetycznymi, spogląda na mnie wielkimi oczyma — i przez straszną chwilę takie wrażenie: widzi, zobaczyła, przejrzała na wylot, virścionki pod rękawiczkami, jaśnie pana pod socjerskim ubraniem, zaraz zdradzi krzykiem całemu blokowisku. Aza z góry zastrzegła:

— Żadnych ręcznie szytych ciuchów, żadnych virścionków i luksusowego werkłazu. Tylko głupi się podkłada bez potrzeby.

Przebraliśmy się więc w krakowe džinsy i bluzy, ciężkie glany piastowe i kurtki — sekundówki. Rękawiczki są po to, żeby nie odcinać się od virtu; socjerzy preferują systemy tańsze, nierelatywne: czytniki stacjonarne, skany gestu i krtani, nawet klawiatury i myszki. Virścionki nie są tu porno, virścionki są dla panów. Rękawiczki nosi natomiast prawie każdy mołojec: naga dłoń to naga dusza, dotyk bywa zabójczy.

Krakowy materiał jest miękki, gładki, maszynowo jednorodny. W antyseptycznej tandecie już czuję się na pół socjerem.

Jeden papieros, potem drugi. Te dziewczynki nad martwym kotem, ta babka różańcowa, te głowy w oknach i ci zapici, zadragowani socjerzy na balkonach, ci mołojcy w przejeżdżających z rzadka bezszelestnych wozach, wynurzające się z cieni klatek dziewczyny w jaskrawych lub przezroczystych sukienkach, zabierający je właśnie na diskorgie i pajarunki młodzieńcy, przepucci pornosowymi werkami w mięśniacze monstra seksapilu ciężkiego jak żelbeton, te psy i koty, ten drager kopulujący ze słupem, tych dwóch pijaków wrzeszczących przekleństwa na siebie i na bezimiennych panów, to płaczące niemowlę, ten pacyfak z chlorofilowymi włosami, ta kobieta wracająca z zakupów, te dzieci plujące na przechodniów z dachu, ci starcy opalający się na boisku koszykówki, ten sprzedawca popieluszków i wojtyłów kursujący z zachrypłą zaśpiewką pod balkonami, ten drager konający pod akacją, te dziewczynki, te dziewczynki. Papieros trzeci, czwarty. Raz, pamiętam, vater zabrał mnie do socjaliska, miałem wtedy — ile? sześć, siedem lat? — żeby zobaczyć, żeby poczuć i posmakować. — Oczywiście, że możesz się nie uczyć. Możesz nie odrabiać lekcji i w życiu nie przepracować ani dnia. Popatrz — prowadził ranie za rączkę przez pogrążone w takim samym letargu, słoneczne dzielnice socjału.

Krótką mudra dłonią w krakowej rękawiczkce: ojciec nadal w kokonie, nie odłączy go przynajmniej przez dwadzieścia cztery godziny, matka nie pozwoli, tego akurat mogę być pewien. Inna rzecz, że teraz z każdą minutą maleją szansę na cudowne wybudzenie, to znaczy — zmartwychwstanie. Muszę pamiętać, by nie dać się omamić słowami. Nie ma szans, jest

tylko głupia nadzieja Azyjej szczenięcy upór.

Piąty papieros. Timer; 19:29. Z okien bloków sygnał dźwiękowy jakiegoś socjerskiego szoła. Na priva dobija się Lipski; wrzucam go do mordoru.

Wraca Aza. Przydeptuję peta. Wsiadamy, odpala fiata.

— Dokąd?

— Dwudziestopięciolecia. To po drugiej stronie miasta,

— Ale co niby ci powiedzieli? Że udziela tam cowieczornych audiencji?

Moje szyderstwa odbijają się od niej jak od plastu. Tylko pochyla się bardziej nad kierownicą.

— Dałam słowo. Nie umrze.

Zaciśnięte wargi, wzrok krogulczy, łokcie ciasno przy tułowiu. Nakierowała się na nowy cel, nie zmienię raz obranej trajektorii.

Socjerski fiat sunie siedemdziesiątką.

Wraz z uderzającymi w twarz światłami reklamy kwaśna refleksja: Mój Boże, co ja tu robię, przecież znam ją zaledwie kilka, kilkanaście godzin. Powinienem siedzieć w Przemienieniu albo wisieć na gardle Buzdygana, albo upić się i szaleć w vircie.

Lecz teraz mam przynajmniej poczucie, że coś robię.

To prawda, że ludzie w podobnych sytuacjach zawsze chwytają się nadziei najbardziej kretyńskich — szamani, cudotwórcy, święci mężowie, jak trwoga, to do znachora — ale ja przecież nie wierzę w te bajcy Azy!

— I co, machnie ręką, a dwadzieścia kilometrów dalej ojcu odrośnie mózg?

— Zabierzesz go ze szpitala i przywieziesz, gdzie Crux wskaże. Wyjeżdżamy na obwodówkę. Tu na chwilę łączy się nurt wozów socjerskich z samochodowymi luksusami śródmieścia i sabarbyjskich stanic, Aza prowadzi jedną ręką, w drugiej trzymając papierosa. Musiała pochwycić mój przerażony wzrok, unosi brwi.

— Masz opłacone bezpilotowe OC na wysokie drogi? — pytam.

— Mam flagę. Kuzyn, tak, ten pierwszy, zhackował mi transponder wozu, inaczej w ogóle nie wyjechalibyśmy z socjaHska.

— Czyli jak nas złapią —

— Nie złapią.

— Ale gdyby jakiś wypadek —

— Nigdy nie miałam wypadku.

— Ja tego w ogóle nie pojmuję. Przecież to jakbyś grała w zręcznościówkę, w której pomyłka równa się śmierci, a co najmniej okaleczeniu — ciebie, pasażerów, innych na drodze. Padłbym na serce po pierwszym kilometrze.

— Ponad wiek ludzie tak jeździli, sami prowadzili.

— No właśnie. Setki tysięcy zabitych. Horror. Czy ty masz przynajmniej licencję szofera?

— Eee tam.

— Jezukryste.

Wjeżdżamy pod piastowe wiadukty. Wstęga szosy jest przezroczysta, widać tylko cienie podwozi przemykających nad nami maszyn. Słońce już właściwie zaszło, ostatnie poziome promienie rozszczepiają się na krawędziach plastu, wspinamy się przez autostrady tęcz. Bardzo to jest piękne — czysty porno industrial — jak te nieboskłony smogu prześwietlanego przez łuny świtu — harmonia zanieczyszczeń natury.

— Nie masz lepszego auta?

— Yhm.

— Rozumiem, że w ziomalstwach, ale — wszędzie wozisz się tym socjergratem?

— A idźsie łoraj.

— Przepraszam. — Poniewczasie powstaje myśl, oczywista przecież, że Aza odbiera to jako przejaw typowej pogardy dla klasy niższej. — Nie mój żywioł.

— Taaa.

— No wybacz, że nie zapłacę rzewnymi łzami nad strasznym losem socjerów.

— Ależ wcale się nie spodziewałam — mówi powoli, nie odrywając wzroku odjezdni.

— Ludzie z dowolnej epoki z przeszłości zamieniliby się z nimi bez wahania.

— Powiedział jaśnie pan, poklepując po głowie swego chłopca pańszczyźnianego.

— Co za lepperskie gadki —

— Już milczę.

— Myślałby kto, że sama masz inne marzenia niż poślubić herb i uciec do dworku na wsi,

— Jakbym słyszała swoją matkę! — Aza w końcu wybucha. — „Zdrajczyni! IM się wysługujesz! Dziwka zaborców! Niech ONI ci teraz pomogą!”

— Zaborców?

— Nie wiesz? Sprzedaliście Polskę Niemcom, Żydom i Amerykanom. Werki to wymysł masonów, coby do reszty zgnębić naród polski.

— No tak.

— Ale Matkoboska i Crux zrzucą z kraju obce jarzmo i powstanie mężne ziomalstwo.

— A wydawało mi się, że dopiero co była wymiana lepperów. Tak szybko się buntują?

— Nie chwytasz. — Aza kręci głową. — Tu zawsze żyje się na granicy wybuchu, ze szturmówkami i mołotowami pod łóżkiem. „Dłużej już tak nie wytrzymamy!”, „jak coś się zaraz nie zmieni, popłynie krew”,

„Znajdujemy się na krawędzi przepaści” i tak dalej. Żadnego specjalnego katalizatora nie trzeba, mentalność kryzysu to styl życia, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, pokolenie po pokoleniu, Poczucie nieustannego zagrożenia i totalnej beznadziei kultywuje się niczym tradycje bożonarodzeniowe. Napatrzyłam się od dziecka. Co najbardziej mnie dziwiło — to że tylko ja się dziwię. Przychodzi nowy lepper, są nowe wybory, dostaje od Rodzin fundusze, ludzie znowu wierzą obietnicom, Rodziny dzielą się tortem, ale ile można ufać jednemu człowiekowi? — drugie, trzecie wybory i morda się zużywa, więc znowu fala, nowa buźka, nowy układ, nowa marchewka, jakiś luksusowy socwerk albo podwyżka socjału, nowy podział tortu, i wszystko od początku. A naprawdę przerażające jest to, że możesz im mówić, możesz powtarzać, tłumaczyć prosto w oczy — słyszą i nie rozumieją, słyszą i nie chcą rozumieć. Panowie mają im dać, to, to i to, więcej i więcej, się należy — i kto wylepperuje, za tym pójdą. Dopóki nie wyjechałam na studia, czułam się, jakbym żyła pośród zaślepionych w vircie, jedyna przebudzona. Horror. Musiałam uciec, nie było wyboru — od momentu, gdy Przejrzałam.

Dopiero obraca ku mnie głowę i widzę, że się uśmiecha. Grymas uległ roztopieniu, twarz jest miękka, bezbronna, melancholia zasnuwa ciemne oczy.

— Największa trudność — mówię — to po raz pierwszy pomyśleć rzecz nie do pomyślenia.

Ucieka wzrokiem.

— Więc teraz znajduję się po drugiej stronie.

— Mhm?

— Wyzyskuje.

— Aha. Znaczy, salariat to też są ONI.

— Oczywiście. Sądzisz, że socjerzy rozróżniają? Ktokolwiek pracuje, zarabia. Jeśli zarabia, to wyzyskuje. Z definicji. A najgorsi ONI to, rzecz jasna, ten ułamek procenta ponad salariatem, który zarabia, bo posiada. Panowie magnaci. Ty, Zygmunt.

— Ja? — śmieję się. — Ze mnie taki magnat jak z —

— Co z tego, że jesteś też na pensji? Masz udziały w Czermie? Masz. Koniec dyskusji. Pijesz ich krew, pogódź się z tym.

Nadal się uśmiecha, ale znów więcej w tym uśmiechu ironii. Nie jestem tylko pewien, przeciwko komu skierowanej.

— Jak, u licha, mogę ich wyzyskiwać, skoro oni nie pracują, niczego nie produkują? Skąd niby więc pochodzi ten zysk, którego ich pozbawiam?

— Oj, powinienesz zdecydowanie częściej oglądać kanały publiczne. Praca nie ma tu nic do rzeczy. Ty posiadasz, a oni nie — to jest niesprawiedliwe. Gdyby was nie było, bogactwa przypadłyby wszystkim po równo. Ale wy zatrzymujecie je tylko dla siebie.

— Co za bzdura! Gdyby nas nie było, nie byłoby żadnych bogactw do podziału!

— W zeszłym wieku pewnie by w to jeszcze uwierzyli, ale w epoce werków — nie ma najmniejszych szans. Przecież widzą, że bogactwo bierze się z powietrza.

— O Boże. Kto w takie —

— Wszyscy. Osiemdziesiąt procent społeczeństwa, Zygmunt.

— I ten Cruz jest ich — kim? Kościuszką, Wałęsą, Mandelą, Gandhim, Sejwiozem Samozwańcem, Zagarą, bin Ladenem, Che Guevarą?

— Aha.

— Dlaczego zatem w ogóle miałby wysłuchać mojej prośby?

— Tak — Aza przygryza policzek, obracając energicznie kierownicą; zjeżdżamy w rozległą nieckę, dolinę zarośniętą rzędami bloków jak układ scalony opornikami, każdy kładący przed sobą wielki cień. — Dlaczego miałby?

Jezdnia pokrywa się kolorowymi fraktalami. Na starej tablicy z planem Osiedla XXV-lecia PRL tańczą iskry drobnych wylądowań. Mija nas chłopak na rowerze, jego ciało pozostawia w chłodnym powietrzu różowy powidok. Siedzący na krawężnikach mołojcy plują leniwie małutkimi piorunami kulistymi. Do wnętrza fiata przebija się głośna muzyka: elektroniczny rytm marszowy, synkopowany przez chór dziecięcy. Dzieci skandują z pasją: — Urrwa! Urrwa! Urrrrwa!

Wjechaliśmy do ziomalstwa.

Ziomalstwo XXV-lecia PRL

— Kto jest lepperem tego socjaliska?

— Klawysyn, Mustafa Klawysyn.

— Powinienem o nim słyszeć?

— Jeszcze niczego nie podpalił.

— Toś mnie pocieszyła. Widziałaś na z werkosami?

— Wyluzuj. To spokojne ziomalstwo. Klawysyn nawet policję wpuszcza.

— Order Orła Białego mu dać.

— A myślisz, że na koniec czym się kupuje lepperów?

Idziemy wąskim korytarzem bloku, pierwsze piętro, brak windy, klatki schodowe pulsujące werkami słonecznymi, korytarz ma chyba sto metrów długości, ciągnie się przez cały blok, drzwi do mieszkań po lewej i prawej jak wrota pancernych sejfów. Z naprzeciwka idzie dwoje dzieci, podają sobie na przemian fajkę z jakimś słodkim drażgiem, dym ciągnie się za nimi białą wstęgą, nagła lekkość głowy, gdy wciągam go do płuc.

Aza zatrzymuje się przy numerze 143. Naciska dzwonek i robi głupią minę do obiektywu. Kroki. Drzwi się otwierają. Wchodzimy.

Gospodarz jest w samych gaciach, drapie się po brzuchu i marszczy brwi, gęsty zarost kryje subtelniejsze rysy jego oblicza. Obrzuca mnie badawczym spojrzeniem. Bohatersko wchodzę w zatęchłe powietrze mieszkania, w smród nie mytego ciała. Gospodarz ma chyba trzydzieści lat, ale wygląd socjerów bywa mylący — może się okazać nastolatkiem.

— Zyga, Brudzio — przedstawia nas sobie Aza i zaraz porywa Brudzia za łokieć. — Nóżki, musimy pogadać.

Brudzio stawia opór.

— Tera? Tera? Szławon, cmitu w minutu! A już! Czasu nie mam dla twoja!

— Nie krakaj, nie krakaj. Sznura tyko na jednego mołojca mi dasz.

— Turaj, urwo niebieska!

— Liżesz mi, Brudzio! Co ci krędzi kwadransik? Wall Street nie zategujesz. No, tera — już.

— A odteguj ty się od moja! Trzy lata i jędzi nagle na progu z jebkiem bladym! Pradź!

— Sam se pradź. Nóżki, nóżki, Brudzio! I ciągnie go w głąb mieszkania.

Przedpokój jest tak wąski, że i dwóm osobom trudno iść obok siebie. Brudzio ogląda się na mnie przez ramię.

— A jego gdzie? Siad!

Aza wskazuje mi wzrokiem wyleniała sofę pod ścianą. Nie potrafię się rozeznac w tej socjerskiej ciasnocie — czy to rodzaj minisalonu, czy rozszerzenie przedpokoju, czy jakaś przypadkowa wnęka. Siadam posłusznie. Aza i Brudzio znikają za drzwiami po prawej.

Przynajmniej mogę otwarcie mudrować. Na kontakcie po lewej otwieram podgląd sieci w osobistym filtrze informacji. Filtr jeździ na plastusiowej AI, która lepiej ode mnie wie, czego jestem ciekawy.

Czasami na wąskich kanałach abonenckich pojawiają się newsy o publicznych pojedynkach, jeśli brały w nich udział Nazwiska. Sprawdzam. Nie ma jednak newsa o ojcu i Wichwitu.

Odruchowa mudra na priva szpitalnego: w Przemienieniu bez zmian, rejestry medyczne vatera stoją na tych samych wynikach; jeśli coś tu drgnie, to tylko w dół. Chyba że Crux złoży swe dłonie na rozłupanym czerepie. (O Krystepane, zaczynam w to wierzyć!).

Na BBC–Open najnowsze wieści z frontu wojny meksykańskiej: wszystkie strony oskarżają się o rozpuszczenie militarnego nano; skrócone prądy morskie niosą je do Ameryki Południowej — lasy deszczowe zagrożone po raz kolejny.

Crisis Watch o rynkach afrykańskich: indeksy na plus jeden koma osiem, dwa koma trzy, widelki stabilnego wzrostu. Na giełdzie bagdadzkiej kompanie szejkanatów naftowych zaczynają hamować spadek. Indeksy n–biznesu podskoczyły, gdy Bukkart ogłosił wyniki za pierwszy kwartał: ropa jako surowiec organiczny dla werków niskoenergetycznych okazała się opłacalnym wyborem.

Wyrok Trybunału w sprawie żywności werkogenicznej: dopuszczono do sprzedaży socwerki wielogeneracyjne. Natychmiast spadają notowania producentów przetworów o standardzie socjalnym; Interpol wydaje ostrzeżenie przed nowymi atakami terrorystów chłopskich, Ostatni Rolnicy zapowiadają *suicie–shows*.

Dziesiąty dzień głódówki króla Williama — sondaże opinii Brytyjczyków, wizualizacja trendów.

AI zarządzająca ciałem Britney Spears postawiła się w stan samo — oskarżenia; proces o prawa do DNA i neuro weteranki popu toczył się będzie przed sądem Santa Barbara. Akcje holdingów medialnych, posiadających udziały w Britney Spears, idą w dół.

Z TVN–Pro12 filtr wyławia mordę Buzdygana. Widocznie prosto ze śniadania w ambasadzie Brazylii udał się Buzdygan na otwarcie nowego Akwarium ewolwerków Uniwersytetu Warszawskiego, wygłaszał tam mowę w tym samym żupanie, z tą samą karabelą u pasa. Rozpoznaję tekst manifestu gospodarki drexlerowskiej: „Niegdyś ludzkie życie przypominało grę o sumie zerowej. Ludzkość wypełniała niemal zupełnie swoją niszę i szczerp walczył ze szczerpem o przestrzeń życiową. Powiększenie obszaru pastwisk, upraw czy terytorium łowieckiego jednej grupy oznaczało odebranie ich innej grupie. W dziedzinie podatków, transferów pieniężnych i batalii sądowych zysk jednej strony nadal dziś oznacza stratę drugiej. Powiększamy sumę naszych bogactw powoli, lecz redystrybuujemy je błyskawicznie. Jednak historia rozwoju ludzkości dowodzi, że w skali świata ta gra jest grą o sumie dodatniej. Przyspieszający w ostatnich wiekach wzrost gospodarczy świadczy, że bogaci mogą się bogacić, podczas gdy biedacy — również się bogacą. Zasoby kosmosu i

replikujące się nanoasemblery przyspieszą ten historyczny trend poza najśmielsze wyobrażenia ekonomistów, otwierając przed ludzkością nowy świat”.

Nowy świat otworzył się dla wszystkich, ale nie dla każdego ten sam. Rzecz nie w tym, że następują zmiany — bo świat zawsze znajduje się w trakcie zmian — lecz że warunkiem koniecznym skorzystania na zmianie następnej jest poddanie się zmianie uprzedniej; kto więc raz się spóźni i nie dosiądzie fali, ten nigdy już nie dogoni przyływu. Człowiek, familia, pokolenie, naród, kraj.

Stąd rodzą się egzotyczne subkultury Pozostawionych w Tyle. Od szczegółu: socjerski wzorec piękna jest inny, opiera się na kulcie ilości — więcej złota, mięśni, kolorów, więcej luxusu — i takie oto holo szczyrzy się do mnie ze ściany przedpokoju Brudzia: mięsista blondyna o ogromnych cycach, w girlandach ciężkiej biżuterii. Od szczegółu: po co sprzątać, skoro można rzucić w mieszkanie disasemblery higieniczne — w efekcie nawet drewno oparcia sofy w dotyku jest jak krak. Od szczegółu: okna wykonano z grubego plastu, kula ich nie przebije — na co są dowody, szereg szram po pociskach, i to świeżych, skoro jeszcze nie zaleczonych. Do ogółu: jak tu okropnie cuchnie!

Zza drzwi dochodzą niewyraźne głosy Azy i socjera. Już mam wstać, podejść, przyłożyć ucho (zero wstydu), gdy w głębi przedpokoju rozlega się szczęk automatycznych zasuw i krótki przeciąg sygnalizuje otwarcie drzwi na korytarz. Ktoś wszedł, nie zadzwoniwszy, kobieta Brudzia? — ale nie, z cienia wyłaniają się dwie męskie sylwetki. Najpierw żółty pobłysk zarysu czaszek, ramion, ognie oczu — widzą mnie — para bezwłosych gofot, w portkach skórzanych i werkolczugowych kamizelach, neonowy dym ciągnie się za nimi w powietrzu, tygrysie pasy przesuwają się po przesłonecznionej skórze. Pod jaką sztamą znajduje się ta dzielnica? O tym akurat Aza omieszkała mi wspomnieć.

Tygrys Jeden obrzuca mnie zdumionym spojrzeniem, Tygrys Dwa trąca go łokciem i wskazuje drzwi po prawej. Mam wstać, przedstawić się, paść plackiem, uciec, mudrować po policję? Zdecydowali za mnie, weszli do Azy i Brudzia, zanim zareagowałem.

Głosy wznoszą się jeszcze bardziej. Teraz już przymus prawie fizyczny — słyszę, ale nie rozumiem, toż to nie do wytrzymania — podchodzę na palcach, przysuwam głowę do plastu.

— ...pódzie bruta!

— Jaka bruta, jaka bruta! — to głos Azy. — Pały wasze wyłorało! Mało Klawysyn wycyckał?

— Nie dla Klawysyna, pradź jego harawa! — to któryś z Tygrysów. — Póda wszystkie ziomalstwa. Co twoja nakłapał? Zacyc był: nie krakać cipom. Przychodzi nasza i co ocza? Już ruszka u Brudzia! Pradź!

— To mała Stefańskiej od tarota. Co moja mógł? Wlazła.

— Ale czy nie wykraka? Wszystkie krakają.

— Wyprażyć jej czachę — to Tygrys Dwa drugi.

— O, pewnie, wyłorać od razu na lód! — piekli się Aza. — Co za mołojce odjebkowane tera chlaczą! Myślałby kto, rewoluszyn odkryli! Moja widziała tuzin takich lepperiad. Akurat jest o czym krakać! Teguj — cie, tegujcie, dupa wolna.

— Lepperiad! — prycha Tygrys drugi. — Nie będzie żadnych mon — stracji! Nocą, po chatach, wsze wraz, ziomale dawno ukrakani, pódziem lito, Crux poprowadzi, wyłoramy panów, razdwatrzy, tu i wszędzie, tak będzie, urwo gupia!

— Lutuj paszczę! — ryczy nań Tygrys pierwszy. — Musiała wykrakać, a? A? Pradź!

— Noconoconoco —

— Crux poprowadzi, krakas — mówi powoli Aza. — Wasza zna dobrze Cruxa?

— To on dał Wygrysom ogień! — chwali się drugi mołojec.

Odgłos uderzenia. Pierwszy zdzielił po pysku drugiego, mogę się założyć.

— Pradź harata! — syczy pierwszy. — Powiem na sztamie, zaszyją ci jamę! A ty! Ty, ty, twoja! Zamkniesz ją tu do pojutra rano. I nigdzie ma nie dzwonić, z nikim nie krakać.

Błyska?

— Błyska, błyska — przytakuje ponuro Brudzio.

— Ja muszę —

— Grówno musisz! Co, lorkujesz w sobotę? — 1 rechot chóralny. Liczę szybko: piątek, sobota, niedziela — zaplanowali brutę na noc z soboty na niedzielę, wtedy istotnie dopadną większość poza pracą, w domach albo w wysokich dzielnicach, po klubach, kinach i salonach.

Dlaczego nie słyszałem wcześniej o tej socjerskiej ruchawce? Oni nie potrafią niczego sprawnie zorganizować, tym bardziej w sekrecie, od tygodni powinienem mieć na filtrze informacji dziesiątki newsów o trendach agresji klasowej w ziomalstwach.

Ale też nigdy nic nie miałem o Cruxie.

— ...oblacze na łyso — tłumaczy Wygrys pierwszy Brudziowi. — Jak było ukrakane.

Ma?

— Oczaj.

— Nooo.

— Piknę.

— Dajesz.

Syk stali. Po kręgosłupie nagły mróz: wiem, o co tu chodzi. Przyszli po akcesoria, po szable, ubiory, chcą się wmieszać między nas, wejść między herbowych. Brudzio robi za kontakt zaopatrzeniowy, ziany diler — nic dziwnego, że Aza do niego się zwróciła po namiary na Cruxa.

— A jak —

— O!

— Pokaż!

— Hehe!

— A co ty tak łapką płukasz —

— Urrrrrwa!

— Trzymaj ją!

— Rękawiczki!

— Co —

— Po gliny mudrowała!

— Ożesz ty hara, werk twoja mać, oczaj te pirścionki, no jaśnie cipanna!

— Poszło? Mogła nie zdążyć. Czopuj!

Kłaśnięcie.

— Czop! Już!

— Brudzio, co ty krakał, że skąd ją znasz?

— Łojezu, żaż to Stefańska, ta z —

— Trzymaj ją, Józek. Jamę zatkaj, bede prażył przez czachę, ryczą urewsko i krwią im idzie z nosa i uszek. Brudzio, dajesz szmaty.

— A ten chujek, co tam posłuje?

— Co z nim?

Drzwi nie zostały zatrzaśnięte, wystarczy popchnąć, oni są zajęci Azą, Wygrys Drugi unieruchamiają w nelsonowym uścisku, Wygrys Pierwszy obejmuje za głowę, jaskrawa łuna wokół nich — szable leżą na stole, podnoszę nagą zygmontówkę, nie ma czasu wyważyć, jak ostry sztych, nie wiem — tnę oburącz znad barku.

Wygrys Pierwszy pada z rozchlastanym karkiem, kręgosłup na wierzchu, werkolczuga skwierczy, zalana krwią, ścieram krople z twarzy rękawem kurtki.

Wygrys Drugi wrzeszczy, puszcza Azę, Aza wrzeszczy, unoszę szablę, za moimi plecami wrzeszczy Brudzio.

Teraz już tylko odruchy — dziesięć lat minęło, odkąd chodziłem na szermierkę, a jednak zwierzęca pamięć trwa w ciele — unik, zastawa, Brudzio idzie na mnie z krakowym

krzesłem, zbijam, podnosi, zbijam, rzuca, uskakuje. Z drugiej strony Wygrys wykonuje jakiegoś ciężkiego workboja, koleczuga zwiija mu się na ramionach, Wygrys zaciska pięści. rosną na nim kolce i ostrza, powietrze drży, czuję ten żar i czuję ostry zapach spalenizny. Żółte oczy płoną, pochyla głowę, odsłania zęby, też już zawerkowane na lśniącą stal, workłaż napina mu mięśnie i wypycha spod skóry żyły — oto i stoi przede mną Bestia.

— Aza! — wołam, zezując na Brudzia, który rzucił się tymczasem ku. stercie pudeł, zajmującej prawie połowę pomieszczenia, ku wysokim wieszakom z żupanami i deliami.

Aza próbuje się podnieść, upada, próbuje ponownie. Wygrys postępuje naprzód, iskry białych wyładowań skaczą wokół niego po liniach kondensacyjnych worków. Tnę z lewej, odbija ostrze przedramieniem.

— Aza!

— Pad!

To krzyczy Brudzio — nie do mnie, ale padam bez namysłu. Seria idzie po ścianach, meblach, sprzętach, suficie, trafia w coś szklanego, sypią się kryształowe odłamki.

Turlam się za drzwiami, szabla w garści. Sofa, przez sofę, przedpokój — uciec z tego mieszkania! Nie oglądam się. Zasuwy, krakleszcze, na szczęście nie ma szyfr — zamka — wypadam na korytarz. Którędy do klatki schodowej? W lewo. Biegnę.

Ale — ale już słyszę go za sobą, widzę na ograffitowanych ścianach lśniące pobłyski od jego workzorz. Zgięta wpół staruszka wychyla się za próg i zaraz cofa głowę, przerażona; rozszczekują się w mieszkaniach psy. Z tyłu łomot, jakby to Terminator tam biegł.

Złapawszy za balustradę klatki schodowej, oglądam się przez ramię. Rozpalony Wygrys jest dziesięć kroków za mną, bierze zamach pancernym ramieniem, jak gdyby strzelał z niewidocznego bata, i nie widzę, nie mam prawa ujrzeć, lecz wyraźnie czuję, jak coś zawija, zagęszcza, zatraskuje się w powietrzu — skaczę w dół klatki, ale jest już za późno, czarny ogień dosięga moich pleców, parzy przez kurtkę.

Spadam z krzykiem, uderzam głową w beton. Na półpiętrze podnoszę się, zrzucam skażoną sekundówkę. W prostokącie u wylotu schodów nade mną rośnie zimna jasność.

Zbiegam po trzy stopnie. Dragujący w holu socjerzy patrzą na mnie zdumieni. Przekładając szablę z ręki do ręki, zrzucam z siebie koszulę, rozpinam dzinsy — nie zdążę zdjąć, drą się i rozpadają, spodnie, pas, bokserki, z materiału unosi się dym. Dragmani chichoczą.

Na betonie rozpościera się cień, ostry, coraz ostrzejszy, gdy za moimi plecami rozkwita biała luna. Podnoszą wzrok, rzucają pety i uciekają — bez słów, żyją przecież pod sztamą Wygrysów, wiedzą.

Biegnę razem z nimi.

Zapadł już zmrok, więc uciec, uciec w tę ciemność — fiat, nie, on ruszy tylko pod dotykiem Azy — w ciemność — z żółtych okien bloków wychylają się głowy starych i młodych socjerów, echo niesie po socjalisku pytające okrzyki — w ciemność — już pali mnie skóra, plecy, uda, kark, mój Boże, dosięgnął mnie — w ciemność — ze starożytnego bloku za mną wyłania się w oślepiającym blasku workzbrojny gromodzierzca, wywrzaskujący wygrysią wściekłość — w ciemność — w Ziomalstwo XXV-lecia PRL.

Crux

Polują na mnie, słyszę ich nawoływania, płyną wilczymi zaśpiewami przez nocne blokowisko.

Przebiegam w cieniu.

Świeże graffiti na oknach niemieckiego socmarketu: PRZYDŹ KURESTWO TWOJE.

Dwie dziewczyny obściskujące się pod drzewem, ta wyższa rozpościera kiczowate skrzydła z przeterminowanych światłolotów.

Ogniska na dachach bloków, czarne sylwetki tańczące wokół elektrycznych płomieni.

Starzec z psem — werkpies wyprowadził dziadka na spacer.

Obracająca się na ścianie szczytowej wieżowca kolorowa mandala: CRUX CRUXCRUX.

Kobięcy głos z otwartego balkonu: — Julius! Lora! Lora! Lobora!

Wyłaniający się z zakrętu alei, w warkocie zabytkowych mechanizmów, wielki ropniak, zeszlowieczny mercedes. Z jego głośników — niezrozumiały hymn socjerski; w otwartym jego dachu — ekipa Wygryśów pod czarnymi sztandarami z Matkoboską.

Przebiegam w cieniu.

A z oddali, spoza gmachów ciemności, zza geometrii jasnych okien: — Uuuuuuuuuuuu! Uuuu! — sfera socjerska, sztama zbierająca się w nagonce.

Polują.

Szabla w garści, tyle. Ocieram dłoń o udo. Na szabli krew, nie wytrę.

Dlaczego kontakt nie łączy? Mudruję bez przerwy, na podwórędziu otwierają się wszystkie możliwe opcje komunikacyjne — policja, Czerm, Aza, hierarchia familijna, Buzdygan, Małżecki, straż miejska — i nic. Zaczopowany, zostałem zaczopowany, razem z Azą; Wygryś Pierwszy, Wygryś Drugi, któryś z nich odciął mnie od sieci.

Czego, oczywiście, nie mógł zrobić. Bo niby jak? Musiałby chyba wrzucić mnie do morderu wszystkich serwerów w zasięgu.

„Tu nawet beton i chmury są po ich stronie”.

Beton drapie stopy do krwi, zimny, chropowaty. Miałem buty, nie mam butów, rozpadły się w biegu. Pieczejuż cała skóra. Gdyby chlasnął mnie otwartymi werkami rozkładu organicznego, do tej pory niewiele by ze mnie zostało — atak był więc sprofilowany. Uderzał przecież w środku bloku socjerskiego, musiał bardzo ostrożnie dobierać oręż.

Lecz nano tak wysokoenergetyczne, że zdolne do rekonfiguracji makrostruktur w skali sekund, jest zakazane przez wszystkie możliwe konwencje i kodeksy. Gowerki podnoszą alarm na byle ślad podobnych procesów. Tymczasem Wygryśy najwyraźniej posługują się nim niemal rutynowo.

Co więcej: ten pistolet maszynowy Brudzia to zdecydowanie nie była wiatrówka. A jedną z pierwszych funkcji policyjnych gowerków jest przecież wykrywanie chemii terrorystycznej — po spaleniu takiej ilości prochu, nad ziomalstwem powinny krążyć tuziny policyjnych kopterów.

Kto wyjął tę krainę spod prawa miasta i świata?

Jest coraz zimniej — ja pocę się ze strachu.

„To on dał Wygryśom ogień!”

Przebiegam w cieniu.

Pusta jezdnia, parking, murek, drzewa i — kościół: taka sama betonowa bryła jak reszta ziomalstwa, tylko że zwieńczona krzyżem. Piątek wieczór, powinno być chyba otwarte — jakie są religijne zwyczaje socjerskie, nie mam pojęcia.

Świątynia niestety nie posiada śluzy, pełny prymityw. Wbiegam przez boczne wejście w pogrążoną w półmroku nawę. Cisza, nikogo w zasięgu wzroku. Odkładam szablę. Zasady pierwszej pomocy w przypadku skażenia werkami nie różnią się wiele od procedur postępowania po skażeniu materiałem promieniotwórczym. Owalna chrzcielnica jest umieszczona wystarczająco nisko i ma ponad pół metra średnicy. Wchodzę w wodę, obmywam się, trąc mocno skórę. (A jeśli kościół posiada sieć dozoru wewnętrznego? Tym lepiej — niech rozdzwonią się alarmy w agencjach, w policji!).

Echo kroków w pustym wnętrzu. Zamieram. Decyzje w ułamkach sekund — nie decyzje: odruchy. Wyskakuję z chrzcielnicy, zdieram szatę wotywną z posągu jakiegoś socjerskiego świętego, zawijam się w sztywny materiał, srebrny ryngraf kołysze się na piersi. Jeszcze szabla i —

Płask, płask, zimny marmur pod bosymi stopami. Odruch: ku ołtarzowi i do zakrystii czy

precz od ołtarza? W zakrystii stałe łącze, końcówka policyjna, ale — w zakrystii też na pewno socjerzy. Kroki się nie zatrzymują i przeważa strach chwili: uciekam przez główne drzwi.

Drzemiąca w ostatniej ławie babcia kościelna nawet nie podnosi na mnie wzroku.

Mokry drzę na zimnym wietrze. Ze schodów kościoła rozciąga się widok na sporą część dzielnicy: aleje znaczone rzędami lamp, szeregi bloków jak cepeliowskie wycinanki cienia i światła, skwery zupełnie już ciemne. Światła ruchome — światła samochodów — mogę zliczyć na palcach jednej ręki. Pieszycy nie widać w ogóle, jeśli nie wejdą wprost w słup jasności, plamę żółtego blasku. Ludne socjalisko jawi mi się niemal wymarłym. Czy tak to wygląda zazwyczaj po zmierzchu, czy też naturalny rytm życia w ziomalstwie został dziś zaburzony i ta ciemna pustka powinna stanowić dla mnie ostrzeżenie?

Czym prędzej schodzę z widoku, z wysokich stopni kościoła na ulicę i między drzewa za parkingiem. Wymudrowuję mapę miasta. Nie mam na podvorzędziu precyzyjnego planu socjalisk, ale byle program turystyczny jest w stanie wytyczyć marszrutę na podstawie dotychczas przebytej drogi oraz danych wzrokowych.

Program pyta o priorytety, jeden: wyjść z socjaliska. Dwa: wyjść spod sztamy Wygrysów. Trzy: znaleźć terminal na sztywnym łączu.

Przewodnik wskazuje mi na kontakcie kierunek. Zawijam ściślej szatę i ruszam za nim, od drzewa do drzewa.

— Uuuuuu!

Skąd płynie ten zew? Dźwięki odbijają się od płaszczyzn betonu, trudno rozpoznać kierunek.

Być może jednak nie mogę rozpoznać, ponieważ dobiegają one zewsząd — zostałem otoczony.

Właściwie co tam socjerzy robią — dmą w rogi? kręcą syreny? rzną głośniki? Znacznie sprawniej porozumiewaliby się przez komórki albo virt, Idioci.

Przewodnik wyprowadza mnie na pobocze jednej z przelotówek: cztery pasma, krakowe ogrodzenie, piastowe lampy, werkpucha na jezdni. Nie przekraczam granicy światła.

Przebiegam w cieniu.

To są jednak spore odległości, nie utrzymam dłużej podobnego tempa, już ciężko dyszę, obraz się rozmazuje, mętnieje —

— Oż pradž urrewska!

— Nyzio!

— On to!

— Łoraj jebuca!

— Hihhi, oczajjaki dziubuś očkany!

Siedzieli tu w wypalonym wraku — automobilu i chlali jabsynt. Trzech mołojców regularnych: mięso, skóra, złoto, haki. Na szczęście nie dostrzegam na nich pasów wygrysich.

Nie odzywam się, dyszę wsparty na głowicy szabli.

Podchodzą rozbawieni.

— Oczaj szabelku!

— A ciuszek jakie porno!

— Pirścionki moje! Nie ruszycie!

— ‘Kurat!

— To on, on. Noco gapuje darmo, snypan? Gleba! Ajuż!

— Łoraj jebuca, Macu.

Macu rozbija o kolano flaszkę po jabsyncie. Szkło pryska wraz z resztkami świecącej w półmroku werkpiatówki. Odchrząkuje.

— Panowie...

Wybuchają konwulsyjnym śmiechem.

— Pa–pa–pa–panowie! — powtarza rudzielec w środku. — Łojezu!

Rozrehotany Macu wymachuje mi ostrym szkłem przed twarzą. Odruchowo schodzę w prawo, tnąc oburącz w krzyż, bardzo nieczysto. Pada z rozchlastaną klatą. Syczę z bólu, nadwyrężywszy lewy nadgarstek.

Dwaj pozostali mofojcy, nagle otrzeźwiali, sięgają po werkosy.

Podnoszą mi się włosy na karku.

Uciec im nijak nie zdołam.

— Łoraj!

Poszli. Błękitne ostrza pozostawiają w powietrzu elektryczne powidoki; choć to niemożliwe, zdaje mi się, że naprawdę słyszę trzeszczenie kondensujących się werków.

Rudego biorę na sztych — szabla dłuższa od werkosy — nadziewa się własnym impetem. To mnie jednak unieruchamia, jest za ciężki, nie nadążam z obrotem, o uniku nie ma mowy, i trzeci mołojec dźga mnie w pierś — tszkr! — werkosa schodzi po ryngrafie, wyzegując w metalu głęboką bruzdę.

— Pradz!

Wyszarpuję szablę z ciała i tnę w kiść, zataczając się, prawie na ślepo.

Pada.

Padł, czyli dostał. Nie sprawdzam już nawet gdzie, nie sprawdzam, czy żyje: Ciężkim truchtem ruszam za przewodnikiem.

Przede mną łańcuch światel zakręcającej szosy jak ramię spiralnej galaktyki. Z rzadka przemykają komety: automobile socjerskie, niektóre to jeszcze nieprzekrecone benzynówki, ogony smrodu za nimi — oznaka statusu.

Przebiegam w cieniu.

— Uuuuuuuuuuu! Uuuu!

To z dołu, z centrum socjaliska, z wnętrza doliny. Przystaję, nasłuchuję. Wycia niosą się ponad blokowiskiem. Naraz pojmuję ich prawdziwą naturę i funkcję i nie potrafię opanować drżenia; wspieram się na krzyżowym jelcu zyguntówki.

To nie socjerzy porozumiewają się w ten sposób ze sobą, nie o komunikację między ścigającymi tu chodzi. To jest nagonka w dosłownym znaczeniu: chcą, żebym ich słyszał, chcą, żebym uciekał, przerażony. Naganiają mnie. Kierunek został z góry określony, pętla się zaciska.

Najstraszniejsze jest jednak to, że pędzą mnie tam, dokąd sam uciekam: na zewnątrz, ku stokom doliny, ku granicy socjaliska, poza teren zabudowany, ku autostradom obwodowym na górze.

Znowu moment trwożliwej konsternacji, jak w kościele — w tę czy w tę stronę — tu strach i tu strach — uuuuuuuuuuu! Uuuu! — i znowu odruch zwierzęcy: biegnę wzwyż, po zboczu porośniętym fluorescencyjnymi bękartami jodły, zostawiając za plecami jasną czteropasmówkę i betonowy labirynt cichego blokowiska.

Muszę pomagać sobie szablą; tuż przed wyjściem na plac, w połowie wysokości stoku stromizna jest tak ostra, że osuwam się dwukrotnie wraz z wilgotną ziemią. Ale nawet nie myślę o przystąpieniu dla odpoczynku: są tuż za mną, już na stoku, kilkadziesiąt, kilkanaście metrów poniżej — słyszę nie tylko te mechaniczne wycia, ale także socjerskie przekleństwa i trzask łamanych gałęzi.

Wypadam na asfalt zgięty wpół, rżąc i plując. Przede mną rozpościera się świeże gruzowisko, jeszcze nie zarośnięte, betonowa ruina po zezartym przez disasemblerzy wieżowcu — dlaczego nie dokończyły roboty? — sto metrów geometrycznego gruzu, pozostały w nim widoczne kwadraty piwnic i szkielety ścian parteru, drzwi otwarte na oścież z nocy na zimną noc, krótkie klatki schodowe prowadzące pod gwiazdy, dwadzieścia stopni i zawieszony w powietrzu podest półpiętra, przegryziony w skos ołtarz betonu —

Z niego Crux spogląda z krzywym uśmiechem na świat w dole.

Siedzi na rozłupanym telewizorze, w lewej ręce ścisną włosy Azy, która spoczywa obok w

kałuży rzygowin, prawą kreśli w powietrzu helioglify.

— Uuuu!

Wchodzą za mną, nie muszę się oglądać, słyszę ich kroki i oddechy, oddech tłumu, zebrała się tu cała sfera. Na pewno są między nimi Wygrysy: lodowate światło skacze po gruzach.

Crux kończy słoneczny wzór i kiwa na mnie palcem. Wchodzę ostrożnie w ruiny. Z każdym krokiem ranie sobie stopy, tu zewsząd wystają ostre odłamki, szpice prętów zbrojeniowych, krzaki drzazg. Na betonowych stopniach pozostawiam krwawe ślady, litanie czerwonych odcisków. Cztery, sześć, osiem, on kiwana mnie ponagłajaco, dwanaście, czternaście, na koniec stoję przed nim na krzywym półpiętrze między ziemią i niebem.

Słysząc tylko charczenie Azy, krztuszącej się swoimi wymiocinami.

Crux opiera mocniej stopę obutą w metaliczny adidas na plecach panny i szarpie jej włosami jak wodzami krnąbrnego wierzchowca, wykręcając głowę Azy ponad kałużę.

Łańcuchy na dresie Cruxa lśnią wszystkimi odcieniami jubilerskiej tęczy.

Unosi na mnie wzrok i odzywa się w najczystszej polszczyźnie:

— Czego zatem chciał pan ode mnie, panie Ćwiecz?

Nie potrafię zrozumieć, o co mu chodzi. Przekładam szablę z ręki do ręki, ocieram wnętrze dłoni o szatę. Crux się nie uśmiecha, owo skrzywienie warg to jeszcze jedno trwałe piętno jego kalectwa. Siedzi, bo siedząc, lekko pochylony, kryje garb.

Czego ja od niego chciałem?

— Och! — wciągam głębiej zimne powietrze i przez dłuższą chwilę z wysiłkiem powstrzymuję kaszel. — Chciałem,, ona chciała... Czy mógłbyś uzdrowić mojego ojca.

— Prosisz mnie o uzdrowienie ojca.

— Tak. Tak. Proszę.

Aureola różowego światła zbiera się wokół głowy Cruxa, spływa mu po ramieniu i dłoni i gdy Crux prostuje palec, blask pada wprost na ostrze zygmunówki, czerwień łączy się z czerwienią.

— Czyja to jest krew, panie Ćwiecz?

— Złych ludzi, herr Crux.

— Kogo raczej powinienem uzdrowić: ich czy pana ojca?

— To zbóje ulicznicy. Mój ojciec nie —

Crux unosi palec i kineskop pod nim eksploduje z przytłumionym hukiem.

Cofam się instynktownie, stopień, dwa niżej, lecz zaraz wracam na miejsce,

Crux spogląda spode łba, z wnętrza obłoku siwego dymu.

— Twój pan, Buzdygan, któremu hołdowałaś — opowiedziała mi wszystko — on pod krzyżem i luxusem morduje ludzi, jeśli tylko stanęli mu na drodze do zysku. Przecz mi.

— Nie przeczę.

— Kim on jest, panie Ćwiecz? Czy nie on jest źli ludzie?

— Ja nie —

— Twój vater rodzony, o którego życie prosisz — o co się bił z tym młodzieńcem? Bronił może kobiety, dzieci, Matkoboskiej? Był w ogóle jakiś powód? Czy też napadł po prostu na słabszego? Zaszlachtowałby go, jak tyłu przed nim, bo mu się tak spodobało, zbój uliczny. Przecz mi.

— Nie przeczę.

— Kim on jest, panie Ćwiecz? Czy nie on jest źli ludzie?

— Och, na litość! Być może jest, to jednak —

— Ty, ty, Zygmunt Ćwiecz herbu Leliwa, pan szablowy — co zrobiłeś? Czy poszedłeś zabić Buzdygana, który zabił ci vatera? Nie. Czy wyzwałeś Buzdygana? Nie. Czy chociaż wymówiłeś Buzdyganowi? Nie. Będziesz więc nadal brał pieniądze od mordercy swego ojca. Przecz mi.

— Musisz zrozumieć, że —

— Nie przeczysz.
— To nie jest bajka rycerska, w życiu nie można tak —
— Nie przeczysz.
— Nic bym —
— Nie przeczysz.
— Nie, kurwa, nie przeczę!

Crux kiwa głową.

— Przynajmniej nie łiesz.

Aza jęczy niezrozumiale. Crux szarpie za czarne włosy, mocniej ją przydeptuje.

— A ją zostawiłeś i uciekłeś.

— Więc na dodatek tchórz.

— Tak by było lepiej. Obawiam się jednak, że zwyczajny skurwysyn.

— Jasne, do ludobójcy mi daleko.

Crux unosi twarz, spogląda w gwiazdy, gwiazdy błyskają mu w krzywych ustach.

— Dopóki trzymał ręce w górze, dopóty Żydzi zabijali; gdy zaś je opuścił, to Żydów zabijano. Był stary, szybko się męczył, jak zwyciężyli?

— Podtrzymywali go młodzi.

— Tak. Błogosławiona rzeź. ja się nie zmęcę, werki się nie męczą. Jutrzejszej nocy wyłoramy panów. Tego nic nie zmieni, nawet twoje ostrzeżenie. Ale nie ostrzeżesz nikogo.

Spluwam. Chciałem splunąć na niego — ślina zakreśliła w powietrzu krótki łuk i spłynęła na beton po niewidocznej błonie. Spoglądam z nienawiścią. Crux przypatruje mi się, przechyliwszy głowę.

— Zauważ, że rozmawiam z tobą.

— Filmów się naoglądałeś, gówniarzu.

— A ona będzie żyć, oczyszczam ją właśnie z wygrysizny, ona ma serce, dobrze się przysłuży moim socjerom.

Spluwam ponownie.

— Ojcom rewolucji łby ukrecać w kołyskach.

— Ale ojców rewolucji osiemdziesiątego dziewiątego, ojców rewolucji nano — ich to błogosławisz, prawda? Bo kim byś był, gdyby nie oni? A teraz pora na obrót fortuny korzystny dla socjerów, na ich rewolucję.

Roześmiałbym się, gdyby nie boleśnie suche gardło.

— I jak to sobie wyobrażasz? Pójdzie bruta w całym kraju, zarżniecie robotnych i nagle z socjału spłyną na was wszelkie luksusy? Idioci. Dopiero pożałujecie, jak nie będzie u kogo lepperować! Bez ONYCH, bez nas — co zostanie z socjerów?

— Nic. Będą socjerami jedynie, dopóki istnieją jacyś panowie, od których da się wylepperować socjał. Wyprowadzę ich z tej niewoli. Zmuszę do wolności. Zmienią się tylko wtedy, gdy nie będą mieć innego wyjścia.

— Zawsze będą mieć inne wyjście, zawsze będą posiadać werki. Teraz werki posiadają ich. Socjerzy są polskimi murzynami nano. Widzisz to.

— Czy ty mnie usiłujesz p r z e k o n a ć? Nie przekonasz.

Crux prostuje się na tronie elektronicznego złomu, podciąga rękawy dresu, na muskularnych przedramionach ozywają werktuaże. Szarpie za włosy Azy. Aza jęczy. Siedzi rozparty szeroko, z kolanami i łokciami podanymi na zewnątrz, kończyny ma nieproporcjonalnie długie.

— Powiedziała mi wszystko. Gdzie pracujesz, czym się tam zajmujecie. Za dwa dni na Polskę spadnie największy krach. Trzeba mi menadżerów kryzysu najlepszych z najlepszych, by obrócili go na moją, na naszą korzyść. Pracowałeś dla Buzdygana, ale Buzdygana załoramy pierwszego; będziesz pracował dla mnie, Czerm będzie pracował dla mnie. Widzisz więc, dlaczego z tobą rozmawiam, dlaczego jesteś mi potrzebny, panie Ćwiecz.

— Prędeż się —

— Ale nie za darmo przecież! Zapomniałeś, po co przyszedłeś? Vater wstanie z łoża. — Crux zaczyna kreślić w powietrzu lśniący helioglif. — Taki — taką transakcję jestem gotów zawrzeć. Hołduj mi tylko.

— Co?

— Czy nie myślisz o sobie jako o człowieku honoru? Znam was. Szable, pierścienie, herby, wielkie słowa. Przysięgnij mi. — W powietrzu krzepnie obraz krucyfiksu. — Przysięgnij na krzyż święty. Będę łaskawszym panem niż Buzdygan.

— Łoraj sie.

— Ani na vatera nie zważysz?

— Pradź!

— Ale dlaczego nie, panie Ćwiecz?

Szukam odpowiedniego słowa i nie mogę znaleźć. Wiem jedynie, że jakkolwiek hołd przed tym socjerskim pokurczem jest nie do pomyślenia — i, tym bardziej, nie do opowiedzenia jest to obrzydzenie, wstręt zgoła fizyczny, alergia do wszystkiego, co on reprezentuje. Jak wytłumaczyć odmowę, gdy na porcelanowym talerzu podsuwają nam do spożycia parujące gówno? Można jeno kłąć.

Więc na koniec tylko wypluwam z nieskończoną pogardą:

— A spójrz ty na siebie!

Crux szczerzy w krzywym uśmiechu ostre diamenty. Ale znowu się pomyliłem, to nie jest uśmiech. Puszczą włosy Azy, głowa panny uderza o beton. Nad Cruxem skręca się wir gęstej aureoli, ciemna kondensacja — aż ozon pali język i podniebienie. Nawet nie unoszę szabli, tylko cofam się, o stopień, drugi, czwarty, Cruxa mam już na wysokości oczu, ognie świętego Elma skaczą mu po dresie i łańcuchach, we wnętrznościach telewizora budzą się czerwone pulsy, Crux nachyla się ku mnie na swoim siedzisku, unosi ręce nad głowę —

— Łorać urwie pana!

Od jego dzikiego ryku niemal pękają mi bębenki; ogłuszony, spadam ze schodów w gruz, tłukąc się boleśnie. Ryk, grzmot, wichura — uderzyła mnie niewidzialna pięść Cruxa i zostałem powalony.

Podrywam się czym prędzej, wznoszę klingę w instynktownej nastawie.

Oni idą na mnie, tłum socjerski, mołojcy blokowisk i Wygrysy werklazowane, z nożami, bejsbolami, krakulcami i werkosami w łapach, w pomruku chłopskiego gniewu, ze złośliwymi grymasami na twarzach, tłuszcz ciemna, spuszczone ze smyczy mięśniaki i dragmani, sól i łajno tej ziemi, krew z krwi, kość z kości i beton z betonu — łorać! łorać! łorać!

Crux nade mną z uniesionymi rękoma, aurora mortifera coraz jaśniejsza.

Spluwam raz jeszcze. Poprawiam szatę i ryngraf, kręcę szablą młynka, może się który wystraszy, odstąpi — nie, żaden, w kupie są nieulękli. Jednego, dwóch, trzech pewnie zdejmę, sięgnę ostrzem. Ale cóż teraz po najrzeczniejszej szermierce i stali szlachetnej, cóż po szkołach wysokich i technologiach subtelnym?

Skopią, zarąbią, zatłuką, zajebią na śmierć.

— Łorać pana!

A i ręka z szablą już ociężała, nie chce się wznieść do ciosu, noga nie chce postąpić naprzód — i nie wiem, co właściwie mnie paraliżuje, strach czy Crux, obaj. A nawet gdybym

— Łorraćpana!

Jest ich zbyt wielu, miliony, miliony

Exodos

byś wczuł się w to miejsce poczuł mistyczny
sprawdź to ja reprezentuję moich ludzi
a oni reprezentują mnie
obskurne czasy skazani na piekło na ziemi tego jestem pewien
bo ciągle klepią biedę
samoobrona w kieszeni na zawsze na bicie
niosą mnie dzieciaki pogrążone w gniewie
dalej stale walę swoją prostą przed siebie
robię to i tylko ode mnie zależy jak ja to na kartce uchwycę
moje ukochane brudne ulice obnażone tak że aż dreszcze są i tchu brak

lipiec — grudzień 2003

W opowiadaniu wykorzystano fragmenty: wiersza Konstandinosa Kawafisa *Zstąpienie bogów* w tłumaczeniu Zygmunta Kubiaka; *Polskiego Kodeksu Honorowego* Władysława Boziewiczza; *Pieśni XVI* Jana Kochanowskiego; pracy K. Erica Drexlera *Engines of Creation*; piosenki Pei *Glucha noc*.

Weekend w Spestreku

JAROSŁAW GRZĘDOWICZ

urodził się w 1965 roku, debiutował w 1982 na łamach tygodnika „Odgłosy” opowiadaniem *Azyl dla starych pilotów*. Jego opowiadania znalazły się w wielu antologiach SF, a także na łamach „Nowej Fantastyki” i „Feniksa”. W 1990 roku razem z Rafałem A. Ziemkiewiczem, Andrzejem Łaskim, Krzysztofem Sokołowskim i Dariuszem Zientalakiem Jr. założył magazyn literacki „Fenix”, a od 1993 roku był jego redaktorem naczelnym. Jesienią 2003 roku ukazał się jego zbiór opowiadań grozy *Księga jesiennych demonów*. Jest dziennikarzem w „Gazecie Polskiej” i tłumaczem komiksów.

Jeżeli ktoś stoi na balustradzie tarasu na wysokości siedemdziesiątego piętra z rozłożonymi szeroko ramionami, to rzeczywiście może sprawiać wrażenie zmęczonego.

Norman miał z tego miejsca doskonały widok na cały budynek. Projekt nazywał się „Srebrna Góra”. Biurowiec, zbudowany na wzór górskiego szczytu. Oczywiście nie był aż tak nieregularny jak prawdziwa góra. Przypadkowe z pozoru załamania i uskoki kryły okna i balkony, gabinety z panoramicznym widokiem na miasto, więc zamiast losowych obłych linii skał musiały je wyznaczać płaskie tafle szyb. Jednak z odległości kilkudziesięciu metrów, a nawet z balustrady na szczycie, złudzenie absolutne. Góra wyciosana z błękitnego kryształu górskiego. Były też tarasy porośnięte pokręconymi po japońsku cedrami, obłożone starannie wyrzeźbionymi marmurowymi skałami, a nawet wodospad. Wypływał ze ściany na wysokości pięćdziesiątego szóstego piętra i spadał migotliwą kaskadą w nieregularny basen na wysokości dwudziestego. Woda kręciła się w obiegu zamkniętym. Spadała szklistą kurtyną za szybami gabinetów menadżerów, dyrektorów i brokerów, a po upadku na skaliste dno basenu wpływała, poganiana pompami, z powrotem na pięćdziesiąte szóste. I tak w kółko. Przy okazji napędzała turbiny, które w jakimś stopniu zasilają pompy.

Bardzo ekologicznie.

„Świat jest podły” — pomyślał Norman, a potem rozłożył ręce i runął płasko do przodu, na podobieństwo strąconego z parapetu krucyfiks. Uderzył w powietrze jak w elastyczną ścianę. Przy tej szybkości, zagęszczone do konsystencji galarety, wciskało się do płuc, grzmiało i świszczało w uszach. Obłożony skałami i obrośnięty limbami basen minął go w pędzie i uciekł do góry. Normana odwróciło kilka razy i był akurat gdzieś na wysokości piętnastego piętra, kiedy w błękitnie nieba otworzyły się nagle drzwi, wpuszczając prostokąt białego światła, weszła przez nie Różowa Pantera, trzymająca w ręku okrągłą bombę, i odezwała się głosem szefa:

— Norman, wpadnij do mojego biura.

Lont dopalił się do końca i bomba wybuchła różowymi zygzakami, a Norman wylądował w swoim fotelu.

Zdjął wirtualizator, pomagając sobie zębami, odpiął rzepy rękawic sterujących i rozmasował twarz.

Wnętrze hangaru obstawione było pulpitami grafomatów i stanowiskami komputerów. Wszędzie, gdzie spojrzeć, znajdowała się Srebrna Góra. W postaci rzutów, rysunków, wyobrażeń, wydruków i projektów. W przekroju i w detalach. Do tego na stojącym pośrodku hali okrągłym podeście holoskopu powoli obracał się jej ukończony wizerunek, migocząc jak ogromna bryła kryształu górskiego. Dokoła leżały hałdy płaskich pudełek po pizzie, skrobiowe pojemniki po pikantnych skrzydełkach albo krewetkach, papiery od kanapek. Piramidy jednorazowych pojemniczków po chemicznie podgrzewanej kawie espresso i kolekcje papierowych kubków. W powietrzu wisiał ciężki odór potu, dymu i kawy. Odór

skończonej ciężkiej pracy.

Większość pracowników snuła się jak muchy w smole, niemrawo zbierając swoje rzeczy. Na materacu wsuniętym za kopiarki spali Mariola i Wojtek. Miłosz drzemał na pulpicie grafomatu, obejmując głowę rękami. Na dłoniach wciąż miał rękawice sterujące. Przez okno widać było porośniętą młodą trawą płytę starego lotniska i, przed wejściem do hangaru, Irenę spoczywającą na leżaku — długie nogi wyłożyła na składany stolik, w otoczeniu pustych puszek po „jomsborgu”. W zasięgu jej ręki znajdowała się otwarta turystyczna lodówka, ale zastępczyni szefa najwyraźniej drzemała w promieniach porannego słońca, z na w pół opróżnioną puszką w zwieszanej bezwładnie dłoni.

Norman wstał od swojego stanowiska, z obrzydzeniem konstatając nieprawdopodobną hałdę śmieci i odpadków wokół; wyglądała jak wyrzucona przez sztorm.

Kanciapa szefa znajdowała się na antresoli, pod dachem hangaru. Panował tam mniejszy bałagan niż w pracowni, ponieważ szef od dwóch tygodni prawie tu nie był, siedząc na dole przy grafomacie. Teraz rozłożył się w fotelu, najwyraźniej walcząc z opadającymi powiekami i paląc ogromne cygaro Corona. Na widok Normana uśmiechnął się tym swoim wyuczonym, „motywującym” uśmiechem, który nie znaczył kompletnie nic.

— Dlaczego nie jedziesz z nami na Malediwy? — zapytał bez wstępów. — Nie cieszysz się, że sprzedaliśmy „Górę”?

— A dlaczego mam się cieszyć akurat na Malediwach? Muszę jechać do Sztilbarku. Mówię ci o tym od pół roku.

— Ale akurat wtedy, kiedy wygraliśmy? Wszyscy żałują, że nie jedziesz. A mnie jest przykro. To nie jest jakaś zakichana korporacja ani integracyjny weekendzik. Sprzedaliśmy ten projekt, firma żyje, w zanadrzu mamy osiedle Zamkowa Brama — spokój przynajmniej na półtora roku. Chciałem zrobić wszystkim prezent.

— Romek, zrozum, dostałem przepustkę. Nie wydają jej od ręki. Akurat wypadło teraz. Jak nie pojedę jutro, to przepadło. Cały bal od początku.

— A co cię tam ciągnie? Zamknij drzwi. Norman, to nie jest normalne. Na Malediwach też są panienki, jeżeli o to chodzi, ale według mnie wcale nie musisz robić takich...

Norman oparł się dłońmi o biurko i wychylił w stronę szefa.

— Romeczku, szefie najdroższy, pryncypale mój. Wymyśliłeś, że jestem seksturystą, tak? Ja się, szefie, urodziłem w Spestreku. Mieszkałem tam do dwudziestego roku życia. Tam są moja matka, brat, siostra wychowująca mojego siostrzeńca. W Sztilbarku.

— Jezu. Przepraszam, skąd miałem wiedzieć? Dlaczego ich stamtąd nie wyciągniesz? Przecież mógłbyś jakoś ich urządzić...

— Nie chcą. Uwierzysz? Boją się. To co mam robić?

— Przepraszam — powiedział szef. — Głupio mi. Ale sądziłem, że ci odbija — wycelował w Normana oskarżycielski palec. — Zharowaliśmy się. Wszyscy. Powinieneś odpocząć. Ot, co. Rozumiem, że musisz jechać, ale powinieneś też naładować baterie. Skoczyłeś z dachu!

— Tania psychologia. Chciałem obejrzeć wodospad.

— Akurat.

— A ty, szefie, wlałeś do mojego komputera. To się nazywa już „małping”, proszę szefa. Mogę jechać?

— Pewnie, że możesz. Sprawdziłeś tamte węzły konstrukcyjne?

— Zasymulowałem huragan. Trzymają jak głupie. Rozumiesz, że muszę?

— Idź już w cholerę. Miłego weekendu, Norman.

Wyszedł przed płaski hangar i powlókł się na parking. Od dwóch tygodni ich samochody właściwie nie opuszczały swoich miejsc przy płocie. Norman namacał w kieszeni pilota. Jego jaskrawożółta, sportowa tatra pulsar kwiknęła dwukrotnie i zaczęła zwijać dach, który Norman postawił jeszcze w połowie kwietnia, kiedy zaczął się ten straszny maraton związany

ze Srebrną Górą. Jeżeli mieszka się w pracowni przez piętnaście dni, to skąd można wiedzieć, czy nie będzie padać?

Wstawał piękny, wiosenny dzień. Po drugiej stronie lotniska, przy hangarach aeroklubu, ktoś cierpiący na bezsenność męczył silnik repliki trzyplatawego fokkera. W górze skowronek zanosił się histerycznym ćwierkaniem.

Norman rzucił marynarkę na siedzenie pasażera i solennie obiecał sobie, że przez najbliższe tygodnie o tej porze będzie wracał do domu z imprez, a nie z pracy.

Pulsar błysnął mu w oko światłem czytelnika i uruchomił podzespoły.

— Dzień dobry, Norman — powiedział samochód.

Norman, walcząc z opadającymi powiekami, oparł dłonie na małej, sportowej kierownicy, po czym westchnął i poddał się. Uwielbiał prowadzić, ale czuł, że za chwilę będzie miał z niewyspania halucynacje.

— Tryb auto. Do domu. Trasa standardowa. Napęd hybrydowy: start pędnik elektryczny, na trasie przejść na napęd wodorowy, styl: ofensywny. Prędkość: najwyższa legalna.

Silnik wydał z siebie irytujący, narastający świst turbiny odrzutowca i przygasł do ledwo słyszalnego mrużenia. Norman pomyślał, że samochód o takim wyglądzie powinien wydawać grzmiący ryk, a nie bzyzczyć jak suszarka do włosów. Oparłszy kark o zagłówek, patrzył na obracającą się kierownicę.

— Tryb auto, aktywny. Program podróży przyjęty — marudził pulsar. — Uwaga: sugestia korekty trasy. Komunikat o kolizji na moście Grota. Korek czerwony, w porowach do czarnego. Sugerowana korekta: most Bora, trasa modlińska, skręt w drogę na Nieporęt, trasa wzdłuż Kanału. Nasilenie ruchu: zielone, do żółtego. Aproksymowany czas podróży: dwadzieścia siedem minut.

— Zezwalam na korektę trasy. Uruchomić odtwarzacz: biblioteka „muzyka klasyczna”. Utwory: *London Calling*, *Man in the Long Black Coat*, *Red Right Hand*, *Road to Hell*. Miał nadzieję, że muzyka poważna trochę go obudzi.

Weekend w Spestreku. Sam nie wiedział, czy się z tego cieszy, czy się boi. Pomyślał, że w gruncie rzeczy wolałby chyba jechać na te Malediwy.

Przez całą drogę do domu raz po raz opadały mu powieki, ale nie zasnął.

* * *

Opuszczone przed dwoma tygodniami mieszkanie wydało mu się niemal obce. W powietrzu wisiał jakiś dziwny zaduch. Na stole jadalnym odkrył resztki sałatki hawajskiej ze śniadania w połowie kwietnia. Rzucił marynarkę w stronę wieszaka, ale oczywiście nie trafił.

— Wróciłem do domu, nie powiem nikomu. Sama praca, tylko praca, zrobi ze mnie wnet pajaca — zaśpiewał.

— Hasło przyjęte. Tryb obronny zdezaktywowany. Dzień dobry, Norman — powiedziało mieszkanie. — Czy chcesz odsłuchać wiadomości?

— Szeregować! — odrzekł, idąc do kuchni i zabierając się do sprzątania.

— Kategoria spam...

— Pomiąć, do kasacji.

— Przyjęte. Kategoria: osobiste. Nadawca: „Zazula”. Treść:

W pół drogi do kuchni zamajaczyło widmo chudej, wysokiej dziewczyny z włosami sterczącymi wokół głowy jak kolce rybki fugu.

— Cześć. Pamiętasz mnie? Spotkaliśmy się na imprezie u Denata. Pamiętasz łazienkę?

— O Boże, pamiętam — jęknął Norman.

— Chciałam powiedzieć, że było zajebiście. Gdybyś...

— Kasacja. Nadawca: graf zero.

— Przyjęte. Kategoria: sprawy. Nadawca: detektyw Rybczyński.

Treść:

Detektyw zmaterializował się, siedząc na zdrowotnym krześle — klęczniku, ubrany w kosmaty dres. Twierdził, że kiedyś go skopano i odtąd ma problemy z kręgosłupem.

— Dzwonię w sprawie pańskiego zlecenia. Według uzyskanych dotąd informacji żaden, powtarzam: żaden Grzegorz Karwinowski nie przekroczył dotąd granicy Specjalnej Strefy Ekonomicznej Pomorze 17. Nie przekroczył, to znaczy nie przekroczył. Ani legalnie, ani nielegalnie.

W żadnym punkcie imigracyjnym nie pojawił się też człowiek noszący dostarczone przez pana parametry rozpoznawcze kodu genetycznego, podając się za kogoś innego. Nie udało się na razie nikogo takiego znaleźć także wśród pracujących na czarno robotników. Z tego, co wiem, nasi nie interesują się kompletnie sposobem przekroczenia granicy, więc ten pański szwagier musiałby zwariować, żeby się nie zarejestrować. Dostałby trochę forsy, zupełny dach nad głową, jakieś kursy, może i robotę. Od dwóch lat każdy kibuc jest witany z otwartymi ramionami. Istnieje minimalna szansa, że z jakiegoś powodu nie mógł albo się bał, ale wtedy jednak powinien był się gdzieś pojawić. Wątpię, żeby od razu pojechał w Europę, bo według pana słów nie miał żadnych środków. Obstawiam, że nadal znajduje się na terenie któregoś Spestreku. Teoretycznie mógł opuścić siedemnastkę, a wylądować w innym. Albo coś mu się stało tam, na miejscu. Tyle wiem. W każdym razie raczej nie przekroczył granicy. Skoro pan tam jedzie, może pan zgłosić jego zaginięcie miejscowej policji, chociaż odradzam. Jeżeli nic mu nie jest, to tylko mu pan zaszkodzi. Może mi pan zlecić śledztwo po tamtej stronie, ale to będzie kosztowne. Kibuce nie pozwolą, żeby ktoś taki jak ja łąził i węszył. Jak pan wróci, to pogadamy. Raport wysyłam mailem. Do widzenia.

— Zachować do analizy. Katalog: osobiste, podkatalog: „szwagier”. Ohasłować. Hasło domyślne.

— Przyjęte.

Posprzątał w kuchni, wziął prysznic, a potem padł na łóżko.

— Osiem godzin snu. Tryb: twierdza. Nie łączyć nikogo, kto nie powoła się na hasło alarmowe. Pobudka stopniowa, szesnasta trzydzieści.

— Wstań, Normanie, wstań, Normanie, rano wstań! Rano wstań! Wszystkie dzwony biją... — odgłos przypominał oszalały chór milionów wróbli i słowików, ale słowa były całkiem wyraźne.

— Rany Boskie, dezaktywacja! — wrzasnął. — Znaczy, ten... ekstrapolaryzacja, magnificencja, Nabuchodonozor to niezła dupencja! Obudziłem się! Światło — poziom zero! Temperatura domyślna!

— Dzień dobry, Norman. Pobudka dezaktywowana. Godzina szesnasta trzydzieści, do odjazdu pozostało siedem godzin.

Norman rozmasował zdrętwiałą i śliską od potu twarz. W sypialni panowała temperatura jak w saunie, a lampy płonęły jak stadionowe reflektory. Ktoś kiedyś wymyślił, że naturalnym i zdrowym sposobem budzenia się jest stopniowe znalezienie się w pełnym słońcu i upale, wśród ćwierkania ptaków. Słoneczko już wstało, robi się ciepło i jasno, śpiewają ptaszki.

— Dzień dobry, Norman — powiedziała lodówka.

— Dzień dobry, Norman — powiedział prysznic.

— Dzień dobry, kurwa — powiedział Norman.

Pakował się, wybierając starannie ubranie. Jedną z pierwszych zasad w Spestreku brzmi: Nie zwracać na siebie uwagi. Nie mógł ubrać się ani jak na co dzień, ani tym bardziej w elegancką czarną marynarkę, haftowaną w łądygi bambusa. Powstałoby zbiegowisko. Ktoś chciałby za wszelką cenę kupić, dostać w prezencie albo ostatecznie ukraść mu ubranie. A przede wszystkim nieustannie by się gapili. Co gorsza, pogoda mogła się załamać. Początek maja potrafi być upalny, ale może też dmuchnąć nagle arktycznym zimmem.

Przygotował sobie możliwie najmniej rzucające się w oczy rzeczy; większość z nich zwykle nosił na działce. Czarny sweter, dzinsy w jednolitym kolorze khaki, bez wzorków, turystyczne buty.

Problemy zaczęły się z prezentami. Wożenie czegokolwiek do Spestreku to loteria, wielka rozgrywka i pojedynek człowieka z bezduszną machiną. Do tego jeszcze wojna sprytu i chciwości pomiędzy człowiekiem i funkcjonariuszem. Norman miał swoje metody, ale żadnej stuprocentowo pewnej. Przygotował sobie arsenał kilku sztuczek i liczył na trochę szczęścia. Część rzeczy i tak musiał kupić po drodze.

Czuł się jak szpieg wybierający się z misją do wrogiego kraju, a nie jak ktoś, kto jedzie odwiedzić rodzinę. Nie był nowicjuszem. Gotówka: kibuce przeliczali euro na bony ekonomiczne według urojonego, absurdalnego kursu 1:1, i frajer, który wetknąłby tam gdziekolwiek czip, zostałyby z miejsca ograbiony. Zresztą wszyscy wszystko załatwiali w gotówce. Miał więc zapas pieniędzy w banknotach o niskich nominałach. Odpiął swój zegarek, tytanowego Tag heuera, i założył jednorazową reklamówkę jakiejś firmy konstrukcyjnej. I tak robi przesadne wrażenie, jeżeli ktoś ją zauważy. Zegarek miał radio, budzik i kompas. Schował do torby jeszcze dwa. Taki prezent ofiarowany komuś w odpowiednim momencie mógł w Spestreku uratować życie.

* * *

Autobus sunął w noc. Norman patrzył na dziwny, zielony jak dno akwarium krajobraz, wyświetlany przez noktowizory. Trochę się bał, a trochę było mu smutno. Tłumaczył sobie, że to wynik ostatniego przepracowania, ale nic nie pomagało. Czuł się przemęczony, miał też wrażenie, że jego życie jest tandetne i plastikowe. Projektował kolejne budynki, siedział w domu i patrzył w ściano — ekran, żyjąc ciekawszym, lepszym i fikcyjnym życiem bohaterów filmów, albo tkwił na balkonie ze szklanką w ręku, gapiąc się na żagle na Zalewie. Toczył również puste i głupie pogawędki z widmami ludzi siedzących czasem o setki kilometrów od niego — wszystko to jakieś nieprawdziwe i płaskie. Życie w Spestreku może i było ciężkie, ale bardziej autentyczne. Wydawało mu się, że gdy tam mieszkał, umiał się bardziej cieszyć. Wystarczyło kupić sobie podkoszulek albo kawałek wędzonki i człowiek radował się jak dziecko. Co musiałby teraz zrobić, żeby poczuć aż takie szczęście, jak kiedy Mariannie udało się wykołować harpie i mogli się spotkać przy ognisku nad jeziorem? Przypomniawszy sobie te całonocne rozmowy nad butelką podłej wódki i jednym ogórkiem. Tam przyjaciel był przyjacielem, wróg wrogiem, a życie miało prawdziwy smak i zapach.

Zgasił okno i świat utonął w smolistej ciemności. Przez jakiś czas czytał „Herolda”, ale akurat te artykuły, które go poprzednio interesowały, nie zaktualizowały się. Wylączył gazetę i złożył arkusz na cztery, żeby zmieścił się do kieszeni fotela. Znalazł tam jeszcze zestaw ulotek firmy organizującej te przejazdy.

— Zobaczmy, co tam nowego w domu — mruknął.

„Specjalne Strefy Ekonomiczne powstały przed ponad trzydziestu laty jako eksperyment społeczny — głosiła pierwsza z ulotek. — Miały zakończyć nieustanny i coraz ostrzejszy konflikt pomiędzy obywatelami krajów europejskich, którzy prezentowali dwie całkowicie sprzeczne i niemożliwe do pogodzenia filozofie i style życia: odmienne rozumienie roli państwa, obywatela i prawa. Dopóki nie ustalono, że obydwie te koncepcje będą realizowane równocześnie na różnych, wyłonionych plebiscytami, obszarach, konflikt owocował coraz silniejszymi spięciami społecznymi, aż do serii krwawych wydarzeń roku 2020. Obecnie, po ponad trzech dekadach, wiadomo, iż istnienie obydwu stref nie tylko nie jest już eksperymentem, ale że należy mówić o dwóch różnych Europach. Odmiennej, ale żyjących ramię w ramię w jednej strukturze państwowej. Dzięki temu obywatele każdej z nich mogą realizować wizje państwa takie, jakie są najbardziej zbliżone do ich światopoglądów, co

więcej, zawsze mogą wybrać, w jakim chcą żyć państwie. Obecnie wybór pomiędzy wolnością jednostki a bezpieczeństwem, pomiędzy indywidualizmem a kolektywizmem, pomiędzy wolnością gospodarczą a opieką ze strony państwa, a także pomiędzy prawem do ryzyka a prawem do bezpieczeństwa, pomiędzy realizowaniem prywatnych ambicji a budowaniem wspólnego dobra — nie jest już dla Europejczyków dylematem, a stale otwartą możliwością”.

* * *

— Bla, bla, bla — powiedział Norman. Przekartkował ulotki, ponieważ interesowało go coś innego. Co można teraz wwozić, co można mówić publicznie oraz jakie słowa, pojęcia i zachowania zostały ostatnio zakazane. Tylko że takich szczegółów nie dało się z ulotek dowiedzieć.

Były tylko zupełnie podstawowe ostrzeżenia:

„Pamiętaj! Na terenie Specjalnej Strefy Ekonomicznej nie wolno palić tytoniu w żadnych miejscach publicznych.

Pamiętaj! Zawsze noś przy sobie kartę identyfikacyjną i okazuj ją na każde wezwanie służb porządkowych. Żadne inne dokumenty nie są respektowane.

Pamiętaj! Nadużycie alkoholu w miejscu publicznym jest w Specjalnej Strefie Ekonomicznej przestępstwem.

Pamiętaj! Opowiadanie dowcipów dotyczących polityki społecznej strefy, problematyki płciowej, zdrowego stylu życia, religii niechrześcijańskich, kultur innych niż patriarchalna kultura zachodnia, przedstawiających w niewłaściwym świetle mniejszości i w jakikolwiek sposób dotyczących kobiet jest przestępstwem!

Pamiętaj! Osoba samcza oskarżona o molestowanie seksualne musi przedstawić dowody swojej niewinności.

Pamiętaj! Jakikolwiek kontakt fizyczny o podtekście seksualnym z kobietą, która w dowolnej formie i w dowolnym momencie nie wyrazi lub nie podtrzyma pełnej zgody, to gwałt.

Pamiętaj! Jakikolwiek skorzystanie z jakiegokolwiek formy prostytutki to przestępstwo!

Pamiętaj! Użycie wyrażen, które mogłyby zostać uznane za opresywne, to przestępstwo!

Pamiętaj! Uznanie twojego zachowania za molestowanie seksualne zależy wyłącznie od subiektywnej oceny osoby molestowanej. Molestowanie może polegać na mówieniu, ostentacyjnym milczeniu, spojrzeniu, jakiegokolwiek formie dotyku, unikaniu spojrzenia, a także na wyzywającym stroju i prowokacyjnych grymasach twarzy”.

Wydrukowano tego ze cztery strony, ale to jedynie materiały dla nowicjuszy. I to jeszcze napisane przez idiotę. Prawda była taka: wszystko można, tylko trzeba znać sposób.

To tak jak z papierosami. Należy palić możliwie niechlujnie wykonane skręty albo tytoń w małych fajeczkach, udając, że to konopie. Tytoń był zabroniony, ale na gandzię patrzono przez palce.

Przepisy powinny być prostsze: Nigdy nie gadaj z obcymi. Nigdy nie zostawaj sam na sam z obcą kobietą ani dzieckiem. Nie podnoś oczu. Nie odzywaj się. Bądź niewidzialny. Cokolwiek robisz, lepiej, żeby nikt tego nie widział i nikt o tym nie wiedział. Nie ufaj do końca nikomu.

I najważniejsze: Jeżeli zechcą, to zawsze cię udupią. Jeżeli cię nie zobaczą, to może nie zechcą.

Dwa kilometry przed granicą Strefy numer 17 autobus wjechał na parking pod nocnym supermarketem. Uważny obserwator mógł się wiele dowiedzieć na temat sytuacji w Spestreku, czytając wywieszki o promocjach. W tych sklepach przeceniano towary, na które był w Strefie największy popyt. Niektórzy robili na tym jakieś interesy, ale jedyna zapłata, na

jaką mogli tam liczyć, musiałyby zostać pobrana w naturze.

Przebój każdego sezonu stanowiło konserwowe jedzenie. Wojskowe i turystyczne racje, liofilizowane albo zamknięte w puszkach. Po prostu można je schować i długo przechowywać. W sklepach Spestreku dostaniesz bez kartek niemal wszystkie podstawowe produkty. Chleb, kasze, makarony, ocet i produkty sojowe w kilku rodzajach. Większość rzeczy — w jednym tylko gatunku. Nabiał otrzymywano na kartki, ponieważ zawierał cholesterol. Podobnie mięso. Jeżeli było, to zazwyczaj mielone. Teraz okazało się, że z niejasnych powodów kibuce mają problemy z solą i cukrem. Zawsze doskonale szły przeróżne przyprawy. Sosy sojowe, mieszanki ziołowe, tabasco, różne marynaty i ostre sosy. Powód był prosty: za ich pomocą można zmienić jałowe, monotonne i dietetyczne żarcie w coś jadalnego. Władze z niezrozumiałych powodów patrzyły na to krzywo i czasopisma Strefy były pełne alarmistycznych artykułów o niebywałej szkodliwości wszelkich przypraw.

Doskonałym towarem pozostawał lepszy alkohol. Tania whisky, metaxa, rum i koniak stanowiły od niepamiętnych czasów zastępczą walutę, podobnie jak tytoń. Należało jednak kupować, mając na uwadze dwudziestokilogramowy limit przewozowy. Dlatego Norman nabywał zwykle tytoń do skrętów i koniak. Nie zapomniał też o słodyczach i owocach dla małego Kuby. W Spestreku owoce ograniczały się właściwie do jabłek i śliwek, a słodycze — do kilku lokalnych, dziwnych wyrobów. Niektóre Norman nawet lubił. Na przykład kulki z mleka w proszku albo pudrowe tabletki.

Na co dzień nie przepadał za robieniem zakupów, a zwłaszcza nie znosił kupowania w hipermarketach. Jednak tym razem miały one zupełnie inne znaczenie. Czuł się jak święty Mikołaj, szykujący się za kołem polarnym do misji. Jeżeli się pamiętało nieustanne kolejki, listy oczekiwania i talony w Spestreku, to zwykły supermarket zamieniał się w Sezam.

W Spestreku we wszystko, co się dało, zaopatrywano się na zapas.

Wydawało się, że powinien pamiętać, jak to jest, a mimo to niemal zapomniał o kawie.

Nie miał pojęcia, dlaczego brakowało tam rzeczy w rodzaju kawy. Tutaj, tuż za granicą, były dosłownie hałdy kawy pod postacią ziaren, proszku i granulatu. Całe Alpy i Himalaje kawy. Niektóre gatunki z pewnością w zasięgu portfela mieszkańca Strefy, którego zarobki sięgały równowartości niespełna stu euro. Nawet gdyby przyjąć, że wszyscy mają dostawać tylko najtańsze i najgorsze towary, ale za to dzielone sprawiedliwie, to i tak powinni mieć znacznie większy wybór. Skąd więc niedostatek kawy? Był jeden wzór ołówków, jeden wzór zeszytów, jeden typ żarówek, jeden gatunek pasztetu. A i tak wiecznie czegoś brakowało.

Niektórych towarów nie było, bo zostały uznane za niepoprawne politycznie. Nie zabraniano ich posiadania, ale nie pojawiały się w sklepach. A innych brakowało, i już. A to baterii, a to zapalek, a to butów.

Ledwo dopchał wyładowany wózek do automatycznej kasy. Towary na taśmę wykladał chyba z pięć minut. Przy samej kasie złapał jeszcze paczkę jednorazowych cienkopisów, jakieś orzeszki piniowe w soli, ostrza do maszynki do golenia i zgrzewkę baterii. Przypomniawszy sobie, że Kuba prosił go w sekrecie o czyste kostki pamięci, więc pognął jeszcze raz do działu elektronicznego, podczas gdy komora kasy zaczęła połykać jego sprawunki. Do autokaru zaniósł cztery wypchane torby z chitynowej biofolii, a zapłacił mniej niż zwykle za tygodniowe zakupy. Rozpiął dodatkowe komory swojej torby, zmieniając ją w tobole wielkości marynarskiego worka.

W Spestreku wszystko, włącznie z tandetnymi pisakami, zamieni się w skarby i sprawi komuś radość.

* * *

Podjechali do granicy około czwartej rano i okazało się, że trzeba będzie czekać. Wjazd do Strefy prywatnymi samochodami był zabroniony, w kolejce czekały jeszcze trzy autobusy.

Chodziło o wychowanie obywateli w upodobaniu do ekologicznego transportu zbiorowego, postanowiono więc, że sprawę załatwi zjawisko śmierci technicznej. Dopóki nie pokochają autobusów, nie będzie nowych samochodów. Nie licząc oczywiście tych, które przyznano ze względu na potrzeby i zasługi wnioskujących. Reszta mieszkańców Strefy spędzała pół życia, reanimując straszne mechaniczne zombie, czasem pochodzące sprzed ustanowienia stref ekonomii rozdzielczej. Jeden po drugim ponosili klęskę i, oplakawszy zardzewiałego trupa, ustawiali się w kilkusetmetrowych kolejkach do przystanku, wiedząc, że odtąd dystans dwudziestu kilometrów będą pokonywać w mniej więcej trzy godziny, a pralki do naprawy nie zawiozą już nigdy. Jeżdżono naturalnie na rowerach, ale po pierwsze, nie wszystko można tak przewieźć, a po drugie, w Polsce od października do kwietnia podróżowanie w ten sposób wcale nie było zabawne.

* * *

Od strony imperialistycznej, patriarchalnej Europy, granica była zwykłym parkingiem i budką ozdobioną jedną flagą polską i jedną unijną; w budce siedział policjant, na wypadek gdyby ktoś go potrzebował. Od strony postępowej, skarbów ekonomii rozdzielczej chroniły trzy rzędy siatki, szlabany, betonowe zapory i pas zaoranej ziemi najeżonej betonowymi blokami, a podobno także naszpikowanej minami przeciwpiechotnymi.

Utopia potrzebowała ochrony nie tylko przed szkodliwą i dekadencją ideologią, ale także przed mafią, narkotykami, przemocą w szkołach i rodzinie, niezdrowym stylem życia i terroryzmem, właściwym dla zgniłej części Europy.

Czekali ponad dwie godziny. Stojący przed nimi autobus pochodził ze Strefy i przywoził kibiców z wycieczki do innego Spestreku, może gdzieś w innej części kontynentu. Wszystkich pasażerów wyprowadzono do rewizji osobistej, a stary, poobijany autokar armia ludzi w szarych uniformach rozbierała dosłownie na części.

Szczeptały psy, cały betonowy plac zalany był jaskrawym, rtęciowym blaskiem reflektorów. W górze łopotały pasiaste flagi o barwie tęczy.

Nie wolno było wysiadać. Norman z nieprzyjemnym uczuciem kręcenia w żołądku patrzył na kobietę w stalowoszarej bluzie, z tęczową opaską na rękawie i w berecie ściągniętym na jedno ucho, pilnującą drzwi od ich autokaru. Z jej ramienia wisiał na pasie drogi, niemiecki pistolet maszynowy.

* * *

Do odprawy stawało się w długim, wąskim pomieszczeniu, wzdłuż rzędów metalowych stołów, pod ostrym światłem reflektorów.

Najpierw badano dokumenty.

— Nazwisko osoby? — spytała z nienawiścią umundurowana urzędniczka. Niedobrze. Kobiety w służbach mundurowych Spestreku były zaciekle, ideowe i zazwyczaj nieprzekupne.

Podał.

— Imię osoby?

— Norman.

— Tożsamość płciowa osoby?

Dawno się oduczył jakichkolwiek żarcików. Były one traktowane z wyjątkową agresją. Podejrzał, że funkcjonariuszki po prostu nie rozumiały żadnych dowcipów i za każdym razem obawiały się, że są obrażane.

— Mężczyzna.

— Nie ma takiej kategorii. Jest osoba samcza albo kobieta.

- Osoba samcza.
- Orientacja seksualna?
- Hetero.

Urzędniczka pokręciła głową. Albo z dezaprobaty, albo ze zdziwienia, że ktoś może wykazywać tyle tupetu.

- Cel przyjazdu?

I tak bez końca. Przyzwyczał się. Nie był nowicjuszem. Odpowiadał mechanicznie. Błąd popełnił przy pytaniu o tożsamość karnacyjno-etniczną. Już zdążył o tym zapomnieć, bo to była kategoria, z którą nigdy nie zetknął się poza Spestrekiem, a w takiej formie nic podobnego nie istniało nawet za jego czasów. Odpowiedział: „polska”, ale nie o to chodziło. „Europejska” też nic nie dała, bo okazało się, że urzędniczka chce w gruncie rzeczy znać kolor skóry, ale nie wolno jej tego powiedzieć. W jego świecie nie istniały żadne urzędowe okoliczności — poza ustalaniem rysopisu poszukiwanego albo zaginionego — w których ktokolwiek by o to pytał, więc odpowiedział bezradnie: „biała”. Od urzędniczki dowiedział się tylko, że „nie ma takiej kategorii”. Znudzonego tonem poinformowała go, że jest kaukaska albo afroeuropejska, albo orientoeuropejska, albo indoeuropejska, albo rdzenna amerykańska, albo rdzenna afrykańska, albo magrebskoeuropejska. Nie miał pojęcia. Wybrał kaukaską, ale okazało się, że jego poprzednia wypowiedź sprowokowała przechadzającą się opodal szefową strażników.

— „Biała! Biała!” — przedrzeźniała go, wyraźnie rozjuszona, chwytając się ostentacyjnie za kaburę. — Przyjeżdżają takie faszystowskie szowinistyczne świny! Bez kultury! Chamstwo takie się zjeżdża!

Faszystowskie świny odebrały kartę identyfikacyjną i powlokły swoje toboły na żer celników. Gruby, wąsaty jegomość w poplamionej szarej koszuli nie umiał sobie poradzić z zapięciem gekko, więc Norman musiał go wyręczyć.

— Pomarańczki! — ucieszył się celnik. — Jedna dla ciebie, misiu, jedna dla mnie. Jedna dla ciebie... Nie podoba się? Climy kurteczkę?

To nie były pomarańczki, tylko persymony, ale celnik najwyraźniej nie był botanikiem.

Norman dyskretnie przesunął w jego stronę jedną z toreb, zawierającą pół kilo kawy, paczkę tytoniu i małego Johny Walkera oraz wielką, choć marną czekoladę z przeceny, kiść bananów i sześć baterii. Wykonawszy ten manewr, cofnął się delikatnie, pokazując, że nie chce mieć z tą torbą nic wspólnego.

Lekkie skrzywienie warg oznaczało, że bóstwo nie zostało usatysfakcjonowane ofiarą.

Otakowawszy krągłą posturę przeciwnika, sugerującą upodobanie do hedonizmu, Norman zastosował chwyt Zakazany Owoc. Machinalnie dołożył puszkę chałwy (cukier to biała śmierć) oraz drugą, z konserwowym boczkem, pochodzącą z wojskowej racji arktycznej. Na pyzatej twarzy funkcjonariusza pojawił się lekki uśmiech. Wówczas Norman wykonał ostatni ruch i lekko odpiął gekko kieszeni na klapie torby. Oczom celnika ukazał się wążutki brzeg kolorowego pisma, z wyraźnie widocznym na grzbiecie tytułem „Laskożerca”.

Przeciwnik poruszył dwukrotnie brwiami, poddając partię, i rozejrzawszy się, przepięknym, iluzjonistycznym ruchem zwinął pismo pod blat, mówiąc: — Konfiskata.

Ostatni urzędnik, zaopatrzony w pieczętkę, został łatwo pokonany za pomocą banknotu o wartości pięciu euro, zapomnianego w okładkach karty identyfikacyjnej.

* * *

Odjeżdżając spod granicy, pasażerowie wyglądali jak cudem ocaleni z katastrofy lotniczej. Zaczęto rozmawiać, ktoś częstował whisky, kierowca włączył muzykę.

Norman patrzył na oświetloną blaskiem porannego słońca Strefę. Wracał do domu. Za oknem ciągnęły się takie same lasy jak po drugiej stronie, jakieś puste połacie, pola. Droga

połatana i węższa. Widział billboardy, ale mniejsze, rzadziej rozstawione, nieruchome i na ogół bez własnego oświetlenia. Strefa była wolna od infantylnego natręctwa reklam. Plansze prezentowały plakaty o treści społecznej, politycznej i zdrowotnej.

Na przykład piękne zdjęcie w sepii, co najmniej z początku dwudziestego wieku, przedstawiające maleńkiego i chudego Azjatę, który w podkasanych gatkach brnie po kolana w wodzie, taszcząc na barana wąsatego grubasa w białym mundurze. I slogan: BIALI MEŹCZYŹNI MAJĄ ZA CO PRZEPRASZAĆ.

Albo wzdęta padlina i napis: MIĘSO TO ŚMIERĆ.

Albo młoda kobieta z karabinem na tle tęczy i zagadkowe hasło: NASZA STORIA!

Oraz stare, które doskonale pamiętał: NAJPIERW INNI, POTEM TY!

Minęli jakieś puste pole, porośnięte rzadko drzewami, i Norman uświadomił sobie, że to musi być chyba las jesionów, który sadził jako dziecko. Z niezrozumiałych i tajemniczych powodów władze nagle uznały, że sosny nie są ekologiczne, i las, który rósł tu od niepamiętnych czasów, wycięto do zera, po czym wysłano uczniów, żeby sadzili drzewa poprawne: jesiony, buki i graby.

Przyjęło się pięć.

Od tej pory dziką pustać pod miastem, zarośniętą burzanem, nazywano „lasem jesionów”.

Kiedy dojechali na miejsce, spowite szarym brzaskiem miasto wyglądało na kompletnie puste. Wydało się Normanowi mniejsze, bardziej krzywe i zapyziałe, niż pamiętał, a równocześnie w jakiś bolesny sposób znajome. Znał tu każdy kamień, nie zmieniło się nic, żadna budka z warzywami nie została odmalowana. Co pękło dziesięć lat temu, nadal było pęknięte, a co się wykrzywiło, pozostało krzywe.

Ulice obwieszane były tęczowymi flagami — święto.

Na pustym dawnym Starym Rynku, obecnie placu Che, wciąż stała pokraczna rzeźba, zwana „gilotyną”. Posiedział trochę na ocembrowaniu zabytkowej studni, pałac papierosa. Po strefowemu: schowanego w dłoni, pociąganego ukradkiem, mimo że nigdzie nie było żywego ducha. Lodowaty wiatr gonął po pustych ulicach papiery.

Podniósł się i, wlokąc na kółkach swoją olbrzymią torbę, rozciągniętą do granic objętości, poszedł do katedry.

Musiał sprawdzić, czy nie przewidziano na dziś jakiegoś wydarzenia chrześcijańskiego, bo to by znaczyło, że mama będzie koniecznie chciała tam iść, a nie miał kluczy. Przeczytał grafik przybity do drzwi świątyni i dowiedział się, że w Centrum Kultury Duchowej najbliższe wydarzenie poświęcone tradycji chrześcijańskiej odbędzie się dopiero w przyszłą środę, szóstego maja, i będzie to wykład o roli kobiet we wczesnych gminach chrześcijańskich oraz misterium w wykonaniu zespołu Kultury Duchowej Multi-Kulti: „Tradycyjna tzw. Msza Wielkopiątkowa”. W nadchodzących dniach miało się odbyć jedynie czytanie „Pieśni o śmierci Alego”, Dzień Gai i „Tańce w kręgu dla kobiet”, „Bębny wedyjskie i transowe” oraz „Śra Baśwaśwara”, cokolwiek to oznaczało.

* * *

Na rynek za jego plecami wjechały trzy ciężarówki i dwie kanciaste furgonetki o barwie ołowiu, ozdobione czerwonym labrysem na drzwiach.

Ujął torbę i pociągnął ją za sobą, starając się nie gapić i iść jak najspokojniejszym krokiem. Grupka ludzi, która zeskoczyła z ciężarówek, zaczęła zdejmować z pak naręcza transparentów i rozkładać je, opierając o rurki ustawionej pod „gilotyną” trybuny. Słyszał rozmowy i pokrzykiwania po polsku, francusku i chyba włosku, a potem hurgot odsuwanych drzwi furgonetek i tupot ciężkich butów. Opiekunowie i opiekunki rozstawiali patrole wokół placu.

Skręcił w pierwszą lepszą uliczkę, czując, że ognik papierosa parzy mu wewnątrz dłoni, i

dopiero za rogiem wrzucił go do kanału.

Usłyszał krzyki i śpiewy. W stronę rynku schodziły się grupki młodzieży. Długie włosy u chłopców, krótkie fryzury albo łyse glace u dziewcząt. Opaski, chustki i bandany w barwach tęczy. Pacyfy, labrysy. W kilkunastoosobowej grupce wyróżniała się tańcząca dziewczyna, ubrana w białe gieźło, z kwiatem kalii za uchem i pogrzebowym wieńcem na szyi.

Uskoczył w zaułek, żeby ich przepuścić. Nie miał pojęcia, o co chodzi, ale też nie chciał się dowiedzieć.

Zatrzymali się w ciasnej uliczce pomiędzy ocalałymi starymi kamienicami i zaczęli coś skandować. Akurat na wprost miejsca, które sobie wybrał. Wszedł w głęboki portal bramy i oparł się o zablokowane drzwi. Nie rozumiał słów. Wrzeszczeli jeden przez drugiego.

Norman czekał cierpliwie. Nowicjusz próbowałby przejść przez taką grupkę, „bo co gówniarze mogą mi zrobić i w ogóle nikogo nie zaczepiam”. Nie, przyjacielu. To, czy zaczepiasz, czy nie, zależy wyłącznie od subiektywnej oceny osoby zaczepianej. A ich było z piętnaścioro. Jeżeli poradzisz sobie z piętnastoma przeciwnikami, to i tak awantura ściągnie tu blacharnię. A wtedy dowiesz się z rozczarowaniem, że bynajmniej nie przyjechali ci na pomoc.

Nagle ktoś zaczął śpiewać. Inni natychmiast podchwycili, skandując zachrypłym chórem, najwyraźniej darli się tak od paru godzin.

— Doktorze! Doktorze! Wydłub mi z cipy tę żabę! Doktorze! Doktorze! Bo muszę już iść na zabawę, um pa pa! Um pa pa!

„Dziękuję — pomyślał spokojnie Norman. — To właśnie Szwejk nazywał zbałwanieniem do kwadratu. W końcu im odwaliło na amen”.

Usłyszał blaszany łomot — skakali po karoserii jakiegoś nieszczęsnego weterana szos. Sekurit posypał się z chrzęstem na bruk, zawył staroświecki alarm.

Wreszcie ruszyli dalej, wrzeszcząc z uporem idiotyczny kuplet. Od strony rynku rozległ się taki sam zaśpiew, więc obie grupy wybuchły opętającym entuzjazmem. Podniósł torbę i poszedł w swoją stronę.

Kolejna grupka przecięła mu drogę dwie przecznice dalej. Począł spokojnie, aż przejdą. Ci na szczęście nie śpiewali o doktorze, co przyjął z ulgą, bo miał wrażenie, że kretyńska melodyjka pozostawiła mu siniaki na mózgu. Wykrzykiwali rymowane hasła. Skąd tyłu tu zapaleńców? W mieście nigdy nie było za dużo młodych ludzi, a już na pewno tłumów działaczy. Siłę Strefy stanowiły starsze pokolenia. Życzyły sobie, żeby ktoś dał im pracę, wszystko za nich załatwił i zdecydował, a w zamian chcieli mieć zakładowe mieszkania, spokój, lekarza i pensję, która wystarczy na butelkę kartoflanki, chleb i smalec. Resztę mieli gdzieś. Więc skąd nagle te entuzjastyczne ryki?

— Rostock, Lyon! Nasz ci on!

Co to niby znaczy?

Osiedle Normana składało się z wyglądających jak kostki szarego mydła trzypiętrowych blokhauzów, pomalowanych burą i fioletową farbą w kształty mające przypominać fasady renesansowych kamieniczek. Było paskudne, a zarazem w jakiś sposób wzruszające i przytulne. Minał kępę krzaków bzu, kryjących trzepak, z którego zleciał jako pięciolatek, garaże, o które odbijał zeszmąconą piłkę, szpital psychiatryczny z pruskiej czerwonej cegły, otoczony parkiem, gdzie się przekradał i w krzakach za boiskiem poznał tajniki kobiecej anatomii.

Był w domu.

Na własnym osiedlu — tu nic mu już nie groziło.

Szły całą szerokością ulicy Nerudy.

Młodzieżówka Europejskiego Frontu Równości. Grupka liczyła najwyżej osiem dziewczyn w różnym wieku, w spodniach z demobilu i ciężkich wojskowych butach, z tęczowymi opaskami na ramieniu. Norman zrezygnował z holowania bagażu na kółkach i przewiesił pas

ciężkiej jak nieszczęście torby przez ramię.

Facet z krótkimi włosami, w przeciwsłonecznych ray-banach, piaskowych spodniach i w skórzanej kurtce.

Zobaczyły go.

— Te! Maczo, z malinową sraką! Szukasz tu łatwych lasek?

Przyspieszył kroku. Co jest, pełnia? Zaczęli wreszcie dodawać LSD do wody?

— Du Mannenschweine! Komm Sie hier!

— No chodź, chodź. Może spróbujesz ze mną, świniu? Pokaż, jaki z ciebie samiec!

Jeżeli trzeba się bronić przed wieloma przeciwnikami naraz, najlepiej znaleźć jakiś kąt albo zaułek. Ciasnota sprawi, że napastnicy będą sobie przeszkadzać. Należy pamiętać, że nikt ci nie pomoże, więc szkoda sił na wołanie o ratunek. Trzeba mieć osłonięte plecy. Nie dać się zwalić z nóg. Jeżeli już przewrócą, chronić organy wewnętrzne. Nerki, golenie i żebra można spisać na straty, ale chronić brzuch i głowę. A dopóki się stoi, zacząć od najsłabszego i od razu wyeliminować. Atakować oczy, grdykę, nasadę nosa. Jeżeli napastnicy to kobiety, bić w biust. Na zmianę walczyć i uciekać.

To nauki z dzieciństwa w Specjalnej Strefie Ekonomicznej. Strefo-Lin.

Ale nie z dwudziestokilogramową torbą, po nie przespanej nocy, na otwartej przestrzeni.

Zobaczył kątem oka szybki ruch i zatrzymał się w pół kroku. Kawał betonu rozbryztał się niecały metr przed nim.

— No chodź tu, panie i władco! Boisz się kilku dziewczyn?

— Komm Sie, Imperialisten Schweine! Mistvieh!

Dwie czy trzy ruszyły w jego kierunku truchtem. Zauważył, że jedna ma w dłoni elektryczny taser, druga teleskopową pałkę, którą rozłożyła z metalowym trzaskiem.

Zdjął okulary i schował do kieszonki w torbie.

Nie wiadomo skąd rozległ się długi, wibrujący gwizd. Jedna z dziewczyn zatrzymała się. Okno na parterze najbliższego bloku otworzyło się i niespiesznie, pomagając sobie nawzajem, wyszło przez nie dwóch mniej więcej trzydziestoletnich, rudych jegomości, ostrożnie, żeby nie podeptać matce malw. Byli identyczni, z tym że jeden miał na sobie majtki bokserki w prosiaczki, a drugi niebieskie dzinsy. Obaj założyli czarne koszulki i rozsznurowane wojskowe buty.

Bracia Madej.

Otworzył się garaż i wymaszerował z niego zbudowany jak gladiator, ostrzyżony na jeża blondyn, bawiąc się łańcuchem napędowym od motocykla.

Amoniak.

Przed dziewczynami z hukiem eksplodowała ciśnięta z wysoka duża butelka, pewnie ze strychu, tam przecież mieszkał Wodzu. Stały, ale nie musiały obawiać się następnych pocisków, bo Wodzu z pewnością biegł już po schodach.

Wodzu...

Gdyby w Sevres zamierzano postawić wzorzec Szowinistycznej Męskiej Świni, powinno się poprosić Amoniaaka o pozowanie. Pięćdziesiąt lat temu uznano by, że jest uderzająco przystojny. Wyglądał jak dwumetrowa kolumna żyłastych mięśni. Nawet szczęki miał umięśnione. Nie brał żadnych sterydów. Od dziecka po prostu ćwiczył w swoim garażu, za pomocą cudaczných przyrządów, które zrobił z rurek od rusztowania i betonu. Jeśli nie majstrował przy swoim junaku, to ćwiczył.

Albo grał w szachy.

Kto go znał, mógł zauważyć, że kanciasta twarz Amoniaaka i blond język oprawiają dobre, szare oczy, ufne jak u dziecka. W tej chwili jednak przypominały strzelnice bunkra.

— Spierdalać, kurwy — rzucił Amoniak sucho, bez nadmiernej agresji.

— Chodź, Erika — powiedziała jedna z dziewczyn.

— Weg! Heraus! Zabitę ta fasisten szwina!

— Idziemy, nie będziemy sobie brudzić rąk.

Blondynka z taserem splunęła w stronę Normana, ale nie przekroczyła granicy wyznaczonej na asfalcie przez szklaną tłuczkę. Cofnęły się.

— Dzień dobry, Norman — powiedzieli bracia Madej chórem.

Norman pospiesznie otworzył kieszonkę torby i czym prędzej zasłonił oczy ray-banami.

— Wiking... — zdziwił się Amoniak. — Nie wiedziałem, że to ty. Wróciłeś, debilu?

— Nie. Przyjechałem do mamy. Amoniak, zawołasz gdzieś chłopaków na wieczór?

— Straciłem coś? — zapytał Wodzu, wychodząc z bramy. — Słuchajcie, mam halucynacje. Wydaje mi się, że tak pod słońce, to widzę jakby Wikinga...

— Wodzu, pijemy wieczorem u ciebie?

— Jak dragoni, szlachetni panowie. Wyciągam ostatni smalec z piwnicy. Będziemy czcić Konstytucję, panowie szlachta. Wiwat Trzeci Maja! — To ostatnie Wodzu wyrzycał zapewne na użytek odchodzącej bojówki.

* * *

Na schodach wyraźnie pachniało pieczenia i ciastem. Było w tym coś rozczulającego. Matka zignorowała obolały kręgosłup i wystąpiła gdzieś mięso; zaoszczędziła talony i zdobyła jajka; załatwiła cukier. Chciała przyrządzić coś dobrego na powitanie.

Mieszkając w „prawopółkulowej” Europie już dziesięć lat, Norman jadał potrawy, których tutaj nie potrafiły nikomu nawet opisać. Znał osiem gatunków krewetek, lubił smardze i trufle. Towarzyszyło mu jednak przekonanie, że jego matka jest niedościgłym mistrzem kuchni. To żadna sztuka ugotować potrawę, przed którą goście padną na twarz, kiedy dysponuje się wszystkim, co tylko planeta Ziemia umie urodzić. Mama miała jedynie mielone ochłapy wołowiny, jajka, cebulę i ziemniaki. I niewiele więcej. I mimo to była w stanie sporządzić setki potraw. Na ciepło i na zimno, wykwintnych i codziennych, tradycyjnych i eksperymentalnych.

Powitaniom towarzyszyła biegania, wrzaski i nawoływania.

— Synku!

— Wujek Norman!

— Jak ty wyrosłeś!

— No, chodź tu, siostra.

Kuba okazał się już zdecydowanie zbyt dorosły, żeby siedzieć wujkowi na kolanach. Zresztą nie było tu takiego obyczaju. Wszyscy się przyzwyczajają do podobnych czułości, a potem ktoś obcy zobaczy i doniesie. Koniec. Molestowanie seksualne.

Norman spędził nad herbatą i szarlotką najwyżej dziesięć minut, kiedy zorientował się, że chłopak co chwila strzela oczami w stronę rozpiętej na wszystkie komory i wypchanej do granic możliwości torby. No, bo kto przyjeżdża z takim bagażem na trzy dni?

Norman zlitował się i zawlókł swój toboł do salonu, znów czując się jak święty Mikołaj.

— Mam dla ciebie różne rzeczy — powiedział Kubie. — Ale najpierw wyjmiemy jedzenie. Wszystko jest pod spodem.

Jedzenie wcale nie było nieciekawe. Najgłupsze rzeczy wywoływały entuzjazm.

— Mamo! Wujek przywiózł żółty ser! I kiełbasę, i szynkę! Mogę kawałek?

— O Boże, sól i cukier! Skąd wiedziałeś, synku!

— Nie wiedziałem. Kupiłem na głupa, bo wystawiali w sklepie pod Strefą. Co, to teraz nagle soli nie ma?

— Oj, bo podobno szkodzi na serce. Teraz walczą z chorobami serca. Niby sól jest, ale tyle, co kot napłakał. Kolejki aż na ulicę. Mamy jeść warzywa na parze. Poczekaj, aż Gerard przyjdzie. Od niego się nasłuchasz. Gotuję mu na parze cukinie i marchew, ale i tak będzie kręcił nosem.

— To mój brat przyjdzie na obiad?

— Tylko się nie kłóćcie, proszę.

— Jemu to powiedz.

— Ile ja czasu już „krakowskiej” nie widziałam! Och, przyprawy! Kupiłeś curry! I paprykę! I vegeta!

— Mamo, zobacz: musztarda! A co to jest?

— Taki krem z czekolady.

— Szampon! Jak pachnie!

— Długopisy! I baterie!

Prezenty dla małego Norman wyciągał po kolei z drżącym sercem. Dzieci są takie skomplikowane. Starał się, jak mógł, ale może nie trafił? A dla chłopaka to jedyna okazja na spełnienie różnych drobnych marzeń. Na pewno od miesiąca wyobrażał sobie magiczne skarby, które przywiezie wujek.

Siedzieli w maleńkim pokoju, obwieszonym reprodukcjami malarstwa marynistycznego i rysunkami żaglowców. Wśród modeli statków, klejonych przez Kubę z benedyktyńską cierpliwością z kawałków tektury. Profesjonalny model w pudle ozdobionym hologramem omal nie przyprawił chłopaka o zawał serca.

— Tu masz jeszcze farby i kleje, a tu — komplet piratów i marynarzy królewskich. Możesz z niego zrobić okręt marynarki albo piracki. W pudełku jest też kostka pamięci. Jak ją załadujesz do tabletu, to będziesz miał encyklopedię wiedzy o żaglowcach. Rysunki, przekroje, nawet szanty. Wszystko.

— A, wujku, wiesz, że ja teraz należę do Tęczowych Wojowników? Zapisali całą klasę. A nasza przodowniczka to mówi, że jak ktoś będzie dobry, to potem przyjmą go może do Greenpeace i będzie pływał! I mam już mundur!

— A co wy tam robicie?

— Ćwiczymy zadymy i wchodzenie do elektrowni atomowych. Zbudowali nam takie płoty i wszyscy robią zadymę. A jeden z nas w takiej specjalnej koszuli musi wbiec do środka, a inni przebrani za imperialistów go łapią. A jak mu się uda, to wygrywamy. Elektrownia zepsuta!

— A po co to robicie?

— No, żeby walczyć z imperialistami. Bo te elektrownie to pożerają tlen i wszystko trują. A na morzach to oni wylewają ropę i zabijają wieloryby biskajskie.

— A po co?

— No jak to? Oni są chciwi, wujku. Wszystko robią dla ropy.

* * *

Matka poszła się położyć, a Kuba pobiegł z nową piłką na podwórko. Brat z siostrą usiedli w kuchni przy butelczce jarzębiaku i kabanosach z dzika.

— Zapisałaś dzieciaka do jakiejś bojówki?

— A myślisz, że pytają? Wiesz, co by się działo, jakbym odmówiła? Nie podoba mi się to. Faszerają go bez przerwy propagandą. Tresują.

„Likwidują skutki typizacji płciowej”. Zwalczają postawy „indywidualistyczne”. Wmawiają mu poczucie niższości, bo jest chłopcem. Gorszy, głupszy, słabszy psychicznie, egoista, analfabeta emocjonalny i tak w kółko. I co mogę zrobić? Państwo wie lepiej. Norman, nie męcz mnie dłużej, wiesz coś o Grzešku?

— Zero.

— Czyli znowu nic.

— Zero to nie jest nic, Martyna. Mój detektyw mówi, że jego nie ma po naszej stronie. Dałem mu markery DNA Grzeška, wszystkie parametry. Nie ma człowieka. Jakby stąd nie

wyjechał.

— Ale ja wiem, że wyjechał — Martyna włączyła szumiący nawiew w okapie nad kuchenką i zaczęła mówić szeptem. — Zapłacił takiemu jednemu, który przerzuca ludzi na Południe. Potem miał się zarejestrować i od razu skontaktować z tobą. A kiedy tylko miałby pracę i jakiś kąt, ściągnąłby mnie i Kubę. Coś się musiało stać.

— A może on nie chce, żebyś wiedziała, gdzie jest?

Grzesiek? Człowieku, ty wiesz, jak myśmy się kochali? Jak on mnie kochał? Gdyby mnie nie miał, tysiąc razy wyskoczyłby przez okno. Czasami godzinami sobie opowiadaliśmy, co będziemy robić, jak się wyrwiemy ze Spestreku. Nie zrozumiesz, jak ludzie są blisko, kiedy mają cały świat przeciw sobie. Ja wiem, że coś się stało.

— Ale co?

— Nie wiem, może go złapali? Norman, tu się robi coraz gorzej. Wszyscy donoszą, szpiegują. Ludzie znikają, są przesiedlani do innych Spestreków.

— Wyciągnę was. Spłacę twoje studia... Pokręciła głową.

— Spróbuj zabrać mamę. Ale ona się nie zgodzi.

— Dlaczego?

— Pomaga mi przy Kubie. Ma tu emeryturę, mieszkanie, bezpłatną opiekę medyczną, gównianą, ale zawsze. Boi się przeprowadzać. Całe życie tu mieszkała. Nie zechce być na twoim garnuszku. A ja muszę czekać.

— Na co?

— Aż go puszczą. Albo ucieknie, albo nie wiem co. Ktoś może się czegoś dowiedzieć i jak się wtedy znajdziemy, jeżeli ja będę tam, a on tu? Nie chcę bez Grzeška. Albo oboje wyjedziemy, albo oboje zostaniemy w Spestreku.

— A przez Gerarda nic nie można załatwić?

— Idź, przestań! Ten to by sam na niego doniósł. Nienawidził go.

— Za co?

— Bo Grzesiek to był facet! Nie takie homo — niewiedomo, jak oni chcą.

„Jak ty moożesz!” — próbowała imitować głos brata. — „To patriarchalna świinia! Gotujesz mu obiadki!” Knur obleśny!

* * *

— Aleś zasmrodziła całą klatkę! — wołał Gerard od drzwi. — Pierwszy Maja, a u nas śmierdzi opalaną padliną! Bo mój brat kapitalista przyjechał i musi mieć swoją zdechliznę. Wstyd na cały dom.

— No, cześć — zwrócił się do Normana. — No nie — oświadczył na widok wyciągniętej dłoni. — Tu trzeba się witać serdecznie. Jesteś w Spestreku.

Po czym przywitał się serdecznie, jak stara ciotka, przytulając policzek do policzka i wysyłając w powietrze udawane pocałunki.

Wyraźnie przytył, a długie włosy ustąpiły miejsca gładzi czoła, które wysforowało się do przodu, wypierając loki na tył czaszki.

Pierwsze, co zrobił, to ocenzurował zabawki.

— Po co ci taki stary okręt? To były czasy patriarchy. Nie mógłbyś sklejać modeli autobusów albo zwierząt, jak twoi koledzy? Czego to cię nauczy? Musisz koniecznie — to było już do Normana — wyjeżdżać z tą swoją typizacją płciową? Co to jest?

— Załoga.

— Może mi wytłumaczycie, w jaki sposób te figurki podkreślają równy status płci? Poza tym tu są armaty i szable. Uczysz dziecko przemocy?

— Cześć, a nawet większość piratów to kobiety — wypalił Norman. — Widzisz, że mają kolczyki i chustki na głowach? To kobieca załoga, polująca na morzach na męskie statki. To

nie przemoc, tylko walka o równouprawnienie.

To było niewiarygodne, ale Gerard uwierzył. Norman popatrzył na niego ze zgrozą.

Usiedli do stołu, ale miła atmosfera nie przetrwała długo.

— No, co tam u ciebie? — zagaił Gerard. — Awanse, pieniądze? Nowe samochodziki? Zbudowałeś więcej Makdonaldów i supermarketów? Opowiedz nam, ile to zarabiasz!

— Dziękuję, nie narzekam — odpowiedział Norman. — A co u ciebie? Uszyłeś więcej koszulek dla moich Makdonaldów? Może twoi niewolnicy zrobili więcej szczotek do supermarketów?

— Chłopcy! — zgromiła ich matka.

— On zaczął — wybąkał Norman, czując się, jakby miał siedem lat.

— Mamo! Posoliłaś to?!

— Tylko odrobinę, Gerciu. Przecież tego się inaczej jeść nie da.

I pewnie kroiliłaś tym samym nożem, którym dotykałaś padliny?! Mamo, dlaczego nie nauczysz się wreszcie gotować? Posłałem cię przecież na kurs kuchni wegańskiej i wegetariańskiej! Niedługo przyrządzisz dinozaura! Mamuta! I dziecko to je! Proszę. Padlinę posypaną białą śmiercią. I wszystko uperfumowane tymi śmierdzącymi proszkami. Nigdy nie wychowamy postępowego społeczeństwa! Czy wy nie znacie wyników najnowszych badań? Któregoś dnia wezmę to wszystko i wywalę.

— Nie drzyj się na matkę!

— O proszę, głowa rodziny się odezwała! Wielki biały ojciec! A ty dlaczego im to za każdym razem przywozisz? Cała lodówka tych gówien w kolorowych opakowaniach! Plastik jakies! Same konserwanty. Bo co?! Głodują?! Tu w sklepach jest wszystko, co potrzebne do zdrowego żywienia. Są kursy, są poradniki. Komitet wychodzi ze skóry, żeby wszyscy jedli prawidłowo. Ale nie, musi przyjechać dobry wujek z proamerykańskiej imperialistycznej Europy i wszystkich truć. W ten sposób nigdy nie zmienią nawyków żywieniowych!

— Nie chcesz, nie jedz. Żryj swoją szyszkę. Kto ci broni?

I tak w kółko. Przy kawie i szarlotce Gerard wreszcie się uspokoił i zaczął wszystkich namawiać, żeby poszli na rynek, na paradę miłości.

— Gerard — poprosiła matka. — Nie możemy chwilę posiedzieć jak rodzina?

— Nie rozumiecie, że to nie jest święto jakichś patriarchalnych umownych „rodzin”, tylko wielka tradycja? Gościmy młodzież z kilkunastu Spestreków.

— Skąd oni się tu wzięli? — zapytał Norman.

— Bo jest zjazd radykalnej młodzieży w Białymstoku, a część nocuje i świętuje w naszym mieście.

— Widziałem. Dwa razy omal mnie napadli w drodze z dworca.

— Pewnie ich prowokowałeś. Muszą się wyszumieć. Trzeba było nie dyskryminować całego świata przez setki lat. Wystarczy na ciebie spojrzeć — ogolony łeb, amerykańskie okularki. Symbolizujesz wszystko, czego nienawidzą: patriarchalną cywilizację zachodnią, całe to zakłamanie kapitalizmu, indywidualizm, imperializm, męskie testosteronowe zadufanie, nierówność. Oni tylko sięgają po sprawiedliwość! Zamknęliście nas w rezerwach i myślicie, że możecie spokojnie pożerać tę planetę? Już niedługo! Dzisiaj świętujemy nowe plebiscyty w Lyonie i Rostocku! Mamy nowe Spestreki, a niedługo cała Europa będzie nasza. Twoje miejsce jest w rezerwacie, mój braciszku. Jeszcze trochę zamieszek, parę zamachów bombowych i wasi też zrozumieją, że dość już tego! Nie zatrzymasz postępu!

— Jedyne sens waszego istnienia to tania siła robocza — wycedził blady ze złości Norman. — Szyjcie T-shirty i klejcie zapalniczki, wypalacie kości pamięci i skręcajcie długopisy taniej niż Chińczycy. Karmicie się naszymi podatkami, bo ktoś przecież musi na ciebie pracować, braciszku, kiedy budujesz utopię Platona. Takich pasożytów jak ty taniej utrzymywać w strefach niż na zasiłku. Ale nie trzymajcie siłą wartościowych ludzi.

— A kto kogo trzyma siłą? Każdy może wybierać!

— To po co wam te wszystkie pola minowe i druty kolczaste? Dlaczego Grzesiek nie mógł wyjechać?

— Ta świnia? Przecież uciekł! Uciekł i zostawił Martynę! Bo nie wytrzymał budowy lepszego świata! Nie zniósł równości! Bo tak samo jak ty nie mógł zrozumieć, że nie jest najważniejszy. My nie wierzymy w indywidualistyczną samoświadomość. To jest samowytworzony mit patriarchy. Nie ma znaczenia jakiś Grzesiek. Byli ważniejsi od niego! A on skorzystał ze wszystkiego, co mu daliśmy za darmo — z wykształcenia, opieki medycznej — i uciekł.

— Czyli nie mógł wam zapłacić na czas dość dużo kasy? A dlaczego nie mógł tu wytrzymać? Dlaczego przez dziesięć lat pracował cały czas jako brygadzysta? Na nic nie zasłużył? Przecież to był świetny fachowiec.

— Nareszcie mówimy konkretnie. Powtarzałem — u nas nie wystarczy jakaś tam fachowość. Liczy się sprawiedliwość. Awansuje ten, kto na to zasługuje. Byli lepsi albo zasługujący na afirmację. Kobiety, przedstawiciele mniejszości. Najpierw inni, potem ty. Ale on, oczywiście, nie potrafił tego zrozumieć.

— Jasne. Pamiętam. Całe życie do wszystkiego był ostatni w kolejce.

— Był głupi! Ja pracuję w zasobach ludzkich! Widziałem jego wyniki testów inteligencji!

— Grzeska? Przecież go znałem. Bystry, wykształcony, błyskawicznie kojarzył fakty...

— Mówię o prawdziwej inteligencji. Nie o tych prawopółkulowych, testosteronowych bzdurach, jak tak zwana logika. To wszystko są twory kulturowe. A widziałeś wyniki jego testów na inteligencję społeczną?! Emocjonalną? Na współpracę zespołową? Poczucie dyscypliny?! Świadomości grupowej?! To był debil! Jak każdy niewolnik testosteronu! Egoista! Tylko ja, ja i ja!

— Przestańcie! — zaprotestowała matka, a Martyna była blada ze złości i miała łzy w oczach. — Nie możemy zachowywać się jak ludzie? Gerard, nie jesteś na wiecu!

— O postępowe społeczeństwo należy walczyć w każdym miejscu i w każdym czasie — oświadczył Gerard. — Wszystko ma znaczenie polityczne. Ale w porządku. Mogę nic nie mówić.

Po dłuższej chwili spędzonej na dziobaniu szarlotki Norman spróbował opowiedzieć zabawną historyjkę, która przydarzyła mu się na Krecie. Matka i Martyna słuchały z ulgą i nawet zaczęły się uśmiechać. Gerard wytrzymał chyba ze trzy minuty.

— Martyna też była na pięknych wakacjach — oświadczył. — Załatwiłem jej wymianę do Spestreku pod Soczi. Zamiast nudzić się całymi dniami bezmyślnie przy basenie i pić alkohol, pracowała w zakładach montujących sprzęt AGD i miała najwyżej kilometr do plaży. A wieczorami były imprezy kulturalne, poznawała miejscowy folklor i uczestniczyła w wycieczkach autokarowych. I jeszcze mogła kupić doskonały odkurzacz z odrzutów. Było bardzo wesoło. Prawda, Martyna?

— Tak — odpowiedziała. — Bardzo wesoło.

Norman umilkł i napił się herbaty. Postanowił, ze względu na mamę i Martynę, za wszelką cenę nie dać się sprowokować. Gerard spojrział wreszcie na zegarek.

— Naprawdę nie obejrzyście parady? Będą transwestyci w pięknych strojach i występy muzyczne, i...

— Nie.

— Jak tam chcecie. Ja idę.

Wyszedł, a Norman zauważył, że dyskretnie zwinął z przedpokoju przygotowaną dla siebie reklamówkę z drobiazgami. Matka przetarła dłonią twarz.

— Dajcie mi kieliszek czegoś. I papierosa.

— Z nim jest coraz gorzej — powiedział Norman ostrożnie.

— Nawet nie pytaj...

Koło siódmej zabrał sekcję swojej pękatej torby, którą można było nosić na osobnym

pasku. Zawierała osobiste rzeczy, kosmetyczkę i olbrzymią butlę wódki zaopatrzoną w pompkę oraz trochę zakąsek w konserwach. Matka przeraziła się.

— Norman, dzisiaj nie wychodź. Jak jest ta ich manifa, to nawet tutejsi siedzą w domu. Lepiej się nie szwendaj.

— Mamo, nie idę na rynek, tylko do Wodza. Dwa bloki stąd. Pewnie u niego przenocuję.

— Tylko uważaj, proszę. I pozdrów Amonia.

* * *

Istnieją pewne zasady dotyczące imprez. Przede wszystkim nie wolno wrzeszczeć. Co jest ważniejsze — spontaniczne wrzaski czy sama możliwość spotkania? Kilka osób mówiących naraz to wystarczający hałas. W zasadzie spotkania towarzyskie są legalne, ale niemile widziane. Jedna skarga i nalot. A potem okazuje się, że ktoś przekroczył dozwoloną dawkę alkoholu, że palono tytoń; niby we własnym mieszkaniu wolno jedno i drugie, ale czy mieszkanie otrzymane od Strefy jest rzeczywiście prywatne? A może to już zgromadzenie?

Za tymi spotkaniami Norman tęsknił najbardziej. Miał po tamtej stronie znajomych, ale nie mógł znaleźć takiego poczucia wspólnoty i przyjaźni. Tutaj wszystkich łączyła wspólna niedola. Ten sam wróg. Te same poglądy. Kilku ludzi, którzy ufali sobie nawzajem, bo poza tym zawsze byli sami i zagrożeni. Nie wygłaszano żadnych: „No, co u ciebie słychać?” Tutaj rozmowy były kontynuacjami tych, które przerwano przy ostatnim spotkaniu. Na przykład pięć lat temu.

Siedzieli przy wielkim stole, który Wodzu zestawił z arkuszy grubej sklejk, opartych na składanych kozłach.

— Dobrze słyszałem, że pojawił się duch Wikinga?

— Cześć, Waldi! Przyniosłeś ropę naftową?

— To jest słynny białostocki bimber!

— Spadaj z tym! Dzisiaj pijemy wyborową, jak lordy! Wiking przywiózł. Można oślepnąć od tej twojej berbeluchy.

— Won z łapami. Bimber jest dla Wikinga, żeby pamiętał o swoich korzeniach.

— Dziękuję... jestem wzruszony.

Po paru kolejkach wyczerpały się lżejsze tematy. Zaczęto przeglądać wszystkich kumpli. Apel poległych. Ci, którzy wyemigrowali, właściwie już nie istnieli. Norman był jedynym znanym wszystkim wyjątkiem, który starał się za wszelką cenę odwiedzać Strefę. Pozostali woleli zapomnieć o niej raz na zawsze. Ktoś zanucił: „Co się stało z naszą klasą”.

— Człowieku, tu się zrobił już taki syf, że... Po co tu przyjeżdżasz?

— Dlaczego właściwie sami nie wyjechaliście?

— Nie każdy jest taki wariat jak ty. Kończysz osiemnaście lat i musisz zdecydować z dnia na dzień. Bez zawodu, z gołą dupą, bez roboty, pieniędzy... Daliśmy się nabrać na darmowe studia. I teraz — jasne, możemy wyjeżdżać — jak oddamy po pięć tysięcy euro za każdy rok akademicki. A ja się głupi cieszyłem, że bez egzaminów... A zarabiamy... Stryjek, ile my zarabiamy właściwie?

— Mniej więcej po osiemdziesiąt euro.

— Jak ty to właściwie przeliczasz?

— Towarowo. Według parytetu baterii.

— Czego?

— A na co mam przeliczać? Nasze żarcie to u nich jest pasza dla bydła. Na wódkę? Mam porównywać butelkę kartoflanki z tym nektarem, którym mnie zaraz uraczy Wiking? A bateria AA to jest bateria. Nasze wyciekają i mają krótszy żywot, ale bateria to bateria. Mógłbym jeszcze przeliczyć na żarówki, ale oni używają już innych. Zimnych. Wartych sto naszych.

— Dobra, to nie możesz oddać dwudziestu tysięcy bonów aprowizacyjnych? Przecież twierdzą, że to jest to samo.

— Nie są tacy głupi. Chcą w euro.

— Ale przecież nie wszyscy poszli na studia.

— Prawie wszyscy. No, Amoniak chciał jechać zaraz za tobą, to taki sam kozak, ale mu się matka rozchorowała. Limit czasu minął i do widzenia. Z kolei Madeja Brat się zakochał w jednej lasce, która nie widziała życia za Strefą, i dawaj się żenić. Już po zawodach. Molestowanie seksualne w małżeństwie. Puściła go w gaciach. Dwie córki.

— A Brat Madej?

Madejów nie znasz? Jak Madeja Brat nie jedzie, to Brat Madej zostaje. Co tu gadać. Wszyscyśmy myśleli, że jest czas, że się zdąży, najpierw trzeba okrzepnąć, czegoś się nauczyć, zdobyć jakiś fach i dopiero. Wydawało nam się, że jesteśmy cwani. Wiesz, jak to jest, jak się ma osiemnastkę. Kosmos czasu na wszystko. A teraz — dupa zimna, przyjacielu.

— Wiking, a co z tym twoim szwagrem?

— Nie ma.

— Jak to?

— Już wynająłem detektywa. Nie pojawił się.

— Oż w mordę. Znaczą wpadli. No to po klocach.

— To gdzie on teraz jest?

— Chodź pogadać — Amoniak wskazał głową wyjście ze strychu. Wyszli na płaski dach, nazywany przez Wodza ogrodem. Budynek suszarni, w którym mieszkał, ochrzcił zresztą „penthousem”.

— Wiking... tu się robi coraz gorzej. Zupełnie możliwe, że twojego szwagra rozwalili. Były już takie przypadki. Nic nie udowodnisz. Zniknął i cześć. Nie ma trupa, nie ma sprawy. Ale siorce na razie nie mów. Może jeszcze żyje. Mają jakieś obozy reedukacyjne... wiem to na pewno, bo Koniu tam wylądował. Już wyszedł, ale z nikim nie gada. Chyba mu odwaliło. W ogóle się nie odzywa.

— Koniu?!

— No, Koniu, Koniu. Kurde. Szkoda Grzeška. Znałem go. Naprawdę równy gość. Z tego względu twoja siorca nawet nie wie, że się w niej bujałem.

— Amoniak!

— A co? Sześć lat. Ostatnia normalna laska w Spestreku. Co za kobieta. Dlatego nie uwierzę, że Grzesiek mógłby mieć jej dosyć. Wiesz, że dla nich fakt, że mężczyźni nie podrywają kobiet przyjaciół, stanowi obrazę. Wydaje im się, że to chodzi o nie i że je uprzedmiotowiamy. Nie mają pojęcia, co to jest lojalność... Zimno. Chodźmy się napić. A jak tam twój braciszek?

— A ino mi z nim idź. Wstydzę się za niego. Przyszedł dzisiaj do matki z ryjem jak megafon...

— Wiedziałeś, że się dał wykastrować?

— Amoniak, co ty opowiadasz?! Odwaliło ci?!

— Normalnie, jak wieprz. To jest bardzo modne. Przedłuża życie, uwalnia cię od złego testosteronu, chroni od chorób i działa antykoncepcyjnie.

— Może chodzi o wasektomię?

— Nie, Wiking. Chodzi o usunięcie męskich hormonów płciowych. Wycięcie jąder. Całkowicie. Bierzesz potem tabletki z estrogenem, ale słabe, żeby ci cyc nie rósł. Masz pojęcie?

— Ale po co?

— Bo to jest SNAG. Miękki mężczyzna nowej ery. Nie chce być niewolnikiem złego testosteronu. Poza tym teraz awans murowany. Stał się prawie półkobietą. Wrażliwość mu, bracie, wzrośnie.

— Chodź, Amoniak. Teraz to ja się muszę napić. Ja chrzanię! Moja matka wie?

— Wszyscy wiedzą, Wiking.

* * *

Kładli się spać bardzo późno. Na noc został nie tylko Norman, ale i Stryju, i Waldi, który zasnął jeszcze przed zakończeniem kolacji. Bracia Madej i Amoniak wyszli razem, przy czym Brata Madeja trzeba było, niestety, nieść.

— Co tam łykasz, Wiking?

— Też weźcie. To jest lekarstwo na kaca.

— Jak to? Wynaleźli coś takiego, a ja nic o tym nie wiem?

— Teraz bierzesz niebieską i wypijasz pół litra wody albo mleka. A rano — czerwoną i jesteś zdrowy. Tylko trzeba przespać minimum cztery godziny.

— I nie będzie mnie łeb bolał?

— Łeb? Będziesz miał zero promili. Zostawię wam całe pudełko.

* * *

Rano wyszedł dyskretnie, nie budząc przyjaciół. Jak coś robisz w Strefie, to lepiej, żeby nikt o tym nie wiedział.

Kiedy chodził do liceum, Marianna była niezaprzeczną królową balu. Kochać się w Mariannie, to była rzecz banalna, pospolita i oczywista. I absolutnie skazana na porażkę. Dystans pomiędzy księżniczką a zwykłymi śmiertelnikami pozostawał tak monstrualny, że zmieniał zadurzenie w niemądrą dziecinadę, niczym miłość do gwiazdy filmowej. Wyglądała jak najpiękniejsza córka Morza Śródziemnego. Gdyby zagrała Kleopatę, taśmy z poprzednimi kreacjami aktorskimi uroczyście by spalono. Norman i tak dostąpił szczytów, bo udało mu się doprowadzić do tego, że spotykali się ukradkiem któregoś lata przez całe dwa tygodnie. A potem zламаła mu serce i, zdesperowany, nie mając nic do stracenia, wyjechał ze Strefy. Po jakimś czasie Marianna również wyemigrowała, ale do Paryża. Była naprawdę przeraźliwie, uderzająco piękna. Chyba jasne, że postanowiła zostać modelką.

Trafiła w moment, kiedy kreatorzy mody postawili na nowy typ urody. Potrzebowali bladych, anorektycznych blondynek o rozmazanych oczach i chudych palcach. Smągła, wysoka śródziemnomorska piękność, o migdałowych oczach, otulona w sięgający pośladków płaszcz czarnych włosów i królewski majestat, nie wzbudziła najmniejszego zainteresowania.

Wystarczył rok biedy i braku sukcesów, by pokonana, złamana księżniczka wróciła do Spestreku. Miała tu dach nad głową, jakąś pracę i nadal uważano, że jest piękna.

A teraz, po kilku latach, Norman mógł przyjechać do Strefy i w każdej chwili mieć swoją lewantyńską księżniczkę — za rajstopy.

Gdyby jej się wtedy udało, nie odbierałaby nawet jego telefonów.

Myślał o niej ciepło. Było mu jej żal. Uwielbiała mężczyzn, luksus i fatalaszki. Chciała być kochana i noszona na rękach. Strefa, pełna brzydkich, aroganckich i wrogich kobiet oraz zaszczutych, chowających się po kątach mężczyzn — to musiało być dla niej piekło. Zamiast futer, klejnotów i marmurów miała wokół siebie zapyziałe ściany i nie domytych ludzi w borych, zgrzebnych szmatach.

Norman nie wiedział nawet, czyją kocha. Wiedział, że na pewno nie chciałby z nią mieszkać — tam, w domu. Już znał ją na tyle. Ale kochał jej piękno. Nieziemskie, gorące piękno królowej Lewantu.

Na klatce schodowej śmierdziało kapustą, ale chyba nie gotowaną na parze. Byli już umówieni. Zadzwoił od matki jeszcze pierwszego dnia. Teraz, jak zwykle, skorzystał z budki telefonicznej, bo jego komórka w Strefie nie działała. Powiedział tylko:

— To ja.

W bramie jej bloku już bzycał odblokowany zamek. Jak najciszej wszedł na trzecie piętro, po czym dyskretnie wsunął się przez otwarte zawczasu drzwi.

Księżniczka całowała go czule, jakby był jej zaginionym ukochanym. Stali tak, Norman jeszcze z torbą w ręku, a Marianna wtulona w niego całym ciałem, drżąca i ściskająca go z kurczową, desperacką namiętnością. Niestety, nie chodziło o Normana. Królowa Lewantu rzeczywiście tęskniła i drżała z pożądania. Ale nie miał złudzeń. Marianna w tej chwili tuliła i całowała Europę.

Paryż, Londyn, samochody porsche, wieżę Eiffla i hotele Ritz i Savoy. Giełdę diamentów w Amsterdamie. Zamki nad Sekwaną. Lazurowe Wybrzeże.

Życie w jego świecie nie oferowało nigdy okazji do takich wzruszeń. Tutaj wystarczyło dać komuś długopis, kilka buteleczek perfum, komplet cieni i tuszu, dziesięć par rajstop i pończoch, jakieś halki, a choćby kilka mydełek yardleya. Tak oto można podarować, przynajmniej na chwilę, prawdziwe szczęście. Pozwolić zapomnieć na krótko o Spestreku.

Szczęście za pięćdziesiąt euro.

Uwielbiał to.

— Co to jest? — Marianna trzymała w ręku prostokątną torbę z grubej folii, wypełnioną jaskrawozielonym żelem.

— Multimorf.

— Co?

— Kiecka. Pokażę ci. Masz jakąś miednicę? Na tyle dużą, żebyś mogła w niej stanąć?

— Mam.

Tutaj jest tablet sterujący. Zobacz. Wylewasz tę galaretkę do miednicy, wanny albo ostatecznie na podłogę, wkładasz tę końcówkę i dotykając palcem na ekranie, wybierasz najpierw fason, potem kolory i fakturę materiału i naciskasz enter. A potem w tym stajesz. Żel powleka ci ciało i przybiera zadaną formę. Koniec. Trzy minuty i kiecka.

— Ojej! Poczekaj! Najpierw muszę się zrobić! — Marianna chwyciła kosmetyki, pończochy, multimorf i tablet, a potem pobiegła do łazienki.

Norman rozsiadł się w fotelu i pociągnął łyk koniaku.

Kiedy wyszła z łazienki, jej ciało pokrywała suknia w kolorze burgunda, mieniąca się diamentowymi pająkami, tak obcisła, że wyraźnie widział pieprzyki na skórze, aureolki piersi i każdy włoszek precyzyjnie wymodelowanej fryzury intymnej. Sukienka wyglądała jak wymalowana na gołym ciele czerwonym lakierem. Marianna upozowała się w drzwiach, a potem przeszła w szpilkach aż pod okno, fachowo zaplatając długie nogi i kołysząc krągłym, lewentyńskim tyłkiem. Odwróciła się.

— Jak ci się podoba?

— Jesteś cudem świata. Zobacz — Norman podniósł tablet i postukał palcem w ekran, a potem wduślił klawisz przesyłania. Materiał spienił się futrem i zmienił kolor na błękitny.

Dziewczyna podeszła do fotela, usiadła okrakiem na kolanach Normana, zakładając nogi za podłokietniki.

— Jak to się zdejmuje?

— Trzeba po prostu rozedrzeć. Potem wpychasz kawałki do torby albo do miednicy, wkładasz końcówkę i naciskasz reverse. Znowu zamieni się w galaretkę.

— Więc podrzyj ją na mnie.

W Strefie nie wolno było mieć niczego w oknach. Ani firanek, ani zasłon, ani żaluzji. Zwyczaj, który kalwini wprowadzili w Amsterdamie, na dobre zadomowił się w Spestreku, gdzie miał chronić kobiety i dzieci przed brutalnością mężczyzn. Żeby Wielki Brat mógł patrzeć.

Dlatego kiedy Norman odwiedzał Mariannę, z reguły szli do łóżka wieczorem i gasili światło. W dzień kładli się na materacu na podłodze, pod parapetem okna. Albo szli do łazienki. Tak było bezpieczniej.

Ale nie dziś.

— Nie chcę czekać do wieczora. Nie chcę na podłodze, ale na fotelu!

I chcę cię widzieć. Cały czas widzieć, Norman.

Nie umiał się temu oprzeć.

— A teraz na stole! Pragnę, żebyś wziął mnie na stole! — rozkazywała królowa Lewantu.

— Z największą przyjemnością, Wasza Wysokość.

Potem leżeli na zapadniętej kanapie. Księżniczka tuliła się do niego i cichutko płakała.

— Tak mam tego dosyć... tak dosyć! Oni są tacy podli! Dlaczego ja głupia wróciłam, dlaczego! Może w końcu by się udało.

Pocałował mokre policzki i gładził idealną, smagłą skórę, która nie wzbudziła żadnego zainteresowania na wybiegach Paryża.

— Chciałam wyjechać znowu, przecież nie mam studiów, ale ciągle mi odmawiają. Składałam kolejne podania i znowu nic. Bo to, bo tamto. Potem się dowiedziałam, że muszę dać dwadzieścia tysięcy euro takiemu jednemu w komisji ludnościowej. Skąd wziąć? Ja zarabiam tu ze sto... mogę zaoszczędzić piętnaście... Wiesz, ile odłożyłam? Czteryście... Nie gniewaj się, ale już chciałam się przespać z tym facetem, chociaż jest obleśny, a wtedy... wtedy...

— Co się stało?

— Okazało się, że jest geeeejeeem... Ja już nie wytrzymam... nie chcę tu żyć, Norman. Nie chcę!

— Nie mów tak — pogładził ją po głowie. — Pomogę ci. Nie mam tyle ze sobą, ale dam ci dwa tysiące. A jak znowu przyjadę, przywiozę więcej. I stopniowo odłożysz na łapówkę. Wyjedziesz stąd.

— Jesteś taki kochany... ale jak ja ci oddaaaaaam...

— Zaczepisz się tam gdzieś, przecież nie musisz koniecznie być modelką. I kiedyś mi zwrócisz.

Znalazł spodnie i wyszukał zapięcie gekko wzdłuż paska. Otworzył długą kieszonkę i wygrzebał ostatnie tysiące. Zostało mu już tylko trochę drobiazgów.

— Proszę.

Pocałowała go jak jeszcze nigdy. Jakby świat miał się skończyć.

Nagle zaczęła się spieszyć. Ni z tego, ni z owego. Zmusiła go, żeby się ubrał. Jakby w nią piorun strzelił. Biegała wokół niego, naga, w chmurze rozwianych włosów; pocałowała go znowu i wyszeptwała: — Przepraszam.

A potem wykopała go za drzwi z torbą w rękę, podskakującego w jednym bucie.

Usiadł na schodach i zasznurował drugi, kiedy usłyszał, że na dole otwarto drzwi i na klatkę weszło liczne towarzystwo. Nie lubił tego. Spojrzał wzdłuż korytarza, ale nie było się tu gdzie ukryć. Cokolwiek robisz, choćby idziesz po schodach, lepiej, żeby nikt tego nie widział.

W końcu wzruszył ramionami i zaczął schodzić na dół. No, to minie się z jakimiś ludźmi, co to takiego!

Jednak piętro niżej nagle otworzyły się drzwi i Norman został złapany z tyłu za kołnierzyk, po czym gwałtownym szarpnięciem wciągnięty do mieszkania. Czyjeś ramię zablokowało mu łokcie, jakaś dłoń zamknęła usta.

Za drzwiami, na schodach, słychać było tupot ciężkich butów. Wielu butów.

— Teraz cię puszcze — usłyszał w uchu szept Amoniaka. — Bądź zupełnie cicho. Nie rób wrzasków ani niczego głupiego. Rozumiesz, Wiking? To ja. A to jest mieszkanie mojej ciotki.

Pokiwał głową, prawie zupełnie unieruchomioną w chwycie równie ciasnym, co spłot węża boa. Uchwyt zelżał.

— Chodź — tchnął Amoniak. — Przy ścianie, nie pokazuj się w oknie.

Weszli do pokoju pełnego książek. Amoniak stanął mu za plecami i podał starą teatralną

lornetkę.

— Dom naprzeciwko. Piąte okno od lewej, najwyższe piętro.

Widzisz?

W głębi tamtego pokoju dwie młode kobiety demontowały statyw i małą cyfrową kamerę z wielkim obiektywem.

— Teraz na dole. Patrz.

Pod wejściem parkowały dwie kanciaste furgonetki koloru okopconej blachy, z czerwonymi labrysami na drzwiach.

— Dałeś Malinie kasę? Jakies prezenty? Dałeś, sentymentalny durniu?!

Norman skinął głową. Milczał.

— No, to jest prostytutka, głupku. Ostatnio jej stały numer.

Na schodach słyhać było tupoty, krzyki i jakieś łomoty. I wrzask rozwścieczonej kobiety, z rozdzierającym płaczem Marianny w tle.

— Ostrzegłaś go! Ostrzegłaś, zasrana, patriarchalna dziwko!

Norman szarpnął się, ale dłoń Amoniaka spadła mu na ramię jak chwytak koparki.

— Stój, durniu! Nic jej nie zrobią. Jest ofiarą patriarchy. Najwyżej dostanie parę razy w pysk. Ale ty skorzystałeś z prostytutki. Jeżeli cię dorwą, nigdy już stąd nie wyjedziesz.

Na schodach dało się słyszeć stukot podeszew, grzechot krótkofalówek i komendy.

— Nie zniknął przecież! Sprawdzić ulicę. I przeszukać mi mieszkania! Od góry! Ruchy, suki! Znaleźć mi tę świnię!

— Ciociu, którędy można stąd wyjść?

— Przez kuchnię. Na gzyms, stamtąd na dach kiosku i szybciutko między garaże. Tam jest taka przerwa na pół metra. Trzeba przebiec na drugą stronę płotu i wychodzi się na drugie podwórko. Z naszego nic nie widać. Tylko szybko, panie Wikingu. Otworzę panu okno!

— Słyszałeś? Na tamto podwórko i idź przez działki do lasu. Ktoś chciał się z tobą spotkać. Przy bunkrze, pamiętasz? Idź, nie biegnij! I nie wracaj do matki! Ja jej potem powiem, zrozumiałeś? Do bunkra podejdź, gwizdząc *Shenandoah*. Kojarzysz? To spadaj! I torba! Zabierz torbę!

— Amoniak, ja...

— Nieważne, Wiking. Nie rozklejaj się. Z Bogiem, bracie.

— Z Bogiem, przyjacielu.

* * *

To było jak we śnie. Smak tynku, szorstkie, piekące obtarcia skóry, gorąca papa na dachach garaży, potem ciasny, cuchnący moczem i smołą korytarzyk między dwoma barakami. I straszny, dziki napęd adrenaliny. Światło stało się jaskrawe, kolory jak przepalone, a rozmazane obrazy nagle błyskały ostrą mozaiką szczegółów. Ziarna piasku pod nogami. Błysk słońca w oknach. Białe niebo. Pod osłoną zdziczałych ogródków działkowych nie mógł powstrzymać się od biegu.

* * *

Niewielki bunkier stał dobre kilkaset metrów w głąb lasu, oddalony od ścieżek, od ludzi wyprowadzających psy, od rowerzystów. Przychodzili tu słuchać pozastrefowego radia, pić piwo albo po prostu gadać, z dala od straszego świata dorosłych. A kiedy sami dorośli, zachowali tajemnicę, podejrzewając, że ten płytki, jednokomorowy cekhaus, wystający z ziemi jak betonowy grzyb, na zboczu zarośniętego leszczyną jaru, może się jeszcze przydać.

Odgwizdano mu dopiero za drugim razem. Z wnętrza bunkra.

W środku na piasku siedział mężczyzna w czarnej bawełnianej bluzie, z kapturem

naciągniętym głęboko na czoło. Palił papierosa i milczał. Żar wydobywał z mroku ostry nos i oczy jak puste, czarne oczodoły.

— Wiking...

— Koniu...

— Dwie sprawy — powiedział Koniu suchym, rzeczowym głosem. Kiedyś był dziennikarzem. Prawdziwym krasomówcą. Teraz mówił, jakby dyktował telegram. — Widziałem twojego szwagra. Wtedy jeszcze żył. Pracuje w tajnym ośrodku badawczo-reedukacyjnym. W Strefie 20. Nie wiem, gdzie to jest. Kiedy nas tam wieźli, mieliśmy worki na głowach. W jakichś lasach. Według mnie, stary poligon. Nie rozmawiałem z nim. Nie wiem, czy teraz jeszcze żyje. Szanse na to, że wróci żywy, są niewielkie, ale są. Ja wróciłem. Z takich ośrodków zwykle się wraca, ale ten jest specjalny. To źle wróży. Twój szwagier był jakimś inżynierem?

— Chemikiem przemysłowym. I to dobrym. Technologiem chyba.

— To źle. Druga sprawa. Zobacz.

Podał mu kawałek grubej, bawełnianej tkaniny. Zielonej.

— Szmata... — powiedział Norman.

— Tak, szmata. Popatrz teraz — Koniu wyjął scyzoryk i położył szmatkę na kamieniu, po czym odciął wąski strzęp, najwyżej parę milimetrów. — Masz telefon?

— Mam, ale tu nie ma zasięgu...

— Nieważne. Poczekaj... — Koniu wziął szmatkę i starannie umieścił ją w blaszanej tulejce po cygarze Punch. — Zapamiętaj, Wiking. Musi być w metalowym pojemniku. Ekranowana. Rozumiesz?

— W metalowym pudełku — powtórzył Norman bezmyślnie.

— Chodź teraz.

Zeszli na dno jaru i przez chwilę posuwali się po dnie wyschłego strumyka, pomiędzy omszałymi głazami.

— Tutaj — Koniu przyklęknął i zagrzebał odcięty strzęp w łasze piasku. — Chodź za tamte kamienie. Usiądź i trzymaj głowę nisko.

Trzy wielkie kamienie tworzyły przytulny zakątek, osłonięty ze wszystkich stron.

— Telefon — Norman wydobył swój nadgarstkowy aparat z kieszeni kurtki i podał Koniowi. Tamten zabrał mu aparat i wymienił kartę na wyjętą z własnej kieszeni.

— Teraz włącz telefon i wybierz ten numer — podał Normanowi niewielką karteczkę formatu wizytówki.

Norman zatrzasnął aparat na nadgarstku i włączył, poczekał, aż na wnętrzu dłoni wyświetli mu się klawiatura. Przyłożył kciuk do ucha, ale nie było sygnału.

— Nie ma takiego numeru — skwitował.

— Rozłącz się — powiedział Koniu. — Teraz wybierz ten drugi i trzymaj otwarte usta.

Nagły huk był jak smagnięcie biczem. Norman zobaczył rozbłysk pomarańczowego ognia na kamieniach, a potem schował głowę. Z góry przez dłuższą chwilę sypał się żwir, piasek i patyki. Z drzew poderwało się stado przerażonych srok, skrzecząc przeraźliwie. Zamiast łąchy piasku, w dnie parowu ział spory lej, z wypalonymi na siwo brzegami.

— Widziałeś, ile tego było? — mówił Koniu, kiedy wracali do bunkra. — Skrawek. A teraz wyobraź sobie, co potrafią spodnie. Albo kurtka.

Dopóki tego nie uzbrosisz, to jest zwykły materiał. Klonowana bawełna i niegroźne domieszki. Nazywa się fibrex A-9. Sami tego nie wymyślili, ale produkują. I sprzedadzą każdemu, kto nie lubi zachodniej cywilizacji. Tego nie wykryje żadna kontrola. Dopóki nie wyślesz pierwszego sygnału, to jest po prostu szmata. Dostaniesz materiał w pudełku, kartę i numer telefonu. Robią to w Strefie Pomorze 20. Stary poligon. Musisz to komuś pokazać. Zapamiętasz?

— Koniu, nie mam jak wrócić.

— Jak to? Zostajesz?!

— Nie o to chodzi. Blacharnia mnie szuka. Odwiedziłem...

— Byłeś u Maliny?

— Tak.

— Szlag! Szlag! — wrzasnął Koni, kopiąc drzewo. — Zostań w bunkrze. Idę sprawdzić. Czekać, aż usłyszysz...

— Wiem. *Shenandoah*.

Siedział na piasku i patrzył na drzewa przez otwór wejściowy i strzelnicę. Czekał bardzo długo. Tak długo, że całkiem przestało mu pisać w jednym uchu i trochę przycichło w drugim.

W końcu odzyskał słuch w obydwu.

Czas mijał.

Znalazł w torbie paczkę tytoniu i bibułki. Na podłodze leżało wąskie srebrne pudełko po cygarach Punch.

Gwizd usłyszał, kiedy upłynęła cała wieczność.

Wieczność w bunkrze. Koni ukląkł przy wylocie.

— Obstawili dworzec. Trzepią wszystkich, którzy podchodzą do waszych autobusów. Mają zdjęcie przypięte do nadgarstków. Suki, opiekunowie, harpie. Tu nie chodzi o molestowanie. Skojarzyli twojego szwagra.

Norman poczuł, że wnętrzności zamieniają mu się w ołów. Starał się oddychać nosem. Splótł palce. W ułamku sekundy spocily mu się dłonie. A potem usłyszał, że na zewnątrz ktoś kaszlnął.

— Kto tu jest?!

— Nie bój się. Wyciągnę cię stąd, Wiking. Żebyś wrócił do domu, to jest teraz najważniejsza rzecz na świecie. Masz jakąś forszę?

Nadzieja zapłonęła i zgasła jak raca na wodzie.

— Nie. Oddałem wszystko matce i Malinie.

— W domu! Możesz szybko skołować forszę, jak znajdziesz się w Europie?

— Mam. To zależy ile.

— No... pewnie ze trzy tysiące.

Norman nabrał powietrza. Trzy tysiące euro. Za wolność. Bez namysłu zapłaciłby trzydzieści.

— Mam. Muszę tylko znaleźć bankomat. Gdziekolwiek.

— Poczekaj — Koni odszedł i wdał się w cichą rozmowę.

Do Normana dobiegały tylko fragmenty. „Tak to nie...” „Idę z mięsem”. „Prześwietlą ci chłodnię”. „Plomby to nie problem”.

Mężczyzna wyjął z kieszeni mały walec z błyszczącego metalu.

— Japońska robota — zaśmiał się. — Pojedzie na disneja. — Podrzucił fiolkę w rękę. — To będzie pięć patoli.

Koni wrócił do bunkra.

— Masz pięć tysięcy?

— Mam.

Koni odetchnął z ulgą.

— Dobra. Tylko musisz mi zaufać. Jego się nie bój, znam go. Tylko tak wygląda i struga twardego.

— To on przerzucał mojego szwagra?

Zgłupiałeś? Idiota zadał się z Łowcami Skór. Flak jest w porządku. Dostaniesz zastrzyk. Jest bezpieczny. Sprawdziłem fiolkę. Zapieczętowana. Fabrycznie. Zapadniesz w letarg, obniży ci się temperaturę ciała. Funkcje życiowe będą niewyczuwalne. Położymy cię w ciężarówce chłodni i owiniemy folią. Niczego nie zauważą. Nie udusisz się, bo prawie nie

będziesz oddychał, a folia jest perforowana. Na miejscu pójdziecie z Flakiem do bankomatu. Proste.

— Gdzie to będzie?

— Do wyboru. Pułtusk, Serock, Zegrze, Radzymin, Mińsk, Góra Kalwaria, Grójec, Radom.

— Najlepiej Zegrze. Tam już sobie poradzę — starał się nie okazywać żadnych emocji. Zegrze! Mógł być w domu w ciągu pół godziny na piechotę.

* * *

Spanikował dopiero na widok wnętrza chłodni. Na hakach wisały wielkie, sinoczerwone tusze, owinięte w obryzganę krwią arkusze folii. Wiało lodowatą zgnilizną i metalicznym odorem rzeźni.

— Co to jest?!

— Ekologiczne mięso — roześmiał się Flak. — Podstawa słynnych, tradycyjnych polskich wędlin. Żadnych ulepszcaczy ani konserwantów. Za tydzień kupisz sobie kielbasę lisecką, z którą podróżowałeś do domu.

Norman zacisnął zęby i pozwolił sobie zrobić zastrzyk. Ultradźwiękowa ampułka strzeliła mu w ramię i poczuł, że mięśnie mu zdrętwiały. Przez chwilę nic się nie działo. A potem stopniowo, z każdym oddechem jego ciało zaczęło zamieniać się w gumę, a płuca w rtęć. Po czym jego umysł, wrzeszcząc przeraźliwie, runął nagle w czarną jak atrament studnię.

* * *

Dźwięki dochodziły z daleka, wszystko się chwiało.

Cały był szronem, jego mięśnie składały się z sopli, w żyłach przeciskał się sorbet, oddech był wiatrem znad lodowców Alaski. Dygotał. Czuł niewyraźne wstrząsy, a potem zorientował się, że Flak bije go po twarzy.

— Dobry wieczór! — wołał. Norman rozkaszłał się i otworzył oczy. Widział jakieś plamy, kleksy rdzawego światła.

— Gdzie jestem?

— Zegrze! Zgodnie z rozkładem!

Stwierdził, że siedzi w otwartych drzwiach starej ciężarówki. Cały drżał. Zupełnie jakby wpadł do przerębli. Zegrze... Flak podał mu kubek od termosu, pełen parującego płynu.

— Co to jest?

— Herbata z cytryną.

Norman wypił, obejmując kubek dłońmi. Z każdym łykiem wracało mu życie. Zaczął poznawać okolicę.

— Podjedźmy tam — wskazał ręką.

— Dlaczego? — zapytał Flak.

— Bo tam jest bankomat.

Kiedy wysiedli z ciężarówki, Norman stwierdził, że prawie może już chodzić. Nogi miał jak ściernięte, ale życie powoli wracało.

Flak odchylił połę kurtki i nagle pokazał srebrny pistolet z grubą lufą, podobny do raketnicy.

— O co chodzi?

— Spokojnie. To jest pneumatyczna strzykawka. Jeżeli mnie spróbujesz wykiwać, dostaniesz drugiego disneja i odwozę cię z powrotem do Spestreku. Na koszt firmy.

Palce nie chciały go słuchać, kiedy wprowadzał kod PIN. Bankomat mógł nie mieć tyle gotówki. Wprowadził PIN na transakcje specjalne, więc limit nie miał znaczenia.

Kod PIN nieprawidłowy. Zostały dwie próby.
Bankomat czeka na połączenie z Twoim bankiem.
Słyszał, jak tamten sapie mu za plecami.
Operacja w toku.

Kiedy wreszcie oddał kierowcy pięć sztywnych, nowiutkich banknotów, poczuł, że nogi się pod nim trzęsą.

— Dziękuję bardzo — powiedział Flak. — Przepraszam za pistolet.

Takie czasy. Interesy z panem to przyjemność. Naprawdę pan sobie tu poradzi?

— Tak.

— Proszę. Pańska torba. Chce pan kanapki? Zostały mi jeszcze. Z wędzonym tofu i ogórkiem. Niezłe.

— Dziękuję. Nie.

— A jakby jutro bolała głowa, to proszę się nie przejmować. Może tak być. Trzeba połknąć proszek od bólu głowy i przespać się. I najlepiej od razu wziąć gorącą kąpiel.

Norman przez jakiś czas siedział na krawężniku pod bankomatem.

A potem, kiedy wszedł już na tamę, długo patrzył na wody Zalewu, w których odbijał się księżyc, zupełnie jakby widział go pierwszy raz w życiu.

Obmacał kieszenie kurtki w poszukiwaniu papierosów i natrafił na metalowy cylinderek. Aluminiowe pudełko po cygarze Punch. Z kartonikiem przyklejonym taśmą, z dwoma numerami telefonów. Kartę dalej miał w swoim aparacie.

— Nie jestem bohaterem — powiedział w stronę księżyc, oparty o balustradę, patrząc na migoczące fale. — Mam dosyć. Nie wiem, co miałbym z tym zrobić.

Pudełko wydało mu się nagle bardzo ciężkie i gorące.

I kiedy unosił rękę, przypomniał sobie nagle podekscytowany głos siostrzeńca.

„Robimy zadymę, a jeden z nas w takiej specjalnej koszuli musi wbiec do środka, a inni przebrani za imperialistów go łapią. A jak mu się uda, to wygraliśmy. Elektrownia zepsuta”.

— O Boże — powiedział Norman.

A potem schował tulejkę do kieszeni i poszedł do domu.

— Dzień dobry, Norman — powiedziało mieszkanie. — Jak weekend?

— Jak to weekend w Spestreku — odpowiedział Norman pustym czterem ścianom, czując, że łyzy ciekną mu po policzkach. — Jak zawsze. Wróciłem i czuję, że jestem najszcześliwszym człowiekiem na Ziemi.

styczeń 2004

Spacer

DANIEL ODIJA

urodził się w 1974 roku w Słupsku, przez ponad siedem lat studiował polonistykę na Uniwersytecie Gdańskim. Obecnie pracuje jako dziennikarz w słupskim oddziale Telewizji Polskiej. Ma żonę i dwoje dzieci. Publikował m.in. w „Playboyu”, „Autografie”, „Ha!arcie”, „Dekadzie Literackiej”; jego proza znalazła się także w antologiach *Papiery wartościowe* (1998) i *Tekstylika. O rocznikach siedemdziesiątych* (2002). Jest autorem zbioru opowiadań *Podróże w miejscu* (2000) oraz słuchowiska *Melisa* (Radio Gdańsk 2003). Wydana w 2001 powieść *Ulica* została uhonorowana Pomorską Nagrodą Artystyczną za debiut roku 2001, a także nagrodą Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuki, stała się również bohaterką skandalu obyczajowego. Najnowsza powieść Odii *Tartak* zostanie wydana w austriackim wydawnictwie Zsolnay.

Stańmy na środku chodnika. Nie musimy się zastanawiać. Zróbmy krok do przodu. Następne przyjdą same. Naszym zadaniem jest wypatrywanie, co zmieniło się w mieście.

I tak...

Zgięty mężczyzna z wyciśniętą twarzą, bez soków w sobie i lat przed sobą, przystaje przy ścianie budynku, na której nalepiona jest kartka z czarną ramką i dokładną datą śmierci i pochówku jakiejś kobiety. Mężczyzna nie zastanawia się długo. Jakby przechodził tędy nie pierwszy raz i nie ostatni. Zdiera kartkę gwałtownym szarpnięciem, zgniata i wyrzuca do kosza. Jego siwa głowa nerwowo kiwa się na końcu niepewnej szyi.

Pod inną ścianą innego budynku, dla ścisłości: banku, młoda kobieta zdejmuje spodenki trzyletniemu dziecku i klnie pod nosem:

— Szczyj na bank, gnojku jeden. Opileś się, kurwa, wody i teraz lać ci się zachciało... Na nogi uważaj! No nie, szczocho jeden! Szczyj na bank, niech mury gniją — zaklina.

Nawet nie spojrzała w stronę młodego mężczyzny, który dwa kroki dalej wypłacał pieniądze z bankomatu i w ostatniej chwili odsunął nogę, żeby trzylatek nie opryskał mu butów.

Przyjacielu, jeśli zobaczysz faceta w czarnym kapeluszu, to wiedz, że ten facet miałby ci wiele do powiedzenia. Jego życie było tak kolorowe, jak prezerwatywy na wystawach w kioskach. Ale teraz, po tylu latach, cała jego postać zszarzała i kapelusz wyblakł, a długie włosy zlepiał smalec brudu. Facet sepleni w stronę swojego kompana z pretensją w głosie:

— Myśl, myśl...

— Ale ja myślę — stawia się kompan o pokiereszowanej twarzy, która zderzyła się ze wszystkim, z czym może zderzyć się twarz.

— Ale myślisz za wolno.

— Za wolno? Przecież jedno piwo dzisiaj załatwiłem.

— Jedno piwo — prycha kapelusznik z pogardą. — A pamiętasz moje wczorajsze wino?

Przeplłynęli jak dym z papierosa, a już za nimi szedł ojciec z małym synem, takim, co dopiero nauczył się mówić, i o wszystko się ojca pyta, a ojciec odpowiada mu, jak umie, i dumny jest, że synek patrzy na niego z podziwem i widzi jedynie ojca, i przez ojca jedynie rozumie świat, i ten świat jest dzięki ojcu taki bezpieczny...

Przyjaciółko, nie spluwaj w stronę tej kobiety. Jeśli jest lepiej od ciebie ubrana, nie pocieszaj się, że głupsza, bo może być i bogatsza, i mądrzejsza, i mieć wielki dom, i super faceta, i super samochód, i super zdrowie, wszystko to, czego ty nie masz i nie będziesz miała. I nie pocieszaj się, że może ją szlag trafi wcześniej niż ciebie.

Bo choć mijają lata i dłuższe ulice, to tak naprawdę niewiele się zmienia. Świeci słońce i

nikogo to nie dziwi. Na ławkach młode pary. Zacałowane w sobie. Ona obejmuje jego głowę, on masuje jej pierś, ukrytą pod prześwitującą bluzeczką. Jest bez stanika. Nie wstydzą się, że są piękni.

Trzech młodziaków popija piwo. Puszki w dłoniach i zwężone oczy. Coś ich bardzo rozśmieszyło. Poprośmy ich o ogień. Przecież fajka bez ognia to gówna fajka. A gdy człowiek sobie pali, wygląda, jakby myślał, nawet jeśli o niczym nie myśli.

— Chłopaki, macie ognia?

Poruszenie wyraźne. Jeszcze wyraźniejsze milczenie. Pospuszczali głowy. Któryś coś bąknął. Młodzi i grzeczni jesteście, skoro się tak jeszcze stresujecie. Patrzysz na nich i chce ci się wspominać.

— Ej, no, zapalniczkę na pewno macie.

Wreszcie ten z lewej zdecydował się. Bez słowa wygrzebał z kieszeni plastikowy prostopadłościan ze stopionymi okręgami na korpusie.

— Dzięki — a oni tylko burknęli na to nieśmiało, wciąż próbując określić, czyś swój czy nie. Ale nie dajesz po sobie poznać, że wiesz o nich wszystko. Niech myślą, że dobrze się maskują.

Tłum gęstnieje i widzisz i słyszysz wszystko naraz. Ciężko odróżnić postacie. Dlatego nie zauważasz trzydziestolatki z białym meszkiem na policzkach. Ma pociągłą twarz z kwadratowym podbródkiem. Jest samotna. Dotąd nie udał się jej żaden związek. Jeśli kochała, to bez wzajemności. Właśnie przed chwilą rozmawiała ze swoją koleżanką, która teraz jest nauczycielką.

— Uczysz w szkole? Wiesz, a jednak powiem ci... Ale na razie, proszę, trzymaj to w tajemnicy — łykała pospiesznie słowa. — Ja piszę projekty dla Unii i mam taki aktywizujący dla kobiet, może być tak w szkole, wiesz... — rozglądała się nerwowo na boki. — Jak tylko zrealizuję kilka projektów, zbieram pieniądze i pstryk! — strzeliła palcami — z tego miasta — a uśmiech rozjaśnił jej myśli.

Pewnie przez roztrzępianie nie zdążyłeś odczytać z tamtej twarzy treści niewiarygodnego scenariusza, którym przesiąkała jak biskopt tortowy alkoholem. Też kobieta, ale tym razem ładna. Niestety w okularach przeciwsłonecznych, co utrudnia dokładniejszą ocenę. Przeszła tak szybko, a przecież jej życie utknęło w miejscu. Jeszcze dwa miesiące temu miała męża. Wyjechał do Grecji do pracy. Był tam może trzy miesiące. W ostatni wieczór przed powrotem do kraju postanowili z kumplem zabawić się na mieście. O świcie na drugi dzień do komisariatu na przedmieściach Aten przywłókł się ciężko pobity Polak. Nie pamiętał wiele, tylko tyle, że wyszli z kumplem i było wesoło. Grecka policja nic nie znalazła.

Po tygodniu poszukiwań żona zaginionego zwróciła się o pomoc do największego jasnowidza kryminalnego w Polsce. Narysował jej na mapie Aten, że tu i tu leży jej mąż. Kobieta natychmiast wyjechała do Grecji i znalazła zwłoki męża w kanalizacji, w miejscu, które wskazał jasnowidz. Grecka policja zatrzymała ją jako podejrzaną. Później obciążyli ją kosztami dochodzenia, bo denat pracował w ich kraju na czarno. Obciążyli ją kosztami kremacji, bo trup się już rozkładał, kosztami transportu prochów do Polski... Słowem, życiowa i finansowa kłapa... Być może temat na film albo powieść. Jednak ktoś, kto by to obejrzał albo przeczytał, pewnie by nie uwierzył, że taka historia mogła się zdarzyć. Tymczasem życie nie zastanawia się nad ludzką wiarą i wszelkie wątpliwości pozostawia nam.

Historia tego chłopaka, który minął cię z opuszczoną głową, też jest związana z wyjazdem. W tym przypadku do Hiszpanii, gdzie wybrał się ze śliczną szatynką w podróż poślubną. Po kilku dniach dziewczyna zobaczyła czarującego Hiszpana, który roztoczył przed nią o wiele bardziej pociągające perspektywy niż jej polski, zaledwie tygodniowy małżonek. Polak wrócił do kraju sam, w drodze powrotnej pijąc czterdziestoprocentowy alkohol. I tak trwa w tym picciu dobrych kilka lat, podczas gdy jego była szczęśliwie uśmiecha się we wschodniej części

Półwyspu Iberyjskiego do dwójki czarnowłosych dzieci, które nie znają ani słowa po polsku.

Ale teraz uważaj! Jeśli mijając tych dwóch, któregoś z nich potrącisz, nie oglądaj się za siebie, bo stracisz zęby. Są zbyt napuszeni, by lekceważyć ich możliwości. Co do tamtych dalej, to śmieją się tak serdecznie, że chciałoby się podsłuchać ich rozmowę. A tu następnymi, tak zajęci sobą, że roztrącają innych. I nieważne, że opis świata nie może być precyzyjny. Ważne, by wywoływał pragnienie jego przeżywania.

Dlatego nie zauważasz samochodów. Nie liczą się. Niech one zauważają ciebie. Nie czytaj nazw instytucji i haseł na sklepach — marna ich historia. Patrz i zaliczaj. Jak człowiek człowieka, nawlekaj na pamięć. Mimo, a może dlatego, że niewiele się zmienia, choć mijają dekady i rosną budynki.

Ten ksiądz. Nie widać. Habit i koloratkę zostawił na plebanii. Po co się przyznawać do siebie? Tym bardziej, gdy się idzie tam, gdzie się idzie... W całym zamieszaniu dostrzegasz kurwę, która wcale kurwą nie jest, tylko tak o niej mówią. Natomiast ta dama wcale nie jest damą, choć na taką wygląda. Tymczasem wtajemniczeni wiedzą, że jest kurwą.

Ten łysy mięśniak o tak tępym wyrazie twarzy, że strach spojrzeć w oczy, jest profesorem filozofii na tutejszym uniwersytecie. Obok niego niepozorny chudzina. Za jakiś czas zgwałci i zamorduje trzydzieści cztery kobiety w wieku sześćdziesięciu lat, czyli dokładnie tylu, ile miała jego matka, gdy zmarła i zostawiła go samego. A to dziecko wyrośnie na geniusza i nie będzie już potrafiło się bawić. Wszystkich ich, wedle woli, można pokochać albo zniechęcić. Bo chyba tak jest, że moc uczuć zależy od braku ograniczeń, a ocena postaci — od tych ograniczeń nadmiaru. I ryzykownie jest sądzić o możliwościach swoich i świata.

Ale dzisiaj takie słońce, że po co gadać! Niestety, moja natura przekorna. Bo skoro niewiele się zmienia, ona chce zmieniać. I życzy sobie deszczu. No i ja proszę bardzo. Niech stanie się deszcz! Niech potylicy parasoli pękają jak czarne kwiaty! I zapanuje żałoba, i kałuże, i rozpacz. A co jasne, stanie się ciemne. Uśmiech spłynie w płacz, nadzieję zastąpi troska, odwagę strach. I świat zacznie się bać, bo jeśli ja, to niech i świat.

Ale pomimo tej czerni, nie zapominam o Tobie, mój Przyjacielu. Tylko pozwól jeszcze, niech obliczę niezapłacone rachunki: na wyciągniętą rękę żebraka; na upadek starej kobiety, której z siatki wysypały się jabłka dla wnuków; na chorego z owadami w głowie, które nie pozwalają mu zebrać myśli, i na chorego z rakiem w kościach, który nie pozwala mu zebrać myśli; na samotnego w obcym kraju i samotnego w obcej chwili; na tych wszystkich, którzy nigdy nikogo przy sobie nie mieli, i tych, którym wydawało się, że mieli, a było inaczej; na wiarę w ludzi i próbę wiary w bóstwa; na niezauważone uśmiechy i zauważone przekleństwa; na śmierć tych osób, których nie mogłem żałować, i tych, których żałować nie chciałem; na ból, który zadawałem z precyzją pijanego chirurga albo precyzją robota, i ból mi oszczędzony, choć odsetki wciąż rosną...

A jednak, zauważ, choć staram się być szczerze smutny, chce mi się śmiać i całować dzieci. Ktoś powie: „Na razie całujesz te dzieci i chce ci się śmiać”. Niech będzie: na razie... Bo może moja głowa jest elastyczna jak granice państw? A jeśli nie, to przynajmniej chcę w to wierzyć. I może przez to całowanie dzieci, które pewnie kiedyś się skończy, uważam, że w każdym syfie znajdzie się odrobina, po którą warto sięgnąć, a w każdym pięknie — nierasowy pieprzyk pod okiem. Że nic nie jest jednoznaczne i nie może być inaczej. Że jedziemy na wspólnym wózku, który zmierza zawsze w to samo miejsce, ale jakie ono jest, kto tam wie?

Lecz zanim zamkniemy oczy po długim spacerze, dobrze jest wspomnieć, co się zdarzyło. I mimo bólu uśmiechnąć się po raz ostatni. Czego Tobie, moja Przyjaciółko, i sobie na koniec życzę.

Gówniarze

TOMASZ PIĄTEK

urodził się w 1974 roku, był bramkarzem piłkarskim i bramkarzem w kinie, tłumaczem więziennym i sądowym, dziennikarzem prasowym, radiowym i telewizyjnym, asystentem reżysera w RAI, prezenterem w TVP, Radiostacji i Radiu 94, korespondentem RMF FM i „Polityki”, publicystą „La Stampy” i „L’Indipendente”, psycholingwistą pracującym dla Canal+, copywriterem w agencjach reklamowych, kierownikiem literackim telewizji Kino Polska. W latach 2002–2004 wydał powieści *Heroina*, *Kilka nocy poza domem*, *Bagno* oraz dwa tomy sagi fantasy *Ukochani poddani Cesarza — Żmije i krety* oraz *Szczury i rekiny*.

Autobus przejechał przez ulicę. Z drzewa spadło coś mokrego. Trzy gołębie zleciały na asfalt, pokręciły się i odleciały, mimo że staruszek próbował je zatrzymać, rzucając na chodnik okruszki chleba wielkopolskiego. Ale gołębie wiedziały, co robią. Po chwili w tym miejscu, gdzie wcześniej stały ptaki, przeszło trzech wyrostków o pijanych oczach. Jeden z nich charknął i wypluł flegmę, która upadła niedaleko od buta staruszka.

— Ech... Gówniarze — zamruczał staruszek.

Autobus znowu przejechał przez ulicę. Tym razem zatrzymał się na przystanku, bo nie był pośpieszny, tylko normalny. Otworzył drzwi i poczekał chwilę, rżąc głośno, ale staruszek nie wsiadł i nie pojechał, bo nie miał dokąd.

— Ech... Gówniarze — zamruczał staruszek.

Autobus przejechał przez ulicę, ale tym razem nie zatrzymał się, bo zjeżdżał do zajezdni. Przemknęła tylko szoferka wypełniona siwym dymem, bo w środku siedzieli dwaj kierowcy i palili papierosy.

— Ech... Gówniarze, gówniarze — zamruczał staruszek.

Do wiaty przystankowej podeszła młoda dziewczyna. Popatrzyła na staruszkę i sobie poszła.

— Ech... Gówniarze — zamruczał staruszek.

Autobus przejechał przez ulicę i tym razem był pełny, bo jechał od strony centrum handlowego. Na przystanek wysypała się masa tłustych, cichych bab z pękatymi foliowymi reklamówkami. Rozejrzały się, popatrzyły na staruszkę i sobie poszły.

— Ech... Gówniara — zamruczał staruszek, bo przypomniało mu się, że wcześniej obok niego przez chwilę stała dziewczyna.

Do wiaty przystankowej podeszło dwóch wścazy. Usiedli, wyciągnęli z torby malinowy napój alkoholowy, a potem następny i upili się. Zaśpiewali piosenkę: „Kurwa, kurwa, w dupę jebana kurwa”, i wsiadli do autobusu, który jechał do centrum.

— Ech... Gówniarze... — skomentował staruszek.

Autobus tym razem nie przyjechał. W ogóle nie przyjechał, bo się spóźnił.

— Ech... Gówniarze... — skomentował staruszek.

— Ech... Gówniarze, gówniarze...

— Ech... Gówniarze, gówniarze, gówniarze... — mruczał staruszek.

Autobus wreszcie przyjechał. W środku byli studenci, obcy i milczący.

Dwóch wysiadło. Pokręcili się po przystanku, popatrzyli na staruszkę i poszli sobie, każdy w swoją stronę.

— Ech... Gówniarze... — cóż mógł powiedzieć staruszek?

Gołębie dopiero teraz wróciły i zeżarły to, co przez ten czas zostawiły im wróble.

— Ech... Gówniarze... — staruszek dość dobrotliwie oceniał niewierność swoich jedynych towarzyszy, którzy często go opuszczali i wracali tylko po to, żeby zeżreć chleb.

Autobus przejechał przez ulicę. Ze środka wysiedli gówniarze.

— Ech... Gówniarze... — nie zdziwił się staruszek.

Gówniarze pokręcili się, popatrzyli na staruszkę i sobie poszli.

— Ech... Gówniarze... — zadumał się staruszek. — A mogliby pogadać chociaż. Zapytać, jak to kiedyś było... Na przykład pięćdziesiąt lat temu.

Bo co oni wiedzą o życiu, gówniarze? Trzeba było żyć pięćdziesiąt lat temu, żeby wiedzieć, co to jest życie. Wtedy... Inaczej to było. Nie, nie daliby sobie rady. Gówniarze nie daliby sobie rady.

Przez ulicę przeleciał strzęp gazety. Tytuł głosił: „Unia Intergalaktyczna grozi Polsce sankcjami za niewywiązanie”.

Struga czasu

EDMUND WNUK–LIPIŃSKI

urodził się w 1944 roku, profesor socjologii. Przewodniczący Rady Naukowej i kierownik Zakładu Systemów Społeczno–Politycznych w Instytucie Studiów Politycznych PAN, honorowy prezydent i kierownik Katedry Socjologii w Collegium Civitas, przewodniczący Rady Krajowej Szkoły Administracji Publicznej oraz wykładowca w College of Europe. Autor książek na temat czasu wolnego i budżetu czasu, nierówności społecznych, transformacji systemowej oraz formowania się ładu demokratycznego w Europie Środkowej i Wschodniej. Autor lub współautor wielu międzynarodowych badań porównawczych. Opublikował trylogię SF *Apostezjon (Wir pamięci, Rozpad połowiczny, Mord założycielski)* i kilka opowiadań. Członek Polskiego Towarzystwa Socjologicznego, Polskiego Towarzystwa Studiów Politycznych, Towarzystwa Krzewienia i Popierania Nauk. Mieszka w Warszawie.

Jest rok 2001. Pierwszy rok XXI wieku i nowego tysiąclecia. Nie nastąpiła katastrofa informatyczna, bo kalendarzowy błąd programistów z początków ery komputerowej został w porę dostrzeżony i usunięty. Przełom wieku i tysiąclecia nie zaowocował żadnymi nadzwyczajnymi zjawiskami. Przemknął niepostrzeżenie, jak każdy przełom starego i nowego roku. Wielu ludzi na całym świecie postanawiało porzucić od nowego roku złe nawyki (bezskutecznie), wielu też — jak zwykle — zapomniało kupić kalendarzyki pod koniec grudnia i przez pierwsze dni trzeciego milenium zapisywało terminy spotkań na luźnych kartkach.

W owym roku przyszło na świat ponad 130 milionów dzieci; spośród nich 369 tysięcy w Polsce, z tego 179 tysięcy — to były dziewczynki. Jedna z nich — urodzona w Warszawie — została nazwana na chrzcie Magdaleną.

* * *

Magda P. jest nad wiek rozwiniętym dzieckiem, a jej świat, który stopniowo poznaje, składa się z telewizji, komputera, inteligentnych zabawek, dobrego samochodu i wielosetkilometrowych podróży po Europie.

Niepojęte jest dla niej życie bez telewizji satelitarnej, komputera, telefonu komórkowego i samochodu.

Kiedy zaczęła mówić, zrozumiała, że istnieje jeden język, którym posługują się dziadkowie i rodzice. Ale jest też inny, dziwny — używają go rodzice, i to tylko podczas kolacji z obcymi ludźmi przybyłymi z daleka.

Magda P. należy do pierwszej generacji Polek XXI wieku. Jest szybko rosnącą, mającą już własne zdanie w wielu sprawach trzylatką o jasnych, kręcących się włosach i lekko zadartym nosku, który marszczy się, gdy coś nie idzie po jej myśli.

* * *

Pięćdziesiąt lat temu większość dzisiejszej populacji świata nie istniała, co więcej — nawet ogromna rzesza dzisiejszych rodziców jeszcze nie została poczęta. Kiedyś pół wieku wystarczyło do wymiany całej ludzkiej populacji. Dzisiaj, w związku z wydłużeniem życia, do niemal kompletnej wymiany ludzkiej populacji dochodzi w ciągu niespełna osiemdziesięciu lat.

Pięćdziesiąt lat temu nie było komputerów domowego użytku, Internetu, telewizji

satelitarnej, telefonów komórkowych, szybkiego transportu międzykontynentalnego. Pięćdziesiąt lat temu inni ludzie zamieszkiwali inną Ziemię.

* * *

Za pół wieku większość dzisiejszych dorosłych nie będzie już żyła. Ziemię zaludnią dzisiejsze dzieci i ci, którzy się jeszcze nie narodzili. Ludzkość ciągle umiera i ciągle odnawia się przez narodziny nowych pokoleń. Nie odnawia się jednak dokładnie, bowiem świat jest pulsującą zmianą. Polska też.

* * *

W 2050 roku Magda jest już dojrzałą kobietą. Za rok obchodzić będzie swoje pięćdziesiąte urodziny, co skłaniają do rozmyślań o minionym życiu i częstszych niż zazwyczaj spojrzeń w lustro. To ciągle atrakcyjna kobieta, która zwraca uwagę wielu mężczyzn, a niekiedy nawet kobiet. Ale trudy życia odcisnęły swoje ślady nie tyle na skórze, pielęgnowanej kremami najnowszej generacji, co w wyrazie oczu — przygaszonych, bez błysku obecnego w spojrzeniach kobiet sukcesu.

* * *

Magda jest lekarką rodzinną zatrudnioną w prywatnej poradni, która stanowi ogniwo ogólnoeuropejskiej sieci poradni pierwszego kontaktu. Poradnia, usytuowana na skraju Lasu Kabackiego, to jej drugi dom, choć do pierwszego domu na warszawskim Ursynowie ma tak blisko, że w dobrą pogodę dojeżdża do pracy rowerem lub idzie na piechotę. Zarabia sześć tysięcy euro, nie licząc premii za opiekę nad kilkoma pacjentami na Bródnie, gdzie nocne wezwania zawsze obarczone są ryzykiem spotkania z bandytami, a w każdym razie drobnymi złodziejaskami. Nie jest to dużo, ale wystarcza jej na życie w miarę dostatnie, a nawet wspomaganie dwójki dzieci. Córka założyła własną rodzinę i przeniósła się do Danii, gdzie prowadzi farmę ekologiczną, a syn z drugiego małżeństwa dopiero rozpoczął studia, lecz już mieszka osobno i prowadzi własne życie.

Magda P. dba o figurę, której nie zniszczyły dwa porody i wypadek samochodowy sprzed dziesięciu lat. Jest szczupła, wysportowana, pociągłą twarz otacza modna burza jasnych włosów. Starannie wypielęgnowane dłonie ozdabia tylko jeden skromny pierścionek z brylantem. Pierścionek ten ojciec podarował matce w dniu narodzin Magdy P., niespełna pół wieku temu.

Kształt Polski za pięćdziesiąt lat jest już w dużej mierze przesądzony. Łańcuch przyczyn już istnieje (choć nie jesteśmy w stanie go rozpoznać), a upływ czasu dodaje do niego jedynie kolejne ogniwa. Prawdopodobnie już teraz są między nami przywódcy Polski roku 2050, podobnie jak jej przyszli święci i nikczemnicy. Jeszcze pewnie sikają w pieluchy lub emocjonują się przygodami Koziołka Matołka. Nie wiedzą, że Ziemia jest kulista, że w centrum naszej Galaktyki tkwi masywna czarna dziura utrzymująca nasz zakątek kosmosu w obecnej równowadze grawitacyjnej, że mieliśmy rozbiory, wojny światowe, powstania, sowiecki komunizm i „Solidarność”. Jeszcze nie wiedzą, że urodzili się u schyłku pontyfikatu papieża Polaka i że ich narodziny zbiegły się z trudnym procesem wchodzenia Polski w strukturę Unii Europejskiej. Odkrycie tych wszystkich zdarzeń jest dopiero przed nimi, przyszłymi pięćdziesięciolatkami. I będzie to dla nich odległa historia, czasami żywa w pamięci, częściej — martwa i nie mająca istotnego związku z ich codziennym życiem w połowie XXI wieku. Będzie to historia, której uczyć się będą w szkołach, poznawać poprzez

kostiumowe gry komputerowe i zrzęczenia dziadków na „dzisiejszy, zepsuty świat”.

* * *

Co miało się stać, już się stało. „Annuszka rozlała olej na trotuar”, już zbliża się do tego miejsca i Berlioz, i tramwaj, który utnie mu głowę, dokładnie tak, jak przepowiedział Woland w *Mistrzu i Małgorzacie*. Losy 369 tysięcy Polaków urodzonych w pierwszym roku nowego millennium są już w znacznej mierze przesądzone. Losy Magdy — też, ale na szczęście — nie do końca.

Życie składa się z pozornie przypadkowych zdarzeń, które mają swoje przypadkowe przyczyny i które prowadzą do czasami oczekiwanych, ale częściej — nieoczekiwanych skutków. Struga życia to — słowem — astronomicznie wielka płatanina zdarzeń, które nawzajem się warunkują. Jeszcze więcej jest zdarzeń potencjalnych. Mogłyby one zajść, gdyby nie drobne w istocie przypadki, które przesądziły, że uruchomił się jeden łańcuch przyczyn, a inny — w gruncie rzeczy równie prawdopodobny — wygasł całkowicie lub na jakiś czas. Jeśli patrzymy wstecz, to w zasadzie jesteśmy w stanie zrekonstruować w miarę dokładnie ciąg przyczynowo — skutkowy, który doprowadził do określonego zdarzenia. Ale nie możemy tego zrobić w odniesieniu do przyszłości. Może to dobrze? Może jest to bezpiecznik, który pozwala nam żyć?

* * *

Gdyby Magda dziesięć lat temu, w 2040 roku, wjechała w zakręt pięć sekund później, nic by się nie stało, bo pędząca z naprzeciwka ciężarówka, która ścinała zakręt, zajęłaby swój pas na jezdni i nie potrafiłaby samochodu Magdy. Gdyby wjechała w zakręt pięć sekund wcześniej, zderzyłaby się z ciężarówką czołowo i prawdopodobnie zginęłaby. Gdyby siedziała na miejscu pasażera, to też zginęłaby, zamiast jej drugiego męża, który godzinę wcześniej oddał jej kierownicę. Z jakiegoś powodu miała żyć nadal, choć nie wiedziała dlaczego.

Poczuła wtedy chłodny powiew śmierci i od tamtego czasu kilka razy pojawiło się to samo tchnienie, choć do niczego szczególnego nie doszło. Nie potrafiła tego inaczej wytłumaczyć, więc przyjęła, że są to nawroty nerwicy pourazowej, którymi nie należy się przejmować. Wystarczy wziąć tabletkę antydepresyjną i przełączyć komunikator domowy na muzykę klasyczną. Kiedy mieszkanie wypełniają subtelne kompozycje Góreckiego i Rachmaninowa, zagadkowe dźwięki najmodniejszej ostatnio muzyki Clina czy patetyczne tony Beethovena, Magda czuje, że życie ponownie nabiera barw, a niedobry nastrój ulatnia się jak niepożądany zapach po włączeniu neutralizatora. Gdybyśmy mogli podejrzeć jej myśli w takiej chwili, to dowiedzielibyśmy się, że krążą one leniwie wokół tajemnicy przyszłości, która staje się przeszłością.

* * *

„Przyszłość — myśli Magda — owa nieodgadniona, amorficzna, szara masa, napiera na mnie bez przerwy. Jestem przetwornikiem przyszłości. W nieokreślonym ułamku czasu, zwanym terażniejszością, w tym ułamku, którego nie sposób uchwycić, bo sięgając doń, redukuje się go do bezwymiarowego punktu — przetwarzam przyszłość w przeszłość. Zamieniam mgliste oczekiwania, nadzieje i lęki w pamięć o tym, co się stało i nie może ulec już żadnej zmianie. Płynę mozolnie w strudze czasu, usiłując jakoś sobą sterować, ale jakże mizerne są skutki tego ciągłego wysiłku! Muszę tak płynąć, bo na tym właśnie polega życie.

Gdy zatrzymam się i unieruchomię terażniejszość, ów zanikający punkt, będzie to oznaczać, że moje życie dobiegło kresu. Zamknę się w terażniejszości, w której nie będzie ani przyszłości, ani przeszłości. Jedynie wieczność, czyli bezruch i Nicość”.

* * *

Magda — po śmierci drugiego męża — nieznośną pustkę zabijała lekturami filozofów i doktorów Kościoła, którzy wieki temu mieli te same problemy z uchwyceniem sensu życia, co ludzie dzisiejsi.

Wyobraźmy sobie, że przyszłość można prześledzić z równą precyzją jak przeszłość. Jaki byłby to świat? Naturalnie w pierwszej kolejności zbankrutowałyby wszystkie kasyna. Ale to drobiazg, bowiem zbankrutowałyby także nadzieja. Jeśli ktoś na przykład nosiłby w sobie zapowiedź nieuchronnej tragedii, która spotka go w przyszłości, i nie miałby żadnej możliwości jej odwrócenia, to pozbawiony byłby nadziei, która na przekór przeciwnościom i ciosom losu pozwala żyć dalej. Ale przecież w obliczu nadchodzącej tragedii podejmowano by środki zaradcze; nikt, kto znałby przyszłość, nie pozostałby pasywny w takiej sytuacji.

A zatem gdybyśmy znali przyszłość, tym samym zburzylibyśmy owe poplątane łańcuchy przyczyn i skutków, gdyż naszym działaniem pragnęlibyśmy odwrócić przeznaczenie. Gdyby Magda wiedziała, co czekają dziesięć lat temu na owym fatalnym zakręcie, to zwolniłaby lub nawet stanęła na kilka minut, jej drugi mąż nie zginąłby, a jej życie potoczyłoby się zupełnie innym torem. Gdybyśmy dokładnie znali przyszłość — unicestwilibyśmy naszą wiedzę na jej temat. Bowiem to, co miało stać się realną przyszłością, na skutek naszych działań nabrałoby statusu przyszłości jedynie potencjalnej. A działania te przyniosłyby efekty i tak nie do końca przewidywalne. Nie byłibyśmy w dużo lepszej sytuacji niż teraz.

Przyszłości nie możemy przewidzieć, bo w splątanej pajęczynie tego, co możliwe, jedynie drobna część potencjalności zamienia się w rzeczywistość. O tym, co staje się rzeczywistością, a co pozostaje jedynie potencjalnością, decyduje najczęściej przypadek, a także czynnik przez jednych zwany wolną wolą, przez innych — indeterminizmem zdarzeń uruchamiających jedne, a wygaszających inne ciągi przyczynowo — skutkowe. Do jakiegokolwiek nazwy bylibyśmy przywiązani, bezsporny wydaje się fakt, iż nasze życie (jednostkowe, a tym bardziej zbiorowe) nie jest do końca zdeterminowane, a pewne indeterministyczne residuum sprawia, że każdy człowiek z ogromnej puli potencjalnych wariantów życia realizuje tylko jeden, i to bez możliwości powtórki. Dopiero później do owego ciągu przypadków dopisujemy mniej lub bardziej przekonujące teorie.

Magda żyje samotnie, choć przyjaciele namawiają ją do jakiegoś trwalszego związku, jeśli już nie z mężczyzną, to choćby z kobietą, bo pozostawanie w stabilnym związku emocjonalnym — jak wynika z najnowszych badań — wzmacnia naturalną odporność organizmu na szalejącego w świecie wirusa, stanowiącego genetyczną mutację zwalczanego już wirusa HIV. Jego ofiarą padają najczęściej osoby samotne. Są one szczególnie podatne na nastroje depresyjne i przelotne kontakty seksualne, które zawsze noszą w sobie ryzyko infekcji.

Magda jest zbyt staroświecka, by wzorem pokolenia jej dzieci poddawać się panującej obecnie modzie na związki jednopłciowe. Traktuje ten trend jako jeszcze jedną próbę zatrzymania czasu, jako chęć przedłużenia już nie młodości, ale dzieciństwa, kiedy obie płcie, wprawdzie zaintrygowane sobą wzajemnie, nie przekraczały jednak linii demarkacyjnej dzielącej świat dziewcząt i chłopców, a rozmaite fantazje realizowały w ramach swojej grupy. Uważa to za zwycięstwo staroświeckiej gombrowiczowskiej pochwały niedojrzałości, choć z pewnością ci młodzi już nie wiedzą, kim był Gombrowicz.

Wzbrania się też przed miłością tradycyjną, bowiem tę ostatnią przyplącała traumatycznym urazem, ciągle żywym, który sprawia, że przewijający się przez jej życie mężczyźni nie

rozpalają w niej prawdziwej miłości, bo podświadomie nie chce kolejny raz stracić kogoś, kogo kocha. Czy mogłoby być inaczej? Często nawiedzają tęsknota za owym „inaczej”, pragnienie odwrócenia strzałki czasu i wejścia w inną trajektorię życia. Zażywa wtedy pigułki antydepresyjne, które działają szybko i skutecznie. Włącza ulubioną muzykę. I znowu wszystko powraca na swoje miejsce, a niepokojące myśli ulatniają się bez śladu.

Jest pogodny poranek. Choć to koniec października, dni jeszcze bywają ciepłe i tak najprawdopodobniej będzie do połowy listopada, kiedy rozpocznie się sezon północnych huraganów. Dopiero po ich przejściu trzeba będzie sięgnąć po ciepłe ubrania, ale i tak nie należy spodziewać się takiej zimy, jaką Magda pamięta z dzieciństwa. Ostatni śnieg zanotowano w Warszawie pięć lat temu i od tej pory zima odznacza się jedynie dokuczliwymi mżawkami, tworzącymi kałuże, które dopiero nad ranem pokrywają się cieniutką warstwą lodu. Palmy, zdobiące ważniejsze skrzyżowania w centrum, przestano przenosić na te miesiące do oranżerii. Stoją więc cały rok, nadając miastu nieco orientalny wygląd, i są dobrym uzupełnieniem bizantyjskiego w formie Pałacu Kultury i Nauki, otoczonego palisadą szklanych wieżowców, których rozchwiane sylwetki zdają się przeczyć prawu grawitacji.

Magda leży jeszcze w łóżku, ale rozmaite brzęczyki dają znać, że kuchnia rozpoczęła przygotowania do śniadania. Kiedy poprzedniego wieczoru programowała ją na dzień następny, lodówka zasygnalizowała brak śmietanek do kawy i końcówkę antycholesterolowego masła syntetycznego oraz soków. Kupi śmietankę w czasie joggingu, który uprawia często przed śniadaniem. Wprawdzie nie ma dzisiaj specjalnej ochoty na bieganie, ale brak śmietanki przesądza sprawę: połączy przyjemne z pożytecznym. Wkłada dres i buty sportowe, do kieszeni wsuwa komórkowy komputer i opuszcza mieszkanie.

* * *

Biegnie ścieżką rowerową w stronę lasu. Po kilkuset metrach jej organizm przystosowuje się do wysiłku, a oddech nabiera właściwego rytmu. Resztki snu ulatniają się, a płuca wypełnia rześkie powietrze poranka. Nie ma dzisiaj zbyt wielu biegaczy; tu i ówdzie przemykają sylwetki uprawiających jogging ludzi ze słuchawkami na uszach i miernikami funkcji życiowych przy pasie. Magda nie używa miernika, choć sama zaleca jego stosowanie pacjentom. Uważa, że sam organizm — jeżeli tylko słucha się jego sygnałów — najlepiej reguluje porcję potrzebnego wysiłku, który nie jest niebezpieczny dla zdrowia; po to przecież ewolucja wynalazła mechanizm zmęczenia. Nie ma też słuchawek, bo lubi słyszeć poranne dźwięki leśnego ptactwa, jeśli akurat nie przelatuje samolot z pobliskiego Okęcia. Zresztą tłumiki, które wymogli na konstruktorach ekolodzy, są tak sprawne, że lądująca maszyna bardziej przypomina gigantyczny szybowiec niż dawne, hałaśliwe i trujące środowisko odrzutowce pasażerskie.

Wraca, lekko tylko spocona, i stwierdza z zadowoleniem, że utrzymuje się w dobrej kondycji. Przed nią biegnie ciężko jakiś mężczyzna. Zatrzymuje się przy ulicznym automacie spożywczym i dysząc, opiera się o jego obły kształt. Magda podbiega bliżej i widzi bladą, młodą twarz ściągniętą grymasem bólu.

— Wszystko w porządku? — pyta, a mężczyzna, nie mogąc złapać oddechu, tylko kiwa potakująco głową. Jednak Magdę coś zaniepokoiło.

Podchodzi bliżej i w tym momencie mężczyzna osuwa się na ziemię.

Magda patrzy na jego miernik funkcji życiowych, ale ekranik jest pusty.

„Zapewne wyczerpała się bateria” — myśli. Bada puls leżącego i stwierdza z ulgą, że nie wygląda to na atak serca.

— Co panu jest?

— Mam kłopoty z kręgosłupem — nieznajomy mówi z trudem, przez zaciśnięte zęby, najwyraźniej pokonując ból.

— W takim razie w ogóle nie powinien pan biegać — Magda stwierdza stanowczo. — Proszę położyć się płasko, a ja wezwę pogotowie — wyjmuje komórkowy komputer. Łączy się z dyspozytorem i krótko przedstawia wstępną diagnozę.

— Będą tu za dziesięć minut — mówi do mężczyzny, który tymczasem usiłuje wstać. Powstrzymuje go stanowczo:

— Jestem lekarzem, proszę mnie słuchać. Jeżeli to rzeczywiście kręgosłup, to lepiej się nie ruszać.

Patrzy na mężczyznę, który jest znacznie od niej młodszy. Nie może mieć więcej niż trzydzieści lat. Siada przy nim i pyta:

— Gdzie boli?

On pokazuje plecy. Magda przesuwa dłoń po stosie pacierzowym, ale przez gruby dres nie wyczuwa niczego. Leżenie najwyraźniej przynosi mu ulgę, bo rysy twarzy rozluźniają się.

— Ma pan szczęście, bo gdyby nie zabrakło mi śmietanki do kawy, dzisiaj bym nie biegła.

— Odezwał się zadawniony uraz — mężczyzna usiłuje się uśmiechnąć. — Aparacik milczał, więc myślałem, że wszystko w porządku. Dziękuję za pomoc, już teraz dam sobie radę.

— Niech pan nie mówi głupstw. Poczekam tu, aż przyjedzie karetka.

— Już mi lepiej. Mógłbym pobiec dalej.

— O bieganiu proszę zapomnieć. Może pan skończyć na wózku inwalidzkim.

Wstaje, bierze z automatu śmietankę do kawy i wsuwają do kieszeni dresu.

— O, już jadą! — woła i macha w kierunku ambulansu. — Niech się pan trzyma. Teraz już się panem zajmą. I trzeba wymienić baterie — pokazuje na miernik.

* * *

Wraca do domu. Włącza komunikator. Duży, płaski ekran wiszący na ścianie, przypominający do złudzenia obraz w starych ramach, ożywa. Zamiast nieruchomej „Tratwy meduzy” Gericault, którą w tym tygodniu ustawiła jako wygaszacz ekranu, pojawia się menu. Wybiera z niego wiadomości lokalne oraz adresowane do niej osobiście, jakie nadeszły w ciągu nocy. Idzie do łazienki. Myjąc się, obserwuje na podglądzie prognozę pogody dla Warszawy oraz zerkając na informacje dotyczące obszarów miasta, w których prawdopodobieństwo wypadków i rozbojów będzie dzisiaj wyższe od przeciętnej. Dane te nie zawsze się sprawdzają, ale są na tyle trafne, że od nich zaczyna dzień niemal każdy mieszkaniec aglomeracji, jeśli zamierza wyjść do miasta.

Idzie do kuchni, wypełnionej zapachem kawy i tostów. Smaruje pieczywo miodem gryczanym, sprowadzonym z enklawy ekologicznej na Kaszubach, i przegląda nocną pocztę — bez włączonej kamery, bo jeszcze nie skończyła się ubierać. Na podglądzie w kuchni migają twarze znajomych i przyjaciół z Sidney, Montrealu, Tokio i Hongkongu, mówiących o różnych, najczęściej błahych sprawach. Odpowiada im pospiesznie, popijając mocną kawę z ulubionego porcelanowego kubka. Poczta z europejskiej strefy czasowej nadejdzie w ciągu dnia. Zajmie się nią po powrocie z pracy. Kończy śniadanie i wkłada strój wyjściowy. Otwiera katalog wizyt domowych (już z włączoną kamerą). Nie ma tego dużo i większość może załatwić, nie odwiedzając chorych: kolka nerkowa u pana Zawiei, dolegliwości żołądkowe u pani Górkiewicz i przeziębienie u pani Wierszyłło. Rozmawia chwilę z pacjentami, przesyła do składnicy leków dyspozycję i umawia się na zdalną wizytę kontrolną późnym popołudniem. Będzie musiała jednak pojechać do pani Grzegorzycy na Bródno, bo jej syn wykazuje objawy zatrucia, a matka nie potrafi podłączyć dziecka do końcówki komputerowej, więc diagnoza na odległość jest niemożliwa.

Łączy się z poradnią, by powiadomić ich, że wypadła jej pilna wizyta domowa i przyjdzie

później.

Dolewa sobie kawy z ekspresu, na klawiaturze lodówki wystukuje zamówienie do supermarketu i programuje kuchnię na przygotowanie posiłku po jej powrocie do domu. Przegląda najnowsze wiadomości z Europy i świata. Fale wywołane jesiennym huraganem atlantyckim ponownie zalewają zachodnie i północne wybrzeże kontynentu. Zwłaszcza Holendrzy mają duże kłopoty z utrzymaniem suchego lądu, mimo ukończonych w zeszłym roku potężnych falochronów kilkusetkilometrowej długości. Znowu trzeba będzie im pomagać. W południowych Włoszech od samego rana zamieszki na tle świadczeń socjalnych, które Bruksela obcięła temu regionowi na skutek notorycznej korupcji. Francuska Partia Islamska prowadzi w sondażach przed zbliżającymi się wyborami lokalnymi, co jest zgodne z oczekiwaniami ekspertów, bowiem jest to jedyna zjednoczona i sprawnie zorganizowana partia, bez trudu wygrywająca ze skłóconymi grupkami politycznymi. Jeśli nic się nie zmieni, to wygra wybory i przeprowadzi referendum na południu Francji w sprawie przyłączenia tego regionu do panislamskiego Basenu Morza Śródziemnego. Stany Zjednoczone Ameryki podpisały z Demokratycznymi Chinami umowę o strategicznym sojuszu militarnym i gospodarczym, aby przeciwstawić się — jak to ujął prezydent USA — „agresywnej ekspansji globalnej sieci bojówek islamskich”. Na Bliskim Wschodzie, po serii krwawych zamachów, władze Izraela i Palestyny ogłosiły czterdziesty drugi plan osiągnięcia trwałego pokojowego współistnienia, który ma być poprzedzony trzymiesięcznym moratorium na ataki bombowe w dzielnicach cywilnych. Polska została upoważniona przez Europę do negocjowania z Rosją przyszłorocznych kwot produkcji rolnej i siły roboczej dopuszczonej na rynek europejski.

Magda dopija kawę. Nic szczególnego się nie dzieje; dzień jak co dzień. Wstaje, ubiera się do wyjścia i jej wzrok zatrzymuje się na ekspresyjnym wizerunku Jezusa, namalowanym na topornej i rozpadającej się desce. Obraz ten jest ciągle w tym samym miejscu, odkąd pamięta.

Powiesiła go jej matka, która nauczyła ją kilku modlitw. „Jeśli, Panie, istniejesz i masz poczucie humoru, to musi Cię bawić, co się z nami wszystkimi dzieje” — przelatuje jej przez głowę.

* * *

A przecież można sobie wyobrazić, że owe warianty życia indywidualnego i zbiorowego, tak ostro dzielone przez nasze doświadczenie zmysłowe i rozsądek na potencjalne i rzeczywiste, wcale nie muszą podlegać takiemu podziałowi. Niektórzy uczeni wyciągają z mechaniki kwantowej wnioski o możliwości istnienia nieskończenie wielu światów równoległych. W każdym z nich realizuje się rzeczywistość w innych światach będąca ledwie potencjalnością. W tej perspektywie — choć na mocy definicji jest ona empirycznie niesprawdzalna i dlatego duża część fizyków odrzuca ją jako koncepcję nienaukową i zbędną — wszystkie potencjalności realizowałyby się, choć szczelnie odizolowane. Co więcej, fizyka relatywistyczna zdaje się mówić nam, że przeszłość w tym wariantcie życia, który dla nas jest realny, nie stanowi jedynie funkcji naszej pamięci, ale istnieje fizycznie, tyle że cofnięta w czasie. Jeżeli bylibyśmy w stanie dogonić fale elektromagnetyczne poruszające się z prędkością światła, to moglibyśmy oglądać telewizyjne sceny z zabójstwa prezydenta Kennedy’ego na żywo, a nie jak film archiwalny.

Zatem można wyobrazić sobie, choć przeczy to zdrowemu rozsądkowi, że ludzie, którzy w młodym wieku pomarli w naszym wariantcie życia, istnieją najzupełniej fizycznie, tyle że wcześniej w stosunku do chwili obecnej, a być może żyją także w świecie równoległym, czyli w tym wariantcie zdarzeń, który dla nas jest jedynie niezrealizowaną możliwością.

* * *

Magda nie wierzy, że jej drugi mąż, który był jej pierwszą (i zapewne ostatnią) wielką miłością, żyje gdzieś w przeszłości, a nie jedynie w jej pamięci.

* * *

Metro o tej porze jest zatłoczone, bo prawie nikt już nie jeździ samochodem przez centrum. Magda przesiada się na placu Bankowym; linia prowadząca na Pragę Północ i dalej, aż do Akademii Policyjnej w Legionowie, została oddana do użytku zaledwie trzy lata temu i tylko dlatego Magda zgodziła się przyjmować pacjentów z Bródna. Pociąg zatrzymał się z sykiem pneumatycznych amortyzatorów. Przed wyjściem ze stacji sprawdziła, czy ma ze sobą paralizator elektryczny.

* * *

Być może gdzieś, w owych światach równoległych (jeśli dopuścimy ich istnienie choćby dla ćwiczenia w wyobraźni), nadal istnieje Polska komunistyczna, bo Wałęsa nie przeskoczył przez płot, bo Alina Pieńkowska nie zatrzymała wychodzących już ze Stoczni robotników i nie doszło do strajku solidarnościowego, bo na Kremlu zwyciężyła opcja siłowego rozwiązania problemu „Solidarności” w 1980 roku wbrew naciskom USA. W wariacie tym Polska roku 2001 rządzona jest żelazną ręką sędziwych starców (Olszowskiego i Kociołka), którzy doprowadzili do komunistycznego „cudu gospodarczego”, bo cytryny pojawiają się w sklepach na miesiąc przed Bożym Narodzeniem, banany są w ciągłej sprzedaży już od połowy grudnia, a zasłużeni przodownicy pracy dostają przydział na samochody koreańskie, importowane z pobliskiej Austrii. Owe przydziały na czarnym rynku osiągają zawrotne ceny, gdyż zasłużonych przodowników pracy nie stać na kupno tico czy lanosa, ale dzięki pozbyciu się tego przywileju zyskują środki na kupno małego fiata i jeszcze starczy na pralkę. Wszyscy są zadowoleni, w zasadzie nie ma kłopotów z podstawowym zaopatrzeniem w chleb i masło, a zdarzające się okresowo asortymentowe braki uzupełniane są albo pomocą humanitarną z Węgier i Słowacji, albo też interwencyjnym importem z Rosji.

Ulica Kondratowicza sprawia przygnębiające wrażenie. Ściany domów upstrzone są graffiti, których sensu nie rozumie nikt poza ich autorami. Na ulicy walają się śmieci, co raz to wzbijane w górę przez przejeżdżające samochody. Od dziesięciu lat — kiedy to samorząd warszawski uznał miękkie narkotyki za mniejsze zło niż papierosy i alkohol — ulicę tę upodobały sobie komuny młodzieżowe z całej Europy, co spowodowało exodus starych mieszkańców, a pustoszące kamienice okazały się zachętą dla kolejnych komun, zasiedlających je na dziko. Starszych osób pozostało niewiele; jedną z nich jest pani Grzegorzczuk, matka dziecka z zatruciem pokarmowym. Jedynie Chińczycy i Wietnamczycy, którzy utworzyli wokół parku Bródnowskiego swoją schludną enklawę, stanowią naturalną zaporę przeciw rozprzestrzenieniu się komun na południe dzielnicy. Magda nie lubi tej części Warszawy i czuje się tu jak w obcym mieście. Różnojęzyczny gwar ulicy, młodzi żebracy w poplamionych dresach i brudne budki z orientalnym fast foodem stwarzają wrażenie rozkładu, a przecież już dwie ulice dalej rozpoczynają się tereny Expo 2040, nawet dzisiaj imponujące nowoczesnością i rozmachem architektury. Pani Grzegorzczuk mieszka niewiele ponad sto metrów od stacji metra, więc Magda przemierza ten dystans szybko, ściskając w rękę paralizator.

Być może istnieją też światy równoległe, w których Polska w ogóle nie doświadczyła komunizmu i jest zasobnym europejskim krajem, bo Francja i Anglia zgodziły się na koncepcję Piłsudskiego o wojnie prewencyjnej przeciwko słabemu jeszcze Hitlerowi i wcale nie doszło do drugiej wojny światowej i holokaustu. Polska jest wielonarodowym krajem, w którym współżyją kultury polska, żydowska, ukraińska, litewska i białoruska. Wybuchające

pod koniec XX wieku tu i ówdzie właśnie na tle narodowym są już odległą historią, bowiem kraj rządzony jest mądrze, a tożsamości narodowe i etniczne Polaków, nadal bardzo żywe, nie dominują nad lojalnością wobec państwa i dumy z przynależności do wspólnoty, która dla reszty Europy jest wzorem tolerancji, kooperacji i zaufania między ludźmi. Być może w takim równoległym świecie Polska — obok Francji, Niemiec i Hiszpanii, w której Franco upadł tuż po interwencji w Niemczech — jest założycielem Konfederacji Europejskiej — gwaranta równowagi światowej pomiędzy rosyjsko–chińską Eurazją a angielsko–amerykańskim sojuszem północnoatlantyckim.

* * *

Po udzieleniu porady lekarskiej (zatrucie nie było poważne, mogłaby je zlikwidować z Ursynowa, gdyby pani Grzegorzycy potrafiła podłączyć dziecko do domowej końcówki aparatu diagnostycznego) Magda z ulgą wraca do swojej części Warszawy. W metrze o tej porze nie ma tłoku, znajduje miejsce siedzące. Jej komputer kieszonkowy sygnalizuje nadchodzącą pocztę. W supermarkecie skończył się majonez dietetyczny i pytają, czy może być normalny. „Może” — odpowiada. Przegląda przy okazji listę pacjentów, czekających na nią w poradni. Nie ma ich wielu, zaledwie trzy osoby, ale w sąsiedztwie poradni rozpościera się miła dzielnica willowa, zamieszkała głównie przez ludzi wykształconych, którzy na ogół sami — za pomocą komputera domowego — są w stanie zlikwidować drobne dolegliwości zdrowotne. Przyjaciółka z Budapesztu pyta, jak przyrządzić flaki po warszawsku (Magda łączy się z domowym komputerem i wysyła stosowny przepis, odziedziczony po matce), a kolega z Lille chce wiedzieć, czy mógłby z przyjaciółką zatrzymać się u Magdy na kilka dni, bo „hotele są takie bezosobowe”. Oczywiście przygotowuje im pokój gościnny i nawet z przyjemnością myśli o wizycie dwójki gadatliwych Francuzów, którzy zresztą zawsze przywożą ze sobą jakieś pyszne specjały, niedostępne na standardowym rynku ogólnoeuropejskim z powodu ostrych norm sanitarnych.

Pociąg metra staje na stacji Las Kabacki Południowy. To stacja przy jej poradni. Kwadrans jazdy minął niepostrzeżenie. Zresztą Magda zauważyła, że w miarę jej starzenia się czas biegnie coraz szybciej. Kiedy była studentką, trzymiesięczne wakacje wydawały się tak długie, że niemal wszystko mogło się zdarzyć. Dzisiaj pędzą jak pociąg ekspresowy z Madrytu do Warszawy, z którego korzysta co roku, jadąc do swojego letniego domku. Tłumaczy to sobie tak, że w czasach studenckich rok był jedną dwudziestą jej życia, a dzisiaj — zaledwie jedną pięćdziesiątą. Czas płynie, jeżeli ktoś postrzeżga jego upływ, jak rzeka o coraz większym spadku; im bliżej spotkania z oceanem — tym szybciej. Co jest tym oceanem, na którego spotkanie pędzimy z coraz większą prędkością? Czy tylko niezmierna pustka, nicość równie niepojęta jak Leibnizowskie „coś”, bezcelowy i przygodny byt powołany na jakiś czas z niebytu i zanurzający się w nim na powrót? Czy też jakiś byt absolutny, dla którego nasze krótkotrwałe istnienie jest tylko końcowym fragmentem łańcucha pokarmowego? Nieruchoma otchłań bezosobowego „nic”, dla której „coś” jest krótkotrwałą aberracją, osobliwą zmarszczką na gładkim obliczu nicości.

* * *

Już św. Augustyn twierdził, że dobrze wie, czym jest czas, dopóki ktoś nie poprosi go o definicję czasu. Od tamtego momentu nie poszerzyliśmy naszej wiedzy na ten temat. Jest, co prawda, mnóstwo definicji czasu (od fizycznych do subiektywnych), ale podstawowe jego tajemnice pozostają niezgłębione. Jednokierunkowość czasu (od przeszłości ku przyszłości), dzięki której da się powiązać skutki z przyczynami, nie może zostać odwrócona, bo popadniemy w ciężkie paradoksy logiczne. Wprawdzie fizyka kwantowa sugeruje pewne

wyjątki od tej żelaznej reguły, ale w makroświecie możemy je ignorować i ufać, że skutek nigdy nie będzie poprzedzać przyczyny. Jest jednak okrutna cena, jaką musimy płacić za porządek przyczynowo — skutkowy: nieodwracalność ciągu zdarzeń, które już zaszły. Nic nie przywróci życia drugiemu mężowi Magdy, nic nie zdoła zreperować starganych więzów miłości, uczucia, które mogło jeszcze trwać przez długie lata, gdyby Magda wjechała w ów fatalny zakręt pięć sekund później.

* * *

Kończy pracę nieco wcześniej niż zwykle. Honorarium za dzisiejszy dzień, skrupulatnie wyliczone przez komputer poradni, już jest na jej koncie. Niebo nieco zachmurzyło się, ale z pewnością nie będzie padać. Magda wraca spacerkiem do domu, mijając zadbane posesje z równo przyciętymi trawnikami. Od czasu do czasu jakiś pies ujadaniem daje znać, że czuwa. Lekki, popołudniowy wietrzyk igra w kosmykach jej włosów. Ruch jest w tej okolicy niewielki, nawet więc słychać szczebiot ptaków, uwijających się w koronach rozłożystych platanów, rosnących wzdłuż ulicy.

Odzywa się kieszonkowy komputer. To Robert, przyjaciel jeszcze z okresu studiów, z którym miała burzliwy, choć krótkotrwały romans, chce ją wyciągnąć na przyjęcie. Magda nie ma nic lepszego do roboty, chętnie przyjmuje więc zaproszenie, tym bardziej że zdążyła zaprzyjaźnić się z Zosią, obecną żoną Roberta. Zresztą Zosia chyba jest biseksualna, bo czułości, jakie wymienia z Magdą, balansują na granicy przyjaźni. Gdyby Magda dała jakiś zachęcający sygnał, chyba by tę granicę łatwo przekroczyły. Robert mówi, że będzie większe towarzystwo, ale stroje mają być niezobowiązujące.

* * *

W domu Magda włącza komunikator i rozpakowuje dostawę z supermarketu. W poczcie nie ma żadnych nowych wiadomości. Łączy się z porannymi pacjentami. Dolegliwości ustąpiły, z wyjątkiem kolki nerkowej pana Zawiei: przytłumiona środkami przeciwbólowymi, nadal daje znać o sobie. Magda kieruje go do najbliższego szpitala, podejrzewając, że w wejściu do moczowodu ulokował się kamyczek; w szpitalu rozkruszą go rezonansowe Magda zjada posiłek, którego przygotowanie zaprogramowała przed wyjściem, i wkłada naczynia do zmywarki.

Zrzuca buty, nalewa sobie soku z granatów i wyciąga się na kanapie. Przegląda popołudniowe doniesienia agencyjne, ale nie dzieje się nic szczególnego, jeśli nie liczyć niezbyt groźnej awarii w międzynarodowej bazie marsjańskiej. Magdę ogarnia poczucie senności. Drzemie płytko, bo słyszy monotony potok wiadomości z komunikatora, ale zarazem myśli płyną leniwie i chaotycznie, jak zwykle, gdy uwalniają się spod kontroli trzeźwego umysłu. Po jakimś czasie wybijają z drzemki natarczywy dźwięk brzęczyka zmywarki kończącej pracę.

* * *

Nie możemy manipulować przyczynami, skoro należą one już do przeszłości. Fantazje na temat realnych, choć niedostępnych światów równoległych, są rodzajem wyrafinowanej otuchy, jaką napełniamy nasze serca, aby pokrzepić się wątłą nadzieją, której w naszym świecie nie możemy na niczym oprzeć, kiedy bieg naszego życia przyjmuje fatalny kierunek. Tak mówi Magdzie rozsądek i oświeceniowa wiara w realność jedynie rzeczy empirycznie sprawdzalnych. Ale Magda ma na ten temat swoją własną teorię. Gdybyśmy tę blisko

pięćdziesięcioletnią kobietę, przygotowującą się właśnie do wyjścia na przyjęcie, zagadnęli, co o tym myśli, zapewne powiedziałyby:

„Gdy miałam pięć lub sześć lat, zapytałam ojca, czy istniałby dalej wiatr, gdyby wycięto wszystkie drzewa na Ziemi? Ojciec początkowo w ogóle nie zrozumiał, o co mi chodzi. Więc mu wyjaśniłam, że przecież wiatr bierze się stąd, iż drzewa się poruszają i tym samym wprawiają w ruch powietrze. Bardzo rozczarowało mnie wyjaśnienie, że jest na odwrót. Moje tłumaczenie było prostsze, a na dodatek nie przeczyło mojemu ówczesnemu doświadczeniu. Przecież wiedziałam, że jak się szybko porusza kartką papieru, to powstaje wiatr. Odwoływanie się do różnic ciśnień było niejasne (ciśnienia nie widać), a przy tym — zbędne.

Gdy przywołuję to wspomnienie, nachodzi mnie myśl, że i teraz mogę popełniać ten sam błąd i to w obie strony. A więc mogę brać pewną rzeczywistość urojoną za rzeczywistość faktyczną. Byłaby to dewiacja metafizyczna albo inaczej — «błąd poznawczy pierwszego rodzaju». Ale z kolei, mogę interpretować otaczającą mnie rzeczywistość w wąskich kategoriach zmysłowych, nie zdając sobie sprawy (ze względu na ograniczoność zmysłów) z prawdziwej jej złożoności. To podejście można by nazwać dewiacją pozytywistyczną lub «błędem poznawczym drugiego rodzaju».

Dlatego — w gruncie rzeczy — nie posunęłam się w swej wiedzy zbyt daleko od czasów dzieciństwa i przeżywam obecnie właściwie te same dylematy, co wówczas”.

Tak prawdopodobnie odpowiedziałyby, gdybyśmy mogli ją zapytać — ale nie możemy, bo Magda ma dopiero niespełna trzy lata i jeszcze nie zadała tego pytania swojemu ojcu.

* * *

Przybywa na przyjęcie spóźniona, gdy zabawa jest już w pełnym toku. Wita się z Robertem i Zosią i wręcza im wino z dobrego rocznika 2046. Bierze z tacy kieliszek i rozgląda się po pokoju. Jest sporo osób, ale jej uwagę przykuwa młody mężczyzna, siedzący sztywno na krześle. Pyta, kto to jest.

— Już ci wpadł w oko? — odpowiada wesoło Zosia. — To psycholog.

Przyleciał wczoraj z Florencji i zatrzymał się u nas na kilka dni. Ale nie będziesz miała z niego wielkiego pożytku, bo się nabawił jakiejś paskudnej kontuzji. Chodź, przedstawię ci go.

Podchodzą do mężczyzny.

— To Ryszard, znajomy naszego syna z Włoch — Zosia dokonuje prezentacji. — A to Magda, nasza przyjaciółka. Poznajcie się.

— Jak kręgosłup? — zagaduje Magda.

— Nic wielkiego. Nastawili mi kręgi i nawet mogę chodzić, tyle że dość sztywno, bo wsadzili mnie w gorset.

— Znacie się? — Zosia jest zdumiona.

— Tak — uśmiecha się Ryszard. — Pani doktor ratowała mi dzisiaj życie.

— Bez przesady — mityguje go Magda. — Jak się pan czuje?

— Gdyby nie wezwała pani pomocy, mógłbym mieć kłopoty. Ale już wszystko jest pod kontrolą. Dzięki.

— O czym mówicie? — dopytuje się gospodyni.

— Dzisiaj rano ten pan padł mi pod nogi, więc musiałam się nim zająć. Już nie boli?

— Nie ma o czym mówić. Ten uraz od dziesięciu lat odzywa mi się zawsze w najmniej odpowiednich momentach.

— Co się stało? — pyta Magda.

— Pechowy wypadek drogowy. Jechałem z ojcem, który jest zawodowym kierowcą, ale wtedy przystał na moje prośby i oddał mi kierownicę. Zawsze marzyłem, żeby poprowadzić dwudziestotonową ciężarówkę. Ale nie wyczułem dobrze bezwładności tego kolosa i źle pokonałem zakręt. Pech chciał, że z przeciwka nadjeżdżał samochód... Nie, wolę o tym nie

mówić... — przerywa, ale po chwili podejmuje:

— Ojciec szarpnął kierownicę, zjechaliśmy na pobocze... Ciężarówka zaryła w skarpe. Wyleciał przez przednią szybę, a ja zostałem uwięziony w środku. Gdyby nie ten samochód z naprzeciwka... Nic by się nie stało.

— Dziesięć lat temu? — pyta wolno Magda. — Gdzie to się zdarzyło?

— Niedaleko Szczytna, na bocznej, krętej drodze. Dlaczego pani pyta?

— Co stało się z tym samochodem?

— Niestety, zahaczyliśmy go. Zdaje się, że pasażer nie przeżył, ale kierowca chyba tak. Zresztą nie wiem dokładnie, bo ojciec wziął całą winę na siebie, a ja po wyjściu ze szpitala wyjechałem do Włoch na studia. Razem z moim przeklętym urazem i świadomością, że ktoś zginął. Miałem nadzieję, że dzięki studiom psychologicznym poradzę sobie z moimi koszmarami, ale to nie takie proste.

— Czy poznał pan kierowcę tego samochodu? — pyta Magda lodowatym tonem, a Zosia patrzy na nią coraz bardziej zdumiona.

— Nie, wszystko załatwiał ojciec. Wiem tylko, że to była kobieta.

— To ja prowadziłam ten samochód.

Magda wstaje i bez pożegnania wychodzi.

* * *

Magda byłaby innym człowiekiem, gdyby Ryszard nie zrealizował marzenia i nie poprowadził dwudziestotonowego kolosa. Ryszard też byłby innym człowiekiem, gdyby Magda wjechała w zakręt pięć sekund później.

* * *

Magda idzie wolno rozświetlonym Nowym Światem. Łzy ciekną jej po policzkach. Nie myśli o spotkaniu z Ryszardem. Chce jedynie zaczerpnąć świeżego powietrza i dlatego nie wzywa taksówki. Chciałaby mieć teraz przy sobie swoje dzieci, aby po prostu były i z nią bezgłośnie płakały. Ich obecność przegnałaby poczucie osamotnienia i porzucenia. Nie łączy się z dziećmi, bo nie chce zrzucić na nie ciężaru, jaki przyszło jej dźwigać. „Dlaczego mi, Panie, to zrobiłeś? Dlaczego obarczyłeś mnie czymś takim?” — spogląda na ciemne, zachmurzone niebo i zaraz potem odpowiada sobie: „A dlaczego nie?”

Zmierza Nowym Światem w kierunku Świętokrzyskiej. Witryny eleganckich sklepów rzucają jaskrawe światło na szeroki chodnik.

W kafejkach i barach siedzą ludzie, żywo rozmawiają. To wszystko nie dociera do Magdy, idącej wolno do metra. Dochodzi do skrzyżowania i przez głowę przelatuje jej myśl, że gdyby weszła na dzwonnice kościoła Świętego Krzyża i rzuciła się w dół, to wszystkie problemy byłyby nieodwracalnie rozwiązane. Ale zaraz potem odrzuca ją jako niedorzeczną. Odzywa się komputer kieszonkowy, sygnalizujący nadejście poczty. Magda ociera łzy i przegląda się ukradkiem w mijanej witrynie. Poprawia włosy, bierze głęboki oddech i odbiera połączenie. To kolega z Lille pyta, czy mogą przyjechać dzień wcześniej. „Możecie, cieszę się” — odpowiada. Skręca w Świętokrzyską i przyspiesza kroku.

Przyjedzie do domu, weźmie gorący prysznic, natrze się balsamem antydepresyjnym i zakończy dzień, słuchając muzyki Góreckiego. Zwykły, październikowy dzień 2050 roku.

Warszawa, grudzień 2003

Oglądając się na minione pół wieku

LECH JĘCZMYK

urodził się w 1936 roku w Bydgoszczy, od roku 1939 mieszka w Warszawie. Z wykształcenia jest filologiem rosyjskim. W latach 1984–2003 związany z miesięcznikiem „Fantastyka” („Nowa Fantastyka”). Był (krótko) kierownikiem działu publicystyki w telewizji i bezskutecznie usiłował coś zdziałać na polu politycznym w podziemnej Polskiej Partii Niepodległościowej i w nadziemnym Ruchu dla Rzeczypospolitej. Uwieńczył swą karierę stanowiskiem nauczyciela w liceum ogólnokształcącym, zapoznając się z ludźmi z przyszłości. Obecnie na emeryturze. Tłumaczył książki m.in. Vonneguta, Hellera, Dicka i Le Guin. Wydał kilkanaście antologii. Otrzymał kilka nagród za działalność wydawniczą i tłumaczenia, ale najbardziej dumny jest z tego, że jego pracę i postawę doceniały najwyższe czynniki państwowe: był wyrzucany z pracy na polecenie Komitetu Centralnego PZPR, prezydenta Wałęsy i kancelarii prezydenta Kwaśniewskiego.

Przyroda

Pierwsza połowa dwudziestego pierwszego wieku charakteryzowała się niezwykle burzliwymi zmianami w przyrodzie. Ruszyły z miejsca nawet bieguny, czyniąc nieprzydatnymi kompasy i mapy ze starymi współrzędnymi geograficznymi. Zmiany długości dnia i nocy w połączeniu z ogólnym ociepleniem powodowały wymianę szaty roślinnej: lasy iglaste, wydzielające w czasie upału łatwopalne olejki eteryczne, padały ofiarą katastrofalnych pożarów, ustępując stopniowo miejsca drzewom liściastym. Mieszkańcy strefy (wcześniej) umiarkowanej zostali zaatakowani przez choroby tropikalne, przede wszystkim malarię i amebę. Brak odporności oraz utrzymywanie się tradycyjnego sposobu żywienia, niedostosowanego do nowego klimatu, sprawiały, że śmierć zbierała wyjątkowo obfite żniwo. Gwałtowne topnienie lodowców spowodowało początkowo powodzie, a potem wyschnięcie wielu rzek. Woda pitna stała się najcenniejszym surowcem i powodem licznych zatargów dyplomatycznych, przechodzących w lokalne starcia zbrojne. Na przykład Turcja, w której biorą początek rzeki płynące przez Iran, Irak i Syrię, stała się potęgą wodną na miarę dawnych państw naftowych, ale była też oskarżana o „kradzież” wody, ilekroć czynniki naturalne powodowały spadek poziomu wód. Zdesperowani ludzie sięgali po wodę nie nadającą się do picia i masowo padali ofiarą epidemii. Świat bronił się, ogłaszając kwarantanny oraz likwidując na wiele lat połączenia lotnicze i morskie. Mieszkańcy miast i państw „zadżumionych” porozumiewali się ze swoimi mieszkającymi daleko bliskimi za pośrednictwem telefonu i Internetu. Podniesienie się poziomu oceanów przyniosło zagładę wielu gęsto zaludnionych portowych miastom, a Wenecję zwiedzali już tylko płetwonurkowie. Wiele wysp i atoli na Pacyfiku zostało zatopionych w części lub w całości. Bogaci mieszkańcy zawczasu przenieśli się do wysoko położonych osiedli obronnych, ale wielu nie przeżyło rozpaczliwego ataku zatapianej biedoty. W telewizji można było oglądać filmowane z helikopterów sceny walki na śmierć i życie, popularność studyjnych reality show ogromnie spadła. Potężne trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów powodowały dezorganizację i ucieczki ludności. W roku 2025 ocean pochłonął zachodnią Kalifornię — większość ludności ewakuowano, ale straty materialne były ogromne. W ślad za każdą katastrofą szły epidemie, głód i bandytyzm. Gryzonie, nie hamowane w swojej rozrodczości przez surowe zimy, roznosiły zarazę. Wszystko to razem zredukowało liczbę ludności świata prawie o jedną trzecią, ale dokładnych statystyk nikt już nie prowadził. Można by pomyśleć, że Ziemia, zniesmaczona tym, co z nią wyrabiają, otrząsnęła się z nadmiaru dwunogich pasożytów.

Demografia

Wielka wędrówka ludów rozpoczęła się już w dwudziestym wieku. W niewiele lat po upadku europejskich systemów kolonialnych kierunek kolonizacji uległ odwróceniu. Teraz Azja, Afryka i Ameryka Południowa ruszyły na dawne metropolie, czasem rozpraszając się w poszukiwaniu pracy, ale na ogół tworząc klasyczne kolonie (słynne Chinatowny — chińskie dzielnice w każdym prawie większym mieście Zachodu), zachowując swoje religie i obyczaje. W miarę jak rosła ich liczba, imigranci wzmacniali swoją pozycję społeczną i polityczną — partie wkrótce zaczęły rywalizować o ich względy, żeby zdobyć dodatkowe głosy. Wyznawcy islamu, podzieleni w krajach muzułmańskich na zwalczające się odłamy, w Europie zjednoczyli się wokół planu islamizacji tego kontynentu. Rozpoczęto od budowy siedmiu wielkich meczetów w siedmiu stolicach. Wznoszono je jak najbliżej słynnych świątyń chrześcijańskich. Pierwszy taki meczet zbudowano w warszawskim Wilanowie, nieopodal świątyni Opatrzności Bożej, ciągle w budowie. Tutaj również, korzystając z polskiej czy to tolerancji, czy to beztroski, powstał uniwersytet dla studentów muzułmańskich z całej Europy. Polska, która niegdyś broniła cywilizacji chrześcijańskiej na Wschodzie i wyprawiała się w jej obronie pod Wiedeń, okazała się całkowicie nieprzygotowana na inwazję Arabów, przybywających z europejskimi paszportami z Zachodu. Przedmurze nie zdążyło się obrócić we właściwą stronę.

Powolny i bezkrwawy (no, prawie bezkrwawy) proces mieszania się ras i narodów przerywany był gwałtownymi atakami fal uchodźców, powodowanymi klęskami żywiołowymi. Przelewali się oni niepowstrzymanie do krajów częściowo opustoszałych lub po prostu sąsiednich. Kraje bogate, zamieszkałe przez bezwolnych emerytów, próbowały się bronić za pomocą pól minowych i robotów, ale tłumy najeźdźców pędziły przed sobą stada wyzwolonych z nowoczesnych farm krów, które na krótko przed gwałtowną śmiercią po raz pierwszy i ostatni oglądały słońce i trawę.

W tym chaosie wyróżniały się uporządkowane transporty Chińczyków, rozprawdane przez wcześniej przybyłych przewodników. Rząd chiński zwracał się do poszczególnych państw z propozycją przyjęcia tylu a tylu milionów osadników. Nie wiadomo, co by się stało, gdyby któryś rząd odmówił, bo takiego przypadku nie odnotowano.

Odpowiedzią na starzenie się społeczeństwa europejskiego (ojciec Bocheński mówił: „Kobiety nie chcą rodzić, mężczyźni nie chcą się bić”) było odmłodzenie społeczeństw Wschodu i Południa. Tam, gdzie połowa mężczyzn mieściła się w przedziale od piętnastu do dwudziestu czterech lat, tworzone armie z dzieci od dziewiątego roku życia. Na początku wieku świat zachodni zgłaszał w tej sprawie jakieś zastrzeżenia, ale gdzie indziej taki dzieciak mógł dostać ubranie, buty i jakąś strawę? Proceder wkrótce stał się nagminny, a producenci broni zaczęli produkować specjalne lekkie uzbrojenie, dostosowane do możliwości niedożywionych dzieciaków.

W całym tym zamieszaniu najważniejszym źródłem identyfikacji stała się przynależność religijna. W wojnach religijnych w Azji i Afryce ginęły miliony ludzi. W odpowiedzi na agresję muzułmanów chrześcijanie podzielili się na dwa odłamy: jedni sądzili, że zbliża się zapowiedziany koniec świata i należy wybrać drogę męczeństwa, inni powoływali się na Poitiers, Lepanto i bitwę warszawską, organizując własne armie i milicje.

Były i miejsca, gdzie udało się uniknąć konfliktów, a nawet nawiązać życzliwą współpracę. Tak działo się między innymi w Polsce, głównie dzięki mediacji polskich muzułmanów.

Stopniowo zmęczony świat zaczął się porządkować według zupełnie nowych (a może bardzo starych) zasad. Ośrodkami organizacji stały się miasta i regiony tworzące zmienne federacje. W zawierusze rozpadły się światowe firmy — molochoy, transport zaczął być drogi i

ryzykowny, wróciły lokalne przemysły i firmy rodzinne. Handel zdominowali Chińczycy i inni Azjaci. Różnojęzyczne społeczności żyły razem, ale osobno. Czynnikiem integrującym pozostawała tylko religia. Chrześcijaństwo, choć najmniej agresywne, wyszło z tej burzy zwycięsko, głównie dzięki masowym konwersjom Chińczyków, którzy żywili głęboko zakorzenioną podejrzliwość wobec islamu.

Polityka

Na początku dwudziestego pierwszego wieku wszystkie największe mocarstwa świata znajdowały się w stanie chwiejnej równowagi. Stany Zjednoczone wbrew mądrym, ale bezsilnym głosom ostrzegawczym, nie potrafiły się wyzwolić ze swojej polityki hegemonistycznej i w rezultacie spotkał je typowy los państwa uniwersalnego: zwróciły przeciw sobie wszystkich i zbyt szeroko rozrzuciły swoje siły. Stan permanentnej wojny, utrzymywany od czasu Pearl Harbor, łagodził problemy wewnętrzne. Kiedy legiony zaczęły ściągać do domu ze stu trzydziestu krajów, stan wojenny przeniósł się do wnętrza Stanów. Po załamaniu się giełd, upadku wielkich banków i okresie dyktatury wojskowo–policyjnej zaczął się proces dezintegracji USA. Poszczególne stany, rejony, a nawet miasta wypowiadały posłuszeństwo rządowi centralnemu. Przewodziły w tym procesie Teksas, Kalifornia i Kaskadia (wybrzeże północno–zachodnie). Wobec rozkwitu piractwa wzrosły koszty transportu (ubezpieczenia i eskorta zbrojna konwojów handlowych), a w ślad za tym rola rodzimej produkcji żywności, na czym skorzystały stany środkowego zachodu.

Po roku dwa tysiące dwudziestym Chiny były największą gospodarką świata i coraz śmiej żądały należnego im miejsca. Azjatycki Fundusz Walutowy przyciągał coraz więcej krajów również z innych części globu. Władze chińskie żelazną ręką utrzymywały integralność terytorialną kraju, nie cofając się przed krwawymi pacyfikacjami. Połączenie dyplomacji, szantażu militarnego i osłabienia USA doprowadziło do wchłonięcia Tajwanu. Ponieważ ograniczanie urodzeń groziło starzeniem się społeczeństwa, władze wybrały politykę popierania emigracji. Załocila się wschodnia Syberia, północna Australia, wschodnia Afryka. Jednocześnie w Chinach kontynentalnych i wśród emigracji kwitły kultura, sztuka i nauka. Wobec spadku nakładów finansowych na badania naukowe w Ameryce, liczący prawie ćwierć miliona studentów Uniwersytet Pekijski oraz uczelnie pięćdziesięciomilionowej aglomeracji szanghajskiej zaczęły przyciągać uczonych z całego świata. Chińskie filmy opanowały kino, a ich kalifornijskie podróbki zapychały przedpołudniowe programy telewizyjne. Rozgrywany co dwa lata z wielką pompą Konkurs Chopinowski przeniósł się z podupadającego Tokio do Szanghaju. Polscy pianiści uważani byli nadal za niezrównanych wykonawców mazurków.

W myśl zasady, że system sprawowania władzy musi być zgodny z systemem generowania bogactwa, w Rosji na początku wieku rozegrała się wojna między oligarchami kontrolującymi eksploatację niezmiernych bogactw naturalnych, którzy sięgnęli po władzę w państwie, a aparatem państwowym, który musiał przejąć kontrolę nad źródłami bogactwa, jeżeli chciał dalej rządzić. Mecz bezkrwawo wygrał przedstawiciel aparatu, Putin, dzięki znakomitym służbom specjalnym i silnemu instynktowi państwowemu rosyjskiego ludu. W warunkach wielkiej koncentracji bogactwa demokracja jest czymś nienaturalnym, toteż Putin i jego służby zaczęły planowo odbudowywać ustrój monar — chiczny. Odnaleziono krewnych zamordowanego cara (z linii bocznej), pielęgnowano i sprowadzano z emigracji potomków starej szlachty i tworzone nową, nadając herby wyższym oficerom i wychowując kastę oficerską w szkołach kadetów.

Demokracja wymaga społeczeństwa jednolitego pod względem kultury i stanu majątkowego, a tymczasem w rezultacie masowych migracji tereny byłych państw narodowych zamieszkiwała mozaika ludów nie mających wspólnego języka, kultury i historii,

ludów spotykających się tylko przy wymianie handlowej. To, co byłoby zabójcze dla państwa demokracji parlamentarnej, nie szkodziło monarchiom, królowie zawsze lubili dzielić i rządzić. Wkrótce większość jednostek terytorialnych przyjęła ustrój monarchiczny, a Niemcy, które znów rozpadły się na Rzeszę, próbowały nawet restaurować cesarstwo, obejmujące swoimi wpływami ziemie od Adriatyku do Bałtyku. Cichy powrót do monarchii — przy zachowaniu dekoracji demokratycznych — zaczął się jeszcze w drugiej połowie dwudziestego wieku w Azji, gdzie żony, córki i synowie przejmowali rządy po ojcach (Indie, Cejlon, Korea Północna, Azerbejdżan), a w Europie przykład dała Polska z dwupokoleniową dynastią Kwaśniewskich.

Unia Europejska, jak wszystkie zlepionce polityczne, nie przeżyła wieloletniego kryzysu i rozpadła się na część śródziemnomorską i część bałtycką, z Anglią pogrążającą się w swojej splendid isolation.

Światowa opinia publiczna z zaskoczeniem zauważyła pojawienie się dwóch nowych gigantów. Indie przekształciły się z mocarstwa lokalnego w światowe, zbierając owoce długoletniej mądrej polityki rozwoju nauki i edukacji. Na drugim końcu świata Brazylia rzuciła wyzwanie hegemonii Stanów Zjednoczonych i wybrała własną drogę rozwoju ze śmiałymi rozwiązaniami (uniezależnienie się od importu ropy przez produkcję spirytusu napędowego), stając się moralnym, a potem i ekonomicznym przywódcą Ameryki Południowej. Względna izolacja geograficzna, brak problemu przeludnienia i naporu imigrantów sprawiły, że wszystkie światowe kataklizmy tylko wzmacniały Brazylię. Nawet jej taktyka produkcji taniego i łatwego w obsłudze uzbrojenia zaowocowała wielkimi zyskami w epoce wojen peryferyjnych. Te kraje — Chiny, Indie, Rosja, Brazylia i Iran — przejmowały odpowiedzialność za ustanawianie pewnego ładu międzynarodowego w chaotycznym świecie.

Polska (wariant realistyczny)

Starożytny geograf (i astronom) Ptolemeusz pisał, że na zachód od Wisły zamieszkują Germanie, a na wschód od niej Scytowie europejscy (w odróżnieniu od Scytów azjatyckich). I tak to się za nami ciągnie. Linia Wisły zaprasza do rozbioru, a istnienie Polski (nazywanej często państwem sezonowym) wydaje się wręcz nietaktem. Opinię tę — wyrażaną swego czasu z zapalem przez europejskich intelektualistów w rodzaju Woltera i potwierdzoną wiele lat później przez radzieckiego ministra Mołotowa, który nazwał Polskę „bękartem traktatu wersalskiego” — podzieliła znaczną część Polaków, optujących za rezygnacją z suwerenności i przystąpieniem do tworu o niejasnych zasadach, jakim była Unia Europejska. Tego typu zlepek narodów musi być utrzymywany siłą albo — jak rower — jechać do przodu. Stagnacja lub regres gospodarczy czy też osłabienie centrali kończą się rozpadem. Taki los spotkał Związek Radziecki, Jugosławię i Czechosłowację. Tymczasem Unia Europejska, skrępowana gorsetem nieprawdopodobnej biurokracji, nie miała szans na współzawodnictwo z Chinami i Stanami Zjednoczonymi, gdzie reguła jest niewiele, a ludzie pracują dłużej i ciężiej. Również sytuacja demograficzna wykluczała rozwój, bo o ile możliwa jest eksplozja demograficzna bez rozwoju, o tyle nie znamy chyba przypadku dynamicznego rozwoju w warunkach demograficznej zapaści. Mimo swoich słabości Niemcy zachowały dość siły, żeby pod egidą Unii realizować swoje plany wobec Polski, która nie miała żadnej kontrpropozycji. Wobec deindustrializacji i braku pieniędzy na badania, co zdolniejsi wyjeżdżali do pracy w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Oznaczało to utratę genów, inteligencji i energii. Inni pracowali w kraju dla firm światowych za marne grosze. Do Niemiec wyjeżdżali też silni i zdrowi, zastępując tamtejsze ubytki ludnościowe. W sumie w ciągu pierwszych dwudziestu lat stulecia Polskę opuściło około pięciu milionów obywateli. Polska nie produkowała już statków, lokomotyw i telewizorów — stawała się krajem rezerwatów, ośrodków

rekreacyjnych i terenów łowieckich. Wzrastało zapotrzebowanie na takie zawody jak leśniczy, kelner, barmanka, sprzątaczką. Wszędzie wymagana była znajomość niemieckiego. Na ulicach widziało się coraz więcej Arabów, Afrykańczyków, Turków, ludzi, którzy mieli zbyt dużą konkurencję w Niemczech czy Francji.

Linia Wisły wyznaczała również granicę obecności amerykańskiej. Amerykanie uzgodnili z Rosją, że ich bazy nie przekroczą linii Wisły i nie zatroszczyli się o skonsultowanie sprawy ze szczerbowym rządem polskim. Tymczasem na tej „ziemi niczyjej” na wschód od Wisły zaczęło się coś budzić. Za Bugiem aż do Oceanu Spokojnego rozciągał się autentycznie wolny rynek. Odważni przedsiębiorcy wyruszali na jego podbój, szybko się bogacąc. Coraz więcej ludzi, zbrzydzonej brukselską biurokracją, przenosiło się do Olsztyna, Białegostoku i Lublina. Ożywiły się ośrodki uniwersyteckie, filharmonie i teatry. Tu opłacało się znać rosyjski, ukraiński i białoruski.

W obu częściach Polski nastąpiło dalsze rozwarstwienie społeczne. Policja ograniczała się do utrzymania porządku w dzielnicach bogatych, skąd ludność biedniejsza, nie wytrzymała wzrostu opłat, została wyeksmitowana lub wyniosła się sama na obrzeża miasta do dzielnic nędzy, które stały się wylęgarnią chorób i drobnej przestępczości oraz zapleczem werbunkowym mafii. Renty, zasiłki i emerytury obniżono drastycznie, dopuszczając inflację bez waloryzacji. Prywatyzacja służby zdrowia pozbawiła ludzi dostępu do opieki medycznej.

Podzielił się również Kościół katolicki: część biskupów bywała na salonach i występowała w telewizji, większość duchowieństwa niższego pozostała z ludem, stając się jego przedstawicielami i organizatorami. Dołączyła do nich część inteligencji, wylaniając z siebie charyzmatycznych przywódców. Dochodziło do lokalnych buntów i ataków na chronione dzielnice, ale w zasadzie zbrojnym ramieniem ludu pozostawała mafia. Stosunki z napływową ludnością kolorową układały się różnie — jej sytuacja była podobna do sytuacji biedoty: to przybysze dostarczali jej tandetnych towarów i taniego jedzenia (lepiej było nie pytać, z czego), ale dochodziło też do krwawych starć, w które policja taktownie nie interweniowała.

W połowie dwudziestego pierwszego wieku pogłębiły się różnice między zachodnią częścią Polski, coraz bardziej uzależnioną od Niemiec, i czymś w rodzaju Królestwa Kongresowego pod dyskretnym protektoratem Rosji. Dziś dalszy los Polski i Polaków zależy głównie od sytuacji zewnętrznej.

Polska (wariant dla wierzących)

Unia Europejska praktycznie rozpadła się, zanim zdążyła zlikwidować w Polsce rodzinne, rozproszone rolnictwo. Ocalała część prywatnych masarni i mleczarni oraz tysiące ludzi, którzy umieli produkować żywność tanimi i prostymi sposobami.

W warunkach chaosu, wywołanego klęskami żywiołowymi, wędrówką ludów, załamaniem się głównych walut i walkami wewnętrznymi, dawało to przewagę nad krajami, które zdążyły się dostosować do systemu uprzemysłowionego i dotowanego rolnictwa. Podobnie jak w czternastym stuleciu, klęski i epidemie ominęły Polskę, dając jej szansę na samodzielny rozwój. Pierwsza zorganizowała się Małopolska i to jej energiczny wojewoda objął rządy w całym kraju na podstawie powszechnej zgody. Jego pierwszą decyzją było rozwiązanie Sejmu i Senatu, rządził za pomocą dekretów, lakonicznych i zrozumiałych dla wszystkich. Wielką samodzielność uzyskała województwa.

Po rozpadzie Unii i wycofaniu wojsk amerykańskich z Europy, Polska stanęła wobec coraz bardziej szowinistycznych i wielkomocarstwowych Niemiec, co skłoniło ją do zwrócenia się w stronę Rosji i polityki wschodniej. W sposób naturalny odżyła idea związku wyszehradzkiego. Polska, wiedząca, czego chce, i umiejąca walczyć o swoje interesy, zaczęła się liczyć w przeżywającym konwulsje świecie, w którym dominującą rolę odgrywały już nie

finanse i gospodarka, ale kultura i religia. Zlaicyzowane kraje zachodniej Europy miały kłopoty z definiowaniem swojej tożsamości wobec agresywnego islamu, Polska bez wahania zwróciła się ku mocnym jeszcze korzeniom chrześcijańskim, a sanktuaria w Licheniu i na Jasnej Górze stały się potężnymi ośrodkami, promieniującymi na całą Europę. Odrodzenie duchowe owocowało ożywieniem gospodarki, kultury i życia społecznego. Podobnie jak na przełomie czternastego i piętnastego wieku, Polska znalazła w sobie wewnętrzną energię, żeby wykorzystać sytuację zewnętrzną.

Autokomentarz

Żyjemy w czasach wyjątkowo trudnych dla strategów, bo — jak rzadko kiedy w historii — w grę wchodzi wyjątkowo dużo zmiennych i losy Polski mogą się potoczyć bardzo różnie. Sytuacja naszego kraju zależy od rozwoju wydarzeń w Stanach Zjednoczonych, Unii Europejskiej (Niemczech), Rosji i na Ukrainie w o wiele większym stopniu niż sytuacja takich krajów jak Portugalia, Węgry czy Rumunia.

Jest to natomiast czas wymarzony dla autorów powieści science fiction, bo scenariusze można mnożyć prawie w nieskończoność. Przypomnijmy, że generał Grot-Rowecki na początku drugiej wojny światowej naszkicował dziesięć scenariuszy dla Polski, z których dziesiąty — zapewne uznany za najmniej prawdopodobny — sprawdził się co do joty.

Większość katastrofalnych procesów, które przedstawiłem, już została puszczona w ruch i opisana. Autorzy tacy, jak Samuel P. Huntington, prezes francuskiego instytutu strategicznego Saint-Etienne, międzynarodowy finansista i filantrop George Soros czy japoński profesor Umehara pokazują, w jaki sposób świat zachodni zmierza ku katastrofie. I podają recepty na jej uniknięcie. Niestety, tutaj wspaniałe profesorskie myślenie zawodzi. Na ogół sprowadza się ono do stwierdzenia, że należy zmienić mentalność Europejczyków, zmienić podejście Ameryki do świata i tak dalej. Niektórzy rysują plany zmiany instytucji międzynarodowych lub zasad finansowych (Soros). Jakoś tylko nie widać siły, która mogłaby te zmiany wprowadzić, zatrzymać wóz zmierzający ku przepaści.

Głosy tych wspaniałych mędrców przypominają nawoływania starotestamentowych proroków: nawróćcie się, bo będzie kłops. Nie nawrócą się. To się zdarzyło raz Jonaszowi, który przepowiadał zagładę Niniwie, a ta się nawróciła i ocalała (Jonasz był wściekły).

Trzeba przypomnieć, że zagłada jednej cywilizacji nie oznacza końca świata. Świat przeżył wiele upadków cywilizacji, przeżyje i ten. Będzie ten sam, ale inny.

Co mnie skłoniło do przedstawienia drugiego, optymistycznego wariantu losów Polski? Trzy rzeczy.

Poznałem Włocha, właściciela małej kafejki w prowincjonalnym mieście. Ściągnęła go do Polski nie wizja zarobku, ale poczucie życia duchowego, odbijającego od martwoty Europy Zachodniej. On mówi, że my żyjemy.

Dowiedziałem się, że katolickie zakonnice z Holandii założyły w Polsce dom opieki dla holenderskich starców, którzy uciekają do Polski przed groźbą eutanazji. Oni wierzą, że nie zrobimy im krzywdy.

Zobaczyłem kościół w Licheniu. Jest największą budowlą sakralną wzniesioną w Europie od kilkuset lat. Powstał bardzo szybko i nie na polecenie króla, ale ze składek milionów. Jest imponujący i piękny. Mówi się, że stan świątyni jest obrazem stanu ducha narodu. Może nasz duch jest w lepszym stanie, niż nam się wydaje.

A jak pisze Heraklit: „Zawsze i wszędzie to, co niewidzialne, rządzi tym, co widzialne”.

Pięć przewidywań i mnóstwo zastrzeżeń

ZYGMUNT BAUMAN

urodził się w 1925 roku, socjolog, filozof, etyk. Jeden z najważniejszych twórców koncepcji „ponowoczesności”. Autor prac o kulturze współczesnej, jej charakterystycznych cechach i procesach w niej zachodzących. Do 1968 roku profesor Uniwersytetu Warszawskiego, po usunięciu z UW kierował Katedrą Socjologii w Leeds. Pisze i publikuje po angielsku. Po polsku ukazały się m.in.: *Nowoczesność i Zagłada* (1992), *Wieloznaczność nowoczesna. Nowoczesna wieloznaczność* (1995), *Etyka ponowoczesna* (1996), *Prawodawcy i tłumacze* (1998), *Ponowoczesność jako źródło cierpień* (2000), *Globalizacja* (2000), *Razem, osobno* (2003).

U progu obecnego stulecia można było przeczytać na internetowej stronie MIT przedruk przepowiedni futurologa Waldemara Kämpfferta, opublikowanej w lutym 1950 roku. Mowa w niej była o cudach, jakich doświadczymy w następnym pięćdziesięcioleciu: o mnóstwie taniej żywności, jakiej starczy dla wszystkich z nawiązką, o naczyniach z masy plastycznej, które same rozkładają się po użyciu, uwalniając nas od dokuczliwej potrzeby uprzątnięcia śmieci, o natychmiastowej a niezawodnej interwencji lekarskiej w przypadku choroby, o szybkich, dla każdego dostępnych środkach transportu i jeszcze — o wielu innych bajecznych rozkoszach, jakich wkrótce doznamy. Zanim się drwiąco (aczkolwiek smutnie...) uśmiechniesz, zważ jednak, Czytelniku, iż Kämpffert przyznał z góry i bez ponaglenia, że choć jego metoda przewidywania przyszłości jest naukowo bez skazy, przepowiednie (a my wraz z nimi) mogą się nie doczekać spełnienia: „Jedynymi przeszkodami dla dokładnego prognozowania — zastrzegł się — są partykularne interesy, które mogą przyhamować postęp ze względów ekonomicznych: tradycja, konserwatyzm oraz związkowy opór i ustawodawstwo”.

Innymi słowy: to ludzie przeszkadzają przepowiedzieć dokładnie, co się im przytrafi. Gdyby tylko można było ich wścibstwu zapobiec, a jeszcze lepiej całkiem ludzi ze świata usunąć — dałoby się ich przyszłość bez pudła przewidzieć... Nie da się tego jednak, ku futurologów utrapieniu, zrobić. Chyba że się należy do tych przez komputery sterowanych robotów z opowiadania Stanisława Lema, które znalazły na bałagan ludzki lekarstwo niezawodne i definitywne, układając harmonijne i estetycznie doskonałe figury geometryczne ze schludnych krążków tłoczonych z masy uzyskanej z przerobu krnąbrnych ciał ludzkich. Ktokolwiek wróżbiarstwa się ima, komputerem nie będąc (a więc pozbawiony luksusu zamknięcia się w świecie na miarę potrzeb wróżbiarskich skrojonym i wobec wróżbiarzy spolegliwym), staje wobec nie lada wyzwania. Ma on wszak wyczarować logiczny i konsekwentny, a więc przewidywalny ciąg skutków z nieuleczalnie „nieporządnymi”, nielogicznymi i niekonsekwentnymi, a więc nieznośnie opierającymi się przewidywaniom, poczynań ludzkich... Z tymże zadaniem borykają się wprawdzie i historycy (kronikarze „historii”, czyli wedle celnego określenia Jorge Luisa Borghesa takiej księgi, którą ludzie piszą, sami w nią wpisani będąc), ale tę mają nad futurologami przewagę, że inwentarz zdarzeń spisują na cmentarzysku ludzkich możliwości, kiedy już wiadomo dokładnie, kogo pogrzebano, a kto wieńce na grób nosi.

Utrapienie z tymi ludźmi... Nie nadążają za własnymi możliwościami. Albo jeszcze gorzej — wybiegają poza nie, nawet po te najprzenikliwszym umysłem niedostępne... Zbudowawszy pierwszy fonograf, Tomasz Edison zatarł ręce: teraz cudowne głosy śmiertelnych wszak wybitnych przywódców politycznych czy artystów sceny utrwalone będą na wieki wieków, ku radości przyszłych pokoleń; do głowy mu nie przyszło, że fonograf zapoczątkuje erę masowego powielania, że posłuży głównie do powtarzania „zdarzeń

artystycznych” w kółko i do znudzenia, a w ostatecznym rachunku do przyspieszania „przemiany artystycznej materii”: że w rezultacie pojęcie „na wieki wieków” skurczy się do paru miesięcy lub tygodni, szlagierowość szlagieru do żywota jętki jednodniówki, a dystans między listą przebojów a koszem na śmieci zbliży się do zera. Gdy Aleksander Graham Bell i Elisha Gray równocześnie opatentowali sposób przesyłania ludzkiego głosu po drucie, mało kto myślał o telefonicznych rozmowach. Wynalazek miał służyć przemawianiu do wielkiej liczby ludzi naraz, z pomocą wzmacniacza; wynalazcy oznajmili, że dzięki nowym przyrządom głos mówcy będzie mógł docierać do tłumów. Burmistrz jednego z wielkich miast amerykańskich marzył, pewnie z proroczym błyskiem w oczach: „Postrzegam dzień, gdy każde miasto tego kraju posiędzie jeden z tych przyrządów”. Zarówno ówczesnemu szefowi IBM-u, jak i prezesowi Brytyjskiej Komisji do spraw Energii Atomowej z początku lat pięćdziesiątych przypisuje się orzeczenie, że świat potrzebował będzie dziesięciu do dwunastu komputerów (urządzeń do szybkiego „przemiału liczb”, jak sądzili) do zaspokojenia wszystkich potrzeb, jakim ów cudowny skądinąd wynalazek może zadośćuczynić. Pomysł wyzyskania komputera do przerobu danych zrodził się w głowach nieświadomych opinii speców, pracowników herbaciarni Lyonsa, rzadko chyba, jeśli w ogóle, przez prezesów i dyrektorów odwiedzanych. Wyniki swych studiów nad krótkimi, choć wielce dla naszych czasów symptomatycznymi, dziejami „maszyn liczących” podsumował Robert Cringely tyleż kąśliwą, co celną frazą: „Accidental Empire chciałoby się przetłumaczyć: Imperium Mimowoli. To wszystko zdarzyło się przez przypadek. Ludzie, którzy to sprawili, byli amatorami, i w większości nimi pozostali”.

Tyle jeśli o precyzję i wiarygodność prognoz technologicznych idzie. A przecież w technice bardziej niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie ludzkich poczynań rozum jest, zdawałoby się, władcą niepodzielnym. Przypadkom wzbrania się tu wstępu i plan bardziej niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie kieruje biegiem rzeczy. O tych innych dziedzinach lepiej nie mówić. Wszystko najważniejsze, co się ludziom w zakończonym stuleciu trafiło i co na ich życiu najbardziej zaważyło, spadło niespodziewanie, jak przysłowiowy grom z jasnego nieba.

Przypomnijmy: dzieje nowoczesnej nauki nie znały chyba dziedziny wiedzy szczerzej finansowanej (a więc i w tęgie umysły i narzędzia badawcze lepiej wyposażonej) od „sowietologii”. A mimo to nikt w mrowiu sowietologicznych instytutów i na krocjach sowietologicznych kongresów nie uprzedził, co się z przedmiotem jego dociekań stanie nazajutrz; nikt nie zapowiedział, że najeżony głowicami atomowymi i lufami armat kolos rozpadnie się sam przez się, z dnia na dzień, i to tylko z powodu tak błahego, że go już ludzie nie chcą, a on sam już chcieć nie może...

Można by tak w nieskończoność — ale chyba tego, co dotąd powiedziano, starczy, żeby zgodzić się z sentencją Levinasa, iż przyszłość to owa „absolutna inność”, z jaką komunikacji być nie może, choć ludzie, ludźmi będąc, nigdy prób przeniknięcia owej inności, bo innością jest, nie zaniechają. I z obserwacją Kołakowskiego: jako że przyszłość nie istnieje, nie ma i być nie może „nauki o przyszłości” (byłaby wszak „nauką o niczym”). A zgodziwszy się z Levinasem i Kołakowskim, winienem właściwie na tym poprzestać i moją odpowiedź na ankietę Wydawnictwa Literackiego w tym miejscu zakończyć — bo już niczego o przyszłości, co by na miano wiary i zaufania godnej opinii ojej kształcie i zawartości zasługiwało, nie wolno mi wygłaszać.

I postąpiłbym tak z pewnością, nie chcąc o brak konsekwencji być pomówionym — gdyby w ludzkich rozważaniach o przyszłości o to tylko (tylko!) szło, by jakiś nie istniejący stan rzeczy opisać, twierdząc, że on niechybnie nastąpi, i to w takiej właśnie postaci, jaką sporządzony opis sugeruje. Ale nie o to tylko idzie, i nie głównie o to; większość ludzi, nawet tych, co Levinasa czy Kołakowskiego nigdy nie czytali, zgadza się intuicyjnie z ich wyrokiem, i mało kto bez solidnej szczypty soli astrologiczne horoskopy wertuje. Przyszłość interesuje nas właśnie dlatego, że wiemy, iż jest nieodgadniona; więcej jeszcze, nie

dokończona, w połowie dopiero roboty, nie do końca określona. Przeszłości nie da się odwrócić, co się stać miało, już się stało, za późno na dąsy i żale, dawnych zdarzeń nie można uczynić niebyłymi — można je tylko oplakiwać, czuć skruchę, pokutować. Terazniejszość to chwila ulotna; zanim się człowiek porządnie zastanowi, już w przeszłość się obróci, a przeszłości, jak wiadomo, nie da się... (patrz wyżej). Co innego przyszłość: ta jest (jedynym!) schronieniem wolności. Tu się rzeczy, jak nigdy radosne, mogą zdarzyć, a znów te przykre, co nadejściem groziły, mogą nie dotrzeć do mety albo zboczyć z drogi. Nie przypadkiem mądre babki na dwoje wróżą...

Przyszłość to niezmiernie rozległa przestrzeń wolności — a zatem i poligon dla ludzkiej woli i ludzkich czynów. Jest więc kolebką i wylęgarnią, ojczyzną i schronieniem marzeń. O przeszłości marzymy niekiedy, by wyrzekając się swej natury, w przyszłość się przeniosła, a o chwili obecnej marzymy czasem, by trwała wiecznie — a więc do przyszłości, do której wejść się wzdraga, wkroczyła i się w niej na dobre usadowiła. W jednym i drugim przypadku za mało nam tego, co jest, i chciałoby się więcej. Tylko o przyszłości marzyć można, by się stała (od nowa, od zera) inną od tego, co było i jest, co znamy i czegośmy już doświadczyli. Tylko w przyszłości sprawy mogą się odmienić i — zmienić na lepsze. Przyszłość jarzy się, lśni i przyciąga odbitym światłem wolności i nie spełnionych możliwości. Przyszłość jest ojczyzną nadziei.

Była więc przyszłość od zarania homo sapiens kością w gardle władców. Ziało od niej grozą — jak musiało ziać od wolności, krnąbrności, nieobliczalności podwładnych. Najlepiej byłoby się jej pozbyć (nie ma lepszej odtrutki na buntownicze podszepty przyszłości niż monotonna, pilnie nadzorowana rutyna i ulubione rządców zawołanie: „Nie ma wyboru!”) — ale jako że nie da się tego zrobić tak całkowicie i do końca, wypada się uciekać do innej, nieco mniej radykalnej opcji: trzeba próbować przyszłością zawładnąć, a przynajmniej wbić podwładnym w głowy, że sięją sobie istotnie przywłaszczyło. W tym zaś celu trzeba twierdzić, że się posiadało wiedzę o wyrokach bożych lub prawach historii, co to o kształcie przyszłości już bezapelacyjnie zdecydowały, lub że ma się dość mocy i woli, by się do niej uciec, gdy trzeba nadać przeszłemu obrotowi spraw kierunek, jaki się obrało. Powtarzamy za Orwellem, że kto sprawuje kontrolę nad przeszłością — kontroluje przyszłość. Może to i racja. Ale stawką w walce o sprawowanie władzy, łakomym kąskiem, o który aspiranci władzy sobie do gardła skaczą, jest kontrola nad terazniejszością — a przypada ona w udziale tym, co kontrolują przyszłość (bądź z powodzeniem udają, że ją kontrolują; tyrani padali, gdy podwładni przejrżeli ich przechwałki i dopatrzyli się kłamstwa). Kto przywłaszcza przyszłość, kradnie ludziom wolność. Chcesz człowieka upokorzyć, rozbroić i obezwładnić? Pozbaw go przyszłości.

Tak sprawy wyglądały dotąd. Taką w każdym razie (krwią pisaną) informację o roli przyszłości w układaniu stosunków międzyludzkich przekazał nam wiek dwudziesty. Ale już pod koniec tego „stulecia rewolucji i krańcowości” (jak go Erie Hobsbawm określił) pojawiły się znaki, że coś tu się, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, zaczyna zmieniać. Wprawdzie generałowie słyną z tego, że toczą w kółko wojnę, jaką raz im się wygrać udało, politycy lubują się w chwytach, jakimi poprzednich przeciwników na łopatki położyli, a ulubionym zajęciem filozofów jest sporządzanie komentarzy i aneksów do dzieł przez przodków za mądre już uznanych — ale pod koniec dwudziestego stulecia pojawili się filozofujący pisarze, którzy orzekli, że z tą przyszłością coś tam przesadzono: politycy gotowi próbować powodzenia bez powoływania się na wyroki dziejów oraz generałowie rwący się do tego, by sprawić, aby się im to udało. A u zarania dwudziestego pierwszego wieku coraz więcej takich filozofów, polityków oraz generałów, i pewnie będzie ich z upływem czasu przybywało (pierwsze to przewidywanie, jakie tu się ośmielam pod osąd czytelnika podać). Jakby się wszyscy oni naczytali Antoniego Burgessa: „Nie macie pojęcia, jak rozkosznie jest nie mieć przyszłości. To tak jak posiąść stuprocentowo skuteczny środek antykoncepcyjny”. I

jakby uwierzyli obietnicy. I spróbowali. I się im spodobało. Więc dalej próbują.

„Rozkosz”, o jakiej tu mowa, to przyjemność nie zatruta myślą o konsekwencjach. Myśl o konsekwencjach truje przyjemność i pozbawia rozkoszy, dlatego że świadomość, iż czyn ma następstwa — zmusza do myślenia o przyszłości: jeśli czyn ma następstwa trwające dłużej niż on sam, to może się wszak okazać, że przyszłe przykrości w niwecz obróć radość chwili. Inną twarz tu przyszłość ukazuje, inaczej na nią zatroskani patrzą: nie jak na spełnienie czy ukoronowanie terażniejszości; nie jak na to, co terażniejszości sens nadaje lub dojrzewać mu pozwala — ale jak na to, co sens każdego kolejnego (zawsze na bieżąco wszak przeżywanego) czynu czy doznania uszczupla, a może i unicestwia. Nie jawi się tu przyszłość jako siedlisko wolności, ale jako zasadzka czyhająca na śmiałka, który ze swej wolności chciałby beztróska skorzystać. Myśl o niej nie pozwala chwilą wolności do cna się nacieszyć. Obawa przed zejściem w ciężę zmniejsza, jak powiadają, szansę orgazmu...

Tyle że na groźbę „zejścia w przyszłość” nie wynaleziono środka antykoncepcyjnego. Więcej: podczas gdy środki zapobiegające ciąży, ku radości użytkowników seksu, mnożą się w niebywałym tempie, w coraz to nowych kolorach, zapachach i kształtach — „think — tanki” i biura badawcze poszukujące środków zapobiegających kaprysom przyszłości, nie wspominając już o zakładach przemysłowych, które miałyby ich dostarczać, likwidowane są nagminnie lub bankrutują z braku rządowego zainteresowania i publicznego wsparcia i ku utrapieniu użytkowników życia znikają jeden po drugim.

Przyszłość, jak dawniej, wymyka się kontroli. Dalej unoszą się nad nią mgły niepewności, jest nadal synonimem ślepego losu. Ale nadto, wraz z upadłością warsztatów, w których narzędzia przeznaczone do jej kontroli wyrabiano, ogłoszono jej zasadniczą niekontrolowalność. Rządzący stracili zainteresowanie dla przyszłości, znaleźli bowiem lepsze, mniej sprzeciwu budzące i tańsze sposoby na krzesanie dyscypliny poddanych. Dla zniewalania i ubezwłasnowolniania rządzonych nie muszą się już uciekać do przywłaszczania przyszłości lub deklaracji o jej podboju i kolonizacji. O ileż lepszym pomysłem jest prywatyzacja przyszłości, a więc i związanych z nią kłopotów, i rozdanie jej między poddanych — każdemu i każdej z poddanych po kawałku. Niech teraz człowiek sam za swą przyszłość odpowiada i sam się z jej fanaberiami boryka. I niech przyjmie, że dobrotliwa, przyjazna użytkownikowi przyszłość, jak wszystkie inne dobra w owym wielkim targowisku, zwanym nadal, z przyzwyczajenia, społeczeństwem, jest stawką w grze o sumie zerowej — a zatem niewiele mu czyjej przyjdzie ze zwierania szeregów z innymi podobnymi jemu czyjej samotnikami. Inni ludzie, w pojedynkę lub pospołu, umyli od jego czyjej przyszłości ręce — mogą i on więc, i ona ze spokojnym sumieniem swoje ręce od cudzych przyszłości umyć. Przyszłość na wieki pozostanie jaskinią gier hazardowych, jedni muszą przegrywać, by inni wygrywali, i próby polepszenia szans wszystkich graczy równocześnie są, co tu dużo mówić, karygodną (i kosztowną!) stratą czasu...

W tych warunkach najlepiej (najrozsądniej, najwygodniej) byłoby pójść za poradą Burgessa i nie mieć przyszłości. Ponieważ jednak to optymalne rozwiązanie nie jest osiągalne, wypada szukać zastępczych: myśleć o przyszłości jak najmniej. Żyć chwilą. I zadbać o to, by pozostałości chwili nie zaśmiecały placu gier — a głównie, by współzawodnicy nie złożyli obowiązku ich sprzątnięcia na śmieć. Trzeba więc, jeśli tylko się da, odmówić im prawa do roszczeń, samemu nie zaciągając wobec nich obowiązków — tych na długą metę: na zdradziecką, bo mglistą i nieprzenikliwą, przyszłość. Jak już się bez więzów nie obejdzie, to zawiązywać je trzeba luźno. Każda umowa winna zawierać klauzulę „do wypowiedzenia”. Nie obciążajmy hipoteki życia zaciągniętym zobowiązaniem — a przestanie być przyszłość zmorą, co rozkosz chwili truje...

Z chwilą gdy wzięła rozbrat z zaimkami liczby mnogiej i tylko w sąsiedztwie zaimków liczby pojedynczej wolno jej przebywać, straciła przyszłość wiele ze swego dawnego uroku i magicznej siły przyciągania. Z rubryki „ma” przeniosła się do „winien”. Władcy nie muszą

się już wysilać, aby poddanych z przyszłości wywłaszczać. Poddani sami od niej uciekają co sił w nogach, sprytu w głowie i gotówki w kieszeni lub na koncie kredytowym.

To coś nowego, tego jeszcze nie było... Jak świat światem, a ludzie ludźmi, każda ze znanych nam kultur wysilała się, jak mogła, aby przerzucić groblę łączącą ulotny, bo nieubłagane śmiercią się kończący, żywot człowieka z wiecznością („każda ze znanych nam kultur” — bo chyba kultury, które zadaniu nie podołały, nie zdołały przetrwać wystarczająco długo, by je zapamiętano...). Przez ową groblę sprowadzano z wieczności sens nadający cel i znaczenie, skądinąd bezsensownej, absurdałnej, bo przeraźliwie krótkiej egzystencji śmiertelników w nieskończenie długo trwającym kosmosie. Błahe, efemeryczne, śmiesznie krótkie życie śmiertelnika nabierało wagi i powagi: było jedyną szansą przeprawienia się przez groblę w kierunku odwrotnym do importu sensu; to ten dwustronny ruch na grobli sprawiał, że (jak to pięknie ujął Hans Jonas) ludzie liczyli dni, a dni się liczyły. Tylko wszak w niemiłosiernie krótkim odstępnie czasu, dzielącym narodziny od śmierci, mogli śmiertelnicy odcisnąć ślad trwały na rzeczach czy sprawach, które ich przetrwają — na przyszłości rodu czy narodu, wiary czy sprawy, zbiorowej mądrości ludzkiej czy urodzie ich bytu — i od ich wysiłku zależało, czy istotnie rzeczy owe i sprawy ich przeżyją. Życie śmiertelne mogło być przeżywane sub specie aeternitatis. Z niej, wieczności, czerpało sens — i w miarę wypełniania się sensem nabierało wagi.

Tym odcedzaniem wartości wiecznych z ulotnych poczynań śmiertelników zajmowały się, z mieszanym powodzeniem, wszystkie znane kultury — z wyjątkiem tej jednej, jaka się obecnie w „płynnie nowoczesnym” świecie wyłania i już swój ślad głęboki na naszym bycie codziennym, zarówno jednostkowym, jak i pospólnym, odciska. Jest to kultura, jaka redukuje obcowanie z wiecznością do ekstatycznego przeżycia, a wszystko, czego w niej zredukować się w ten sposób nie da, usuwa z zasięgu wzroku i myśli. Jaka kruszy Sartre’owski projet de la vie na zbiór okruchów — epizodów, z których każdy winien usprawiedliwić swą obecność, powołując się nie na przeszłość czy przyszłość, lecz tylko na własną rozkoszodajną potencję. Jaka kpi z „długiej mety”, każe wystrzegać się tego, co trwałe, i zakazuje troski o to, by ciąg dalszy nastąpił. Jaka skraca do minimum drogę z ogniska pasji i uwagi do wysypiska śmieci. Jaka skłania do nabywania bez namysłu i pozbywania się bez żalu. Jaka mierzy rozsądek nie długością pamięci, lecz prędkością zapominania; forytuje nie gromadzenie, lecz przepływ wiedzy; nie wyrabianie nawyków, przyzwyczajzeń, przywiązań i przekonań, lecz się ich wyzbywanie. W takiej kulturze brak miejsca dla „wartości wiecznych” czy „wartości tego, co wieczne”. Inne kultury nie mogły się bez takich wartości obejść. Czy powstająca na naszych oczach kultura „płynnie nowoczesna” okaże się od tej reguły wyjątkiem?

Czas na przewidywanie drugie: najbliższe pięćdziesięciolecie wypełni poszukiwanie i wykrywanie odpowiedzi na to pytanie, choć poszukiwać jej będą głównie filozofowie, a wykrywać z pewnością hoi polloi, pierwsi świadomie, drudzy bezwiednie — boć to dopiero z niezamierzonych następstw czynów tych drugich wyniknie, czy typ ludzkiego współżycia, jaki tworzą, sami przezeń stworzonymi będąc, nadaje się do życia. Era poszukiwań i odkryć, trafnych czy chybionych, będzie burzliwa — poruszać się wszak przyjdzie nam i naszym bliźnim po nieznanym i na żadną jeszcze mapę nie naniesionym terenie. Przyjdzie się poruszać po omacku, licząc na łut szczęścia. Będzie to więc era wojen podjazdowych i utarczek zwiadowczych; czas eksperymentów, pomysłów na wyrost, w większości nie donoszonych i martwo narodzonych lub na wczesny zgon skazanych. Tym silniejsze będą pasje wkładane w kolejne próby, zaciętsze waśnie i zacieklejsze starcia, że żadnej ze stron nie da się dowieść na zimno przewag własnych propozycji. Zapisze się pewnie owo półwiecze jako czas konfliktów, rosnącej przemocy i powszechnego uciekania się do gwałtu. Ale trwałym jego następstwem będzie spotęgowana i upowszechniona wrażliwość na przemoc: liczne objawy przymusu, na tyle powszednie i zrutynizowane, by je za akty przemocy nie przyjmowano, będą uznane za gwałt — przemoc nieuzasadnioną, niedopuszczalną i karze

podlegającą.

Reinhard Koseleck uznał przełom siedemnastego i osiemnastego stulecia za „czas przełęczny”: Europa zbliżała się wówczas do szczytu wzniesienia, na które wyniosła ją dotychczasowa historia, nieświadoma jeszcze, jaki widok się przed nią roztoczy, w chwili gdy do przełęczu dotrze. Dodajmy: wspinaczka dokonywała się „dlatego że” (trudno wszak na pochyłym stoku zatrzymać się, a tym bardziej rozbić namioty) i dopiero gdy druga strona pasma górskiego ukazała się oczom, mogła dalsza wędrówka, zejście do nowej, nie tylko nieznannej, ale i niewyobrażalnej przedtem krainy, odbywać się „po to, aby”. Myślę, że po raz wtóry znaleźliśmy się dziś w pobliżu przełęczu. To właśnie stromizna wzniesienia, w połączeniu z niewidocznością, a więc i nieświadomością tego, co „po tamtej stronie”, napawa nas niepokojem i dręczy niepewnością.

Oglądając się wstecz, zbrojni w później nabytą wiedzę, możemy za pobudkę do zdobywania pierwszej przełęczu uznać „kryzys narzędziowni”. Sieć ludzkich zależności rozrastała się i gęstniała, stwarzając problemy, którym znane i stosowane dotąd narzędzia regulacji ludzkiego współżycia (innymi słowy, te narzędzia „utrzymywania ładu”, które były dostępne instytucjom dotąd tą sprawą zajęтым) sprostać nie mogły. Gminy, parafie, cechy, municypalitetety były stanowczo przy — krótką suknią dla raptownie rosnącego organizmu społecznego — wiele kończyn, a i ważnych dla życia organów pozostawało bez przyodziewku. Nie dziw, że straszło Hobbesa po nocy widmo bellum omnium contra omnes toczony na bezpańskich rozstajach przez włóczęgów bez nadzoru. I nie dziw, że ratunek przed koszmarem widział Hobbes we władzy nowego typu — wszędobylskiej i wszechprzenikliwej, zasobnej w środki do ukrócenia swawoli poddanych, głuchej na protesty i wymagającej bezwzględnej dyscypliny — władzy, jakiej ucieleśnieniem stać się miało państwo nowoczesne.

Dziś sytuacja się powtarza — tyle że na nową, ogólnoplanetarną skalę. Nie dziw, że po okresie względnego zapomnienia, spędzonym w pracowniach speców od historii przednowoczesnej myśli, Hobbes zawitał znów na łamach uczonych, mniej uczonych i całkiem nieuczonych czasopism. Zaroilo się wszak ponownie na świecie od nie kontrolowanych rozdroży/bezdroży i bezpańskich rzezimieszków, i znów sukienka zbyt kusa, i znów nijak się nie da osłonić i ogarnąć owej sieci wzajemnych zależności ludzkich, wystającej poza zasięg suwerenności uznanych stróżów prawa i ładu (tym razem nie parafii i sołectw, ale państw — narodów, jedynych od czasów ugody westfalskiej organów władzy suwerennej), i znów dostępne narzędzia i nabyte umiejętności działania na niewiele się zdadzą, gdy stawić trzeba czoło problemom na miarę rzeczywiście istniejącego społeczeństwa (które tym razem urosło do rozmiarów ludzkości). Znaleźliśmy się więc na drugiej z kolei w dziejach nowożytnych przełęczu, równie zagubieni i zakłopotani, jak nasi przodkowie wspinający się na przełęcz dwa z hakiem wieki temu. Przeżywamy kolejny „kryzys narzędziowni”.

Trzeba było stulecia albo i więcej, by przez pierwszą przełęcz przebrnąć i na drugą stronę się przedostać. Ile czasu zabierze przebywanie drugiej? I ile ofiar, „nieuniknionych” i „pobocznych”, płacić będzie musiało życiem za jej przebycie? Nie bawiłbym się we wróżby. Stawiając wszakże na ludzki rozum i sumienie (na nic innego bodaj w naszej sytuacji postawić nie można), zaryzykuję przewidywanie trzeciej: następne pół wieku upłynie na szukaniu, poddawaniu próbie, wprowadzaniu w życie sposobów na dopasowanie politycznych środków działania i egzekwowalnych zasad prawnych i nakazów etycznych — dotąd nie wyrastających ponad poziom państw terytorialnych — do planetarnych rozmiarów, jakie ludzkie zależności już w naszych czasach osiągnęły.

Rachuba na wyrost? Pół wieku to zbyt mało? Ale wszak nie pierwsza to przełęcz, którą ludziom pokonywać przyszło, więc tym razem nie musimy brnąć na ślepo i stać nas na to, by trzeźwo zastanowić się, dokąd zmierzamy, i postanowić, jak dalej iść, przewidzieć

przeszkody na drodze i zmierzyć siły na zamiary. A i dotkliwiej jeszcze niż w czasach wspinaczki na pierwszą przełęcz zdajemy sobie sprawę z pilności i nieodkładalności spraw. Ryzyko powstrzymania się od działań jest dziś zbyt wielkie, by ludzki rozum i sumienie nie zbuntowały się przeciw beczynności. W tym nadzieja — na to liczymy.

Sprawy do załatwienia, zaiste, nie cierpią zwłoki i każą przyspieszyć kroku. Tę opinię potwierdzają i rozum, i sumienie, które zgodnie doradzają nie oszczędzać potu gwoli zaoszczędzenia krwi.

Wedle dostępnych obliczeń, pół miliona kobiet rocznie (jedna każdej minuty) umiera przy porodzie z braku higienicznych warunków i lekarskiej opieki. Codziennie 30 tysięcy dzieci (jedno dziecko co trzy sekundy) umiera od chorób, którym przy obecnym stanie medycyny i światowych zapasów żywności można byłoby zapobiec. W Sierra Leone, dla przykładu, 363 dzieci na 1000 nie dożywa piątych urodzin. Połowa ludności krajów afrykańskich na południe od Sahary ma na utrzymanie dolar dziennie albo i mniej.

Wedle komputerowo skalkulowanych prognoz, dziecięca śmiertelność będzie zredukowana o 2/3... w roku 2165. Wedle komputerowych projekcji, liczba ludzi żyjących w nędzy zmniejszy się o połowę... w roku 2147. Komputery nie mają wyobraźni ani sumienia, ani inteligencji (oprócz tej sztucznej, czyli dokładnej odwrotności tej „naturalnej”, która wszak wyraża się w rwaniu ciągów przyczynowo — skutkowych na strzępy i drwinie z regułą, i specjalizuje się w sądach, jakich ferowania ani przewidzieć, ani z podręcznika nauczyć się nie sposób). Ich prognozy zakładają więc, że w naszych reakcjach na bieg rzeczy (w tym na prognozy komputerowe) nic się nie zmieni. A więc, że na pomoc dla Afryki najbogatszy kraj świata wydawać będzie nadal 1,3 miliarda dolarów rocznie, a na jeden „stealthy bomber” 1,26 miliarda. Lub że na miesięczną kampanię w Iraku przeznaczy się 56 miliardów, czyli dokładnie tyle, ile kosztowałoby zapewnienie wykształcenia 110 milionom niepiśmiennych dzieci świata przez dziesięć lat. Że Wielka Brytania, Francja, Japonia czy Niemcy płacić będą 1% cła od ceny towarów eksportowanych do Ameryki, gdy Bangladesz, Kambodża czy Nepal płacić będą za to samo cło piętnastoprocentowe (tyle, nawiasem mówiąc, Sri Lanka czy Urugwaj dają też za eksport do Wielkiej Brytanii). Że zasoby pięciuset najbogatszych ludzi na świecie (obliczane dziś na 1,54 trylionów dolarów) równać się będą nadal rocznemu dochodowi połowy (tej uboższej) ludzkości.

Wskutek przyspieszonego zużycia energetycznych zasobów kuli ziemskiej przez najzamożniejsze kraje świata nie tylko kurczą się zapasy energii, ale i rośnie w tempie zastraszającym temperatura globu. Wzrosła ona w dwudziestym stuleciu bardziej niż w ciągu całego poprzedniego tysiąclecia, a tempo jej wzrostu w ostatniej ćwierci stulecia podniosło się trzykrotnie. Prognozy komputerowe przewidują, że w ciągu najbliższych lat dwudziestu, trzydziestu znikną warunki dla rolnictwa „podeszczowego” lub opartego na nawadnianiu pól, a liczba ludzi zmarłych na skutek upału (wedle obliczeń, 1500 w Indiach, a 5 tysięcy we Francji latem 2003) będzie raptownie rosła. Komputery obliczają, że aby zahamować nadciągającą katastrofę ekologiczną, musiałyby kraje „energochłonne” ograniczyć spalanie paliw do jednej piątej obecnego poziomu; ale przerabiając dane w prognozy, zakładają też, rzecz jasna, że konwencja w sprawie przeciwdziałania „globalnemu ociepleniu” będzie nadal bojkotowana przez moźnych tego świata, podobnie jak bojkotowany jest przez nich zakaz min lądowych czy decyzja o powołaniu Międzynarodowego Sądu Kryminalnego.

Moje przewidywanie czwarte: dzieje nadchodzącego pięćdziesięciolecia zadadzą kłam komputerowym prognozom. W obliczu wyzwania ludzkość nie weźmie na wstrzymanie... Inteligencja ludzka zatriumfuje (nie po raz pierwszy i nie ostatni) nad sztuczną. Znajdą ludzie środki na przyhamowanie, a potem i cofnięcie polaryzacji kondycji ludzkiej. Znajdą sposoby na przeciwdziałanie okrucieństwu, upokarzaniu, odmowie godności ludzkiej i pozbawianiu ludzi życiowych perspektyw. Znajdą drogę do zapobieżenia rabunkowej gospodarce i uratowania planety przed zagładą, póki jeszcze na to czas. Znajdą sposób na ochronę

ludzkości przed nią samą.

Wiarygodność czwartego przewidywania zależy, rzecz jasna, od spełnienia tego trzeciego (patrz wyżej). Jak to lapidarnie a celnie ujął bystry obserwator współczesnych żywołowych, nie kontrolowanych (a tym bardziej nie sterowanych) tendencji świata, George Monblot, „jeśli pozwolimy rynkowi rządzić, wszyscyśmy skończeni”. „Pozwolić rynkowi rządzić” to tyle, co zaniechać polityki: zrezygnować z jej wyniesienia do planetarnych wyżyn, gdzie jej obecne miejsce — jedyne miejsce, z którego może podjąć skuteczne działania. Jak zauważył Ryszard Rorty, bez wątpienia jeden z najprzenikliwszych analityków naszych czasów — jeśli polityka tego kolejnego w dziejach skoku nie dokona, wszystkim nam grozi „brazylianizacja”, czyli podział na „nad — klasę” obejmującą około dwudziestu procent ludzkości i spauperyzowaną resztę. „Istota globalizacji w tym się wyraża, że ekonomiczna sytuacja obywateli wypada spod kontroli ich instytucji przedstawicielskich. [...] Nie ma mowy, by prawa stanowione w Brazylii czy USA skutecznie nakazały wydanie pieniędzy w kraju, w którym zostały zarobione, i zainwestowanie ich w kraju, w którym zostały zaoszczędzone. [...] Brak globalnego organizmu politycznego (global polity) sprawia, że superbogacze mogą działać, nie zważając na żadne interesy poza własnymi”. A jak długo stan ten trwa — „podjęta przez jakikolwiek kraj próba złagodzenia niedoli własnych pracowników może się tylko skończyć pozbawieniem ich pracy”.

Wynika stąd, iż „państwa społeczne” (czyli oparte na zasadzie, że zabezpieczenie jednostki przed ciosami złego losu jest sprawą i obowiązkiem społeczności i że jakość społeczeństwa mierzy się warunkami życiowymi jego najsłabszych warstw, podobnie jak nośność mostu mierzy się wydolnością najsłabszego przęsła), zbudowanego po przebyciu pierwszej przełęczy, nie da się już utrzymać w ramach jednego kraju, wziętego z osobna (stąd powszechny dziś odwrót od tzw. państwa opiekuńczego). Podobnie jak nie da się już w jednym kraju, z osobna wziętym, zapewnić obywatelom życia bez obaw i osobistego bezpieczeństwa, wolności osobistych i powszechnych praw demokratycznych. Wszystkie te najcenniejsze zdobycze czasów nowoczesnych są dziś w niebezpieczeństwie. Groźbę odwrócić może tylko wyniesienie wspólnej odpowiedzialności za losy jednostkowe (oraz gwarancji godnego życia, bezpieczeństwa, rządów prawa i ludowładztwa) do poziomu, na którym operują już dziś moce gospodarcze. Państwo społeczne może utrzymać się przy życiu tylko w formie „społecznej planety”, a demokracja przeżyć może jedynie w formie ogólnoziemskiej.

Ta prawda utoruje sobie prędzej czy później drogę do świadomości społecznej — a od niej do czynów. Choćby i z tego powodu, że alternatywą jest „implozja” sił uznanych dziś za najmocniejsze z mocarnych (i z tego tytułu poczytywanych za zdolne do samodzielnego załatwienia spraw, jakim pomniejsze siły podołać nie mogą) — a to wskutek załamania się, wzorem niesławnej pamięci imperium sowieckiego, pod ciężarem wyzwań, jakie przerastają ich siły i jakim stawić czoło na dłuższą metę nie są w stanie. Nie obejdzie się po drodze, rzecz jasna, bez chybionych eksperymentów i ślepych uliczek... Ale w końcu się tę drogę przebędzie — choćby i dlatego, że innej nie ma. Nadzieja to, rzecz jasna, nie prorocstwo, a już tym bardziej nie „naukowe przewidywanie”. Powtarzam: nadzieja w ludzkiej mądrości i sumieniu.

Wzruszysz ramionami, Czytelniku? „Zbożne życzenia”, powiesz z przekąsem? Masz rację — lecz pomnij, że zbożne życzenia nabierają mocy ogromnej, gdy ludzie w nie uwierzą i zgodnie z wierzeniami postępować będą. Przepowiednie (jak zauważył Robert Merton, a przed nim jeszcze Florian Znaniecki wraz z W.I. Thomasem) mają przyrodzoną skłonność do „samo”spełniania się, a znów prorocstwa zagłady skłonne są do „samo”unicestwiania. Słowo „samo” zapisałem w cudzysłowie, jako że to ludzie przepowiednie snują, oni też swymi czynami lub bezczynnością słowo ciałem czynią, lub przeobrażeniu się słowa w ciało zapobiegają.

No a co się stanie z Polską, z Polakami? To nie z karygodnego zaniedbania nie zadałem dotąd tego pytania, ale z rozmysłu. Piąte przewidywanie bowiem, jakie teraz osądowi Czytelnika poddam, powiada, że w nadchodzącym pięćdziesięcioleciu coraz rzadziej ludzie zatroskani przyszłością ojczyzny będą musieli tego typu pytania zadawać. Polacy, jak i reszta ludzkości, dojrzywać zaczną do konstatacji, że o ich życie, teraz i w przyszłości, nie da się troszczyć inaczej, niż przyjmując współodpowiedzialność za godziwe życie i godność ludzką wszystkich współmieszkańców planety. Że losy zarówno Polaków, jak i reszty ludzkości rozstrzygać się będą na ogólnoplanetarnej wokandzie. Że walka o bezpieczeństwo i dobrobyt nie jest, w ostatecznym rachunku, grą o sumie zerowej. Że zarówno Polacy, jak i reszta ludzkości mogą być pewni swej osobistej przyszłości tylko w świecie bezpiecznym dla wszystkich swych mieszkańców. Że zarówno Polacy, jak i reszta ludzkości mogą się nie martwić o swą przyszłość narodową tylko w takim świecie, w którym wszystkie narody czują się bezpieczne.

A więc: wprawdzie pytanie nie zostało na piśmie sformułowane, ale cała ta zaduma, od pierwszego zdania do ostatniego, jest wynikiem próby odpowiedzi na nie. Bo gdy nad przyszłością Polaków się zastanawiamy, trzeba rozważyć przyszłość ludzkości. A gdy o przyszłości planety mowa, mowa o przyszłości Polski.

Leeds, w styczniu 2004

Podwójna pętla

JADWIGA STANISZKIS

profesor socjologii, wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim, w Wyższej Szkole Biznesu w Nowym Sączu, w Instytucie Studiów Politycznych PAN. Zajmuje się problematyką władzy i zmiany społecznej. W 1968 roku za udział w wydarzeniach marcowych została wyrzucona z Uniwersytetu (do pracy na UW wróciła w 1981 roku). W sierpniu 1980 roku była doradcą Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku, a następnie „Solidarności”. Prowadziła wykłady m.in. na Harvard University, University of California, Hokkaido University; była stypendystką Wilson Center, Washington D.C. Główne publikacje o transformacji: *Poland's Self-Limiting Revolution* (1984), *The Dynamics of Breakthrough in Eastern Europe* (1991), *The Ontology of Socialism* (1993; po polsku *Ontologia socjalizmu*, 1989), *Post-Communism: the Emerging Enigma* (1999), *Postkomunizm: próba opisu* (2001), *Zwierzę niepolityczne* (2003), *Władza globalizacji* (2003).

Kiedy ponad pięćdziesiąt lat temu, jesienią 2003 roku, ukazała się niewielka notatka informująca, że myśl (chodziło o eksperyment na małpach) jest w stanie kontrolować sztuczną dłoń, generując jej ruch bez pośrednictwa mięśni, a jedynie za pomocą impulsu z mózgu, nikt nie przewidział, że zmieni to obraz świata.

Już po kilkunastu latach, pod koniec drugiej dekady XXI wieku, myśl ludzka, jako niewyczerpywalne źródło energii, zwielokrotnianej przez urządzenia techniczne, zaczęła być przekształcana w ruch, ciepło i światło. Oznaczeni biochipami ludzie zostali podzieleni na kategorie. Ci najbardziej energetyczni — oprócz uruchamiania siłą myśli urządzeń w swoim otoczeniu, w miejscu zamieszkania i pracy, musieli też co pewien czas oddawać część energii na użytek publiczny. Była ona magazynowana w specjalnych pojemnikach. Każdy taki zabieg wymagał późniejszej regeneracji. Czasem energetyczne wyczerpanie mózgu okazywało się nieodwracalne i osobnika przesuwano do niskoenergetycznej kategorii ludzi zbędnych, żyjących na koszt systemu. Uwaga: używam określenia „system”, bo, jak pokażę dalej, o państwie i społeczeństwie nie mogło już być mowy.

Istniała też trzecia kategoria — obok dawców energii i osobników zbędnych — którą biochipy określały jako najbardziej wartościową. Chodziło o tych, którzy — oprócz przekładania energii mózgu na pracę urządzeń (co wymagało umiejętności maksymalnego, intencjonalnego skupienia myśli) — potrafili też osiągnąć coś diametralnie przeciwnego. Umieeli mianowicie wyzuwać myśl z wszelkiej intencjonalności i formy, pozwalając jej błądzić bez celu, co doprowadzało niekiedy do zaskakujących odkryć. Najbardziej cenione były mózgi zdolne do wyrwania się z klatki zobiektywizowanych, utartych kategorii, a nawet w ogóle z myślenia jakimikolwiek pojęciami, aby następnie — po nagłym olśnieniu wywołanym swobodnym przepływem skojarzeń — wrócić do pojęć, ale już w radykalnie odmiennych konfiguracjach. Szczególnie użyteczna była tu łatwość oscylowania między logiką dwu- i wielowartościową, która pozwalała spojrzeć na strukturę problemu z odmiennych punktów widzenia.

Ludzie tacy byli codziennie na kilka godzin podłączani do specjalnych komputerów rejestrujących bieg ich myśli. Produkowanie nowej wiedzy odbywało się w zupełnej samotności. Dyskurs uznano bowiem za stratę czasu. Chodziło przecież o odrzucenie „innego”, o przekroczenie intersubiektywności i zakorzenionej w przeszłości historii pojęć. Szalony wyścig w produkcji nowej wiedzy trwał. Urządzenia rejestrujące tok myśli nie pozostawiały bierne: karały lekkim szokiem za osłabianie wysiłku czy momenty

bezmyślności. W chwilach zmęczenia komputer pozwalał na krótki odpoczynek, przejmując inicjatywę i wpędzając myśl szalejącą w podłączonym doń mózgu w labirynt paradoksów i antynomii. Tak ustrukturuwana myśl odpoczywała, na nowo przyjmując konkretne formy, i niekiedy doprowadzała do zaskakujących nowych konstatacji. I tu dochodziło jednak do wypadków.

Wyścig ku nowym kombinacjom (i presja tych, którzy zarządzali wiedzą) powodował, iż dodatkowo stymulowano mózgi środkami chemicznymi. Czasem przedawkowywano i strumień impulsów w mózgu, nie dając się już zahamować, doprowadzał dawców myśli do załamań i prób samobójczych. Wtedy trzeba było owe jednostki izolować, a wyciszająca kuracja najczęściej bezpowrotnie niszczyła ich zdolności.

Zarówno ci, których mózgi produkowały energię, jak i ci, którzy produkowali wiedzę — pracowali w zupełnej samotności. Kontakty z innymi traktowano jako marnotrawienie energii. Było to bowiem najczęściej wymienianie znaków, a nie — pojęć, służące głównie wzmacnianiu więzów wewnątrz wspólnoty i w niewielkim tylko stopniu prowadzące do powstania nowej wiedzy.

* * *

Dawcy myśli, nawet jeżeli przejściowo współpracowali z innymi, to wyłącznie w pajęczynach o charakterze net centric. Polegało to na równoczesnym odnajdywaniu się w sieci posiadaczy strzępów informacji koniecznych dla rozwiązania danego problemu. Ta samokonstruująca się pajęczyna funkcjonowała bez wyraźnego centrum i bez hierarchii: chodziło o to, żeby nie agregować informacji, bo wtedy — w czasie redukcji niepewności — mogło dojść do zgubienia ważnego a niedocenionego sygnału. Poza tym brak hierarchii, równość statusów (i chwilowe tylko przejmowanie przywództwa — raczej jako autorytetu niż władzy) motywowały do większego wysiłku.

Uczestnicy sieci nigdy nie poznawali się osobiście — wymiana informacji na własny temat była traktowana jako strata czasu. Po rozwiązaniu problemu sieć się rozpadała. Gdy próbowała przetrwać, samodzielnie poszukując nowego problemu do rozwiązania, nadzorcy decydowali (po analizie indywidualnych charakterystyk uczestników pajęczyny), czy może stać się zagrożeniem dla systemu, czy też można jej uczestnikom pozwolić na wejście w kolejny cykl współpracy. Częściej uważano, że może być zagrożeniem. Przypadki lokalnych nuklearnych ataków terrorystycznych, stanowiące wyraz autoagresji (przechodzącej w agresję ogólną) mnożące się w najlepiej, jak by się wydawało, zorganizowanych segmentach systemu, w środowiskach producentów wiedzy (i/lub energii) o najwyższej randze, czyniły bowiem podejrzaną każdą próbę nieuzasadnionego podtrzymywania kontaktów. Także charakter instytucji drugiej ćwierci XXI wieku, nie posiadających struktur, a jedynie banki danych i zasoby wiedzy o metodach ich analizy, nie sprzyjał powstawaniu więzi społecznych. Zatrudniani do wykonania określonego zadania pracownik sam wytyczał swoją ścieżkę i tworzył strukturę kontaktów. Po rozwiązaniu problemu ścieżka była wymazywana, a on sam przechodził — z nowym kapitałem wiedzy — do innej instytucji lub nowego problemu, wymagającego odmiennej trajektorii kontaktów. I tu próby utrwalenia kontaktów, przejawy indywidualnych emocji traktowano „w najlepszym” wypadku jako przeszkody w procesowaniu informacji, a „w najgorszym” — jako zagrożenie dla systemu.

Tylko ludzie zbędni mogli hołdować tradycjom życia stadnego, znanego z przeszłości, z XX wieku. Mogli też wracać do staroświeckich sposobów posługiwania się komputerami: zabijających czas gier oraz Internetu, tworzącego iluzję wiedzy i komunikacji międzyludzkiej. Producenci energii i producenci wiedzy już nie posługiwali się komputerami dla przyjemności. Jeżeli przeżyli, wyeksploatowani, to wcześniej przechodzili na emeryturę, ale wtedy już nie mogli patrzeć na komputer. Pozwalano im za to zaglądać do bibliotek książek

drukowanych, z czego skwapliwie korzystali. Ludzie zbędni byli pozbawieni takiego dostępu pod pozorem chronienia zbiorów bibliotecznych przed zniszczeniem. Obawiano się bowiem, że — z nudów — zaczną inscenizować opisywane w książkach XX-wieczne rytuały polityczne: wiece, wybory, żądania kontroli nad rządzącymi. A przecież niewidoczność hierarchii i ośrodka władzy stanowiła podstawę demokracji w XXI wieku, w której nawet robotom pozwalano głosować. Jak w XVIII-wiecznej Ameryce Północnej niewolnikom: i roboty, i niewolnicy mieli 2/5 głosu osobnika ludzkiego. I w obu wypadkach w ich imieniu wyboru dokonywał ich właściciel: zachęcało to do gromadzenia robotów oraz napędzało ich produkcję.

Znużeni producenci energii i wiedzy na emeryturze czytali łączywie książki, zdumiewając się ilością nagromadzonych w nich dziwacznych metafor i symboli, a także dziwiąc się emocjom, jakie wywoływały one w przeszłości. Tamci XX-wieczni ludzie tworzyli jakieś mity, prymitywne w swojej czarno — białej strukturze, poszukiwali sensu życia — jakby wiedza nie służyła przede wszystkim eliminacji ryzyka i zwiększaniu kontroli. Nie potrafili też zrozumieć nadużywanych w książkach słów pełnych patosu, takich chociażby jak „tragiczność” czy „cierpienie”. W ich XXI-wiecznym świecie, gdy nie było rozwiązania, nie było też problemu, i niczego nie pożądanego aż tak, żeby utrata (lub niemożność zdobycia) tego bolała. Gdy pojawiało się napięcie, wystarczała mała różowa pigułka.

Zresztą wszystko można było symulować, a granica między realnością a iluzją dawno się już zatarła. Często to, co uważane za „realne”, okazywało się bowiem „iluzją”, a „iluzja” (potraktowana niezbyt serio jako gra) dopiero po rezultatach (i niemożliwości cofnięcia czasu i powrotu do punktu wyjścia) dawała się poznać jako „realność”. Prowadzono jednak intensywne badania nad manipulowaniem czasem, aby usunąć i tę ostatnią przeszkodę.

Użytkownicy bibliotek chcieli niekiedy porozmawiać o tym z innymi, ale — tego się nie robiło, ktoś mógłby pomyśleć, że są chorzy lub słabi (czytaj: niesamowystarczalni). Zresztą tak zdziczeli w samotności swoich dotychczasowych zajęć, przyzwyczajeni do koncentrowania się na sobie, że nie potrafiliby nawiązać kontaktu z innymi. Ich rodziny dawno się rozpadły. Generalnie zresztą uważano rodzinę za twór przestarzały. Dzieci wychowywano w internatach — to było „dobrze widziane” (słowo „przymus” w XXI wieku nie istniało). Najwartościowszych rozmnażano przez klonowanie.

Kobiety, zajmujące się nadzorem nad procesem klasyfikowania i chipowania mężczyzn, same rzadko stawały się producentkami energii lub wiedzy. Raczej posługiwały się swoim instynktem dla znajdowania nowych zastosowań dla wiedzy wyprodukowanej, a także — archiwizacją i zabezpieczaniem pomysłów zbyt nowatorskich, by obecnie wprowadzić je w życie. Trudno powiedzieć, żeby rządziły, nie należały przecież do najbardziej cenionej kategorii osobników zdolnych do produkowania i wiedzy, i energii. Zarazem jednak to one regulowały urządzenia eksploatujące owych osobników i określały indywidualny poziom owej eksploatacji. One też podejmowały decyzje o eliminacji osobników i pajęczyn uznanych za zagrożenie. Ta niejednoznaczność hierarchii (kontrolę sprawowali nie ci, którzy stali najwyżej; odwrotnie: ci ostatni byli poddani najbardziej drobiazgowym regulacjom) wyeliminowała napięcia statusowe zżerające XX — wieczne społeczeństwa.

Kobiety niechętnie myślały o stałych związkach. Emocje już od dawna były regulowane przez czujniki elektroniczne z automatycznymi ekwilibratorami, eliminującymi przesadę. A za przesadne uznawano uczucia, które mogły powodować ból. Związki kobiet kontrolerek z producentami energii i wiedzy były źle widziane, bo komplikowały zarządzanie ową produkcją. Natomiast związki z ludźmi zbędnymi — zakazane. Ci ostatni musieli zadowalać się kobietami, które ze względu na cechy osobowości, słabą intuicję i rozbudowaną emocjonalność nie weszły do klasy kontrolerek. Kontrolerki zdawały sobie sprawę, że odspołecznienie ludzi wartościowych czyniło kontakty z nimi trudnymi i nietrwałymi. Wołały

więc odbierać wrażenia zmysłowe z wprasowanych w kombinezony i bieliznę przekaźników, wchodząc w obrazy domowego kina w dowolnie wybranym momencie i równie łatwo wychodząc, gdy poczuły się zmęczone nadmiernymi emocjami.

Ten świat zaczął się jednak kruszyć, i to na peryferiach — w Europie Środkowej. Tam mieszkali głównie ludzie zbędni. Kultura nie poddana tresurze proceduralizacji w XX wieku, żyjąca jakby w przedłużeniu natury, w jej rytmie, nasycona znakami i symbolami, a nie — pojęciami, nie wytworzyła zbyt wiele mózgów nadających się do produkowania wiedzy. Bieda związana z kryzysem komunizmu oraz podwójnym szokiem — transformacji i integracji z Unią Europejską — z dziedziczonym przez pokolenia bezrobociem i dietą opartą na ziemniakach oraz chlebie — nie sprzyjała również powstaniu mózgów produkujących energię. Nie opłacało się też instalować tam nowoczesnych urządzeń: wciąż funkcjonowały bowiem staroświeckie elektrownie, gazociągi i silniki benzynowe. Ich wytwarzanie i użytkowanie wymagało współpracy. Dlatego też na peryferiach systemu światowego odspołecznianie następowało wolniej niż w centrum. Także ze względu na wciąż istniejące kościoły, w których mówiono o unikatowości każdej osoby i zobowiązaniach wobec bliźniego. W świątyniach Azji dodawano, iż ów człowiek staje się istotą wyjątkową przez sposób, w jaki radzi sobie z paradoksami rozumu.

Ludzie zbędni traktowali wprawdzie religię jako zabijający czas rytuał, ale informacje o owych „zabobonach” docierały też do producentów wiedzy. Zaczęły się ucieczki na terytoria ludzi zbędnych. Wiedza jako droga do własnej podmiotowości, a nie produkt przechwytywany przez zarządców i wymazywany, ze względów bezpieczeństwa, z mózgu twórcy — to budziło ciekawość i stopniowo stawało się obsesją. Grupie producentów wiedzy udało się skonstruować urządzenie pozwalające symulować wyczerpanie zdolności mózgu, co umożliwiała przejście na emeryturę i legalną emigrację na terytoria, gdzie wciąż żyło się jak w dawnych czasach. Z bibliotek zaczęły ginąć książki, te o rewolucjach, ale też te o przyjaźni i miłości. Przekazywano sobie odręczne zapiski o „społeczeństwie”, samotności, potrzebie cierpienia jako wskaźniku wartości tego, co się utraciło. Najpierw zaczęto odmawiać przyjmowania leków uszczęśliwiających. Nieokreślony ból wywoływał potrzebę rozmowy, bliskości. Ktoś znalazł książkę Johna Deweya z lat 20. XX wieku o demokracji jako komunikującej się wspólnocie. Początkowo nikt nie rozumiał, o co chodzi; stopniowo jednak Internet, z bezsensownej lawiny natychmiast zapominanego szumu, przekształcił się w teren dyskusji. Ludzie przestali oddawać dzieci do internatów, po to by wychowywać je w domu. Rodziny — związki kobiet i mężczyzn — stały się przez to trwalsze. Odradzały się zniszczone więzi społeczne. Anonimowe władze przy pomocy kobiet kontrolerek próbowały przekonywać, że rezygnacja z leków to powrót do epoki stresów i depresji. Wskazywano, że w końcu XX wieku, gdy nie było przymusowych badań i kuracji, w samych Stanach Zjednoczonych depresje w miejscu pracy kosztowały rocznie ponad czterdzieści miliardów dolarów. Jednak ludzie zaczęli dostrzegać, że samorealizacja wymaga stawienia czoła rzeczywistości, a nie uciekania w iluzję. Że częścią tego procesu jest własne cierpienie połączone — paradoksalnie — z unikaniem zadawania bólu innym. Że czas to nie tylko migotliwa siatka milionów indywidualnych czasoprzestrzeni, przecinających się i katalizujących nawzajem swoje przekształcenia, i niekiedy — bezwiednie — stających się źródłem przemocy strukturalnej; ale że czas to także ciągłość rozwoju gatunku ludzkiego, próbującego manipulować sobą za pomocą tworzonej przez siebie kultury. I — jak Europa — wymyślającego się co kilka wieków na nowo. Warunkiem doświadczenia tej ciągłości jest społeczeństwo oraz (nieracjonalne z perspektywy drugiej połowy XXI wieku) narracje i symbole, pozwalające uchwycić i nadać sens własnej historii.

Tak więc zaczęła się walka o powrót do uspołecznienia. Nie zatrzymały jej nieustanne lokalne wojny związane z konfliktami o rynki między wielkimi ponadnarodowymi korporacjami. Wojny te, prowadzone głównie przez roboty, zagrażały też ludziom ze względu

na częste wypadki skażeń i olbrzymie zniszczenia infrastruktury, odbudowywanej później z zyskiem przez korporacje.

W rezultacie jednak umacniało się przekonanie, że odtworzenie społeczeństw jest koniecznym wstępem do samoorganizacji i budowy przejrzystych, kontrolowanych od dołu hierarchii władzy. Podobnie jak kiedyś (patrz Hegla *Fenomenologia ducha* czy Camusa *Człowiek zbuntowany*), początkiem rewolty stało się odkrycie w sobie zdolności do powiedzenia „nie”. Tym razem było to „nie” wobec iluzji szczęścia i samotności odspołecznionego, wyzutego z historii bytowania. W połączeniu z żądaniami przywrócenia kontroli jednostki nad własnym myśleniem jako społecznym procesem (a nie — wyłącznie produkcją wiedzy, kontrolowaną przez komputery i anonimowych zarządców) zaczęło to zmieniać oblicze świata. Wbrew przypuszczeniom, motorem stały się nie ruchy antyglobalistyczne zajmujące się problemami ekonomicznymi ani wielkie zamieszki społeczne powodowane gospodarczym upośledzeniem — ale mobilizacja ludzi, którzy nie chcieli już być zbędni i sztucznie uszczęśliwiani, oraz tych, którzy woleli myśleć, a nie tylko produkować myśli.

Gdy piszę te słowa, owa pętla — po latach odspołecznienia prowadząca znowu ku życiu społecznemu — jeszcze się nie domknęła. Czy powiedzie się powrót do społeczeństwa? Nie wiadomo. Los pętli zakreślonej uprzednio — walki przeciw odpaństwowieniu — nie sprzyja optymizmowi. Wtedy, na początku XXI wieku, po wyczerpaniu metafizyki państwa, poszukiwania form władzy, które by pozwoliły utrzymać demokrację, skończyły się klęską.

A oto historia tej wcześniejszej, zakończonej klęską, walki o zachowanie państw (i demokracji):

Już na początku XXI wieku globalizacja spowodowała nie tyle zmierzch państw (bo te pozostały jako administracyjne ośrodki „zarządzania publicznego”), ile — zmierzch szczególnej metafizyki państwa. Nie można już było bowiem dłużej traktować państwa jako podstawowego podmiotu (i przestrzeni) stosunków władzy. Owej degradacji sprawczej roli państw towarzyszyły przejawy „deontologizacji” władzy. Globalizacja zwiększyła bowiem wagę władzy pola sił, pozbawionego wyraźnych podmiotów. Przykładem chociażby fenomen przemocy strukturalnej. Chodzi o sytuację, gdy jedna struktura — przez samą swą obecność — nie tylko staje się katalizatorem przekształceń innej struktury, ale jest w stanie wymusić sekwencję działań i rozwiązania zakłócające rozwój tej drugiej. Tak było w przypadku krajów postkomunistycznych wchodzących w międzynarodowy system podziału pracy, w tym także Polski.

Globalizacja nie tylko zmusiła do odejścia od analizy w kategoriach aktorów na rzecz analizy relacji między złożonymi strukturami, ale wyprowadziła fenomen władzy z przestrzeni hierarchicznej. Coraz bardziej kluczowa stawała się bowiem władza nie nad kimś, ale — władza systemu nad samym sobą, połączona z umiejętnością horyzontalnej metaregulacji (czyli regulacji reguł, harmonizacji różnych logik i standardów racjonalności).

Z tej perspektywy podstawowym wyzwaniem dla krajów postkomunistycznych wchodzących do Unii Europejskiej stało się znalezienie dla siebie jak najkorzystniejszego miejsca w owej strukturze — strukturze wielowymiarowej, zbudowanej z relacji między podmiotami. Chodziło o to, aby mimo utraty tradycyjnej suwerenności (autonomii decydowania w poszczególnych dziedzinach), wykorzystać możliwości stworzone przez integrację dla zwiększenia w tychże dziedzinach zdolności rozwiązywania problemów. Innymi słowy, aby mimo (a może — dzięki) ograniczenia suwerenności zwiększyć faktyczną kontrolę nad sobą i swoim losem. Płaszczyzną odniesienia stało się dążenie do najlepszego ulokowania się w powyższej strukturze relacji. (Tak aby uzyskana porcja realnej kontroli nad własnym losem była większa od porcji utraconej, formalnej suwerenności). Obrona własnej, statycznie pojmowanej tożsamości zmieniła się w obronę położenia w dynamicznej,

zmieniającej się pajęczynie relacji. Nie wszystkie postkomunistyczne kraje zdały ten egzamin. Niektóre — w tym Polska — stały się wewnętrznymi peryferiami Europy.

Globalizacja szybciej korodowała państwa „nowoczesne” (czyli właśnie te, które wyartykułowały metafizykę państwa) niż państwa „przednowoczesne”. Ów paradoks, wraz z odmiennym w poszczególnych kulturach sposobem pojmowania fenomenu władzy, wyjaśnia odmienność ich szans sprostania wyzwaniom globalizacji.

Tam gdzie (w Azji Wschodniej, ale też w USA) nie poddano się mitowi racjonalizacji, gdzie każdy poziom władzy odwołuje się do innej zasady regulacji, a władza przypomina raczej autorytet w „komunikującej się wspólnotie” niż politycznego suwerena Hobbesa — tam szanse na skuteczną adaptację do globalnych wyzwań były większe. Władza była tam bowiem (zwłaszcza w Azji) pojmowana jako katalizator przekształceń systemu, co najwyżej brany pod uwagę przez inne podmioty, jednak bez możliwości ujednoczenia parametrów określających decyzje tych podmiotów. To podejście lepiej odpowiada istocie zglobalizowanych sieciowych gospodarek i społeczeństw niż wyczerpująca się metafizyka państwa, stworzona w Europie Zachodniej z jej jednolitą przestrzenią prawną, integrowaną przez dyskurs polityczny.

W cywilizacji zachodniej (w jej europejskim nurcie) kluczowe dla zrozumienia genezy metafizyki państwa (i faktu, iż powstała ona tylko w tej cywilizacji) było intelektualne doświadczenie XIV-wiecznego nominalizmu, który wyparł wcześniejszy realizm. Nominalistyczne twierdzenie, iż wnioskowanie mówi nam jedynie o pojęciach, a nie o bytach (czyli radykalne oddzielenie poziomu idei od poziomu rzeczy) doprowadziło do zrelatywizowania „prawdy filozoficznej”. Uznano bowiem, że „prawdę” trzeba odnosić do wyjściowych założeń, a nie — do rzeczywistości, i dopuszczono wielość „prawd”. Zniszczyło to poczucie pewności. U źródeł nominalistycznego przewrotu leżały intelektualne wyzwania związane z odkryciem na nowo filozofii starożytnej Grecji, a konkretnie — logiki i filozofii Arystotelesa. Rozbiło to dotychczasową harmonię między filozofią i teologią: nie było już bowiem możliwe traktowanie ich jako spójnego wewnętrznego systemu. Aby więc ratować wiarę, wypchnięto pytania filozoficzne do sfery kultury, odmawiając odpowiedziom na nie statusu „prawdy absolutnej”. Skorodowano w ten sposób dotychczasowe fundamenty obrazu świata, tworząc w zamian załączki metafizyki państwa i tam poszukując nowych źródeł pewności.

Nie przypadkowo twórca nominalizmu, Wilhelm Ockham, który atakował realizm Dunsza Szkota i Tomasza z Akwinu, stał się jednocześnie (obok Marsyliusza z Padwy) twórcą nowej koncepcji państwa, przekraczającej założenia koncepcji „dwóch mieczy” (sformułowanej przez św. Tomasza z Akwinu). Według Ockhama władza polityczna pochodziła od Boga przez naród, a legalność cesarstwa opierała się na dobrowolnej akceptacji przez poddanych. Zadaniem władzy zaś było „sprostać zaufaniu”. Ockhamowska argumentacja o absolutnej wolności Boga (a więc braku wiążącego go projektu poprzedzającego akt stworzenia) i w związku z tym — przypadkowością stworzonych bytów, doprowadziła tego filozofa do poszukiwania pewnego gruntu w konstrukcjach stworzonych przez samych ludzi.

Arystotelizm (i konstrukcje powstałe w Europie Zachodniej pod jego wpływem) ostatecznie wyparły w XIV wieku platonizm. Pozostał on żywy tylko w kręgu kultury prawosławia. W Europie Zachodniej dokonał się więc podwójny przełom w myśleniu o państwie. Było to, po pierwsze, odejście od państwa jako wcielenia „Idei” („Rozumu”) na rzecz nigdy nie kończącego się procesu racjonalizacji. Po drugie, odejście od wizji państwa jako „władzy” (w sporze z władzą Kościoła) na rzecz coraz bardziej złożonego systemu instytucji, którego dynamikę wyznaczała wspomniana wyżej utopia racjonalizacji, obiecująca — niemożliwe przecież — pełne nałożenie się świata procedur i świata wartości.

Metafizyka państwa (od którego oczekiwano nie tylko rządzenia, ale też stania się konstrukcją rozwiązującą, w swoim zakresie, myślowe dylematy epoki), zapoczątkowana w

XIV wieku, przeżyła krótki okres neorealizmu. Renesansowa fascynacja autonomią władzy doprowadziła wtedy do skoncentrowania uwagi na technikach manipulacji. Wkrótce powrócił jednak główny problem, którego rozwiązanie obiecywała wyłaniająca się metafizyka państwa, czyli zderzenie racjonalności substancjalnej i formalnej. Racjonalizację procedur, nastawioną na złagodzenie owej antynomii, potraktowano jako podstawowy kierunek przekształceń państwa i — w coraz większym stopniu — jako źródło jego legitymizacji. Najpierw — w formie absolutyzmu oświeconego, potem — oświeceniowej nadziei na państwo jako kapsułę rozumu (w wersji politycznej, francuskiej i legalistycznej, niemieckiej), wreszcie — w konstrukcji idealnego typu biurokracji Weбера.

Mit racjonalizacji jako wektor doskonalenia państwa wprowadził do jego dynamiki dwie tendencje, w pewnym stopniu sprzeczne ze sobą: stopniowe wyłanianie się polityki (i politycznego dyskursu) jako rezultat walki z absolutyzmem i postępującej emancypacji politycznej stanów, a także proces doskonalenia nowoczesnej administracji, gdy właściwie dobrane procedury i prawo miały wymuszać, niejako automatycznie, realizowanie wartości i w ten sposób redukować antynomię między racjonalnością formalną a racjonalnością substancjalną. Owa wizja dyktatu formy stała się apogeum metafizyki państwa.

W kulturze prawosławia nie doszło do rozdzielenia poziomu bytu i poziomu idei, jakie w Europie Zachodniej towarzyszyło przejściu od realizmu do nominalizmu. Tam przyjęto bowiem z Grecji platonizm, a nie — jak w Europie Zachodniej — arystotelizm. Nie doszło też do rozerwania węzła napędzających się wzajem przeciwieństw „dobra” i „zła”, co w Europie Zachodniej dokonało się za sprawą św. Augustyna. W tej sytuacji paradygmatem kultury prawosławia stało się nierozzerwalne powiązanie idei i bytu. W tej wizji pary przeciwstawnych bytów pozostawały w konflikcie, a równocześnie — dopełniały się; walka między nimi stanowiła zarazem warunek ich reprodukcji. Cywilizacja rozwijała się, poszukując „idei naczelnej” zdolnej do wyrażenia (a tym samym — zniesienia) nieuchronnej w tej sytuacji antynomii.

Dotyczyło to także formuły systemu sprawowania władzy. Rewolucja kulturowa każdorazowo więc poprzedzała w Rosji rewolucję polityczną. Reżimy polityczne (carska autokracja, potem komunistyczna awangarda) powoływały się na swój związek z platońską ideą naczelną. Komuniści wykorzystali do utrwalenia swej władzy ów paradygmat kulturowy, oparty na wzajemnie karmiących się przeciwieństwach oraz trójwartościowej logice (w której dobór właściwej nazwy redukował antynomię bytu). Likwidację kapitalistów (a więc i konfliktu, dzięki któremu robotnicy byli „proletariuszami”, czyli podmiotem historycznym) uznali za podstawowy warunek, by uczynić z węzła partii–państwa nie tylko dawcę władzy, ale i namiastkę samego społeczeństwa; by traktować odtąd ten węzeł jako podmiot historii. Komunistyczna awangarda przypisywała sobie bowiem znajomość idei zdolnej do zniesienia sprzeczności w sferze bytu. Wyeliminowało to możliwość racjonalizacji państwa w sensie zachodnim — rozumianej jako doskonalenie formy (prawa, procedur) w celu niemal automatycznego realizowania wartości. Podbite kraje Europy Wschodniej (w tym Polska) nigdy nie nadrobiły tej kulturowej i instytucjonalnej luki. Utrudniło to dodatkowo ich integrację ze strukturami europejskimi.

Globalizacja i ewolucja Unii Europejskiej w kierunku neoimperializmu wymusiły odejście od myślenia w kategoriach sztywnej siatki państw — ku postrzeganiu złożonych relacji instytucjonalnych, zlepków i powiązań poszczególnych interesów i „polityk”, oraz różnic w historycznym rozwoju regionów wchodzących do Unii. Wiążąca się z tym deontologizacja Europy nie oznaczała początkowo zaniku państw. Zmieniła się jednak ich rola. Obecnie miały przede wszystkim administrować, dopasowując społeczeństwa i instytucje na swoim terenie do wymogów poszczególnych polityk, tak aby jak najwięcej z nich korzystać.

Konstytucja Unii Europejskiej przygotowana przez Konwent wyciągnęła wnioski z owej depolityzacji roli państwa i utraty nadziei na spełnienie w ich skali utopii racjonalizacji.

Globalizacja uniemożliwiła bowiem polityce w skali państw racjonalne zmierzenie się z problemami współczesnego świata. Wprowadzona przez Konwent zasada podwójnej większości wyrażała ów zmierzch „polityki politycznej” i przesunięcie akcentów do przestrzeni społecznej. Właściwy dla metafizyki państwa dyktat formy dotyczył teraz procedur unijnych kontrolowanych przez Komisję Europejską. Jeszcze w styczniu 2004 roku wybuchł konflikt między Komisją Europejską a ministrami finansów krajów Unii. Ci ostatni zagłosowali w listopadzie 2003 roku za rezygnacją z sankcji przeciwko Niemcom i Francji (zgodnie z paktem stabilizacji — automatycznych), co doprowadziło do wniesienia przez Komisję skargi do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. Była to potyczka między dwiema zasadami regulacji: dyktatem formy (w Europie zdeontologizowanej i pozbawionej wyraźnych centrów władzy) a polityką (z państwami jako podmiotami).

Wygrała biurokracja i dyktat formy. Już w następnym roku eliminacja polityki na rzecz ścisłej proceduralizacji zaważyła na konstrukcji budżetu UE. Wielowymiarowa Unia (w każdej z jej polityk obowiązywał inny model i poziom integracji), z jej deficytem polityki, nie mogła jednak przekształcić się w unitarne państwo, mimo że właściwie wyeliminowała rolę państw stowarzyszonych. Stopniowo przyjęła formułę neoimperium, przypominającego luźną sieciową tkankę feudalnego cesarstwa Karolingów, o polityce ograniczonej do spraw dynastycznych. Obcość kulturowa Europy Wschodniej ujawniła się z całą siłą. Tym bardziej że stała się ona terenem podziemnych prób odtworzenia scentralizowanego Kościoła i papieża, zdolnego do przeciwstawienia się bezdusznemu dyktatowi formy europejskiego neoimperium.

* * *

Mit państwa jako kapsuły, w której najpełniej wyraża się nadzieja na racjonalizację życia społecznego, wyczerpał się bezpowrotnie w drugim dziesięcioleciu XXI wieku. Oznaczało to również kres demokracji.

Ceną, jaką Europa zapłaciła za tę ewolucję, było dalsze pogłębienie „odspołecznienia” towarzyszącego rozwojowi technologii. To przecież polityczność stanowiła dotąd podstawowy gorset ujmujący społeczną aktywność w struktury. „Nowoczesność” wyeliminowała bowiem i korporacyzm, i tradycjonalizm, a sekularyzacja osłabiła więzy religijne.

Po wyczerpaniu metafizyki państwa i zmniejszeniu wagi aktywności politycznej, zarysowały się cztery możliwości, z których w końcu zwyciężyła trzecia.

Mogło nastąpić przekształcenie społeczeństw we wspólnoty (a więc wzrost opartego na etniczności nacjonalizmu).

Lub też mogły powstać społeczeństwa „hobbesiańskie”, samokontrolujące się, zastępujące skorodowane państwa i manipulujące samymi sobą poprzez kulturę.

Albo wreszcie — pogłębiłaby się apatia, atomizacja i rozpad społeczeństw, na rzecz „lokalności” i prywatności.

Czwartą możliwością było radykalne przeformułowanie sposobu sprawowania władzy na modłę azjatycką, z wyciągnięciem wniosków z deontologizacji władzy; kładzie się wówczas nacisk na relacje między podmiotami, sposób ich uporządkowania, nie zaś na ich własną tożsamość, cechy niezależne od struktury organizacji. Taka zmiana sposobu teoretyzowania w myśleniu o świecie jest jednak procesem bardzo skomplikowanym i wymagającym wielopoziomowych reinterpretacji. Jedno jest pewne: XVII — wieczna, westfalska formuła wyłoniła państwo stanowiące kluczowy podmiot zewnętrznych i wewnętrznych relacji. XXI — wieczna deontologizacja władzy w UE (deontologizacja Europy) oznacza kres tej fazy, w sumie krótkiej, bo trwającej tylko kilka wieków.

Trudno nam, Polakom, zrozumieć ów kryzys metafizyki państwa, bo nie uczestniczyliśmy

w wyłaniającym ją ruchu idei. Gdy zachodnie państwa racjonalizowały się, my pozostawaliśmy pod zaborami. Gnostyczna (obiecująca świeckie zbawienie), konstruktywistyczna i narzucona formuła komunizmu, w której węzeł partia — państwo stanowił władzę i równocześnie pretendował do roli jedyne historycznego podmiotu, wiedzącego, co leży w obiektywnym interesie społeczeństwa — była tylko aberracją, doprowadzającą do absurdu (i kompromitującą) ideę racjonalizacji. Została ona bowiem wbudowana tu w platońską, a nie — jak w Europie Zachodniej — arystotelesowską perspektywę myślową.

* * *

Świat za pięćdziesiąt lat to świat bez państw i bez społeczeństw. Świat bezosobowego systemu manipulowanego przez technokratów, psychiatrów i kobiety, a popychanego do przodu przez nowoczesnych niewolników — producentów wiedzy i energii. Polska (i inne kraje peryferii) pozostanie trochę na uboczu procesów owej ultramodernizacji. I może z tego powodu przechowa pamięć o wartościach, do których trzeba będzie wrócić, aby ludzkość przetrwała i nie uległa pełnej robotyzacji.

Czy ów powrót będzie możliwy? To już zależy od naszych wnuków. Uratowanie państw (i demokracji) okazało się niemożliwe. Teraz toczy się walka o zachowanie więzi społecznych. Groźba robotyzacji ludzi przez technologie jest wciąż realna i właśnie Europa Wschodnia (a szczególnie Polska), ze swoim opóźnieniem i tradycjonalizmem, może dać istotny impuls w tej walce.

Kultura narodowa w erze globalizacji

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

urodził się w 1932 roku w Pińsku. Najwybitniejszy pisarz spośród polskich reporterów. Pracę dziennikarską rozpoczął w latach pięćdziesiątych w „Sztandarze Młodych”. Na początku pisał reportaże krajowe, potem podróżował po świecie, obserwując wojny, przewroty i rewolucje w Ameryce, Azji i Afryce. Autor m.in. następujących książek: *Czarne gwiazdy* (1963), *Kirgiz schodzi z konia* (1968), *Gdyby cała Afryka...* (1969), *Dlaczego zginął Karl von Spreiti* (1970), *Chrystus z karabinem na ramieniu* (1975), *Jeszcze dzień życia* (1976), *Cesarz* (1978), *Wojna futbolowa* (1978), *Szachinszach* (1982), *Lapidarium* (1990), *Imperium* (1993), *lapidarium II* (1995), *Lapidarium III* (1997), *Heban* (1998), *Lapidarium IV* (2000), *Z Afryki* (2000).

Kongres Kultury Polskiej zbiera się w szczególnym, niezwykłym momencie. Już za trzy tygodnie rozpoczyna się wiek XXI. Jest to fakt nie tylko kalendarzowy. Szereg ważnych wydarzeń i procesów końca odchodzącego stulecia zapowiada, że nowy wiek postawi przed nami wyzwania, którym będziemy musieli sprostać, a jednocześnie stworzy szanse, które — obyśmy umieli wykorzystać!

Ta wyjątkowość przeżywanej obecnie chwili dziejowej wynika ze zbiegu dwóch niezmiernej wagi okoliczności: po pierwsze — zakończyła się zimna wojna, która przez pół wieku dzieliła świat i mroziła panujące w nim stosunki. Koniec tej wojny zapoczątkował nowy etap współczesnej historii świata i otworzył dla całej rodziny człowieczej drogę do demokracji i wolności, a tym samym możliwość przyszłego, globalnego porozumienia i współpracy.

Jednocześnie temu procesowi powszechnego otwarcia i zbliżenia towarzyszyła, biorąca w nim walny udział i nadal zresztą trwająca — wielka rewolucja elektroniczna, która przełamując dwie bariery utrudniające komunikację międzyludzką, to znaczy barierę czasu i przestrzeni, sprawiła, że świat stał się bardziej jednoczesny, przychylny i dostępny dla wszystkich, choć dodajmy od razu — tym przychylniejszy i dostępnejszy, im kto bardziej zamożny i silny.

Właśnie z połączenia tych dwóch faktów — otwarcia świata po zimnej wojnie oraz intensywnie rozwijającej się komunikacji i łączności planetarnej — zrodził się nowy fenomen coraz bardziej wpływający dziś na losy nas wszystkich i to niezależnie od kraju i kontynentu, a mianowicie — fenomen globalizacji. Dyskusja o globalizacji rozgorzała szczególnie w ostatnim dziesięcioleciu i toczy się obecnie na całym świecie. Globalizm jest bowiem zjawiskiem obejmującym i przenikającym w coraz większym stopniu wszystkie dziedziny życia — polityczną, ekonomiczną i kulturalną.

Są teoretycy, którzy twierdzą, że nie ma tu nic nowego pod słońcem, że globalizm jest zjawiskiem wielowiekowym, datującym się co najmniej od czasu, kiedy Kolumb odkrył nowy kontynent, a nawet dwa i pół tysiąca lat temu, gdy Anaksymander z Miletu stworzył pierwszą mapę świata (przedstawiała ona płaski krąg ziemi otoczony wodą z delfinami pośrodku). Ale teza taka obarczona jest dużą dozą dowolności i fantazji.

W rzeczywistości bowiem nigdy dawniej nie istniało jedno tak potężne centrum wpływające na losy całej planety i nie było narzędzi komunikacji, które pozwalałyby człowiekowi znajdującemu się w jakimś punkcie globu połączyć się w sekundę z innym człowiekiem przebywającym na drugim końcu naszej planety. Wkraczamy więc w nową jakość świata, którą ledwie próbujemy przeniknąć i zrozumieć.

Pojęcie globalizacji sprowadza się często do walki wielkich, ponadnarodowych korporacji

o dostęp do wszystkich rynków zbytu, o prawo do nieskrępowanej swobody przepływu kapitałów i towarów ponad granicami państw i regionów. Ale taka czysto ekonomiczna definicja jest zbyt powierzchowna i wąska. Pojęcie to zawiera bowiem ważny składnik kulturowy, zawiera propozycję i praktykę traktowania kultury jako obiektu rynkowego. A ponieważ zgodnie z ideologią globalizmu prawa rynku decydują o wszystkim, mają one również rządzić dziedziną kultury. Wprowadza to nowe kryteria wartościowania. Nikt nie pyta, czy książka jest dobra, czy dany film jest wybitny. Ważne, ilu obejrzało go widzów, jaką zrobił kasę. Ciągłe stosujemy te same kryteria, nie zawsze świadomi, jak głębokie są tego konsekwencje dla sensu i miejsca kultury.

Wiele nieporozumień i pomyłek bierze się tu z różnego pojmowania kultury w tradycji anglosaskiej, zwłaszcza amerykańskiej — bo właśnie Ameryka jest głównym motorem globalizmu — oraz w tradycji europejskiej, a szczególnie tak silnej u nas tradycji romantycznej. Żeby powiedzieć to w wielkim uproszczeniu: w doświadczeniu amerykańskim dzieło kultury jest produktem pracy ludzkiej, której wartość ocenia odbiorca przez akt kupna lub jego odmowę, Europa natomiast traktowała dzieło kultury jako owoc natchnienia, rzecz zawierającą element sacrum, wartość rynkowa więc odgrywała tu rolę drugorzędną.

Wraz z postępami globalizmu coraz bardziej wyraźną przewagę zyskuje wariant pierwszy — anglosaski. Różnica między tymi modelami kultury ma charakter nie tylko filozoficzny. Pociąga ona za sobą także skutki praktyczne. Panuje bowiem powszechna zgoda, że wiek XXI będzie wiekiem kultury. O ile w dawnych cywilizacjach wartością największą była ziemia, a w cywilizacji nowożytnej — maszyna, to wartością taką w nadchodzącej cywilizacji staje się umysł ludzki, jego zdolności poznawcze i kreatywne. Aby umysł ten miał wszystkie warunki rozwoju, musi on dojrzewać i doskonalić się w otoczeniu kulturalnym najwyższej jakości, takim, które będzie go nieustannie inspirować i wzbogacać.

Pośród licznych podziałów istniejących w społeczności świata coraz wyraźniej — obok zróżnicowania na biednych i bogatych — będzie rysował się podział na tych mających dostęp do wiedzy i kultury oraz pozbawionych takiej możliwości, a tym samym skazanych na marginalność i drugorzędność. Rozumieją to młode pokolenia świata, toteż chęć kształcenia się panuje w nich na skalę dotąd niespotykaną, a pęd do szkół wszystkich szczebli jest powszechny i stale rosnący. W ogóle w krajach, w których uwaga skupiona jest na przyszłości i wyzwaniach, jakie będzie ona stawiać kulturom narodowym, inwestycje na te ostatnie zajmują wysoką pozycję na liście wydatków społeczeństwa i państwa. Nie dzieje się to na zasadzie jednokierunkowych, bezzwrotnych datków. Odwrotnie — nakłady w dziedzinie kultury należą do najbardziej zasadnych i ekonomicznie opłacalnych. Tak właśnie jest w wypadku globalizacji w wydaniu amerykańskim. Tu — wytwórczość w dziedzinie kultury masowej, ale nie tylko — oraz jej eksport do wszystkich zakątków świata przynosi Stanom Zjednoczonym ogromne dochody. Jeżeli napotykamy wszędzie wytwory tej kultury, takie jak filmy, seriale i inne programy telewizyjne, muzyka rozrywkowa i poważna, literatura, malarstwo itd., to nie dlatego że tamto społeczeństwo wyrzeka się wszystkiego, byle jego kultura panowała na świecie, ale dlatego że kultura ta daje korporacjom i monopolom USA krociowe zyski. Oto trzy wielkie odkrycia globalizacji — że kultura, oświata i informacja mogą być znakomitym interesem. A dzieje się to wszystko na olbrzymią planetarną skalę — o ile bowiem na początku XX wieku powstało na świecie społeczeństwo masowe, to obecnie przeżywamy proces, w którym to masowe społeczeństwo przekształca się w społeczeństwo planetarne, a kultura masowa nabiera planetarnego wymiaru.

Powstaje od razu pytanie — jakie będzie to nowe społeczeństwo? Jego gusta i wybory kulturalne będą z pewnością takie same jak społeczeństwa masowego. Trwa natomiast spór, jak będą się układać stosunki między różnymi kulturami? Jedni są zdania, że będziemy żyć raczej zgodnie w świecie wielokulturowym, inni — że kultury będą wchodzić ze sobą w konflikty, zderzać się i zwalczać. Wielu natomiast uważa, że standaryzacja kultury

planetarnej postępuje w takim tempie, iż my wszyscy stawać się będziemy do siebie podobni, nawet — identyczni. W wyglądzie zewnętrznym to się już nawet dzieje. Na całym świecie nosi się adidasy, niebieskie spodnie džinsowe, koszulki polo. Te podstawowe części ubioru stały się tak powszechne i tanie, że nawet w krajach ubogich zniknął tradycyjny symbol nędzy — łachmany. Można jeszcze tu i tam spotkać żebraka, ale będzie on już zupełnie znośnie ubrany. Tak, bo globalizacja to także wielkie rozmnożenie taniochy i kiczu, co jednak w różnych wypadkach poprawiło poziom życia wielu ludziom. Trzeba jednak sceptycznie odnieść się do mitu, do głoszonej przez entuzjastów globalizmu nowej utopii, a mianowicie, że globalizacja i upowszechnienie technik komunikacyjnych, takich jak łączność satelitarna czy Internet, same z siebie rozwiążą problem pogłębiających się nierówności społecznych, które są zmorą współczesnego świata.

Globalizacja, jej intensywna, dynamiczna ekspansja, jej prężny, przedsiębiorczy duch wywołują na świecie odmienne reakcje. Ma ona najwięcej zwolenników i orędowników w kołach związanych z wielkimi korporacjami ponadnarodowymi, z wielkimi bankami, z wielkimi sieciami mediów, wielkimi pozarządowymi organizacjami, a więc — najbogatszą, rządzącą dziś światem klasą globalną. Ton tych ludzi, gdy mówią o globalizacji, cechuje niezachwiany optymizm i pewność siebie. Inaczej jest w Europie, gdzie obok zwolenników globalizacja ma licznych sceptyków i wręcz przeciwników. Europa boi się o swoją przyszłość, lęka się, ponieważ traci przewodnictwo w świecie, a ciągle nie jest w stanie znaleźć dla siebie nowego miejsca na naszej zmieniającej się planecie.

Wręcz wrogo odnoszą się do globalizacji kraje ubogie, praktycznie cały Trzeci Świat. Nazywa się ją tam nowym kolonializmem, a hasło wolnego rynku nie przemawia do ludzi, którzy na tym rynku nie mają wiele do sprzedania. Z tym, że w kulturach takich jak islam czy buddyzm odróżnia się technologiczną i kulturową stronę globalizmu. Pierwszą się przyjmuje, a drugą — odrzuca.

Wizja globalizmu napęła wielu ludzi, wiele środowisk i instytucji takim lękiem, że nie czując się na siłach walczyć ze zjawiskiem, za którym stoją najpotężniejsze moce gospodarcze i medialne świata, wybierają oni taktykę odgradzania się, izolacji, zamykania w sobie, nie dostrzegają nowej sytuacji, w jakiej znalazła się kultura w dobie globalizacji. Tymczasem na całym świecie zmienia ona sytuację kultur narodowych. Działając ponad granicami państw, nawet ponad narodowymi prawami — jak dowodzi tego jeden z jej potężnych instrumentów — Internet, globalizacja wprowadza do kultur narodowych nieubłagany mechanizm rynku, tendencję utowarowienia wszystkiego, co jest wytworem ducha i myśli ludzkiej. W tej sytuacji daje ona jedynie szansę dalszego, twórczego istnienia przede wszystkim tym kulturom, które prezentując wysokie wartości estetyczne i etyczne, mają jednocześnie siłę materialną i taką zasobność ekonomiczną, która pozwoli im wytrzymać konkurencję i oprzeć się marginalizacji. To że jesteśmy zdolni do takich zachowań, potwierdziły raz jeszcze choćby dwie tegoroczne imprezy międzynarodowe — w Hanowerze i Frankfurtach.

Nowa sytuacja komunikacyjna świata sprawia, że w zasięgu człowieka współczesnego pojawiła się nie jedna, jego narodowa kultura, ale i dziesiątki innych kultur, czasem potężnych i bogatych, i że wobec tego może on, a nawet musi ciągle dokonywać wyboru, tym bardziej że przecież zdolności odbioru i percepcji umysłu ludzkiego mają swoje nieprzekraczalne granice. Słowem, to zupełne otwarcie świata, które tak cieszy, ale i trochę niepokoi, wystawia każdą kulturę narodową na próbę wielkiej i nieubłaganej konfrontacji, wprowadza ją w ruch, w krążenie, nigdy bowiem jeszcze ruch dóbr i wartości kulturalnych nie był tak intensywny, tak właśnie globalny, jak obecnie. O ile kiedyś Marshall McLuhan powiedział, że świat stanie się globalną wioską, to dzisiaj możemy już powiedzieć, że w każdej wiosce znajdzie miejsce globalny świat.

Dominacja rynku jeszcze w jednym stopniu wpływa na sytuację. Rynek mianowicie to

rzeczywistość ulegająca ciągłym kaprysom i wahaniom, ciągłej zmianie gustów i nastrojów, smaków i upodobań. W tych warunkach nawet istotne i trwale wartości mogą być zagrożone czy marginalizowane. Z drugiej jednak strony, owa łatwość i dostępność komunikacyjna stwarza warunki do wzbogacającej wymiany międzykulturowej, do wzajemnych inspiracji i współdziałań — słowem, procesów dokonujących się obecnie na niebywałą skalę.

Nasza kultura narodowa przez dwa ostatnie wieki, które w ogóle decydowały o obecnym stanie kultury w Europie, rozwijała się w niezmiernie trudnych warunkach. Nigdy nie była to kultura zamożna, zasobna w dobra materialne. A jednak jako naród pozbawiony państwa przetrwaliśmy właśnie dzięki własnej polskiej kulturze, silnej duchem, osadzonej mocno w chrześcijańskiej tradycji europejskiej. Nie mieliśmy państwa narodowego, ale mieliśmy język polski, żywą pamięć, poczucie wspólnoty narodowej, wiarę. Tak, w owych czasach, w epoce poprzedzającej globalizację, było to jeszcze możliwe. Dziś jednak ubóstwo ma niszczący wpływ na kulturę, pozbawiając ją żywotnych sił, znaczenia, prestiżu. Wystarczy zobaczyć kraje słabe, gdzie państwo nie funkcjonuje, a życie gospodarcze zamarło. W takich krajach kultura faktycznie przestała istnieć. Inteligencja wyjechała, szkoły opustoszały, zamknięto księgarnie.

Kultura jest najwyższym dobrem każdego społeczeństwa, każdego narodu. Tak przecież było zawsze. Ludzie nie mogą żyć poza kulturą, jest ona formą ich istnienia. Pozycję narodu na świecie, jego akceptację, szacunek do niego mierzy się wartością jego kultury, siłą jej promieniowania, i dlatego dbałość o nią, o jej duchowe i materialne bogactwo, jej nowoczesność i otwartość jest formą, w jakiej wyraża się współczesny patriotyzm.

Ale wraz z rosnącą rolą kultury, a ta właśnie tendencja będzie charakteryzować wiek XXI, zwiększają się nasze wobec niej obowiązki. W świecie ułatwionej i nieograniczonej komunikacji, w przestrzeni, którą chcą dziś zapełnić kultury potężne i dynamiczne, tylko prężna, twórcza i zasobna kultura narodowa ma szanse trwania i spełniania swojej roli wobec własnego kraju, Europy i świata.

Oczywiście, zawsze można wycofać się w niszę zaścianka, w spokojne ciepło beczyny, ale wówczas traci się na znaczeniu, świat przestaje się z takim partnerem liczyć. Tak, bo żyjemy w świecie wielkich możliwości, ale i wielkich wymagań. To świat, od którego można dużo uzyskać, ale za wysoką cenę stałego wysiłku, koncentracji, świadomości celu, gotowości ryzyka. Młodzi, którzy w ten świat wchodzi, ale do których on należy — mają tego świadomość.

Pośród kultur narodowych świata kultura polska zajmuje miejsce znaczące i ważne. W ciągu dziesięcioleci ucisku i prześladowań dowiodła ona swojej siły twórczej, powagi i niezależności. Wspaniałe jest to nasze dziedzictwo, do którego możemy się zawsze odwołać, szukać w nim oparcia i inspiracji. To, co niekiedy uważano za słabość polskiej kultury, że mianowicie rozwijała się na skrzyżowaniu różnych cywilizacji, oddziaływań i wpływów, dziś, w epoce globalizacji, a więc epoce wielkiego skrzyżowania, planetarnej wymiany i wielości dyskursów staje się jej atutem, wyróżnikiem i szansą.

Kultura jest nie tylko bezcennym dziedzictwem narodowym, ale także stale wytwarzanym i przekształcanym dobrem, wartością, która ciągle, z pomocą wszystkich, powinna rozwijać się, zmieniać, wzbogacać. Jest polem, które ani na chwilę nie może leżeć odłogiem. Tylko wówczas złoty róg i czapka z piór pozostaną w zasięgu naszej ręki.

Przedruk za: „Rzeczpospolita” z 29 czerwca 2000

Orzeł biały na tle nerwowym

STANISŁAW LEM

urodził się w 1921 roku — pisarz, filozof, publicysta. Jeden z największych w historii gatunku pisarzy *science fiction*, jej odnowiciel, innowator i zarazem klasyk. Fantastyka naukowa przyniosła mu światową sławę i popularność. Laureat wielu prestiżowych nagród, jego książki tłumaczono na ponad czterdzieści języków.

Przeglądając prastare numery paryskiej „Kultury”, znalazłem niezłe określenie, z którego pożyczam tytuł dla poniższych rozważań. Najpierw zaś chcę powiedzieć trochę o tle, na jakim będzie się toczyła historia Polski w następnych dziesięcioleciach. A znajdujemy się w momencie dosyć trudnym.

Fala terroryzmu, mająca początek w ataku na Manhattan, rozeszła się po świecie jak kręgi na wodzie, powstające, gdy wrzucimy w nią kamień. Kiedy piszę te słowa, dobiega końca drugi tydzień tak zwanego powstania irackiego. Powstańcy usiłują doprowadzić Amerykanów do ucieczki z Iraku, a jednocześnie porywają, kogo się da — Włochów, Chińczyków, Japończyków, Niemców, Czechów — i albo ich mordują, albo uznawszy, że się pomylili, zwalniają. Jak się zdaje, nie mają żadnej koncepcji, żadnego programu. Cały program to zamordować, rozerwać, rozszarpać i tańczyć z radości wokół płonących samochodów. Dowiedziałem się niedawno, że w Koranie próżno szukać wezwania do miłości bliźniego, że pojęcie to nie wchodzi w zakres tak zwanych pięciu filarów konfesji islamskiej.

W sprawie irackiej Polska, w przeciwieństwie do „starej Europy”, złączyła się z Ameryką. Równocześnie nasza polityka wewnętrzna posadowiona jest słabo, wręcz rozchwiana, obserwujemy całkowity rozpad zaufania do tak zwanych elit politycznych. Mamy za to niezłe wznoszącą się gospodarkę i stoimy przed wrotami Unii Europejskiej, które lada dzień się otworzą. Jedni sądzą, że chwila ta przyniesie nam zbawienie, a przynajmniej pozwoli nałożyć uprzęż, wędzidło i popręg na znarowionego konia; wedle innych wejście do Unii oznacza same nieszczęścia, a na pewno pogorszenie się warunków życiowych wskutek podwyżki cen i zagrożenie bytu kilkuhektarowych gospodarstw chłopskich, których w Polsce mamy bardzo wiele.

Opisawszy współczesne tło, należałoby ze zgromadzonych faktów dokonać ekstrapolacji w przyszłość, co oznacza właściwie mówienie rzeczy nonsensownych. Przewidywanie przyszłości politycznej, wspartej na rozwoju ekonomicznym sprzęgniętym z elementami społeczeństwa obywatelskiego, jest u nas szczególnie utrudnione, ponieważ w dalszym ciągu niesiemy na grzbiecie straszliwy balast czterdziestu lat komuny. Nie dysponujemy też bogactwami stanowiącymi główny motor postępu na przykład w Rosji, która ma potężne kopaliny: ropę, złoto i wszelkie najrzadsze pierwiastki.

Należałoby może postawić kilka kwestii partykularnych. Na przykład: czy zdołamy przebudować sieć dróg, by kraj nasz przecięły autostrady, którymi z zachodu na wschód przemieszczać by się mogły wielkie masy dóbr? Obawiam się, że to w najbliższych dziesięcioleciach niemożliwe: owszem, powstawać będą coraz to nowe dyrekcje budowy autostrad, będzie się wokół tego bardzo wiele gadało i bardzo wiele narzekało. Wpadliśmy aż po szyję w grząski moczar narzekania i to nam również nie pomaga. Inna przykrość, która nas prawdopodobnie czeka, to dalsze wypłukiwanie najinteligentniejszych i najzdolniejszych młodych umysłów w kierunku głównie zachodnim, a zwłaszcza do Ameryki.

Przeglądałem ostatnio kilkadziesiąt tomików „Kultury” paryskiej z lat dziewięćdziesiątych, razem z ostatnim, pamiętnym numerem wydanym już po śmierci Giedroycia, aby zrobić sobie rekolekcje z piętnastolecia naszej niepodległości.

Przewidywania w gruncie rzeczy były przez cały czas kiepskie. Polityczne trzęsienie ziemi wywołał już fenomen Tymińskiego, obawiano się kolejnych partii, które w sposób dziwnie plazmowaty przelewały się jedna w drugą, krzyżowały się pojęcia lewicy i prawicy. W chwili, kiedy to piszę, pozostała nam jeszcze jedna choroba, którą musimy przejść: lepperyzacja.

Jakkolwiek rozmaite siły, podobnie jak przed wyborami Tymiński kontra Wałęsa, chcą się teraz łączyć i przeciwstawić Lepperowi, sądzę, że on prędzej czy później zostanie premierem. Pograży wtedy zapewne Polskę w dołku inflacyjnym, ponieważ spowoduje spadek wartości kursowej złotego, ucieczkę kapitałów portfelowych krótkiego terminu i powściągliwość wielkich inwestorów światowych wywołaną zrozumiałą ostrożnością. Globalizacja w zakresie gospodarczym i inwestycyjnym będzie nas trwożliwie albo obchodziła, albo przeczekiwała. Ponieważ jednak w historii umierają tylko jednostki, a narody trwają, sądzę, że na przestrzeni rozpoczętego właśnie nowego stulecia prędzej czy później tę dziecięcą chorobę lepperyzacji przezwyciężymy i nastanie potem jakiś rodzaj nowych rządów, co do których jakości i walorów nic jednak powiedzieć nie można.

Ponieważ *historia magistra vitae est*, warto przypomnieć, że Polska odrodzona w 1918 roku stanowiła wprawdzie zlepek ziem trzech zaborów, ale we wszystkich zaborach, pod rządami Rosji, Austrii i Prus, panował jednak kapitalizm, podobna była mentalność i obowiązywała ta sama zasada poszanowania własności prywatnej, podczas gdy od 1989 roku musimy się borykać z faktem, że większość ludzi nie rozumie właściwie nic z przeprowadzanych zmian ani nie wie, po co idziemy do Unii i jakie z tego mogą wynikać korzyści. Panuje w związku z tym wielki niepokój. Czy potężna dawka europejskich reform, planów i praw, do których zostaniemy włączeni, zadziała jak środek uspokajający, czy raczej jeszcze bardziej niepokojący — powiedzieć nie potrafie.

Patrząc z minimum obiektywizmu trzeba też zauważyć, że kryzys państwa opiekuńczego związany z kłopotami gospodarczymi i nadmiernie rozbudzonymi oczekiwaniami społecznymi dotyka dziś także państwa stabilne i wysoko rozwinięte, zarówno Niemcy, jak i Francję. Kolejne rządy francuskie i niemieckie czeka trudne zadanie, ponieważ bardzo łatwo jest ludziom coś dawać, jak właśnie ten tak zwany w Niemczech *sozial*, ale trudno obciąć choć w niewielkim stopniu przyznane już przywileje.

Nie jest rzeczą uczciwą bawić się w przepowiadanie, zwłaszcza gdy się wie, jakie kohorty rozmaitych przepowiedni rozpadły się w proch i w pył. Wyjąłem niedawno z półki książkę Hermana Kahna *The Next Two Hundred Years* i przeglądałem ją z żalonym wzruszeniem ramion: nic się nie zgadza, nie ma w niej ani globalizacji, ani internetu, ani telefonów komórkowych, ani skanerów, ani biotechnologii... Za najgorszych czasów stalinowskich rysowano nam świetlane perspektywy — dosłownie rysowano, pamiętam rysunki przedstawiające centrum Warszawy, po którym porusza się jedna, a nawet dwie dorożki samochodowe, a kilka osób spaceruje pod drzewkami w cieniu wspaniałych gmachów MDM-u. Wszystkie te baśnie zupełnie się nie sprawdziły. I oczywiście gdyby ktoś w owych czasach przepowiedział, że za pół wieku będziemy mieć wolną Polskę, Związek Sowiecki przestanie istnieć, za to nastąpi głębokie rozdarcie między Europą Zachodnią a Stanami Zjednoczonymi, moloch zaś islamskiego terroryzmu będzie rzucał się jak dziki na wszystkich, którzy nawiną mu się pod pazury na terenie pokonanego przez Amerykanów Iraku — człowiek taki zostałby uznany za wariata i czym prędzej odprowadzony w Krakowie do Kobierzyna, w Warszawie zaś do szpitala Świętego Jana Bożego. Wszystko to jednak się stało, co świadczy o tym, że zjawiska, które współczesnym wydają się najzupełniej niemożliwe i sprzeczne z logiką, przecież się zdarzają.

Co mogłoby się stać, gdybyśmy czasem lepiej wybierali drogi naszego rozwoju? Uważam na przykład, że w Żarnowcu powinna powstać elektrownia atomowa najnowszej typu, choć dobrze, że nie powstała elektrownia zbudowana podług starych wzorów, z kotłem reaktora z

czeskiej stali. Przede wszystkim zaś warunki istnienia narodu nie mogą być przykładane do linii, na której zaznacza się odstępami kadencje poszczególnych premierów, rządów czy ministrów. To jest zupełnie inna skala czasowa i należy się uniezawisnąć, jak się tylko da, od koziołków–matołków sceny politycznej. Nie jest to niemożliwe: w okresie międzywojennego dwudziestolecia Francja przeżywała nieustanny kryzys polityczny, gabinety wciąż padały, ale to się praktycznie nie odbijało na życiu przeciętnego Francuza, ponieważ mechanizmy ekonomiczne rozdzielne były od perypetii klasy politycznej.

Nauczył nas niestety system nakazowo–rozdzielczy sowieckiego chowu, że jeżeli się w gmachy rządowe rzuca cegłami albo i kostkami masła, to przynosi korzyść, bo wtedy rząd, który nie chciał czegoś dać — daje. Ten typ mentalności musi szczeznąć zupełnie, ażeby Polska mogła odzyskać równowagę i wejść na drogę rozwoju. Wydaje mi się to rzeczą nieodzowną, choć nie wiem, jak prędko do tego dojść może. Nie sądzę, żeby to było możliwe za rok, za dwa albo za pięć lat; będzie to raczej proces powolny i długotrwały.

Może trzeba powiedzieć brutalniej: w znajomości Starego Zakonu jestem słaby, ale wydaje mi się, że Żydzi około czterdziestu lat kręcili się po pustyni, bo nie mogli odnaleźć miejsca, gdzie założą państwo.

Metaforyczny sens tego porównania jest taki, że generacje, które się wychowały w systemie opresji sowieckiej, a nawet z nim walczyły, muszą wymrzeć, po prostu biologicznie, i dopiero pokolenia następne będą mogły rozpocząć rzecz od nowa.

W Europie dość modna jest teraz nieświadomość własnej historii i skreśla się ją z planów nauczania — to oczywiście niedobrze. Z drugiej jednak strony, dla naszego dobra stłumieniu ulec musi typ myślenia skrajnej prawicy polskiej, który polega na nieustannym podkreślaniu, że Polacy są narodem szczególnie wyjątkowym. Nie mówię już o Chrystusie narodów, bo to określenie trochę *passé*, ale o przekonaniu, że jesteśmy jednak wyjątkiem i gdyby nie rozmaite masony i inni Żydzi, którzy nas dręczą, byłoby świetnie. Takie wymówki nic nie przyniosą.

I dlatego sądzę, że lepperyzacja może nawet stać się bodźcem późniejszego odrodzenia. Nie powiadam, że tę strefę przejdziemy bezboleśnie. Nie, przypominać to będzie spacer bosego po żarzących się węglach, ale ostatecznie jednak nie utracimy tożsamości narodowej, nie utopimy się w żadnej paneuropejskiej zupie, aczkolwiek nie powinniśmy także sądzić, że z przymierza ze Stanami Zjednoczonymi Bóg wie co dobrego na Polskę spadnie, albo że możemy liczyć na tych czy na tamtych; przede wszystkim możemy liczyć na siebie.

Nasz pochód w przyszłość staje się coraz bardziej rozciągnięty. Mamy niewielką czołówkę już zanurzoną w głębiach XXI wieku, elektroniczno–technologicznie sprawną, i mamy straszliwie ciemne ariergardy. Mówiło się kiedyś o *dark ages*, „wiekach mroku”; w takim mroku pograżonych jest wielu ludzi w Polsce. Sądzę, że odpowiednia edukacja narodowa jest nieuchronna i konieczna, sądzę też, że sprawa rodziny jest szalenie ważna, a społeczeństwa, które nie mają żadnej wiary, stoją nad przepaściami; co oczywiście nie znaczy, że wszyscy muszą być tej samej wiary i tego samego wyznania, ale jako stabilizator społeczny, jako źródło nadziei i ufności, wiara jest nieodzowna. Podobnie jak spolegliwość innych bliźnich; a nie jesteśmy przecież jakoś szczególnie fatalnie nieprzysposobieni do życia wspólnotowego.

Jednym słowem uważam, że mamy szansę do wykorzystania. Nawet jeżeli droga przed nami wyboista i czają się na niej dołki lepperyzacyjne, niewiele jeszcze z tego wynika dla dalszej przyszłości. Należy czasem spojrzeć w przeszłość i przypomnieć sobie, że Polska jako naród, jako społeczeństwo przetrwała sto kilkadziesiąt lat nieistnienia państwowego. A dzisiaj przecież mamy własne państwo...

Jaki wpływ na naszą przyszłość będą miały najnowocześniejsze technologie wdrażane masowo? Będzie on na pewno obosieczny. Ikoniczne przekazy masowej informacji są wprawdzie myślowo zubożone, równocześnie jednak globalizacja, choć ma zaciekłych wrogów, to jednak oznacza i to, że jeśli jednostka tylko chce, może się dowiedzieć niemal w

każdej chwili, co się dzieje z innymi ludźmi niemal w każdym punkcie globu ziemskiego. Ta możliwość, która oczywiście nie musi być realizowana, bardzo jest ważna jako czysta potencjalność poszerzająca granice naszego świata.

Skomplikowane uwarunkowania o charakterze ponadpaństwowym, które na nas wpływają już teraz, w przyszłości staną się jeszcze ważniejsze. Kwestie szczegółowe natury ekonomicznej muszę pominąć, ponieważ się na nich nie znam. Obawiam się tylko, że w przyjmowaniu długofalowych inwestycji zagranicznych kryje się zawsze pewne niebezpieczeństwo i ci, którzy o ich przyjęciu decydują, powinni dokonywać dokładnego rachunku zysków i strat. A na przykład fakt zawładnięcia przez wielkie koncerny niemieckie licznymi pismami, które kształtują narodową świadomość, wydaje mi się potencjalnie niezdrowy, choć wiem, że redakcje składają się z samych Polaków. Mechanicznie też przejmujemy pewne wzory z Zachodu, na przykład supermarkety, które same w sobie nie są złe, ale atmosfera wielkiego konsumeryzmu, jaką wokół siebie roztaczają, wydaje mi się szkodliwa.

Można jeszcze długo wyliczać powody do niepokoju: choćby grożące nam zmniejszanie się populacji i wzrost liczby ludzi starych. Natłok pesymistycznych prognoz przygłusza dziś rzadkie nawoływania do spokoju i optymizmu. Chcę jednak na koniec powiedzieć, że *contra spem spero*, że nie ma alternatywy dla nadziei, bez względu na to, jakim pesymizmem napawają człowieka wydarzenia światowe i perspektywy krajowe. Jakkolwiek w danej chwili jest niedobrze, zawsze jeszcze może być gorzej, co jednak znaczy także, że będziemy mogli odbić się od dna. Nic nas nie może uratować oprócz spokojnego działania wedle najlepszych światowych i polskich wzorów. Bowiem dobrze urządzone społeczeństwo może wytrzymać nawet najgłupszych i najśłabszych władców, o ile tylko nie popadną w szaleństwo agresji albo ekspansji.